

Silveman Dov
UPADEK SZOGUNA

*...Bo nie masz Wschodu ni Zachodu,
Granicy, rasy, urodzenia
Dla dwóch siłaczy, co w zawody
Stają, przybywszy z krańców ziemi.*

Rudyard Kipling
1893

PROLOG

Departament Stanu, Waszyngton, kwiecień 1853

William Whittefield, dyrektor sekcji japońskiej Departamentu Stanu, i Jason Spaulding, sekretarz marynarki wojennej, słuchali uważnie Harolda MacDonalda.

— ...i ludzie tacy jak Moryiama Einosuke mogą zmienić bieg historii Japonii. W tym kraju jest sporo wpływowych osobistości, które garną się do zachodniej wiedzy. Chcą doścignąć i prześcignąć potęgę, jaką zademonstrował admirał Biddel wprowadzając do zatoki Edo w 1852 roku amerykańskie okręty.

William Whittefield i Jason Spaulding spojrzeli na siebie spod oka, po czym dyrektor powiedział:

— Proszę mówić dalej, panie MacDonald. Niech pan nam opowie wszystko po kolei, począwszy od momentu, kiedy wasz statek się rozbił.

— Po dotarciu do lądu miałem mnóstwo szczęścia. Nie ścięto mi głowy, jak nakazuje japońskie prawo, tylko wrzucono do więzienia. Nieco później przewieziono mnie na południe, na wyspę Deshima w porcie Nagasaki. Jest to jedyne miejsce w całym cesarstwie dostępne dla cudzoziemców, a i to wyłącznie dla Holendrów. Zostałem nauczycielem angielskiego i pomocnikiem Moryiamy Einosuke w rządowej szkole tłumaczy. Spośród czternastu zdolnych ludzi w tej szkole on był bez wątpienia najzdolniejszy. Holenderskim włada podobno jak rodowity Holender, zna łacinę, po angielsku mówi płynnie, bardzo poprawnie gramatycznie, z nosową wymową, typową dla Nowej Anglii. Pytałem go, czy przebywał kiedykolwiek poza granicami Japonii, ale odparł, że nie. Moryiama był człowiekiem pewnym siebie, nie przejawiał uniżoności nawet wobec osób stojących w hierarchii znacznie wyżej od niego. Pozostali tłumacze przekazywali swoim japońskim panom tylko

to, co tamci chcieli usłyszeć. Mangiro odznaczał się autentyczną prostolinijnością, jaką często spotykamy u duchownych...

William Whittefield zeszywniał. Jego pokryta śladami po ospie twarz wyraźnie pobladła. Zerwał się zza biurka i szybkim krokiem podszedł do MacDonalda, który rzucił zaskoczone spojrzenie sekretarzowi marynarki. Jason Spaulding pochylił się na krzesło, zastanawiając się, co też tak bardzo wzburzyło dyrektora.

— Niech pan opisz tego Moryiamę Einosuke czy też Mangira, jak go pan przed chwilą nazwał! — polecił William Whittefield MacDonaldowi. Niech pan opisz, jak wygląda!

— Mierzy około pięciu stóp ośmiu cali wzrostu, jak na Japończyka jest bardzo wysoki. Ma jasną karnację i delikatne rysy, nieco zeszepeczone złamanym nosem. Dodaje to zresztą jego twarzy jakiegoś niepokornego dostojeństwa.

Whittefield spojrział MacDonaldowi prosto w oczy i wpatrywał się w nie dłuższą chwilę, nim ostrym tonem zadał następne pytanie:

— Dlaczego raz nazywa go pan Moryiamą Einosuke, a raz Mangirem?

— Panie Whittefield, przybyłem tu na prośbę Departamentu Stanu i skierowano mnie do pana, ponieważ spędziłem dwa i pół roku w Japonii. Nie wiem, co takiego powiedziałem, żg pan się rozsierzdził...

William Whittefield przerwał mu uniesieniem dłoni.

— Zechce mi pan wybaczyć to agresywne zachowanie, panie MacDonald. Już od wielu lat zajmuję się zdobywaniem wiadomości o Japonii i jej mieszkańcach. Jest pan pierwszym od dwustu pięćdziesięciu lat mieszkańcem Zachodu, któremu udało się wydostać z tego hermetycznie zamkniętego kraju. Pańskie informacje i spostrzeżenia mają dla nas niesłychane znaczenie.

— Co to znaczy „hermetycznie”?

— To nowe słowo, którego uczeni używają na określenie czegoś zamkniętego tak szczelnie, że nawet powietrze nie może przedostać się ani do wewnątrz, ani na zewnątrz.

MacDonald potarł kciukiem nos, zapatrzył się w zamyśleniu przed siebie, po czym stwierdził:

— W takim razie nie używałbym tu tego określenia.

— Dlaczego?

— To prawda, że w dziedzinie nauki i techniki Japończycy pozostają setki lat w tyle za nami. Niemniej jest w tym kraju garść wielmożów popierających nauki holenderskie, którym to terminem określają współczesną wiedzę zachodnią. Dlatego właśnie podałem przykład Moryiamy. Wraz z kilkoma innymi starannie dobranymi

zaufanymi ludźmi studiuje w szogunacie zachodnią wiedzę. Oficjalnie ta szkoła w ogóle nie istnieje, podobnie jak zabroniony jest wszelki handel z cudzoziemcami. Japończycy zbudowali jednak sztuczną wyspę Deshimę, dzięki czemu mogą w ograniczonym zakresie prowadzić wymianę z Holendrami, szkoła zaś działa.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że w Japonii zapoczątkowano proces modernizacji?

— Nie, ale określenie „hermetyczne zamknięcie” także tu nie pasuje. To prawda, że od ponad dwustu lat wszystkich cudzoziemskich marynarzy i rozbitków zabijano zwykle natychmiast po ich znalezieniu, a każdego Japończyka, którego noga powstała w obcym kraju lub na pokładzie obcego statku, ścinano, kiedy tylko powrócił... i nadal się to robi, ale wielu możnowładców pragnie osiąść wiedzę Zachodu. I to właśnie Holendrzy przemycają ją do ich kraju.

— A dlaczego pana nie zabili? — spytał Jason Spaulding.

— Może dlatego, że na północy, gdzie dotarłem do brzegu, *daimyo* są lojalni wobec pana Nariakiry i cesarza i popierają nauki Holendrów.

— Dlaczego prowadzą handel wyłącznie z Holendrami? — Długa błękitna smuga dymu z cygara podkreśliła pytanie sekretarza marynarki.

— Mniej więcej trzysta lat temu jezuici pod wodzą Franciszka Ksawerego zaczęli nawracać Japończyków. Ci misjonarze mieszały religię z polityką i prowadzeniem interesów. Niewielkie powstanie katolików dostarczyło szogunowi pretekstu do wymordowania trzystu tysięcy ludzi i umocnienia swej pozycji w kraju. Holendrzy okazali się bardziej zainteresowani handlem niż szerzeniem chrześcijaństwa, toteż pozwolono im zachować okrojony koncesję na handel.

— Panie MacDonald — powiedział Spaulding — w swym wstępnym raporcie wspomina pan o jakimś Levysohnie, szefie Holenderskiej Misji Handlowej na Deshimie, który ponoć twierdzi, że od dłuższego już czasu wymiana z Japonią przynosi straty lub w najlepszym wypadku ledwie się opłaca. Dlaczego w takim razie Holendrzy jej nie zaprzestali?

MacDonald zwrócił swą szeroką, pozbawioną wyrazu twarz w stronę Jasona Spauldinga.

— Jest takie stare hinduskie przysłowie — odparł. — „Lepiej nie próbuj się podcierać pieniędzmi, które kupiec rzekomo stracił na interesie.”

Wszyscy trzej roześmieli się i napięcie wyraźnie zelżało.

— Jest jeszcze ważniejszy powód — podjął po chwili MacDonald. — Mangiro wyjawiał mi go delikatnie, ale z wyraźnym naciskiem. Otóż od siedemnastego wieku do dziś Holendrzy płacą za uzyskanie

wyników spisu powszechnego ludności, przeprowadzanego w Japonii co pięć lat. Płacą, rzecz jasna, nieoficjalnie, księgami, rysunkami, planami lub niewielkimi przyrządami, które da się ukryć w drodze z Deshimy na łód w fałdach ubrania. Według Moryiamy od początków rządów obecnego szoguna liczba ludności czterech głównych wysp utrzymuje się niezmiennie na poziomie trzydziestu milionów. Zgodzą się chyba panowie ze mną, że trzydzieści milionów ludzi to rynek, na który warto czekać.

Cygaro Jasona Spauldinga zastygło w powietrzu, między kciukiem a palcem wskazującym jego lewej ręki. Z rozdziawionych ust dobył się obłoczek błękitnego dymu. W następnej chwili wyjął z kieszeni na piersi mały notatnik i szybko w nim coś zapisał.

William Whittefield podszedł do okna z widokiem na Potomac. Nie odwracając się spytał:

— Jaką siłą militarną dysponują?

— Nie mam pojęcia. Członkowie pewnych klas społecznych noszą broń, niemal wyłącznie miecze. Część z nich to strażnicy; inni przytracają je w celach paradnych lub jako symbol swego statusu. Nigdy nie potrafiłem tego rozróżnić. Widziałem też kilka przestarzałych muszkietów. Ale proszę pamiętać, że przez całe dwa i pół roku opuściłem Deshimę tylko kilka razy, i to na bardzo krótki spacer po portowym targowisku w Nagasaki. Żaden tłumacz nigdy nie odpowiedział na moje pytania dotyczące uzbrojenia czy armii.

— Jakie jest ich nastawienie do chrześcijaństwa dzisiaj? — spytał Spaulding.

— Przez pierwsze dwa miesiące byłem nieustannie przesłuchiwany. Często pytano mnie wówczas o religię. Jestem członkiem Kościoła Episkopalnego. Kiedyś zacząłem recytować wyznanie apostołskie i gdy doszedłem do: „...i Jezusa Chrystusa, syna Jego jedynego, zrodzonego z Maryi Dziewicy”, Moryiama natychmiast mi przerwał, ratując mi tym pewnie życie. Przetłumaczył to, co powiedziałem, jako „nie ma bogów” i dodał, już od siebie, że doskonałą swój umysł i wolę i wielbię niebiosa, by dostąpić oświecenia i szczęścia.

— Panie MacDonald — odezwał się dyrektor Whittefield — muszę ponowić swoje pytanie. Nazywa pan tego samego człowieka raz Moryiama Einosuke, a raz Mangirem. Dlaczego?

— Ponieważ nim nadano mu rangę młodszego samuraja, nazywał się Mangiro. Razem z tym zaszczytem jego pan i dobroczyńca, *daimyo* Nariakira, nadał mu bardziej dostojne imię. Tylko samurajowi wolno się swobodnie zwracać do arystokratów, co Mangiro jako tłumacz musiał przecież robić.

— Ta liczba ze spisu ludności... te trzydzieści milionów... Uważa pan, że jest prawdziwa?

— Tak. Przed przewiezieniem mnie z grupą innych amerykańskich rozbitków na pokład USS „Preble” Moryiama próbował mi wbić w pamięć dwie rzeczy. Po pierwsze liczbę mieszkańców Japonii i po drugie, że książę feudalny Shimatzu Nariakira z Satsumy na południu Kiusiu, doradca cesarza, jest jednym z głównych zwolenników nauk holenderskich i przeciwnikiem szoguna.

— Posługuje się pan eufemizmem „szogun” na określenie politycznej i militarnej władzy w Japonii — powiedział Whittefield. — Wiemy przecież, że cesarz, który utrzymuje, iż jest w prostej linii potomkiem Boga Słońca, cieszy się bezgraniczną lojalnością wszystkich mieszkańców Japonii. Dlatego też cała korespondencja prezydenta Fillmore'a była adresowana do Jego Cesarskiej Mości, a komodor Perry otrzymał wyraźne instrukcje, by prowadzić rozmowy z cesarzem w Tokio.

Na twarzy Harolda MacDonalda pojawił się wyraz zaskoczenia i zmieszania. Odchrząknął i nie spiesząc się spytał:

— Dlaczego wysłaliście komodora Perry'ego do Edo czy też, jak to wy mówicie, Tokio?

— Bo tam jest siedziba rządu.

— Zgadza się. Ale cesarz z całym dworem przebywa w Kioto. Prawdziwą władzę ma szogun w Edo, a nie cesarz w Kioto.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Sekretarz marynarki pochylił się do przodu.

— Jest pan tego pewien, panie MacDonald? To informacja o niezwykle znaczeniu! Jest pan tego pewien?!

— Owszem. Z tego, co wiem, cesarz jest tylko otoczonym powszechną czcią figurantem. Wszystkie decyzje o sprawach państwa podejmuje szogun w Edo.

Spaulding wypuścił z ręki niedopałek cygara, który wpadł do lśniącej mosiężnej spluwaczki stojącej obok fotela.

— To dlaczego kiedy flota admirała Biddela zawinęła do portu w Edo, Japończycy nie wyprowadzili go z błędu, że nie ma do czynienia z cesarzem?

MacDonald i tym razem nie spieszył się z odpowiedzią. Sekretarz marynarki wojennej, Jason Spaulding, i dyrektor sekcji japońskiej Departamentu Stanu, William Whittefield, czekali na słowa człowieka, który wrócił z Japonii z informacjami mogącymi zmienić całą politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Japończycy są przeważnie niewielkiej postury — zaczął powoli. — Uprawiają pewien sposób walki, zwany dziu-dzitsu, co znaczy

„łagodna sztuka”. Podstawową zasadą tej walki wręcz jest pokonanie przeciwnika w taki sposób, by wykorzystać jego własną siłę. Kiedy ktoś się na ciebie rzuci, nie zatrzymuj go, niech impet jego ruchu sam zbiję go z nóg i obali na ziemię. Innymi słowy, polega to na prowokowaniu przeciwnika do popełniania błędów.

— Daniel Webster*, świeć, Panie, nad jego duszą, musi się przewracać w grobie — mruknął Spaulding. — Nie zostawiłby na nas suchej nitki, gdyby wiedział, że pertraktowaliśmy nie z tym, z kim trzeba.

— Panie MacDonald — odezwał się William Whitefield — czy chce pan przez to powiedzieć, że Japończycy zawczasu wiedzieli o zbliżaniu się admirała Biddela i wyprowadzili go w pole?

— Nie, ale dobrze wiedzą, co Europejczycy robią w Chinach. Moryiama opowiadał mi o wojnie, której celem było zmuszenie Chińczyków do kupowania opium sprowadzanego z Indii. Mówił także o niegodziwych traktatach handlowych narzuconych Chińczykom przez europejskie mocarstwa.

William Whitefield wstał raptownie ze swego fotela.

— Chcielibyśmy panu bardzo podziękować za poświęcony nam czas i za cierpliwość. Informacje, które pan nam przekazał, mają dla nas nieocenioną wartość. Mam nadzieję, że nie potraktuje pan nas jak natrętów, jeśli znów pozwolimy sobie zwrócić się do pana.

— Cieszę się, że mogłem być panom w czymś pomocny. — MacDonald wstał i uściśnął dłonie obu mężczyzn. — Do zobaczenia. — Skinął głową i zniknął za masywnymi dębowymi drzwiami.

Dyrektor Whitefield stał z rękami założonymi na plecach i obserwował, jak podmuchy wiatru marszczą leniwie płynące wody Potomacu.

— Musimy koniecznie zrewidować poglądy na otwarcie Japonii — powiedział po chwili. — Mimo iż przyjdzie nam się oprzeć na słowach tylko jednego człowieka. Dzięki MacDonaldowi uzyskaliśmy o tym dalekowschodnim królestwie wiedzę, której głębi nawet on sam sobie nie uświadamia. Ma rację oceniając, że Moryiama Einosuke jest w stanie wyrzucić wpływ na przyszłość Japonii. Opowieść o tym, że naprawdę nazywał się Mangiro, jest prawdziwa, ale człowiek ten miał jeszcze trzecie nazwisko. Nadaliśmy mu je z załogą na moim statku wielorybniczym „J. Howland”. Ten człowiek to John Mung! Mój przybrany syn!

— Wielki Boże, Williamie! — sapnął oszołomiony Spaulding.

Whitefield sięgnął do najniższej szuflady biurka i wyjął z niej księgę okrętową.

* Amerykański polityk, sekretarz stanu w latach 1841—1843 i 1850—1852.

— Harold MacDonald nie przesadził wychwalając przymioty Mangira, czyli Moryiamy, albo jak my go nazwaliśmy, Johna Munga. Był zupełnie niezwykłym chłopcem, kiedy się spotkaliśmy, wspaniałym człowiekiem i żeglarzem, kiedy się rozstawaliśmy.

Jason Spaulding przyglądał się, jak Whittefield kartkuje dziennik okrętowy. U szczytu każdej strony widniał staranny napis:

DZIENNIK WYPRAWY „J. HOWLANDA” Z FAIRHAVEN, MASSACHUSETTS,
PRZEDSIĘWZIĘTEJ ZA PRYZWOLENIEM PANA
I DZIĘKI JEGO ŁASCE SZCZĘŚLIWIE UKOŃCZONEJ.

Były kapitan statku wielorybniczego przesunął palcem po znanej sobie stronie i zatrzymał się pod datą 8 stycznia 1841. Zaczął czytać na głos:

Dziesiąta rano: dostrzeżono pryski. Spuszczono łodzie numer dwa i trzy. Diakon Gilhooley, dowódca łodzi numer trzy, wbił harpun o pierwszej po południu. Po długim pościgu wieloryb zrzucił żelazo i uszedł pogoni. W drodze powrotnej do statku, na 132°3' długości i 33°25' szerokości, z łodzi dostrzeżono atol wulkaniczny, a na nim rozbitków. Dwoch z nich zabrano na pokład, nieprzytomnych i skrajnie wycieńczonych. Trzeci odmówił opuszczenia wysepki. Z Japończykami tak bywa. Zwróciłem się do załogi o zrzutkę. Zgodzono się ochoczo i wszyscy członkowie hojnie wzięli w niej udział. Obsada łodzi numer trzy poprosiła o prawo powrotu do atolu. Dopilnowali, by dwie paki bezpiecznie przedostały się poza kipieli przyboju. Wszyscyśmy dziećmi jednego Pana, lecz zwłaszcza my, żeglarze.

ROZDZIAŁ 1

Nakanohama, Japonia, styczeń 1841

Mangiro leżał na wyłożonym matami podeście na glinianym klepisku i obserwował cienką smużkę dymu wymykającą się przez otwór w strzesze na zewnątrz. Rozmyślał o śmierci swego ojca przed trzema laty. Miał wtedy tylko jedenaście lat, mimo to wkrótce po pogrzebie opracował zupełnie dojrzały, szczegółowy plan. Teraz, po tylu tygodniach, miesiącach i latach od tamtej chwili, można było zacząć wprowadzać go w życie. W myślach dźwięczały mu słowa nieustannie powtarzanego przez ojca Kodeksu Wojownika: „Wiedza i *bushido* przywróca nam dobre imię i status samurajów”. To właśnie дума samuraja przywiodła jego ojca do śmierci i ta sama дума zaszczepiła jego młodszemu synowi żądzę wiedzy.

Ojca Mangira pozbawiono godności samuraja i zepchnięto do klasy roninów, gdyż jego pan miał podwójnego pecha: umarł z dala od swoich włości i do tego poróżniony z szogunem. Zgodnie z pradawnym zwyczajem, jeśli śmierć zaskoczyła *daimyo* poza zamkiem, cała jego domena przechodziła z powrotem na własność cesarza. Szogun, rzeczywisty władca Japonii, wykorzystywał to rzadko stosowane prawo do celów politycznych. Wasale zmarłego *daimyo* przechodzili na służbę innych feudałów, ale mogli też zostać zdegradowani do roli roninów, to znaczy ludzi-fal wędrujących bezpiecznie z miejsca na miejsce, ludzi, których nikt nigdzie nie chciał zatrudnić. Dwieście lat izolacji Japonii stworzyło próżnię dla samurajskich wojowników. Pełnili teraz przede wszystkim funkcje obrzędowe i ceremonialne lub zarządzali dystryktami i prowincjami. Było nie do pomyślenia, aby były samuraj mógł się pohańbić pracą handlarza lub chłopca. Po wyspach grasowały niezliczone bandy bezrobotnych roninów, trudniących się piractwem na wodach Cieśnin lub rozbojem na lądzie.

Ojciec Mangira zawarł małżeństwo z rozsądku. Dało mu ono dach nad głową w maleńkiej rybackiej wiosce Nakanohama i kobietę, która o niego dbała. Spłodził z nią dwóch synów, Jakata i Mangira. Były samuraj zajmował się prowadzeniem oficjalnej korespondencji wioski i pisaniem prywatnych listów niepiśmiennym wieśniakom. Miał także kilku uczniów, a wśród nich swego młodszego syna. Starszy, Jakato, wolał pracować, bawić się lub budować bojowe latawce, zadowolony, gdy mógł rozładować swą energię czysto fizyczną aktywnością.

Mangiro mógł uczyć się całymi godzinami, nie czując przy tym ani przez chwilę znużenia. Polubił zwłaszcza sztukę walki wręcz zwaną dźiu-dźitsu. Jako czteroletni chłopiec ćwiczył przewroty, godzinę dziennie przez cały rok. Później ojciec pokazał mu, jak padać po rzuceniu przez przeciwnika, by nie zrobić sobie krzywdy. W wieku sześciu lat zaczął uczyć się sztuki pokonywania przeciwnika przy wykorzystaniu jego własnej siły. Wszystkie te nauki, a do tego lekcje literatury, tańca, matematyki, kodeksu *bushido*, poezji i malarstwa miały tylko jeden cel: przygotować go do służby cesarzowi.

Był zdumiewająco pojętny i wykazywał niezwykłą zdolność koncentracji. Jego umiejętność zapamiętywania całych ustępów pisma wprawiała w osłupienie. Kiedy miał sześć lat, do Nakanohamy przybył rządowy poborca podatków z Kochi.

Urzędnik położył na niskim stoliku dwa zwoje: nazwisk i rozporządzeń podatkowych. Znał ojca Mangira jeszcze z czasów, gdy był on samurajem, ale teraz zwrócił się do niego jak do pierwszego lepszego chłopca:

— Oblicz wymiar podatku dla wioski! — rozkazał.

Ojciec Mangira przywołał syna skinieniem do stolika. Chłopiec podszedł do obu mężczyzn i skłonił się z należytym szacunkiem. Ojciec zaprosił go bliżej. Sześciolatek spojrzął na zwoje ryżowego papieru. Przebiegł wzrokiem listę nazwisk i kolumny liczb. W pierwszej chwili nie usłyszał szorstkiej odprawy poborcy. W następnej potężny ryk, który dotarł aż do sfłoczonych przed chatą wieśniaków, i stek ordynarnych wyzisk nakazały chłopcu odejść. Mangiro skłonił się grzecznie, cofnął o krok i wrócił pospiesznie na swoje miejsce w kącie. Jego ojciec siedział niewzruszony jak głaz, na kamiennej twarzy nie drgnęła nawet powieka.

— Zaczynaj obliczenia! — rozkazał poborca.

Były samuraj zareagował wydaniem polecenia swemu synowi:

— „Oblicz wymiar podatku dla każdej rodziny we wsi i zapisz tegoroczne rozporządzenia w porządku, w jakim pojawiają się na tym zwoju.

Mangiro skinął małą, gładko wygoloną główką. W jego prawej ręce zaczął migać po karcie ryżowego papieru rozłożonej na maleńkim stoliku do pisania pędzelek z końskiego włosia, a spod palców lewej dobiegł grzechot przerzucanych kulek abakusa.

Był zbyt pochłonięty swoim zadaniem, by usłyszeć, jak urzędnik strofuje naczelnika wioski:

— Dlaczego każdy ronin w każdym najmniejszym przysiółku próbuje mi zaimponować tym, co potrafi lub co potrafią jego uczniowie?! Marnujecie tylko mój cenny czas! To dziecko dopiero co nauczyło się chodzić, jakże może się znać na obliczaniu podatków? — Zwracał się do ojca Mangira, który siedział bez drgnienia ze skrzyżowanymi nogami, z rękami opartymi na kolanach, ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie. — Zaczynaj! — rozkazał na zakończenie.

Mangiro zerknął na ojca, który nie odwracając się skinieniem ręki przywołał go przed stół, na miejsce zarezerwowane zwyczajowo dla dorosłych. Skinął głową i chłopiec podał mu kartę ryżowego papieru. Sporządził na niej listę wszystkich mieszkańców wioski i wyliczył należny od nich podatek, dokładnie w takiej kolejności jak na zwoju poborcy.

— Dwa nazwiska były umieszczone w złej kolejności — szepnął ojcu na ucho.

Urzędnik z Kochi uniósł brwi.

— To niemożliwe, to jakaś sztuczka! — zawołał. I wymachując palcem w stronę ojca Mangira krzyknął: — Ty oszuście, nauczyłeś go na pamięć listy z zeszłego roku!

Poborca podatkowy stracił już twarz pozwalając sobie na okazanie gniewu, ale ojciec Mangira nie miał zamiaru przepuścić okazji dalszego poniżenia tego nadętego aroganta, któremu nigdy był równy. Z kamiennym spokojem wskazał na dół karty, gdzie jego syn zapisał tegoroczne zasady naliczania podatku, rząderek w rząderek, znak w znak, pod każdym względem bezbłędnie.

Mamrocząc pod nosem pogróżki urzędnik wypadł z chaty i opuścił wioskę. W jakiś czas później przyszło pismo z urzędu w Kochi, w którym zaakceptowano obliczenia Mangira i sumę dwudziestu koku * ryżu zapłaconą przez wioskę.

Sytuacji, w których Mangiro ujawniał swoją odmienność, było bardzo wiele, nie przyniosło mu to jednak zaszczytów, a tylko ogólną niechęć i nagany przyjaciół i sąsiadów. Ojciec uczył go, że sztuka ma radować

* Około 13600 litrów.

serce i być karmą dla umysłu, ale już w wieku dziesięciu lat przekonał się, że to nie swemu umysłowi i sercu ma dogadzać, lecz sercom i umysłom innych. Starsi mieszkańcy wioski zabrali mu pędzle i farby, bo jego rysunki ludzi budziły w nich strach. Mangiro pogwałcił kanony klasycznej sztuki japońskiej malując postacie w perspektywie i przy zastosowaniu światłocienia, przez co wyglądały jak żywe. Chłopi, którzy mu pozowali, bali się, że pędzel Mangira uwięzi na jedwabiu ich dusze. Kiedy do domu przyszedł kapłan sinto i skonfiskował jego obrazy, Mangiro pogodził się z tym i od tamtej pory zadowalał się rysowaniem węglem zwierząt, kwiatów, ryb i owadów, które były częścią jego codziennego życia.

Przed zadaniem sobie śmierci ojciec wezwał obu synów.

— Jakato — powiedział — jesteś silny i lubisz zajęcia fizyczne. Dla ciebie życie będzie proste i nieskomplikowane. Z wyroku bogów nie napotkasz na swej drodze wielu trudnych do podjęcia decyzji. Twój brat nie dostał tego szczęścia. Jesteś starszy, musisz się nim opiekować.

Następnie były samuraj zwrócił się do młodszego syna:

— Jesteś niezwykłym chłopcem, nie tylko z uwagi na swą pamięć i zdolności umysłowe. Cieszą cię wszystkie strony życia. Do tej pory bogowie oszczędzili ci oglądania zła. Rad jestem, że już mnie nie będzie, kiedy życie zmusi cię do przejrzenia na oczy. Twoje nieposzednie talenty już teraz wpędzają cię w konflikty z otoczeniem. Zupełnie nie wiem, jakich rad ci udzielić. Próbować stłumić wrodzone zdolności to tak, jakby kto próbował zakorkować wulkan. A ludzie poddają się geniuszowi tylko wtedy, gdy płynie on z oficjalnie uznanego źródła. Wśród równych sobie urodzeniem wybitne uzdolnienia budzą zwykle zawiść i strach.

Obserwując smugę dymu wijącą się przez otwór w dachu, Mangiro doszedł do wniosku, że ojciec jak zawsze miał rację. Jego najnowszy pomysł, by do mózdzierza wsypać żwir, co bardzo przyspieszało proces łuskania ryżu, spotkał się z gniewnym i pogardliwym przyjęciem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego go odrzucono. Udowodnił, że nowa metoda znakomicie zdaje egzamin, a mimo to udzielono mu przed wioską nagany za podważanie zasad, na których opiera się całe życie Japończyków.

Nawet rodzony brat stwierdził:

— To dziwaczne próbować coś zmieniać. Wszystko ma swój ustalony porządek rzeczy. Zawsze miało, od niepamiętnych czasów.

Jakato potrząsnął go za ramię.

— Chodź, to twój plan, a do tego wspaniały. Musimy tam być przed Fudenojem.

Obaj bracia szybko się ubrali. Zawinęli jedzenie w ciasno uplecione bambusowe maty do spania i ruszyli plażą do dwudziestostopowej łodzi rybackiej, leżącej na burcie tuż powyżej linii najwyższego stanu przypląwu. Położyli słomiane pelerynki przeciwdeszczowe, stożkowe kapelusze i zawiniątka z żywnością na rufie pod pawężą. Fudenojo, mistrz rybacki i właściciel łodzi, pomachał im na powitanie, krocząc po plaży wraz z Shin-ho, dźwigającym jeden na drugim dwa kosze. W każdym z nich znajdowało się sto pięćdziesiąt jardów starannie uplecionej linki, przygotowanej specjalnie na morskie okonie — skarb rodziny Shin-ho. Mangiro nauczył Shin-ho, co ma mówić, żeby starsi jego rodu pozwolili im z niej skorzystać, ale to raczej doskonała reputacja Fudenoja i kiepski sezon rybacki skłoniły ich do wyrażenia zgody.

Był 5 stycznia 1841 roku. Za dwa dni zaczynały się obchody Nowego Roku, szczęśliwego Roku Wołu. O tej porze okonie morskie były bardzo poszukiwanym przysmakiem. Plan Mangira opierał się na mistrzowskich umiejętnościach Fudenoja i założeniu, że im się powiedzie i zdążą dotrzeć z ładunkiem świeżych ryb do stolicy prowincji, Kochi, tuż przed Nowym Rokiem. Gdyby połów im się udał i wszystko dobrze wyliczyli w czasie, zysk powinien być ogromny. Rok Wołu rozpocząłby się dla nich wielkim szczęśliwym machnięciem jego ogona. Po to, żeby Fudenojo w ogóle zechciał go wysłuchać, Mangiro musiał nauczyć go podstaw posługiwania się liczydłem. Żeby zgodził się na użycie jego nazwiska w rozmowie z rodziną Shin-ho, Mangiro musiał obiecać, że przez najbliższy rok nauczy posługiwania się liczydłem jego dwóch synów. Mangiro i jego brat mieli wystąpić w roli pomocników dwóch starszych rybaków, nakładać przynętę i zdejmować ryby z haczyków.

— Mangiro! — zawołał Fudenojo. — Mam dobre przecucia co do tego twojego planu! Hai! — poklepał chłopca po ramieniu.

Krągła, puciołowata twarz Shin-ho rozpromieniła się w uśmiechu do Jakata.

— Jesteś gotów odśpiewać zwycięską pieśń rybaków?

Niższy, bardziej krzepki z braci roześmiał się:

— No pewnie — odparł.

— To przy zakładaniu przynęty i odczepianiu ryb będziesz musiał się zwiijać jak w ukropie.

— Będę się zwiijał jak w okropnym ukropie całą drogę aż do domów gejsz w Kochi!

Wybuchnęli śmiechem, zimne powietrze poranka porwało im z ust obłóczki oddechu.

— Zechciej wybaczyć, Fudenojo — powiedział Mangiro — ale kiedy patrzę na morze, wiatr wieje z mojej prawej strony, a słońce jeszcze nie wzeszło.

Dwaj starsi mężczyźni i Jakato roześmieli się.

— Czy nie jest powiedziane — ciągnął dalej Mangiro — że nim oko niebios zamknie się na nocny spoczynek, wczesny wiatr z południa wypina zadek na wiatr północny, by mu go oczyścić?

Shin-ho zachichotał, szturchnął Jakata łokciem i przedrzeźniając Mangira stwierdził:

— Czy nie jest powiedziane, że rybak bez ryby jest jak chłop bez ryżu? Obaj ujrzą oko niebios odbite w dnie swojej pustej miski.

Ich śmiech ucięło krótkie polecenie Fudenoja:

— Przygotować łódź!

Wyptywali co najmniej na cały dzień, może nawet na dwa. Pomagając załadować przynętę, drewno na ogień, linkę i dwie beczułki wody, Mangiro zagryzał wargi ganiąc się w duchu, że znów złamał nakazy dobrych obyczajów, tym razem zwracając uwagę staremu wytrawnemu rybakowi. O wiele bardziej doświadczonych od niego zostawiano na plaży za znacznie drobniejsze przewinienia. Uwaga była infantylna, nawet brat skwitował ją śmiechem. Każde dziecko zna to przysłowie i każdy głupiec potrafi powiedzieć, z której strony wieje wiatr. A przecież cała rzecz w tym, że udany połów był im bardzo potrzebny. W wiosce nastały ciężkie czasy. Z powodu złej pogody od dawna nie spuszczano łodzi na wodę. Już samo to sprawiało, że ich zdobycz byłaby bardzo cenna. Gdyby im się poszczęściło, a rybacy z Kochi dziś nie wypłynęli, to ustawiając mały stragan i sprzedając świeże ryby świętującym tłumom mogliby zarobić więcej niż niektórzy przez cały rok.

— Przyłóżcie się do łodzi — polecił Fudenojo. — Zaczyna się odpływ.

Wszyscy trzej dołączyli do mistrza, wsparli łódź ramionami, zepchnęli ją na wodę i wdrapali się do środka. Jakato wciągnął trójkątny żagiel, Shin-ho chwycił rumpel, łódź ożyła, wiatr i odpływ poniosły ją na otwarte morze.

Fudenojo zajął miejsce na dziobie. Kiedy wypłynęli z zatoki, zawołał: „Hai!” i wskazał ręką na północ.

— Chować głowy! — odpowiedział natychmiast Shin-ho i popuścił żagla.

Wiatr był pomyślny, a łódź świetnie skonstruowana. Ze swą wysoką rufą z łatwością zostawiała za sobą ciągnące z wiatrem fale.

— Płyniemy na zewnętrzne łowiska — powiedział Jakato spoglądając na brata.

Mangiro wiedział, że mistrz rybacki Fudenojo należy do cechu utrzymującego wzdłuż wybrzeża czujki wypatrujące pojawienia się ryb. Za pomocą odpowiedniego kodu sygnałowego informowano się wzajemnie o nadciągających ławicach.

Chłopcy wyciągnęli na środek łodzi dwa kosze małży zebranych poprzedniej nocy. Usiedli na dnie z kubłami ze skór fok między nogami i zaczęli rozgniatać małże; sok ze zmiażdżonych mięczaków ściekał do kubłów, do jednego zeszkrobywali miękkie, kremowe mięso, a do drugiego wrzucali połamane muszle. Mangiro zerkał na północ wypatrując oznak pogarszania się pogody, ale niebo było czyste, morze spokojne, a wiatr wiał równo, choć cały czas z południa.

Chłopcy uwijali się z robotą, rozmawiając o tym, co zrobią z przypadającą na nich częścią zarobku. Powtarzali jeden drugiemu opowieści ojca o obchodach Nowego Roku w wielkim mieście Kochi. Jakato podjął wątek jednej z nich, tej, którą słyszeli tyle razy, że obaj znali ją na pamięć:

— Większość ludzi już nie pracuje i tylko chodzą z przyjęcia na przyjęcie.

— Nawet żebracy kłaniają się sobie dwa razy — ciągnął Mangiro — i uczują.

— Całe rodziny i rody ciągną od domu do domu, z przyjęcia na przyjęcie, a potem na festyn.

Skończyli rozgniatać muszle i zabrali się do cięcia i nabijania mięsa na haczyki linki.

— Będą tańczące smoki, walki latawców, grajkowie i kukielki — ciągnął Mangiro.

— Jakato! — zawołał ze swego miejsca przy rumplu Shin-ho. — Opowiedz swojemu bratu o płynie kappy!

Jakato umilkł i skupił się na zakładaniu przynęty.

— Mangiro, słyszałeś kiedy o kappie? — Shin-ho roześmiał się i mrugnął do niego.

Mangiro spojrzął na brata i pokręcił powoli głową.

— Jak to? Nie słyszałeś? — zawołał Shin-ho. — A ja myślałem, że wśród nas to ty jesteś ten wykształcony. To bardzo ważne, żeby wiedzieć, co zrobić, kiedy się napotka kappę, bo kappa ma taką siłę, że może z łatwością zabić człowieka albo zwierzę wielkości konia. A że ma tylko trzy czy cztery cale wysokości, nikt nie chce w to uwierzyć.

Mangiro próbował pochwycić spojrzenie brata, ale Jakato nadal unikał jego wzroku. Włączył się więc do zabawy:

— O, czcigodny panie — zawołał posługując się językiem najwyż-

szych ster, używając najbardziej czołobitnych formuł — który swą potężną prawicą i przenikliwym okiem kierujess naszym losem! Racz objaśnić mnie niegodnemu tajemnice kappy!

Jakato szturchnął go w ramię, aż Mangiro poleciał do tyłu i oparł się plecami o burtę łodzi. Obaj zanieśli się śmiechem, któremu położyło kres szorstkie napomnienie Fudenoja:

— Przestańcie marnować czas i pospieszcie się z zakładaniem przynęty!

Zerknęli po sobie, przebiegli szybko wzrokiem morze i niebo i wrzუსzyli ramionami, zdziwieni napięciem w głosie Fudenoja. Spojrzeli ponownie na Shin-ho, stojącego niedbale przy wielkim rumplu z bosą nogą opartą o burtę łodzi.

— Kappa — uśmiechnął się — to naprawdę paskudne stworzenie. Żyje w pobliżu rzek i strumieni, a z wyglądu przypomina skrzyżowanie żaby z żółwiem. Ale najbardziej zdumiewająca jest jego głowa. Na czubku ma małe wgłębienie, w którym znajduje się dający ogromną siłę płyn. Kappa wlecze ludzi i domowe zwierzęta do swego wodnego domu i już nikt nigdy ich nie ogląda. Jedyna jego słabostka to to, że jest niezwykle dobrze wychowany. Kiedy się napotka kappę, pozostaje tylko jeden ratunek. Trzeba mu się skłonić do samej ziemi. Kappa jako stworzenie niesłuchanie uprzejme odwzajemnia się tym samym, dający siłę płyn wylewa się z wgłębienia na głowie i kappę staje się słaby i zupełnie nieszkodliwy. W przeddzień Nowego Roku pomogę Jakatowi znaleźć na targu kupca, który daje ten płyn na kredyt.

Shin-ho puścił do nich oczko i wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

Mangiro pomyślał o srebrnym talizmanie, który sprzeda na targu. Ojciec wręczył mu go bez słowa rankiem tego dnia, gdy nie mogąc się pogodzić z życiem popełnił *seppuku**.

Zaszczytna śmierć dla człowieka honoru — skomentowali mieszkańcy wioski.

Dla Mangira była to podwójnie ciężka strata. Utracił ojca i nauczyciela. Jego plan sprzedaży na targu w Kochi morskich okoni i srebrnego talizmanu miał na celu zasilenie domowej kasy. Mieliby za co przeżyć następny rok i być może starczyłoby jeszcze na opłacenie nauczyciela z pobliskiego miasteczka Uwajima.

Łódź opadała w doliny fal i wzbijała się na ich grzbiety, sunąc prosto przed siebie w stronę zewnętrznych łowisk. Bracia zakończyli nakładanie przynęty i przymocowali do końca linek kamienne ciężarki, odmawiając odpowiednie modlitwy do bogów morza i ryb.

* Rytualne samobójstwo.

Fudenojo przywołał Mangira na dziób.

— Zapal *habachi*, zaparz herbatę i odgrzej ryż.

To znaczyło, że już wkrótce dotrą do łowiska.

Około dziewiątej Fudenojo wskoczył na rufę, przytrzymując się dla zachowania równowagi krótkiej cumy. Kazał Shin-ho skierować łódź trochę w prawo, potem znów w lewo. Niewprawne oko Mangira nie odróżniało jednego fragmentu morza od drugiego, ale Fudenojo potrafił czytać z fal i wody jak z księgi.

— Hai! — zakrzyknął na koniec.

Shin-ho odwrócił łódź dziobem do wiatru, a obaj chłopcy spuścili żagiel. Fudenojo zaczął śpiewać starą pieśń łowiących morskie okonie, pozostali trzej natychmiast ją podchwycili. Fudenojo podszedł do kubła i wyrzucił za burtę garść rozbitych skorupki muszli, patrząc, jak opadają z wolna w głąb wody. Skinieniem ręki przywołał do siebie Shin-ho. Każdy chwycił jeden sznur haczyków z przynętą, potem dźwignęli kamienne obciążniki, wyrzucili je za burtę i zaczęli szybko popuszczać zwoje linek. Kiedy rozwinęły się na pełną długość, usiedli wokół *hibachi*, żeby się posilić. Chłopcy zaczęli wyrzucać za burtę resztki przynęty i garście zmiażdżonych muszli. Kawałki małży rozpląnęły się po obu stronach łodzi wokół sznurów, z których każdy miał sto pięćdziesiąt jardów długości; na każdy jard przypadały trzy haczyki z rybich ości, starannie przywiązane do niewielkich kawałków drewna, dzięki czemu mogły się unosić tuż pod powierzchnią wody. Mężczyźni przeszli na rufę i zamienili się miejscami z braćmi, aby i oni mogli się pożywić. Chłopcy obmyli ręce w zimnej, zielonkawej wodzie oceanu i zabrali się do jedzenia.

Mangiro łyknął łąpczywie gorącej herbaty. Zauważył, że nigdzie nie widać mew nurkujących z krzykiem po unoszącą się na wodzie przynętę, ale nie miał zamiaru znieważać Fudenoja ponownym zwracaniem mu na coś uwagi. Po posiłku wrócili do swoich kubłów. Mężczyźni przeszli na dziób i dotknęli sznurów, żeby wyczuć, czy ryba bierze.

— Nęćcie szybciej, chłopcy — zawołał stary rybak. Przsunął się bliżej do Shin-ho. — Miałem nadzieję, że będzie lepsza pogoda. Wiatr zaraz się zmieni. — Spojrzał na wiszące nad głowami słońce, a potem przeniósł wzrok na północ. Niebo było zupełnie czyste, a morze spokojne. — Macie pół godziny na wyrzucenie całej przynęty! — zawołał. — Zaraz potem ciągniemy i wracamy do domu.

Fudenojo i Shin-ho usiedli na dnie łodzi. Stary zwyczaj rybacki nakazywał po rzuceniu sznurów zachowywać jak największy spokój i ciszę i modlić się do swego bóstwa opiekuńczego o zesłanie obfitego połowu.

Mała łódź kotysała się monotonnie na falach.

Fudenojo przywołał chłopców do siebie. Wstał i obaj z Shin-ho ujęli sznury w prawe ręce, było bowiem w zwyczaju, by rozpoczynać ciągnięcie sznurów właśnie prawą ręką. Zaczęli śpiewać pieśń ciągnących rybę dodając na zmianę kolejne wersy. Chłopcy, ustawieni tuż za ich plecami, by natychmiast odczepiać ryby, podjęli chórem refren.

*Sznur jest tak ciężki, że ryby ciągną łódź,
Awaii niaru, awaii maru,
Bo wielkie, tłuste ryby nie chcą dać się złapać,
Awaii maru, awaii maru.
Powiedźcie im, że spędzą Nowy Rok w Kochi,
Awaii maru, awaii maru,
AU Oto pierwsza, co uczci święto,
Awaii maru, awaii maru.*

Wybieranie sznurów było ciężką, mozolną pracą. Fudenojo i Shin-ho ciągnęli właściwie nie linę do łodzi, tylko całą łódź wzdłuż liny. Jakato stał za plecami Shin-ho u jednej burty, Mangiro u drugiej, tuż za Fudenojem. Zdejmowali z haczyków ryby lub kawałki przynęty, zwijali sznur i wkładali go z powrotem do koszy. Na pierwszych haczykach niemal nic nie było, trzepotało na nich tylko kilka makreli i małych rekinów, ale ciężar liny wskazywał, że niżej zdobycz jest znacznie obfitsza. Chłopcy zaśpiewali głośniejsze, gdy przez burtę wpadł pierwszy okoń morski. I nagle nie mieli chwili na zastanowienie, bo niemal każdy kolejny haczyk przynosił nową rybę, wszystkie o wadze od dwóch do trzech funtów, idealne na noworoczny jarmark. Świątujący mogliby jeść dopiero co zabite ryby na surowo albo też wypatroszone, nadziane słodkim mięsem, natarte po wierzchu migdałami i upieczone w taki sposób, że położone na talerzu wyglądały, jakby lada chwila miały odpłynąć ze stołu.

Potężnie obciążone linki stawiały coraz większy opór, gdy wtem rufę łodzi podniosła jakaś większa fala. Obaj rybacy zaparli się kolanami o burty łodzi, z całych sił trzymając napięte sznury. Łódź zastygła w bezruchu w dolinie fali, po czym następny wał wody poderwał ją do góry i pchnął do przodu. Dziób pomknął przez rozhuśtane morze, a obaj mężczyźni zaczęli jeden przez drugiego wybierać sznury, zarzucając dno łodzi płataniną linek i trzepocących się ryb. Wiatr odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, dał teraz dokładnie z północy. Wszyscy czterej obejrzeni się przez ramię i daleko w tyle ujrzeli jeden wielki ocieżały nawis chmur łączący niebo z morzem

wzdłuż całego horyzontu. Nieco bliżej, tuż przed frontem nadciągającego sztormu, Fudenojo dostrzegł, jak wichur zrywa spienione, białe grzywy fal.

— Jakato! — krzyknął co sił w płucach. — Stań przy sterze i wiosłuj tak, by popychać łódź do przodu! Spróbujemy uratować tyle sznurów, ile się da! — Spojrzał na Shin-ho, w którego oczach malowało się nieme błaganie. Te sznury były jego rodzinnym skarbem. — Mangiro, zostaw te ryby i haczyki i stań przy żaglu! Przygotuj się do jego wciągnięcia!

Obaj rybacy zdwoili tempo wybierania sznurów. Jakato wiosłował ze wszystkich sił, ale szczęście, które wymodlili, przerodziło się teraz w koszmar — ciężkie od ryb sznury trzymały niczym kotwica. Następna fala wyniosła ich do góry, po czym ściągnęła w tył. Jakato zdążył jeszcze krzyknąć ostrzegawczo, gdy kolejny grzywacz załamał się nad rufą, a do łodzi chlusnęły potoki wody. Ze szczytu masztu dobiegł pierwszy poszept wiatru.

— Stawiać żagiel! — rozległ się rozkaz Fudenoja i Mangiro natychmiast wciągnął żagiel na maszt. Łódź skoczyła do przodu. Obaj rybacy wybierali sznury jak szaleni, a jednak *robili* Jo *jeszcze* zbyt wolno. Obciążone rybami linki zaczęły zostawać w tyle ściągając łódź w dolinę następnej fali.

Kiedy przewaliła się przez rufę, omal nie zatapiając łodzi, Fudenojo spojrzął na Shin-ho. Jak na komendę wyciągnęli noże i bez słowa odcięli sznury. Uwolniona od stawiającego opór ciężaru łódź skoczyła do przodu i wspięła się na grzbiet fali przed iimi.

Fudenojo jednym wielkim sussem przeskoczył stertę linek i miotających się na dnie ryb, dopadł wiosła sterowego i przejął je od Jakata. Obaj bracia i Shin-ho rzucili się wylewać wodę. Fudenojo po mistrzowsku pokonywał każdą falę, wykorzystywał wiatr i napór morza, by kierować się na południe w stronę dającej schronienie zatoki. Pozwalał wielkim zwałom wody, by porywały łódź w górę, a potem dosłownie spychał ją w bok długim wiosłem sterowym, chwytając jednocześnie żaglem wiatr. Ze szczytu każdej fali oglądał się za siebie, próbując ocenić odległość od serca nadciągającego sztormu. To był wyścig na śmierć i życie.

— Shin-ho! — zawołał. — Rozdaj jedzenie! Niech każdy je, ile tylko zdoła!

Nałożyli słomiane pelerynki i stożkowate kapelusze, jedną ręką wpychali sobie do ust pożywienie, a drugą wylewali wodę. Wiatr przybrał na sile, fale stały się większe, doliny między nimi głębsze. Łódź zsunęła się tyłem w jedną z takich gigantycznych dolin i żagiel

związ bezwładnie, odcięty ścianą wody od wiatru. Fudenojo przyłożył się ze wszystkich sił do wiosła, łódź zadygotała próbując wspiąć się na falę, lecz w tym samym momencie zwałił się na nią zdarty wichrem wierzchołek następnego grzywacza. Ciężar wody osadził łódź w miejscu, a chwilę później przez rufę wdarła się do niej cała góra wody. Porwała obu braci i rzuciła ich do przodu, twarzami w dół, między zwoje sznurów, haczyki i trzepocące się ryby. Shin-ho chwycił ich pod pachy i pomógł usiąść. To był koniec wyścigu. Przegrali.

— Chować głowy, zwrot! — zawołał Fudenojo przekrzykując ryk wiatru.

Shin-ho poskoczył do przodu, szykując się do wybrania żagla, kiedy odwrócił się dziobem do sztormu. Pełna wody łódź odwraca się niezdarnie i opornie. Stawiając czoło burzy powoli wspięła się na nadciągającą falę. Kiedy wdrapała się na jej szczyt, huragan pełną siłą uderzył w żagiel, złamał maszt i porwał go ze sobą. Światło błyskawicy wydobyło z ciemności, która zapadła nagle w środku dnia, ogromne fale ze spienionymi, białymi łbami. Łódź zawahała się na grzbiecie fali, po czym runęła na łeb na szyję w dół i zaryła dziobem w gładką, zieloną toń dna doliny. Przywaliły ich dziesiątki ton wody.

Wszyscy czterej zacisnęli pod wodą usta i nosy i przywarli do łodzi, ale Jakato nie zdążył nabrać w płuca dość powietrza. Wstrzymywał oddech, jak długo mógł, aż na wpół uduszony odbił się rozpaczliwie, by wydostać się na powierzchnię. Masy wody porwały go wraz z całym wyposażeniem łodzi i morskimi okoniami, które powróciły w ten sposób tam, skąd je wyłowiono.

Zalanej łodzi nie groziło zatonięcie, jako że wykonano ją /. bambusa, którego każda łądyga zawiera mnóstwo naturalnych komór pływakowych. Ale fale z łatwością mogły ją po prostu roztrzaskać. Za każdym razem, gdy im to groziło, Fudenojo, zanurzony po pas w zimnej morskiej wodzie, gwałtownymi ruchami wiosła sterowego usuwał łódź w bezpieczniejsze miejsce.

Mangiro i dwaj starsi rybacy walczyli ze sztormem przez całe dwa dni. Z powodu potwornego wichru i zdrażliwych fal nie byli w stanie zamienić ze sobą nawet słowa. Kiedy w końcu wiatr nieco osłabł, Shin-ho przejął ster od na wpół przytomnego Fudenoja. Mangiro przytrzymał starego rybaka ramieniem, by wycieńczony nie utonął w wypełnionej wodą łodzi. Po chwili przywiązał śpiącego Fudenoja do burty i zaczął brodzić po miotanej falami łodzi, obmacując rękami dno w poszukiwaniu czegokolwiek do jedzenia. Znalazł maty, które z bratem upchnęli na rufie, i dwa morskie okonie, zaczepione mocno kolczastymi płetwami o burtę z bambusa. Wycieńczeni do ostatnich

granic pożywili się rozklejonym ryżem i surowymi rybami. Żaden nawet słowem nie wspomniał o Jąkacie. To Fudenojo, jako dowódca łodzi, miał obowiązek zawiadomić o jego śmierci rodzinę i wioskę.

Drugiej nocy poprzeczny prąd wyniósł ich dalej na otwarte morze. Zmieniali się przy sterze i próbowali wybierać wodę butami ze skór fok, ale targający nimi z furją sztorm zmienił łódź w wiązkę ledwie trzymających się razem łądyg bambusa — prawdziwe pływające rzeszoto. Pod wieczór trzeciego dnia skulony na dziobie dla osłony przed wiatrem Fudenojo wstał nagle, przechylił głowę w lewo, potem w prawo i zaczął nasłuchiwać. Po kilku minutach wskazał ręką w lewo. Shin-ho napał powoli na wiosło sterowe, by skierować łódź w tę stronę.

Już wkrótce usłyszeli dobiegający z oddali pomruk przyboju. Fudenojo przeszedł na rufę, nakazując Mangirowi, by zrobił to samo. Wszyscy trzej stanęli obok siebie, to po kostki, to po pas zalewani spienioną wodą.

— Zbliżamy się do jakiegoś lądu i najwyższa pora, bo długo już tak nie pociągniemy! — zawołał Fudenojo. — Mangiro, pomóż Shin-ho popchnąć łódź tam, skąd słychać przybój. Potem ja wezmę od was ster i spróbuję doprowadzić ją do brzegu.

Pomruk zmienił się w dudnienie, które z chwili na chwilę przybierało na sile. Minęło niewiele czasu i ujrzeli w oddali wysokie jak gejzery rozpryski piany. Fale ciągnęły teraz prosto od rufy. Pchały łódź coraz szybciej do przodu, co jakiś czas przewalały się przez rufę i zalewały ją potokami wody. Fudenojo uczeplił się cumy i stanął na dziobie, by przyjrzeć się dokładniej miejscu lądowania. Mała łódź dygotała i huštała nią dziko. Fudenojo ustał jakoś na swoim miejscu, kołysząc się w przód i w tył, po czym dobrnął z powrotem na rufę.

Zbili się w ciasną gromadkę, nachyleni głowami do siebie, i Fudenojo wydał rozkazy:

— Pracujcie wiosłem, uważając pilnie na moje polecenia. Przed sobą mamy głazy, a nie plażę. Przejmę od was ster na chwilę przed tym, nim na nie wpadniemy. Zdejmijcie buty i peleryny. Kiedy uderzymy — skaczcie! Najpierw Shin-ho, potem Mangiro, ja na końcu. Nie bójcie się fal: trzeba wczepić się w kamień, odczekać, potem dać się następnej popchnąć do przodu. Jak kappa, którą chciał upolować Jakato, jak skrzyżowanie żółwia z żabą. Przypaść do ziemi i skoczyć, przypaść i skoczyć. No, powodzenia!

Białe gejzery piany i ryk setek ton wody rozbijającej się o głazy stawały się coraz wyrazistsze. Mistrz rybacki kierował łódź wprost ku łoskotowi fal, które bijąc o skały rozpraszały w powietrzu kolumny wodnej mgły. Czekał — szacował odległość, próbował zgrać się

z rytmem fal. Nacierały po pięć, potem mała przerwa i znowu pięć, największa na początku. Któraś z tych największych wyniosła łódź do góry i po raz pierwszy wszyscy dojrzeli brzeg - lśniąca czarna skała wulkaniczną otoczoną kołnierzem białej piany i upstrzoną jej plamami naniesionymi przez wiatr.

Fudenojo przedarł się do przodu, wszedł na dziób, by po raz ostatni rzucić okiem na brzeg, po czym zeskoczył na dno łodzi, zdjął buty i słomianą pelerynkę i zanurzony po pas w wodzie przebrnął na rufę. Zastąpił przy sterze Shin-ho i Mangira i przekrzykując ryk przyboju jeszcze raz powtórzył rozkaz:

— Kiedy uderzymy: skaczcie!

Shin-ho i Mangiro przeszli na dziób, zdjęli ciężkie, nasiąknięte wodą ubrania i zastygli w oczekiwaniu.

Fudenojo wiedział, że ma tylko jedną szansę: złapać największą falę z grupy i dać się jej ponieść maksymalnie blisko brzegu. Jednym rzutem oka oszacował odległość do skał i kolejność fal. Łódź podskakiwała, huštało nią na boki, drżała i dygotała. Wspięła się na piątą falę w ciągu, a za jej rufą zaczęła wyrastać pierwsza z następnej piątki, największa. Fudenojo napał z całych sił na wiosło sterowe i młócąc nim wściekle w ostatniej sekundzie obrócił łódź bokiem do fali. Pomknęła wzdłuż jej grzywy niczym deska surfingowa, pokonała pierwsze, najdalej wysunięte, ostre grzbiety raf i popędziła wprost na wystające w przodzie czarne skały.

Uczepiony z całych sił cumy dziobowej Shin-ho przykucnął na krawędzi burty, a Mangiro tuż za nim. Uderzyli o skały. Shin-ho poleciał do przodu, wyrzucony jak z procy, i rąbnął w wielki, gładki głaz. Oszołomiony rozpostarł ręce próbując do niego przywrzeć.

Mangiro i Fudenojo wylądowali na mniejszych skałkach, toteż objęli je mocno rękami, by nie dać się porwać fali powrotnej. Zaczęli skakać jak żaby ku Shin-ho, chwytając się kurczowo, czego się dało, gdy na plecy zwałała im się kolejna masa wody.

Shin-ho nie zdołał utrzymać się na wielkim, gładkim głazie. Na oczach Fudenoja i Mangira ześliznął się w dół, drąc paznokciami powierzchnię kamienia. Kolejna fala zalała szczelinę, w której zniknął. Stary rybak i chłopiec wdrapali się na wielki głaz, z którego spadł Shin-ho. Kiedy leżąc na brzuchach czekali, aż przewali się ponad nimi jakaś większa fala, z wodnej kipieli w dole wypłynął ich nieprzytomny towarzysz. Obaj sięgnęli po niego, ale Shin-ho nie miał na sobie nawet strzępa ubrania, ręce trzymał wzdłuż boków, a jego krótko przycięte włosy wymykały się z palców. Mangiro zdołał chwycić go za ucho. Fudenojo trafił ręką w rozchylone usta. Fala opadła, lecz udało im się

utrzymać chłopaka przyciśniętego do powierzchni skały, póki nie nadpłynęła następna i wyniosła go w górę na tyle, że mogli już chwycić go pod ramiona i wciągnąć na płaski szczyt. Dysząc ciężko położyli się na nim, by ciężarem własnych ciał uchronić go przed zmyciem do morza.

Shin-ho oddychał, ale krwawił obficie z setek maleńkich ranek na całym ciele. Fala przesunęła go w tę i z powrotem po ostrych jak brzytwa muszlach czarnych małży porastających skałę. Fudenojo i Mangiro odciągnęli go nieprzytomnego i krwawiącego poza zasięg fal.

Kiedy przystanęli, by chwilę odpocząć, uświadomili sobie, że zaczął padać deszcz. Pili łączywie, chwytając słodką wodę w złożone dłonie, potem sptukali skorupę soli z brwi i rzęs. Obmyli Shin-ho, ale nie byli w stanie zatamować krwi. Fudenojo odszedł między skały na poszukiwania i powrócił z naręczem wodorostów. Owinęli nimi nagie, poranione ciało towarzysza, przenieśli go między skały, w miejsce osłonięte od wiatru i deszczu, i położyli się po obu stronach, by ogrzać go własnymi ciałami. Przykryli się morskimi algami i drżąc z zimna zapadli w sen.

Mangiro obudził się, ale nie potrafił określić pory dnia. Huczące fale przyboju strzelały w szare niebo kolumnami wody, by opaść białą pianą na skały i spłynąć z powrotem do morza. Shin-ho był rozpalony gorączką, Fudenojo gdzieś zniknął. Kiedy chłopak wdrapał się na najbliższą większą skałę, zobaczył, że stary rybak właśnie wraca.

Fudenojo, zupełnie nagi, kluczył między załomami skał z martwym pingwinem na plecach. Podrzucił wielkiego ptaka na skałę, wprost do stóp Mangira, i powiedział:

— W brzuchu ma świeże jaja. Chciałem jej urznąć łeb, ale mam zbyt tępy nóż, więc musiałem z niej wypruć flaki. Dopiero wtedy zobaczyłem, że siedziała na jajach. I wiesz, co najdziwniejsze? Byłem pewien, że już nie żyje. Ale kiedy schyliłem się po jaja, poderwała się z ziemi i udukała mnie w nogę.

Usiedli razem, by posilić się surowym mięsem. Jaja odłożyli dla Shin-ho.

— Czy nie miałeś na sobie więcej ubrania, kiedy lądowaliśmy? — spytał Mangiro.

— Niewiele więcej. Chodź, coś ci pokażę. — Fudenojo zaprowadził go na drugą stronę wulkanicznego atolu, mierzącego w najszerszym miejscu nie więcej niż jakieś sto pięćdziesiąt jardów. — Patrz, tam! — Wskazał skałę ubieloną odchodami ptaków morskich. — Podarłem

ubranie, to znaczy to, co z niego zostało, na wąskie paski i zrobiłem kilka pętli. Jeśli jakiś ptak tam usiądzie i trafi w którąś z nich, pętla zacisnie mu się wokół nogi i nie da odlecieć. Twoje zadanie polegać będzie na znalezieniu osłoniętego od wiatru punktu obserwacyjnego. Jeśli cokolwiek złapie się w te sidła, musisz to schwytać, nim spadnie do wody. I wyglądaj wszystkich szczątków naszej łodzi, jakie fale mogą wyrzucić. Ja wrócę do Shin-ho i rozejrzę się, czy nie ma tu jeszcze czegoś, co moglibyśmy wykorzystać.

Mangiro znalazł sobie osłonięte przed zimnym wiatrem miejsce między skałami. Ptaki siadały, dreptały po sidłach z ubrania Fudenoja, ale się w nie nie łąpały. Co jakiś czas któryś z nich zaczepiał nogą o pętlę, Mangiro wstrzymywał oddech, ale pętla nie chciała się zacisnąć. Zaczął wypruwać nić ze swoich zgrzebnych spodni i uplatać z niej s/nurek. Zrobił z niego luźną pętlę, przywiązał koniec do mokrych wodorostów i rozłożył wnyki na skale. Zdjął pułapki, które zastawił Fudenojo, zabrał się do prucia materiału i plecenia z niego cieńszego sznurka.

Zaprzątnięty pracą usłyszał niespodziewanie przeraźliwy krzyk mewy. Zerwał się na równe nogi, skacząc ze skały na skałę dopadł wnyków i rzucił się na czworaki, próbując złapać koniec sznurka, który zacisnął się ptakowi wokół nogi. Reszta stada wzbija się z gniewnym krzykiem w powietrze.

Schwytana mewa trzepotała wielkimi skrzydłami, skrzeczała coraz głośniej i przesuwiała się ku krawędzi skały. Mangiro złapał ją w ostatniej chwili. Nie zwracając uwagi na wiatr i rozbryzgi zimnej, słonej wody, wepchnął ptaka pod pachę, zacisnął w lewej ręce wielki dziób, a prawą ściągnął mu z nogi pętlę.

Nagle kątem oka dostrzegł, że z wody tuż pod nim wynurza się jakiś wielki głaz i znalazł się oko w oko z jednym z morskich potworów. Mewa wyrwała mu się i odleciała. Chłopiec zamarł w bezruchu wpatrując się w straszliwego stwora unoszącego się przed nim niewiele więcej niż na wyciągnięcie ręki. Bestia miała siedemnaście słóp długości, jej twarda, nie owłosiona skóra opinała nieprzebrane /wały tłuszczu. Cielsko było zakończone spiczasto małym odrażającym łbem o oczach jak paciorki i długich wąsach nad szeroką paszczą. „Potwór... morski ludojad” — pomyślał Mangiro. Zahipnotyzowany wzrokiem bestii nie był w stanie uczynić żadnego ruchu. Potwór schował łeb w wodzie, wynurzył się trzy stopy od klęczącego chłopca, spojrzał mu prosto w oczy i opluł go wodą.

Pod wpływem zimnej wody Mangiro otrząsnął się z uroku. Zerwał się z klęczek i rzucił do ucieczki. Skakał ze skały na skałę, wielkimi

susami przesadzał rozpadliny, aż padł zdyszany u stóp Fudenoja i opowiedział mu całą historię.

Wrócili we dwóch, zachowując ostrożność. Stary rybak położył się na brzuchu, wysunął powoli głowę za krawędź głazu, spojrzął w dół i wybuchnął śmiechem. Ruchem ręki nakazał Mangirowi podejść bliżej. Chłopiec zawahał się, ale w końcu podpełzł do niego na czworakach. Potwór nie ruszył się z miejsca i zadarłszy łeb uważnie im się przyglądał.

Fudenojo roześmiał się ponownie.

— To słoń morski, jedno z najbrzydszych i najbardziej nieszkodliwych stworzeń żyjących w morzu.

Ogromny stwór znowu zanurzył łeb, lecz tym razem opluł wodą Fudenoja. Mangiro z trudem zapanował nad sobą, by się nie roześmiać, ale kiedy stary rybak zachichotał, już obaj, zupełnie nadzy, zaczęli tarzać się po skale ze śmiechu. Słoń morski wziął czynny udział w tej zabawie opluwając wodą to jednego, to drugiego.

Po południu Shin-ho nadal miał wysoką gorączkę. Rany na jego ciele zaczynały się jątrzyć. Sam Mangiro z wielkim trudem opanowywał napady dreszczy, które od czasu do czasu wstrząsały jego ciałem. Nie mógł wyjść z podziwu, że muskularny Fudenojo o żyłastych rękach i długim torsie osadzonym na krótkich pałkowatych nogach wydaje się zupełnie nieczuły na zimno, deszcz i wiatr. Stary rybak wiedział, że organizm chłopca musi poddać się działaniu pogody — była to tylko kwestia czasu. Kazał mu położyć się na Shin-ho i korzystać z ciepła jego rozpalonego ciała.

Pod wieczór Fudenojo wrócił z wnykami i jedną pustą beczką na wodę z ich rozbitej łodzi. Nasunął beczkę na głowę i ramiona Mangira i Shin-ho, po czym wpełzł na nich, tworząc coś w rodzaju piramidy. Przez całą noc beczka chroniła ich trochę przed wiatrem i deszczem.

Rankiem następnego dnia Fudenojo i Mangiro posilili się znowu surowym mięsem pingwina. Shin-ho był w stanie przełknąć tylko trochę deszczówki zebranej w zagłębieniach skał. Od jego wstrząsanego dreszczami ciała buchało gorączką.

Fudenojo zrobił przegląd linii przyboju wokół całego atolu poszukując szczątków, z których można by zbudować prowizoryczne choćby schronienie, ale poza kilkoma kawałkami bambusa wirującymi tu i tam w spienionej kipieli, niczego nie wypatrzył.

Mangiro rozłożył w ulubionym przez ptaki miejscu uplecione z ubrania wnyki i zasadził się opodal na czatach. Ptaki kręciły się w kółko, wchodziły do pętli i bez przeszkód z nich wychodziły,

a Mangiro co chwila zapadał w drzemkę, z której natychmiast wyrwały go dreszcze i szarpiące podmuchy dojmująco zimnego wiatru. Jedna z pętli nie zacisnęła się nawet wtedy, gdy mewa zawlokła ją na sam brzeg głazu. Kiedy kopnęła ją w spienione fale w dole, jej krzyk zabrzmiał jak szyderczy śmiech.

Mangiro podpełził na brzuchu na ptasią skałę. Mewy zerwały się w powietrze. Wrzeszcząc rozszoszczone zatoczyły krąg nad morzem, powróciły jednak i zawisły bez ruchu nad jego głową, wykorzystując wiatr i szeroko rozpostarte skrzydła, po czym zaczęły wymyślać intruzowi skrzekliwym krzykiem. Mangiro zebrał wnyki, sztywnymi palcami rozplatał wszystkie supły i z ogromnym skupieniem zawiązał je ponownie, robiąc luźną pętlę na jednej długiej lince, której koniec mógł trzymać w swojej kryjówce. Zastawił tę jedyną pułapkę, rozwinął sznurek między kamieniami i skulił się w oczekiwaniu.

Ptaki wróciły na swą grzędę, butnie defilując po pokrytej białą skorupą guana skale. Dwie mewy stanęły wewnątrz pętli. Mangiro powoli pociągnął za sznurek. Jeden z ptaków w ostatniej chwili odszedł na bok. Chłopiec szarpnął mocno i schwytana za nogę druga mewa zanosła się przeraźliwym wrzaskiem, tłukąc wściekle powietrze skrzydłami. Wiatr uniósł ją w górę jak latawiec, ale chłopiec już ścigał ją na dół.

— Ahoj! Ahoj tam, na wyspie!

Sto jardów za linią przyboju kotysała się lekko na falach smukła biała łódź o długich wiosłach. Mężczyźni wiosłowali na siedząco, a nie na stojąco jak Japończycy. Mangiro pomachał jedną ręką, zaciskając kurczowo w drugiej koniec pętli. Wioślarze odpowiedzieli mu tym samym, po czym popłynęli ku przeciwnej stronie wyspy, skąd wymachiwaniem rąk przyzywał ich Fudenojo. Mangiro wyciągnął z wody bezwładnego ptaka i pobiegł do miejsca, gdzie leżał Shin-ho.

Fudenojo już przy nim klęczał, odgarniał przykrywające go sztywne wodorosty. Podniósł wzrok na Mangira.

— Popłyniesz z Shin-ho na łódź obcych — powiedział.

— A ty, mistrzu?

— Ja zostanę.

— Przecież to śmierć!

— Może. Ale na mnie spoczywa obowiązek powiadomienia rodziny Shin-ho i waszej matki o tobie i Jąkanie.

— Nie masz żadnej szansy tu przeżyć! Zwalniam cię z obowiązku powiadamiania naszej matki!

— Ty mnie zwalniasz z tego obowiązku?! — Na twarzy Fudenoja pojawił się wyraz głębokiego szoku.

Mangiro spuścił głowę, zawstydzony tym swoim ipog^łtceniem dobrych obyczajów.

Fudenojo uderzył się zaciśniętą pięścią w pierś.

— Moim obowiązkiem jest zostać! A waszym zabrać się z nimi! — zawołał.

— Nigdy już nie zobaczymy Japonii. Jeśli popłyniemy z nimi, nie wolno nam będzie wrócić.

— Jako naczelnny rybak wioski rozkazuję ci płynąć! A teraz pomóż mi!

Pochylili się ku ziemi, chwycili Shin-ho za ręce i nogi. Z trudem zdołali przenieść go na wielki nawis skalny wystający ponad rozbijające się w dole fale. Fudenojo gestami rąk nakazał łodzi, żeby się zbliżyła. Rzucona z niej wprawnie długa lina rozwinęła się w powietrzu, a jej koniec upadł u ich stóp. Stary rybak nie tracił ani chwili. Owinął dwukrotnie pierś nieprzytomnego Shin-ho, a potem obwiązał pod pachami Mangira. Popatrzył chłopcu w oczy, po czym bez słowa zepchnął obu za krawędź nawisu, w zimną, spienioną wodę w dole. Ludzie z łodzi szybko przyciągnęli ich do siebie. Mangiro uderzył głową i karkiem w podskakującą na falach burtę. Spojrzał w górę i ujrzał legendarnego wielkiego potwora o zielonych oczach i zarośniętej włosami, różowej twarzy. Wielkie owłosione łapska sięgnęły przez burtę, chwyciły linę, jednym ruchem wydobyły jego i Shin-ho z wody i wciągnęły ich obu do łodzi.

— O Panie morza i niebios, w czyje ręce rzuciły mnie Twe wyroki?!

ROZDZIAŁ 2

Na pokładzie „J. Howlanda” obu nieprzytomnych Japończyków przeniesiono natychmiast do kambuza, najcieplejszego miejsca na statku wielorybniczym, który od dwóch miesięcy bezskutecznie poszukiwał zdobyczy. Kucharz, zwany Pichcikiem, kazał zawinąć rozbitków w koce i położyć jak najbliżej pieca. Próbował napoić ich gorącą, słodką herbatą, ale tylko młodszy z nich był w stanie cokolwiek przełknąć. Opatulonego w koce chłopca przeniesiono do kubryku. Starszego sprawujący obowiązki lekarza okrętowego Pichcik zostawił przy kuchni i przywołując na pomoc wszystkie swe umiejętności, opatrzył jedną wielką ropiejącą ranę, którą było całe jego ciało.

Mangiro przespał dwa dni i dwie noce. Obudził się dopiero, gdy drugi oficer, Diakon Gilhooley, potrząsnął go mocno za ramię. Przetarł zaskorupiałe oczy i oto znowu ujrzał nad sobą bladą twarz porośniętą rudą szczeciną. Dziwnie zniekształcone zielone oczy wpatrywały się w niego z zaciekawieniem. Potwór wyciągnął rękę, jednym ruchem podniósł go i posadził na brzegu koi. Mangiro zaczął gorączkowo szukać w pamięci — do którego boga powinien się modlić o zmiłowanie?! Ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednej modlitwy. Był zbyt zamroczony, żeby jasno myśleć.

Potwór wcisnął mu w dłoń kubek gorącej herbaty i podsunął naczynie ku ustom. Pomimo strachu Mangiro wypił słodki napój, ani na chwilę nie odrywając wzroku od pochylającej się nad nim szkaradnej gęby. A potem ciepło herbaty w żołądku i roznoszona przez krew po całym ciele słodycz sprawiły, że zaczął się zastanawiać, czy ten potwór nie jest przypadkiem jak słoń morski — odrażający i śmierdzący, lecz zupełnie nieszkodliwy.

Ruda szczecina na twarzy rozchyliła się i z różowej szpary ust, zza

dwóch rzędów wielkich, białych, lśniących zębów dobyły się jakieś słowa. Jedyne, co Mangirowi przyszło do głowy, to pouczenia Shin-ho na wypadek napotkania kappy. Zerwał się z koi, zrzucając przy tym koc na ziemię, i zupełnie nagi skłonił się do samej podłogi. Potwór coś krzyknął, chwycił go za ramię i wcisnął mu przez głowę sweter, a potem pokazał inne części ubrania leżące koło koi. Mangiro zrozumiał, że ma się ubrać, ale zupełnie nie wiedział, jak to zrobić. Potwór delikatnie pomógł mu nałożyć obcy strój i pokazał, jak zawiązać buty.

— Diakon — powtórzył kilkakrotnie, uderzając się dłonią w pierś.

Chłopiec chwycił w lot. Poklepał się po piersi, wymawiając własne imię. Brodacz skinął głową, po czym gestem nakazał mu iść za sobą.

Kiedy Mangiro wychylił głowę przez luk pokładowy, poczuł na policzkach podmuch wiatru i krople morskiej piany. Spojrzał w dół przechylonego na bok pokładu i ujrzał wielkie grzywacze fal przemykające za relingiem. Nad głową, jak wysoko sięgał wzrokiem, wznosiła się płatanina lin i żagli rozpięta na pniach gigantycznych drzew. Jacyś ludzie sięgnęli w głąb luku, chwycili go pod pachy i postawili na pokładzie. Statek był tak ogromny, że z tego miejsca fale wydawały się już znacznie mniejsze. Podprowadzono go do licznej grupy mężczyzn stojących przy barierce w połowie długości statku. Rozstąpili się przed nim. Wilgotny wiatr smagnał go po twarzy. Hockmeyer, zwalisty pierwszy oficer, który miał w swej pieczy sprawianie wielorybów, zdjął wełnianą czapkę, nasadził mu ją na głowę i wcisnął na uszy. Na pokładzie przed relingiem leżał Shin-ho, zaszyty w brezentowy worek, z kamieniem u nóg. Oczy miał zamknięte, a jego woskowa twarz była dla chłopca z biednej rybackiej wioski jedynym wokoło znajomym widokiem. Dotknął tej twarzy, przesunął powoli palcami po woskowym policzku. A potem odstał do tyłu.

Kapitan Whittefield skinął na Diakona Gilhooleya.

— Miałeś się kiedyś kształcić na księdza — powiedział. — Zrobisz to na pewno lepiej.

Pichcik zaszył worek do końca, a Diakon zwrócił się do chłopca:

— Nie rozumiesz ani słowa, a u was, pogan, wygląda to pewnie zupełnie inaczej, ale to jest chrześcijański statek, a my wierzymy, że Pan nasz stworzył wszystkich ludzi.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął zniszczoną Biblię i odczytał z niej słowa tak dobrze znane wszystkim, którzy pędzą żywot na morzu. Potem ujął Mangira pod ramię i cofnął się o krok. Z grupy wystąpiło czterech mężczyzn i podniosło deskę, na której spoczywały zwłoki Shin-ho. Na znak kapitana przechylili ją i ciało zsunęło się

gładko w mijającą statek falę. Marynarze rozsypali się po pokładzie, a kapitan ruszył na mostek.

— Town-hooo! Town-hooo! — dobiegł z zawieszzonego pod niebem bocianiego gniazda stary okrzyk wielorybników. Wszyscy spojrzeli w górę. Stary Peter, wypatrujący zdobyczy z wysokości stu stóp nad pokładem, zawołał:

— Cztery grzbiety! Dwa rumby w lewo od dziobu, jakieś trzy mile przed nami! — Kapitan Whittefield wbiegł na mostek i przytknął lunetę do oka, a Stary Peter wykrzykiwał podniecony: — Prycha! Prycha! I tam, i tam! Do stu piorunów, i tam! I jeszcze trzy, kapitanie! Stado siedmiu kaszalotów!

Diakon pogroził mu zaciśniętą pięścią.

— Jeszcze raz przekniesz...! — Resztę słów zagłuszyły radosne wiwaty marynarzy.

Pistchiani, dowódca łodzi numer jeden, przewyższający wzrostem całą załogę poza dwoma oficerami, chwycił Mangira w pól, podniósł go i zatańczył z chłopcem jak z lalką.

— Przyniosłeś nam szczęście, Mungo, Mungi!

Mangiro pomyślał, że wybiła jego godzina. Złe potwory pochowały Shin-ho, a teraz nadeszła kolej na niego.

Załoga podchwyciła słowa Pistchianiego i zaczęła skandować: „Mun-go, Mun-gi, Mun-go, Mun-gi...”

Białe diabły tańczyły z nim jak banda krągłookich szaleńców.

— Przygotować się do spuszczenia wszystkich łodzi! — padł z mostka rozkaz kapitana Whittefielda.

Marynarze bezceremonialnie rzucili Mangira na deski pokładu i rozbiegli się na wszystkie strony. Statek skręcił w lewo, tnąc fale wielkim dziobem z impetem, od którego drżało wszystko dokoła. Kiedy Mangiro pozbierał się z pokładu, większość mężczyzn pędziła właśnie do łodzi, a reszta wspinała się na maszty, skąd mogli lepiej przyjrzeć się zdobyczy. Dla niego wyglądało to tak, jakby obcy składali w ten sposób hołd Shin-ho, a okrzyki, tańce i śpiewy były częścią ich dziwnego obrzędu pogrzebowego. Dopiero po chwili zorientował się, że w to ogromne podniecenie wprawia ich widok czegoś znajdującego się daleko przed statkiem.

— Panie kapitanie! — zawołał Pichcik. — Mogę wziąć małego na mostek? Pewnie nigdy w życiu nie widział prawdziwego wieloryba.

— Dawaj go tu.

Z mostka Mangiro przebiegł wzrokiem cały ocean, od horyzontu po horyzont. Na milę przed statkiem ujrzał coś jakby wybuchające spod wody małe wulkany, a zaraz potem ogromne grzbiety tarzających

się czarnych kolosów, wynurzające się z morskiej toni i na powrót się w nią zapadające. Widział już kiedyś z brzegu morświny i narwale. Raz Jakato zaprowadził go o pół dnia drogi od wioski, by pokazać mu wyrzuconego na brzeg prawdziwego wieloryba *, do którego rościła sobie prawo sąsiednia osada rybacka. Ale ten widok, z mostka statku wielorybniczego na pełnym morzu, zapał mu dech w piersiach.

— Tłuką! — dobiegł z bocianiego gniazda okrzyk Starego Petera.

Z fal poczęły wyłaniać się ogony, z których każdy miał ze dwadzieścia stóp szerokości. Sześćdziesięciostopowe cielska wyskakiwały do połowy z wody, po czym zanurzały się w nią z powrotem z hukiem grzmotu i gigantycznymi gejzerami rozbryzgów.

— Poszły w dół! — zawołał Stary Peter.

Kapitan złożył lunetę i chwycił tubę.

— Wszyscy pod pokład, porządnie się najeść! Dowódcy łodzi do mnie!

Pichcik, ciągnąc Mangira za rękę po schodkach, zabrał go ze sobą do kambuza. Z wielkiego parującego kotła nalewał chochlą do cynowych misek porcje gęstego gulaszu, wrzucał do każdej suchara i dużą łyżkę i podawał je Mangirowi, wskazawszy mu przedtem kolejkę mężczyzn, która uformowała się u drzwi.

Na mostku kapitan Whittefield prowadził odprawę z trzema dowódcami łodzi.

— Stado już wie, że jest ścigane. Dlatego poszły w dół. Pod wodą mogą utrzymać się nie dłużej niż godzinę, potem muszą się wynurzyć dla zaczerpnięcia powietrza. Za trzydzieści minut spuszczaamy wszystkie łodzie. Płyniecie odwróconym wachlarzem, zachowując półmilowe odstępy, z łodzią pierwszego oficera Hockmeyera pośrodku. Są jakieś propozycje?

— Jeśli to stado byków — odparł Pistchiani, syn i wnuk łowców wielorybów z Sag Harbor — to najlepszy jest szyk wachlarzowy. Ale jeśli to harem, lepszy byłby szyk w szpic. Po zranieniu jednej krowy reszta skupi się wokół niej, a byk zostanie w tyle, by ich bronić. Wtedy dwie łodzie odetną go od stada, a trzecia ruszy za krowami.

Kapitan wycelował tubę w bocianie gniazdo.

— Peter, to byki czy krowy?

— Harem, kapitanie. Harem, pieska jego niebieska!

„Metody z marynarki są zawsze najlepsze — pomyślał kapitan Whittefield. — Przed atakiem naradzić się z młodszymi oficerami, potem wydać rozkaz.”

* Chodzi tu o wała grenlandzkiego.

— A zatem szyk w szpic — postanowił. — Najeść się do syta! Trzymać między łodziami odstępów pół mili! I nie wracać mi bez sadła!

O jedenastej Mangiro przyglądał się w niemym podziwieniu, jak główny żagiel spływa z masztu, a załogi łodzi gotują się do wyruszenia.

— Spuścić łodzie! — padł rozkaz z mostka.

Po prawej i lewej burcie statku trzy dwudziestoosmiostopowe łodzie o zaokrąglonych dnach plasnęły o wodę. Półcalowe cedrowe poszycie klepkowe i sześciostopowe żebrowanie zapewniały im taką pławność, że mogły śmigać po falach niczym charty po falistych pagórkach świeżo skoszonych pól. Wciągnięto wiosła, postawiono żagle. W porywistej bryzie łodzie natychmiast wyprysnęły przed powolniejszy statek-matkę.

Wedle starego zwyczaju wielorybników pierwszy od dziobu wiosłarz był jednocześnie harpunnikiem. Kiedy wieloryb wyłaniał się z wody w zasięgu rzutu, obsługujący dwudziestodwustopowe wiosło sterowe dowódca łodzi zawiadamiał o tym okrzykiem siedzącego tyłem do dziobu harpunnika, który mógł w tym momencie mieć za sobą dobrą godzinę wiosłowania. Harpunnik wciągał wiosło, wstawał, odwracał się, chwycił umocowany na dziobie harpun i rzucał. Bardzo często wyczerpane wiosłowaniem mięśnie zawodziły go i nie sięgał celu. A jeśli nawet sięgnął, zadziór wbijał się zbyt płytko i morski kolos szybko się go pozbywał. Jeśli natomiast trafił wieloryba jak należy, musiał natychmiast zamienić się miejscami z dowódcą łodzi, czyli przebiec na rufę, dokonując tego akrobatycznego wyczynu na śmigającej po grzbietach fal łodzi, ciągniętej przez rannego, rozwścieczonego wieloryba.

W ciągu czterech lat spędzonych na statku, którego dowództwo objął po odejściu z marynarki, kapitan Whittefield stracił zbyt dużo wielorybów na skutek zmęczenia harpunnika i zbyt wielu ludzi, którzy wypadali za burtę podczas zamiany miejsc. Zaczął stosować nowatorską metodę obsadzania łodzi załogą siedmioosobową. Z początku jego ludzie sarkali na tę innowację faceta z marynarki wojennej, lecz już wkrótce odczuli jej zalety. W czasie długiego pościgu dodatkowy sternik zmieniał kolejno wiosłarzy, a dowódca łodzi został także harpunnikiem. To on zadawał ten ostateczny cios w płuca, po którym z nozdrzy wieloryba strzelała fontanna krwi i wszystko dokoła zalewał krwawy deszcz.

Teraz Mangiro ujrzał, że łodzie, które już znacznie wyprzedziły macierzysty statek, ustawiają się w szeroki trójkąt, a ich dowódcy uważnie obserwują bramstęgę, czekając na sygnał. Kiedy Stary Peter w bocianim gnieździe dostrzegł ciemne cienie wynurzające się z głębiny

tuż przed łodzią prowadzącą szyk, wciągnął natychmiast flagę oznaczającą „Ryba z przodu”.

Pierwszy oficer Hockmeyer, dowódca łodzi tworzącej wierzchołek trójkąta, stanął przy maszcie i przywołał jednego z wioślarzy.

— W górę, stary!

Czarny Ben oparł nogę na złożonych dłoniach Hockmeyera i stanął mu na ramionach. Przytrzymując się masztu, spojrzął przed siebie. Promienie słońca wiszącego niemal dokładnie nad ich głowami sięgały daleko w głąb jasnyniebieskiej toni. Przesunął wzrokiem wzdłuż lewej i prawej burty, wypatrując mających w dole cieni.

— Jasny gwint! — krzyknął, po czym natychmiast zniżył głos do szeptu. — One są pod nami! Płyniemy nad nimi!

Zeskoczył z ramion pierwszego oficera i siadł na swoim miejscu. Wszyscy wychylili głowy przez burty wpatrując się w rosnącą błyskawicznie pod nimi gigantyczną czarną plamę.

Hockmeyer puścił szot i żagiel natychmiast załopotał wokół masztu.

— Ciszka, chłopcy — wyszeptał ochryple. — One nas słyszą. Wiosła! Gotów? Wszyscy razem. W wodę!

Zanurzyli wiosła i naparli na nie całym ciałem. Wysiętek wyhamowania rozpedzonej łodzi uniósł ich z ławek. Cały czas spoglądali za burtę na złowieszczo powiększające się czarne plamy.

— Wepchnę temu Staremu Peterowi brodę do gardła tak głęboko, że będzie się mógł golić od strony dupy! — wymamrotał przez zaciśnięte zęby Czarny Ben. Zaparty nogami o wręgę, ze splotami mięśni grających na zaciśniętych na wiosła rękach zdążył jeszcze wystękać: — Dajcie mi brzytwę! Sam mu ogolę tę dupę i obetnę jaja!

Łódź zaczęła się wznosić ponad wodę.

KLapitan przyłożył lunetę do oka. Pichcik i Mangiro patrzyli razem z nim, jak łeb ogromnego byka niczym czarna góra wynurza się z wody dokładnie pod pierwszą łodzią. Długa, smukła łódź ześliznęła się po karku wieloryba. W tej samej chwili po lewej stronie wyskoczyła z wody samica, strzelając w górę fontanną pary. Łódź zsuwała się w siodło pomiędzy łbem sześćdziesięciostopowego byka a jego groźnym ogonem. Hockmeyer chwycił harpun.

— Na rany Chrystusa! — krzyknął Brannigan. — Nie dźgaj go teraz, bo wszyscy zginiemy!

Łódź zadygotała w strumieniu wody kotłującej się za łbem wieloryba. Potężny pierwszy oficer wziął ogromny zamach i z całej siły cisnął harpun w krowę. Żelazo pograżyło się w jej ciele aż po drewnianą

rękojeść. Samica jak oszalała rzuciła się przed siebie. Hockmeyer zdążył owinąć linę harpuna wokół bloku na dziobie i łódź śmignęła za samicą, wymykając się z zasięgu śmiertelnych ciosów ogona byka.

Kapitan powiódł lunetą za ślizgającą się po grzbietach fal łodzią.

— Jednak nie ma to jak jankeski wielorybnik — mruknął.

Mangiuro przesunął językiem po zaschniętych wargach, oczy błyszczały mu gorączką polowania. Widział fontanny wody i słyszał huk uderzeń ogona potężnego byka, tłukącego wodę w wyzwaniu zbliżającym się do niego łodziom. Pozostałe pięć krów płynęło wolniej; byk zostawał w tyle, by ich bronić.

Diakon i Pistchiani spuścili żagle; zbliżali się do wieloryba na samych wiosłach. Skandowaniem nadawali tempo, zachęcając wiosłarzy do maksymalnego wysiłku. Mknęli po falach; wbijane w wodę długie wiosła wyginały się zgodnie, by nagłym wyrzutem pchnąć smukłe łodzie do przodu.

Zielone oczy Diakona błyszczały z podniecenia; szczecina rudej brody zaszeleściła na ceratowej kurtce, gdy zaintonował swoją ulubioną pieśń:

*O, błogosławion, kto umrze w Panu,
Ciągnijcie więc, ciągnijcie!*

Wiosłarze odpowiedzieli plaśnięciem wiosel i przygarbiwszy się mocniej, zaśpiewali:

*Hej-ho, hej-ho...
O, nie bójcie się wielkiego wielt
Ciągnijcie więc, ciągnijcie!
Hej-ho, hej-ho...
O, Bóg stworzył człowieka,
By zabijał wielkiego wieloryba,
Ciągnijcie więc, ciągnijcie!
Hej-ho, hej-ho...
O, dwadzieścia tysięcy rodzin żyje z wielkiego wieloryba,
Ciągnijcie więc, ciągnijcie!
Hej-ho, hej-ho...
A milion rozjaśnia nocy mrok,
Ciągnijcie więc, ciągnijcie!*

Łódź Pistchianiego podeszła do wieloryba dokładnie od prawego boku. Pistchiani cisnął harpunem i trafił byka tuż za łbem. Kiedy ogromna płetwa ogonowa wystrzeliła z wody w paroksyzmie bólu,

spieniona kipiela omal ich nie zatopiła. Łódź Diakona okrążyła ogon samca, by zaatakować zwierzę od drugiej strony. Byk rzucił się w lewo, dając uwolnić się od żelaza tkwiącego głęboko w jego ciele, i to dało szansę Diakonowi. Stał na dziobie, wymierzył wyciągniętą lewą ręką w punkt na boku oszalałego wieloryba, wziął potężny zamach prawą ręką i z całych sił rzucił harpunem, trafiając dokładnie w cel. W paroksyzmie agonii ogon kolosa wznosił się jeszcze wyżej.

Pistchiani poderwał wzrok i ujrzał gigantyczny ogon wiszący nad jego łodzią.

— Skakać, skakać! — krzyknął.

Nim ogromna czarna płetwa trzasnęła z hukiem grzmotu w cedrową łódź rozbijając ją w drzazgi, wszyscy członkowie załogi zdążyli dać nura za burtę. Wieloryb zaczął pruć fale ciągnąc za sobą łódź Diakona i resztki łodzi Pistchianiego przytwierdzone do ciała kolosa linami harpunów. Szczątki rozbitej łodzi rozplynęły się wachlarzowato w smudze skotłowanej wody niczym koguci ogon.

Trzy rumby w prawo! — rozkazał kapitan Whittefield. Na gładko wygolonej, poznaczonej dziobami po ospie szczęce wystąpiły węzły mięśni. — Przygotować się do spuszczenia szalupy ratunkowej!

Wielki statek zbliżał się powoli do rozrzuconych wśród piany pozostałości tego, co jeszcze niedawno było łodzią numer jeden.

— Dwie głowy! — zakrzyknął z bocianiego gniazda Stary Peter. — Trzy! Pięć! Wszyscy wypłynęli, ale kilku jest rannych!

Trzech ludzi dopłynęło do unoszących się na wodzie szczątków, dwóch dalszych miało trudności z utrzymaniem się na powierzchni. Pozostali próbowali pchnąć w ich stronę kawałki drewna.

— Przygotować się do spuszczenia żagli! — rozkazał kapitan, kiedy statek zbliżył się do rozbitków. — Ster lewo na burt!

„J. Howland” zareagował na obrót koła sterowego. Stał w łopocie, kołysząc się silnie na boki, szalupa Pichcika opadła na wodę. Mangiro podbiegł do relingu. Jeden z rozbitków próbował utrzymać na powierzchni drugiego, ale obaj szli pod wodę. Wielki statek przesunął się z wolna obok nich. Pichcik wciągał do szalupy innego tonącego. Mangiro bez namysłu rozwiązał buty, zrzucił je i pognał na rufę.

Kapitan ujrzał, jak chłopiec pędzi przez pokład, w pełnym biegu skacze za burtę i ląduje tuż obok szamoczących się w wodzie mężczyzn, dokładnie w chwili, kiedy jeden z nich zaczął tonąć.

Mangiro sięgnął pod wodę, ale w rękę pozostała mu tylko gruba

wełniana czapka marynarska. Dał nura macając na oślep pod sobą. Natrafił na gęstą czuprynę, podciągnął tonącego do góry, ale sam nie był w stanie wydobyć głowy na powierzchnię, żeby zaczerpnąć oddechu. Ciężar ciała topielca ściągał go coraz bardziej w dół. I nagle jego także chwyciły czyjeś ręce i za kołnierz koszuli wydzwignęły z wody. Do końca nie wypuścił z garści włosów tonącego. Jeden obok drugiego legli na dnie szalupy ratunkowej.

Załoga łodzi numer jeden zebrała się w kambuzie z Pichcikiem i Mangirem. Ciasno stłoczeni trzymali w rękach miski gorącej owsianki i kubki parującej słodkiej herbaty i popijali łapczywie na przemian to jedno, to drugie.

— Mungo czy też Mungi — wzniosł herbatą toast Pistchiani. — Może i jesteś japońskim poganinem, ale masz chrześcijańskie serce i szczęście, jakbyś się urodził w gównie wieloryba!

— Dobrze gada, brawo!

— Jak cię mamy nazywać? — spytał chłopca. — Mungo, Mungi?

Pichcik poklepał Mangira po ramieniu.

— Ja go nazywam Mung na cześć pewnej starej receptury z Cape Town zwanej Soczkiem Mung.

— Niech więc będzie Mung. — Pistchiani ponownie uniósł kubek z herbatą. — Ale trzeba mu jeszcze dodać jakieś chrześcijańskie imię.

— John! — zawołał od drzwi Stary Peter. — John, po zmarłym synu kapitana!

ROZDZIAŁ 3

Fairhaven, Massachusetts, 10 września 1840, 4.30 rano

Dwuton kornetu niósł się przez całe miasto. Niskie i wysokie dźwięki powtarzały się i powtarzały bez końca. Czternastoletni John Whittefield odrzucił kołdrę, naciągnął grube wełniane skarpety i spodnie i położył na łóżku nocną koszulę. Trzy minuty później, z kieszeniami wypchanymi chlebem, serem i jabłkami, spieszył do swej łodzi, włączając się w strumień ludzi ciągnących na brzeg morza.

Na maszcie głównego nabrzeża powiewała wielka niebieska flaga, oznajmiająca wraz z sygnałem trąbki o wpłynięciu do zatoki ławicy śledzi. John wiedział, co miało teraz nastąpić. Za pomocą czterech wielkich sieci, trzymanyh w miasteczku na tę okazję, śledzie zostaną zagnane do małej zatoczki obok portu i w niej zamknięte. Potem wyłowi się je czerpakami i przeniesie na brzeg, skąd na wozach powędrują na pola kukurydziane. Założyciele Fairhaven nauczyli się od Indian rozrzucać ryby jesienią na polach, wiosną je przyorywać i dzięki temu zbierać latem wyższe plony.

Kiedy John dotarł do swojej łódki, cztery sześciowiosłowe barkasy z komunalnymi sieciami odbijały właśnie od głównego nabrzeża. Za nimi ruszyła flotylla mniejszych jednostek. Podłożył pod stępkę gruby gładki pniak, podbiegł do dziobu i zepchnął łódź tyłem po pniaku do wody. Nie była może chyża, ale za to odznaczała się wyjątkową wytrzymałością. Szkutnicy z Long Island zbudowali ją z twardego dębu, poszyli na zakładkę, dziób i rufę wynieśli wysoko nad wodę, by bez trudu dawała radę skłębionym falom przyboju.

Zakończył się przyptyw, woda w porcie stała wysoko, gładka i szklista. Mewy nurkowały w ławicę ryb. Ich znajome krzyki niosły się po wodzie aż z drugiej strony zatoki, witały wschód słońca i obwieszwały koniec ciszy przed świtaniem.

Przepchnął łódź przez płyciznę, mącąc gładź morza wysokimi rybackimi butami naciągniętymi na nogawki grubych wełnianych spodni. Wdrapał się do środka i odepchnął wiosłem od dna. Rozgrzany ruchem zdjął nieprzemakalną kurtkę, zwinął ją, wepchnął pod siedzenie i równymi uderzeniami wiosła pociągnął wzdłuż portu. Cztery barkasy stanęły już na wyznaczonych pozycjach i rzucały sieci. Mniejsze łodzie kierowano w przerwy między nimi, by zamknęły pułapkę i zepchnęły ławicę do bagnistej zatoczki.

Ściągnął z głowy wełnianą czapkę i spojrzał w górę, śledząc obłoczek pary unoszącej się z jego złanej potem głowy. Z wyraźną przyjemnością naprężył bicepsy obu rąk. Był wyższy od większości swoich przyjaciół i już teraz szerszy w ramionach i klatce piersiowej niż w pasie i biodrach. Lubił wykorzystywać swoją siłę, szczególnie jeśli miało to na celu realizację jakiegoś planu. Sporo satysfakcji sprawiało mu oczyszczanie pól z kamieni i stawianie z nich murków, zwłaszcza gdy należało je układać tak, by szczelnie do siebie przylegały i trzymały się bez zaprawy. Jeszcze przyjemniej było ścinać drzewa z jednym z wujów, przecierać pnie w tartaku na deski i dokonywać wszystkich niezbędnych pomiarów, przerabiać je na meble. Ale najbardziej ze wszytkiego lubił wykorzystywać rozwijany od pokoleń talent, przekazaną mu przez ojca umiejętność posługiwania się siłą wiatru do poruszania łodzi po wodzie. Od dawna nosił się z zamiarem wyposażenia swojej łódki w żagiel.

Okrzyk z ostatniego w rzędzie barkasu przywołał go do rzeczywistości. Słońce już wzeszło, jego ciepło podnosiło z wód portu jasną mgiełkę. Zaczynał się odpływ, trzeba było zręcznie pracować wiosłami, żeby utrzymać pozycję. Skierowano go na miejsce w pobliżu końca ostatniej sieci. Przed sobą miał pana Knoxa z wnukiem, Timothyem. Staruszek zakotwiczył pięćdziesiąt jardów dalej. Za nim był już tylko czwarty barkas, który miał pociągnąć koniec sieci ostatnie sto jardów i zamknąć w ten sposób pułapkę przy piaszczystej łasze.

Zabełtał wiosłami w przeciwną stronę, lewym pociągnął w tył, sięgnął za burtę i przywiązał się do sieci. Odpływ obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni. Obejrzał się przez ramię i zobaczył długą linię kołyszących się na wodzie korków i łodzi. Napór odpływu i ciężar łodzi przyczepionych do połączonych sieci zaczęły rozciągać pułapkę i zamykać w niej ławicę ryb. Przeniósł wiosła do tyłu, zanurzył je w wodzie i napinając mięśnie karku, ramion i nóg popchnął łódkę. Woda wewnątrz sieci zakotłowała się w kilku miejscach, ryby zaczęły wyskakiwać w powietrze.

Umiejętność wykorzystania prądu odpływu do zarzucenia sieci i ustawienia ich we właściwym miejscu zawsze robiła na nim ogromne wrażenie. Ponieważ ojciec pojechał do New Bedford po zaopatrzenie na najbliższą wyprawę, po raz pierwszy sam wypłynął na zatokę, by w tym pomóc. Teraz w pełni pojął, co miał na myśli ojciec, kiedy mówił o konieczności współdziałania człowieka z przyrodą i z Bogiem.

Zupełnie nie czuł, żeby łódź i sieci się przesuwały, ale ryby miały się już wszędzie. Zerknięcie przez ramię upewniło go, że pułapka się zamyka. Usłyszał, jak Timothy Knox mówi coś do dziadka, a potem dobiegł go plusk wiosel. Spostrzegł, że mowy przestały nurkować w ławicę. Krążyły z krzykiem w górze. Zaczął docierać do niego łopot białych skrzydeł rysujących zawile ornamenty na szarobłękitnym niebie zasnutym dziwną mgiełką.

Pan Knox powtórzył mu okrzyk z ostatniego barkasu.

Puścił wiosła, zwinął dłonie w trąbkę, przyłożył je do ust i przekazał dalej:

— Przygotować się!

Okrzyk przebiegł od łodzi do łodzi wzdłuż całej długiej na milę sieci. Pan Knox i wszyscy pozostali zwrócili się dziobami w stronę Fairhaven, więc sam też to zrobił. Wtedy zobaczył, jak nagły podmuch silnego wiatru szarpie wielką niebieską flagą w porcie i wygina długi maszt. Woda w pobliżu portu skłębiła się i pokryła białą pianą. Nagle jeden z barkasów oderwał się od sieci. Gnany gwałtownym wiatrem uderzył w słupy nabrzeża, które runęło przywalając łódź stertami desek i belek. Spadzisty dach szopy narzędziowej głównego doku wzbił się w powietrze i poszybował nad wodą.

— Ciąć liny! — krzyknął pan Knox.

Nim John zdążył podać to dalej, wiatr zwałił go z nóg. Wylądował na dnie łodzi, uderzając ramieniem o wiosło, które wyskoczyło z dulki i wypadło za burtę. Wiatr przeszedł w wyjący wicher, ciskający łodzią na wszystkie strony. John zdołał uklęknąć na dnie i wyrzeć przez wysokie burty łodzi. Ze wszystkich stron pędziły na niego ogromne fale. Szarpnął za drugie wiosło, by wciągnąć je do środka. Zobaczył jeszcze, że pan Knox odcina się od sieci i wszystko zniknęło za ścianą ulewy. W szalejącej z dziką furią nawałnicy nie widział nawet brzegu.

Trzymając się kurczowo burty, mrużąc oczy przed zalewającymi twarz strugami deszczu, wyciągnął z pochwy na biodrze nóż i machnął nim na oślepe przed sobą. Hartowana stal gładko przecięła linę. Wiatr porwał łódź, huśtając nią na wszystkie strony. Próbował dobrnąć do czerpaka na wodę, bo co prawda uwolnionej łodzi nie zalewały już fale, ale szybko napełniała się deszczówką. Wirowała w ciemnościach

potopu, a on tracił zupełnie poczucie kierunku. Ukląkł na dnie, zacisnął między kolanami pływające w wodzie wiosło i z całych sił przywarł do ławeczki, by nie wypaść za burtę.

Ulewa minęła równie nagle, jak nadeszła. Silny północno-wschodni wiatr znosił go w tę samą stronę co odpływ. Wiele łodzi wywróciło się do góry dnem, inne, pozbawione masztów i sterów, dryfowały tak jak i on na otwarte morze, poza New Bedford. W odległości niecałych dwudziestu stóp pan Knox zakotwiczył swoją łódź wbiciem wiosła w łacę piachu ciągnącą się teraz zaledwie dwie stopy pod powierzchnią wody.

Mijając go John skoczył na dziób i rzucił kotwicę. Chwytał czerpak i zaczął z zapamiętaniem wylewać wodę. Usłyszał, jak starszek pewnym głosem uspokaja swego sześćioletniego wnuka. Doznał ogromnej ulgi, że wiatr zelżał na tyle, iż dociera do niego ich rozmowa. Podniósł głowę i spojrzął na słońce, wciąż spowite tą samą dziwną mgiełką. Po wodzie niesły się krzyki i wołania wzywających ratunku.

— Panie Knox! — zawołał. — Nic się panu nie stało?

Stary człowiek nie przestawał łagodnie namawiać wnuka, by do niego podszedł.

John wrócił na dziób i ciągnąc za linkę kotwicy zaczął się ku nim przesuwać.

— Panie Knox, czy mogę panu jakoś pomóc?

Byli od niego już tylko niecałe dziesięć stóp. Uczepiony z całych sił wbitego w piach wiosła dziadek otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale jego słowa zagłuszył ryk burzy. Poryw wichru i następna fala ulewy wyrwały starcowi łódź spod nóg. Zawisł na wbitym w mieliznę wiosle patrząc, jak uwolniona z pęt łódka unosi Timothy'ego. Woda sięgnęła mu po kolana, w następnej chwili po pas, po piersi. Zobaczywszy, że jego wnuk przewraca się na dno łodzi, błyskawicznie oszacował odległość dzielącą go od Johna i zdesperowany rzucił się w pław za Timothyem.

John leżał na dziobie, jedną rękę wyciągając do pana Knoxa, a drugą trzymając linę kotwicy. Fala uderzyła go prosto w twarz. Wypuścił z ręki linkę, która natychmiast rozwinęła się na pełną długość i napięła jak struna. Wiedział, że jeszcze chwila i fale zatopią łódź. Ponownie wyciągnął nóż i odciął kotwicę. Z góry lały się potoki deszczu. Złapał czerpak, siadł na dnie, zaparł się plecami o ławeczkę i zaczął wściekle wylewać kotłującą się wokół wodę.

Czerpał ją bez wytchnienia przez ponad godzinę, wstrzymując chwilami oddech, by strugi deszczu nie wdarły mu się do płuc. Zamknął oczy. W ciemnościach ulewy i tak nic nie było widać. Nagle

deszcz znowu ustał i niebo zaczęło się przecierać. Wylewał wodę dalej, aż poczuł, że łódź kołysze się lekko jak zawsze, w tak dobrze znany mu sposób, i bez trudu wspina się na fale. Wiatr i odpływ wynosiły go z ławicą posztormowych szczątków na wody Buzzard's Bay.

Zjadł jabłko, a potem wybrał z łodzi resztę wody i opatulił się szczelnie mokrym ubraniem, by nie tracić ciepła. Widział, jak odległego brzegu New Bedford odbijają łodzie. Jeszcze trochę i grupy ratowników zaczną przeczesywać cały ten obszar. Powiązał wszystkie kawałki linek, jakie mu zostały, i przymocował wiosło na rufie. Ale kiedy przy nim usiadł, na skutek przechyłu trudno mu było wiosłować. Mógł tylko z grubsza nadawać kierunek łodzi.

Około dziewiątej brzegi Massachusetts spowiły kłęby gęstej mgły. W ciągu dnia kilka razy słyszał rogi przeciwmgielne poszukiwaczy rozbitków. Krzyczał co sił w płucach, żałując, że nie ma przy sobie starej mosiężnej trąbki z rodzinnego słupu. Posiłek z sera i ostatniego jabłka podniósł go nieco na duchu. Dostrzegł maszt jakiegoś szkunera. Porzuciwszy wiosło, wołał i wymachiwał rękami — na próżno.

Zaczął mżyć zimny kapuśniak. Jeszcze raz spróbował wiosłować, oceniając, że musi się znajdować blisko cypla Mishaven, ale wiosło było za krótkie, by nadać nim jakąkolwiek prędkość czy choćby przeciwstawić się wartkiemu prądowi odpływu.

Gdzieś tuż obok rozległo się buczenie rogu.

— Ahoj! — krzyknął. — Ahoj! Ahoj!

Usłyszawszy w odpowiedzi okrzyki, nabrał na nowo otuchy, lecz nagle znów był sam, zagubiony w mlecznym mroku zwałów gęstej mgły.

Poczuł zmianę rytmu kołysania i długości fal. Prąd wyniósł go z zatoki na otwarty ocean.

Zapaadał w płytki sen i budził się z niego, a kiedy przetarł sól z powiek, było już ciemno. Mgła podniosła się, północno-zachodni wiatr, odpychający go od amerykańskiego wybrzeża, oczyścił niebo. Wyjął z kieszeni sztormiaka nasiąknięty wodą chleb, odcisnął go i zmusił się do jedzenia.

Ukląkł na dnie rozkołysanej łodzi i zaczął się modlić:

— Panie Boże Wszechmogący, ześlij mi siły, bym zniósł próby, których z Twego zrządzenia przyszło mi doświadczyć. — Wytarł nos w rękaw. — Jeśli przeżyję, odkryj przede mną swe tajemnice i pozwól służyć Ci w prawdzie.

Przez całą noc nie zmrużył oka. Dwa razy widział umykające światelka statków płynących do portów, raz wychodzącego w morze,

wszystkie daleko poza zasięgiem głosu. Wiedział, że znajduje się w pobliżu największego handlowego szlaku żeglugowego Ameryki, a więc szanse, że zostanie zauważony, były spore.

Słońce wyłoniło się z fal oceanu, zanosilo się na piękny, ciepły jesienny dzień. W ciągu trzech pierwszych godzin ranka dostrzegł pięć statków pocztowych spieszących do Anglii i Francji. Odwiązał wiosło, przełożył je przez rękawy kurtki i wymachiwał nią wysoko nad głową, ale nie ściągnął na siebie uwagi: żaden nie skrzyknął w jego stronę. W ciągu następnych godzin nie dostrzegł już niczego. Od czasu gdy sygnal trąbki wezwał mieszkańców Fairhaven Jo pomocy w stawianiu sieci na śledzie minęło trzydzieści sześć godzin.

Wiatr prawie zupełnie ustał, słońce zaczynało się chylić ku zachodowi. Dokładnie na tle jego czerwieniejącej kuli zamajaczyła smużka dymu dobywającego się zza horyzontu. Przebiegł wzrokiem pozostałe trzy strony świata, po czym spojrzął z powrotem na zachód. Parowiec chyba się zbliżał. Zmusił się, by bardzo powoli jeszcze raz przeczesać wzrokiem cały ciemniejący horyzont i odśpiewać trzy hymny, każdy dwa razy. Dopiero wtedy spojrzął ponownie na zachód.

Wielki siatek rzeczywiście płynął w jego kierunku. Serce zabito mu żywiej. Próbował ocenić odległość statku od jego łodzi i słońca od horyzontu, by ustalić, czy zdołają go zauważyć przed zapadnięciem zmroku, ale okazało się to zbyt skomplikowane. Zdawał sobie sprawę, że po ciemku zwrócenie na siebie uwagi hałaśliwego parowca było zupełnie nierealne. Nadział kurtkę na wiosło i zaczął wymachiwać nią nad głową. Próbował stanąć na ławeczce, ale omal nie wypadł za burtę. W miarę tego, jak statek się zbliżał, jego sylwetka rysowała się coraz ostrzej na tle zachodzącego słońca, a cienie fal coraz bardziej się wydłużały. Ramiona omdlewały mu z wysiłku, wieczorne powietrze lizało chłodem po spoconych plecach. Zasniona ciemnością skryła statek, gdy wciąż jeszcze dzieliły go od niego ponad dwie mile.

Zdjął kurtkę z wiosła, otulił się nią szczelnie i drżąc z zimna ukląkł na dnie, by się pomodlić.

— Pan jest moim pasterzem, nie zbraknie mi niczego. Z Jego woli spocznę na łąkach zielonych... — Przed oczami stanęły mu wzgórza i doliny w okolicach Fairhaven, zieleń drzew i biel piasku plaży w West Beach. — ...czara moja się przebrała. — Ujrzał matkę siedzącą przy niedzielnym obiedzie, z głową pochyloną w dziękczynnej modlitwie, i ojca kreślącego znak krzyża nad chlebem. Miał towarzyszyć ojcu, który zachował w tajemnicy rangę komandora marynarki wojennej, w jego drugiej misji. Pierwszą była dwuletnia wyprawa na Daleki Wschód na połów wielorybów. Tym razem chciał zabrać syna ze sobą.

John słyszał, jak sekretarz marynarki, Spaulding, objaśniał ojcu, jak duże będzie znaczenie portów zaopatrujących w węgiel nowe parowce zamierzające pokonywać Pacyfik i wynikająca stąd konieczność zdobycia dokładniejszych informacji o odizolowanym od świata cesarstwie Japonii. — Zaprawdę, choć przekroczę dolinę cieni śmierci, nie ulęknię się mocy nieczystych. Bo Tyś jest ze mną, Twa różdżka mnie powiedzie. — Już w listopadzie miała się rozpocząć ta wielka przygoda, pościg za wielorybami w stronę Hawajów i wzdłuż wybrzeży Japonii. Zadrżał na dnie swojej łodzi i na cały głos zawołał:

— Pomóż mi, Panie Boże, bo zginę!

Bu-uuu!

Zgrzytliwy dźwięk tak go wystraszył, że aż podskoczył. Ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Wciąż klęcząc, wyjrzał przez wysoką burtę łodzi. Noc rozdarło buczenie syreny parowca.

Bu-uuu! Bu-uuu!

Wyglądał jak oświetlona naftowymi lampami estrada, odbita w rozhuśtanych falach.

Puf-puf, puf-puf!

Ciemność wypełnił odgłos obracających się tłoków i syk uchodzącej pary. Miarowe dudnienie silnika spowolniało, by wreszcie z głośnym sapnięciem zupełnie ustać.

— Ahoj! Ahoj! — rozległo się wołanie z parowca. — Gdzie jesteś?

John zmusił się, by zakasłać, odchrząknąć i przełknąć ślinę.

— Cztery rumby w lewo! — odkrzyknął łamiącym się głosem.

Usłyszał rozkaz „Spuścić szalupę!” i dostrzegł na pokładzie sylwetki ludzi. Rozległo się pacnięcie o wodę, potem plusk wiosel.

Kiedy szalupa się zbliżyła, dobiegł go czyjś głos:

— Skąd przybywasz?

— Z Fairhaven i tam z bożą pomocą chcę powrócić! — brzmiała odpowiedź, jakiej jego rodzina udzielała od pokoleń.

Zalało go światło dziobowej latarni szalupy.

— I tak być powinno, chłopcze, i tak być powinno — odparł głos.

Wciągnięto go do szalupy ratunkowej, jego łódź przywiązano z tyłu i wiosłarze ruszyli rażno w stronę swego statku, „Barbary Chase” z Nowej Anglii. Dwóch z nich znało kogoś z jego rodziny, a niemal wszyscy słyszeli o Whittefieldach z Fairhaven.

— Czy zawijamy dziś do jakiegoś portu? — spytał John.

Stojący na dziobie pierwszy oficer odwrócił się, zwinął dłonie w trąbkę i zawołał:

— Przygotować się do wciągnięcia dwóch łodzi! Mamy rozbitka z Fairhaven!

Zona kapitana przekraczała próg kambuza tylko w święta lub gdy wypadały czyjeś urodziny. W pozostałe dni obsługiwano ją tak jak oficerów. Korzystając z nietypowej okazji, zagniotła szarlotkę i przyglądała się teraz, jak John pochłania drugą miszkę wieprzowiny w warzywach i popija gorącą herbatą.

— Ile mamy do najbliższego portu, pani Link? — spytał.

Niska, drobna kobieta poprawiła kosmyk włosów.

— Najadłeś się?

— Tak, dziękuję, było bardzo dobre.

Pani Link dołała herbaty, włożyła do niej czubatą, ociekającą wielkimi kroplami łyżkę miodu i podała kubek chłopcu.

— Mój mąż polecił cię natychmiast odesłać do łóżka. — Wróciła do ciasta, posypała stolnicę mąką. — Kapitan chce z tobą rozmawiać jutro wczesnym rankiem, więc kończ jedzenie i spać.

John dopił jednym haustem słodką herbatę i ruszył z kambuza na pokład, mijając po drodze do kajuty dwa wielkie dymiące kominy.

Pamiętał tylko, że pani Link pomogła mu ściągnąć buty, ale kiedy obudził się na twardej koi pod domowej roboty pledem, zamiast ubrania miał na sobie nocną koszulę. W pierwszej chwili pomyślał, że znalazł się w kuźni. Całą kabinę przepełniał dobiegający spod pokładu jazgot dzwonek, dudnienie tłoków i syk uchodzącej pary.

Na sąsiedniej koi siedział jakiś brodac. Oparłszy łokcie na kolanach strugał kawałek drewna, nogami w marynarskich butach zgarniał starannie strużyny na kupkę.

— Wypałeś się, chłopcze? — spytał przekrzykując huk maszyn i nie odrywając wzroku od roboty.

— Tak, proszę pana. Czy pan jest stolarzem okrętowym?

— Nie. Jestem MacDougal, główny mechanik.

— Jak pan znosi ten hałas? — spytał John.

— Po jakimś czasie człowiek przestaje go słyszeć. — Kiwnął głową w stronę jego koi. — Pani Link osobiście wyprała ci wszystko w słodkiej wodzie.

John usiadł, pochylił się i sięgnął po leżące w nogach koi ubranie. Wełniany sweter był suchy jak pieprz.

— Jak długo spałem?

— Prawie osiemnaście godzin.

— Czy nie powinniśmy już zawinąć do portu?

— Kapitan chce z tobą porozmawiać. No, szybko, wskakuj w swoje ubranie!

MacDougal schylił się i zgarnął wiórki jedną ręką do drugiej. John

ubrał się i wyszedł za mechanikiem do krótkiego korytarzyka, a potem po schodkach na pokład. Statek brnął ze zwiniętymi żaglami pod wiatr o sile ośmiu węzłów, ciągnąc za sobą dwie czarne smugi dymu z kominów.

MacDougal wskazał ręką na mostek:

— Właż na górę i zachowuj się. Kapitan długo służył w marynarce wojennej. — Położywszy mu na ramieniu wielką dłoń, skierował chłopca w stronę schodków do sterówki.

Kiedy John wysunął głowę zza najwyższego schodka, ujrzał panią Link. Siedziała tyłem, poza zasięgiem wiatru, pogrążona w lekturze.

— Proszę o pozwolenie wejścia na mostek! — zawołał do pleców mężczyzny, który stał z lunetą przy relingu i wodził wzrokiem po horyzoncie.

— Udzielam pozwolenia — odparł kapitan nie odejmując lunety od oka.

Po chwili złożył ją i schował do skórzanego futerału, wiszącego na barierce. Nie odwracając się, skinieniem prawej ręki przywołał chłopca do siebie. John spojrzał w gładką, ogorzałą twarz o wąskich ustach i czerwonych policzkach z jasnymi bokobrodami. Czarny melonik, spod którego wystawały rzednące pszeniczne włosy, naciśnięty był tak głęboko na czoło, że jego rondo odginało uszy na boki. Choć czarny surdut nadawał mu surowy wygląd, na twarzy kapitana gościł szeroki uśmiech zadający kłam temu wrażeniu.

Dowódca statku założył ręce na plecy i zlustrował Johna od stóp po czubek głowy, próbując odgadnąć, z jakiego to kruszcu odlano tego chłopaka, że zdołał przeżyć tak straszliwy huragan.

— Synu... — przemówił. — Nazywam cię tak, bo pod każdym względem tak właśnie będziesz traktowany na pokładzie „Barbary Chase”. — Skinieniem głowy wskazał żonę i sternika, który dokonywał drobnych korekt kursu wielkim kołem sterowym. — Służyłem z twoim ojcem w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych... — Urwał, po czym oznajmił prosto z mostu: — John, nie zawijamy do żadnego portu. Płyniemy wokół Afryki do Chin, do Kantonu.

Chłopiec cofnął się o krok, jakby wymierzono mu policzek.

— Będą myśleli, że nie żyję... — Oparł się o reling. — Moi rodzice...

Kapitan wbił wzrok w jego dłoń zaciśniętą na barierce, aż John oderwał ją, przyłożył do boku i stanął wyprostowany.

— Tak, synu, obawiam się, że już tak myślą. Od twego zaginięcia minęły prawie trzy dni.

— Czy nie dałoby się wysłać listu?

— Mało prawdopodobne, żebyśmy spotkali jakiś statek, bo pełno-

morskich parowców jest jeszcze bardzo niewiele, a poza tym nie korzystamy ze zwyczajowych szlaków żeglugowych. Dopiero w Cape Town uzupełnimy zapasy węgla, żywności i wody i tam poszukamy dla ciebie jakiegoś powrotnego statku.

— Panie kapitanie! — John stanął na baczność. — Jestem silny, nadaję się do roboty, mogę wykonywać pracę marynarza, choć nigdy jeszcze nie pływałem na pierd... na... na... parowcu.

Kapitan chrząknął w zwiniętą dłoń.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć o parowcach, młodzieńcze. — Nachylił się tak blisko, że John widział żyłki w jego różowych uszach. — Wejdzie to w zakres twojej edukacji na pokładzie. Przedmioty szkolne będzie ci wykladała moja żona, która ma za sobą doświadczenie wielu lat nauczania na morzu trójki naszych dzieci. Dziś wszystkie są już dorosłe. Lekcje odbywać się będą w stałych godzinach, sześć dni w tygodniu, gdyż nie sprzyjająca pogoda może czasami powodować przerwy w nauce. Ja zapoznam cię z instrumentami nawigacyjnymi i niedoścignionym dziełem Maltheu Fontaine'a Maury'ego „Mapy prądów morskich i powietrznych”.

Kapitan wyjął z kieszeni niewielki notes ze złoconymi na niebieskich okładkach, dokładnie taki sam jak ten, który sekretarz marynarki podarował jego ojcu. John nabrał pewności, że kapitan Link musi także wykonywać misję na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych.

Stanął na baczność, wyprężony jak struna.

— Tak jest, panie kapitanie!

Eleanor Link wyznawała zasadę: minimum teorii, maksimum praktyki. O przylądkach, cieśninach, wyspach, morzach i oceanach świata opowiadała to, co знаła z własnego doświadczenia, jak bowiem wielu mieszkańców Nowej Anglii Linkowie wyruszali na morze całą rodziną. Prowadziła nie tyle lekcje geografii, co lekcje opowieści o świecie.

Kapitan pokazał Johnowi, jak obliczać codzienny przebieg statku na podstawie współrzędnych, które zapisywał w księdze okrętowej. Ze wszystkich swych przedmiotów chłopiec poświęcał temu najwięcej czasu. Podobało mu się to odpowiedzialne zajęcie; pisemne obliczenia opierał na pomiarach sekstansem i kompasem dokonywanych pod surowym okiem kapitana Linka, który później sprawdzał ich prawidłowość.

Załoga „Barbary Chase” była zgranym, zdyscyplinowanym, wspinałym zespołem. Już wkrótce John przestał słyszeć hałas silnika parowego, zawsze jednak przebiegał go dreszcz podniecenia, gdy

padła komenda wzywająca wachtę na pokład i rozległ się śpiewny rozkaz bosmana: „Grooot-żagieeel staaaw!”

Kiedy z głośnym sykiem i sapaniem dudnienie silnika zamierało, pustkę bezmiar morza wypełniał chóralny odzew marynarzy. Ciągnęli liny do wtóru starej pieśni:

*/ pożeglował w dal przez mielizny,
Och, Rio, Rio, Rio,
Nie roń łez, mila, odwróć wzrok,
Pożeglował w dół Rio!*

Johna przyjęto na członka honorowego wszystkich wacht. Śmigał z marynarzami po masztach, linach i rejach, jak pająk w pajęczynie takielunku huśtał się znad pokładu daleko ponad morze i z powrotem nad pokład. Śpiewał razem z nimi odwiązując wzdymające się płachty białego brezentu, by z trzaskiem napięły się na wietrze.

*Jeszcze dziś wypływamy na dalekie morza,
Zegnaj i bywaj zdrowa,
Zegnaj i bywaj zdrowa...*

Z początku nie zdawał sobie sprawy, jaki zaszczyt go spotkał. MacDougal, ten zamknięty w sobie Szkot, mówiący zdaniami liczącymi nie więcej niż trzy słowa i wyłącznie na tematy związane z silnikami parowymi, zezwolił Johnowi odwiedzać swoje sanktuarium, do którego poza nim nikt nigdy nie miał wstępu. Odległości, stan pogody i morza obchodziły MacDougala tylko o tyle, że należało je przełożyć na odpowiednie ciśnienie w kotłach i pracę tłoków. Przed upływem miesiąca od swego uratowania John nabrał nawyku noszenia wystającej z kieszeni ścierki, nieświadomie naśladując tym głównego mechanika. Przecierał tu i tam pulsujący silnik, usuwając prawdziwe lub wyimaginowane plamki z lśniącej nieskazitelnej czystością maszynierii.

Systematycznie prowadzone obliczenia i wiedza żeglarska kapitana Linka doprowadziły „Barbarę Chase” do portu w Cape Town.

— Patrz, John — powiedział kapitan, wskazując ręką południowoafrykańskie wybrzeże. — To Góra Stołowa. Dziś przystroiła się w obrus.

Za krytymi czerwoną dachówką, tynkowanymi na biało domami Cape Town wznosiła się gigantyczna skalna ściana. Nad płaskim wierzchołkiem góry przepływały białe pierzaste obłoki, odcinające się

ostro od krystalicznie czystego błękitnego afrykańskiego nieba. „To fresk malowany ręką Boga” — pomyślał John.

— Popatrz dobrze na prawo. — Kapitan wskazał wyrzeźbiony przez naturę szczyt. — To Łeb Lwa. Wpływając tu do portu musisz prowadzić dziób dokładnie między te dwie góry, bo inaczej nadziejesz się na rafy. Zboczysz dwa rumby w jedną czy drugą stronę, i po zabawie. Ci Holendrzy będą cię musieli wyciągać z zatoki.

Ponieważ poszukiwania statku, który by wyruszał do Stanów Zjednoczonych, nie dały rezultatu, kapitan i jego żona uznali, że John powinien popłynąć z nimi do Kantonu i przez Hawaje, San Francisco i Nowy Jork wrócić do domu na pokładzie „Barbary Chase”. Chłopiec starał się ukryć swą radość i nie zdradzić się z nią w listach, które zostawił w Domu Marynarza. Miał wziąć udział w pierwszej próbie opłynięcia świata podjętej przez amerykański parowiec.

Poszli we trójkę do kościoła, potem przez dwa dni zwiedzali miasto. Widzieli Hotentotów, małych afrykańskich Buszmenów, Murzynów Bantu, oglądali plemienny taniec dzikich Zulusów i pawiany buszujące na krańcach miasta niczym stada zdziczałych psów. Widzieli wyścigi na strusiach, jedli steki ze strusiego mięsa i załadowali na pokład zapas biltongu — suszonego mięsa strusiów. Przy pomocy kapitana John dobrze sprzedał swoją łódź jednemu z pośredników. Wybierając bardzo starannie kupił prezenty do domu: tarczę, dzidę i zuluski pióropusz, w którym naśladowując Zulusa odtąńczył dla załogi ognisty taniec. Na plaży zebrał kolekcję przepięknych muszli, cały czas spoglądając z niepokojem na morze, czy przypadkiem do portu nie zawija jakiś statek płynący do Stanów.

Pewnego pogodnego ranka wypłynęli z Cape Town, załadowali węgiel w Port Elizabeth i skierowali się w stronę Kanału Mozambickiego. Kiedy ląd i wszystkie statki zniknęły im z oczu, zatrzymano silnik, spuszczone żagle i wykonując polecenia kapitana przytwierdzono do grotmasztu wyciągnik z wielokrążkiem. John patrzył, jak z ładowni wyłaniają się dwie okryte brezentem paki, które ustawiono w wyznaczonych miejscach na dziobie i rufie. Po zdjęciu brezentu i otwarciu skrzyń na wyszorowanym piaskiem pokładzie zaślniły w palącym afrykańskim słońcu dwa dwudziestofuntowe działa okrętowe o gwintowanych lufach.

— Wpływamy na wody opanowane przez piratów — wyjaśnił Johnowi kapitan Link. — Kanał Mozambicki i niemal cały Ocean Indyjski patrolują arabscy korsarze. Jawa, Malaje i wyspy Morza

Połudnowochińskiego są ojczyzną tylu zbójów i rzezimieszków, że wystarcza ich do obsadzenia wszystkich pirackich łajb świata, zwłaszcza tych, które trudnią się czystym rozbojem i handlem niewolnikami.

Spuszczono jedną z szalup „Barbary Chase”, a za nią cztery duże, puste beczki z chorągiewkami. Kiedy szalupa odciągnęła je na odległość siedmuset jardów, załoga statku sprawdziła nośność dział oddając kilka strzałów do kołyszących się na wodzie celów. Od razu stało się jasne, że kanonierzy to ludzie doświadczeni. Ładowali i odpalali działa bez żadnych zbędnych instrukcji oficerów. „Pewnie wszyscy są z marynarki wojennej” — pomyślał John.

Pod żaglem i parą statek popłynął dalej. Przez pełne dwa dni, czterdzieści osiem godzin, pod okiem sprawdzających sprawność i dyscyplinę oficerów i kapitana marynarze ćwiczyli musztrę, suchą zaprawę strzelecką i odpieranie abordażu. Trzeciego dnia zwinięto żagle, a na wodę znów spuszczone łódź i puste beczki. Ruszyli pełną parą, a kanonierzy i strzelcy dopóty zasypywali ogniem ciągnięte na długiej linii za szalupą beczki, dopóki kapitan nie poczuł się usatysfakcjonowany. Na działa nałożono z powrotem skrzynie, owinięto je brezentem i grubymi linami przymocowano do pokładu.

„Barbara Chase” położyła ster na burtę i ruszyła prawym halsem, wspomagając silnik parowy żaglami, by oszczędzać paliwo.

Kapitan Link objaśniał Johnowi różnice między arabskimi statkami, które zaczęli widywać po wejściu do Kanału Mozambickiego.

— Wkrótce nastanie pełnia sezonu, bo w listopadzie zaczyna się pora monsunów. Zobaczymy setki tych trójkątnych żagli. Arabscy kupcy i handlarze korzystają z *kaskazi*, monsunu północno-wschodniego. — Podał Johnowi lunetę. — Przyjrzyj się uważnie temu po lewej. Te statki nazywają się *dau*. Skonstruowano je tak, aby maksymalnie wykorzystać wiatr, od rufy: północno-wschodni w listopadzie, a *kusi*, czyli monsun południowy, w kwietniu. Ogromny trójkątny żagiel chwytą pełny wiatr, wysoka rufa chroni przed zatopieniem przez ciągnące od tyłu fale. Długi spiczasty przód wznosi się ukośnie wysoko w górę, by statek nie rył dziobem w doliny fal. Niektóre z tych statków pochodzą aż z Morza Czerwonego i Arabskiego, z Persji i z Indii.

Po lekcjach John spędzał wiele czasu w cieniu działa dziobowego, z dala od huku silnika i łoskotu łopatek kół napędowych. Zdejmował buty, podwijał spodnie i nagi do pasa obserwował mijane arabskie łodzie, śniąc na jawie o odległych i egzotycznych krainach, z których pochodziły. To była jego sekretna samotnia. Rzeška bryza dawała tu nieco ochłody w czasie tych skwarnych styczniowych dni pełni lata.

Kiedy wpłynęli do najwęższej części kanału, podwojono czujki. Na horyzoncie ukazało się wybrzeże Madagaskaru, od wschodu znaleźli się dokładnie na wysokości Zomby.

— Żagiel, trzy rumby w prawo! — rozległo się wołanie z bocianiego gniazda.

John wychylił się ze swej samotni akurat w porę, by ujrzeć, jak kapitan na mostku przykładając lunetę do oka i przesuwając ją powoli wzdłuż horyzontu. Oczy wszystkich obecnych na pokładzie zawisły na dowódcy okrętu, licząc uważnie, ile razy luneta zatrzyma się na swej drodze od lewej do prawej.

Kapitan skinął głową, pierwszy oficer dał znak syreną parową: „Kanonierzy do dział! Przygotować się do odparcia abordażu!”

Pokład zaroił się od marynarzy pędzących na dziób, w stronę Johna, by odstąpić działu. Pierwszy oficer polecił mu przejść na mostek. John wdrapał się z zadartą głową po schodkach, z butami w jednej ręce, koszulą w drugiej, z książką wetkniętą pod pachę. Patrzył w górę, w płataninę lin, po których wspinali się wyborowi strzelcy uzbrojeni w najnowsze, ładowane od tyłu karabiny Henry'ego. Obsługi dział na dziobie i rufie przygotowywały proch i kule. Uzbrojeni w karabiny starego typu i rapiery marynarze zajmowali pozycje na pokładzie.

— John...

Odwrócił się na pięcie i zobaczył panią Link. Siedziała tam gdzie zwykle, z robótką na kolanach.

— Naprawdę nie powinieneś wchodzić na mostek bez butów i koszuli...

Książka wypadła mu spod pachy. Schylił się po nią i wtedy z ręki wypadł mu but.

— Tak, proszę pani. — Zebrał wszystkie rzeczy, przycisnął je do piersi i schowawszy się za sternika, szybko się ubrał, cały czas wyciągając szyję, by zobaczyć statek, który wywołał całe to zamieszanie.

— Chodź tu, John, stań przy mnie. — Kapitan przywołał go skinieniem do relingu i położył mu rękę na ramieniu. Potem powiodł palcem wzdłuż horyzontu, od lewej do prawej. — To są piraci, chłopcze. — W stronę „Barbary Chase” zbliżało się półkolem pięć żagli, odcinających się ostro od błękitu nieba. Podał mu lunetę. — Zobacz, jakie małe mają zanurzenie. To nie są statki kupców. Nastaw lunetę na tego w środku. To wszystko *dauy*, ale ten jest jednym z największych, jaki kiedykolwiek w życiu uda ci się zobaczyć.

John skierował lunetę na środkowy statek. Jego czub sterczał daleko ponad falę dziobową, rufę miał tak wysoką i tak bogato

zdobioną, że przywodziła na myśl kaszel starodawnego portugalskiego galeonu.

— Ten wielki ma co najmniej sto trzydzieści stóp długości i dwieście dwadzieścia pięć ton ładowności — powiedział kapitan Link. — Takie statki nazywają się *baggala*, co po arabsku znaczy „mulica”. Pozostałe cztery, po dwa z każdej strony, to mniejsze, szybsze jednostki, po sto stóp długości i o ładowności stu siedemdziesięciu ton.

John spojrzął na trójkątne żagle. Mocno wybrane wyglądały jak szable Saracenów pędzących z wiatrem, by okrążyć „Barbarę Chase”.

— Dlaczego nie idą pod pełnymi żaglami?

— Zrobią to. Spróbują staranować nas tymi wielkimi ostrogami na dziobach, a potem wedrzyć się po nich na nasz pokład. Na ogół nie niewają dział. Rozwiną żagle w ostatniej chwili dla nabrania impetu przed staranowaniem albo żeby nas zagnać na przybrzeżne płycizny.

John zerknął w stronę Madagaskaru. Brzeg wyspy znacznie się przybliżył. Cały czas szli przecież prawym halsem, pod parą i wszystkimi żaglami.

— Mam nadzieję, że te dranie nie mają pojęcia, na co stać parowiec — powiedział kapitan i chwycił tubę. — Wszyscy na pokład! Przygotować się do zwinięcia żagli!

Kapitan Link i jego załoga nie okazywaliby takiego spokoju, gdyby wiedzieli, że od wypłynięcia z Port Elizabeth cały czas byli śledzeni. Za pomocą sieci punktów obserwacyjnych na lądzie i na niewinnie wyglądających łodziach kupieckich przesyłano sygnały wzdłuż wybrzeża Afryki i przez Kanał Mozambicki na Madagaskar; ten system łączności tutejsi piraci tworzyli przez pokolenia.

Ibrahim Kahysin, kapitan *baggali* i dowódca liczącej pięć jednostek eskadry pirackiej, nastawił lunetę na „Barbarę Chase”. Słyszał o statkach wykorzystujących do poruszania się ogień zamiast wiatru, ale jeszcze nigdy żadnego z nich nie widział. Wprawdzie dwa kominy ciągnęły za sobą smugi dymu, ale wielkie koła nie obracały się, a statek szedł pod pełnymi żaglami. Kahysin obejrzał się na lewo i prawo. Jego *dauy* w idealnym szyku zamykały pułapkę.

— Przynajmniej dwa staranują niewiernego przed nami — warknął do sternika. — Tylko nie uderz za mocno! — pogroził mu zacisniętą pięścią. — Jak go przełamiesz wpół, to wszystko stracimy!

Sternik skinął potakująco głową i zacisnął dłonie na czterdziestopopowym rumplu, aż pod ciemną skórą zagrały mu sploty mięśni. Już osiem lat służył pod dowództwem Ibrahima Kahysina i dobrze wiedział,

że taki błąd można przypłacić życiem. Widział już takich, co pożegnali się z tym światem za znacznie mniejsze przewinienia.

Kapitan pirackiego statku obserwował uważnie, jak „Barbara Chase” halsuje w poprzek jego kursu i powoli rozchylił usta w uśmiechu, ukazując dwa rzędy pożółkłych zębów z równymi szparami. Uderzył pięścią w rozpostartą dłoń.

— Mamy go! Teraz już nam się nie wysliznie! — Odwrócił głowę w stronę marynarza czekającego w pogotowiu przy maszcie. — Zielona flaga! — zawołał, po czym spojrział na pierwszego oficera na niższym pokładzie. — Gotowi?

Oficer wskazał ręką stu pięćdziesięciu zbójów z portowych spelun afrykańskiego wybrzeża uzbrojonych w noże, szable i pistolety skałkowe.

— Aye, aye, kapitanie, wszyscy gotowi!

Obserwuj uważnie żagle tych mniejszych *dauów*, John. One pierwsze na nas ruszą. Robią teraz osiem węzłów, ale przy tym wietrze mogą wyciągnąć dwanaście, a nawet czternaście.

Uwagę kapitana Linka przykuło coś na pokładzie ogromnej *baggali*. Nastawił lunetę. Długi zielony proporzec, wciągany właśnie na maszt, łopotał na wietrze. Kapitan przeniósł szybko wzrok na rozsypane w półkole statki pirackie.

— O, masz! — pokazał ręką dwa *dauy* z lewej. — Rozwinęły żagle. — Podciągnął do ust rurę głosową i zawołał do głównego mechanika: — MacDougal, za chwilę będzie pan musiał wycisnąć z tych swoich koni tyle węzłów, ile tylko się da. Syp pan im szybko obroku!

— Aye, aye, kapitanie. Wycisnę, ile się da, i może jeszcze trochę!

Kapitan Link opuścił lunetę. I bez niej łodzie korsarzy widać było już zupełnie wyraźnie. Ich tekowe kadłuby natarte tranem rekinów błyszczały czerwono w palącym słońcu. Nie zmieniał kursu, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że lada chwila okrąży go pięć statków pirackich. Położył Johnowi rękę na ramieniu.

John przyglądał się wszystkiemu szeroko otwartymi oczami i ze strachem w sercu. Czy po to przeżył furię huraganu, żeby zginąć z rąk arabskich korsarzy u wybrzeży Madagaskaru?

Niebieska flaga! — zawołał Ibrahim Kahysin.

Na maszt *baggali* wpłynął niebieski proporzec i załopotał tuż poniżej zielonego. Następne dwa *dauy* rozwinęły żagle i skoczyły do przodu, do ostatecznego natarcia.

Herszt piratów zwrócił się do ludzi stłoczonych na niższym pokładzie:

— Zabiję każdego, kto weźmie udział w bijatykach o branki albo młodych chłopców, choćbym miał was wytłuc do ostatniego! Kiedy będzie po wszystkim, pociągnięcie o nich losy! — Potrząsnął nad głową zaciśniętą pięścią i huknął: — A teraz taranujemy ten kubek gówna niewiernych! *Allah il Allah!* Śmierć niewiernym!

— *Allah il Allah!* — ryknęła piracka załoga.

Spokojnie, tak jak on, spokojnie... — powtarzał raz za razem kapitan Link, nie odrywając oczu od zbliżającej się *haggali*. — Eleanor, kochanie, podejdź tu, proszę, i stań przy mnie — zawołał nie spuszczać wzroku z okrętu herszta piratów.

Jego żona odłożyła robótkę i podeszła do męża. Kapitan przygarbił się, podniósł powoli do ust tubę, po czym nagle wyprostował się i krzyknął:

— Zwinąć żagle!

W tej samej chwili wielka łódź pośrodku wachlarza napastników rozwinęła maksymalnie żagiel, co przy wietrze od rufy zmuszało ją do zachowania raz obranego kursu, i zaczęła pruć dziobem spienione fale.

Na to właśnie czekał kapitan Link.

— Cała naprzód! — krzyknął w tubę, po czym wydał sternikowi rozkaz: — Ster lewo na burt!

Silniki zadudniły, koła napędowe ożyły, marynarze na rejach zwinęli żagle i „Barbara Chase” wykonała zwrot przez sztag. Tłoki „pracowały coraz szybciej, łopatki kół coraz wścieklej młóciły wodę, pulsujący silnik pod pokładem osiągał pełną moc.

Czy to możliwe, żeby byli aż tak głupi? — zastanawiał się głośno Ibrahim Kahysin. Wyrwał z futerału lunetę, żeby przyjrzeć się dokładnie, i wtedy zobaczył, że wielkie koła zaczynają się obracać. Z obu kominów buchnęły gęste kłęby czarnego dymu. Poczul, że włos mu się jeży na głowie. Po grzbiecie przebiegł mu zimny dreszcz, kurcz strachu wciągnął jądra w głąb podbrzusza. Przez chwilę stał jak skamieniały. Oto był naocznym świadkiem jawnego pogwałcenia praw natury. Bez jednego żagla statek niewiernych szedł na wiatr. Ibrahim Kahysin przetarł wierzchem dłoni wyschnięte wargi i mruknął:

— Jeśli Allah wystawia mnie na próbę diabelskimi sztuczkami, to

błagam Ciebie, o, Mahomecie, Jego proroku, daj siły sprostać temu wyzwaniu!

Było jasne, że manewr parowca wprowadzi go między *baggalę* a pierwszy *dau* po jej prawej stronie. Nie będzie żadnej szansy, by go staranować.

— Ster prawo na burt! — ryknął do sternika. A marynarzowi przy żaglu rzucił komendę, jakiej na idącej pełnym wiatrem jednostce o ożaglowaniu łańskim jeszcze nikt nigdy nie wydał: — Obrócić żagiel!

Sternik bez namysłu wykonał rozkaz, napał całym ciałem na wielkie wiosło sterowe. Ale odpowiedzialny za żagiel drugi oficer krzyknął:

— Wyrwie nam maszt z pokładu!

Ibrahim złapał muszkiet z pobliskiego kozła.

Bum!

Drugi oficer padł martwy z dziurą pośrodku czoła, a setka ludzi rzuciła się do szotów. *Baggala* drgnęła reagując na zmianę położenia steru. Marynarze puścili liny i przypadli płasko do pokładu, czepiając się rozpaczliwie wszystkiego, czego mogli dosięgnąć. Gdy wiatr pochwyił ogromny żagiel, okręcił go dookoła i wydał nad przeciwległą burtą, maszt wydał jęk protestu, trzeszcząc i skrzypiąc w gnieździe w głębi statku. Niemal dwustupięćdziesięcotonowa *haggala* została na wpół wyszarpięta z wody. Marynarze darli paznokciami deski pokładu, by się na nim utrzymać. Wszystko, co nie było dobrze umocowane, zsunęło się za reling lewej burty, który pogrążył się w wodach Oceanu Indyjskiego.

Na wysokim kasztelu rufowym Ibrahim uczepił się jedną ręką relingu, a drugą trzymał swego sternika. Czekali w napięciu na ogłuszający trzask łamiącego się masztu, ale trzask się nie rozległ. Niepojętym cudem statek wydzwignął się spod mas morskiej wody. Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem i wybuchnęli śmiechem.

Stojący na mostku „Barbary Chase” John zrozumiał, że dzięki zwrotności parowca, pozwalającej raptownie zwrócić statek o dziewięćdziesiąt stopni, umkną z pułapki zastawionej przez piracką flotyllę. Cztery *dauy* znalazły się na straconych pozycjach, nie mogąc zejść z raz obranego kursu. Ale oddech ulgi był krótki. Kiedy ujrzał, że wielka *baggala* przerzuca żagiel na drugą burtę, żołądek podjechał mu do gardła. Kapitan Link mówił przecież, że *dauy* nie są w stanie

wykonywać zwrotów, a hersztowi piratów najwyraźniej się to udało; jego statek zmienił kurs idąc pełnym wiatrem. Nie był w stanie już dłużej nad sobą panować.

— Niech pan patrzy! Niech pan patrzy! — zawołał wskazując ręką na wielką *baggalę* obracającą się na burcie w takim przechyle, że widać było kolonie mały porastających jej dno.

Kapitan Link ujął żonę za rękę i powiedział:

— Jeśli ten pirat nie straci masztu i zdoła się podnieść, znajdzie się pod odpowiednim kątem, żeby nas staranować. — Wsunął jej w dłoń mały dwulufowy pistolet.

Eleanor Link nachyliła się i szepnęła mu do ucha:

— Bóg ma cię w swej opiece, Teodorze. Niczego się nie lękam.

Cała załoga „Barbary Chase” wpatrywała się w wielki arabski statek. *Baggala* powoli wyprostowała się, chwyciła wiatr i zaczęła nabierać szybkości, pędząc wprost na nich.

Kapitan Link rozkazał obsłudze dziobowego działła celować w sternika, a rufowego w maszty, po czym podniósł tubę w stronę bocianiego gniazda.

— Pokazać nasze barwy! — rozkazał.

Na grotmaszcie rozwinęła się amerykańska flaga i załopotała na wietrze. Parowiec ciął fale kursem kolizyjnym ze zbliżającym się piratem.

Ibrahim Kahysin zatańczył wokół steru, rozpromieniony pewnością, że nie dopuszczając, by statek uległ zniszczeniu, Allah udzielił mu swego błogosławieństwa. To Jego zrządzeniem niewierni zostaną wyrznięci w pień!

— Odkryć działa i ognia w przekłete psy! — ryknął.

Natychmiast zdjęto pokrowce z trzech starannie zamaskowanych starych portugalskich dwunastofuntówek i przytknięto płonące żagwie do zapałów.

Bum! Bum!

Oba statki wystrzeliły jednocześnie.

Nad pokładem „Barbary Chase” świsnęły dwie armatnie kule. John schylił się błyskawicznie.

— Kiedy się je słyszy, za późno już się schylać — powiedziała spokojnie pani Link. Ale John zauważył, że nawet ona drgnęła, gdy trzecia kula wyrwała piętnaście stóp relingu lewej burty.

Rufowe działło parowca fatalnie spudłowało, pocisk wpadł do morza nie czyniąc żadnej szkody, ale dziobowe trafiło dokładnie w cel,

zabijając sternika. John ujrzał, że dowódca piratów, w białym turbanie na głowie, przechwytuje długie wiosło sterowe i utrzymuje statek na kursie taranowania. Nagi do pasa, w szerokich szarawarach trzepocących mu wokół nóg, śniadoskóry olbrzym nie zwracał w ogóle uwagi na rozłupujące wokół niego w drzazgi pokład kule strzelców wyborowych „Barbary Chase”.

— Przygotować się do odparcia abordażu! — ryknął przez tubę kapitan Link.

Na sunącą wprost na nich długą spiczastą ostrogę do taranowania wbiegł zastęp półnagich brązowo- i czarnoskórych piratów. Johna dobiegł ich wrzask, ujrzał błyski szabli.-Plaśnięcie kuli z muszkietu, która trafiła w poręcz relingu tuż obok jego dłoni, uświadomiło mu, że także w takielunku *baggali* ukryci byli snajperzy. Przez chwilę poczuł się urażony. Jak ktoś mógł aż tak źle mu życzyć, żeby do niego strzelać?

Kapitan Link przyglądał się, jak jego kanonierzy na dziobie i rufie celują starannie przed następną salwą. Choć zarepetowali działa znacznie szybciej niż piraci, czekali na odpowiedni moment. Wszyscy doskonale znali się na rzeczy, nie należało ich poganiać.

Działa Arabów ponownie otworzyły ogień i dwadzieścia stóp pokładu dziobowego „Barbary Chase” rozprysło się w drzazgi. Pięciu ludzi padło śmiertelnie rannych.

Bum! Tylne działo parowca wypaliło z potężnym łoskotem. Podstawa masztu *baggali* eksplodowała, wydęty żagiel wyrwał cały maszt w powietrze, przeniósł go nad dziobem i cały takielunek runął do morza.

Piracki statek uderzył we własne ożaglowanie i stanął w miejscu. Przyczajeni na dziobowej ostrodze napastnicy posypali się jeden przez drugiego do morza. Zawieszeni wśród lin strzelcy poszybowali łukiem i runęli na pokład, roztrzaskując się jak dojrzałe owoce ciśnięte na ziemię podmuchem huraganu.

Obie załogi, rozpalone bitewną gorączką, szykujące się do ostatecznego starcia, zastygły oszołomione w bezruchu. Parowiec minął kołysząc się bezradnie *baggalę* w odległości zaledwie dziesięciu stóp. Martwą ciszę zakłócał tylko równy plusk wody rozbijanej łopatkami kół.

John nie mógł oderwać wzroku od gładkiej, wyrażającej osłupienie twarzy ogromnego dowódcy piratów, stojącego boso w szerokim rozkroku i wciąż jeszcze dzierżącego w dłoniach bezużyteczne już wiosło sterowe.

Ibrahim Kahysin powiódł wzrokiem po mijającym go parowcu. Podniósł wzrok ku niebu, ale ujrzał na nim tylko palące afrykańskie słońce. Splunął przez burtę i ryknął na swego zastępcę:

— Do szotów! Zwrot przez rufę! Przygotować działa!

Kto żyw rzucił się do lin, by czystą brutalną siłą obrócić statek. Rozwścieczony zawodem Ibrahim pospieszył się z wydaniem rozkazu: „Ognia”. Pociski padły w kilwater parowca, nie czyniąc żadnej szkody. Wielka *baggala* podryfowała z wiatrem, oddalając się od „Barbary Chase” poza zasięg swych dział. Jej załoga zabrała się do wyciągania z wody masztu i żagla.

Pól pary, MacDougal! — rzucił do tuby kapitan Link. — Świetnie się spisaliście!

— Aye, aye, kapitanie. Zgoda na kapeńkę dla kocmołuchów?

— Zgoda, ale jeszcze nie teraz. Mamy mnóstwo roboty. — Kapitan odwrócił się do żony. — Czy mogłabyś zejść pod pokład, kochanie? Nie będzie to widok dla kobiecych oczu.

Wiele lat spędzonych na morzu wykształciło w Eleanor Link odruch bezwarunkowego posłuszeństwa. Bez słowa opuściła mostek.

Kapitan Link ustawił statek dokładnie za rufą pirackiej *baggali*, chowając go w ten sposób przed jej działami. Na jego rozkaz dwudziestofuntówki „Barbary Chase” otworzyły ogień i prowadziły go dopóty, aż pirat zaczął iść pod wodę, rufą w dół.

Od tonącego statku odbiły dwie wielkie szalupy, z trzydziestoma ludźmi każda, a za nimi wiele skleconych naprędce tratw.

Załoga i oficerowie „Barbary Chase” patrzyli na mostek. Kapitan Link podniósł rękę i opuścił ją powoli, wskazując na tratwy. Kanonierzy wycelowali i odpalili działa. Woda zakotłowała się, pokryła szczątkami drewna i miotającymi rozpaczliwie rozbitkami.

Ibrahim Kahysin sterował pierwszą łodzią, trzymając drzewce rumpla pod pachą. Obejrzał się przez ramię na parowiec, przeklinając pod nosem kapitana niewiernych, własną załogę i samego Allacha, którego zrządzeniem przypadł mu taki los. Przyszło mu na własne oczy oglądać, jak tonie jego piękna *baggala*, a dwa bojowe proporce, zielony i błękitny, moczą się pohańbione w wodzie, oplatane wokół szczytu odstrzelonego masztu.

— Wiosłować, bydlaki! — ryknął na swoich ludzi. — Tu aż się roi od rekinów! Już poczują krew!

Ze wszystkich stron powierzchnię morza cięły noże płetw. John wzdrygnął się. Ujrzał, jak pierwszy rekin rozrywa człowieka na pół. Woda zaczerwieniła się od krwi. Rekin przetoczył się na grzbiet z torsem człowieka zaciśniętym w potwornie uźębionej paszczy. Kolejne żarłaczce dopadały zdobyczy i rozdzierały ją na strzępy. Morze wokół

uczujących bestii zmienilo się w rozbijaną uderzeniami ogonów czerwoną kipiela.

John dziękował Bogu, że łoskot kół napędowych i dudnienie silnika zagłuszają przeraźliwe krzyki. Wziął się w garść, z wysiłkiem przełknął ślinę i odwrócił do dowódcy.

— Panie kapitanie — powiedział wskazując na purpurową od krwi wodę. — Czy tak postępuje chrześcijanin?

— Cieszę się, John — odparł kapitan — że poddajesz moje postępowanie wnikliwej ocenie moralnej. Daj mi, proszę, jeszcze kilka chwil.

Kiedy „Barbara Chase” ustawiła się równolegle do uciekającej łodzi Ibrahima Kahysina, kapitan Link rzucił sternikowi komendę:

— Dwa rummy w prawo! — Upewniwszy się, że weszli na prawidłowy kurs, całą uwagę poświęcił chłopcu. — Piraci to wściekle psy. Gwałcą, palą, grabią i mordują, żerując zawsze na bezbronnych. Muzułmanie, chrześcijanie, Chińczycy czy Hindusi — wszystko im jedno. Dobroć i litość są uczuciami zupełnie im obcymi. — Wskazał ręką na piracką szalupę. — Ich dowódca, ten w białym turbanie, jest wielkim śmiałkiem. Zbyt zuchwale sobie poczyna, by można mu pozwolić nadal grasować po tych wodach.

Imbrahim Kahysin, widząc, że parowiec kieruje się wprost na niego, puścił ster, chwycił w ręce starą strzelbę i odciągnął kurek. Wycelował w dziób zbliżającego się statku. Oddawszy nadaremno swój ostatni w życiu strzał, zginął z przekleństwem na ustach pod mlójącymi wodę łopatkami kół „Barbary Chase”.

— Opuścić pozycje bojowe! — rozkazał przez tubę kapitan Link, a do swego pierwszego oficera dodał: — Niech pan pošle pani Link dwóch ludzi do pomocy przy rannych i wyda podwójną porcję rumu załodze pokładowej i kocmołuchom MacDougala.

— Panie kapitanie... — spytał John, pokazując na drugą łódź piracką, której załoga skuliła się przy wiosłach w przewidywaniu, że spotka ją ten sam los co dowódcę. — A dlaczego tę łódź zostawia pan nietkniętą?

— Żeby miał kto opowiedzieć innym o tym, co tu zaszło — odparł Teodor Link. Ruchem głowy wskazał amerykańską flagę trzepoczącą nad ich głowami. — Widzieli naszą banderę. Rozpuszczą wieść wśród wszystkich piratów Kanału Mozambickiego, by trzymali się z dala od jankesów. — Poklepał Johna po ramieniu. — No, teraz i my możemy się napić rumu. Przed nami daleka droga do Chin.

ROZDZIAŁ 4

„Barbara Chase” parła mozolnie pod północno-wschodni monsun aż do północnego krańca Madagaskaru, po czym skierowała się na Komory, gdzie załoga zastawiła pokład stertami drewna opałowego na długą podróż przez Ocean Indyjski i Cieśninę Sundajską. Przez ponad miesiąc ociekali potem na Sumatrze, gdzie Szkot ze swymi kocmołuchami musiał rozebrać na części cały silnik, zbudować własną kuźnię i dokonać napraw wału napędowego i panewek. Z Sumatry ruszyli pod żaglami, zawinęli do Singapuru, ale tylko po to, by zapchać pokład dalszymi kubikami drewna, i wypłynęli na Morze Południowochińskie. Prawie dwa miesiące sunęli wzdłuż wybrzeży Chin, aż wreszcie pewnego ciepłego marcowego wieczoru, przy pełni księżyca zasnuwającej cieniami doliny fal, załoga wspięła się na reje, by zwinąć żagle. „Barbara Chase” poszła lewym halsem i pod parą wpłynęła na wody Rzeki Perłowej, mijając o świcie Tygrysie Wrota, fort strzegący wejścia do portu w Kantonie.

U południowego krańca portu, ciągnącego się w prawo wzdłuż prostej linii brzegowej, by ostrym łukiem zawrócić z powrotem do ujścia rzeki, cumowały tysiące łodzi. Ich maszty sterczały ponad biały opar porannej mgły, kołysały się łagodnie na falach rozchodzących się od dziobu parowca. Gigantyczne wojenne dżonki, wielkie pływające hotele, restauracje i przestronne statki mieszkalne górowały nad sampanami, dającymi miejsce do spania dwustu tysiącom ludzi. Pokryte czerwoną i czarną laką, wilgotne gładkie kadłuby lśniły w pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Pastelowy błękit porannego nieba stapał się z delikatną zielenią pól ryżowych i gór za Kantonem. Przed dominującymi nad nabrzeżem budynkami faktorii handlowych powiewały barwne flagi trzynastu

państw zachodnich. Kanton był jedynym portem w całych Chinach dostępnym oficjalnie dla cudzoziemców.

— Zostaliśmy zauważeni, John — powiedział kapitan wskazując ręką piętnastoosobową łódź odbijającą od przystani faktorii amerykańskiej. — To pewnie agent, który będzie działał w naszym imieniu. Łapówkarstwo jest tu powszechnie akceptowaną metodą zafatwiania interesów. Europejczycy nazywają te łapówki haraczem. W handlu z Chińczykami jest to oficjalnie uznawana pozycja kosztów.

John przyjrzał się wąskiej łodzi kierującej się w ich stronę, zdziwiony, że chińscy wiosłarze wiosłują na stojąco, zwrócenii przodem do dziobu.

Kapitan pokazał mu jedyny poza „Barbarą Chase” parowiec w porcie, a w jego głosie zadźwięczała nuta podniecenia.

— To „Nemesis” Kompanii Wschodnioindyjskiej. Angielski parowiec z dwoma kołami łopatkowymi umieszczonymi w połowie kadłuba tuż za studwudziesięciokonnym silnikiem. Sto osiemdziesiąt stóp długości i dwa trzydziestodwufuntowe działa. Ma tylko sześć stóp zanurzenia, może płynąć daleko w górę niemal każdej rzeki i podchodzić do brzegu, by prowadzić handel.

Promienie słońca wypaliły mgłę, kantoński port zaczynał się budzić do życia. Na setkach kanałów zaroiło się od sampanów. Basen portowy zaczęły przecinać dżonki. O szóstej z góry za miastem, zwanej po prostu Szczytem, dobiegł huk armatniego wystrzału. Poza portem, we właściwym Kantonie, mieszkało ponad dwa miliony ludzi; na jeden akr przypadало ponad trzysta osób stłoczonych w wąskich, trzy piętrowych domach. Sztuczne jeziora, istniejące dzięki skomplikowanej sieci kanałów dopływowych, dostarczały miastu wody pitnej. Z głębi łądu dowożono codziennie kanałami ponad trzysta ton ryżu i innych artykułów żywnościowych; ogromne to zadanie wykonywało sześć tysięcy rządowych barek obsługiwanych przez siedemdziesiąt tysięcy ludzi.

Służby miejskie istniały, ale z powodu korupcji urzędników i powszechności nałogu palenia opium w ciągu ostatniego półwiecza uległy niemal zupełnemu rozkładowi. Po wiekach konieczności płacenia srebrem i złotem za chińskie jedwabie, korzenie i herbatę Brytyjczycy odkryli wreszcie sposób, jak dobrać się do przepastnych skarbców mandarynów. Kupowane na aukcjach w Kalkucie i przewożone do Chin opium przynosiło łatwe i ogromne zyski.

Do dziobu „Barbary Chase” przybiła szybka łódź wiosłowa. Wysoki, potężnie zbudowany Amerykanin wspiał się zwinnie po drabince i natychmiast skierował na mostek. Biała panama i poły

rozpiętego surduta podrygiwały energicznie przy każdym kroku. Tuż za nim drobił stary Chińczyk odziany w coś, co wyglądało na przepiękną pizamę z czarnego jedwabiu.

Jake Tillim wyciągnął wielką, owłosioną dłoń. Mówił obracając w kąciku ust grube cygaro.

— Witam, kapitanie Link, jak się pan miewa? — spytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — Teodorze, niech pan natychmiast rozda załodze broń. — Wskazał ręką w stronę nawodnego miasta sampanów. — Walczące smoki.

Kapitan Link chwycił linkę syreny i dał sygnał do odpierania wszelkich prób wdarcia się na pokład. W stronę parowca zbliżało się szybko kilka dużych barkasów. Były podobne w linii do łodzi Jake'a Tillima, ale pięć razy dłuższe, każdy mieścił osiemdziesięciu stojących wioślarzy. Gdy załoga „Barbary Chase” zajmowała stanowiska, znad wody dobiegło głębokie, gardłowe, nadające tempo skandowanie.

— Między tongami * z miasta a porciarzami wybuchła wojna o opium — wyjaśnił Jake. Przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi. — Kapitanie Link, czy pan przewozi opium?

Oczy kapitana błysnęły gniewnie, górną wargę ściągnął w nieprzyjemnym grymasie.

— Panie Tillim, jestem prawym człowiekiem i dowódcą tego statku! Wszystko, co przewożę, jest absolutnie dozwolone!

Wybuch kapitana w najmniejszym stopniu nie zmącił spokoju Jake'a. Odwrócił się do swego tłumacza, powiedział coś po chińsku, po czym spytał:

— Czy mogę skorzystać z pańskiej tuby, kapitanie?

Tłumacz przejął tubę od Jake'a i stanął na dziobie dokładnie w chwili, gdy pierwszy walczący smok dobijał do burty. Podniesionym głosem krzyknął coś w stronę barkasów.

— Powiedział przywódcom tongów, że zastrzeli pan każdego skurwysyna, który wychyli łeb przez reling — przetłumaczył Jake. — W zeszłym tygodniu splądrowali „Nemesis”. Nie chcieli uwierzyć, że brytyjski statek płynący z Indii nie wiezie kalkuckiego opium. Dwóch marynarzy zostało rannych, zginęło dziesięciu Chińczyków.

Kapitan Link skinął głową nieco udobruchany.

— Jestem panu ogromnie wdzięczny, Jake, ale sądziłem, że zna mnie pan lepiej.

Ponad piętnaście minut trwała wrzaskliwa wymiana zdań między tłumaczem a handlarzami opium oblegającymi amerykański parowiec.

* Zorganizowane grupy przestępcze.

Kilku wioślarzy podjęło niezdecydowaną próbę wdrapania się na pokład, ale na widok ustawionej w szyku bojowym załogi szybko im się tego odechciało.

Jake zwrócił uwagę kapitana na zbliżający się do statku przepięknie udekorowany sampan.

— Nowy przekupny urzędnik portowy, niejaki Hwiang-si. Czy mogę w pańskim imieniu wynegocjować z nim haracz?

— Oczywiście, i tak jestem już pańskim dłużnikiem — odparł kapitan Link.

Handlarze opium z walczących smoków odnieśli się z lekceważeniem do nadpływającego sampana. Jeden ze sterników splunął w jego stronę.

Agent obrócił cygaro w ustach i spojrzał na kapitana.

— Czy nie mógłby pan ryknąć tą swoją syreną i wypalić im nad głowami z dziobowego działa? Chciałbym pomóc temu Hwiang-si zachować twarz. Może obniży trochę haracz, a poza tym zbudzi pan kilku swoich starych przyjaciół, którzy odsypiają na brzegu kaca po wczorajszym przepiciu. Cha, cha, cha...

Kapitan wydał rozkaz. Syrena zawyła przeraźliwie, działo huknęło, posyłając pocisk nieszkodliwie w wodę. Na handlarzach opium nie zrobiło to większego wrażenia, ich łodzie cofnęły się jednak trochę i rozstąpiły, by przepuścić rządowy sampan.

Tłumacz dopełnił powitalnego ceremoniału, po czym z należytym szacunkiem poprowadził urzędnika portowego na mostek. Hwiang-si dobił po chińsku targu z Jake'em. Mimo iż John nie rozumiał ani słowa, bez trudu mógł się zorientować, że rozmowa w całości dotyczy interesów. Kapitan pokazał okrętowy manifest i po godzinie negocjacji Jake wręczył mu dwa skrawki papieru: na jednym widniała suma opłat portowych, na drugim — haracz.

Po odpłynięciu Hwiang-si kapitan Link zwrócił się do amerykańskiego agenta handlowego:

— Jake, chciałbym, żeby zajął się pan naszym ładunkiem, i to w obie strony: sprzedażą i kupnem. Niech pan ubezpiecza, płaci i ściąga należności, oczywiście licząc sobie odpowiednią prowizję. Ja i moja żona mielibyśmy ochotę włączyć się trochę w nurt życia towarzyskiego. Czy przyjęcia w dalszym ciągu są tu tak znakomite, jak to pamiętam?

— Nawet jeszcze lepsze. Wszystko dopracowano organizacyjnie. Każdej faktorii przypadł jeden dzień w miesiącu i poza Dniem Pańskim zawsze coś się dzieje.

— Jake, interesują mnie także wszelkie sprawdzone informacje

o Japonii, pochodzące z pańskich prywatnych źródeł. Gotów jestem dobrze za nie zapłacić. — Kapitan przywołał ruchem ręki Johna. — A to jest John Whittefield z Fairhaven w Massachusetts. W czasie pobytu w porcie pani Link nie będzie prowadziła regularnych lekcji. Mam nadzieję, że zechce mu pan przekazać część swojej wiedzy o Kantonie i Chinach?

Jake Tillim położył Johnowi rękę na ramieniu i podprowadził go do schodków.

— Z przyjemnością. Chodźmy, chłopcze. — Stawiając nogę na pierwszym stopniu, odwrócił się jeszcze i rzucił przez ramię: — Teodorze, jeśli jednak ma pan opium, to smoki proponowały tysiąc sztuk hiszpańskiego srebra za stutrydziestofuntową pakę. Hwiang-si tysiąc dwieście. Cha, cha, cha... — roześmiał się obracając w ustach cygaro i zszedł wreszcie.

W czasie pierwszego zetknięcia z Chinami John Whittefield miał dobrze poznać ten śmiech. Wysiadł z agentem z łodzi i trzymał się jego boku na nabrzeżu. Mijali rosnące sterty towarów wyładowywanych ze statku, a boski, nadzy do pasa kulisi ustępowali im pospiesznie z drogi:

Jake wyjął z ust nie zapalone cygaro, spojrzął na jego wilgotny koniec i rzucił je na ziemię.

— No, to zaczynamy, chłopcze. Pora, byś się dowiedział, że jesteś istotą bardzo pośledniego gatunku. Cha, cha, cha... Chińczycy uważają się za najwyżej rozwiniętą cywilizację świata. Zaraz poznasz wielmożnego Wu. To zacny człowiek i jako kupiec nie ustępuje żadnemu jankesowi. Spełnia także jeszcze jedną funkcję. Robi coś, czego nie podejmie się żaden mieszkaniec Zachodu — mianowicie zastępuje nas podczas *kow-tow**. My, owłosieni przybysze z Zachodu, płacimy daninę za przywilej handlu — ograniczony wyłącznie do portu w Kantonie — i musimy padać plackiem przed reprezentantem cesarza. Chinom eksport nie jest potrzebny. Ogromna liczba ludności stwarza trwałą rynek zbytu dla ich towarów, a nasze prymitywne wyroby ich nie interesują. Korzystamy z ludzi takich jak pan Wu, szef rodzinnej firmy Wu Hao-Kuan, by składali za nas daninę i odbywali ceremonię *kow-tow*. Ta fikcja pozwala nam zachować godność i nadal handlować z Chinami.

Biuro pana Wu mieściło się w jego domu, przestronnym budynku o wielu pokojach z rozsuwanymi drzwiami, z szeroką werandą biegnącą wokół całego pierwszego piętra. Dom otaczał ogród, w którym

* Z chińskiego, dosłownie: „bić czołem”. Pokłon na kolanach z dotknięciem czołem ziemi.

obwiedzione gładkimi rzeczonymi kamieniami rosły precyzyjnie rozmieszczone paprocie i egzotyczne kwiaty. Chińskiego kupca na krok nie odstępował jego najstarszy syn i choć nie odzywał się ani słowem, zrobił na Johnie duże wrażenie. W nieprzeniknionej twarzy poruszały się tylko czarne, inteligentne oczy. W przeciwieństwie do swego syna pan Wu śmiał się i wymachiwał rękami, kiwał się w krzesle w przód i w tył targując się zawzięcie po chińsku z Jake'em.

Po zakończeniu negocjacji zaprowadzono ich z gabinetu pana Wu do ogrodu. Przy niskim stoliku podano herbatę i kruche ciasteczka obłożone kawałkami kandyzowanego arbuza.

Usługiwał im syn pana Wu. Johna zaintrygowały kunsztownie rzeźbione zdobienia filarów, wsporników, gzymsów i rozsuwanych drzwi. Spojrzał w przeciwległy koniec podwórca. Z werandy na pierwszym piętrze domu obserwowało ich dziewięcioro dzieci pana Wu, jego żona, konkubiny i służba. Wliczając kilkuletnie berbecie stało tam prawie dwadzieścia osób, a mimo to nie czynili nawet szmeru. Jakby na dany sygnał, cała rodzina pana Wu nisko schyliła głowy. John zgiął się niemal w pół w odpowiedzi na ukłon.

Jake zabrał go do swego domu, obszernego mieszkania nad magazynem w porcie, i przedstawił służącym. Było ich ośmioro, w tym trzy piękne młode Chinki. Agent sypiał, pracował i jadał w jednym wielkim pokoju, z którego rozciągał się nie ograniczony niczym widok na port. Odległy kąt zajmowało łóżko z jedwabną pikowaną narzutą. Na wprost okna rozmieszczono półkolem cztery obszerne fotele klubowe z miętko wyprawionej skóry. Ten najbliższy biurka miał mocno wytarte siedzenie i przyszyty do boku pokrowiec na lunetę. Duży tekowy sekretarzyk był w połowie zastawiony książkami, a w połowie butelkami whisky i ginu. Z tego wielkiego pokoju wychodziło się na korytarz prowadzący do toalety, łazienki i pomieszczeń dla służby.

Jake usadowił się w fotelu i uniósł szklankę do napojów napełnioną do połowy whisky.

— Zdrowie twojego kapitana. To dobry człowiek, a i ja też miałem dziś dobry dzień. — Jednym haustem opróżnił szklankę, odstawił ją i wyjął z futerału lunetę. — Właśnie w ten sposób wypatrzyłem was dziś rano — wyjaśnił, przeczesując ujście Rzeki Perłowej i wejście do portu. — Pracuję na własny rachunek, toteż kiedy do portu zawija prywatny statek, muszę prześcignąć innych. Statki kompanii utrzymujących faktorie korzystają z własnych agentów.

— Ile czasu zajęło panu nauczenie się chińskiego?

— Piętnaście lat i nadal się uczę.

— Czy to właśnie dlatego zatrudnia pan tłumacza?

— Cha, cha, cha... Nie. Są dwa różne języki chińskie. Jeden oficjalny, tak zwany mandaryński, i tego się nauczyłem. Drugi potoczny, czyli język pospólstwa, i tego wciąż próbuję się nauczyć. Pewnego dnia otworzymy pozostałe porty tego kraju i zaczniemy robić interesy ze zwykłymi ludźmi. A jest ich co najmniej dwieście milionów. Cha, cha, cha... Czy możesz sobie wyobrazić taki rynek? I poza kilkoma misjonarzami ja będę jednym z nielicznych chrześcijan potrafiących się z nimi porozumieć. Wątpię, czy jest dziś pięciu Amerykanów umiejących dogadać się po chińsku.

John spojrział na agenta żującego nie zapalone cygaro, a potem rozejrzał się po pokoju, którego wyłożone drewnem sandałowym ściany zawieszono mapami i misternymi chińskimi malowidłami.

— Czy ja też mógłbym się nauczyć chińskiego?

Jake przesunął cygaro w drugi kącik ust.

— Muszę to sobie przemyśleć. Na razie włącz do wanny. Pan Wu kręcił trochę nosem. Bo i rzeczywiście czuć cię nieco, cha, cha, cha...

John przeszedł korytarzem do pokoju, w którym stała wielka wanna wypełniona gorącą, perfumowaną wodą. Na krześle leżały miękkie ręczniki, na wieszaku wisiał jedwabny szlafrok. Kiedy zanurzył się w wodzie, do łazienki weszła młoda Chinka, by zabrać brudne ubranie. John schował się w wodzie po sam nos. Nie ruszając głową śledził pełnym zachwytu spojrzeniem, jak podchodzi ze spuszczonym wzrokiem do krzesła i wraca do rozsuwanych drzwi. Poczłł znajome klucie w lędźwiach.

Po wyjściu z wanny nałożył lekki jedwabny szlafrok i wrócił do pokoju Jake'a. Czekając, aż agent się wykąpie, zapadł w fotel i zaczął podziwiać widok z okna. W stronę przystani francuskiej faktorii sunęła dwuosobowa wiosłowa łódka regatowa, mijając po drodze sampany i dżonki. Zniknęła mu z oczu za ogromną dżonką wojenną; zamknięte czopami lufy jej archaicznych dział sterczały z otworów strzelniczych jak szyjki zakorkowanych butelek wina. Daleko w dole toczącej leniwie wody Rzeki Perłowej, na tle pomarańczowej kuli zachodzącego słońca, zamajaczyło na linii horyzontu coś jakby cieniutka smużka dymu. Przebiegł bosy po wypolerowanej tekowej podłodze i wyciągnął z futerału lunetę.

— Panie Tillim! — zawołał. — Panie Tillim! — Odpowiedzi nie było. Pognał korytarzem do zamkniętych drzwi łazienki. — Panie Tillim, statek! Na rzekę wpływa parowiec!

— Jezu Chryste! — krzyknął agent.

John usłyszał plaśnięcia mokrych stóp o podłogę.

— Chodź tutaj! — polecił Jake.

Sądząc, że polecenie odnosi się do niego John rozsunął drzwi. Jake stał pośrodku wielkiej wanny, w kłębach pary bijącej z jego nagiego ciała, i sięgał po szlafrok, który podawała mu ta sama piękna dziewczyna. Ona także była naga, naga i niezwykle piękna. Jej ciało o barwie kości słoniowej lśniło wilgocią w miękkim świetle papierowego lampionu. W wyciągniętej ręce trzymała szlafrok Jake'a. Po raz pierwszy w życiu John Whitefield zobaczył nagie kobiece piersi. Były małe i spiczasto zakończone. Plaski brzuch spływał gładko do kępkę czarnych włosów. Jake chwycił szlafrok, a dziewczyna odwróciła się tyłem. Na widok jej krągłych pośladków, szczupłych ud i hebanowych włosów połyskujących na tle jedwabistych pleców John musiał się oprzeć o futrynę. Usłyszał swoje imię, ocknął się i podniósł wzrok.

Jake był już ubrany i wycierał ręcznikiem głowę.

— Zamknij drzwi!

John sięgnął do gałki, ale zamiast tego przebił dłonią papierową ścianę. Natychmiast wyszarpnął rękę, powiększając jeszcze rozdarcie. Wreszcie udało mu się zasunąć drzwi, choć trzasnął nimi przy tym o framugę. Wybiegł na werandę. Zacisnął ręce na poręczy barierki i wbił wzrok w cienką smuzkę dymu, ledwie widoczną na tle ostatnich promieni słońca.

Zza pleców dobiegały go krzyki Jake'a, po chińsku i angielsku. Jedyne, co udało mu się z nich wyłowić, to: „Jezu Chryste, Lulee!”, a potem: „Łódź, przygotować łódź!” Na koniec rozległ się brzęk butelek.

— Świetnie się spisaleś, chłopcze — powiedział agent.

John odwrócił się i ujrzał, że Jake trzyma w jednej ręce dwie butelki whisky, a drugą zdejmując z półki dwie butelki ginu. Agent podniósł je do góry i uśmiechnął się.

— Jeśli to Amerykaniec — whisky; jeśli Ango! — gin. Bądź tak miły i podaj mi cygaro z tamtego pudełka.

John podbiegł do biurka.

Jake pochylił głowę i otworzył usta.

— Wsadź mi je w zęby i już mnie nie ma. - Po czym, z cygarem tkwiącym już na swym miejscu, w kąciku ust dorzucił: — Wyświadczyłeś mi nieliczną przysługę, chłopcze. Dobrej nocy, cha, cha, cha... — I pobrzękując butelkami zniknął za drzwiami, zza których dobiegło jeszcze jego głośnie wołanie: — Lulee!

Służący przyniósł Johnowi obiad: gotowane ziemniaki, pieczoną rybę, warzywa, herbatę i ciasteczka z migdałami. Wszystko było

bardzo smaczne, ale John poczuł się trochę zawiedziony — spodziewał się jakichś egzotycznych potraw chińskiej kuchni. Jadł samotnie ten posiłek wodząc wzrokiem po panoramie zalanej światłem księżycza zatoki; tysiące rozhuśtanych lampionów na sampanach mieszkańców portu przywodziło mu na myśl roje robaczków świętojańskich pobłyskujących w ciepłą noc w Massachusetts. Wszedł następny służący, żeby opuścić bambusowe rolety. John otulił się szczelniej szlafrokiem i zwinął w kłębek na miękkim skórzanym fotelu. Chwilę później już spał.

Przez sen poczuł delikatny, pieszczotliwy ucisk na karku, a zaraz potem zapach perfum. Jedwabisty brzuch musnął mu uda sunąc w górę ku jego pośladkom, smukłe nogi ułożyły się dokładnie wzdłuż zagięć jego ciała i zaczęły grzać go swoim ciepłem. W nikłym świetle papierowego lampionu ujrzał, jak szczupła dłoń o długich srebrnych paznokciach rozwiązuje mu pasek od szlafroka. Odwrócił się na plecy, poły szlafroka zsunęły się na boki i jego jędrne mięśnie zetknęły się z ciepłym aksamitem jej ciała. Patrzył w gładką twarz i czarne oczy pięknej dziewczyny z łazienki. Uśmiechnęła się i delikatnie, lecz stanowczo położyła sobie jego ręce na biodrach.

Rozsunął palce obu dłoni i objął jej krągłe pośladki. Wstrząsnął nim dreszcz lęku i pożądania; nie mógł się powstrzymać od pieszczenia tego ciała, a jednocześnie drżał z obawy, że przerwie powolny, leniwy ruch jej bioder. Koniuszkami palców potarła jego sutki. Odebrało mu dech, sapnął konwulsyjnie i przytulił ją do siebie tak mocno, że wbił jej swe pulsujące prącie w brzuch. Powoli, delikatnie objęła je palcami i wprowadziła w siebie. Poczuł się tak, jakby wraz z nim cały wniknął do jej wnętrza. Drzenie jego ciała zmieniło się we wzbierający, nie kończący się ciąg fal, pchających biodra w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół... Usłyszał swój własny śmiech, odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie krzyk, chwytając ją z całych sił, w obawie, by nie uciekła. Ale jej ciało pulsowało rozkoszą, nasuwało się na niego i podrywało w górę, tylko po to, by zawirować pod nim, nad nim i sprawić, by eksplodował jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze... Wiedziała doskonale, gdzie i kiedy go dotknąć. Przerwy pomiędzy orgazmami stawały się coraz dłuższe, rozkosz coraz pełniejsza. John naśladował jej pieszczoty, aż w końcu zupełnie wycieńczeni zapadli w sen w swych ramionach.

Nim nastał ranek, wyśliznęła się z jego objęć. Czuł, że odchodzi, ale niczym tego nie zdradził. Potem wstał i podciągnął bambusową roletę. Długo, bardzo długo wpatrywał się w migotanie świętojańskich

robaczków lampionów, nie wiedząc, czy płacze z powodu grzechu, który popełnił, czy też radości, której zaznał.

— Jutro pójde do kościoła — postanowił szeptem.

Wstawaj, chłopcze! No, wstawaj! — Jake potrząsał go za ramię. — Masz mnóstwo do obejrzenia. Pan Wu zorganizował nam specjalną wycieczkę. Łap! — Rzucił Johnowi ubranie. — Myj się, wskakuj w to, jemy i już nas nie ma.

Ubranie było nowe, z delikatnego materiału, idealnie na niego pasowało. Nóż tkwił dokładnie na swoim miejscu na nowym skórzanym pasku, a wszystko, co miał w kieszeniach starego ubrania, przełożono w odpowiednie kieszenie nowego.

Zajadając chrupiącą pieczoną wołowinę maczaną w surowym jajku, spytał:

— Skąd się wzięło to moje nowe ubranie?

— Uszyto ci je dziś w nocy — odparł Jake. — Trzeba ci bowiem wiedzieć, że mają tu, w Chinach, ogromną nadwyżkę siły roboczej. Maszyny do szycia przywożone z Ameryki pozwalają wykonać robotę szybciej, ale także pozbawiają pracy mnóstwa nieszczęśników. Technologie Zachodu nie są tu błogosławieństwem. Można by je nawet nazwać przekleństwem.

— Takim jak opium?

— No, nie, nie aż takim — pokręcił z wolna głową Jake. — Nic nie może być takim przekleństwem jak niebiański proszek. Parowiec, który wypatrzyłeś wczoraj, to „Lord Amhurst”, statek Kompanii Wschodnioindyjskiej, powracający właśnie z handlowego rekonesansu na północ. Kapitan mówi, że wszędzie, gdzie dotarli, wzdłuż całego chińskiego wybrzeża, jest ogromny popyt na ten narkotyk. Z każdego miasta i wioski wypływały im na spotkanie łodzie, których załogi zaczynały groźnie szemrać na wiadomość, że statek nie przewozi opium. Zżywanie narkotyku jest zakazane przez tutejsze prawo, ale handel nim nie jest niczym ograniczony. Według dowódcy „Lorda Amhursta” w Chinach jest co najmniej dziewięć milionów nałogowych palaczy.

Po śniadaniu wyszli na werandę. „Nemesis” stała na kotwicy pośrodku zatoki, a na jej dawnym miejscu cumował „Lord Amhurst”.

Jake wskazał ręką w dół rzeki, w kierunku czegoś, co John brał za wielkie łodzie mieszkalne.

— To są punkty przeładunkowe opium, pływające hurtownie, wszystkie potężnie uzbrojone. Po dobieciu targu walczące smoki

wyływają łodziami, by uiścić należność i wejść w posiadanie opium, zawsze pod osłoną dział hurtowni, po czym pędzą na łeb na szyję do brzegu w obawie, by ich nie napadnięto i nie zrabowano towaru. Biorąc pod uwagę korupcję urzędników, powszechne opłacanie haraczu i nędzną armię, rząd chiński niewiele może z tym zrobić.

Spostrzegawczy zazwyczaj Jake Tillim tym razem zupełnie nie zauważył, że liczba wojennych dżonek w porcie kantońskim ostatnio znacznie wzrosła i że załoga Hu-men, fortu strzegącego Tygrysich Wrót, została poważnie wzmocniona. Od dwóch miesięcy gigantyczne dżonki bojowe wślizgiwały się po jednej do portu i cumowały w gąszczu mieszkalnych sampanów. Cesarz Tao-kuang rozkazał ze swego dworu w Pekinie raz na zawsze ukrócić nielegalny handel opium, wyznaczając na wykonawcę swych rozkazów Lin Tse-hsu.

Lin, od ponad czterdziestu lat wysoki urzędnik państwowy, zabrał się do dzieła zaczynając od wzmocnienia sił rządowych. Zdawał sobie sprawę, że ma dwóch wrogów: zachodnich handlarzy i chińskie tongi. Jego wysłannicy przetrząsnęli całe cesarstwo w poszukiwaniu dział, które dałoby się kupić bez wzbudzenia specjalnych podejrzeń. Uzbrojono w nie cesarskie dżonki i jedną po drugiej wprowadzono do portu w Kantonie. To, że ani Lin Tse-hsu, ani jego oficerowie zupełnie nie znali zachodniego uzbrojenia i zachodnich metod walki, nie miało większego znaczenia. Podstawowym założeniem planu działania było przytłoczenie wroga liczebnością. Zgromadzono i zainstalowano hiszpańskie i portugalskie armaty, pochodzące jeszcze z siedemnastego wieku. Wymontowano z fortów i umocowano na prowizorycznych lawetach szesnastowieczne holenderskie kartauny i weneckie dwunastofuntówki. Załogom dżonek i fortu rozdano ponad stuletnie rusznice i skałkowe muszkiety. Ze znajdujących się w porcie dwudziestu dwóch dżonek wojennych ledwie sześcioma dowodzili kapitanowie, którzy mieli jakieś doświadczenie w walce z zachodnimi statkami. A byli to najęci przez rząd małańscy piraci.

Po drodze do domu pana Wu Jake Tillim i jego młody podopieczny minęli Kaplicę Marynarską. John spojrzął na krzyż na szczycie maleńkiego, spiczastego dachu i ogarnęło go poczucie winy; wiedział, że powinien tam zająć i błagać Boga o przebaczenie, ale na samą myśl o młodej Chince poczuł, że spodnie zaczynają go uwierać w kroku.

- Źle się czujesz, John?
- Och, nie, panie Tillim.

— To nie zostawaj w tyle. W tym kraju każdy, kto trzyma się z tyłu za mężczyzną, to kulis albo kobieta. Jedno i drugie mają tu za nic.

John dogonił szybko agenta, mając nadzieję, że obrzucenie w jego spodniach nie rzuca się zbyt w oczy i zachodząc w głowę, jak można mieć za nic dziewczynę z łazienki. Zastanawiał się, czy nie powinien jej poprosić o rękę. Ale był jeszcze za młody, musieliby poczekać kilka lat.

W domu handlarza podjęto ich herbatą i ciasteczkami maczanymi w miodzie. Najstarszy syn pana Wu zaprowadził ich do pomieszczenia, w którym przebrali się w chińskie stroje — długie chałaty z czarnego jedwabiu zapinane pod samą szyję, z za długimi rękawami o bogato haftowanych mankietach. Całości dopełniały białe jedwabne pończochy i czarne jedwabne kapcie.

Jake wyprowadził chłopca na małe podwórko obok ogrodu, gdzie wsiedli do zamkniętego palankinu. Sześciu tragarzy natychmiast dźwignęło go z ziemi, kładąc sobie drążki lektyki na ramionach. Za nimi ruszyło sześciu tragarzy zmienników, a przodem pobiegł obwoływacz, by torować im drogę. Rozparci wygodnie na poduszkach mogli wyglądać przez bambusowe rolety, sami nie będąc widziani z zewnątrz.

Już wkrótce znaleźli się na rojnych ulicach centrum miasta, mijali stłoczone domy, stragany, kramy i wyloty bocznych zaułków, o wiele za wąskich dla palankinu. John zauważył różnice w ubiorze przechodniów, znamionujące — jak mu wyjaśnił Jake — różnice w zajmowanej pozycji społecznej. Powietrze przepelniał swąd palonego torfu, używanego do gotowania potraw, zmieszany z zapachem soi, pimentu, czosnku, imbiru, octu i wielu innych nieznanymi przypraw. Koło Ptasiego Mostu zatrzymali się w restauracji „U Wei, Długiego Noża”. Podczas posiłku z gotowanej wieprzowiny, placków zbożowych i ryżowego wina przyglądali się barkom pchanym długimi żerdziami i ciągnionym przez burłaków po kanale.

Podjąwszy znów przejażdżkę zobaczyli ludzi, którzy cały swój warsztat pracy nosili na własnych plecach, ale także fabryki zatrudniające setki osób. Tu i tam można było dostrzec zwierzęta pociągowe, ale to głównie ludzie wypełniali ulice — ludzie z pakunkami, tobołami, z koszami huśtającymi się na nosidłach. Gdziekolwiek spojrzeć, widać było taczki, niektóre nawet z żaglami pomagającymi je pchać po drogach. Chińczycy zamieszkujący Kanton wydali się Johnowi bardzo czysti, niezwykle przedsiębiorczy, stale w ruchu, pracowici jak mrówki i — nade wszystko — jak mrówki liczni.

Wieczorny posiłek zjedli w restauracji Wah-Linga „Purpurowy Smok”. Pierwszym daniem była zupa jajeczna. Na brzegu miski leżały starannie ułożone cienkie paski wołowiny, w środku smażony w oleju makaron tworzył coś w rodzaju gniazda, w którym spoczywało marynowane jajko. Wokół stały miseczki z filedami z ryb, białym ryżem, mnóstwem dziwnych warzyw oraz sosami: słodkim i kwaśnym, ostrym i łagodnym. Do tego podano herbatę różnych gatunków, o różnych smakach.

Słońce chyliło się ku zachodowi, papierowe lampiony w domach i sklepach rzucały barwne odbłaski. Palankin przeciskał się jeszcze jakiś czas przez tłumy, po czym postawiono go na ziemi przed czymś, co wyglądało na długą, drewnianą halę fabryczną. Nie było żadnych drzwi i tylko nieliczne okna wskazywały na to, że budynek ma dwa piętra. Zza palankinu wyłonił się najstarszy syn pana Wu w towarzystwie dwóch krzepkich tragarzy. Podeszli do budynku, a Jake i John ruszyli za nimi. Wewnątrz stało kilku mężczyzn, najwyraźniej strażników, sądząc po mnogości noży, sztyletów i pistoletów wiszących im u pasa. Oczekiwano ich przybycia; zostali natychmiast powitani przez młodego człowieka w długiej, jedwabnej, pięknie wyszywanej szacie. Skłonił się nisko, zamienił kilka słów z synem pana Wu i poprowadził ich w głąb korytarza przez dwoje drzwi z zasłonami z paciorków. John poczuł, że do gardła wciska mu się ciężki, duszący, słodki zapach. Zakręciło mu się w głowie i omal się nie zakrztusił.

— Tu wszędzie aż cuchnie od opium — wyjaśnił Jake.

Syn pana Wu rozchylił zasłonę przesłaniającą drzwi po prawej. W małej klitce, na grubej narzucie leżał jakiś mężczyzna w średnim wieku. Rozwalony wśród poduszek, opierał się na łokciu i wciągając policzki ssał krótką, prostą fajkę. Tuż obok siedziała w kucki młoda dziewczyna. Bosa, w brudnych, postrzępionych łąkach, nabijała mu następną fajkę mieszaniną tytoniu i opium. Syn pana Wu ruszył dalej korytarzem, rozsuwając jedną po drugiej mijane kotary. Doszedłszy do ostatniej klitki przed schodami dosłownie odrzucił zasłonę na bok, omal nie zrywając sznurów paciorków z bambusowej poprzeczki. Godzien pożałowania człowiek na posłaniu nie zwrócił na to żadnej uwagi. Toczył głową po poduszkach, szliste oczy rozjeżdżały mu się w różne strony, nie był w stanie na niczym skupić wzroku.

Syn pana Wu powiedział coś po chińsku do Jake’a. John bardzo uważnie obserwował twarz młodego Chińczyka, ale nie dostrzegł na niej nawet śladu jakichkolwiek uczuć. Jake skinął potakująco głową.

Skręcili w stronę schodów.

— Na parterze jest siedemnaście rzędów po sześćdziesiąt pięć „gabinetów”. Dwa wyższe piętra są dla mniej zamożnej klienteli.

John ruszył za nimi po wydeptanych schodach. Spod lakieru na stopniach przezierały słoje drewna. W miarę jak wchodzili coraz wyżej, na sile przybierał jakiś dziwny ni to szept, ni to szmer. Dym kłębił się pod niskim sufitem jak gęsta mgła. Papierowe lampiony na bambusowych drążkach rzucały plamy niesamowitych blasków pełgających po nie kończących się rzędach niskich drewnianych pryczy, zajmujących całą długość i szerokość budynku. Na tych opiumowych łóżach leżeli wyniszczeni ludzie o ziemistej cérze, szcherniałych zębach i zapadniętych twarzach. Z głębi oczodołów szklane oczy wpatrywały się bez mrugnienia w obce światło. Nikt nie odzywał się ani słowem. Ów dziwny szelest był wzmocnionym dziesiątki i setki razy odgłosem ssania fajki. W wąskich przejściach między rzędami małe, brudne dzieci nabijały i zapalały fajki. Na dany przcz nie znak pojawiało się dwóch dorosłych mężczyzn i odnosiło bezwładne ciała w koniec sali, gdzie skrywały ich kłęby migotliwej mgły.

Zakrzuszył się słodkim, duszącym dymem. Syn pana Wu odwrócił się i wtedy John zobaczył, że po jego gładkiej pozbawionej wszelkiego wyrazu twarzy spływają łzy. Młody Chińczyk bez słowa ujął go pod ramię i sprowadził po schodach. Pozostali weszli za nimi. Wyszli na dwór po przeciwnej stronie budynku. John zaniósł się kaszlem, starając się opróżnić płuca z dymu i jednocześnie chwycić haust świeżego powietrza. Jake uderzył go kilka razy w kark. Pan Wu odezwał się po chińsku, pokazując okno na piętrze z rozsuwanymi na boki bambusowymi zasłonami. Od okna do stojącego pod nim wozu z osiołkiem prowadziła drewniana rynna. Zasłony zagrzechotały. Do rynny wrzucono wychudzone ciało, które z szorstkim szelestem zsunęło się do wozu. Rozległ się grzechot zasuwanych zasłon. U drugiego końca budynku majaczył w ciernności tłum ludzi tłoczących się do wejścia.

Jake położył Johnowi rękę na ramieniu.

— Ci wychodzący oknem pożegnali się już z tym światem; ci, którzy czekają przy wejściu, liczą, że uda im się kupić lepszy świat, choćby tylko na chwilę.

Podeszli do palankinu. W drodze powrotnej chińskie lampiony nie wydawały się już Johnowi tak wesołe, a ludzie tak szczęśliwi.

— Dlatego właśnie kapitan Link tak się na mnie rozżłościł, kiedy spytałem go, czy ma na pokładzie opium — powiedział Jake. — Widział już takie palarnie. Te należy do największych, ale mniejsze można znaleźć w każdym zakątku miasta. — Potrząsnął głową. —

Ponad dziewięć milionów narkomanów. To tyle, ile wynosi liczba ludności całych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Z tym trzeba skończyć! — John wyrzucił z siebie te słowa z taką gwałtownością, że Jake Tillim spojrział na niego zaskoczony.

— Widzisz — powiedział — jestem przeciwko handlowi opium, ale chyba się już do tego przyzwyczaiłem. — Westchnął ciężko. — Byli już i Chińczycy, i ludzie z Zachodu, którzy próbowali położyć temu kres. Rodacy jednych i drugich odwiedli ich od tego pomysłu, a co bardziej upartych po prostu zabili. Znaczna część gospodarki Anglii i innych krajów europejskich opiera się na opium.

— Ale dlaczego sami Chińczycy czegoś z tym nie zrobią?! Przecież to ich kraj. To ich się niszczy!

— Może pewnego dnia ktoś taki jak syn pana Wu znajdzie na to sposób. A tymczasem wielu wysoko postawionych urzędników chińskich zbija na handlu opium fortuny. A większość Chińczyków nawet o tym nie wie.

— Skoro w tym kraju jest dziewięć milionów palaczy, to każdy musi o tym wiedzieć.

— Chłopcze drogi, Chińczyków jest ponad dwieście pięćdziesiąt milionów, rozrzuconych na czterech milionach mil kwadratowych. Mówią niby tym samym językiem, ale jego dialekty różnią się między sobą tak znacznie, że nie wszyscy potrafią się między sobą porozumieć. Tylko bogaci kupcy i urzędnicy państwowi znają mandaryński.

John opadł bezsilnie na tylną ściankę palankinu. Z dołu dobiegło go stęknienie tragarza zaskoczonego tą nagłą zmianą rozmieszczenia ciężaru. Ogarnął go gniew, że przysporzył temu człowiekowi bólu, że daje się nosić innym ludziom, że pożąda tej chińskiej dziewczyny, a najbardziej rozżłościła go własna bezsilność.

— Gdyby Chińczycy potrafili znaleźć wodza i stworzyć przyzwoitą armię...

Suchy rechot Jake'a przerwał mu w pół zdania. Agent dźgnął go palcem w pierś.

— Jesteś dość dojrzały jak na takiego młokosa. Utrafiłeś w samo sedno koszmaru sennego każdego białego handlarza w tej kolonii. W porcie kantonskim nie ma pewniejszego sposobu na zdobycie powszechnej niechęci niż podniesienie tego tematu. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że wystarczy jedna iskra i hordy Chińczyków rzucą się nam do gardeł. Jest ich tylu, że mogliby nas wszystkich potopić w zatoce, wylać do niej jednym chluśnięciem, jak kubeł pomyj... Oczywiście gdyby ktoś ich poprowadził. Każda faktoria ma przygotowany na taką ewentualność plan działania.

Po powrocie do domu Jake ubrał się na przyjęcie w szwedzkiej faktorii. Życzył Johnowi dobrej nocy i polecił mu kilka książek ze swego zbioru. Natychmiast po jego wyjściu John pobiegł do łazienki. Kiedy wszedł do wanny, zjawiła się ta sama dziewczyna. Ze spuszczonej skromnie oczyma zabrała z krzesła ubranie. Tym razem John nie dał nura pod wodę. Wpatrywał się w nią zupełnie otwarcie. Nim zamknęła zasuwane drzwi, podniosła wzrok i spojrzała mu przeciągle w oczy. Odwróciła się i zniknęła. Ociekając wodą wyskoczył z wanny, wytarł się szybko ręcznikiem i założył jedwabny szlafrok. Zamiast wrócić do wielkiego pokoju, przystanął i spojrzał w głąb mrocznego korytarza. Z jakichś drzwi padała smuga światła, kładła się plamą na podłodze i przeciwległej ścianie korytarza. Szeleszcząc cicho jedwabnymi kapciami po tekowych deskach podszedł do smugi światła i stanął w otwartych drzwiach. Dziewczyna leżała na pikowanej narzucie, przykryta bladobłękitnym jedwabnym prześcieradłem, które spływało miękko w dół podkreślając zarysy jej ciała. Nagie ramiona, lekko uróżowane policzki i ciemne oczy — wszystko przyzywało go do siebie. Zasuwał drzwi, zrzucił jedwabny szlafrok i podszedł do łoża.

Bujne życie towarzyskie Kantonu co wieczór wywabiało Jake'a z domu, a John nie mógł się wprost doczekać, kiedy znów zostanie sam w mieszkaniu. Ale kilka dni później nie zastał dziewczyny w jej pokoju. Ponieważ nigdy nie zamienili ze sobą słowa, nie wiedział nawet, jak ma na imię. Zaczął chodzić w tę i z powrotem korytarzem, pokaszując z cicha w nadziei na jakikolwiek znak. Ktoś odpowiedział takim samym pokaszaniem. Otworzył drzwi, oblał się rumieńcem i szybko uklonił zaskoczonemu kucharzowi. Jednocześnie znów usłyszał pokaszanie. Uklonił się jeszcze raz, zasunął drzwi i otworzył następne. To była inna dziewczyna, ale równie piękna. Zastygł w progu, żałując, że nie zna ani słowa po chińsku. Ale kiedy przywołała go skinieniem dłoni, bez wahania wszedł dalej.

Następnego dnia Jake jadł obiad w domu. John był rad, że może z kimś porozmawiać.

— Lulee ma dość dziwne pojęcie o ludziach z Zachodu — zagaił.

— No cóż — odparł agent — z punktu widzenia Chińczyków jesteśmy niezłymi dziwolągami. — Podniósł porcelanową filiżankę. — Bierzymy ich herbatę, słodzimy ją tak mocno, że zaczyna tracić smak i aromat, a na dokładkę wciskamy do niej cytrynę, żeby już na pewno

nie dało się w niej wyczuć herbaty. — Jake odchylił się na oparcie fotela i wyciągniętym palcem wskazał na Johna. — Ty i ja jesteśmy w ich oczach barbarzyńcami. Czymś niższym, gorszym. Ale popatrz na to z ich strony. Przecież w rzeczy samej płacimy daninę za przywilej handlu z nimi. Dla nich kraje Zachodu są takimi samymi hołdowniczymi krainami, jak wszystkie inne państwa, które były im czołem przez ostatnie pięć tysięcy lat. Jedynymi towarami, na których imporcie im zależy, są bawełna i opium. Ale i bez jednego, i bez drugiego doskonale mogliby się obejść. — Wyrzucił ręce w przód, dzwignął się z fotela i wziął z półki jakąś książkę. Poklepał ją po okładce. — To obowiązkowa lektura dla wszystkich urzędników wchodzących w kontakty z cudzoziemcami. „Zapis świadectw o obcych krainach, naocznych i zastyszanych”, z roku 1730. — Podszedł do wiszącej na ścianie mapy. — Nie widzisz tu nic dziwnego? Sporządziłem ją na podstawie opisów podanych w tej księdze.

John przyjrzał się uważniej. Anglia leżała w Holandii, Hiszpania i Portugalia w Turcji, Szwecję, Danię i Norwegię stłoczono razem w Austro-Węgrzech i Niemczech.

Jake popukał książką w mapę.

— Chińczycy uważają, że Francuzi wyznawali pierwotnie buddyzm i że to z niego przez wieki wykształciła się religia chrześcijańska. — Odłożył książkę na półkę, usadowił się wygodnie w fotelu i wodząc wzrokiem po porcie ciągnął dalej: — Jest trochę nowsza wersja tej książki, ale niewiele lepsza. Opisuje Anglię jako kraj zdolnych administratorów, którzy zbudowali trzy mosty, doprowadzili do stolicy wodę rurociągami i zezwolili swoim statkom pomagać w niebezpieczeństwie marynarzom wszystkich innych krajów. Ameryka to wyspa. W pierwszym wydaniu Ameryki w ogóle nie ma. Teraz jest wyspą należąca do Anglii. Amerykanie specjalizują się w budowie szybkich łodzi i statków buchających ogniem, który obraca wiosła. Mężczyźni w Ameryce każą swoim kobietom wiązać się mocno w pasie, żeby mniej jadły. Cha, cha, cha...

Johnowi przyjemnie rozmawiało się z Jake'em Tillimem, ale zapadał już zmrok, a gospodarz nie zdradził jeszcze swych planów na wieczór.

— Dzisiaj nie ma żadnego przyjęcia, panie Tillim?

— Ano właśnie, ano właśnie, jest i chciałem cię na nie zabrać.

John wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta.

— Mucha ci wpadnie, chłopcze.

Zamknął szybko usta z głośnym kłapnięciem zębami.

— Myślałem, że przyjęcia są tylko dla dorosłych.

— Hm, to prawda, ale stałeś się dużym, aktywnym chłopakiem. Czy może wolisz zostać w domu?

- Raczej tak, tak chyba będzie najlepiej. Wolałbym zostać, poczytać trochę i odpocząć.

— Jak sobie życzysz, rób, na co masz ochotę — odparł z uśmiechem Jake.

Wstał od stołu i nałożył strój wizytowy. Natychmiast po jego wyjściu John wykąpał się i pognął do pokoiku w korytarzu, ciekaw, która dziewczyna dziś na niego czeka.

5 kwietnia 1842 roku Jake Tillim przesłał wiadomość kapitanowi i pani Link, by natychmiast wracali na pokład statku. John otrzymał zakaz opuszczania mieszkania. Pijani marynarze zamordowali nieumyślnie młodą Chinkę, i to w centrum Kantonu, czyli poza obszarem dostępnym oficjalnie dla cudzoziemców.

Śmierć ta dała początek serii wydarzeń, które przeszły do historii jako wojny opiumowe. Ich celem było zniesienie haraczu — czyli płacenia daniny za przywilej handlu — otwarcie portów na południe i północ od Kantonu i przekazanie zarządu nad tymi portami i ich mieszkańcami państwu Zachodu. Co więcej, koszt wprowadzenia w życie tych nowych rozwiązań mieli ponieść Chińczycy.

Po przyjaznej burdzie pomiędzy marynarzami z „Lorda Amhursta” a jego siostrzanego okrętu „Nemesis”, załogi rozeszły się każda w swoją stronę, upiększając po drodze opowieści o niedawnej bijatyce, prowadząc głośne rozmowy i nie przestając pić. Wielki Bill Hooker, świetny marynarz z południowego Londynu, sięgnął przez ladę ulicznego kramu i wziął sobie garść wędzonych węgorzy. Kiedy właściciel zaprotestował i chwycił go za rękę, potężnej postury marynarz zadał mu cios w szczękę. Niski i drobny handlarz runął jak długi; jego młoda córka podbiegła podnosić ojca z ziemi.

Hooker wskoczył na ladę straganu. Wymachując węgorzami, zaczął ryczeć na cały głos jakąś piosenkę marynarską. Nim dobiegł do końca, pierwszej zwrotki, stragan zawalił się, a Hooker spadł na córkę handlarza i złamał jej kręgosłup. Dziewczyna jeszcze dziesięć minut krzyczała z potwornego bólu, nim umarła. Ściągnięci jej krzykiem sąsiedzi, krewni i przechodnie otoczyli marynarzy. Gdyby *nie* zjawiły się chińskie stráže, rozwścieczony tłum rozerwałby ich w strzępy.

O wypadku powiadomiono Lin Tse-hsu, namiestnika cesarza, który natychmiast rozkazał wtrącić cudzoziemców do więzienia i zgodnie z prawem osądzić zbiorowo za morderstwo.

Jeden z chińskich dozorców więziennych, ciekaw, czy stosowane przez niego metody tortur działają także na Anglików, wydusił z nich

informację, że jednak plotki o „Lordzie Amhurście” są prawdziwe. „Zapchany jest opium aż po pokład!” — wykrzyczał któryś marynarz. Była to nieprawda, ale Anglik powiedziała by wszystko jedno co, byle przestano mu zadawać ból.

Ci z „Nemesis” dowiedzieli się o uwięzieniu kolegów i postanowili ich odbić. Wdarli się do aresztu, zranili kilku strażników i oswobodzili z bambusowych klatek swoich kompanów, a przy okazji wszystkich pozostałych aresztantów. Na koniec, w pijackim szale, podpalili więzienie. Posiłki chińskie, wespół z tłumem przechodniów, ścigały marynarzy aż na teren angielskiej faktorii.

Z balkonu mieszkania Jake’a John próbował wypatrzeć źródło przerażającego hałasu, niby ryku jakiegoś gigantycznego prehistorycznego zwierzęcia. Pod brytyjską faktorią, trzysta jardów dalej, zgromadził się tysięczny wyjący tłum. „Lord Amhurst”, pniąc wodę łopatkami kół, odbił od przystani, uwożąc marynarzy i pozostałych Anglików. Jake dał Johnowi z ulicy znak, by natychmiast biegł z nim do łodzi. Zdążyli w ostatniej chwili; łódź odbiła i wyprysnęła na wody zatoki w stronę „Barbary Chase”.

Tymczasem dozorca więzienny sprzedał wiadomość o opium na pokładzie „Lorda Amhursta” przywódcy największego tongu w Kantonie. Ośmiuset zbirów na dziesięciu walczących smokach wypłynęło na wody portu, by zatrzymać statek — w drodze targów lub przy użyciu siły, zależy, co się okaże konieczne. Wiadomość o wielkim ładunku opium rozeszła się wśród mieszkańców portu i dotarła do szefów portowych tongów, którzy natychmiast polecili swoim ludziom ścigać parowiec. Dowódcy dzonek wojennych postawili swe załogi w stan pogotowia, pewni, że oto wreszcie nadeszła pora działania.

John przelazł przez reling „Barbary Chase”, przeciął pokład, wbiegł po schodkach na mostek i zajął miejsce po prawej ręce kapitana Linka.

Pani Link spojrzała na niego od drugiego boku męża.

— John, nie należy się tym tak bardzo przejmować. Takie zamieszki kończą się zwykle na niczym.

Ale chłopiec widział, że kapitan wcale nie lekceważy sytuacji. Jego ludzie zajęli stanowiska bojowe, a na śródkręciu zamontowano dwa nowe dwudziestofuntowe działa obrotowe. Kapitan nacisnął na uszy czarny melonik, obserwując w napięciu, jak spomiędzy gęstwy mieszkalnych sampanów wypływa kolejne dwadzieścia pięć walczących smoków i gna co sił w wiosłach, by przeciąć drogę „Lordowi Amhurstowi”, nim dotrze do Rzeki Perłowej. Poprzez dudnienie silników

parowych przebijał się dobiegający z odległości mili chóralny śpiew dwóch tysięcy wiosłarzy, narzucających sobie coraz szybsze tempo. Ryk dopingu zbitego tłumu, który zajął brytyjską przystań, wyraźnie dodawał im sił.

Jake Tillim ujął kapitana pod ramię i odprowadził go na bok.

— Muszę wracać, Teodorze.

— Czy to bezpieczne?

— Ja już nie umiałbym żyć nigdzie indziej.

Kapitan skinął głową i uściśnął mu dłoń.

— Nie zapomniałem o pańskiej prośbie — powiedział Jake. — Moi informatorzy powiadają, że Chiny sprowadzają z Japonii trochę miedzi, oczywiście pod kontrolą rządu. Obie strony to i owo szmuglują, ale ostatnio złapano tu Japończyka z mapami oraz rysunkami zachodnich statków i marynarzy. — Obrócił cygaro w ustach i zawołał do pani Link: — Moje uszanowanie pani!

Pani Link odpowiedziała skinieniem głowy.

— Miło było patrzeć, jak dorastasz w Chinach — zwrócił się Jake do Johna, poklepując go po ramieniu. — Teraz, kiedy wrócisz na pokład, będziesz mógł się wreszcie porządnie wyspać. Cha, cha, cha...

Nim do Johna w pełni dotarło znaczenie jego słów, Jake Tillim zbiegł po schodkach i zaczął przełazić przez reling. Na ostatnim szczeblu drabinki spojrzął w górę, puścił do Johna oczko i wskoczył do łodzi.

„A ja sądziłem, że on o niczym nie wie” — pomyślał John. „Boże, jaki byłem głupi!” Ale kiedy się odwrócił, nikt nie zauważył pąsów na jego twarzy. Wszyscy obserwowali pościg smoków za „Lordem Amhurstem”.

Kapitan „Nemesis” rozkazał trzymać kotły pod parą i podnieść kotwicę. Wystrzałem z działa i kodem flagowym zapytał „Lorda Amhursta”, czy nie potrzebuje pomocy. Ten wystrzał z działa wprowadził z równowagi dowódcę fortu strzegącego Tygrysich Wrót. Widząc nadpływający parowiec, ścigany przez smoki, rozkazał swoim kanonierom otworzyć do niego ogień. Kilka wiekowych dział eksplodowało na swoich lawetach, zabijając obsługujących je ludzi i wzniciając pożar, od którego wyleciały w powietrzezymane opodal beczki z prochem.

Z chińskich dzonek wojennych wyglądało to tak, jakby fort znalazł się pod ostrzałem brytyjskich statków. Na rozkaz dowódcy rządowej floty z burty jego flagowego okrętu wystrzeliły trzy czerwone race i ciągnąc ogony dymu rozprysły się wysoko nad zatoką. Trzydzieści chińskich okrętów odcięło liny cumownicze, postawiło żagle i wyłoniło

się spomiędzy mieszkalnych sampanów, miażdżąc je i zatapiając swoimi cielskami.

Pierwsza salwa z fortu wzbija słupy wody wokół dziobu „Lorda Amhursta”, nie czyniąc mu żadnej szkody. Ale angielski kapitan zorientował się natychmiast, że jeśli utrzyma kurs, jego okręt wpakuje się prosto pod lufy dział co najmniej dwóch baterii fortu.

— Panie pod pokład! — rozkazał przez tubę. — Panowie, dostaniecie ręczną broń. Proszę wspomóc załogę, gdyby zaistniała konieczność odparcia abordażu. Maszyny stop! — warknął do rury głosowej.

Tłoki zwolniły, koła łopatkowe przestały się obracać. W zapadłej ciszy słychać było tylko syk pary i chóralny śpiew wiosłarzy ze smoków doganiających statek.

— A co do was, rozpite łachmyty — ryknął z kolei na swoją załogę — niech no mi tylko noga jednego Chińczyka zapaskudzi pokład, a obedrę ze skóry! Wszystkich, co do jednego! — Przysunął rurę głosową do ust i rozkazał: — Cała wstecz! Sygnalista, odpowiedź dla „Nemesis”: „Tak, potrzebujemy pomocy!” — A do obsługi działa na rufie i dwóch obrotowych karabinów na mostku zawołał: — Dobrze mi celować i nie żałować prochu!

Ogromne koła łopatkowe „Lorda Amhursta” zaczęły powoli pnieć wodę. Statek przestał sunąć siłą rozpędu do przodu i z głośnym stęknieniem zaczął się cofać, nabierając szybkości. Koła napędowe tłukły wodę jak koła lokomotywy. Wielki statek ciął wodę rufą, pędząc coraz szybciej wstecz. Następna bateria fortu dała ognia, ale wszystkie jej działa wycelowano z uwzględnieniem ruchu statku do przodu. Pociski i lane kule armatnie wybuchły i wpadły w wodę daleko przed dziobem cofającego się statku.

„Lord Amhurst” wrzucił całą wstecz i ruszył na najbliższe smoki, szybko zmniejszając dzielącą go od nich odległość; sternicy chińskich łodzi dali się kompletnie zaskoczyć. Pierwszy barkas został staranowany, drugi wywrócony. Oba dostały się pod łopatki ogromnych kół napędowych, które roztrzaskały je w drzazgi, zmiażdżyły i wypluły strzępy łodzi i ludzi w wody zatoki. Dwa następne smoki próbujące się zbliżyć do statku wywróciły się w wodnej kipieli za kołami. Rufowe działo parowca i dwa obrotowe karabiny plunęły ogniem, przecinając na pół smukłe chińskie łodzie. Kolejna zniknęła pod wodą trafiona kulą z trzydziestodwufuntowego działa rufowego „Nemesis”.

Wiosłarze trzech smoków napaarli z całych sił na wiosła, przedarli się przez skotłowane strumienie wody wyrzucanej łopatkami kół i dobili do burty parowca. Puścili wiosła i rzucili się do relingu dolnego

pokładu. Dwustu czterdziestu Chińczyków, uzbrojonych w rapiery, pistolety i szable, wdarło się na statek.

Kapitan, obserwujący w napięciu rozwój sytuacji, pociągnął na mostku linkę syreny. Jego ludzie, schowani za pokrywami luków i w każdym dostępnym zakamarku pokładu, wyskoczyli z ukrycia z muszkietami o krótkiej lufie nabitymi śrutem. Mordercza salwa wymiotła z pokładu wszystkich napastników. Zabitych i rannych wyrzucono za burtę. Kilwater „Lorda Amhursta” zaróżowił się od krwi. Kanonierzy obu angielskich statków bez przerwy zasypywali ogniem pozostałe łodzie tongów, które dały za wygraną, zawróciły i uciekły. „Lord Amhurst” i „Nemesis” zajęły odpowiednie pozycje i ostrzelały fort Tygryśich Wrót.

John śledził wzrokiem łódź Jake'a, by sprawdzić, czy dotarła bezpiecznie do brzegu, gdy nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Wyłaniały się spomiędzy sampanów jak ogromne, nieruchawe bestie, przytłaczając ogromem swych czerwono-czarnych, lakierowanych kadłubów i matowobiałych żagli wszystkie pozostałe łodzie. Na wody zatoki wypływało trzydzieści wojennych dżonek, z rozwiniętymi żaglami, z lufami dział sterzczącymi z otworów strzelniczych. Od najbliższej dzieliła ich niecała mila.

— Panie kapitanie! — zawołał, wskazując za prawą burtę.

Dopóki do walki nie włączyły się chińskie okręty wojenne, kapitan Link uważał ją za jedną z potyczek prywatnej wojny o opium między Brytyjczykami i kantońskimi tongami. Teraz jednak podniósł tubę do ust.

— Przekazać brytyjskim statkom, że idziemy z pomocą! Zawiadomić europejskie statki przy brzegu, że potrzebujemy ich wsparcia! — Rozkazy były jasne i wyraźne. — Flaga na maszt! Obsługa dział: ognia do najbliższych celów! — Odwrócił się do Johna. — Daj znak syreną! Ciągnij za linkę, aż Anglicy zauważą niebezpieczeństwo!

Podniecony perspektywą wzięcia udziału w bitwie John chwycił linkę uruchamiającą syrenę parową i szarpnął ją mocno w dół. „Barbara Chase” otworzyła ogień do chińskich okrętów wojennych, ale pociski wyrządzały im niewiele szkody. Pożar w takielunku pierwszej dżonki spowolnił tylko trochę jej ruch. I wtedy odezwały się działa brytyjskich okrętów — zawodzenie syreny „Barbary Chase” zrobiło swoje. Dziób pierwszej dżonki zniknął w kłębach dymu. Poszła na dno niemal natychmiast. Nim woda zalała jej rufę, dwie następne dżonki zostały poważnie uszkodzone. Ale pozostałe zbliżały się szybko.

Kapitan Link ujrzał, że brytyjskie statki dają całą wstecz i na pozór uciekają, zdołał jednak odczytać wymianę sygnałów flagowych między angielskimi kapitanami. Rzucił „Cała wstecz” do tuby głosowej. Wszystkie trzy parowce zaczęły się cofać przed nacierającymi chińskimi okrętami.

Z nabrzeża dobiegł radosny ryk tłumu.

Największa wojenna dżonka wydała się Johnowi okrętem monstrum, jej ogromne żagle przesłaniały cały horyzont. Z pokładu kolosa wystrzeliły dwie rauce i ciągnąc za sobą ogony dymu rozprysnęły się nad zatoką zielonym obłokiem. Chińskie okręty wojenne położyły stery na prawą burtę, próbując uformować szyk bitewny, który zepchnąłby trzy parowce w zasięg baterii fortu i pozwolił zamknąć je w morderczym ogniu krzyżowym.

Kapitan Link podał Johnowi lunetę i wskazał na dwa brytyjskie parowce:

— Patrz na ich śródkręcie!

Ku zdumieniu Johna angielscy marynarze tłoczyli się wokół jakichś rur, wycelowanych w powietrze. Nagle rozbiegli się na wszystkie strony, kryjąc za czym tylko można było. Nastąpił potężny rozbłysk, potem następny i jeszcze jeden, i jeszcze... John odjął lunetę od oka i śledził smugi ognia na niebie.

— Rakiety Congreve'a* — wyjaśnił kapitan Link.

Pociski eksplodowały przed, za i między okrętami chińskiej eskadry. Dwa z nich stanęły w ogniu, z tego jeden buchnął tak jasnym płomieniem, że patrzący w tę stronę John musiał odwrócić wzrok. Prochownia okrętu wyleciała w powietrze i dżonka przestała istnieć. Od fali powybuchowej zadygotał cały port. Deszcz płonących szczątków kadłuba zasypał wszystko wokół, wzniecając pożary na wielu innych okrętach i na brzegu.

Kanonada ciężkich brytyjskich dział wciąż jeszcze trwała, kiedy zatoka zatrzęsa się ponownie. Jakiś szwedzki żaglowiec odpalił salwę burtową. Chwilę później to samo zrobił statek niemiecki, biorąc Chińczyków w krzyżowy ogień. Dołączyli do nich Holendrzy, Anglij odpalili następną serię rakiet i większość dżonek spuściła żagle na znak kapitulacji. Tłum na nabrzeżu zawył jak ranione zwierzę.

W czasie ataku malajscy piraci przezornie trzymali się w tyle, Teraz podjęli próbę schwywania wiatru w żagle i szybkiej ucieczki w dół Rzeki Perłowej. Dowódca fortu u Tygryśich Wrót pojął, że

* Rodzaj rakiet skonstruowanych przez Williama Congreve'a, używanych przez wojska brytyjskie w pierwszej połowie XIX w.

oznacza to dezercję, i otworzył do nich ogień. Dwa malajskie statki zostały uszkodzone, zdołały jednak umknąć z prądem rzeki. Pozostałe zatoniły. Tłum na nabrzeżu wyładował swą wściekłość na brytyjskiej faktorii. Wyłamywano drzwi magazynów, próbowano je podpalić, wdzierano się do domów mieszkalnych i plądrowano je, dopóki brytyjskie parowce nie zwróciły dział na własne budynki. Tłum wycofał się i rozproszył. Wystąpił na brzeg załogi rozgromiły resztki szabrowników przy użyciu szabli i pistoletów.

Kilka godzin później kapitan Link wrócił z narady z brytyjskimi kapitanami i rozkazał podnieść kotwicę. Od dwóch dni prowadzono intensywnie załadunek, toteż „Barbara Chase” miała pełne ładownie węgla, jego worki piętrzyły się wysoko na całym pokładzie. Amerykański parowiec ruszył w długą podróż na północ, wzdłuż chińskiego wybrzeża, przez Cieśninę Koreańską na Morze Japońskie i przez Cieśninę Shimonoseki na Ocean Spokojny. Kapitan Link spędzał niemal całe dni na mostku przy stole nawigacyjnym, wykreślając mapy chińskiego wybrzeża. Jeśli pogoda na to pozwalała, podchodzili czasami do brzegu, by przeprowadzić pomiary głębokości. Przepłynąwszy Cieśninę S! anonoseki, „Barbara Chase” wzięła kurs na Hawaje. Po drodze napotkali kilka statków wielorybicznych, w tym trzy amerykańskie, z których zabrali listy do domu.

Kiedy majtek w bocianim gnieździe „Barbary Chase” dostrzegł „Charlesa W. Morgana” z New Bedford, na jego pokładzie sprawiano właśnie kolejnego wieloryba. Szczęściło im się w czasie tego dziewiczego rejsu. Półtora roku od spuszczenia na wodę, a już złapali czterdzieści dwa wieloryby, które dały tysiąc osiemset baryłek tłuszczu i siedem tysięcy funtów fiszbinów. W styczniu „Charles W. Morgan” spotkał się u wybrzeży Japonii z „J. Howlandem”, toteż dotarła już do niego wiadomość o śmierci syna kapitana Whittefielda. Widząc Johna przy życiu, kapitan „Charlesa W. Morgana” zarządził modlitwy dziękczynne pod pałacym sierpniowym słońcem. Twardzi marynarze obu załóg odśpiewali hymny, ich głosy zlały się zgodną harmonią nad wodą pomiędzy statkami.

— Tylko ci, dla których morze jest domem — powiedział kapitan Link — rozpoznają w grzywaczach fal pomniki tych, co odeszli: zmarłych najbliższych i przyjaciół. John do swych najbliższych powróci. Każdy z nas, stojących tu, pośród bezmiaru Pacyfiku, czujących pod nogami kołysanie fal, bierze udział w tym radosnym powrocie, przeżywając go w myślach i w sercu, jakby to on sam został wskrzeszony z głębin.

— Amen!

ROZDZIAŁ 5

Od czasu, kiedy Mung odzyskał przytomność na pokładzie „J. Howlanda”, ogień pod kadziami do wytapiania oleju nie gasł ani na chwilę. Główny sprawiacz statku pokazał mu, jak się zdziera poście tłuszczu z wielorybiej tuszy, jak za pomocą wielokrążków wciąga się je na pokład i przenosi gładko wprost do rozpalonych do czerwoności kotłów. Wśród części załogi panowało przekonanie, że zwiększony połów to nagroda za uratowanie życia Mungowi. Mniej religijni uważali, że po prostu jest urodzonym szczęściarzem i część tego szczęścia udziela się i im, toteż dowódcy wszystkich łodzi bili się o niego, każdy chciał go mieć w obsadzie. Przed wyruszeniem w pościg za wielorybem pocierali go na szczęście po głowie. Ale to wielkolud Pistchiani nauczył go wiosłować tyłem, obsługiwać żagiel i sterować łodzią. Pomiędzy tymi dwoma powoli wykształciła się szczególna więź. Już wkrótce Pistchiani zrobił z Munga niezastąpionego wiosłami.

Mimo ogólnej sympatii, jaką się cieszył, marynarze nie mogli patrzeć, jak Japończyk wgryza się ze smakiem w kawał surowego wielorybiego mięsa i wcina wodorosty prosto z morza. Mung za to z trudem przelatywał peklowaną wołowinę, a suchary i kawa miały dla niego smak kamieni i pokostu. Odnosił także wrażenie, że poza nim na całym statku nikt się nie kąpie, choć musiał zrezygnować z codziennej gorącej waany na rzecz prysznic z zimnej morskiej wody. Przyprawiający o mdłości feter nie mytych ciał i wielorybiego tranu wymiatał go z kubryka. Spał na pokładzie, zawinięty w koc, aż do pierwszego sztormu, kiedy Pistchiani pozwolił mu spać u siebie. Po przebudzeniu następnego ranka wielki dowódca łodzi nie poznał swojej kajuty. Mung wysprzątał ją do ostatniego zakamarka, wymył wszystkie półki, wyszorował podłogę. Umowa stanęła.

W wolnym czasie Mung pomagał stolarzowi albo zaszywał się w jakimś zakątku pokładu i z zapamiętaniem oddawał rysowaniu. Po dwóch miesiącach pobytu chłopaka na pokładzie Pistchiani udał się do kapitana.

Panie kapitanie — powiedział — to wstyd, żeby taki bystrzak jak Mung uczył się języka od załogi w forkasztelu.

Co się stało?

— Wchodzi do kabiny i od progu gada to, czego go nauczyli. Na przykład: jak się masz, ty skurwysynu? Jak tam twoje wielkie jajca?

Wiliam Whittefield próbował nie wybuchnąć śmiechem, ale nic mu z tego nie wyszło.

— Nie powiem, mnie samego też to czasami śmieszy — ciągnął Pistchiani — wiem, że mały nie ma pojęcia, co mówi. I o to właśnie chodzi. Niech pan spojrzy, kapitanie. — Wyciągnął kilka rysunków na płótnie ze starego żagla.

Kapitan natychmiast rozpoznał na nich pogrzeb Shin-ho oraz pościg za bykiem i jego haremem. Znad trzeciego podniósł zdziwione spojrzenie.

To wygląda jak leżąca na plecach martwa stonoga.

Bo i rzeczywiście tak jest, ale to pierwszy rysunek z serii czterech. Widać z nich, jak małemu pracuje mózgowica. Na drugim rysunku ta stonoga jest cieńsza, nogi ma wyprostowane. Na trzecim nogi rozsunięte na boki i zakrzywione, i jeszcze cieńszy odwłok. A teraz niech pan spojrzy na czwarty — popukał palcem w płótno. — Ma pan tu idealną reprodukcję wewnętrznego kadłuba „J. Howlanda”.

Kapitan jeszcze raz przerzucił wszystkie rysunki, po czym spojrział na Pistchianiego.

I co to, według pana, znaczy?

Znaczy to, panie kapitanie, że ten młody chłopak, pochodzący z kraju, gdzie łodzie buduje się ze związanych łądyg bambusa, rozgryź konstrukcję nowoczesnego statku, wie, że jest stępka i szkieletowe żebrowanie, na którym trzyma się zewnętrzna powłoka. Jestem pewien, że rozumie także sens środkowania masztu i rolę kilu przy kursie pod wiatr.

Ile zajęło mu zrobienie rysunków?

Niecały tydzień. Policzyłem wszystkie wręgi i wiązania na tym ostatnim; zgadza się co do jednego. Ożaglowanie także. Każda lina jest dokładnie tam, gdzie przy prawym halsie być powinna. William Whittefield oddał kawałki starego płótna, Zauważyłem, że zawsze, kiedy wydaję rozkaz zmiany żagla, kręci się po pokładzie albo siedzi gdzieś w takielunku i pilnie obserwuje. Do czego pan zmierza, Pistchiani? Chłopak powinien się porządnie nauczyć angielskiego, - To niech go pan uczy.

— Panie kapitanie, ja potrafię rachować i mogę spisać listę wszystkiego, co potrzebne przy połowach wielorybów, ale niewiele więcej.

— Uważa pan, że Munga trzeba nauczyć pisać?

— Tak właśnie. Ktoś, kto potrafi tak świetnie rysować, nie będzie miał kłopotów z machaniem piórem.

— Pomyślę o tym. Dziękuję, że zwrócił mi pan na to uwagę. „Jakże ja mogłem być aż tak ślepy” — pomyślał William Whittefield. „Na wszystkie możliwe sposoby próbuję zdobyć jakieś informacje o Japonii, a przecież oto tu, na własnym statku, mam ich bezpośrednie źródło.” Wezwał do siebie Hockmeyera.

— Z powodów, które mają dla mnie niezwykle istotne znaczenie — powiedział, kiedy zwalisty pierwszy oficer zamknął drzwi — chciałbym, żeby nauczył pan tego małego Japończyka angielskiego. O ile sobie przypominam, uczył pan w szkole niedzielnej w Fairhaven.

— Tak jest, panie kapitanie, uczyłem. Z przyjemnością zajmę się naszym małym. Czy mogę wziąć trochę piór, papieru i atrament?

— Oczywiście, i wszystkie książki z mojej prywatnej biblioteczki, jakie mogą się okazać potrzebne.

— Aye, aye, panie kapitanie.

Dwa miesiące później Mung mówił już na tyle płynnie po angielsku, że Diakon Gilhooley zdecydował się zwrócić do kapitana z prośbą.

— Panie kapitanie, czy mogę zapoznać tego małego z podstawami wiary chrześcijańskiej?

— Ma pan zamiar go nawrócić?

— Gdyby udało mi się zbawić jego duszę i zapoznać go z naukami Pana naszego i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, to może byłoby to jakimś zadośćuczynieniem za wszystko, czym w swoim życiu zgrzeszyłem.

— Byłoby to z pewnością wielkie osiągnięcie, panie Gilhooley. Sprowadzenie pogańskiej duszy w progi Pana to zadanie, któremu nie każdy podoła.

- Chciałbym spróbować się tego podjąć, panie kapitanie.

- No to do dzieła.

Kapitan bacznie śledził postępy chłopca i z dnia na dzień coraz bardziej się do niego przywiązywał. Zdumiewała go niezwykła wprost pojętność Munga, choć jednocześnie z rozczarowaniem stwierdził, że jego znajomość Japonii ogranicza się w zasadzie do rodzinnej wioski. Kiedy zaczynał opowiadać o historii, brzmiało to tak, jakby snuł baśnie i legendy.

Kilka razy zdolności intelektualne chłopca i jego niewiarygodna pamięć wprawiły uczących go marynarzy i kapitana w prawdziwe osłupienie. Jednocześnie jednak znacznie prostsze na pozór rzeczy, jak na przykład opanowanie umiejętności zwykłego, wygodnego siedzenia na krześle, przychodziły chłopcu z wyraźnym trudem. — Przyzwyczaiłem się do kucania — tłumaczył. — U nas wszyscy kucają. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo siedzącego na krześle. W japońskim nie ma nawet słowa na określenie tego sprzętu.

Z drugiej strony bez wahania zaakceptował boskość Jezusa Chrystusa. Przywykł modlić się do wielu różnych bogów, toteż możliwość, wyboru między Ojcem, Synem, Duchem Świętym oraz tymi wszystkimi męskimi przodkami, którzy zasługiwali na szczególny szacunek, przypadła mu do gustu. Z początku mylił Jezusa, Syna Bożego, z Bogiem Słońcem, którego potomkami mieli być japońscy cesarze. Diakon Gilhooley przymykał oko na takie drobne nieporozumienia, koncentrując się na tym, by przede wszystkim jak najbardziej zachęcić chłopca do swych nauk. Kiedy Mung sam sobie wszystko poukładał, rozróżnienie to przestało być dla niego istotne. Płynął do obcego kraju, przebywał wśród obcych ludzi, oddawanie czci ich bogu wydawało się zatem zupełnie naturalne.

Jedno, co nieustannie nie dawało mu spokoju, to brak szacunku dla starszych. Stary Peter stawał często ostatni w kolejce po posiłek, a i do innych rzadko się zwracano przy podejmowaniu decyzji. Amerykanie zdawali się poddawać przywództwu najlepszemu, bez względu na jego wiek.

Pierwszy oficer Hockmeyer zwrócił kapitanowi uwagę na kolejny problem.

— Panie kapitanie, ten chłopak jest nieprzeciętnie zdolny. Potrafi już rachować na papierze i używa nawet arabskich cyfr, tak jak my. Ale...

— O co chodzi?

— Sam nie bardzo wiem... — Hockmeyer spojrzał na Munga stojącego u drzwi i dał mu znak, żeby usiadł. — Widzi pan, problem w tym, że nie potrafi rozwiązać najprostszego zadania matematycznego w pamięci, choć przecież zapamiętuje niemal absolutnie wszystko, co widzi. Kiedy mówię mu, żeby dodał w pamięci osiem i cztery, jest zupełnie zbity z tropu. Niech pan patrzy.

Podszedł do Munga i podniósł z kolan chłopca jakiś przyrząd w drewnianej ramie, przywiązany sznurkiem do paska; kilka rzędów drucików, na których przesuwają się swobodnie małe paciorki.

— Sam to sobie zrobił, kapitanie. Mung — poprosił — oblicz mi

pierwiastek kwadratowy z sześćdziesięciu czterech i sześcienny z dwudziestu siedmiu.

Chłopiec położył przyrząd na kolanach i pochylił się nad nim. Palcami obu rąk przesunął błyskawicznie w tę i z powrotem kilkanaście paciorków i chwilę później podniósł głowę.

— Pierwiastek kwadratowy z sześćdziesięciu czterech wynosi osiem. — Pochylił się ponownie i po kilku sekundach dodał: — A sześcienny z dwudziestu siedmiu: trzy.

— Kiedy używa tego przyrządu, nigdy nie popełnia błędu — powiedział Hockmeyer.

Kapitan podszedł do chłopca.

— Synu... — chrząknął zmieszany i zakasłał. — Mung, policz, ile palców lewej ręki wystawiłem.

Prawą dłonią ujął Munga za lewą rękę. Kiedy dotykał po kolei swoich palców dłonią chłopca, Mung liczył na głos:

— Jeden, dwa, trzy, cztery.

Kapitan wyciągnął prawą rękę. Mung policzył, dotykając palców:

— Jeden, dwa, trzy.

Trzymając obie dłonie wyciągnięte przed chłopcem, kapitan spytał:

— A ile to jest cztery i trzy?

Mung odruchowo sięgnął do paciorków liczydła.

— Nie! — powstrzymał go William Whittefield. — Nie używaj tego.

Mung spojrział na niego z wyraźnym zakłopotaniem. Nie opuszczając dłoni z wyprostowanymi palcami, kapitan polecił mu:

— Policz jeszcze raz.

Mung popatrzył w napięciu na palce. Kiedy doszedł do czterech, kapitan przystawił prawą rękę do lewej i powiedział:

— No, dalej.

Mung zawahał się, ale dokończył:

— Pięć, sześć, siedem.

Przesunął kilkakrotnie wzrokiem po wszystkich wystawionych palcach. Rozdzielił je sobie, policzył osobno, a potem jeszcze raz wszystkie razem. Ciemne oczy o kształcie migdałów rozwarły się szeroko. Spojrział na kapitana i zachłysnął się powietrzem, aż świsnęło mu między zębami.

— Hai! — zakrzyknął na cały głos. — Hai! Siedem! Siedem!

Kapitan poklepał go po ramieniu i zwrócił się do Hockmeyera:

— Nie ma rzeczy, której ten chłopak nie mógłby się nauczyć! Niezdolność dokonywania obliczeń w pamięci może mieć jakiś związek

z tym, czego dowiedziałem się od niego o Japończykach i sposobie, w jaki traktują czas. Generalizują go. Dzieci urodzone przed pewną datą uważane są za rok starsze. Pory dnia mają zblokowane we wczesny ranek, późny ranek, wczesne popołudnie, późne popołudnie i tak dalej. Korzystanie z liczydła i dokonywanie obliczeń na piśmie mogą być po prostu tak powszechnie obowiązującym zwyczajem, że zapomnieli, jak rachować w pamięci.

— W wiosce Munga może rzeczywiście tak jest, panie kapitanie. Ale czy odnosi się do całego kraju?

— Słuszną uwagę. Może dobrze by było, żeby Mung porozmawiał z Japończykami z orientalnej kolonii na Hawajach.

— A co z jego zdolnością zapamiętywania? Czy sądzi pan, że wszyscy Japończycy mają taką pamięć?

Dowódca statku potarł podbródek.

— Wątpię, mocno wątpię.

Od tego dnia William Whittefield zaczął uczyć Munga posługiwania się kompasem, mapą i sekstansem, rozmyślał przy tym często o swym synu, Johnie, i porównywał w duchu obu chłopców. Pod koniec jednej z tych lekcji prowadzonych na mostku ujawniła się kolejna cecha charakteru Munga. Dzień był ciepły, morze spokojne, wiała lekka bryza. Chłopiec z trzaskiem zapiął klamerkę drewnianej skrzyneczki sekstansu. Kapitan podniósł wzrok znad obliczeń, które właśnie sprawdzał. Były bezbłędne jak zwykle. Ujrzał, że jego uczeń podrywa głowę i wpatruje się w coś w wodzie. W następnej chwili wyszarpnął z pochwy nóż, podarowany mu przez Pistchianiego po pierwszym pościgu za wielorybem, i zaciskając go w dłoni popędził na brzeg nadbudówki, w pełnym biegu odbił się obunóż od pokładu, przesadził reling i skoczył na głowę za burtę.

Statek wielorybniczy płynął z szybkością niecałych czterech węzłów. Kapitan Whittefield i sternik po prostu osłupieli. Wygrzewający się w słońcu marynarze niczego nie zauważyli.

— Człowiek za burtą! — Okrzyk z bocianiego gniazda zelektryzował wszystkich i poderwał do działania.

— Ster lewo na burt! — rozkazał kapitan. Sternik zakręcił natychmiast kołem sterowym, by ustawić statek w linii wiatru, a kapitan chwycił tubę i krzyknął: — Spuścić szalupę za prawą burtę!

Ze swych miejsc koło łodzi marynarze dostrzegli Munga płynącego pod wodą z nożem w ręce.

— On poluje na żółwia! — zawołał Pistchiani pokazując ręką sunące z wolna stworzenie.

Mung dostrzegł z mostka olbrzymiego żółwia morskiego i zareagował

instynktownie. W Nakanohamie mięso siedmiusetfuntowego żółwia zapewniało trzyosobowej rodzinie pożywienie na cały rok. A ze sprzedaży skorupy mogła się utrzymać przez następny.

Po skoku za burtę nurkując zbliżył się do zwierzęcia. Zamierzał podplynąć od dołu i poderżnąć mu gardło, nim zdąży schować głowę, ale w samą porę zauważył ostre, rozczapierzone szpony łap, gotowe rozdrzeć go na strzępy, gdyby tego spróbował. Wynurzył się z wody za przednimi łapami i chwycił wierzch skorupy, ale ręka natychmiast mu się ześliznęła. Dźgnął pancierz nożem w nadziei, że uda mu się w ten sposób wydźwignąć z wody, ale ostrze nie chciało się wbić. Żółw schował się do skorupy, a Mung na próżno próbował się na niego wdrapać. Z którejkolwiek strony się do tego zabierał, na powrót ześlizgiwał się do wody.

Łódź Pistchianiego opadła na fale. Reszta załogi stłoczyła się przy relingu.

— Mung! Co ty, u licha, wyprawiasz?! — zawołał przez tubę kapitan Whittefield.

— Kotlety! — odrzyknął Mung tłukąc wodę nogami i wskazując nożem żółwia. Zniknął pod powierzchnią i znów się wynurzył. — Zupa żółwiowa! — Znów zniknął i znów się pojawił. — To najlepsze żarcie w świecie!

Pozbawieni od ośmiu miesięcy świeżego jedzenia marynarze podnieśli radosną wrzawę i poczęli wyczekująco spoglądać na kapitana. William Whittefield przyłożył tubę do ust.

— Panie Pistchiani, proszę przywieźć kolację na pokład, ale tego impulsywnego młodzieńca chyba powinniśmy zostawić w kąpieli.

Potężny wielorybnik wyciągnął Munga z wody.

— Jesteś najbardziej stukniętym Japończykiem, jakiego znam!

— Bo jedynym — zachichotał chłopak.

Obserwujący całe zajście Pichcik popędził do kambuza wołając po drodze o drewno na ogień i zastanawiając się, jak przyrządzić niespodziewany smakołyk. Marynarze rzucili Pistchianiemu linę i pospiesznie zainstalowali wielokrążek, by wciągnąć ogromnego żółwia. Na samą myśl o posiłku ciekła im ślinka.

Tego wieczoru, na cześć Munga, który nie mógł znieść fetoru panującego w mesie, cała załoga jadła kolację na pokładzie.

W miarę zbliżania się do Hawajów robiło się coraz cieplej i przyjemniej, a załogę ogarniało coraz większe podniecenie. Wiatr uspokoił się i ustalił, Pacyfik dowodził, że w pełni zasługuje na miano Oceanu Spokojnego. Podeszli do siedemdziesięciodwumilowego przesmyku między wyspami Kauai a Oahu, przez który wiodła trasa do wielkiej

wyspy Hawaui, gdzie mieli odpocząć i dokonać wszelkich koniecznych napraw.

— Żagiel! Żagiel! — rozległ się okrzyk z bocianiego gniazda. — Dwa rumby z lewej!

Kilku marynarzy nie spiesząc się podeszło do relingu.

— Żagiel, żagiel! — zawołał ponownie majtek w bocianim gnieździe. — Trzy rumby z prawej!

Kilku następnych marynarzy podeszło do burty.

I nagle kolejny okrzyk ze szczytu masztu postawił na nogi całą załogę:

— Ryba po prawej! Prycha! Ryba po lewej i prycha! Prycha! Prycha!

Marynarze na pokładzie zadarli głowy do góry patrząc, jak majtek w gnieździe wymachuje rękami na wszystkie strony.

— Ryba! Ryba! Prycha wszędzie dokoła! Cały ocean prycha!

Gilhooley przerwał te pełne podniecenia okrzyki.

— Mów, co widzisz, stary! Mów, co tam widzisz!

— Cały kanał roi się od wielorybów! — dobiegła z góry rozgorączkowana odpowiedź. — Po prostu się roi! Gdzie spojrzeć, statki i łodzie w pościgu!

— Pierwszy oficer na mostek! — rozkazał kapitan Whittefield.

Hockmeyer pokonał schodki dwoma susami. Wziął od kapitana wręczoną mu lunetę i przesunął nią wzdłuż horyzontu.

— Kapitanie — wykrztusił w końcu — natknąłem się już na coś takiego dwanaście lat temu u wybrzeży Ameryki Południowej. To jest jedno ogromne stado albo wiele mniejszych stad. Wieloryby czasami tak się zbierają, choć nikt nigdy nie potrafił wyjaśnić po co.

Kapitan wziął od niego lunetę.

— Tam musi być ze dwadzieścia statków.

— Co najmniej. Wszystkie w drodze do Honolulu na bieżący remont i jesienny zlot wielorybników.

— Hockmeyer, niech pan weźmie moją lunetę i wdrapie się z Pistchianim i Gilhooleyem na górę. A potem proszę do mnie z propozycją, w jaki sposób zaatakować takie stado.

Trzech potężnych mężczyzn wdrapało się na wanty i zawisło pośród żagli, jeden obok drugiego, ze stopami na rozchybotanych linach, brzuchami przyciśniętymi do salingów. Spod łopocącej trzydzięści stóp nad ich głowami bandery obserwowali rozgrywającą się przed ich oczami scenę polowania. Pozostali na górze całe dwie godziny, w czasie których „J. Howland” zbliżył się do skrajów łowiska.

Trzej dowódcy łodzi wypełnili szczelnie kajutę swego szypra, czekając w milczeniu, aż Mung skończy nalewać kawę i zamknie za sobą drzwi.

— Ciągłe jeszcze tam są, panie kapitanie — zaczął Hockmeyer. — Gdzie rzucić okiem, fontanny. Pańskie przewidywania co do liczby statków okazały się trafne, jest ich około dwudziestu, kilka obcych, ale większość to amerykańskie wielorybniki. Zupełny cyrk. Mało który z kapitanów i dowódców łodzi ma jakiegokolwiek doświadczenie.

— Na wodzie musi być ze stu harpunników — odezwał się Gilhooley — a wokół nich z dziesięć razy tyle wielorybów. Wygląda to tak, jakby zrobiły sobie z kanału Kauai plac zabaw. Wystawiają ogony, chwytają w nie wiatr i dają się pchać. Nurkują, wypływają, jeden przez drugiego wyskakują z wody. Swawolą zupełnie bez opamiętania.

Pistchiani odjął kubek od ust.

— Problem w tym, że za łatwo je trafić, a te żółtodzioby nie potrafią ich dobić. Krzyżują im się linki harpunniczne, wpadają na siebie łodziami, ich statki dryfują jedne na drugie. W tej chwili jakiś Rosjanin leży prawie na boku i próbuje odciąć martwego wieloryba, który go zatapia.

— Tam jest wolna amerykanka — odezwał się Hockmeyer. — Każdy działa na własną rękę. Możemy liczyć tylko na siebie. Nie ma mowy, żeby udało się zorganizować wspólny atak na stado.

William Whittefield przemyślał to, co usłyszał, po czym powiedział:

— Trzeba rozwiązać dwa problemy. Po pierwsze, zapewnić bezpieczeństwo statkowi. Podpłyniemy najbliżej, jak się da, i spuścimy łodzi, po czym wycofam się. Po drugie, musimy prowadzić baczna obserwację z masztów i sprawnie przekazywać wam informacje. Dopilnujcie, żeby wasi ludzie pilnie wypatrywali naszych sygnałów. Za godzinę wpłyniemy na łowisko. Hockmeyer, niech pan zarządzi wydanie całej załozce podwójnego posiłku. Gilhooley, pan odpowiada za zaopatrzenie łodzi w dodatkowe racje żywności i wody. Pistchiani, ma pan godzinę na pełne wyposażenie łodzi i przygotowanie ich do akcji. — Otworzył energicznym ruchem kopertę kieszonkowego zegarka. — Zostanie nam pięć godzin dnia. Panowie, spotykamy się na mostku o drugiej szklance.

Dowódcy łodzi stanęli za plecami kapitana na mostku „J. Howlanda” dokładnie w chwili, gdy sternik uderzył dwa razy w dzwon okrętowy. Przed sobą mieli panoramę kanału Kauai z mrowiem łodzi wielorybniczych i ich statków macierzystych kręcących się chaotycznie na wszystkie strony.

Kapitan Whittefield spojrzął na dowódców, a potem na załogę zgromadzoną na głównym pokładzie.

— Wypłynęliśmy polować na wieloryby — powiedział. — To jeden z darów Boga, zesłanych na ziemię ku pożytkowi ludzi. Obyśmy wszyscy, jak tu stoimy, powrócili do Fairhaven podzielić się nagrodą za swój trud. — Podniósł głos. — Pamiętajcie: tylko wieloryb przy-

twierdzony, to wieloryb schwytyany. Wolny, choćby i martwy, należy do wszystkich. — Uniósł ręce w górę wskazując na top grotmasztu. — Uważajcie dobrze na sygnały stamtąd. — Zniżył ręce i jego rozpostarte dłonie zawisły nad głowami marynarzy. — I niech Bóg ma was w swojej opiece.

Skinął głową Hockmeyerowi, który odwrócił się i ryknął na cały głos:

— Do łodzi! Przygotować się do spuszczenia!

Pistchiani wyciągnął z kieszeni błyszczącą złotą monetę hiszpańską i chwycił Hockmeyera za ramię. Trzymając dublona w dwóch palcach zamachał nim przed nosem Hockmeyerowi i Gilhooleyowi.

— Stawiam dubla na pierwszego wieloryba u burty statku.

Hockmeyer wyjął taką samą monetę z sakiewki, którą nosił na szyi, a Gilhooley ze skrytki pod kopertą wielkiego kieszonkowego zegarka.

— Na przepuszczenie w Domu Słońca? — spytał Gilhooley.

Dwaj pozostali uśmiechnęli się i jak na komendę odparli:

— Stoi! — Wrzucili dublony w nastawioną dłoń Pichcika i pobiegli do swoich załóg.

Siedzący za rumplem łodzi Pistchianiego Mung dostał polecenie kierowania się w gąszcz stojących w dryfie statków, uciekających wielorybów i ścigających je łodzi.

Jakiś Szwed goniący od kilku minut wielką samicę zobaczył, że Pistchiani zrównuje się z jego łodzią i ma chrapkę na tę samą sztukę. Wymachiwaniem rąk dał mu znak, żeby poszukał sobie innej zdobyczy.

Pistchiani zgiął lewą rękę i uderzył w zagięcie pięścią prawej.

— Wolny wieloryb należy do wszystkich! — ryknął.

Potęźni jasnowłosi wioślarze z północnej krainy podchwycili narzucające tempo „Ho, ja, huu, ha!” swego dowódcy, przyłożyli się do Wioseł i wysunęli się przed dziób łodzi z „J. Howlanda”.

Pistchiani zaintonował starą marynarską przyspiewkę:

*Pewien jankes raz w Londynie kupił se kucyka,
Przemalował na czerwono, mówi, że papryka.*

Jego załoga złapała rytm, napała na wiosła i ryknęła refrenem:

*Hej, spryciarzu, w górę smyka,
Przecież nie patałach,
Ruszaj w tany, gra muzyka,
Pokaż, żeś nie watach.*

Szwedzi przyspieszyli jeszcze bardziej i szli w tych regatach łeb w łeb z Amerykanami.

Nie mając czasu zaczerpnąć dość powietrza, by schronić się w głębinach, wielka samica szybko opadała z sił. Doganiające ją łodzie rozkołysały się na wzburzonej smudze wody za jej ogonem, szwedzka o pół długości w przodzie. Mung sterował jak najbliżej jasnowłosych rywali, nie spuszczać z nich wzroku. Na mlecznobiałe twarze wystąpiły krwiste plamy, pot ściekał im z brwi i zalewał zmętniałe oczy, ręce pracowały jak tłoki. Korzystając z przeciwprądu za ogonem wieloryba, zaczęli wyprzedzać Amerykanów.

Dowódca Szwedów rzucił rozkaz, jego pierwszy od dziobu wiosłarz wciągnął wiosło, poderwał się na nogi i chwycił harpun, gotując się do rzutu. Mięśnie ramion drżały mu nieopanowanie, przeciążone wysiłkiem wiosłowania. Ostrze harpuna chwiała się na wszystkie strony. Osłabiona brakiem jednego wiosłarza szwedzka łódź zaczęła zostawać w tyle. Mung ani na jotę nie zboczył z kursu i dokładnie w chwili, gdy potężny harpunnik rzucił, wyprzedził Szwedów. Harpun zatoczył łuk w powietrzu, jego ostry jak brzytwa grot wbił się w bok olbrzyma. Ogon wieloryba wyprysnął nad wodę i trzasnął w nią z hukiem grzmotu. Zraniona krowa wystrzeliła do przodu, szarpnęła szwedzką łódź za sobą, ale zadziory harpuna tkwiły w jej boku zbyt płytko. Wyrwany z pokładów tłuszczu stalowy grot wpadł do wody, łódź ześliznęła się tyłem z fali, obróciła do niej bokiem i bezsilnie zakotłowała.

— Jest nasza! — ryknął Pistchiani. — Nasza! Nasza! Ciągnąć! Ciągnąć! Ciągnąć, a każdy burdel w Honolulu będzie nasz!

Ranna samica pomknęła jeszcze sto jardów do przodu, a potem skręciła w lewo, przez co znalazła się dokładnie na wprost stojącego na dziobie Pistchianiego. Zacisnął harpun w dłoni wpatrując się w nadpływającego wieloryba.

— Ciągnąć, ciągnąć... — szeptał.

Mung trzymał pewną ręką rumpel, obserwując, jak dowódca łodzi odstawia prawą nogę do tyłu i bierze zamach. Słysząc już było plusk, z jakim ogromne zwierzę pruć wodę, zbliżając się do nich od przodu. Pistchiani spojrzął w małe oko.

— Aaaaaaaa! — Cisnął harpun i stalowy grot pogrążył się w ciele zwierzęcia aż po drzewce. Wieloryb rzucił się w ich stronę. Pistchiani popuścił linkę.

— Pełna prawa kontra! — krzyknął.

Mung ostro przerzucił rumpel, wiosła u jednej burty uderzyły w wodę, łódź okręciła się prawie w miejscu i umknęła z drogi szarżującemu wielorybowi.

W tej samej chwili ogromna krowa spostrzegła kołyszających się na falach Szwedów i zaatakowała ich bez namysłu, włokąc za sobą

Amerykanów. Zanurzyła wielki, szeroki łeb, staranowała Szwedów, po czym poderwała łeb do góry. Łódź i wiosłarze stoczyli się po tępo zakończonym czole prosto w jej rozwartą paszczę. Samica parła dalej w górę, wydzwigając się potężnymi uderzeniami ogona wysoko ponad wodę, po czym runęła w dół, miażdżąc cielskiem ludzi i łódź. Linka harpuna Amerykanów zwiotczała na sekundę, a potem wyprysnęła ze świstem z wody, szarpnięta znów do przodu przez ranne zwierzę. Poszybowali lukiem nad grzbietami fal prosto między unoszące się na wodzie szczątki i rąbnęli w zatopiony kadłub, dokładnie w połowie swej długości. Cienkie cedrowe poszycie rozprysło się w drzazgi, łódka pękła na dwoje. Załoga Pistchianiego wylądowała w wodzie, a on sam pomknął dalej za dogorywającym wielorybem na szczątkach dziobu.

Stary Peter w bocianim gnieździe i kapitan na mostku bacznie śledzili ruchy wszystkich załóg. Na rozkaz kapitana Stary Peter wywiesił sygnał kierujący pozostałe łodzie po rozbitków.

Kapitan Whittefield obserwował ucieczkę krwawiącego zwierzęcia, wlokącego za sobą Pistchianiego. Samica opadła z sił, Pistchiani zaś szybko wybierał linkę harpuna, aż dobił do jej boku. Wyrwał z uchwytu na resztkach dziobu pikę, puścił linkę, chwycił harpun sterczący z boku wieloryba i wskoczył na grzbiet zwierzęcia, by zadać mu ostateczny cios. Samica rzuciła się resztkami sił r^zed siebie, przepłynęła jeszcze pięćdziesiąt jardów, po czym zaczęła się tarzać w spienionej wodzie, wciągając konwulsyjnie powietrze i wydychając je przez otwór na szczycie głowy, mimo to Pistchiani zdołał utrzymać drzewce harpuna. Teraz zapał się o nie, położył na boku zwierzęcia, wyszarpnął pikę i wbił ją ponownie. Olbrzymim cielskiem wstrząsnęły konwulsje agonii, oko w boku głowy przetoczyło się w tył, patrząc bezsilnie, jak wielorybnik manipuluje rączką piki, szukając ostrzem wielkiej żyły biegnącej do płuc.

Mung ujrzał różowy obłok krwi i pary wodnej dobywający się z otworu na szczycie głowy samicy i spadający deszczem na Pistchianiego. Ogromne zwierzę wydało z siebie głośnie sapnięcie i skończyło.

Tymczasem wyłowiono wszystkich ludzi Pistchianiego. Jeden miał złamaną rękę, drugi naderwane mięśnie klatki piersiowej, ale poza tym nic się nikomu nie stało. Trzech Szwedów nie udało się odnaleźć. Pozostałych wydobyto z wody i przewieziono na pokład „J. Howlanda”. Kapitan Whittefield posłał Diakona Gilhooleya i Hockmeyera po Pistchianiego i jego wieloryba, pozwalając im zabrać ze sobą Munga i Czarnego Bena.

— Hej tam, na wspaniałej łajbie „Beka Tranu”! — zawołał Gilhooley do Pistchianiego siedzącego na grzbiecie wieloryba.

— Coś nie bardzo się tu po mnie spieszyliście, Gilhooley. Jak tam moja osada?

— Wszyscy cali i bezpieczni. Gratulują ci objęcia dowództwa nowej jednostki.

— Przestań trzaskać dziobem i podpływaj.

— Uważasz, że wygrałeś zakład?

— Pewnie! Przecież pierwszy wieloryb mój, nie?

Hockmeyer zamachał rękami i uderzył się w pierś.

— I myślisz, że będziemy holować ciebie i tę górę tłuszczu, żebyś mógł zainkasować naszą forszę? Wygrywa pierwszy wieloryb przy burcie „Howlanda”!

— Och żeż ty! — pogroził mu zaciśniętą pięścią Pistchiani. — Tak chcesz mnie załatwić?! To nie po sportowemu!

Gilhooley poskubał się w ryżą brodę.

— Nie jesteśmy sportowcami tylko wielorybnikami. A do tego zaczyna się ściemniać. Więc albo dzielisz się w Domu Słońca dublonami po równo, albo nocujesz tutaj ze swoją wielgachną przyjaciółką.

— Ja też chcę iść do Domu Słońca! — zawołał Mung, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. — Co to jest ten Dom Słońca? — spytał, trącając w bok Czarnego Bena.

Ben wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, ale zobaczę, czy uda mi się załatwić, żeby zabrali nas ze sobą.

Pistchiani machnął z rezygnacją ręką i przywołał łodzie.

— Może i jesteście oficerami na statku wielorybniczym, ale na pewno nie dżentelmenami. Dżentelmen przegrywa zakład z honorem. Zabierać mnie stąd!

Pierwsza łódź wzięła na pokład Pistchianiego, potem obie podczepiły zabity samiec i odholowały ją do „J. Howlanda”. Nim przybili do burty, Szwedów odesłano na pokład ich macierzystego statku. Wieloryba unieruchomiono przy burcie i zaczął się żmudny proces cięcia tuszy. Obracano ją powoli i obierano z płatów tłuszczu jak pomarańczę. Oddzielono łeb i za pomocą wielokrążka wciągnięto na pokład. Ekipa sprawiaczy zabrała się do wycinania fiszbinów — giętkich płytek rogowych używanych do wyrobu parasoli, pasów i gorsetów.

Mung ostatni opuszczał truchło wieloryba. Zawołał o linę, by wrócić na pokład, i już miał zamiar dać znak do odcięcia białego zewłoka, gdy w pozbawionych łba szczątkach dostrzegł jakiś ruch. Natychmiast krzyknął do obsługi kołowrotu, by go ponownie opuściła. Zaalarmowani jego krzykiem marynarze przerwali pracę i zaczęli się przyglądać, jak Mung owija sznurem kilka razy długi, kiełbasowaty

żołądek wieloryba i podnosi kciuk gestem sygnalizującym, by wciągnąć go razem z tym dziwnym ładunkiem na pokład.

Kiedy jeden ze sprawiaczy przeciął ostrym jak brzytwa, ogromnym nożem grubą błonę żołądka, w migotliwym świetle ognia pod kadziami do wytapiania oleju ujrzeli ciało człowieka leżącego twarzą w paskudnej brei. W milczeniu wytrzeszczyli oczy na nieruchome zwłoki.

— Zbadać ciało! — dobiegł z mostka rozkaz kapitana Whitefielda.

Sprawiacz dotknął ostrożnie spodni i swetra topielca. Były przesiąknięte sokami trawiennymi wieloryba i śliskie od śluzu. Odwrócił ciało na plecy.

— Panie kapitanie, to jeden z tych Szwedów. Ubranie ma częściowo strawione, skóra i włosy zrobiły mu się kompletnie białe. Aaaa...!

Sprawiacz poczuł, że coś go chwyta za nogę. Odskoczył jak oparzony, ale to coś nie puściło jego spodni. Szwed usiadł, zamrugał powiekami i w upiornie bladej twarzy zalśniły jaskrawoniebieskie oczy. Sprawiacz szarpnął się jak oszalały, wyrwał z zaciśniętych palców nogawkę spodni i wyskoczył za burzę.

— Człowiek za burzą! — zawołał kapitan.

Diakon Gilhooley podbiegł do Szweda, ukląkł obok niego i przejętym głosem zawołał:

— Byłeś w brzuchu wieloryba! Jak Jonasz byłeś na dnie morza! Chwała Panu naszemu i Zbawicielowi, Jezusowi Chrystusowi! Musisz uwierzyć! — Potoczył wzrokiem po zgromadzonej wokół załodze, a potem spojrzął wprost na Munga. — Wszyscy musicie uwierzyć!

Uratowany marynarz popatrzył nieprzytomnie na Diakona i wydał z siebie dźwięk do złudzenia przypominający cichutkie pomiaukiwanie płaczącego kociaka. Pomiaukiwania przeszły w wysokie świsty nierównej długości, usta mu zadrżały i zaczął bez opamiętania Irajkotać po szwedzku.

— Daj mu spokój! — powiedział Pistchiani, odciągając Diakona od Szweda. — Facet nie rozumie słowa po angielsku, a z tego wszystkiego pewnie jeszcze mu się poprzestawiało — dodał pukając się w czoło.

Szwedzi zabrali swego kompana z pokładu „J. Howlanda” dopiero rankiem następnego dnia. Do tego momentu nikt nie zmrużył oka. Sprawiacza wyłowiono co prawda z morza, ale uparł się, że dopóki Jonasz znajduje się na pokładzie, jego noga tam nie postanie, i całą noc spędził w szalupie.

A Diakon Gilhooley z płonąącym wzrokiem i żarliwością misjonarza opowiedział Mungowi podanie o Jonaszu.

ROZDZIAŁ 6

Dziesięć dni i pięć wielorybów później kapitan Whittefield wprowadził „J. Howlanda” do portu w Honolulu, zatłoczonego statkami wielorybniczymi z całego świata. Już po chwili jego uwagę zwróciła niezwykła liczba okrętów wojennych. Zapisał ich nazwy w dzienniku okrętowym i swoim osobistym notatniku: *30 sierpnia 1842: brytyjskie okręty wojenne: „Sulphur”, „Action” i „Ambusade”; francuskie: „La Place”, „La Bonite”, „Venus” i „Armetice”; amerykańskie: „Potomac” i „Constellation”.*

Hawajski komendant portu wypłynął im czołnem na spotkanie i poprowadził ku bezpiecznemu kotwiczowisku, między osiemdziesiąt stojących już tu jednostek. Zakotwiczono od dziobu i rufy, zwinęto żagle; maszt i reje „J. Howlanda” przeistoczyły się w jeszcze jedno nagie drzewo w rozkołysanym lesie przystani.

Mung spojrzął przez reling w krystaliczną wodę. Była tak czysta, że wydawało się, iż statek unosi się w powietrzu. Ujrzał egzotyczne ryby, krążące leniwie wokół barwnego koralu, rzucające na piasek dna rozmigotane cienie. Zapisał wzrok w głębinę i nagle przypomniał mu się sen, który miał tej nocy. Siedział znowu w łodzi Fudenoja. Ręka zaplątała mu się w sznur do połowu okoni. Nie mógł jej oswobodzić. Szarpnięcia sznura wywlokły go powoli za burtę, a potem wciągnęły pod wodę, coraz głębiej i głębiej. Płuca zaczynały mu pękać. I wtedy, w dole pod sobą, ujrzał rozmazane twarze Shin-ho i swego brata, Jakata. Kiedy przyciągnęli go do siebie, zobaczył ich zupełnie wyraźnie. Przesłali ciągnąć sznur i spojrzeli na niego z uśmiechem. Unosząc się nad nimi, odwzajemnił ich ukłon i przyjął podaną mu misę płynu z zagłębienia na głowie tajemniczego kappy. „Mung, braciszku — powiedział Jakato — nigdy nie zapomnij, jak się chwyta kappę.”

Shin-ho odciął sznur, a on wyprysnął ku powierzchni, wstrzymując resztką sił oddech i dziwiąc się w ostatnim przebiegu świadomości, dlaczego brat nazwał go Mungiem.

Czyjaś wielka dłoń chwyciła go za ramię i jednym ruchem odwróciła od relingu.

— Chodź, mały — powiedział Pistchiani. — Pora, żebyś wkroczył w świat i poznał trochę życie.

Diakon Gilhooley podszedł od tyłu, podniósł chłopaka za pasek od spodni i jak worek kartofli poniósł w stronę drabinki.

— Pistchiani! — zawołał przez ramię. — Pomóż mi z tym workiem japońskiego ryżu! Przez te dziewięć miesięcy, od kiedy jest z nami, bardzo wyrósł.

Pistchiani złapał za pasek z drugiej strony. Ruszyli wielkimi krokami przez pokład, swobodnie huśtając szamocącą się między nimi ofiarą. Kiedy doszli do wywieszanej za burtę drabinki, wystawili go na wyciągniętych rękach poza reling, nad kołyszące się w dole czółno.

— No i co. Diakon? Puszczamy?

Mung obejrzał się przez ramię na obu marynarzy, a potem szybko zerknął na czółno. Hawajczycy pospiesznie zanurzyli wiosła i cofnęli się od burty.

— Nie mów do mnie „Diakon”! Dobrze wiesz, że kiedy schodzę na brzeg na tych pogańskich wyspach, zostawiam Biblię w kuferku pod koją.

Jak na komendę puścili pasek spodni. Chłopak wpadł do wody niby kamień.

Kiedy wyplłynął na powierzchnię i przetarł pięściami oczy, Pistchiani zawołał z góry:

— To będzie dla ciebie nauczka, żebyś się częściej kąpał!

W pierwszej chwili Mung zupełnie osłupiał.

— Tylko ja jeden na całym statku myję się codziennie! — zawołał, kiedy nieco przyszedł do siebie. — Wy i cała reszta nie kąpaliście się od miesiąca!

Gilhooley dał Hawajczykowi znak, żeby wyłowili chłopca z wody.

— Bo ty jesteś poganinem! — zawołał. — Musisz się częściej szorować!

— Ale przecież uczyłeś mnie, że kształt ani kolor ciała nie mają nic do czystości duszy! — odkrzyknął Mung, kiedy wiosłarze wciągali go do czółna.

Pistchiani spojrzał zaskoczony na Gilhooleya.

— Czegoś ty mu, u diabła, nakładł do tej żółtej łepetyny? Przecież każdy wie, że amerykański chrześcijanin jest o niebo lepszy od każdego innego.

— Ech — westchnął tamten — zaczynasz w końcu rozumieć. Sprowadzenie poganina do owczarni Pana to nie w kij dmuchał, mój drogi. To długi i skomplikowany proces.

— Niech ci będzie... — mruknął nie przekonany Pistchiani. — Ale jeśli mamy z niego zrobić prawdziwego amerykańskochrześcijańskiego marynarza, to musimy go zabrać do Domu Słońca.

Gilhooley przytaknął skinieniem głowy, przelał przez burtę i zszedł po drabinie.

Mung usiadł pośrodku czółna, Gilhooley przed nim, Pistchiani za nim. Dwaj Hawajczycy, rośli, dobrze zbudowani, przystojni mężczyźni, zajęli miejsca na dziobie i rufie. Pozostali odbili już od burty „J. Howlanda”, więc ruszyli za nimi, bez wysiłku sunąc po spokojnej, przejrzystej toni. Mung wystawił rękę za burtę, żeby sprawdzić głębokość zanurzenia. Krawędź łodzi wystawała nad wodę tylko na palec. Reszta czółen urządziła sobie wyścigi do plaży. Kilka z nich manewrowało tak, aby schwytać ciągnące od tyłu fale. Tu i ówdzie widać było Hawajczyków leżących na brzuchach na deskach o długości dziesięciu, a szerokości dwóch stóp. Wiosłowali rękami, póki udało im się złapać falę, po której mogliby się ślizgać. Przybój wywrócił kilka desek i czółen, ale wyglądało na to, że Hawajczykom sprawiło to taką samą radość jak ślizganie się po falach.

Ich łódka nabrała szybkości. Wioślarze kierowali się wprost na brzeg. Mung poczuł, że rufa unosi się w górę i mkną przed siebie jak strzała. Kątem oka dostrzegł, że zza pleców wyrasta nad nimi spieniona ściana fali. Chciał się obejrzeć, ale Pistchiani przytrzymał go za ramię.

— Nie ruszaj się teraz, bo wszyscy wylądujemy w wodzie!

W pierwszej chwili odruchowo usłuchał. Ale kiedy spojrzął na swoje ociekające wodą ubranie, bez namysłu wystawił rękę za burtę i wbił otwartą dłoń pionowo w wodę. Czółno wytraciło prędkość i zaczęło się obracać.

— Ty stuknięty Japolu! — krzyknął Pistchiani.

Gilhooley obejrzał się w samą porę, by zobaczyć, jak fala zwała się wprost na nich. Łódź wywróciła się i przewróciła wyrzucając ich w skotłowaną wodę. Zaśmiewając się na całe gardło, popychając się nawzajem i przewracając dobrnęli do brzegu. Pozostali członkowie załogi „J. Howlanda” przyłączyli się do zabawy i chwilę później na plaży Waikiki turlała się jedna wielka kula splątanych rąk i nóg. Szaleli jak dzieci — śpiewali, przedrzeźniali się, parodiowali nawzajem swój kaczycy chód na pierwszym kawałku stałego lądu po ponad roku rozkołysanego pokładu.

Kiedy mieli już dość zabawy na plaży, Hockmeyer, Gilhooley

i Pistchiani poprowadzili ich do długiego piętrowego budynku z białej, suszonej na słońcu cegły, pokrytego czerwoną glinianą dachówką.

— A gdzie te kobiety?! — zawołał któryś z marynarzy.

Pistchiani zatrzymał się w pół kroku i odwrócił twarzą do załogi.

— Czy wy, wypierdki, już nic nie pamiętacie?! — ryknął. — Mówiłem wam przecież, że Hawajczycy na wielkiej wyspie wyznają własną religię.

— Nie gadaj tyle, chcemy do bab!

Pistchiani nie ruszył się z miejsca i uniósł obie ręce. Wszyscy zatrzymali się, by go wysłuchać.

— Mówię wam, że wyznają swoją religię! — ryknął na cały głos. — Wyznają ją — ciągnął już nieco ciszej — do szóstej po południu. Potem pada wystrzał z działa „Pierdolnik” i dopiero wtedy otwierają burdele.

Podskoczył wysoko w powietrze i rzucił się biegiem, a za nim cała reszta, krzycząc, śmiejąc się i przeklinając, przepychając się jeden przez drugiego. Przystanęli dopiero przed schodami Domu Mamy Żeglarki. Wielkie podwójne drzwi z drewnianych listewek rozwarły się na oścież. Gilhooley i Pistchiani chwycili Munga i wrzucili go na werandę. Rozciągnął się jak długi u stóp niskiej, zażywej kobiety. Miała na sobie długą kwiecistą suknię sięgającą bosych stóp i naciągnięty na wierzch granatowy marynarski sweter z długimi rękawami. Siwiejące czarne włosy okalały twarz krągłą jak księżyc w pełni, a w niej perkaty nos i roziskrzzone czarne oczy.

— Co wyście mi tu przynieśli? — spytała wskazując na Munga. — Chińskiego kuchcika od wielorybiego sadła?

— To nie Chińczyk, Mamo — odparł Hockmeyer. — To czystej krwi Japoniec, a po angielsku gada nie gorzej od ciebie.

Kobieta schyliła się i pomogła Mungowi wstać.

— W takim razie nie będzie miał kłopotów, żeby zrozumieć zasady tego domu. Pistchiani, przyprowadził cię tu twój ojciec i on ci je wyłożył. Żadnych wyjątków.

Mierzący sobie sześć stóp i trzy cale dowódca łodzi rozłożył z wyrzutem ręce.

— Mamo! Ja miałbym nie znać zasad?!

— Znać a stosować to dwie różne sprawy. Lepiej już na wstępie wszystko sobie wyjaśnić. Wejdźcie — zaprosiła ich gestem do wielkiego holu.

Hockmeyer i Pistchiani popchnęli Munga przodem. Gilhooley chwycił Mamę wpół, zawirował z nią w tańcu, tańcząc wprowadził do środka, a kiedy już wszyscy marynarze znaleźli się wewnątrz, podniósł ją i postawił na zbitym z desek stole.

— Rok bez baby i pierwsza, jaką widzę, jest brzydka! — zawołał Wielki Ben. — Co ja gadam... szkaradna! I jeszcze ma zasady!

— Ben, czy ty myślisz, że Mama nosi ten strój dlatego, że jej zimno? — Gilhooley pokręcił z politowaniem ryżą głową. Podciągnął sweter, spod którego ukazał się pas z przegródkami na pieniądze. Zza pasa wystawała kolba zatknętego zań pistoletu. Wielki rudy oficer pokazał go palcem i spytał:

— No i jak? Nadal wydaje ci się brzydka?

Ben podrapał się w łysinę.

— Och nie, jest piękna, piękna, przeeee-piękna!

— No dobra, moi wytapiacze sadła — zawołała Mama Żeglar-ka. — W tym domu jesteście bezpieczni. Nikt was tu nie spije i nie skaperuje na obcy statek, nikt nie obłupi was ze skóry, nie będzie żadnych burd. Ale też żadnych kobiet. A wszystko za jedne pięćdziesiąt centów dziennie, z posiłkami i kąpielą. I nie nakarmię was, dopóki się porządnie nie wyszorujecie. Śmierdzicie wszyscy jak beka zjełczałego tranu!

Mężczyźni podnieśli radosny wrzask i rzucili się tłumem na tyły domu za prowadzącym pod prysznicę Hockmeyerem, zamawiając po drodze głośno whisky, dżin i rum i ściągając niecierpliwie brudne łachy.

Pistchiani chwycił Mamę w pól i podniósł w powietrze. Nim zestawił ją na podłogę, spytał:

— Mamo, chcieliśmy iść dzisiaj w piątkę do Domu Słońca. Możesz to załatwić?

— Dobrze, ale nie płacie wioślarzom. Zapłacie na miejscu księstwu Boomer.

— Zgoda. A teraz czy możesz mi przyrządzić to, co jada mój ojciec?

— Dopiero jak się wykąpiesz. I postaw mnie wreszcie na ziemi! Mam mnóstwo roboty.

Wypili drinki, weszli pod prysznicę, jeszcze kąpiąc się wypili następne. Kiedy zaczęli napływać z powrotem do holu, wyszorowani, z zaczerwienionymi twarzami i błyszczącym wzrokiem, Mung ledwie ich rozpoznał. Każdy dostał długą, białą, muślinową szatę z krótkimi rękawami. Wszyscy nieustannie spoglądali pod nogi, by nie przydepnąć kraju szat zamiatających podłogę z sandałowca. Kiedy Czarny Ben pochylał łysą, jajowatą głowę, aż błysk od niej szedł.

Większość marynarzy zamówiła steki, kotlety lub gotowaną wieprzowinę. Pistchiani zasiadł przy okrągłym stoliku przeznaczonym dla co najmniej trzech osób, ale nie dopuścił do niego nikogo więcej. Kiedy Mama wniosła jedzenie, stało się jasne dlaczego. Taca zajęła cały blat stolika. Królował na niej wielki półmisek z sześcioma

śledziami, ułożonymi na bokach jeden obok drugiego, i jeszcze ciepły bochen ciemnego chleba, przybranego wokół całymi czerwonymi pomidorami i białymi, surowymi cebulami. Obok prawej ręki postawiono mu kwaterkę whisky i wielkie cygaro.

Hockmeyer i Gilhooley usiedli naprzeciw siebie, zając surową siekaną wołowinę doprawioną cebulą i surowymi jajkami. Mung zamówił dwie wielkie misy ryżu z gotowanymi jarzynami przyrządzone przez chińskiego kucharza. Jedząc i delektując się tym pożywieniem przypomniał sobie, jak straszna biegunka go nękała, nim przywykł do kuchni na pokładzie.

Pistchiani rozparł się na krześle, wypuścił pod sufit kłęb dymu z cygara, potoczył wzrokiem po sali i wyszczerzył zęby w uśmiechu do wszystkich naraz i każdego z osobna. Poza łbami ryb i ościami na talerzu nie został ani okruszek, a w karafce ani kropla trunku. Przeciągnął się z trzaskiem stawów i zawołał:

— Harowaliście cały rok na wielorybniku, mięśnie wam porosły jak bykom, przyplłynęliście na Hawaje, nazarliście się i napiliście... Pora na kobiety!

Zjawiła się Mama, żeby zabrać tacę.

— Jak będziesz jadł tyle ryb, to w końcu sam się zamienisz w śledzia — złażała go pogodnie.

— Cha, cha, cha... — Twarz Pistchianiego rozjaśnił uśmiech. — Mamo, jesteś cudowna! Wyżerka też była cudowna!

Buuu! Przeciągte echo armatniego wystrzału przetoczyło się nad domem i zatrzęsło ścianami.

Wszyscy zamarli w bezruchu, zapadła martwa cisza, którą przerwał czyjś okrzyk:

— „Pierdolnik!”

— Otwierają burdele! — zawtórował mu ktoś inny.

Mung obserwował ich twarze. Rozdziawili usta, oczy nieomal wyszły im z orbit, zerwali się z krzesel i hurmą rzucili do drzwi. Któryś przewrócił się na progu. Ci z tyłu napierali na tych z przodu — rozpętało się istne pandemonium. Zwalili się na kupę i kotłowali z wrzaskiem, aż nagle huknęły dwa strzały. Wrzask ucichł jak nożem uciął.

Mama stała pośrodku holu z dymiącym jeszcze pistoletem wycelowanym w sufit.

— Kiedy kto idzie do burdelu od Mamy, to idzie jak dżentelmen. Jeśli macie zamiar lecieć w tych kiecach, to proszę bardzo, ale załóżcie chociaż buty i weźcie pieniądze. Na Hawajach za poszturchanie się płaci. — Skinęła ręką na Hockmeyera, Gilhooleya i Pistchianiego. — Rozplączcie tę kupę głupków.

Diakon Gilhooley, Hockmeyer, Mung i Czarny Ben utorowali sobie drogę za Pistchianim i wskoczyli do dwumasztowej hawajskiej łodzi. Usiedli na platformie między dwoma kadłubami. Sześciuosobowa załoga rozlokowała się w obu wydrążonych kadłubach, jedni przy żaglach, inni przy sterze. Łagodne bujanie i balsamiczne powietrze już wkrótce ukołysały wielorybników do snu.

Mniej więcej o północy zbudziła ich niska, gardłowa pieśń wioślarska Hawajczyków. Łódź wpłynęła do niewielkiej zatoczki i skierowała się ku plaży. Za pasem białego piasku majaczyły w tropikalnej nocy kryte strzechą chaty, a obok nich wystrzelały w górę majestatyczne palmy. Ich rzędy wiodły w dolinę między dwiema wulkanicznymi górami, których szczyty migotały srebrzyście w poświacie księżyca.

Pistchiani wskazał ręką tę niewidoczną za ścianą palm dolinę.

— To właśnie jest Dom Słońca. Hawajczycy mają taką legendę. Według niej od stworzenia świata słońce co noc przybywa tu na spoczynek przed podjęciem kolejnej wędrówki przez niebiosa.

Jeden z wioślarzy podał im butelkę z grubego pędu bambusa. Hockmeyer wyrwał zębami zatyczkę i pociągnął haust rumu. Wręczył naczynie Mungowi, który napił się od serca i podał je dalej. Chciał zapytać, czy Hawajczycy naprawdę wierzą w tę legendę. Wszyscy wiedzieli, że jeśli słońce rzeczywiście miałoby gdzieś odpoczywać, to na pewno w Japonii, u cesarza, który był przecież w prostej linii potomkiem Boga Słońca. Otworzył usta, żeby zapytać, lecz w tej samej chwili rum eksplodował mu w piersi. Policzki zaczęły mu pałać, w gardle rozgorzał ogień, a świat zawirował przed oczami.

Hockmeyer poklepał go po ramieniu.

— Widzę, Mung, że potrafisz docenić dobry trunek.

Marynarze ryknęli śmiechem, do którego przyłączyli się Hawajczycy. Nie wiadomo skąd pojawiły się dwie następne bambusowe butelki. Mung poczuł przyjemne mrowienie w karku. Po całym ciele rozchodziło mu się miłe ciepło. Gilhooley cichcem zaopiekował się całą jedną butelką.

— No, Mung — powiedział Pistchiani — musisz się jeszcze napić, bo Hawajczycy poczną się obrażeni.

Tym razem przetrzymał rum w ustach i przetykał go powoli, drobnymi łyčzkami. Już tak nie paliło, tylko coraz przyjemniej grzało.

— Panowie — powiedział Pistchiani — przedstawię was księstwu Boomer. Po szkole, jaką wam dadzą, zrozumiecie wreszcie, co to znaczy być prawdziwym grzesznikiem.

— Amen — zakończył Gilhooley odwracając wzrok.

Wyskoczyli z łodzi, rozpryskując wodę dobrnęli do brzegu i ruszyli

plażą za jednym z wioślarzy ku ustawionym w półkole chatom. Jakiś samotny bęben wybijał powolny, miarowy rytm. W migocącym świetle kokosowych pochodni Mung ujrzał rozciągnięte w trawie nagie ciała mężczyzn i kobiet, głównie Hawajczyków. Tu i tam blade ciało przybysza spoza wyspy kontrastowało silnie z czekoladowym ciałem kobiety. Niektórzy wciąż jeszcze kochali się w rytm leniwego dudnienia bębna. Jakiś brodaty żeglarz w samej czapce objął od tyłu piękną dziewczynę. Z uśmiechem schowała głowę w ramiona, pochyliła się ku ziemi i zakolysała w przód i w tył, poddając się ruchom bioder przytulonego do jej pleców marynarza.

Pośrodku polany wysoki tubylec bił w bęben z wydrążonej kłody obciągniętej skórą rekina. W wiklinowym krześle z oparciem jak wielki wachlarz siedział rozwalony tęgi, siwiejący Hawajczyk. Na wielkim wozie, zarzuconym barwnymi matami, z bambusową butelką rumu w ręce, leżała naga królowa Kekauloahi. Miała sześć stóp i dwa cale wzrostu i ważyła dobre trzysta funtów. Za poduszki służyło jej dwóch nagich młodych mężczyzn.

Pistchiani złożył głęboki dworny ukłon, zamiatając przed sobą ręką.

— Panowie, przedstawiam wam księstwo Boomer.

Potężna kobieta poruszyła się ociężale, by puścić wiatry. Prprpr!

Usłyszawszy to księżę Boomer drgnął i usiadł prosto. Jego żołądek zaprotestował przeciwko tej nagłej zmianie pozycji i podjechał mu do gardła. Otworzył usta. Buueee!

Wyrwany tym odgłosem z pijackiej drzemki, otworzył oczy i ujrzał gapiących się na niego mężczyzn. Powiedział coś po hawajsku do królowej, która wsparła się na łokciu i starła dłonią pot spod wielkich piersi.

— Kto tu, u diabła, przybywa w samym środku nocy? — spytała.

— Pistchiani z przyjaciółmi!

— Pistchiani? Ojciec czy syn? — Pochyliła się do przodu, żeby przyjrzeć się przybyszom w świetle pochodni.

— Syn! — odkrzyknął Pistchiani.

Królowa opadła z powrotem na maty.

— Twój ojciec był świetnym jebaką, ale zawsze musiałam go upijać w trupa, nim zdobył się na odwagę, by wejść tu do mnie na wóz.

— Królowo — powiedział Pistchiani z ponownym ukłonem — rad jestem, że nie dała się pani nawrócić na chrześcijaństwo, jak te zdroje Pisma Świętego z dużej wyspy. Oni psują całą zabawę.

— Nie ma to jak starzy bogowie. — Odetchnęła głęboko i puściła wiatry. — Wielebny Damon przyjeżdża tu czasami prawić kazania, ale

ja mu każę wleźć na wulkan i wskoczyć do środka. Jeśli twój bóg cię uratuje, powiadam, to przejdę na twoją wiarę.

Dotknęła jednego z młodych mężczyzn za swymi plecami, a on natychmiast wsunął jej do ręki następną butelkę rumu. Pociągnęła zdrowy łyk. Jej głośnemu czknięciu zawtórowało od wiklinowego krzesła czknięcie księcia Boomera. Hawajczyk wstał; przewyższał o pół głowy mierzącego sześć stóp i trzy cale Pistchianiego.

— Ale uczymy się od chrześcijan — wybełkotał. — Kto przychodzi się modlić, musi płacić.

Pistchiani podszedł do królowej, podniósł dłoń i wypuścił trzy złote dubłony, które spadły jej z brzękiem między piersi. Dorodne ciało zatrzęsło się od śmiechu. Skinęła na księcia Boomera.

— Postaraj się o dziewczęta i chaty!

Hawajski olbrzym odsunął nogę w bok. Prprpr! Puścił wiatry i odszedł. Królowa zbudziła obu młodych mężczyzn, by przetoczyli jej wóz do największej chaty.

— Czy ona jest naprawdę królową? — spytał Czarny Ben.

— Pewnie — odparł Hockmeyer — A on księciem.

— Nie jest jej mężem?

— Nie, ten facet to przyrodni brat króla, z innej matki. Pistchiani znacznie lepiej się w tym wszystkim orientuje.

Gilhooley stał zatykając uszy palcami.

— To bluźnierstwo! Przyszliśmy tutaj trzepać dziobami czy podmuchać sobie?! — zawołał i odszedł w tę samą stronę co książę.

— Pani Boomer jest królową, młodszą siostrą króla, za którego wyszła za mąż — wyjaśnił Pistchiani. — Kiedy król przeszedł na protestantyzm, wzięli rozwód. Powiadają, że był to dla niego najprostszyszy sposób, żeby się jej pozbyć. Nie mógł już z nią wytrzymać. Pierdziała w towarzystwie zagranicznych dyplomatów i zabawiała się na ich oczach ze swoimi młodymi kochankami.

Podeszła do nich prześliczna Hawajka z naręczem bambusowych butelek. Miała na sobie tylko spódniczkę z trawy. Mung, ostatni w kolejce, patrzył, jak podaje każdemu butelkę, coraz bardziej odsłaniając kształtne piersi. Kiedy w końcu stanęła przed nim, wziął ostatnią butelkę. Podnosił ją do ust, nie mogąc oderwać wzroku od gładkiego, pulchnego, pełnego wypukłości ciała dziewczyny. Ciepło w lędźwiach buchnęło ognistym żarem. Dziewczyna wdzięcznym, płynnym ruchem dotknęła zagłębienia między swymi piersiami, a potem piersi Munga. Poczuł dziwne mrowienie w karku. Marynarze wybuchnęli śmiechem i zostawili ich samych.

— Aloha — powiedziała dziewczyna, ujęła go za obie ręce, poprowadziła do najbliższej chaty i pociągnęła za sobą na matę z trawy.

Położyli się obok siebie, twarzą w twarz.

— Aloha — powtórzył. — Jakie piękne imię. — Przypomniał sobie, że czytał kiedyś do poduszki wspomnienia jakiejś osiemnastowiecznej kurtyzany, ale po raz pierwszy w życiu pamięć go zawiodła. Dziewczyna zaczęła mu rozpinąć koszulę. Przynęła się bliżej i potarła jego nagą pierś swoimi piersiami. Odpiął szybko pasek i zrzucił z siebie całe ubranie, a ona rozwiązała spódniczkę. Sięgnął do jej ud i powoli przesunął po nich chropawą ręką. Przytulili się do siebie, jej wargi odnalazły jego usta. Od ich dotyku w pierwszym w jego życiu pocałunku przez całe ciało przebiegł mu przeciągły dreszcz. Jej język zatrzepotał, wniknął w głąb jego ust, przyprawiając go o elektryzujący wstrząs, który targnął nim aż po podbrzusze. Dziewczyna przewróciła go łagodnie na plecy i położyła się na nim, zaciskając jego naprężony, pulsujący mięsień między udami. Jej gładkie złociste ciało poruszało się nad nim, w górę i w dół, w przód i w tył. Obiema rękami dotknął nabrzmiąłych sutków małych piersi. Dziewczyna odrzuciła głowę w tył, odgarnęła długie czarne włosy na plecy i uśmiechnęła się. Rytm ruchu jej ciała stopił się z rytmem dobiegającego zza ścian samotnego dudnienia bębna. Nagle ogarnęła go nieprzeparta chęć, by wejść w nią głębiej. Wyrzucił biodra w górę, wyginając się w łuk od ramion do pięt. Dziewczyna rozchyliła usta, z których wymknął się cichy jęk. W desperacji, by wtargnąć w nią głębiej — głębiej! — przycisnął ją do siebie obiema rękami, przeturlał się w bok i znalazłszy się na gorze, wsunął biodra między jej uda. Za każdym pchnięciem wydawała z siebie coraz głośniejszy jęk, aż chwyciła go za szyję i przyciągnęła jego usta do swoich. Spletli się językami, z każdym kolejnym dobieciem jego bioder ciśnienie narastało, aż wreszcie nagromadzona energia znalazła ujście w wybuchu, po którym oboje padli bez sił. Mung przetoczył się na plecy, bez tchu, lecz bardzo z siebie zadowolony. Nagle przypomniał sobie w najdrobniejszych szczegółach wszystkie opisy z tamtej książki, a dziewczyna okazała się bardziej niż chętna, by po kolei wypróbować każdy z nich.

Cjłowa podskakiwała mu na nierównościach. Czuł, że ktoś go wlecze za obie nogi nagimi plecami po ziemi. Przesłonił ręką oczy przed jasnym, porannym słońcem, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ledwie widział majaczącą nad nim wąsatą twarz Pistchianiego, za to głos wielorybnika rozdzwonił mu się w głowie podziesiątym echem.

— Patrz na tego małego, Hockmeyer. Te ukośne oczka rozjeżdżają mu się na wszystkie strony, ale butelki nie puści.

miękką nagość kobiecego ciała. Obejrzał się. Patrzył w oczy nieznaną, lecz pięknej dziewczyny, kołyszącą się w przód i w tył w rytm uderzeń bębnow. Wzięła od niego butelkę rumu, wypijała i podała mu ją z powrotem. Pociągnął spory łyk. Smukłe palce Hawajki rozpinają mu powoli koszulę i pasek. Rum zaczął pulsować w żyłach; zakotłosał się dokładnie tak jak ona. Kiedy występował ze spodni, dziewczyna nie przestała wykonywać ruchów *huli*. Na pustej przestrzeni między rzędami tancerzy a pawilonem uklękła przed nim i wzięła do ust jego nabrzmiałą męskość. Wbił palce w lśniące, czarne włosy, by ją odepchnąć, ale zabrakło mu siły; od muśnięć jej języka i warg ręce miał jak z waty. Oplotła ramionami jego uda, zamknęła go w wilgotnej czeluści języka i warg i przedłużała pieszczotę, aż wyrzucił ręce w górę, poderwał głowę i wbił niewidzące spojrzenie prosto w słońce. Mięśniami szczupłego brzucha Munga targnęły konwulsyjne skurcze, jego soki trysnęły szerokim łukiem i oboje osunęli się na miękką piasek.

Po jakimś czasie poczuł, że od ciepłych promieni słońca powoli się odpręża. Każdy zakamarek jego ciała pulsował dudnieniem bębnow i tupotem stóp tysiąca tancerzy. Sięgnął w bok, ale Hawajka zniknęła. Nagle ktoś rzucił mu na brzuch jakieś zawiniątko. Usiadł. Jego własne buty i ubranie.

— Ty zwariowany Japolu! — Pistchiani chwycił go od tyłu za obie ręce i powłókł w stronę pawilonu. — Chcesz zginąć?! — Wskazał ręką galopujących w ich stronę na oklep Hawajczyków. — Wskakuj w gacie, bo wezmą cię za tubylca — poleciał ze śmiechem.

Hawajczycy osadzili wierzchowce tuż przed pawilonem, wzbijając ogromny tuman kurzu. W tłumie tancerzy rozległy się śmiechy i krzyki — pijani jeźdźcy omal nie stratowali kilku osób. W końcu książę Boomer rozkazał im zsiąść z koni, ustawić się w równym rzędzie i mocno dzierżyć wodze.

Królowa Kekualohi dzwignęła się ociężale i stanęła na podwyższeniu z butelką rumu w jednej ręce i dzidą w drugiej. Kiedy tłum się uciszył, donośnym głosem podziękowała starym bogom za słońce i deszcz zsyłane w odpowiednich proporcjach, by drzewa rodziły owoce, a ryby się rozmnażały. Ruchem ręki wskazała rząd białych konch, wytyczających tor wyścigu z jednej strony, i półmilowy rów, ograniczający go z drugiej strony, a potem ogromny głąz w głębi doliny, gdzie należało zawrócić, po czym pochyliła się lekko.

Prrryk!

Tłum wiwatował radośnie.

Królowa odgięła trzysta funtów swego ciała w tył, wzięła zamach i rzuciła dzidą, która poszybowała długim łukiem i wbiła się w ziemię

przed jeźdźcami. Dwudziestu Hawajczyków wskoczyło na wierzchowce. Trzech było tak pijanych, że natychmiast zważyło się na drugą stronę. Dwóch następnych skoziłkowało z końskich zadów w chwili startu. Piętnaście koni pognęło przed siebie przy wtórze radosnego ryku tłumu, wyrzucając spod kopyt kępy trawy i grudy ziemi. Popędzili doliną w stronę skały znaczącej połowę dystansu. Kiedy oddalili się od pawilonu, nie sposób było powiedzieć, który prowadzi. Zbliżając się do skały zbili się w ciasną gromadkę. Jeden z koni się potknął, dwa następne wpadły na niego i trzech zawodników wylądowało na ziemi. Ktoś w ogonie grupy zorientował się, że jego koń jest za słaby, by dociągnąć do mety, i postanowił przeskoczyć na innego. Oba rumaki runęły na ziemię, a jeźdźcy poturlali się w tumanie kurzu. Zza skały wyłoniło się dziesięć wierzchowców przynaglanych do szybszego biegu uderzeniami pięt w brzuch. Tłum zawył, kalebasy załkały, bębny zadudniły i w tym piekielnym zgiełku galopujący zawodnicy pokonali ostatni odcinek drogi, bijąc zwierzęta bez opamiętania pejcami z plecionej trawy.

Kiedy konie zaczęły się zbliżać, królowa wraz ze świętą wycofała się powoli z pawilonu. Pistchiani odciągnął Munga w bok. Na czele pędzącej w stronę dzidy grupy gnały kasztan i srokata klacz, a między nimi wielki kary ogier. Kiedy Hawajczyk na ogierze pochylił się, by łatwiej chwycić dzidę, ten na kasztanie dźgnął swego wierzchowca prawym kolaniem tak, że kasztan rąbnął karego karkiem w bok. Dosiadający go jeździec stracił równowagę i zważył się prosto pod kopyta, kasztan zaś musiał zwolnić, by odbić od ogiera. Srokata klacz straciła właściwie wszelkie szanse na zwycięstwo zepchnięta w bok w chwili zderzenia rywali, ale dosiadający jej Hawajczyk nie dał za wygraną. Stał jej na karku, przytrzymując się oburącz za grzywę, przykucnął, przeskoczył na pędzącego samopas ogiera i schyliwszy się do samej ziemi, wyrwał dzidę. Trzy konie i dwaj zawodnicy wpadli z rozpędu na ścianę pawilonu. Jeźdźcy runęli na ziemię, a tłum odciągnął ich spod kopyt stojących dęba koni. Chwilę później zaważył się dach całego pawilonu.

Luau trwało dwa dni i dwie noce. W ziemnych piecach pieczono całe świnie nadziewane delikatesami i zawinięte w liście kolokazji. Podawano misa za misą chłodny, niebieski *poi*, kurczęta smarowane mleczkiem kokosowym, cefale pieczone w liściach kordyliny, puddingi z kurkumy i parujące porcje śnieżnobiałego ryżu z krewetkami, posypanego jakimiś twardymi orzeszkami. Wszystko wokół zastały puste beczułki po rumie z Jamajki.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia Hockmeyer zebrał swoją załogę.

Z setkami skacowanych Hawajczyków powlekli się ścieżką na plażę i znaleźli sobie jakąś pustą chatę, by porządnie odespać dwudniowe szaleństwo.

Dwadzieścia cztery godziny później zbudziły ich głosy Hawajczyków i szuranie mioteł.

Hockmeyer wystawił głowę na zewnątrz.

— Sprzątają — oznajmił. Rozejrzał się po chacie. — A gdzie, u diabła, podział się Mung?

Ben otarł usta wierzchem dłoni.

— Ostatnie, co pamiętam, to jak się kładł koło mnie.

— Pójdę go poszukać — powiedział Hockmeyer.

Mung sprzątał chatę Gilhooleya. Podłoga była zastana rybimi ościami i kośćmi psów, łupinami orzechów, skórkami owoców i bambusowymi butelkami po rumie. Wśród tego pobojowiska spały trzy nagie kobiety. Wielki, rudobrody drugi oficer siedział po turecku przed chatą z głową pochyloną tak nisko, że niemal dotykał czołem kolan. Próbował śpiewać, lecz udawało mu się tylko wydawać dźwięki podobne do porykiwań rannego bawołu.

Hockmeyer poklepał Munga po ramieniu.

— Dobry z ciebie chłopak, że zabrałeś się do sprzątania, ale Hawajczycy zawsze doprowadzają wszystko do porządku po naszym odejściu.

— Nie szkodzi — odparł Mung. — Posprzątam tutaj, tak jak na statku.

Pierwszy oficer poskubał się w brodę, rozważając ten problem.

— No cóż... — mruknął w końcu. — Nie jesteś naprawdę biały, więc tubylcy za bardzo się nie zdziwią. Ale nie musisz tego robić. To należy do nich. Idę poszukać kogoś, kto by nas zawiózł z powrotem.

Gilhooley leżał rozwalony na piasku, kompletnie nieprzytomny. Hawajczycy odmówili zabrania go do łodzi, bo lepił się od brudu i cuchnął na miłą.

— No, chłopcy, wszyscy razem — polecił Hockmeyer. — Mung, ściągnij mu buty i skarpety. Ben, łap się za spodnie. Pistchiani, my we dwóch bierzemy się do góry.

Kiedy Mung pochylił się nad drugim oficerem, by rozsupłać sznurówki, w nos uderzył go taki smród rzygowin, rumu i moczu, że ledwie się powstrzymał, by nie zwymiotować. Gołego brodacza podniesiono z ziemi za ręce i nogi.

— No dobra, chłopcy, teraz na brzeg — polecił Hockmeyer. — Na trzy wszyscy razem puszczaamy.

We czterech rozkołysali ciało rudego drugiego oficera i rzucili je

lukiem do wody. Gilhooley obrócił się w powietrzu i wylądował (warzą w dół, prosto w nadciągającą falę. Chciał wstać, ale wracająca lala pociągnęła go ze sobą. Następna uderzyła go w plecy i przewróciła do przodu. Z trudem podniósł się na czworaki, ale nie wstawał na nogi w obawie, że znów się przewróci. Fale przetaczały się po nim w tę i z powrotem. Po chwili ujrzał swych kompanów zarykujących się na brzegu ze śmiechu. Wygrazając im pięścią stanął w chwiejnym rozkroku, lecz następna fala znów go zbiła z nóg.

— Chcecie mnie utopić! — ryknął. — Chcecie utopić dobrego chrześcijanina!

Próbował się podnieść, ale znów upadł. Po kilku próbach zdołał tylko usiąść, z wyciągniętymi nogami, plecami do fal. Zaczął płakać, łzy pociekły mu po zarośniętych rudą brodą policzkach. Zawołał coś niewyraźnie.

— Co on mówi? — spytał Mung.

— Że jest za daleko od stron, gdzie mógłby otrzymać przyzwoity chrześcijański pochówek — odparł Pistchiani.

— Ja też chciałbym być pochowany w Japonii, ale nie wiem, czy nawet martwemu Japończykowi pozwoliliby wrócić — mruknął Mung.

Pistchiani pokazał palcem Gilhooleya.

— On myśli, że zostawilibyśmy go na tej pogańskiej ziemi, żeby słońce spaliło jego kości.

Mung poczuł bolesne ukłucie. Lepiej niż inni rozumiał strach Gilhooleya. Zduślił w sobie poczucie osamotnienia, które nagle nim owładnęło. W Ameryce nie ma buddyjskich mnichów, którzy urządziliby mu pogrzeb. Nikt nie zapalił mu lampki w święto Uczty Zmarłych, nikt nie spuścił na wody tamtego świata maleńkiej łódki z trawy z owocem dla niego. Będzie musiał się zdać na łaskę Jezusa. To także nie dawało mu spokoju. Dlaczego niby Jezus miałby mu tę łaskę okazać? Nawet Diakon nie był do końca pewien, czy władza Chrystusa sięga na Hawaje.

Patrzył, jak Hockmeyer i Pistchiani brną po Gilhooleya i wywlekają go z wody. Wspólnym wysiłkiem udało się go wciągnąć do łodzi. Wioślarze odbili w stronę wyspy Oahu.

ROZDZIAŁ 7

Honolulu, wrzesień 1842

F*o powrocie do Honolulu kapitan Whittefield poczuł się zbudowany osiągnięciami i wpływami protestanckich misjonarzy, których zabiegi popierał. Na dużej wyspie cała rodzina królewska i cały dwór poszły za przykładem króla Kamehamei i przyjęły chrześcijaństwo. Niedziele świętowano znacznie skrupulatniej niż w Fairhaven, wszystkie sklepy, bary, przedsiębiorstwa i domy publiczne zamykano na głucho. Szkoły obsadzono świetnie wykwalifikowanymi, oddanymi nauczycielami z seminariów z Nowej Anglii. Zamożne kalifornijskie rodziny wolały posyłać dzieci na naukę na Hawaje, niż oddawać je do miejscowych szkół katolickich albo wyprawiać w sześciomiesięczną podróż wokół przylądka Horn do protestanckich szkół na Wschodnim Wybrzeżu. Zbudowano i otwarto dwa szpitale, prowadzone i utrzymywane przez misjonarzy. Trzeciego dnia pobytu, po lunchu w domu wielebnego Damona, obaj panowie przeszli do gabinetu na cygara.

— Williamie — powiedział pastor — tubylcom potrzebne jest nasze moralne przewodnictwo i polityczne doświadczenie. Szkoły, które tu zbudowaliśmy, kładą solidne podwaliny pod przyszłość. Wznieśliśmy kościoły i szpitale, sprowadziliśmy drukarnię, by wydawać tygodnik, założyliśmy bibliotekę, Forum Miejskie, dwa towarzystwa: Wstrzemięźliwości i Chrześcijańskiego Czytelnictwa.

— Wygląda na to, że jesteście o krok od proklamowania kolejnego stanu.

— A żeby pan wiedział! I to nowoczesnego stanu. Hawaje mają większą powierzchnię, większą liczbę ludności i większe strategiczne znaczenie dla Ameryki niż na przykład Rhode Island.

Buum! Działo kapitanatu portu przerwało rozmowę, obwieszczać, że zawiął statek.

Wielebny Damon wyszedł na werandę i zawołał podnieconym ciosem:

— Williamie, Williamie! Niech pan patrzy! — Wskazał ręką w stronę wejścia do portu. — Na Boga, pierwszy amerykański parowiec w Honolulu!

Patrzyli z zaciekawieniem na wielkie koła łopatkowe pieniające wodę u obu burt, na spirale dymu bijącego w górę z bliźniaczych kominów i amerykańską flagę łopocącą na maszcie.

Buuu! Buuu! Buuu!

— Salutują mu, salutują! — zawołał pastor. — Nasze okręty wojenne mu salutują!

Buuu! Buuu! Z pokładów flotyli amerykańskich statków wielorybniczych huknęły mniejsze działa i dziesiątki muszketów.

Wielebny Damon chwycił rękę kapitana i zaczął nią potrząsać jak szalony.

— Udało się, udało! Udało się, Williamie! Czuję się tak, jakbym brał udział w wyprawie i osobiście dokonał tego wyczynu!

— Nigdy bym nie pomyślał, że w takie podniecenie wprawi pana jakiś pierdnik! Co za zmiany!

— A owszem, wiele się zmienia i ważne jest, abyśmy przydali tym zmianom moralnego znaczenia. Można odejść z marynarki, ale ufam, że nie oznacza to porzucenia służby ojczyźnie. — Spojrzał w oczy kapitanowi. — Tak, tak, Williamie, sekretarz marynarki, Spaulding, pisze mi, że pewnie zaproponują panu stanowisko w Waszyngtonie. — Wskazał ręką parowiec. — Ta „Barbara Chase” też nie jest dla mnie zupełną niespodzianką. — Poprowadził kapitana z werandy w głąb domu. — Chodźmy, chodźmy ją przywitać.

Godzinę później wmieszali się w tłum na jedynym nabrzeżu Hawajów. Parowiec kołysał się łagodnie, zacumowany z obu końców. Przerzucano właśnie trap. Kapitan Whitefield spojrzał na mostek. Sylwetka dowódcy statku wydała mu się znajoma, ale rondo naciągniętego na uszy melonika przesłaniało twarz. Po jego lewej ręce stała niska drobna kobieta, ubrana według mody z Nowej Anglii; po prawej — wysoki barczysty młodzieniec odgarniał z oczu jasne włosy. Kapitan Whitefield poczuł gwałtowny skurcz żołądka, niewidzialna ręka ścisnęła go za gardło, nogi się pod nim ugięły i padł na kolana.

— Williamie, co się panu stało? — zawołał wielebny Damon. Chwycił przyjaciela pod ramiona, by dźwignąć go na nogi. — Pomogę panu.

Kapitan płakał jak dziecko. Czapka zsunęła mu się z pochylonej głowy. Z rękami zaciśniętymi między kolanami, z twarzą zalaną łzami zawołał:

— Mój syn! Mój syn! Marto! Boże Wszzechmogący, on żyje!

Honolulu, 7 września 1842 r.

Najdroższa Marto!

Nasz syn, John, żyje i cały i zdrow jest tu ze mną na Hawajach. Uratował go kapitan Teodor Link z parowca „Barbara Chase”. Poprosiłem kapitana i jego żonę, Eleonor, by zechcieli spisać historię ocalenia Johna i jego pobytu na pokładzie parowca. Państwo Link łaskawie wyrazili zgodę, a ich sprawozdanie załączę do tego listu. John także opisał Ci wszystko, co się wydarzyło od jego zaginięcia podczas tamtego strasznego huraganu. Państwo Link są niezwykłymi ludźmi. Zaopiekowali się Johnem jak synem. Pani Link, która wychowała na morzu trójkę własnych dzieci, dopilnowała, by John przerabiał cały program szkolny. Kapitan Link uczył go żeglarstwa, co miało ten dodatkowy pozytywny skutek, że nasz syn zapoznał się nie tylko z żaglami, ale i napędem parowym, i to podczas rejsu na pełnym morzu. Wystąpił do nas listy z Cape Town w Afryce Południowej, toteż mam nadzieję, że otrzymałaś już te cudowne wieści. Oddam ten pakiet listów kapitanowi Linkowi dziś wieczorem przy obiedzie. „Barbara Chase” odpływa jutro rano i nada jej nową pocztą międzyoceaniczną w Przesmyku Panamskim. Serce zaczęło mi znowu bić. Nie wstydzę się wyznać, że na widok Johna stojącego na mostku tego parowca nogi się przede mną ugięły i padłem na kolana. Po naszym spotkaniu (opowiem Ci o tym, kiedy się zobaczymy, bo nie znajduję słów, którymi mógłbym Ci to opisać w liście) John, ja, kapitan Link, jego żona i wielebny Damon objęliśmy się ramionami i udaliśmy z nabrzeża do Kaplicy Marynarskiej, śpiewając hymny dziękczynne. Setki tych, którzy przyszli obejrzać parowiec, przytączyły się do nas i wzięły udział w nabożeństwie. W imieniu naszej rodziny ślubowałem przekazać tysiąc dolarów na Fundusz Opieki nad Marynarzami utworzony przez pastora Damona. Po starannym namyśle i konsultacjach z wielebnym Damonem i Johnem adoptowałem młodego Japończyka, rozbitka. Kiedy wzięliśmy go na pokład, załoga „J. Howlanda” nadała mu imię naszego syna, a ponieważ nie mogli wymówić jego nazwiska, które brzmiało coś jakby „Mangiro”, nazwali go Mung. Jest to niezwykle bystry i inteligentny młodzieniec, w tym samym wieku co John, będzie dla niego świetnym kompanem. Wielebny Damon stwierdził, że Mung jest doskonale przygotowany do przyjęcia chrztu. Drugi oficer, Diakon Gilhooley, wprowadził go w podstawy naszej wiary w czasie dziewięciu miesięcy, które upłynęły od jego uratowania. Mung ze swej strony jest zachwycony przyjęciem go w poczet członków naszej rodziny, powiedział mi też, że po wyjaśnieniach pastora nie ma nic przeciwko przyjęciu wiary chrześcijańskiej.

Za dwa tygodnie wypływamy na łowiska wielorybów na Pacyfiku u wybrzeży Ameryki Południowej, potem ruszymy za nimi wokół przylądka Horn na Atlantyk i wreszcie wrócimy do Fairhaven, do domu i Ciebie. Przekaż, proszę, właścicielom „J. Howlanda” list, który załączam. Nasz rejs był bardzo owocny. Z pewnością ucieszy ich wiadomość, że sprzedaliśmy trzysta baryłek najprzedniejszego oleju, i to po najlepszej cenie. Ta sprzedaż umożliwi

nam, jeśli szczęście nas nie opuści, zapelnienie lodowni w drodze powrotnej jeszcze raz tą samą liczbą baryłek.

Liczymy, że do domu dotrzemy latem 1843.

Marto, kocham Cię. Życie jest zbyt krótkie, by spędzić je na morzu, z dala od domu, od Ciebie i Johna. To moja ostatnia wyprawa. Mam nadzieję, że rozumiesz, iż po prostu musiałem adoptować Munga. Wydawało mi się to zrządzeniem samego Boga. Ojciec chłopca umarł, matka żyje, ale okrutne prawa jego kraju zakazują mu powrotu do Japonii. Tak jak państwo Link wyłowili z morza naszego syna, tak ja wyłowilem Munga. Jestem głęboko przekonany, że musimy się nim zaopiekować do czasu, gdy będzie mógł się na powrót połączyć ze swą matką, jeśli taka chwila kiedykolwiek nastanie. Bóg nam pobłogosławił, Marto, a mnie podwójnie, dając mi Ciebie za żonę. Trzeci pakiet listów, od kapitana Linka, wielbnego Damona i ode mnie do sekretarza marynarki, Spauldinga, należy wysłać do Waszyngtonu nie zwykłą pocztą, tylko przez specjalnego posłańca.

A teraz kilka wiadomości, żeby w waszym kółku gospodyń było o czym poplotkować. Kapitan Robert Cathart wypłynął ostatniej jesieni z Nuntucket na wielorybniczym statku „Wydra”. Ponieważ podejrzewał swoją żonę o romans z właścicielem „Wydry”, odpłynął niecałe pięćdziesiąt mil, wysiadł na brzeg i wrócił powozem do domu, co pozwoliło mu się upewnić, że jego podejrzenia nie były bezpodstawne. Bez słowa wszedł z powrotem na statek, ruszył w rejs i łowił wieloryby, aż dotarł do Santa Caterina w Ameryce Południowej. Tam sprzedał olej i statek, zabrał wszystkie pieniądze i przepadł bez wieści.

Pamiętasz, jak żartowano sobie z Tudora, tego faceta, który kazał swoim załogom rąbać lód na zamrzniętych jeziorach Nowej Anglii, gdyż umyślił sobie wozic go do ciepłych krajów? Otóż odkrył, że najlepszym materiałem izolacyjnym dla utrzymania niskich temperatur są trociny, i teraz nazywają go Królem Lodu, a do jego klienteli należą maharadzowie, szejkowie i różni inni władcy tropików.

Marto, z pomocą Bożą ujrzysz Johna, swego nowo przysposobionego syna, Munga, i mnie, Twego oddanego męża, latem tego roku.

*Z najlepszymi życzeniami
Twój kochający
William*

W przeddzień wypłynięcia „Barbary Chase” wielbny Damon zaprosił Linków i Whittefieldów na obiad. Podano jeszcze ciepły chleb, taki sam jak ten, który wypieka się w Nowej Anglii, zupełną lasolową, pieczoną wołowinę, pudding z ziemniaków, gotowane warzywa, a na deser, do herbaty — słodkie ciasteczka. Kiedy młody hawajski służący sprzątał ze stołu, z oddali dobiegł odgłos wystrzału z działa.

Pastor wyjął z kieszonki zegarek i zawołał:

— Szósta! Punktualnie co do minuty!

Mung przez cały posiłek nie odezwał się ani słowem. Czuł, że dalsze milczenie może mu zostać poczytane za brak wychowania. Odchrząknął i powiedział:

— To „Pierdolnik”. Chłopcy u Mamy... pew... nie... — urwał patrząc na trzech mężczyzn, którzy wyglądali jak rażeni piorunem.

Pani Link uśmiechnęła się do Munga.

— Coś mi się zdaje, że twój brat, John, chętnie przejdzie się z tobą po ogrodzie. — Odwróciła głowę do Johna. — A kiedy już tam będziecie, wytłumacz Mungowi, że w języku angielskim są partie, do których nauczania nie mam odpowiednich kwalifikacji.

John szarpnął Munga za łokieć.

— Chodź, idziemy się przejść.

Mung omal nie runął z krzesłem do tyłu.

Kiedy zniknęli za drzwiami, z holu dobiegły jeszcze słowa Johna:

— Słuchaj, widzę, że są pewne kwestie językowe, które koniecznie muszę ci wytłumaczyć.

Milczenie przerwał kapitan Whittefield.

— Dziękuję pani, pani Link. Już po raz drugi pospieszyła pani z ratunkiem. — Odwrócił się w stronę końca stołu. — I panu, pastorze, za to, że jeszcze raz zebrał pan nas wszystkich razem, nim przyjdzie nam się rozstać. — Spojrzał na kapitana Linka. — A panu i pańskiej żonie, kapitanie, za ocalenie życia naszemu synowi ja i moja żona wdzięczni będziemy dozgonnie.

— Ponieważ nasze dzieci są już dorosłe i założyły własne rodziny — odparła Eleanor Link — czas spędzany na pokładzie często nam się dłuży. Pański syn rozjaśnił nam te dni. Dziś, kiedy spoglądamy wstecz, wydaje nam się, że upłynęły zbyt szybko.

— John sprawiał radość nam i całej załodze — włączył się kapitan Link. — Niech go pan poprosi, żeby odtączył zuluski taniec, którego nauczył się w Afryce Południowej, i powtórzył, co sądził o pierdnikach.

— Teodorze! — zgaśniła go z udawaną surowością pani Link, po czym już z uśmiechem dodała: — Zapakowałam kuferek książek, które chłopcy powinni przeczytać w drodze powrotnej do domu. John mówił mi, że odwiedza z Mungiem tutejszą kolonię orientálną i że Mung uczy go japońskiego.

— To prawda — potwierdził kapitan Whittefield. — A John w rewanżu szlifuje jego angielszczyznę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Kapitan Link zabębnił palcami w stół.

— Słuchajcie, to świetny pomysł! Jeszcze nigdy nie spotkałem białego, który by znał japoński.

— Kiedy Japończycy otworzą w końcu drzwi na świat, pański syn

ze swoją znajomością japońskiego będzie dla Ameryki nieocenionym skarbem — zauważył wielbny Damon.

— Chłopcy mają przed sobą niemal cały rok na pokładzie na wspólną naukę — powiedział kapitan Whittefield. — Jeśli John zdoła opanować ten język, to gdy za kilka lat stanie przed komisją kwalifikacyjną w Annapolis, zostanie z pewnością potraktowany ze specjalnymi względami.

Kapitan Link odsunął krzesło od stołu i wstał.

— Panowie, zechciejcie nam wybaczyć. Muszę dopilnować załadunku i zrobić przegląd maszyn, a przede wszystkim upewnić się, czy moja załoga nie zesłała aby z tego świata. Potrwa całą wieczność, nim wypoczą z siebie to, co tu wyżłopali.

Kapitan Whittefield wstał także i obszedł stół z wyciągniętą ręką.

— Nie ma takich słów, które byłyby w stanie wyrazić moją wdzięczność. Uratowaliście państwo życie mojemu synowi i nakłoniliście mnie do zaadoptowania pól sieroty z obcego, dalekiego kraju. Dziękuję. — Pochylił się nad panią Link i pocałował ją w czoło. Niech was Bóg błogosławi.

John Whittefield i Mung tak bardzo pragnęli się jak najlepiej poznać, że wkrótce zupełnie zapomnieli o dzielących ich różnicach rasowych, już na pierwszy rzut oka uderzających każdego nieznanego. John miał jasnoblonde włosy, niebieskie oczy, pełne, szerokie usta osadzone nad silnie umięśnioną szczęką i był o pełne trzy cale wyższy od o wiele szczuplejszego, smagłego Japończyka. Widywano ich stale razem. Wspólnie uczyli się, wspólnie łowili ryby, wspólnie spędzali wiele radosnych godzin wśród wyspiarzy, ucząc się od nich pływania hawajskim stylem i ślizgania na desce po falach.

Podczas wizyt w kolonii orientalnej Mung stwierdził, że przyrządzone tam proste potrawy są równie pyszne jak w domu, a gorące kąpiele równie cudowne. Niestety, od mieszkańców kolonii niewiele można się było dowiedzieć. Prości, niepiśmienni ludzie, nie mieli pojęcia o polityce, handlu i geografii Japonii. Cała ich wiedza o kraju ojczystym ograniczała się do rodzinnych wiosek. John zmuszał się do jedzenia surowych ryb, nie dogotowanych warzyw i mdłego ryżu. Siłą woli powstrzymywał się, żeby nie wyskoczyć z kotła wrzątku zwanego japońską łaźnią, pamiętając o ostrzeżeniu Munga, że w ten sposób straciłby twarz w oczach każdego Japończyka.

Kapitan Whittefield polecił chłopcom wyznaczyć sobie stałe godziny nauczania się nawzajem języków. Mung i John zaczęli się rozglądać za jakimś cichym, chłodnym zakątkiem, gdzie mogliby się pouczyć i nie zapasać natychmiast w drzemkę od usypiającego upału. Na małej,

porośniętej mchem plaży, nad brzegiem ocienionego drzewami jeziora, które zasilał spływający ze zbocza góry strumyk, natknęli się na dwie młode Hawajki myjące warzywa. Kiedy podeszli bliżej, dziewczyny, ubrane tylko w króciutkie spódniczki *mao*, podniosły się z kolan ukazując młode, jędrne, sterczące piersi. Poszeptaly sobie *coś* na ucho i zachichotały. Potem zrobiły kółka z kciuków i wskazujących palców lewej dłoni, włożyły w nie palec prawej i zaczęły nim szybko przesuwać w tę i z powrotem.

— Jeśli się nie mylę, zebrało im się na swawole — powiedział John.

Dziewczyny podeszły bliżej.

— Masz na myśli pieprzenie? — spytał Mung.

Dziewczyny dotknęły koszul chłopców.

— Mówiłem ci, żebyś używał słowa „swawolić” — upomniał go John.

Stojąca przed Mungiem Hawajka była tego samego wzrostu co on. Kiedy zabrała się do rozpinania guzików jego koszuli, musnęła go paznokciami po piersi. Mung przycisnął ręce do boków, wyciągnął szyję i zakółsał głową.

— Robiłeś to już kiedyś, John? — spytał.

Dziewczyna Johna położyła sobie jego dłonie na piersiach.

— Tak — odparł — w Chinach. A ty?

Mung otworzył szeroko swe migdałowe oczy. Dziewczyna przesuwała dłońmi po jego piersi. Przytaknął energicznie głową.

— Tak, na plaży i podczas *luau*.

Chłopcy skierowali najpierw spojrzenia na męskość tego drugiego sterczącą dziarsko z rozporka spodni z żaglowego płótna, potem dla porównania każdy zerknął na swoją własną. Chwycili dziewczęta wpół i legli z nimi na chłodnym, zielonym kobiercu z mchu.

Spotkanie z dziewczętami nad brzegiem jeziora nie było ostatnim. Stracony dla nauki czas nadrabiali nocami. Siadali po turecku naprzeciwko siebie i szeptem powtarzali zapamiętane zwroty i dialogi, doskonaląc wymowę i intonację i rozbudowując słownictwo.

— Mung, jak się czujesz przed jutrzejszym chrztem?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Z tego, co mówił wielebny Damon, będę mógł nadal świętować rocznicę śmierci ojca.

— Czy to dla ciebie aż tak ważne?

— Nie, ale między zakazami i nakazami obu religii nie ma aż tak wielkich różnic. A poza tym nie jestem już w Japonii.

— Wy nie macie świąt i religijnych uroczystości?

Mung zastanowił się i odparł:

— Ojciec mówił, że są dwie religie, ale o żadnej z nich nie trzeba się nic uczyć, chyba że ktoś chce zostać mnichem buddyjskim albo kapłanem sinto. Kiedy w Japonii rodzi się dziecko, błogosławi je kapłan sinto. Kiedy umiera, grzebie je mnich buddyjski. Prawie całe życie religijne jest podzielone między kapłana i mnicha. Teraz, kiedy już nie jestem w Japonii, wydaje mi się logiczne czcić jednego Boga.

— Wolałbym zginąć, niż odstąpić od chrześcijaństwa — powiedział stanowczo John.

— A jak byś wtedy służył Bogu?

— Służyłbym mu w niebie.

— Ale jeśli ta inna religia nie kłóci się z twoją i jest tylko jeden Bóg, to dlaczego nie?

— Po prostu nie mógłbym, nie mógłbym i już.

Po chwili milczenia Mung spytał:

— Czy opowiadałem ci już legendę o przedziwnym stworzeniu zwanym kappa?

John wstał, usiadł na brzegu łóżka i ściągnął z niego lekki koc.

— Może opowiesz mi ją jutro, co? Musimy bardzo wczesnie wstać. Czeka nas twój chrzest.

— John?

— Co?

— Czy swawolenie z Chinkami różni się od swawolenia z Hawajkami?

— Wiesz co, Mung? Kiedy już zostaniesz ochrzczony, powinieneś zaprzestać swawolenia.

— Dlaczego? Przecież ty jesteś ochrzczony. Diakon i cała reszta leż, a wszyscy to robią.

— To dlatego, że... Dlatego że po tej stronie przylądka Horn amerykańscy marynarze zawsze tak robili.

— Ale przecież jutro po chrzcie ja też będę już Amerykaninem, prawda?

— No, niby tak.

— No to będę mógł swawolić jak każdy amerykański marynarz.

— To niezupełnie tak, Mung.

— Pogadamy o tym jutro. Dobranoc, bracie.

— Dobranoc, bracie.

W czasie letnich zlotów wielorybników wygiętą łagodnie piaszczystą plażę Waikiki przez sześć dni w tygodniu przepełniały zgietk i smród bijące z barów i domów publicznych otulających szerokim kręgiem cały port w Honolulu. Ale niedziela była Dniem Pańskim. Z rozkazu króla Kamehamei wszystkie bary i domy publiczne pozostawały w tym

dniu zamknięte. Marynarze ze statków wielorybicznych, handlowych i okrętów wojennych, którzy zeszli właśnie na ląd po raz pierwszy od miesięcy, a czasami i lat, nie przyjęli tych zarządzeń z radością. Próbowali nakłonić właścicieli do otwarcia interesów przekupstwem lub groźbą, ale wtedy natychmiast mieli do czynienia z dziesięcioosobową drużyną hawajskiej policji, dowodzoną przez mierzącego sześć stóp i osiem cali i ważącego dobre trzysta funtów Żelaznego Mike'a. Tym burdom, znanym pod nazwą „niedzielných sztormów”, kładło zwykle kres samo pojawienie się Żelaznego Mike'a i jego ludzi. Wszyscy mieli ponad sześć stóp i trzy cale wzrostu, nosili tylko szkarłatne *mało* i uzbrojeni byli w wojenne maczugi.

W niedzielę 26 września 1842 roku Mung wstał już o szóstej rano, żeby zdążyć odpowiednio się ubrać na swój chrzest. Założył białą koszulę, bawełnianą, zapinaną z przodu na guziki, z długimi rękawami i mankietami na spinki, czarny wełniany garnitur i nowe skrzypiące buty ze skóry. Kapitan Whittefield i John zostawili go przed domem, a sami udali się do kościoła powozem.

Na plaży czekało dwóch Hawajczyków z czółnem. Kiedy wielebny Damon i Mung zajęli miejsca, Hawajczycy zepchnęli łódź z piasku na wodę i wskoczyli do środka. Zanurzyli wiosła i pomknęli gładko po spokojnym morzu. Odbili od plaży, opłynęli cypel i skierowali się do portu. Daleko w przodzie krystalicznie czyste, błękitne fale lizały idealnie biały piasek plaży, obramionej rzędami wysokich, dostojnych palm, czekających z lekko pochylonymi czubami, aż poranna bryza zbudzi je do życia.

Od brzegu morza do wejścia do zboru stali dwoma rzędami Hawajczycy, mężczyźni i kobiety. Wioślarze podchwycili rytm pieśni powitalnej dobiegającej z plaży. Kiedy zbliżyli się do brzegu, mężczyźni wbiegli do wody rozpryskując ją na wszystkie strony. Otoczyli czółno, wzięli je na ramiona i przenieśli wielebnego Damona i Munga między rzędami swych rodaków. Postawili ich na ziemi przed kościołem i zaśpiewali wraz z innymi:

*O, zbierzemy się nad rzeką,
Piękną naszą, piękną rzeką,
O, zbierzemy się nad rzeką,
Czynić dzieło Pana.*

Kiedy wielebny Damon i Mung wysiedli z łodzi, dołączył do nich kapitan Whittefield z Johnem.

Podszedł wysłannik dworu królewskiego.

— Król Kamehamei prosi, byście zechcieli mu wybaczyć nieobec-

ność, a dla uczczenia tej uroczystości przesyła wam *luau*. — Wskazał ręką na maty zastawione pieczonymi prosiętami, gołębiami i rybami, stertami dyń, ananasów, bananów, papai, mango i kokosów oraz misami ryżu, puddingów i *poi*.

— Proszę przekazać królowi, że nie posiadamy się z radości z powodu darów. Jego osoby będzie nam tu bardzo brakowało, toteż na pewno złożymy mu wizytę po jego powrocie.

Weszli do kościoła, którego przednią i boczne ściany — zrobione z trzciny i liści pandanusa — usunięto na tę okazję, by zbór mógł pomieścić więcej osób. Wszędzie wokół kręcili się marynarze ze statków handlowych, wielorybicznych i okrętów wojennych, zwabieni śpiewem tłumu. Kilku częstowało się bez skrępowania smakołykami przygotowanymi na *luau*.

Przy ceremonii chrztu Johna Munga wielebnemu Damonowi asystowali Daniel Oponui i Berita Kaikaula, także neofici. Pastor wyciągnął rękę i położył je na pochylonej głowie chłopca.

Przemówił niskim, wibrującym głosem, który docierał poza obręb kościoła do wszystkich stojących na zewnątrz.

— Zebraliśmy się tu dzisiaj, by wydać na świat owoc wart odkupienia. Wszyscy jesteście drzewami w ogrodzie Pana, tkwimy korzeniami w Jego żyznej glebie, czerpiemy z niej pożywienie. Aby pokierować tymi korzeniami, które sięgają na oślep w mroki ziemi, Bóg dał nam Biblię, zbiór zasad, wnoszący w ciemność światło, wskazujący kierunek w chaosie. — Jego głos przybrał na sile i zadudnił z mocą. — Czy człowiek może wydać owoc wart Jego łaski? Czy skoro twe korzenie są tak słabe, owoc twego mozołu może znaleźć uznanie w Jego oczach? — Przesunął spojrzeniem po zgromadzonych i na powrót zniżył głos. — Tylko wówczas, gdy korzenie te odnajdą pokarm: wiarę, miłość, miłosierdzie, którymi Bóg użył tej naszej glebę. Gdy pilnie służymy Panu, dary te, jak w procesie osmozy, zaczynają się przemieszczać w górę, od korzeni do pnia, do konarów, gałęzi i liści i budzą z uspienia pąki, które obrodzą owocem. Ten owoc sam w sobie jest darem i ofiarą składaną Bogu. Czy jest on doskonały? W oczach Pana jest, bo Pan nasz jest wielkoduszny i wyrozumiały. O tak, On sam jest doskonałością, jest Bogiem kochającym, a my wszyscy Jego dziećmi. Wystawiajmy Pana naszego, dziękujmy Mu dziś, w dniu, gdy John Mung stał się jednym z nas!

Mung podniósł głowę. Szmer zgromadzenia przeszedł w gardłową, niepewną, rozkołysaną wersję hymnu Nowej Anglii:

*Jest gdzieś szczęśliwy ląd,
Daleko, daleko stąd,
Gdzie święci w glorii,
Świetlistej aureoli,
Słodkim śpiewem sławią Pana naszego Zbawcę.
Niech pod niebiosa biją ich pienia,
Niechaj po wieczność trwa pieśń wielbienia.
Pójdźmy do tej krainy,
Zaznać szczęsnej nowiny,
Na cóż w zwątpieniu czekać,
Po cóż nam jeszcze zwlekać.
Tam szczęścia pełnią lśni każde oko
Pod ręką Pana miłość trwa wokół.
Biegnijmy więc ku Chwale,
Ku Królestwu, co trwale,
Światłością nadśłoneczną
Trwa po wieczność wieczną.
O, pójdźmy po wsze czasy żyć w łaski Twej blasku.*

Wielebny Damon położył Mungowi ręce na ramionach i spojrzał mu w oczy.

— Od tej chwili jesteś chrześcijaninem. Podziękuj Panu, że sprowadził cię między nas. Niech Bóg cię błogosławi, synu.

Kapitan Whittefield i John stanęli po bokach Munga i wyszli za pastorem i dwojgiem hawajskich neofitów na światło słoneczne. Tłum rozstał się przed nimi. Jakaś stara kobieta stojąca przed *luciu* podała im na wyciągniętych rękach zdobiony plecionką bochen chleba o średnicy czterech stóp. Pastor pobłogosławił chleb, kobietę i wszystkich wiernych.

Spojrzał ponad głową staruszki na stojących na obrzeżach tłumu marynarzy.

— Może przyłączycie się do nas, bracia, i wspólnie uczymy Dzień Pański?

Wierni ustawili się w dwóch długich rzędach do bochna chleba, by się nim przełamać, po czym pospieszili do zastawionych mat. Marynarze w mieszały się w tłum, częstując się wszystkim, na co im przyszła ochota, a potem jeden po drugim odeszli w stronę szeregu chat pełniących w powszednie dni rolę dzielnic rozrywkowej.

Kapitan Whittefield otoczył Munga ramieniem i odprowadził go na bok.

— Mung, jeśli kiedykolwiek nadejdzie chwila, w której będziesz mógł wrócić do swoich, bądź pewien, że zrobię wszystko, żeby ci

w tym pomóc. Do tego czasu czuj się członkiem naszej rodziny. — Spojrzał mu poważnie w oczy. — Państwo Link uratowali Johnowi i opiekowali się nim jak własnym synem. Ja muszę zrobić dla i < -bie to samo. Taka jest wola Pana.

— Panie — powiedział Mung nie spuszczać wzroku — kiedy b\lcm mały, ojciec nauczył mnie zasad kodeksu *bushido*. To jest kodeks dla ludzi honoru. Diakon Gilhooley zapoznał mnie z naukami < lirystusa. Pański postępek jest zgodny z jednym i drugim. — Skłonił sn,- w pas. Ledwie odrobinę głośniej niż szeptem ciągnął dalej: — Piv.cz wszystkie pozostałe dni mego życia będę pana pamiętał tak, jak pamiętam swego ojca. Będę pamiętał i kodeks, i nauki.

Kapitan Whittefield klepnął go po obu barkach.

— Niech tych dni będzie jak najwięcej i niech będą szczęśliwe!

Obrócił chłopca dookoła i ruchem ręki przywołał Johna. John podszedł do nich, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej krzyżyk z zębą wieloryba.

Wsunął go Mungowi przez głowę i zawiesił na cienkim rzemyku na szyi.

— Niech ci się dobrze nosi, bracie.

— Sam go wyrzeźbiłeś? — spytał Mung.

— Aha.

— Kiedy znalazłeś na to czas?

— Zwykle musiałem czekać, aż uśniesz.

— Hej tam! — rozległ się głos Diakona Gilhooleya wiodącego całą załogę „J. Howlanda”. — Chodźcie no tu, chrześcijańscy młodzieniaszkowie, chcemy wam pogratulować!

Marynarze jeden przez drugiego poklepywali Munga po ramionach, ściskali mu rękę, a potem wciągnęli go w środek grupy. Ktoś rozpostarł koc, ktoś inny pchnął chłopaka. Wielorybnicy chwycili za rogi i zaczęli ^o podrzucać. Chwilę później w środku wylądował także John i teraz obaj naraz wylatywali w powietrze i spadali, w górę i w dół, w górę i w dół. Na koniec zawinięto ich w koc, zaniesiono na brzeg morza i wrzucono do wody. Cała załoga ściągnęła ubrania i mocując się, popychając i przewracając, popędzili jeden przez drugiego w fale.

Uczujący tłum rozrósł się do ponad tysiąca osób, z czego ponad dwie trzecie stanowili przybysze spoza wyspy. Większość Hawajczyków pobiegła z deskami ślizgać się na falach przyboju. Marynarze kręcili MC między kobietami, próbując je namówić, by oddaliły się z nimi za iliały.

Do wielbego Damona podszedł Daniel Opunui z Beritą Kaikaulą.

— To wódz Kaneka — powiedział, pokazując długi rządek nadchodzących Hawajczyków, niosących na ramionach poczęstunek i beczutki brandy. — W Dzień Pański każe nieść gorzałkę przed kościół.

Wódz wyłonił się spomiędzy chat na czele stu pięćdziesięciu ludzi. Jego młode śniade ciało lśniło w porannym słońcu natarte olejem kokosowym. Zawiły czarny tatuaż oplatał muskularną pierś i szerokie ramiona, sięgając do naszyjnika z muszelek na szyi i takich samych bransolet opiętych na potężnych bicepsach. Kroczył przez tłum marynarzy i Hawajczyków, którzy rozstępowali się przed nim na boki. Kapitan Whittefield przysunął się do wielebnego Damona. Kaneka zatrzymał się dokładnie na wprost nich, stanął w szerokim rozkroku, wziął się pod boki, błysnął białymi zębami i zmarszczył wydatny nos.

— Przyszedłem wziąć udział w tym święcie! — ryknął pastorowi prosto w twarz. Rozejrzał się po tłumie i zamachał obiema rękami, zapraszając zebranych, by podeszli bliżej.

Pastor celowo zniżył głos.

— Nie jesteś tu mile widzianym gościem, Kaneko. W każdym razie nie dzisiaj.

Mimo iż stali na wyciągnięcie ręki od siebie, wódz znów ryknął na cały głos.

— To dopiero zniewaga! Ośmielasz się powiedzieć Hawajczykowi, że nie jest mile widziany na *luau* na swej własnej wyspie?!

— Nie uszanowałeś dnia świątecznego i łamiesz prawo króla Kamehamei, zakazujące przynoszenia tu trunków w Dzień Pański.

Kaneka odwrócił się do zgromadzonych marynarzy.

— Co za zniewaga! W szkole misyjnej uczyli mnie, że Jezus Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy wino. To właśnie było *luau*.

Z tłumu marynarzy dobiegły okrzyki poparcia.

Kaneka uciszył je podniesieniem obu rąk.

— Przyszedłem tu tylko po to, żeby pomóc wydać przyzwoitą ucztę. Dotarło do mnie bowiem, że król poskąpił poczęstunku na tę uroczystość. — Przysunął twarz do twarzy pastora, zamiast uśmiechu malował się na niej teraz nieprzyjemny grymas. — Hawajski wódz będzie pił na swej własnej wyspie, kiedy i gdzie mu przyjdzie na to ochota — krzyknął łamiącym się ze złości głosem. — I żaden chrześcijanin nie będzie mu tego zakazywał!

— Obetnijcie pastorowi te wielebne uszy, to zjem je na surowo! — krzyknął któryś z marynarzy.

Tłum wiwatował radośnie.

— Sprowadź Żelaznego Mike'a i jego ludzi — polecił pastor Danielowi Opunui. — Byle szybko!

- Ten klecha chce, żeby Hawajczycy walczyli z Hawajczykami! — zawołał na cały głos wódz Kaneka.

Odpowiedział mu ryk poparcia tłumu.

— Kościół chce rozkazywać marynarzom, co mają robić, kiedy jhodażą na ląd! — ciągnął Kaneka.

— Dobrze mówi, właśnie! — ryknął tłum.

— Zabronić wam kobiet!

— Prawda, to prawda!

— Zabronić wam whisky!

— Tak, tak!

Kaneka podniósł wzrok do nieba i huknął:

— Słońce ma już tego wszystkiego dość! — Zabębnił pięściami w wytatuowaną pierś. — I ja mam tego dość! Pora siadać, pić i uctować. Pora objąć kobiety i porozmawiać o starych bogach!

Ostatnie zdanie było umówionym sygnałem. Jego ludzie odszpuntowali antałki brandy i natychmiast rozpętało się istne pandemonium. Ponad sześciuset marynarzy rzuciło się do trunku, tłocząc się przy beczułkach i chłepcząc go ze złożonych dłoni, bo zabrakło miseczek i połówek kokosa. Kilku załogom udało się uciec z baryłką w cień pobliskich chat.

Daniel Opunui wrócił do boku pastora. Małeńki oddział policji dowodzony przez Żelaznego Mike'a torował sobie drogę przez tłum, próbując dopaść Kaneki. Mijając którąś z otwartych beczulek, jeden z policjantów zamachnął się nad głową swą sękatą maczugą. Marynarze odstąpili o krok, maczuga strzaskała antałek, zasypując ich drzazgami i opryskując alkoholem. Marynarze cofnęli się, po czym zawyli zgodnym chórem i rzucili się na policjantów niby jakiś stwór o setkach macek i łap. Walka była niezwykle zażarta, lecz krótka. Chwilę później oddział Żelaznego Mike'a zniknął, pogrzebany pod setkami ciał. Długo trwało, nim kapitan Whittefield i wielebny Damon ze swymi wiernymi zdołali oswobodzić policjantów, odpychając, odciągając i zrzucając napastników na ziemię.

Żeby zaprowadzić trochę porządku i zademonstrować swą władzę, wódz Kaneka zarządził zawody bokserskie. Na placyku w pobliżu chat wbito w ziemię cztery słupki i przeciągnięto między nimi sznury. Kiedy w tłumie wybuchały bijatki, wojownicy Kaneki natychmiast interweniowali i wrzucali walczących na ring. Niemal wszyscy pozostali wzięli udział w zakładach organizowanych wokół ringu.

Marynarze z załogi „J. Howlanda” leżeli na stoku plaży, poza zasięgiem wzroku i nieświadomi tego, co się dzieje na *luau*.

— Czy któryś ma pieniądze? — spytał Gilhooley Pistchianiego i Czarnego Bena.

Obaj leżeli na linii wody, kolejne fale leniwie obmywały ich ciała.

— A po kiego ci pieniądze w niedzielę? — spytał Pistchiani.

Gilhooley przykucnął za ich głowami.

— Przy odrobinie szczęścia uda mi się chyba załatwić coś do picia.

Pistchiani wskazał stertę ubrań.

— W tylnej kieszeni jest sakiewka.

Ben uniósł się na łokciu.

— Dla mnie też przynieś.

Gilhooley odnalazł spodnie i w tej samej chwili zauważył trzech marynarzy zmierzających chwiejnym krokiem w ich stronę.

— Czołem, chłopcy! — pozdrowił ich z daleka. — Gdzie dostaliście gorzałkę?

Trzech nadchodzących wybuchnęło śmiechem, poklepując się po ramionach.

— No, nie bądźcie tacy! — zawołał Gilhooley. — Powiedzcie, gdzie ją można kupić!

— Kupić? A po co kupować, jankesie? Na *luau* stoją jej całe beczki, trzeba tylko sobie nabrać!

Pistchiani i Ben przekęcili się na brzuchy, żeby zobaczyć, z kim rozmawia Gilhooley. Kiedy Mung i John wyszli z wody, ujrzeni, jak goły Gilhooley rzuca się biegiem wzdłuż plaży, a Pistchiani i Czarny Ben za nim. Chłopcy szybko wskoczyli w spodnie, zebrali ubrania tamtych trzech i pobiegli za nimi. Ben i Pistchiani stali golusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył przy beczulce brandy, w obu rękach trzymali miseczki z kokosa i łąpczywie z nich pili. Wzięli podane im ubrania i przestrzegali chłopców, żeby się nie oddalali.

Mung i John przysiedli na piętach pośród śpiewów, wrzasków, przekleństw i śmiechu. Przegryzając kawały pieczeni soczystym ananasem, obserwowali zawody w przeciąganiu. Dwóch mężczyzn stawało naprzeciwko siebie, zaczepiali się środkowymi palcami prawej ręki i próbowali jeden drugiego przeciągnąć. Zakłady były wysokie, dopinający tłum podwyższał temperaturę zmagania.

Nagle ktoś stanął dokładnie przed Mungiem i zasłonił mu cały widok. Obcisłe pończochy i spodnie z klamerkami pod kolanami opinały się na potężnych łydkach i umięśnionych udach. Mung podniósł wzrok i ujrzał nie ogoloną twarz marynarza z jednego z francuskich okrętów wojennych ściągniętą w nieprzyjemnym grymasie. Chciał

wstać, lecz w tej samej chwili marynarz rąbnął go na odlew z prawej; mrocзки zawirowały mu przed oczami, a w uszach zaczęło dzwonić. Marynarz chwycił go za koszulę na piersi i poderwał na nogi. Był niewiele wyższy od Munga, ale znacznie szerszy w barach. Potrząsnął chłopcem i warknął po francusku:

— Jak taki żółty pogański wypierdek może nosić krzyżyk? — Chwycił krzyżyk wiszący na piersi Munga i zważył go w dłoni.

John próbował odepchnąć Francuza, lecz jakiś jego kompan obezwładnił go chwytem od tyłu. Mały Francuz zerwał Mungowi krzyżyk z szyi i cofnął się o krok.

Mung poczuł przypływ wściekłości, zdawał sobie jednak sprawę, że przeciwnik jest bardzo groźny. Instynktownie skłonił się po pas. Raptem jego twarz eksplodowała, a ziemia uciekła mu spod nóg. Wyleciał w powietrze i runął jak długi na plecy. Głowę przeszyła mu błyskawica bólu. Przed oczami roztańczyły się żółte, zielone i czerwone plamy. Ze wszystkich stron zaczęła napierać ciemność, ale zdołał się przewyciężyć.

Jego oczy zaczęły powoli znów ostro widzieć, ale nadal coś między nimi mu przeszkadzało. Dotknął złamanego nosa i ból sprowadził na powrót barwne plamy. Wypluł z ust krew, by móc normalnie oddychać.

Pistchiani obejrzał się dokładnie w chwili, gdy Francuz brał zamach i uderzał Munga prosto w twarz potężnym sierpowym. Ryknął jak raniony byk i rzucił się przez tłum. Strażnicy Kaneki także dostrzegli szukającego zwady Francuza. Jeden chwycił Pistchianiego za nogi, drugi w pasie, dwóch następnych za ręce. Piąty złapał od tyłu Francuza.

Czarny Ben usłyszał ryk Pistchianiego i rzucił się biegiem z innej strony. Nie zauważył leżącego na ziemi Munga, ale widząc, że jakiś krzepki Francuz trzyma w podwójnym nelsonie Johna, wskoczył mu na plecy. Francuz puścił Johna i strząsnął Bena z karku jak pies otrząsający się z wody. Szybki jak na swą posturę, zdążył zadać Benowi kilka ciosów, nim rozdzielili ich strażnicy Kaneki.

John pochylił się nad Mungiem.

— Co się stało? Dlaczego mu się kłaniałeś?

Mung chciał odpowiedzieć, ale powietrza, które wciągał poprzez spuchnięte wargi, starczało tylko na to, żeby oddychać. Przy pomocy Johna powłókł się chwiejnie za Pistchianim i niższym Francuzem. Czterech strażników z uniesionymi maczugami wlokło ich na ring.

— Chcesz się bić? — spytał jeden ze strażników potężnego wielorybnika.

Pistchiani spojrzął z góry na Francuza.

— Gdybym uderzył tego zasranego żabojada, podaliby mnie do

sądu za zaśmiecanie okolicy. Gdybym się na niego odlał, tobym go utopił.

Strażnik skinął ze zrozumieniem głową i puścił go. Odwrócił się do Munga i Johna, lecz w tej samej chwili puszczone wolno przez drugiego strażnika Francuz rzucił się za Pistchianim. Podbiegł do niego od tyłu i plunął mu na głowę. Pistchiani dotknął ręką karku, spojrzął na plwocinę na swych palcach i odwinął się na pięcie, by dopaść Francuza. Ten stał już przy ringu z ręką na najwyższym sznurze. Wskoczył do środka, zerwał koszulę i rzucił ją na ziemię. Przeszedł się dumnie jak paw w tę i z powrotem, po czym zastygł z nogą na linii w klasycznej pozycji boksera, z rękami założonymi na piersi. Pistchiani ruszył wielkimi krokami do ringu, zdzierając z siebie po drodze koszulę. Tłum rzucił się zajmować jak najlepsze miejsca.

Kiedy muskularny wielorybnik schylił się, by przejść pod liną, Francuz wyciągnął zza pasa sakiewkę, podniósł ją do góry i zamachał nią na wszystkie strony. Pistchiani sięgnął po własny trzosik i rzucił go Benowi.

— Przyjmij każdy zakład, na jaki stać tego skurwysyna! — krzyknął.

Zakłady poczyniono przy wtórze wrzasków i przekleństw, załoga „J. Howlanda” stawiała na swojego dowódcę łodzi, Francuzi natychmiast wyrównywali każdą oferowaną sumę.

Francuz odwrócił się plecami do Pistchianiego, odszedł do narożnika, wziął podaną mu miseczkę brandy i wychylił ją do dna. Otarł usta i wrócił na środek ringu, gdzie Pistchiani stał już gotowy do walki.

— Widziałeś kiedy walkę na pięści? — spytał John Munga.

Mung zwilżył wargi i zdołał wykrztusić:

— Nie.

— Jedyna zasada to ta, że po takim a takim czasie walczący muszą być w stanie podejść do linii nakreślonej pośrodku ringu. I nie wolno używać żadnej broni.

Kiedy mały Francuz zaczął podchodzić do linii, Pistchiani przygarbił się, żeby nie zadawać znacznie niższemu przeciwnikowi ciosów z góry. Muskuly zagrały mu na potężnych barach. Francuz opuścił ręce swobodnie wzdłuż boków. Przekrzywił głowę na lewe ramię, rozdziawił gębę i wywalił na całą długość język. Zaskoczony Pistchiani wyprostował się i na chwilę opuścił gardę. W ułamku sekundy Francuz wyrzucił nogę do przodu i zadał mu potężnego kopniaka w krocze. Do pierwszej błyskawicy potwornego bólu dołączyła niemal natychmiast następna — kolejny kopniak trafił wielorybnika w dołek.

Francuscy marynarze ryknęli radośnie i zaczęli skandować:

— Sa-vat! Sa-vat! Sa-vat!

Czarny Ben jęknął i zaklął.

— Psiakrew! Ten zabojad boksuje nogami! Spójrzcie na giczoty tego wypierdka! Nawet małe palce u nóg ma umięśnione jak ja tydki!

Pistchiani złożył się wpół z bólu. Pięściami próbował zasłonić sobie twarz, przedramionami i łokciami — żołądek i krocze. Francuz zadał mu kilka szybkich kopniaków w nerki i żebra, z równą swobodą postępując się obiema nogami. Po zainkasowaniu każdego kolejnego ciosu Pistchiani wydawał z siebie ni to jęk, ni to sapnięcie, ale trzymał się jakoś i nie padał.

Mały Francuz skinął ręką, by podano mu następną miseczkę brandy. Stanął przy linach, opróżnił ją do dna i sypiąc żartami rzucił puste naczynie ze skorupy kokosa w tłum. Dumnie jak paw podszedł do środka ringu, kopnął Pistchianiego z całej siły dwa razy w bok, po czym zaszedł go od tyłu i potężnym ciosem pod kolana ściął z nóg. Wielorybnik padł na piach w pozie jak do modlitwy, z dłońmi uniesionymi na wysokość twarzy. W tłumie zapadła martwa cisza. Słychać było tylko ciężkie dyszenie Pistchianiego. Francuz kopnął klęczącego przeciwnika w plecy, a potem obiema nogami zadał mu potworny cios między łopatki.

Pistchiani wydał z siebie rozzwierający krzyk i z rozrzuconymi rękami padł twarzą w piach.

Francuz zbliżył się do narożnika i skinął ręką po następną porcję brandy. Wypił ją niespiesznie, po czym podszedł do Bena i chłopców i wyciągnął rękę.

— Moje forse! — powiedział łamaną angielszczyzną.

Ben sięgnął z niechęcią do sakiewki ukrytej za połą koszuli, lecz ręka znieruchomiała mu w pół drogi. Milczący dotąd tłum wydał ogłuszający ryk. Francuz odwrócił się i ujrzał, że Pistchiani zdołał podnieść się z ziemi i stoi na linii pośrodku ringu, kołysząc się jak niedźwiedź, z pięściami na wysokości twarzy. Francuz miał już wypieki od wypitej gorzałki. Podszedł do wąsatego olbrzyma, rozłożył szeroko ręce i z uśmiechem na ustach wymierzył mu dwa szybkie kopniaki w brzuch. Po pierwszym Pistchiani zgiał się wpół, drugi trafił go w łokieć i odepchnął mu rękę w bok. Francuz wyskoczył w powietrze, rozpostarł nogi i jak nożycami ciął Pistchianiego z obu stron w głowę; pod jednym okiem wielorybnika zaczerwieniła się otwarta rana, drugie zupełnie mu zapuchło. Pistchiani zatoczył się na szeroko rozstawionych nogach, starając się nie stracić Francuza z oczu, a raczej tego jednego oka, na które jeszcze widział. Francuz odczekał, aż wielorybnik zbliży się do niego, po czym obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi

i z rozmachu kopnął go najpierw z lewej, potem z prawej strony. Plunął mu w twarz i spokojnie odszedł do narożnika po następną porcję brandy.

Pistchiani chwycił się obiema rękami za twarz i odjął je umazane krwią i śliną. Zaryczał jak raniony byk i rzucił się na pijącego przeciwnika. Już miał go dopaść, gdy tamten pochylił się błyskawicznie do przodu i stanął na czworakach. Kopiając jak dziki koń, do tyłu i w górę, trafił Pistchianiego w dołek i w pierś. Powietrze uszło wielorybnikowi z płuc, z gardła wyrwał mu się ryk bólu i zatoczył się do tyłu, na środek ringu. Francuz ruszył za nim, zamachnął się, by zadać cios w nie osłoniętą głowę, ale chybił, stracił równowagę i upadł. Pistchiani próbował rzucić się na niego i przydusić go do ziemi samym ciężarem swego ciała, ale drobny Francuz przeturlał się błyskawicznie w bok i poderwał na nogi. Wielorybnik zaczął się niezdarnie podnosić z czworaków.

Załogi francuskich okrętów wojennych ryknęły jak jeden mąż, ponagляjąc kompana, żeby przestał popijać i wziął się porządnie do walki. Odpowiedział im przekleństwem, kazał sobie podać kolejną miseczkę i opróżnił ją powoli, obserwując, jak Pistchiani próbuje wstać.

Z parodią dwornego ukłonu obwieścił na cały głos:

— A terras noszyce!

Rzucił miszkę, wziął rozbieg, wyskoczył wysoko w powietrze i rozpostarł nogi, by ponownie zatrzasać głowę wielorybnika w nożycowym chwycie. Pistchiani zrobił krok do przodu i rąbnął go pięścią jak bochen chleba prosto w krocze. Francuz wygiął się konwulsyjnie w powietrzu i runął jak długi na ziemię. Wielki żeglarski bucior Pistchianiego trafił go pod żebra i ponownie podrzucił na kilka stóp w górę.

Przez kilka sekund słychać było tylko głuchy łomot żeglarskich butów Pistchianiego walących raz za razem w nieprzytomnego Francuza. Potem wszystko zagłuszył radosny ryk Amerykanów. Ten sam krzepki Francuz, który trzymał Johna, wskoczył na ring, a Czarny Ben natychmiast uczynił to samo. Z głową pochyloną jak szarżujący byk przebiegł ring i rąbnął przeciwnika w brzuch. Zwalisty Francuz zgiął się wpół. Ben zacisnął dłonie jedną w drugiej i trzasnął go od dołu w brodę, podnosząc na powrót do pionu. Chwycił go za pasek, przyciągnął do siebie i podskakując w miejscu walił z czoła w szczękę dotąd, aż wyższy o głowę Francuz runął na ziemię jak ścięte drzewo. Ben pochylił się nad pokonanym i wyjął mu zza pasa sakiewkę.

Pistchiani przewiesił się przez najwyższą linę, próbując jeszcze dosięgnąć kopniakiem swego nieprzytomnego przeciwnika. Ben wyszarpnął z kieszeni zakrwawionego, pozbawionego czucia ciała krzyżyk

Munga i zwycięskim gestem podniósł go wysoko nad głowę. Amerykanie jeszcze raz ryknęli na wiwat, a Francuzi zabrali swych kompanów i w grobowym nastroju powlekli się w swoją stronę.

Wielebny Damon i kapitan Whittefield pospieszyli do szpitala pomóc doktorowi Juddowi. Rany większości uczestników *luau* nie były zbyt poważne. Po opatrzeniu Pistchianiego doktor zabrał się do rozbitego nosa Munga. W oba nozdrza wprowadził gładkie rurki, by po zrośnięciu się złamania zachowały drożność. Kiedy doktor nastawiał przez skórę luźne chrząstki, kapitan Whittefield musiał przytrzymać Mungowi głowę.

— Młody człowieku — powiedział doktor Judd po założeniu opatrunku — obawiam się, że twój kształtny, długi, prosty nos będzie od dzisiaj przypominał krótki, zakrzywiony haczyk. — Poklepał Munga po ramieniu. — Byłeś bardzo dzielny — pochwalił go, a zwracając się do kapitana Whittefielda dodał: — Ma pan naprawdę dzielnego syna. Ani razu nie krzyknął. — Spojrzał na Munga i Johna. — Dasz radę sam wstać, Mung? Wydaje mi się, że lepiej byłoby, gdybyście obaj przenocowali dziś z Pistchianim i całą resztą u Mamy. W szpitalu będzie potworny ścisk, zgiełk i zamieszanie.

W drzwiach stanął pastor Damon.

— Żelazny Mikę przysłał wiadomość z plaży. Musi otworzyć bary, bo tłum obróci w perzynę całe Honolulu. Do portu ściąga coraz więcej marynarzy. Wliczając pięciuset Hawajczyków, jest ich już ponad dwa tysiące, wszczynają burdy, chcą się bawić, żądają whisky i kobiet.

Przy pomocy swoich sześciu ludzi Żelazny Mikę otworzył pierwszy bar. Przez tłum przebiegł ryk radości. Pijany zdobytą władzą, ogarnięty szałem niszczenia rzucił się wyłamywać drzwi szop, magazynów i domów, kopniakami rozwalać cienkie deski ścian, zrywać strzechy z liści, byle tylko dobrać się do dżinu i whisky. O każdą zdobycz natychmiast wybuchały bijatyki, którym nikt nie próbował zapobiec. Liczba pacjentów z ranami od noża gwałtownie rosła. Żelazny Mikę obstawił szpital swoimi ludźmi, by bronić go przed włóczącymi się bandami spitych marynarzy.

Przed rzędem zrujnowanych chat i zabudowań szalejąca tłuszcza ustanowiła Królewski Trybunał Żeglarzy Siedmiu Mórz. Pierwszym postanowieniem trybunału było rozesłanie po całym Honolulu obwoływaczy z ostrzeżeniem, że jeśli miasto natychmiast nie przyśle na plażę kobiet, to wszystkie zabudowania portowe pójdą z dymem. Gdyby i to nie poskutkowało, zrównają z ziemią całe Honolulu. Przy

wtórce pijackich rechetów wielorybników, marynarzy ze statków handlowych i okrętów wojennych dziesięciu ledwie trzymających się na nogach Hawajczyków powlokło się obwieścić na ulicach to ultimatum.

Rozpalono ogromne ognisko i zebrani wokół niego członkowie Królewskiego Trybunału czekali na odpowiedź mieszkańców miasta. Na tle buchających pod niebo płomieni uwijały się czarne sylwetki półnagich tancerzy, wyjących jak dzikie zwierzęta, biegających w tę i z powrotem wokół ogniska. Wódz Kaneka wytoczył się na środek placyku między rozwrzeszczany, sypiący przekleństwami tłum.

Potrząsnął wysoko nad głową butelką dżinu.

— Ja jestem wodzem Honolulu! Jutro będę królem! Odpowiedział mu ryk tłumu, wiwaty, szyderstwa i kilka niecierpliwych okrzyków:

— Gdzie kobiety?!

Wódz nakazał gestem ciszę i zdzielił w głowę butelką jednego z Hawajczyków, który nie przerwał tańca.

— Chcecie kobiet? Jeśli chcecie kobiet, to na przeszkodzie stoją tylko prawa ustanowione przez misjonarzy!

Radosny ryk tłumu.

— Dopóki król nie zmienił prastarych praw, na Hawajach nigdy nie było kłopotu z kobietami.

Znów potwierdzający ryk tłumu.

Ciało Kaneki spływało strugami potu od wypełniającej mu żołądek gorzałki i żaru bijącego od ogniska. Rozpostarł ręce i wyciągnął je do nieba.

— Nim dostaniecie kobiety, musimy pogrzebać nowe prawa i nowego boga!

— Po-cho-wać no-we pra-wa! Po-cho-wać no-we-go bo-ga! — zaczął skandować tłum.

Kaneka opuścił ręce i wskazując marynarzy ryknął na cały głos:

— Zróbcie trumnę! Urządzimy pogrzeb!

— Trum-na! Po-grzeb! Trum-na, po-grzeb!

Kilku ludzi rozbiegło się po plaży w poszukiwaniu drewna.

— Aaaooooaaauuu! — zawył w noc Kaneka. Odwrócił się w stronę Domu Modlitwy i wskazując go wyciągniętą ręką zawołał: — Dawajcie Biblię! Pogrzebiemy Biblię!

Ponad stu mężczyzn pobiegło zataczając się przez placyk do kościoła. Wyrwali z zawiasów drzwi, wybili dziury w ścianach i wdarli się do środka. Ktoś rzucił pochodnię na strzechę, suche liście pandanusa zajęły się natychmiast i buchnęły płomieniami. Podsycany wieczorną bryzą ogień błyskawicznie opanował cały budynek. Marynarze w popłochu umknęli z trawionego pożarem kościoła, lecz nie odbiegli

daleko. Szybko powrócili podsycać szalejący ogień wszystkim, co im wpadło w rękę. Tłum pod wodzą Kaneki ruszył plażą w stronę Honolulu, łupiąc, grabiąc i wzniecając pożary po drodze.

Mama stała na werandzie swego domu, z rękami założonymi na piersiach, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Pistchiani, Ben, Mung i John stanęli murem za jej plecami. Kaneka zatrzymał się przed pierwszym schodkiem i podniósł na nią oszalałe, błędne oczy. Mama krzyknęła coś do niego po hawajsku. Gestem ręki uciszył ciągnący za nim tłum. Spiorunował wzrokiem niską, siwą kobietę. Mama odwzajemniła się równie wściekłym spojrzeniem, na perkatym nosie wystąpiły jej sine żyły.

Przez tłum przepchnęło się kilku marynarzy ze skleconą naprędcę trumną na ramionach. Leżał w niej martwy pawian z łapami skrzyżowanymi na piersi; pod łapy wepchnięto mu Biblię. Grymas wściekłości zniknął z twarzy wodza, a jego miejsce zajął szeroki uśmiech. Odwrócił się plecami do Mamy i przywołał skinieniem marynarzy z trumną.

— Patrzcie! — zawołał wskazując zabitego pawiana. — Oto nowy bóg chrześcijan i jego prawa!

Tłum rykiem wyraził swoją aprobatę.

Kaneka rozkazał kilku swoim ludziom ruszyć na czele kolumny i obwieszczać co sił w płucach: „Z rozkazu króla Kaneki I zgładzono dziesięć przykazań i wszystkie chrześcijańskie prawa!”

Tłum wiwatował znowu.

Kaneka wskazał ręką trumnę.

— Oto jak się wyprawia pogrzeb religii! — ryknął i ruszył na czele tłumu do miasta.

Patrząc na hawajskiego wodza i słuchając jego potępienia chrześcijaństwa, Mung przestraszył się nie na żarty. Czego mogą zażądać od niego starzy hawajscy bogowie? Dopiero co udało mu się pogodzić z naukami chrześcijaństwa. Teraz już wiedział, że niepotrzebnie się martwił, ale kiedy Diakon Gilhooley zaczął go nawracać, czuł się bardzo nieswojo na myśl, że w sakramencie eucharystii miałby przyjmować ciało i krew Jezusa. Nagle ogarnęła go przemożna tęsknota, by móc po prostu oglądać Boga w żywej postaci.

— Co mu powiedziałaś, Mamo? — spytał przez zapuchnięte wargi Pistchiani.

— Powiedziałam mu, że jeśli chce pogrzebać nowe prawa i zostać królem, to jego sprawa. Ale jeśli zechce spalić mój dom, to jest to moja sprawa i niech tylko spróbuje, a ja pogrzebię go w jego zgliszczach. — Uśmiechnęła się i odsłoniła lewą rękę. W zagięciu łokcia spoczywał ten sam pistolet, który zwykle trzymała zatknięty za pas z pieniędzmi.

Ben podniósł ręce w górę, parodiując Kanekę.

— Oto jak się najlepiej przekonuje chłopa, żeby spadał!

Wielka pomarańczowa kula słońca wylaniała się powoli z morza. Ze zgliszczy Honolulu płynęły leniwie w krystalicznie błękitne niebo cienkie smugi dymu. Ulice i place były zasłane leżącymi ludźmi, jakby ich cisnęła na ziemię ręka jakiegoś nieobliczalnego olbrzyma. Spali tam, gdzie padli w pijackim zamroczeniu. Ciszę poranka maciły odgłosy wymiotowania, wydawane przez sen jęki bólu i krzyki strachu przed sennymi koszmarami.

Zgodnie z planem, o ósmej rano doktor Judd wyszedł ze szpitala. Przywiązał do linki żółtą flagę i wciągnął ją na maszt. Żelazny Mikę wciągnął drugą taką flagę na nabrzeżu, po czym dołączył do niedobitków swoich policjantów.

Z ponurym zacięciem na twarzach i maczugami w rękach przeszli plażą do miasta, pokazując co chwilę na żółte proporce i wołając:

— Ospa! Ospa!

Już wkrótce plaża Waikiki zarośla się od przepitych, skacowanych marynarzy chcących jak najszybciej dostać się na swoje statki w obawie przed długotrwałą kwarantanną na ogarniętej epidemią wyspie. Hawajczycy trzymali łodzie tuż za linią łamiącego się przyboju, targując się zawzięcie o opłaty za przewóz ze stojącymi po pierś w wodzie żeglarzami.

Kapitanowie statków wielorybicznych wciągnęli flagi nakazujące powrót i uruchomili syreny przeciwmgielne, by zwrócić uwagę załóg na' czekające już przy brzegu łodzie. Kwarantanna oznaczałaby dla każdego z nich bezpowrotną utratę całego sezonu połowów.

Kapitan Whittefield stanął przed pastorem i doktorem Juddem. Obaj byli przybici i bladzi po nie przespanej nocy.

— Przyszedłem się pożegnać — powiedział. — Muszę jeszcze dopilnować zakończenia załadunku. Mam nadzieję, że nie wszystkie składy zostały rozszabrowane. Czeka was ciężka praca: odbudowa kościoła, portu i całego miasta. Niechaj te popioły położą podwaliny pod dzieło, które przetrwa do dnia odkupienia. Niech Bóg was wspomaga.

— Niechaj Bóg nadal czuwa nad panem i pańską rodziną, Williamie — powiedział pastor Damon. — Odzyskanie przez pana syna wielu z nas dodało otuchy i upewniło, że Bóg w niebiesiech nie zapomina o swym dziele na ziemskim padole.

Doktor ujął w obie ręce dłoń kapitana.

— W imieniu króla i ludu Hawajów życzę panu powodzenia w połowach i szczęśliwego powrotu do domu. Niech was Bóg prowadzi.

ROZDZIAŁ 8

Obaj bracia siedzieli na zboczach wzgórza poniżej domu wielbego Damona. Waikiki zupełnie opustoszała. Żółta flaga powiewała na pożegnanie flotyli statków wypływających na otwarte morze. W porcie pozostał tylko „J. Howland”. Kapitan Whittefield zapewnił załogę, że ogłoszenie rzekomej epidemii ospy było jedynie wybiegiem, by ocalić to, co jeszcze zostało z Honolulu. Chłopcy wodzili wzrokiem po falach przyboju obmywających bez końca śnieżnobiały piasek.

— Ojciec wróci nie wcześniej niż za dwie godziny — powiedział John. — Pewnie nos jeszcze za bardzo cię boli, żebyśmy mogli się przejść?

— Nie, tylko przeszkadza mi trochę w oddychaniu i pulsuje jak kuśka, kiedy mam ochotę pospólkować.

John zerwał garść trawy i rzucił ją na wiatr.

— Mówiłem ci, żebyś używał słowa „penis”. A poza tym o spólkowaniu nie powinno się mówić.

— Dlaczego? Przecież na statku nie mówi się o niczym innym.

— Dlatego właśnie ojciec umieścił nas razem w osobnej kajucie. Musisz pozbyć się ze swego słownictwa wielu wyrażen, których cię nauczyli. Tylko tego brakowało, żebyś któremuś z profesorów w Harvardzie powiedział, że ci kuśka pulsuje.

Obaj wybuchnęli śmiechem, ale Munga ogarnęły sprzeczne uczucia. Myl dłużnikiem Johna i kapitana Whittefielda. Obaj bez żadnych zahamowań uznali go za syna i brata. A mimo to, i na brzegu, i na pokładzie statku, Mung nieustannie czuł, że jest inny, że jest Japończykiem, kimś gorszym niż biały człowiek. Teraz miał zostawić za sobą Pacyfik, popłynąć do świata białych i okrągłookich.

— Ile trzeba, żeby dotrzeć do Fairhaven? — spytał.

— Sześć miesięcy do roku. W zależności od pogody i tego, czy będzie co łowić.

— Chodźmy się przejść — powiedział Mung, podnosząc się z ziemi.

Ruszyli bez celu, noga za nogą, aż dotarli do rozwidlenia drózek obok kępy wysokich palm. Jedna ścieżka prowadziła na plażę, druga nad jeziorko, gdzie spotykali się ze swoimi Hawajkami. Przystanęli niezdecydowani, popatrzyli wzdłuż ścieżek, potem na słońce i szybko jeden na drugiego.

— Juuuuuuu! — krzyknęli jak na komendę i puścili się biegiem w stronę jeziorka. Kiedy wypadli na polankę, dziewczęta klęczały nad wodą i prały *mało*. Podniosły się z uśmiechami nie skrępowane swoją nagością. Miękkie światło przenikające przez korony palm igrało na ich złocistej skórze. Od pełgających płamek słońca sterczące piersi i krągłe biodra zdawały się delikatnie falować.

John wyciągnął jedną rękę w stronę morza, a drugą pokazał na siebie i Munga. Natychmiast zrozumiały, co chce tym gestem wyrazić — że już wkrótce odpływają. Podeszły bliżej, obejrzały spuchnięty nos Munga, szepnęły coś do siebie po hawajsku, po czym porwały swoje *mało* i czmychnęły.

— Sześć miesięcy do roku to kawał czasu — westchnął ciężko Mung.

— Fakt — odparł John. — A i po dopłynięciu do Fairhaven ze spółkowania też nici. — Kopnął szmaragdowozielony mech. — Skoro już tu przyszliśmy, to możemy się po raz ostatni porządnie wykąpać w słodkiej wodzie.

Rozebrali się do naga, wskoczyli do jeziorka i legli rozwaleni na piaszczystej płyciźnie, rozkoszując się krystalicznie czystą wodą, śpiewem egzotycznych ptaków i poszumem liści w koronach palm wysoko nad ich głowami. Mung próbował sobie wyobrazić, jak to będzie w Fairhaven. Jawiło mu się ono mgliście jako skrzyżowanie Nakanohamy z Honolulu ze sterczącymi tu i tam wieżami kościołów, które, wedle słów Diakona, drapały dzwonicami chmury.

John leżał na plecach, palcami nóg ledwie dotykał dna i poruszał leniwie rękami, tylko tyle, by utrzymać się na powierzchni. Rozmyślał o matce, o zbliżającym się ich spotkaniu. W czasie podróży do domu pomoże Mungowi przygotować się do egzaminów wstępnych na Harvard. Ojciec mówił, że cudzoziemcy orientального pochodzenia cieszą się tam szczególnymi względami, a to w nadziei, że wybiorą wydział teologii i po jego ukończeniu zasila placówki misyjne.

Plum! Plum! Obie nagie dziewczyny dały nura do jeziorka. Głowa

jednej z nich wyłoniła się z wody między nogami Johna. Przebiegł go dreszcz wywołany poczuciem bezbronności i natychmiast drugi, podniecenia, gdy przesunęła się w górę jego ud i potarła mu piersiami podbrzusze. Zabełtał rękami, by utrzymać się na powierzchni, patrząc, jak jego członek ożywa własnym życiem, zaczyna pęcznieć i rosnać. Oplótł dziewczynę nogami, a ona ujęła piersi w dłonie, przytuliła je / obu stron do członka i zaczęła go nimi masować — powoli, bardzo powoli, w górę i w dół, w górę i w dół...

Mung stał po pierś w wodzie, gdy druga Hawajka chwyciła go za nogi w kostkach i wypłynęła do góry, prześlizgując się całym ciałem wzdłuż jego ciała. Czarne, lśniące włosy wyłoniły się z wody tak blisko, że ich usta same się zetknęły. Objęli się w miłosnej pieszczocie oddzieleni od siebie tylko jego twardością. Hawajka położyła mu ręce na ramionach, podciągnęła się do góry i oparła udami na jego biodrach, aż wszedł w nią potężnym pchnięciem. Dziewczynie zaparło dech w piersiach, sapnęła z rozkoszy i z całych sił splotła nogi na jego plecach.

Na brzegu jeziora kilku Hawajczyków rozłożyło na matach z trawy melony, ananasy, kokosy i *poi*, po czym wycofało się za kępę drzew i zaczęło stroić swoje instrumenty. Chwilę później przejmujące łkanie kalebasy i dudnienie bębna poddało rytm miłosnym igraszkom w jezioru. Powolne, płynne tętno bębna zaczęło nabierać szybkości, złało się w jedno z dziką, szaloną, rozgrzajączkowaną pieśnią kalebasy.

Mung zatoczył się do przodu z dyszącą dziewczyną nabitą na jego członek. Padł na nią, spychając ją na piaszczyste dno płytki niepohamowanymi dobieciami bioder, a ona nie pozostała bierna. Przewróciła go na plecy i siadłszy na nim okraciem przyjęła go w głąb siebie aż po samą nasadę.

John trysnął między piersi swojej Hawajki. Widok Munga i jego partnerki kotłujących się w wodnej kipieli na płyciźnie przypomniał mu rekiny atakujące piratów. Znowu dostał wzwołu i zaczął pchać dziewczynę tyłem ku porośniętemu mchem brzegowi. Tam zaczęli się kochać powoli, niespiesznie. Odnalazł w sobie opanowanie, którego wcześniej nie znał. Usłyszał swe własne okrzyki rozkoszy wtórujące jej okrzykom, zlewające się w jedno z łkaniem kalebasy. Eksplozja orgazmu spowolniła tempo ich ruchów do leniwego rytmu wybijanego *l»i/.ez* bęben. Jego ciałem rzuciło jeszcze kilka konwulsyjnych dreszczy, opadł na dziewczynę, zsunął się z niej na plecy i zupełnie wykończony zapatrzył w błękit nieba.

Chwilę później cała czwórka usiadła wokół mat. Dziewczęta palcami wkładały *poi* do ust swoim kochankom, wybierały im

najsmakowitsze kawałki melona i śnieżnobiałego miąższu kokosa. Wszyscy żuli i ssali pędy trzciny cukrowej.

— Czy w Fairhaven może być lepiej? — spytał Johna Mung.

Minęło kilka sekund, nim John odpowiedział.

— Tam jest jakoś milej. Na zupełnie inny sposób.

Nagle zerwał się na równe nogi.

— Ojciec będzie czekał!

Chłopcy chwycili ubrania i pognali ścieżką, wskakując w biegu w spodnie i żegnając dziewczęta tradycyjnym *aloha!* John wysforował się do przodu, ale ledwie ubiegł kilka kroków, usłyszał za plecami wołanie Munga. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jego przybrany brat rzuca się w bok ze ścieżki, pada na czworaki i przemyka od drzewa do drzewa, starannie się za nimi kryjąc.

Na czoło Johna wystąpił zimny pot.

— Wielki Boże! — jęknął. — Mung zwariował od nadmiaru spółkowania! — Uczepił się pnia najbliższej palmy, czekając, aż i jego dopadnie atak szaleństwa. — Boże Wszchemogący — modlił się, podnosząc oczy do nieba. — Przesadziłem dzisiaj z tym spółkowaniem, ale nim *stracę rozum*, wiedz, że Cię Kocham i przysięgam już nigdy tego nie robić!

— Town-hoo! — krzyknął Mung. — Zabiegnij mu drogę!

Przez gąszcz wysokiej trawy niewprawnymi susami uciekał przed Mungiem mały, brązowy, żółto pręgowany kotek. John poczuł przypływ takiej ulgi, że nogi się pod nim ugięły. Wybuchnął nieopanowanym śmiechem.

— Myślałem, że obu nam padło na mózg i nie wyjdziemy z tego do końca życia.

— Łap go! — wrzasnął Mung.

John chwycił przerażonego kociaka za skórę na karku.

— Po co ją gonisz?

Mung podszedł bliżej dysząc ciężko.

— Jeśli to ona, to wszystko na nic. Trzeba natychmiast sprawdzić.

John zadarł kotu ogon.

— Kocur! — zawołał Mung. — Zabieramy go na pokład! To przynosi szczęście!

— Tylko samce przynoszą szczęście?

— Tylko samce i tylko brązowe, żółto pręgowane, jak zółwie — odparł Mung. — W każdej wiosce w Japonii każdy właściciel łodzi dałby za tego małego kupę ryżu. — Wziął puszyste zwierzątko na ręce. Kociak zaczął głośno mruścić.

Po uzyskaniu zgody kapitana Whittefielda John odprawił ceremonię pasowania na rycerza i nadał wniesionemu na pokład kotkowi imię Amulet. Nadano mu także japoński odpowiednik tego imienia i wyniesiono do rangi samuraja, zgodnie z wszelkimi wymogami protokołu *bushido*. Amulet dowiódł, że zasługuje na to miano. Wiatry były Sprzyjające, pogoda znakomita, już wkrótce po wypłynięciu natknęli się na pierwsze wieloryby. Kot nie odstępował chłopców na krok, reagując na polecenia zarówno angielskie, jak i japońskie. Mung uszył toś w rodzaju temblaka, w którym mógł nosić zwierzaka pod pachą lub na plecach, gdy przyszło się wspinać na wanty.

Nim opłynęli przylądek Horn, przy pomocy Johna i książek, które otrzymał od pani Link, Mung wyraźnie podciągnął się z gramatyki, pisowni i historii. Ze swej strony uczył z pamięci po japońsku tych Samych przedmiotów Johna. Opanowali w obij językach wiele gier, Zabaw i piosenek. John wprowadził Munga w arkana boksu, a sam poznał sposoby padania, podcinania i przerzucania przeciwnika stanowiące podstawy walki dziu-dzitsu.

Pewnego dnia kapitan Whittefield wezwał My_nga do swojej kajuty.

— Jutro jest czwarty marca — rzekł. — Mini_e dokładnie szesnaście lat od dnia, kiedy John przyszedł na świat. Istnieje tradycja obdarowywania najbliższych prezentami z okazji rocznicy urodzin.

Mung skinął głową.

— Dziękuję, że mi pan o tym powiedział. W Japonii jest tak samo. Tylko u nas wszyscy świętują rozpoczęcie kolejnego roku życia tego samego dnia: pierwszego dnia nowego roku. Ja też mam szesnaście lat.

William Whittefield słuchał swego przybranego syna i przyglądał mu się z uznaniem. Nie był tak wysoki ani b_ac_zystry jak John, ale poruszał się z tym samym płynnym wdziękiem i_o jego kot, a mięśnie karku grały mu jak postronki. Spokojne, inteligentne czarne oczy obserwowały pilnie i chłoneły wszystko, co widniały. „Jakiż ogromny fizyczny kontrast między tymi dwoma chłopcami, a jednocześnie jakież podobieństwo osobowości i intelektu — pomyślał William Whittefield. — Muszę jeszcze raz przeczytać Księgę Rodzaju i zwrócić większą uwagę na to, że wszyscyśmy wyrosli > tego samego pnia." Odprawił Munga i odmówił cichą modlitwę, dziękując Bogu za to, że pozwolił mu odzyskać własnego syna i znaleźć d_ugiego, przybranego.

Następnego ranka załoga zgromadziła się prz_ed mostkiem. William Whittefield przywołał Johna do swego boku.

— Dziś są urodziny mego syna, Johna. Mam teraz dwóch synów. — Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Munga, który stał Wsiód załogi, po czym z powrotem w stronę kapitana. — Japończycy

obchodzą urodziny inaczej niż my, wszyscy tego samego dnia, w dzień Nowego Roku. Ponieważ zostawiliśmy za sobą Horn i znaleźliśmy się w chrześcijańskiej części świata, proponuję, żebyśmy urządzili dzisiaj urodziny obu moich synów. Niechaj im Bóg błogosławi. Amen.

— Amen — odparli jak jeden mąż marynarze, po czym na znak dany przez Pistchianiego wznieśli okrzyk: — Hip-hip, hurra!

Chwycili Munga na ramiona i podając go sobie nad głowami postawili na mostku obok kapitana, który podarował obu młodzieńcom identyczne błyszczące kompaszyki kieszonkowe z mosiądzu.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia i oczarowania pięknym prezentem, Mung przeprosił na chwilę kapitana i Johna. Zniknął za stanowiskiem sternika i pojawił się ze zrobionym przez siebie latawcem, na którym wymalował pościg „J. Howlanda” za wielorybem. Wręczył go Johnowi, z niepokojem obserwując jego reakcję. Kiedy twarz brata rozjaśniła się w uśmiechu, ucieszył się wcale nie mniej od niego. A kiedy tamten podarował mu wielkiego drewnianego bąka, który dla niego wystrugał, radość Munga nie miała granic.

Po odśpiewaniu „Stu lat” poproszono chłopców, żeby zaśpiewali coś po japońsku. John poczuł przyływ dumy, że może spełnić tę prośbę. Ale reakcją na pieśń były tylko osłupiałe spojrzenia i kilka wymuszonych oklasków, gdyż wszyscy — poza samymi wykonawcami — odnieśli wrażenie, że to potępieńcze wrzaski dwóch torturowanych nieszczęśników, i w dodatku głuchych jak pień. Kapitan szybko kazał rozdać wszystkim podwójną porcję rumu i dał swoim synom wolne do końca dnia.

Natychmiast pobiegli na rufę puszczać latawca i kręcić bąka. Potem dokonali inwazji na kam buz i kręcąc się Pichcikowi pod nogami urządzili polowanie na karaluchy. Po powrocie do kajuty Mung żuł kawałek smoły, aż nabrała lepkości kleju, po czym przylepił nią pięciu czarnym żukom do pancerzy kawałki cienkiej nitki, a końce nitek przywiązał do papierowego wozu. Kiedy zaprzęg Johna był również gotowy, urządzili na podłodze wyścigi, pohukiwaniem i robawionymi okrzykami dopingując swoje rydwany.

Po opłynięciu przylądka Horn nastroje i atmosfera na pokładzie „J. Howlanda” uległy zmianie. Mung po raz pierwszy zauważył to w forkaasztelu. Nie słysząc już było tylu przekleństw, mniej osób grało w karty, a znacznie więcej brało udział w niedzielnych nabożeństwach odprowadzanych przez Diakona Gilhooleya. Ta zmiana zachowania załogi przstraszyła Munga. Próbował wytłumaczyć Johnowi, co czuje,

lecz był jeszcze zbyt niedojrzały, by pojąć, że ogarnęło go poczucie zagrożenia. Popadł w głębokie przygnębienie.

Wyszukiwał jakiś kącik, gdzie mógł się zaszyć z samym tylko Amuletem i wylewał przed nim swoje zale.

— Bardzo mi brakuje Jakata i mamy. Ostatnio coraz częściej myślę o Fudenoju i Shin-ho. We śnie czuję zapach wioski, widzę przycupnięte chaty, suszące się sieci, ludzi. Nie wiem, jak to będzie w Fairhaven. — Kociak patrzył Mungowi w oczy, jakby rozumiał każde słowo. — Jeśli nie zdam egzaminów wstępnych na uczelnię, sprawię zawód mojemu nowemu ojcu i bratu. Albo co gorsza, przyjmą mnie tam i potem wyrzucą, bo okażę się za głupi. — Wziął kota pod brzuch i podniósł go wysoko nad głowę. — Może i przynosisz szczęście, ale nie wyglądasz zbyt akademicko. — Kilka razy powtórzył słowo „akademicko”. Poprzedniego dnia po raz pierwszy usłyszał je od Johna. — Muszę się brać do nauki! — i wsunął Amuleta do przewieszki pod pachą.

W każdej wolnej chwili ślęczał nad książkami, ale gdzieś w podświadomości zaczął się opierać powolnemu uleganiu wpływom kultury Zachodu. W pierwszym odruchu buntu zrobił dla Johna liczydło i pokazał mu, jak się nim posługiwać. Wyrzeźbił dla siebie i swego brata dwa małe posążki Buddy; noszone u paska miały przynosić szczęście. Tylko dlatego, że wpłynęli na Atlantyk i zrobiło się znacznie chłodniej, przestał walczyć z Johnem o zdejmowanie butów przed wejściem do kajuty. Zrobił za to *tokonamę* — małą póteczkę na ścianie, na której postawił namalowany przez siebie rysunek kwitnącej wiśni.

— Od niepamiętnych czasów w każdym japońskim domu jest taka póteczka — wyjaśnił Johnowi. — Na cześć cesarza. Gdyby zjawił się z wizytą, wiedziałby, że myśleliśmy o nim i oczekiwaliśmy go. To jego kącik w naszym domu.

— A w jaki sposób cesarz miałby się tu zjawić z wizytą? Znajdujemy się u wybrzeży Ameryki Południowej.

— Tu chodzi o symbol — odparł Mung.

Nie był to jedyny symbol, za pomocą którego podświadomie bronił się przed całkowitym zatraceniem swej japońskiej duszy. Malował kwiaty lotosu, ponieważ wyrastały na powierzchnię z głębi wody, tak jak on z wody wyostał się na ten statek. Ich płatki miały kształt kół i patrząc na nie, z radością wspominał nauki swego ojca o nieskończonych cyklach życia i śmierci, które składają się na wędrówkę człowieka do wieczności.

Jeśli chodzi o sprawy bardziej przyziemne, coraz częściej spędzał

czas w kambuzie. Namówił Pichcika, żeby zabrał z Honolulu zapas sosu sojowego i ryżu. Do żelaznego repertuaru Pichcika należał gotowany ryż ze szczypiorkiem, burakami ćwikłowymi lub kapustą, a czasami z tym wszystkim naraz. Mung nauczył go przyrządzać puddingi i zawiesziste kleiki. Opiekany ryż Munga spotkał się w mieście z bardzo życzliwym przyjęciem. Z mąki ze zmielonego ryżu wypiekał chleb, ciasteczka, robił naleśniki i kluski. Reakcją załogi było usilne namawianie Munga, żeby więcej czasu spędzał przy kuchni. Nigdy nie przestawał się dziwić, ile ci marynarze mogą pochłoniąć na jeden posiłek. Cała Nakanohama żywiłaby się tym co najmniej tydzień.

Pichcik bardzo szybko pojął, jak tani jest ryż i jak rozmaicie można go wykorzystać. Do tego znakomicie się przechowywał. Nim dopłynęli do Fairhaven, powziął decyzję, że przy następnym rejsie zarezerwuje dla niego sporo miejsca w spizarni. Pięć lat później większość amerykańskich statków handlowych zabierała w długie rejsy spore zapasy ryżu.

Na pokładzie „J. Howlanda” mało kto jednak zaprzętał sobie głowę kłopotami Munga. „J. Howland” był statkiem wielorybniczym, od marca do sierpnia ścigał wieloryby wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej i Północnej. Ładownie znów zapełniły się równiutko ustawionymi beczkami pierwszorzędnego oleju, a na pokładzie wyrosły sterty fiszbinu.

Pewnej bezchmurnej sierpniowej nocy od dziobu z lewej minęli latarnię morską na przylądku Montauk, Dziewięć godzin później przepłynęli obok Martha's Vineyard, latarni morskich Gay Head i Rhode Island, przecięli Buzzard's Bay i obok New Bedford weszli do kanału prowadzącego do nabrzeża w Fairhaven.

Dzwony w całym mieście rozdzwoniły się na długo przedtem, nim rzucono liny cumownicze. Mieszkańcy wylegli na ulice i rzucili się biegiem do portu.

Przez ogólny zgłęb przebił się głos miejskiego obwoływacza:

— „J. Howland”! Dowódca: kapitan William Whitefield! Po trzech latach na morzu z bożą pomocą powrócił do domu!

— Tam jest port — powiedział John, wskazując ręką. — A ja byłem tam, po przeciwnej stronie, koło tej łachy, kiedy nadciągnął huragan i wyniósł mnie na otwarte morze.

Zamożność rybackich wiosek, które mijali płynąc w górę rzeki, wywarła na Mungu ogromne wrażenie. Teraz miał przed sobą solidne nabrzeże, solidne drewniane i murowane domy, konie i powozy. Ze wszystkich stron ściągali coraz nowi ludzie. Po ich strojach nie potrafił

odgadnąć znaczenia czy pozycji społecznej ich właścicieli. W panującym upale mężczyźni mieli na sobie przeważnie ciemne spodnie i białe koszule z rękawami podwiniętymi do łokci. Niektórzy nosili kapelusze, lecz podobnie jak u ich towarzyszek nie były one chyba oznaką statusu. Ubrania kobiet mieniły się tęczą barw, ale w tych kolorach trudno byłoby się dopatrzeć oznak przynależności do poszczególnych rodów. Przypomniawszy sobie informację z książek, że w społeczeństwie amerykańskim nie ma podziału klasowego. „Do wielu rzeczy trzeba się będzie przyzwyczaić” — pomyślał.

Okrzyki powitania padające ze statku i z brzegu zagłuszyły komendy oficerów, ale i bez tego dokładnie w odpowiednim momencie rzucono cumy, a na nabrzeżu natychmiast umocowano je na pachołkach. Poskrzypywania i pojękiwania więźni „J. Howlanda” umilkły jak nożem uciął, gdy spoczął przytulony do lądu. Mungowi wydało się, że z wielkiego statku uszło całe życie. I w tej samej chwili usłyszał chór kobiecych głosów:

*Czyż nie wywiódł Pan Daniela z jaskini lwów,
Czyż nie ocalił Jonasza z brzucha wieloryba,
A teraz ręką łaskawą prowadź nam synów,
Jak Arkę Noego przez potopu...*

W tłumie na brzegu i wśród załogi na pokładzie zapadła cisza. Do burty podeszły trzymając się za ręce panie z kółka parafialnego.

— Mama! Mama! — krzyknął John.

Od grupy odłączyła Marta Whittefield i z twarzą zalaną łzami wystąpiła do przodu, by powitać syna. Przerzucono trap, kapitan Whittefield nakazał gestem Johnowi, by pierwszy zszedł na brzeg. Pięć cali wyższy, opalony na mahoń, zwinny i barczysty podbiegł do matki i rzucił się jej w ramiona. William Whittefield objął w uścisku ich oboje.

Mvmg obserwował scenę powitania ze statku, łykając nerwowo ślinę, żeby ukryć targające nim uczucia. A gdzie jest jego matka? Czy zobaczy ją jeszcze kiedykolwiek w życiu?

W powietrze wzbil się czysty i dźwięczny pojedynczy głos kobiecy:

*Cudowna laska, jakież słodki ton,
Co ocalił tego chłopca niebogę,
Ślepym oczom kazał przejrzeć on,
Zagubionemu wskazał prostą drogę.**

Inne głosy podchwyciły pieśń, a kapitan Whittefield przywołał gestem ręki Munga. Kiedy zszedł po trapie, Marta uściskała go równie

serdecznie jak swego własnego syna. W tym całym podnieceniu nikt z rodziny nie zauważył, że na widok białej kobiety tulącej do piersi skośnookiego chłopca wielu ludzi zapomniało dalszych słów pieśni.

— Panie Hockmeyer! — krzyknął kapitan Whittefield do swego pierwszego oficera. — Zapraszam całą załogę do udziału w złożeniu przez moją rodzinę podziękowań Panu.

— Aye, aye, kapitanie.

Marynarze i mieszkańcy miasta ruszyli z pieśniami na ustach za Whittefieldami na ulicę Główną, do strzelistego kościoła metodystów.

Kiedy wchodzili do przybytku, kapitan zwrócił się do Munga:

— Pradziadkowie Marty i moi pomagali wznieść ten kościół. Byli wtedy poddanymi króla Anglii. Od tamtej pory obie nasze rodziny wspierają ten Dom Boży i wiernie się go trzymają. Mam nadzieję, że tutaj zbliżysz się do Pana.

Mung ukląkł z innymi i odmówił modlitwę dziękczynną. Od siebie dodał modlitwę do Buddy z ołtarzyka w domu matki, pewien, że wpływy Jezusa nie sięgają do Nakanohamy.

Pierwszy domowy posiłek w domu Whittefieldów zaczął się od kremu z mały przyprawionego ziarnami pieprzu, tymiankiem i majerankiem. Dwie czterofuntowe alozy podzielono na połówki, odfiletowano, natarto siekanym hyzopem i ułożone skórą w dół pieczono trzydzieści minut w wysmarowanej starannie olejem brytfannie z hikorowego drewna. Podano je polane świeżym masłem, z cząstkami cytryny. Kiedy przed mężczyznami postawiono skwierczące steki z pieczonymi ziemniakami, Marta położyła na desce do krajania drugą połowę jeszcze ciepłego, rumianego bochna chleba. Na deser był wspaniały placek z owocami, przysłany przez dawno nie widzianych przyjaciół i krewnych, a do niego cynowy dzban mleka, schłodzonego porządnie w piwnicy.

Przesiedzieli we czwórkę niemal cały dzień w letniej kuchni, dzieląc się opowieściami o tym, co się wydarzyło w czasie, gdy byli daleko od siebie. Wieczorem przeszli na werandę odetchnąć chłodną bryzą. Kiedy zegar na ratuszu wybił ósmą, William Whittefield poprosił chłopców, by przynieśli paczkę z jego kajuty na statku. Mung podniósł z ziemi Amuleta, który leżał u jego stóp objedzony do granic możliwości resztkami ryby i opity jak bąk pysznym mlekiem, i wsunął go do nosidełka pod pachą.

Wyszli na ulicę. John opowiadał Mungowi o mieście, sklepach i zakładach, tłumaczył funkcje i przeznaczenie różnych mijanych po drodze budynków. Zbliżywszy się do portu, usłyszeli głośną muzykę i hałaśliwy śmiech dobiegający z tawern w pobliżu miejsca zacumowania „J. Howlanda”.

Mung przystanął przed wejściem na trap.

— John, obiecałiśmy wypić z załogą na pożegnanie. Może ty idź po tę paczkę, a ja ich poszukam. Spotkamy się tu, w tym miejscu..

— Zgoda — odparł John i wbiegł na statek.

Mung ruszył do najbliższego baru, wszedł i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu znajomej twarzy. Większość obecnych, wśród których były także kobiety, trzymała w rękach drinki. Po doświadczeniach zdobytych na Hawajach natychmiast rozpoznał w tych kobietach prostytutki. Miały na sobie jaskrawe, frywolne stroje, piersi wylewały im się z dekoltów sukien. Całe ostatnie dziewięć miesięcy spędził na morzu. Nawet przez kłęby tytoniowego dymu i zastarzały odór alkoholu wychwycił zapach perfum. Poczul zaczątki wzrodu.

Najpierw przy barze, potem na parkiecie, wreszcie przy stolikach zapadła cisza. Cisza i głuche milczenie.

— Hola, hola! — przerwał je czyjś okrzyk. — Chińczycy nie mają l u wstępu!

Nie widząc ani żadnego Chińczyka, ani nikogo z załogi „J. Howlanda”, Mung odwrócił się, żeby wyjść. Kiedy otworzył drzwi, wpadły na niego dwie wchodzące do baru prostytutki. Wyższa objęła Munga ramieniem za szyję i wtuliła sobie jego głowę między obfite piersi.

— Już wychodzisz, skarbie? — zaśmiała się. — Może postawiłbyś nam jeszcze kolejkę w gabineciku, co?

Miękkość kulistych wypukłości i silny zapach kobiety podziałały na Munga niczym uderzenie obuchem. Jak zza ściany dotarły do niego jej następne słowa:

— Och, masz pod pachą kociaka! Może chciałbyś zobaczyć moją kociczkę?

Odstąpiła o krok, przyjrzała się baczniej Mungowi i wrzasnęła na cały głos:

— Kurwa mać, żółtek! Rany boskie, moja reputacja! Jestem skończona!

Mung, podniecony już w najwyższym stopniu, skłonił się lekko i spytał:

— Czy nie miałaby pani ochoty ze mną pospólkować?

— Co takiego?! — Kobieta rozdziawiła ze zdumienia grubo fiszminowane usta. Jej piskliwy głos obudził czujność mężczyzn Siedzących przy barze.

— Chciałbym włożyć kuśkę... to znaczy, przepraszam... chciałbym włożyć penisa, o tam... — pokazał ręką między jej nogi.

— Co za cham! Ratunku! Zabierzcie tego żółtego skurwysyna! — zapiszcziała przeraźliwie.

Natychmiast otoczyła ich grupa wyraźnie nieprzychylnie nastawionych dokerów. Wypchnęli Munga na dwór, a największy z nich spytał ostro:

— Coś powiedział tej pani?

— Spytałem ją, czy nie miałyby ochoty pospółkować.

— Co to, u diabła, znaczy „spółkować”? — Odwrócił się w stronę wejścia do baru. — Hej, Millie, co ten złotek ci zrobił?

— Ten mały skurwysyn chciał mnie przelecieć! — odparła Millie, otrzepując suknię na piersiach koniuszkami jaskrawo umalowanych paznokci.

Olbrzym odwrócił się z powrotem do Munga i zbliżył się o krok.

— Chciałeś sobie pociupciać z białą kobietą?

— Mam pieniądze. Mogę jej za to zapłacić.

— O, zapłacisz za to, zapłacisz, możesz być pewien. Patrz!

Mung powiódł wzrokiem za jego palcem. Nim zorientował się, co się dzieje, łapa dokera wyrwała mu spod pachy Amuleta. Mężczyzna wyrzucił ufego kociaka wysoko w powietrze, złapał go za ogon, zakręcił nim młynka i roztrzaskał mu łeb o ścianę baru. Cisnął małe ciało do rynsztoka i otrzepał ręce.

Mung poruszał się jak we śnie. Rozsunął otaczających go ludzi i ze łzami w oczach ukląkł obok kotka. Podniósł wzrok w samą porę: wielki doker brał właśnie zamach nogą, by wymierzyć mu kopniaka w głowę. Mung z chłodną furią precyzyjnie oszacował wymierzone kopnięcie, odbił je lewym przedramieniem, a prawą ręką wyprowadził cios, tak jak go nauczył John — z całej siły, prosto z barku, prosto w krocze.

— Aaaa! — Doker zawył przeraźliwie i runął na wznak. Ktoś wskoczył Mungowi na plecy, lecz przerucony przez ramię z głuchym łomotem rąbnął o ziemię. Z boku podskoczył trzeci napastnik. Jednym przerzutem przez biodro Mung rozciągnął go na plecach. Wypatrzył prześwit w murze otaczających go mężczyzn, a w nim trzymającego się za jądra i wijącego z bólu dokera. Dopadł go jednym susem i kantem dłoni ciał w grdykę. W następnej chwili przygniotła go lawina kopiących i bijących na oślep ciał. Wykręcono mu obie ręce, zasypano gradem ciosów. Nieprzytomnego przeturlano kopniakami na drugą stronę ulicy, zepchnięto na krawędź nabrzeża i zrzuciono do wody.

Kiedy John pojawił się na trapie z paczką w rękach, zobaczył kilku rozwścieczonych, przeklinających mężczyzn wracających w stronę baru. Trzech innych zbierało się z ziemi pojękując z bólu.

„Jezus, Maria! W co ten Mung się wplątał?” John podbiegł do grupy dokerów.

— Co tu się stało?

Jeden z mężczyzn zatkał kciukiem dziurkę w nosie, wysmarkał się i wskazał ręką na rzekę.

— Załatwiliśmy jakiegoś bezczelnego Chińca.

W tej samej chwili John zauważył roztrzaskane ciało Amuleta, rozciągnięte groteskowo w błocie. Rzucił paczkę na ziemię i pobiegł na nabrzeże. Mung unosił się na powierzchni wody twarzą w dół. John wskoczył do rzeki, chwycił go za włosy i uniósł mu twarz nad wodę.

Holując swego brata na plecach podpłynął do najbliższej łódki. Usłyszawszy, że kaszle i pluje wodą, podziękował w duchu Bogu.

Wepchnął Munga do łódki.

— Dlaczego, dlaczego zabili Amuleta? — mamrotał tamten przez zapachnięte wargi. — Dlaczego nie lubią ludzi ze Wschodu?

John potrząsnął głową.

— Nie wiem — odparł ze łzami w oczach. — Oni nie lubią nie tylko ludzi ze Wschodu. Tacy jak oni nie lubią każdego, kto jest choć trochę inny.

Dwa tygodnie później Mung wydobrzeł na tyle, by wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie, ale nie w kościele zbudowanym i wspieranym od pokoleń przez Whittefieldów. Kościelni ojcowie dali do zrozumienia, że kolorowi nie są mile widziani. Rodzina przeniosła się więc do innego kościoła w Fairhaven, gdzie wierni przyjęli Munga do swego grona. Choć chłopiec ani słowem nie komentował tych incydentów świadczących o silnych rasowych uprzedzeniach do jego osoby, szybko dotarła do niego gorzka prawda o chrześcijańskiej stronie przylądka Horn.

Wkrótce potem Mung i John zdali egzaminy wstępne do Harvard High School i spotkali się tam z życzliwym przyjęciem nauczycieli i wielu studentów.

William Whittefield udał się do Waszyngtonu, gdzie bez rozgłosu zrezygnował ze swych wojskowych misji. Z poruczenia sekretarza marynarki wojennej, Spauldinga, otrzymał posadę w Sekcji Dalekiego Wschodu Departamentu Stanu. Jego żona, Marta, pozostała w Fairluiven do czasu ukończenia przez chłopców trzyletnich studiów. Obaj ukończyli je z wyróżnieniami. John został przyjęty do Annapolis *, a Mung do Harvard's Divinity School**, jedynego college'u, który

* Chodzi o akademię morską znajdującą się właśnie w tym mieście, stolicy stanu Maryland.

** Wydział teologii.

był dla niego dostępny. Mniej więcej w tym samym czasie, w czerwcu 1846 roku, William Whittefield został dyrektorem nowo utworzonej Sekcji Japońskiej Departamentu Stanu. Uroczystość miała zamknięty i prywatny charakter. Mung wiedział, że to z jego powodu, ale swoje myśli zachował dla siebie. Cóż mógł poradzić, jeśli rząd Stanów Zjednoczonych nie życzył sobie oficjalnej uroczystości z udziałem złotego.

Kiedy wszyscy trzej przygotowywali się do wkroczenia na nową ścieżkę życia, Mung niespodziewanie podjął inną decyzję.

— Nie jestem stworzony na misjonarza — wyjaśnił rodzinie Whittefieldów.'— Wiele najszcześniejszych dni swego życia spędziłem na statku wielorybniczym. Chciałbym znów wypłynąć na morze.

— To zacna profesja — odparł William Whittefield. — Obaj nasi ojcowie, Marty i mój, polowali na wielką rybę.

— W ten sposób podtrzymasz tradycję — dodał John. — Będziemy mieć przynajmniej jednego wielorybnika w rodzinie.

Mung ucieszył się, że nie próbowali go odwozić od tej decyzji. Przy pomocy Williama Whittefielda zaciągnął się w New Bedford na przyzwoicie wyglądający statek wielorybniczy.

John Whittefield czuł się w Annapolis jak ryba w wodzie. Wprost lubował się w rozwiązywaniu problemów sytuacyjnych stawianych przez wykładowców, a przy sześciu stopach wzrostu i stu osiemdziesięciu funtach wagi celował we wszystkich sprawdzianach fizycznej wytrzymałości przyszłych podoficerów i oficerów marynarki wojennej. Doświadczenie nabyte na pokładzie transoceanicznego parowca i statku wielorybniczego dawało mu w oczach przełożonych niezwykłą przewagę. Nie szczędzono zachęt, by korzystał z pomocy specjalnej grupy lingwistów i pogłębiał znajomość japońskiego.

Rzadko brał przepustki z akademii, mimo że rodzice mieszkali w Waszyngtonie, ledwie o kilka godzin drogi. Był zdecydowany wszystkie siły i każdą wolną chwilę poświęcić na doskonalenie się w służbie Bogu, człowiekowi i swej ojczyźnie. Ale pod koniec drugiego roku studiów, w czerwcu, rodzice wyjątkowo usilnie nalegali, żeby wziął udział w balu w przestronnym domu sekretarza marynarki wojennej, Spauldinga. Czuł się zupełnie nie na miejscu między gośćmi, którzy z wprawą zonglerów balansowali w tłumie spodeczkami i filiżankami do herbaty i celowali w prowadzeniu rozmów o niczym. Przeciął salon, by zająć strategiczną pozycję w pobliżu oszklonych drzwi na

taras, zdecydowany wymknąć się z przyjęcia przy pierwszej nadarzającej się okazji. Dotknął palcami ściany w kolorze ultramaryny, by sprawdzić, czy nie zabrudzi swego nieskazitelnie białego munduru.

Ale matka wypatrzyła go w tym kącie.

— John, to jest Beth Spaulding — powiedziała stając przed nim. — Bawiliście się razem w tym domu osiem lat temu.

Westchnąwszy w duchu z rezygnacją, odwrócił się w stronę dziewczyny, zupełnie nie przygotowany na widok złocistych włosów i wpatrzonych w niego modrych oczu. Rozchyliła czerwone wargi, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko się uśmiechnęła. John nagle uzmysłowił sobie, że ma serce i że mocno mu ono bije. Dostrzegł krągłość bioder, smukłość talii, z trudem mieszczący swą zawartość staniczek, zamrugał oczami i pobiegł szybko wzrokiem z powrotem w górę. Serce łomotało mu już tak, że słyszał jego bicie w uszach. Dziewczyna roześmiała się. Na odgłos tego dźwięcznego śmiechu poczuł, że nogi robią mu się jak z waty.

Bywała w salonach towarzyskich stolicy Beth natychmiast rozpoznała szczerłość jego reakcji. Sprawiała jej ona ogromną radość. Już od dłuższego czasu obserwowała, jak John wystaje po kątach salonu, starając się trzymać z dala od tłumu gości. Czulił grę potężnych mięśni pod wykrochmalonym na sztywno materiałem munduru. Kiedy się do niej uśmiechnął, kontrast bieli jego zębów z ciemną opalenizną twarzy przypawił ją o zawrót głowy.

— Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? — spytała.

Zjaśniała od słońca jasnoblond włosy tak jak wtedy opadały mu na chabrowe oczy i odgarnął je tym samym gestem co wtedy.

— Pamiętam — odparł. — Jeździliśmy konno. Uparłaś się, żebyśmy się ścigali i zmusiłaś mnie do przeskoczenia dwóch płotów. Mało nie umarłem ze strachu, a ty oczywiście wygrałaś.

Roześmieli się oboje, a Beth stwierdziła, że z bliska jego uśmiech robi jeszcze większe wrażenie.

— A pamiętasz, co mi obiecałeś? — spytała. — Że zabierzesz mnie na żagle i w rewanżu napędzisz mi równie porządnego strachu.

— Byliśmy wtedy dziećmi. Nie mówiłem tego poważnie.

— Czy to ma znaczyć, że wycofujesz swoje zaproszenie? — Spojrzała na niego z udanym oburzeniem.

— Ależ skądże, nie! Czy niedziela ci odpowiada?

— O tak, nawet bardzo! — odparła z błyskiem w oku.

I tak to się zaczęło. Od tego dnia każdą przepustkę John spędzał z Beth. Pływali na szkunerze Whittefieldów, urządzali pikniki, jeździli

konno. Zaczął jej towarzyszyć na wszystkich przyjęciach, balach i oficjalnych uroczystościach w stolicy i Annapolis. Beth była jego lustrzanym odbiciem — prostolinijna, głęboko wierząca, inteligentna. I jak on zakochana.

Mung miał już dwadzieścia jeden lat, kiedy wrócił do nowego domu Whittefieldów w Waszyngtonie. Powitano go z otwartymi ramionami.

— Opowiedz o rejsie.

Mung uśmiechnął się.

— Najważniejsze jest to, jak przyjęła mnie załoga. Kiedy w Ameryce Południowej prysnął nam ze statku drugi oficer, jednogłośnie wybrano mnie na jego miejsce. W drodze powrotnej kapitan dostał pomieszenia zmysłów, trzeba go było obezwładnić i trzymać w zamknięciu. I to ja poprowadziłem statek wokół Hornu i kierowałem połowami w drodze do domu.

William Whittefield z satysfakcją wysłuchał tej opowieści.

— Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, synu. Cieszę się, że twoje wyjątkowe zdolności przywódcze i niezwykła inteligencja zostały docenione. Jakie masz dalsze plany?

— Jeszcze nie wiem — odparł Mung, wzruszając ramionami.

Marta Whittefield przytuliła go mocno do siebie.

— Tu jest twój dom.

Spojrzał jej w oczy i znów na myśl przyszła mu jego własna matka, żyjąca samotnie gdzieś tam, w Nakanohamie. Marta przyglądała się z podziwem swemu adoptowanemu synowi. Był niewysoki, ale świetnie zbudowany, z jego sylwetki i twarzy biła niezwykła pewność siebie, być może za sprawą owego złamanego nosa, który niejedna kobieta musiała uważać za ogromnie atrakcyjny. Maniery miał nienaganne, a mimo to waszyngtońskie rodziny z wyraźną niechęcią patrzyły na jego kontakty ze swymi córkami. Znów tu i tam zaczęły go spotykać stare afronty.

Na kilka dni wpadł do domu z Annapolis John. Przedstawił Munga bardzo pięknej młodej blondynce. Z wymiany pełnych uwielbienia spojrzeń między nimi wyraźnie było widać, że są w sobie zakochani. To wstrząsnęło Mungiem bardziej niż cokolwiek innego od czasu tamtego pobicia w Fairhaven. Nic nikomu nie powiedział, ale nagle dotarło do niego, że w Nakanohamie także miałby już żonę, a może i dzieci. Tu, w Ameryce, nawet najpospolitsza dziewczka nie pozwoliłaby mu się tknąć. Zaczął się zastanawiać, czy nie ożenić się

z jakąś Chinką, lecz natychmiast dały o sobie znać jego własne, głęboko zakorzenione uprzedzenia.

Kiedy do stolicy dotarli wieści o odkryciu złota, Mung postanowił ruszyć do Kalifornii. Pożegnał się z Whittefieldami, podarował Beth rzeźbiony ząb wieloryba i zaciągnął się jako oficer na parowiec płynący do Panamy. Wraz z innymi poszukiwaczami przygód, którzy dali się ponieść gorączce złota, wsiadł do pociągu przecinającego Przesmyk Panamski, a następnie na statek do San Francisco. Stamtąd, czym i jak się dało, dotarł na złotonośne pola na północy.

Po pewnym czasie Whittefieldowie otrzymali list, w którym pisał, że pomimo grożącego mu niebezpieczeństwa postanowił wrócić do swego ojczystego kraju. Dowiedzieć się, czy matka jeszcze żyje, znaleźć żonę, by ród na nim nie wygasł, i uczcić grób ojca. Wyrażał najgłębszy żal z powodu rozstania z rodziną Whittefieldów i z całego serca dziękował za okazaną mu dobroć.

Potem nadszedł z Hawajów list od wielebnego Damona. Mung odwiedził go i opowiedział mu o strzelaninie na złotonośnych polach, w której zginęło dwóch jego kolegów ze statku, i o swoim postanowieniu powrotu do Japonii.

Znacznie później nadszedł jeszcze jeden list od pastora. Otrzymał wiadomość od kapitana statku wielorybniczego „Brentwood”, że dziewiątego stycznia 1851 roku Munga spuszczone w maleńkiej łódce na wodę u wybrzeży wyspy Riukiu *. Ostatni raz widziano go, gdy po spokojnym morzu wiosłował w stronę brzegu.

* Okinawa.

ROZDZIAŁ 9

Styczeń 1851

„Brentwood” kołysał się łagodnie w pobliżu wyspy Riukiu, pierwszy brzask zaczynał barwić nocny horyzont. Patrzył przez reling statku wielorybniczego i w ciepłym, parnym powietrzu czoło rosiły mu kropelki zimnego potu. Choć był najedzony, czuł zupełną pustkę pod kłamrą u pasa, dziwną słabość kolan. Miał cienie pod oczami, zapadnięte policzki, a na jego miłej, otwartej twarzy dwudziesto-czterolatka malowała się powaga, której złamany nos nadawał odcień zaspęnienia.

— Zmieniłeś zdanie, Mung? — spytał kapitan Abrahams.

— Myślę o tym, co mnie czeka — odparł.

Dowódca wielorybnika oparł się o reling obok niego.

— Mówiłem ci już, żebyś nie czuł się zobowiązany do opuszczenia tutaj statku. Zwrócę ci pieniądze. Kiedy zawiniemy na Hawaje, możesz zejść na ląd albo zabrać się z nami wokół Hornu z powrotem do Nowej Anglii.

— Dziękuję, panie kapitanie, ale muszę przez to przejść.

— Nawet za cenę życia?

— Tak, nawet za tę cenę.

— Synu, życie, ludzkie życie, jest najcenniejszą wartością, jaką Bóg stworzył na tej ziemi. Proszę cię, nie wystawiaj niepotrzebnie swego na niebezpieczeństwo.

Mung spojrział na starszego od siebie mężczyznę.

— Kiedy mój ojciec odebrał sobie życie, uczynił to z honorem. Gdyby nie miał dzieci, nie zrobiłby tego, powstrzymałaby go konieczność czczenia przodków. Mój brat, Jakato, zginął w czasie sztormu, a ja muszę się włóczyć po obcych krajach, skąd nie mogę składać hołdu swemu ojcu, jego ojcu i ojcu jego ojca. Nie znalazłem nawet

jednej Japonki, ani w Kalifornii, ani na Hawajach, i nie słyszałem też o żadnej na innych wyspach Pacyfiku. Jeśli na mnie ma się zakończyć nasz ród, niechaj stanie się to tu, w Japonii, za sprawą ręki Japończyka.

Kapitan Abrahams wyprostował się i podał mu rękę.

— Powodzenia. Nadciąga wiatr. W łodzi masz wszystkie potrzebne zapasy.

— Dziękuję — odparł Mung. — Dziękuję panu za pomoc.

Kapitan Abrahams podniósł rękę w stronę bocianiego gniazda.

— Spuścimy cię na wodę, jak tylko wypatrzą stamtąd wyspę. Potem zrobimy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, więc póki nie znikniemy ci z oczu, kieruj się dokładnie w przeciwną stronę. W ten sposób będziesz miał punkt odniesienia, a potem powinieneś już zobaczyć brzeg.

Przed spuszczeniem łodzi załoga podarowała Mungowi ząb wieloryba i głośnymi okrzykami życzyła mu szczęścia. Po odbiciu od burty „Brentwooda” przebrał się w odzienie prostego rybaka, które kupił od rozbitka z orientalnej kolonii w Honolulu. Płynął równym kursem ponad dwie godziny, dopóki statek nie zniknął za horyzontem.

Chwilę później ujrzał wierzchołki gór północnego Riukiu. Z map, które studiował z kapitanem Whittefieldem, wynikało, że u ich podnóża ciągnie się na południe nizinna część wyspy, teraz wciąż jeszcze ukryta za horyzontem. Minął z daleka cztery żagle. Należały do łodzi tego samego typu co ta, którą przed dziesięciu laty wypłynęli z Nakanohamy na półow okoni. A matka nawet o tym nie wiedziała. Nie pisnęli jej ani słowa w obawie, że ich nie puści. To także było częścią jego planu. Przypomniawszy sobie przysłowie cytowane często przez ojca: „Ludzie czynią plany, a bogowie się śmieją”.

Spuścił żagiel, chcąc dotrzeć nie zauważony jak najbliżej brzegu. Najbardziej bał się tego, że jakiś samuraj zetnie mu głowę, nim zdąży cokolwiek powiedzieć. Wciąż na nowo, bez końca, powtarzał sobie powitania na każdą możliwą sytuację. Nie rozmawiał po japońsku od trzech miesięcy, od czasu wypłynięcia z Honolulu.

O dziesiątej rano zjadł pajdę chleba z twardym serem, którą zapakował mu kucharz. Pistolet, dar kapitana Whittefielda, leżał z przyrządami nawigacyjnymi w drewnianej skrzyneczce na dnie łodzi. Wystawił wiosła, wziął głęboki oddech i wpłynął do zatoki Nakagusuku, kierując się jej środkiem, celowo jak najbardziej widoczny. Nie chciał, by ktokolwiek mógł powziąć podejrzenie, że próbuje się rliyłkiem przemknąć do brzegu.

Nikt na niego nie czekał, gdy zbliżył się do plaży. Port był pusty;

już wcześniej widział, że wszystkie łodzie wypłynęły na połów. Starcy siedzieli w kucki i łatali sieci, z ognisk do przyrządzania stawy bił w górę dym, kobiety prały na brzegu morza. Z małego warsztatu skutniczego niosło się nad cichą zatoką stukanie drewnianych młotków. Pierwsze wypatrzyły go dzieci. Zbiegły się gromadą zobaczyć człowieka, który wiosłuje siedząc tyłem do dziobu. Łódź wśliznęła się gładko na piasek. Mung rozprostował ścierpnięte i drżące nogi i stanął na łądzie, spodziewając się doznać jakichś niezwykłych wzruszeń, ale niczego takiego nie poczuł. Dzieci otoczyły go szerokim kołem, wpatrując się w niego bez słowa.

— Sprowadźcie naczelnika wioski! — zawołał.

Rozpoznały, że mówi po japońsku, ale nie rozumiały. Mieszkańcy Riukiu płacili co prawda cesarzowi daninę i podatki, ale języka japońskiego ich nie uczono. Bojąc się każdego, kto przybywa z Japonii, dzieci rozbiegły się w popłochu. Mung zastanawiał się, czy ma poszukać jakiegoś przedstawiciela władz, doszedł jednak do wniosku, że lepiej będzie usiąść w łodzi i zaczekać.

Ryochi Okuda, japoński prefekt w Nakagusuku, siedział po turecku w swojej chacie bez ścian i oddawał się jednemu zajęciu, które pozwalało mu w miarę przyjemnie zabić czas — obmyślaniu wszelkich możliwych sposobów uzyskania przeniesienia z powrotem do Japonii. Dopiero trzy miesiące temu wrócił ze swego pierwszego półrocznego urlopu na dworze pana Nariakiry na wyspie Kiusiu, ale wydawało mu się, że od tego czasu minęły całe wieki. Wielu roninów, bezpańskich samurajów, tłumaczyło mu, jakie to ma szczęście. Oni z największą ochotą skazaliby się na pięć lat zsyłki na Riukiu, byle tylko dostać się na służbę jakiegoś *daimyo*. Dwieście lat izolacji oznaczało dla Japonii długi okres pokoju, ale pokój to bezrobocie dla żołnierzy. Ryochiemu, który zaczynał właśnie drugą pięcioletnią kadencję na Riukiu, Japonia wydawała się rajem. Tutaj powietrze było zawsze rozpalone i lepkie, chyba że oczyścić je przechodzący w pobliżu huragan. Tubylcy budowali swoje domostwa z byle czego i byle jak, wiedząc, że i tak zniszczy je najbliższy tajfun.

Zatopiony w rozmyślaniach nie zauważył trzech riukiańskich starszych, czekających z pochylonymi głowami i należnym mu respektem przed chatą. Wszyscy trzej mieli włosy zebrane na czubku głowy w węzeł przekłuty miedzianym szpikulcem, oznaką ich pozycji. W końcu raczył dostrzec ich obecność.

— Na plaży jest obcy — powiedział po riukiańsku najstarszy z trójki.

— Z której wioski? — warknął Ryochi.

— Trudno powiedzieć. To Japończyk, ale przyplłynął cudzoziemską łodzią.

Ryochi słuchał tej informacji z tym samym zainteresowaniem, z jakim odbierał codzienne sprawozdanie o wielkości połowu, gdy nagle dotarło do niego całe jej znaczenie. Poderwał korpułentną postać z niskiego podestu do siedzenia, chwycił dwuręczny miecz i biegiem minął starszych. Popatrzyli za nim, jak pędząc na plażę, wzbija krótkimi, krzywymi nóżkami kłęby piasku.

Obcego Japończyka i jego cudzoziemską łódź otaczał krąg wieśniaków. Dwóch japońskich podwładnych Ryochiego rozepchnęło tłum, a trzeci, Tsunajiro, stał w rozkroku, gotując się do wyciągnięcia miecza i zabicia nieznajomego.

Ryochi dobiegł w ostatniej chwili.

— Stój! — krzyknął.

— On musi zginąć! — zaprotestował Tsunajiro, przepełniony poczuciem ważności swego zadania. — Przyplłynął cudzoziemską łodzią! Już zaczęliśmy palić jego książki i to drewniane pudełko. — Wskazał ręką rozniecone w pobliżu ognisko.

Kiedy Ryochi wracał później myślami do wydarzeń tego dnia, dochodził do wniosku, że to chyba właśnie Tsunajiro ocalił Munga przed ścięciem. On sam także był zdecydowany zabić nieznajomego, gdyby okazał się cudzoziemcem albo powracającym do kraju Japończykiem, ale kiedy jego podwładny użył słów „musi zginąć”, odruchowo zareagował na to naruszenie dyscypliny i etykiety.

Bum! Bum! Dwa wybuchy rozerwały lizane płomieniami drewniane pudełko.

Ryochi zauważył, że młodego przybysza wystraszyły one nie mniej niż wszystkich pozostałych. Podeszedł do ogniska i pochwą miecza wygarnął z płomieni książki i tłące się pudełko.

— Zgasić ten ogień! — warknął na Tsunajira. — Oczyścić wszystko i natychmiast do mnie! Każ tym wieśniakom przenieść łódź pod moją chatę! Niech coś ukradną, a zapłacisz za to głową!

Chwycił Munga za ramię i pchnął go przed siebie. Miejscowi rozstąpili się przed nimi na dwie strony. Ryochi pognął Munga nadbrzeżną ścieżką, poszturchując go w siedzenie pochwą miecza, aż dotarli do chaty. Tam rozpoczął przesłuchanie, które ciągnął tak długo, aż stało się jasne, że obcy jest zupełnie niezłe wykształconym Japończykiem, znacznie bardziej inteligentnym niż prosty rybak, którego próbował udawać.

Ryochi zbadał dokładnie czterolufowy pistolet. Widział już kiedyś wielki, ładowany od przodu arkebuz, ale czegoś takiego jeszcze nie.

Zajrzał do niewielkiego trzosiku złotych samorodków, obejrzał instrumenty nawigacyjne i książki. *Zaczął* przechadzać się w tę i z powrotem przed Mungiem, Który klęczał, dotykając czołem podłogi.

Mung poczuł szarpnięcie za rzemyk na szyi. Głowa podskoczyła mu do góry. Rzemyk pękł. Ryochi Okuda wytrzeszczył oczy na mały krucyfiks z zęba wieloryba, szybko zacisnął go w pięści i schował za połę kimona. Wyszarpnął z pochwy dwuręczny miecz. Mung podniósł wzrok i ujrzał zawieszony nad głową ostrze.

— Trudno, ojcze, przepraszam — powiedział na głos. Klasnął raz w dłoń, tak jak to robią wyznawcy Buddy, by nadać bieg modlitwie, nadstawił karku i zamarł w oczekiwaniu.

Rozległ się świst miecza i ucichł. Mung poczuł na szyi zimną, ostrą jak brzytwa krawędź klingi. *Zaczął* się nieopanowanie trząść. Chciał krzyknąć „Kończ!”, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potężny kopniak w żebra przewrócił go na podłogę. Samuraj pochylił się nad nim i wrzasnął:

— Nie wolno ci z nikim rozmawiać! — Drugi kopniak trafił go w brzuch. — Jedno słowo, a jesteś martwy!

Ryochi Okuda zawezwał Tsunajira i rozkazał mu zabrać Munga. Tsunajiro przekazał ten rozkaz dwóm wieśniakom, którzy wywlekli Munga z chaty. Po raz pierwszy od chwili, gdy dobił do brzegu, zaświtała mu nadzieja, że może będzie żył. Chciał powiedzieć swym strażnikom, że musi iść za potrzebą, ale bał się otworzyć usta. Tsunajiro rozkazał tubylcom rozebrać Munga. Rzucili go na ziemię na placyku przed chatą i na oczach zgromadzonego tłumu przewracali z boku na bok, zdzierając z niego koszulę i spodnie. Widok tak pohańbionego Japończyka sprawiał tłumowi wyraźną radość. Rozległy się głośnie śmiechy i wiwaty. Chwilę później, gdy strażnicy zaczęli go wlec przez placyk, nie był już w stanie zapanować nad sobą i gwałtownie się wypróżnił. Tłum ryknął śmiechem. Gdy zapaskudził sobie nogi i ziemię między nimi, obaj strażnicy odskoczyli jak oparzeni. Wieśniacy zaczęli udawać dzieci, zatykali nosy i pokazywali go palcami. Tsunajiro ryknął na cały głos. W tłumie zapadła cisza. Kilku mężczyzn przyniosło kopniaka w głowę, ale nie trafił i omal się nie przewrócił. Przez tłum przebiegł szmer śmiechu, ale natychmiast zamarł pod rozwścieżonym spojrzeniem zastępcy prefekta. Ruchem ręki wskazał klatkę z prętów bambusa. Dwaj wieśniacy szybko wrzucili Munga do tej celi więziennej o wymiarach dwadzieścia stóp na dwadzieścia. Skulił się w rogu, oparty nagimi plecami o pręty. Wbił wzrok w ziemię, unikając spoglądania na szydzący tłum.

Ryochi chodził w tę i z powrotem po chacie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Munga należało ściąć. Ten krzyżyk na szyi ostatecznie je rozwiązał. Ale też tylko on jeden go widział — tego był zupełnie pewien. Gdyby teraz zabił Munga i przesłał należące do niego rzeczy do stołecznej Nahy, zwierzchnicy przemilczeliby jego imię i całą zasługę przypisali wyłącznie sobie. Oni także, nie mniej od niego, pragnęli jak najszybciej wyrwać się z tej wyspy. Jeśli wyśle Munga do Nahy żywego, przywłaszczą sobie zasługę, a na dodatek popłyną z nim pewnie do Japonii na przesłuchanie, które bez wątpienia zakończy się egzekucją. Natomiast każda próba ominięcia przełożonych groziła utratą głowy. Najłżejszą karą mogło być wydalenie ze służby pana na Satsumie i zesłanie na Riukiu. Rozejrzał się po otwartej ze wszystkich stron chacie, po nagim placu pośrodku wioski; jego wzrok ogarnął tłum tubylców, którzy serdecznie nienawidzili wszystkich Japończyków.

— Już teraz przebywam na zesłaniu — mruknął pod nosem — tylko jestem zbyt głupi, żeby to dostrzec. — Podniósł głos i zawołał do czekającego w kucki przed chatą sługi: — Niech przyniosą mi stół do pisania! Przygotujcie gońca! Pobiegnie z listem do Naliy.

Ukląkł przy niskim stoliku i zaadresował list do Sakumy Shozana, naczelnego skryby dworu w Satsumie.

Panic mój!

*Nie wypełniłem obowiązku, jaki nakłada na mnie prawo znane wszem i wobec i spisane, a to w nadziei, iż przystuję się w ten sposób Panu memu, daimyo Nariakirze. Dziesięć lat temu, w czasie sztormu na morzu uległa rozbiciu łódź wioski rybackiej Nakanohama na wyspie Shikuku. Trzech członków jej załogi zginęło, ocalał tylko czternastoletni podówczas chłopiec imieniem Mangiro. Uratowali go ludzie z Zachodu, z kraju zwanego- Ameryką, i nadali mu imię Mung. Miody ten człowiek twierdzi, że umie czytać, pisać i mówić w ich języku. Utrzymuje, że przez trzy lata pobierał nauki w ich szkołach, niemal sześć lat spędził na różnych statkach łowiących wieloryby i rok na poszukiwaniu złota. Powrócił do kraju, który uważał za Japonię, by znów zamieszkać wśród swoich. Tak powiada. Wylądował w moim dystrykcie, na wyspie Riukiu, w wiosce Nakagusuku. Miał na sobie odzienie ubogiego japońskiego rybaka, ale mowa jego jest poprawna, a nawet wyszukana. Przybył w malej, porządnie wykonanej łodzi żaglowej cudzoziemskiego stylu, którą zachowałem nie-
tkniętą. Rzeczy osobistych miał niewiele, za to dość niezwykłych. Jest wśród nich mieszek złotych samorodków, kilka cudzoziemskich ksiąg, przyrządy służące — wedle jego słów — do nawigacji, ręczna strzelba z obracającymi się lufami, ząb wieloryba i kawałki przezroczystego szkła rozbite przy lądowaniu. Przesyłam te przedmioty do obejrzenia i zbadania. Nadpalenia i zabrudzenia są skutkiem nakazanych prawem*

działań podjętych przez moich podwładnych bezpośrednio po przybiciu Munga do brzegu. To ja, nie oni, ponoszę pełną odpowiedzialność za niezniszczenie tych przedmiotów i nieściecie tego człowieka. Przesłuchałem go tylko pobieżnie, gdyż cotygodniowy statek do Japonii odchodzi dziś z wieczornym odpływem. Nie istnieje kopia tego listu. Jeśli nie stosując się do nakazów prawa lub nie powiadamiając o wszystkim swych zwierzchników w Nasze uczyniłem źle, spełnię swą powinność wobec Mego Najszlachetniejszego Pana, daimyo Nariakiry.

Zwrot „spełnię swą powinność” był zwyczajową formułą. Oznaczał, że po ścięciu Munga Ryochi sam popełni *seppuku*. Zapieczętował list, umieścił go w pakunku z rzeczami Munga, zawezwał gońca i udzielił mu ścisłych i surowych instrukcji: ma umieścić przesyłkę na statku do Japonii, z nikim nie rozmawiać, nie pozostawać w Nasze ani chwili dłużej niż to niezbędnie potrzebne, dostarczyć przesyłkę i natychmiast wracać.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podeście pośrodku swej chaty, skąd mógł widzieć Munga skulonego w klatce aresztu po przeciwnej stronie placu. Zdobył się na nieodwracalny krok, który musiał odmienić jego los. To było śmiałe posunięcie, godne samuraja. Jeśli mu się nie powiedzie, nie będzie komu napisać poematu, sztuki lub pieśni o jego pragnieniu służenia swemu panu. Choć szczerze mówiąc, gdyby nic nie zaszło, gdyby Mung nie wylądował na tej wyspie, to nie bardzo byłoby o czym śpiewać. Ryochi pragnął nie tyle pieśni, co powrotu do Japonii i zaszczytnej funkcji na dworze swego pana. Jego plan wyrastał korzeniami z szeptów, jakie mu wpadły w ucho, gdy „przebywał tam na urlopie. Krążyły pogłoski, że pan Nariakira wspiera uczonego Sakumę Shozana w jego dążeniach do zdobycia zachodniej wiedzy. Szeptano dalej, w najgłębszej tajemnicy, nie dopowiadając niczego do końca, że pan Nariakira jest zwolennikiem przywrócenia rzeczywistej władzy cesarzowi i zlikwidowania tytułu i instytucji szoguna. Na czoło Ryochiego wystąpiły krople zimnego potu. Siłą woli opanował się, żeby go nie obetrzeć — tubylcy tylko czekali na jakiegokolwiek oznaki słabości. Psiakrew, zapomniał napisać w liście o szczególnym stosunku łączącym go z więźniem, co miało mu zapewnić bilet powrotny do domu, gdyby zdecydowano oszczędzić Munga. Wyprostował się sztywno, zgrzytnął zębami i mruknął”:

— Powiniennem iść i natychmiast zabić bydłaka!

Nieco później obserwował, jak Tsunajiro zamyka w celi Munga siedmiu więźniów, tubylców, którzy wrócili po przymusowych robotach. Ich także rozebrano do naga przed wpuszczeniem do klatki. Nie próbowali rozmawiać ze sobą, dopóki strażnik nie zniknął im z oczu.

Nie próbowali też komunikować się z Mungiem. Dwie kobiety przyniosły więźniom po misce ryżu, ogórku i misce wody. Mung, z dala od innych, wpychał sobie ryż palcami do ust. Upił łyk, zakrztusił się i wypluł morską wodę. W pierwszym odruchu chciał rzucić naczyniem w kobietę, która je przyniosła, opanował się jednak i właśnie miał wylać wodę na ziemię, gdy podszedł do niego jeden z więźniów. Wziął miskę z rąk Munga i upił łyk wody. Pokazał palcem na naczynie, wymówił po japońsku słowo „sól” i oddał je Mungowi. Więźniowie dostawali do jedzenia tylko ryż z ogórkiem, dwa razy dziennie, rano i wieczorem, zawsze to samo. Jedynym źródłem soli dla ich organizmów była morska woda, którą dawano im po skończeniu roboty. Mung zrozumiał; wypił swoją porcję.

Kilka razy nachodziła Ryochiego chętka, żeby udusić przybysza gołymi rękami; chciał poczuć, jak ciało tego bydlaka drży w konwulsjach agonii. Jednocześnie jasno zdawał sobie sprawę, że jedyną jego szansą było zachowanie drania przy życiu. Wstał, podszedł sztywnym krokiem do klatki i rozkazał Mungowi wyjść. Rzucił mu krótką roboczą kurtkę i parę spodni, gestem nakazał iść za sobą, po czym ruszył ścieżką na brzeg morza.

Słońce wciąż jeszcze stało wysoko, kiedy dotarli do sterty gnoju na skraju wioski, tuż nad wodą. Ryochi rzucił w gnój krzyżyk z zęba wieloryba na zerwanym rzemyku. Rój much zareagował gniewnym bzyczeniem.

— Nie chcę wiedzieć, czy w to wierzysz, czy nie — powiedział wskazując na krzyżyk. — Jeśli przyznasz się komukolwiek, że to miałeś, obaj jesteśmy martwi. — Podniósł głos i krzyknął z furią: — Wskakuj na tę kupę gnoju i wdepcz go na samo dno!

Przerażony wyrazem twarzy Ryochiego i tonem jego głosu, Mung wskoczył na stertę i zaczął deptać gnój, najpierw prawą nogą, potem lewą.

— Szybciej, szybciej, szybciej! — wrzeszczał histerycznie Ryochi.

Mung biegł już w miejscu, grzązł coraz głębiej w szlamie i odchodach. Roje much wciskały mu się do oczu, uszu i ust. Gęsta breja sięgała mu do kolan, do ud, po pas. Kiedy Ryochi kazał mu wreszcie przestać, był zupełnie wykończony. Otworzył usta, by złapać oddech, i omal nie udusił się muchami, które natychmiast mu w nie wpadły. Zakrztusił się, zapluł, zaczął ocierać usta ufajdanymi rękami. Udało mu się wydźwignąć z oblepiającego go do pasa gnoju, ale pośliznął się, upadł i sturlał na sam dół.

— Przestań się tarzać w gnoju jak riukiańska świnia! — ryknął Ryochi. — Idź się obmyć!

Mung powlókł się na chwiejnych nogach do brzegu, wszedł w wodę i dobrnął do miejsca, gdzie mógł już cały się zanurzyć. Ściągnął z siebie ubranie, garściami piachu wyszorował się do czysta, a potem położył na wodzie, by choć na chwilę dać wytchnienie uginającym się nogom. Trząśł się cały i dygotał z odrazy do oblepiającego go paskudztwa. Żeby się opanować, odpłynął szybko kilka jardów na głębszą wodę, po czym zawrócił w stronę brzegu.

— Gdzie się nauczyłeś pływać wyrzutami rąk nad głowę i kopiąc wodę nogami? — zawołał Ryochi.

— Na Hawajach.

— Pokaż mi to jeszcze raz! — polecił Ryochi. Kazał Mungowi pływać do i od siebie, a potem wzdłuż brzegu, by lepiej przyjrzeć się dziwnemu stylowi. Na koniec polecił mu wyjść z wody i kucnąć na piasku, a sam usiadł przed nim na wyrzuconym przez fale pniu drzewa.

— Jaka kara czeka każdego Japończyka, którego noga postanie na pokładzie obcego statku lub na obcej ziemi? — spytał.

— Zgodnie z edyktem z roku 1638: śmierć — odparł Mung.

— Chcesz umrzeć?

— Nie.

— To po co wróciłeś?

— Żeby oddać hołd pamięci ojca i przodków; żeby znaleźć sobie żonę; żeby przywrócić memu rodowi dawne znaczenie; żeby spłodzić dzieci, dzięki którym ten ród przetrwa. Jestem jego potomkiem.

Ryochi zapałzył się w fale.

— Czy w tych obcych krajach było ci aż tak źle?

— Nie. Nie w sensie materialnym. Ale nie mogłem żyć bez japońskiej kultury.

— Ja myślę, że nie w sensie materialnym! Przywiozłeś ze sobą rzeczy warte więcej niż rybak zarabia przez całe życie. Wyjaśnij mi te różnice w kulturze.

— Przyjęto mnie do amerykańskiej szkoły, ale większość kościołów mnie odrzuciła.

Ryochi rąbnął go w głowę pochwą miecza, po czym kopniakiem przewrócił na piasek.

— Nie waż mi się nigdy wspominać o kościele!

Mung pozbierał się z ziemi i kucnął tak jak przedtem, starając się nie zważać na ból. Na rozkaz Ryochiego podjął opowieść:

— Łatwo było zarobić pieniądze, a praca nie była zbyt ciężka. Poziom życia większości ludzi jest bardzo wysoki. Ale jest nie do pomyślenia, żeby żółtolicy przybysz ze Wschodu mógł ożenić się z białą Amerykanką, nawet gdyby była zwykłą kurwą.

— Co takiego?! — krzyknął Ryochi. — Japończyk miałby się zenić z białą kurwą?! Wolałbym zginąć!

Mung nic nie odpowiedział. Po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy i zawiązało się między nimi coś jakby nić zrozumienia. Niecierpliwym gestem ręki Ryochi nakazał Mungowi ciągnąć dalej.

— Pewnie mógłbym ożenić się z jakąś Hawajką, ale musiałbym zamieszkać z innymi rozbitkami z Japonii w specjalnie wydzielonym obozie.

— Ci Amerykanie i Hawajczycy muszą nienawidzić Japończyków — powiedział Ryochi.

— Hawajczycy nie. Ale większość białych nie znosi ludzi o innym kolorze skóry niż ich własna.

Ryochi położył sobie miecz na kolanach.

— Co cię skłoniło do powrotu? Co było tym ostatnim ziarnem ryżu, które przechyliło szalę?

— Po tym, jak mnie uratowano, spędziłem dwa lata na statku, a po skończeniu szkoły jeszcze trzy i miałem już dość polowań na wieloryby. Ale kiedy po ostatnim rejsie zszedłem na ląd, okazało się, że nie ma tam dla mnie miejsca. Ludzie, którzy mnie adoptowali, pan Whittefield i jego żona, przeprowadzili się do stolicy zwanej Waszyngtonem. Mieszkańcy tego miasta nie traktowali mnie wcale przyjaźniej niż mieszkańcy Fairhaven. Czułem się krępującym obciążeniem dla Whittefieldów... — Urwał postanawiając nie wspominać o tym, że jego przybrany ojciec pracuje dla rządu ani że John studiuje w Akademii Marynarki Wojennej. — Mój przybrany brat dostał się na uniwersytet. Rozeszła się wieść o odkryciu złota w Kalifornii, a ja dowiedziałem się o wakującym stanowisku drugiego oficera na parowcu odpływającym do Panamy. Stamtąd z wieloma innymi wybierającymi się na pola złotonośne dotarłem do San Francisco. Liczyłem też trochę, że znajdę tam sobie żonę Japonkę. Zamiast tego spotkałem Rafaela DeSylvę. Wziął mnie za Chińczyka, ponieważ z Kantonu przywożono wielu kulisów jako bardzo tanią siłę roboczą. Chciał, żebym pracował na jego działce, ale pieniędzy starczyło mu ledwie na opłacenie koncesji. Szukał wspólnika, który by pokrył część kosztów sprzętu i zapasów na czas wyprawy. Miałem pieniądze, ale nie spieszyłem się, żeby zawiązać z nim spółkę. Chciałem się najpierw przekonać, co to za człowiek. Ustaliliśmy, że dopóki nie znajdzie wspólnika, będę oporządzał jego konia, gotował posiłki z zakupionego przez niego prowiantu i spał w jego namiocie za miastem. DeSylva był Meksykaniem, wysokim, przyjaźnie usposobionym mężczyzną, dobrym kompanem. Dzień w dzień zabierałem się z nim do San Francisco.

Piątego dnia Rafael wszedł do kasyna, a ja zostałem przy jego koniu. Ulicą przewalały się tłumy ludzi: woźniców pokrzykujących na swoje zwierzęta, meksykańskich *caballeros* na harcujących wierzchowcach, Amerykanów w spodniach z kozłej skóry, imigrantów z całego świata ubranych w stroje, jakie nosi się w ich ojczyznach. Nagle po przeciwnej stronie ulicy ujrzałem dwóch ludzi, którzy odcinali się od tłumu jak latawiec czerwony smok od błękitnego nieba. To byli moi dawni koledzy ze statku, olbrzym Pistchiani i łysy Czarny Ben. „Ahoj!” — zawołałem i pobiegłem się z nimi przywitać. Śmieliśmy się i poklepywaliśmy po plecach, ale obejrzałem się w samą porę, żeby zobaczyć, że ktoś próbuje odwiązać sakwy od siodła konia Rafaela. Zeskoczyłem z wysokiego chodnika i przebiegłem ulicę, pytając nieznanego, co robi, lecz w tej samej chwili ktoś inny wskoczył mi z tyłu na plecy. Wszystko w biały dzień. Pochyliłem się i chwytem dziu-dzitsu przerzuciłem napastnika przez ramię na ziemię. Złodziej przy sakwach rzucił się na mnie i przewrócił mnie na plecy. Padając podciągnąłem kolana pod brodę, wbiłem mu stopy w brzuch i posłałem go daleko za głowę. Kiedy zerwałem się z ziemi, wyciągał nóż, ale w następnej chwili czmychał w popłochu, krzycząc przeraźliwie z bólu. Pistchiani złamał mu rękę jak słomkę. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że jego kompan także rzucił się do ucieczki. Czarny Ben uśmiechnął się do mnie i powiedział: „Gdybyś na Hawajach umiał tak walczyć, do dziś miałbyś prosty nos”.

Rafael i inni wybiegli z kasyna, żeby przyjrzeć się walce. Przedstawiłem Meksykanina moim przyjaciółom. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Pistchiani. Kiedy wymieniali uściski dłoni, popatrzyli na siebie jak ludzie, którzy wiedzą, że zostaną przyjaciółmi. Ponieważ Bena i mnie nie wpuszczano do większości barów, rozłożyliśmy się z whisky na chodniku. Nim skończyliśmy pierwszą butelkę, zaczęliśmy snuć plany zawiązania czteroosobowej spółki. Pamiętam, że w połowie drugiej zgodziłem się wyłożyć wszystkie swoje pieniądze na pokrycie udziałów Bena i Pistchianiego. Obaj splotkali się prawie do czysta w pokera. Ostatnie, co pamiętam, to że siedzieliśmy razem na brzegu wysokiego chodnika i machaliśmy nogami. Próbowałem ich nauczyć po japońsku „Pieśni o Kwiecie Brzoskwini” i okropnie się denerwowałem, że nie potrafią wymówić nawet jednego słowa. Ocknąłem się przewieszony przez siodło idącego stępa konia. Leżałem na brzuchu, przywiązany za ręce i nogi, koń śmierdział i przy każdym kroku rzucał mną w górę i w dół. Myślałem, że już koniec ze mną. Chyba musiałem coś powiedzieć, bo podjechał do mnie Rafael. Wyszczerył w uśmiechu wielkie zęby, poklepał się po piersi i stwierdził:

„Może byś tak podziękował swojemu nowemu współnikowi za otrzeźwienie cię na sposób meksykański?” — Jęknąłem tylko w odpowiedzi, a on ciągnął dalej: — „Jesteś niewdzięcznym Japońcem, który śpiewa gorzej niż moja szkapa pierdzi. Spójrz na swoich przyjaciół. Oni się nie skarżą.” Za mną, na dwóch koniach, przewieszeni tak samo jak ja, jechali Pistchiani i Ben. Ben mieścił się jako tako w siodle, ale Pistchianiemu ręce i głowa wlokły się niemal po ziemi. „Mung — powiedział Rafael — poznałeś mnie z dwoma świetnymi facetami. Potrafią się zabawić nie gorzej ode mnie. Gdybyśmy zostali w San Francisco z twoimi przyjaciółmi i twoimi pieniędzmi jeszcze kilka dni, stracilibyśmy i ich, i forszę.” Tego dnia to Rafael ugotował wszystkim śniadanie i obiad. Jechaliśmy na północ, pojękując i osłaniając oczy od słońca. Każdemu, kto nas zobaczył, wydawało się, że już bardziej zróżnicowanej grupki ludzi, mniej nadających się na współników być nie może, ale się mylił. Nasze obozowisko nad rzeką stało się miejscem cowieczornych spotkań wszystkich poszukiwaczy z okolicy. Jeśli któregoś dnia nikt nas nie odwiedzał, to my szliśmy tam, skąd dobiegał śpiew, i zawsze spotykaliśmy się z miłym przyjęciem. Znaleźliśmy trochę złota, a posiedzenia przy ognisku, po caty^m dniu przemywania i pukania piasku, te nie kończące się licytacje na historyjki i opowieści były jednymi z najwspanialszych chwil w moim życiu.

Z początku nad rzeką nie było zbyt wielu ludzi, ale już wkrótce nadciągnęli wezbraną falą z całego świata. Comz częściej wybuchały bójki i zdarzały się kradzieże. Wypuszczenie się poza obozowisko po zapadnięciu zmroku stało się niebezpieczne. Nie mogliśmy już pracować tyle co dawniej, bo zawsze któryś z nas musiał trzymać straż. Nocami z gór dobiegały echa wystrzałów. Była czwarta rano, kiedy to się wydarzyło. Ja i Pistchiani trzymaliśmy straż. On "siedział na obozowym stołku przed swoim namiotem, a ja na ziemi, oparty plecami o siodło Rafaela. Rafael i Ben spali. Pierwszy strzał padł zza mojego namiotu. Poczuję, że kula trafiła w siodło, przeturlałem się w bok, przestraszony, ale cały. Strzelba wypadła mi z rąk. Kiedy po nią sięgnąłem, następny pocisk wyrwał grudę ziemi obok mojej głowy i zasypał mi twarz piaskiem. Przeturlałem się dalej i wyciągnąłem zza pasa ten czterolufowy pistolet, który miałem w pudełku. — Mung spojrział na Ryochiego. — To jeden z najnowszych modeli. Dostałem go w prezencie od pana Whittefielda, kiedy wyruszałem do Kalifornii.

Ryochi nakazał mu gestem, by ciągnął dalej swą opowieść.

— Pistchiani obiegnął namiot i wypalił z obu luf dubeltówki w kierunku błysku wystrzałów. Rozległ się głośny krzyk i pociski posypały się na nas ze wszystkich stron naraz. Usłyszałem, jak Pistchiani stęka

ciężko dwa razy i odwraca się w stronę, skąd otwarto ogień. Wycelował starannie z pistoletu i strzelił, idąc na sztywnych nogach wprost na lufy niewidocznych napastników. Posłałem cztery kule w rozbłyski w ciemnościach. Ogień z tej strony umilkł, ale Pistchiani runął jak podcięte drzewo. Ben wybiegł od tyłu ze swego namiotu z krótkim francuskim pistoletem, ładowanym od lufy i przeznaczonym do odpierania abordażu. Strzelił w mrok między drzewami, a my usłyszeliśmy krzyki bólu. Odwrócił się, żeby przebiec na naszą stronę, i w tej samej chwili dwa ładunki grubego śrutu przecięły go w pół. Rafael nie miał już ani jednego naboju w swoich dwulufowych pistoletach. Chwycił sprzed namiotu moją strzelbę i natarł na ścianę krzaków. Usłyszeliśmy przekleństwa i krzyki wycofujących się napastników. Po upewnieniu się, że nic nam już nie grozi, Rafael wrócił do obozowiska. Pistchiani i Ben nie żyli. Naładowaliśmy sobie z Rafaelem po dwa pistolety, dwururkę Pistchianiego i rusznicę Bena i ruszyliśmy za bandytami w górę strumienia. Już wkrótce w ciszy poranka usłyszeliśmy pojękiwania i przekleństwa. „Nie zostawiajcie mnie!” — zawołał któryś z nich. „Jak nie stulisz pyska, to tak właśnie zrobię!” — wrzasnął na niego kompan. Namówiłem Rafaela, żeby przepawić się przez strumień i zająć ich od przodu. Przeskakując cichcem z kamienia na kamień, dotarliśmy na drugi brzeg, przekradliśmy się szybko mniej więcej milę w górę rzeczki starą ścieżką biegnącą jej brzegiem i przepawiliśmy się z powrotem. Usłyszeliśmy ich na długo przedtem, nim zobaczyliśmy. Rafael postanowił podpuścić ich jak najbliżej, starannie wybrał miejsce na zasadzkę i dokładnie wyłuszczył mi swój plan. Rozłożyliśmy broń na skałach, tak żeby była niewidoczna, ale pod ręką, i nie pozostało nam nic innego jak tylko czekać. Rafael dobrze sobie wszystko wyliczył: czwórka bandytów zmierzała dokładnie między nas. Jeden był ciężko ranny, ten, który pomagał mu iść, wydawał się nietknięty, dwóch pozostałych miało powierzchowne draśnięcia. „Mówiłem wam, że nic z tego nie będzie — zaskamlał jeden z nich. — Chiniec zawsze przynosi pecha!” „Gdybyś dobrze celował i wybił skurwysynów do nogi — ryknął na niego drugi — to teraz byś tak nie wyglądał!” Rafael strzelił pierwszy. Facet był niecałe dziesięć stóp ode mnie, kiedy dostał porcję śrutu w bok. Siła trafienia poderwała go w powietrze i rzuciła mi pod nogi. Zacząłem walić z muszkietu Bena i obu pistoletów, aż nie został mi ani jeden nabój. Kanonada ucichła, ale jej echo jeszcze kilka razy przetoczyło się między wzgórzami. Wiatr rozwiął spowijającą nas chmurę prochowego dymu. Tylko jeden z bandytów pozostał przy życiu, padł na kolana i błagał, by go nie zabijać. Rafael podbiegł do niego, chwycił za koszulę i poderwał

z ziemi. „Znasz mnie?! Znasz mnie?! Znasz mnie?!” — krzyczał mu raz po raz prosto w twarz, potrząsając nim jak kurczakiem, aż facet zaczął dygotać jak galareta i wydusił z siebie: „Nie, nie, nie znam.”. „To dlaczego chciałeś mnie zabić?! — zawołał Rafael ze łza i w oczach. — Dlaczego zabiłeś Pistchianiego?! Przecież jego też nie znasz, prawda?! Ani Bena, prawda? Ani Bena! Ten czarny pokurcz był moim współnikiem! Moim przyjacielem!” Łzy płynęły mu po policzkach i znikwały w czarnych wąsach. „Kochałem ich, słyszysz?! Kochałem!” — ryknął na całe gardło i przyciągnął bandytę do siebie. Prawie stykali się nosami. Obaj płakali. Ja też. „Jak możesz zabijać kogoś, kogo w ogóle nie znasz? — spytał Rafael, potrząsając nim coraz silniej. — Jak się nazywasz? Jak się nazywasz?!” „Holkee — odparł szcękając zębami bandyta. — Nazywam się Holkee.” Rafael wbił mu nóż w brzuch, obrócił ostrze i dopchnął je w serce. Stał nad zabitym dłuższą chwilę bez słowa i bez ruchu, a potem szerokim ruchem ręki wskazał otaczający nas las, wzgórze i niebo. „To wszystko przestało mnie już bawić” — stwierdził. Mnie też przestało. Ale nim zdążyłem mu to powiedzieć, otoczyła nas liczna grupa uzbrojonych mężczyzn. Przewrócili nas na ziemię, skopali, pobili kolbami strzelb. „No proszę — zawołał dowódca oddziału straży obywatelskiej. — Kurcwo wielki Meksykaniec z chińskim zasrańcem zabijają pospółtą uczciwych białych! Wymierzmy im sprawiedliwość, naszą sprawiedliwość, sprawiedliwość poszukiwaczy złota! Trzeba im zrobić proces tu, na miejscu i od ręki, i ustalić, w jaki sposób zabić tego katolickiego papistę i tego pogańskiego żółtka!” I byliby to zrobili, gdyby znad rzeki nie ściągnęli poszukiwacze z działek sąsiadujących z naszą i za nas nie zaświadczyli. Rafael powiedział członkom oddziału straży obywatelskiej, że zajmujemy się ciałami, więc zostawiono nas samych. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Pomogłem mu ułożyć czterech zabitych pod wielką skałą i ich własną krwią napisałem na niej „Bandyci”. W drodze powrotnej do naszego obozowiska natrafiliśmy w lesie na jeszcze trzy trupy. Powiesiliśmy je na drzewach nad brzegiem rzeki, żeby były dobrze widoczne, a potem pochowaliśmy Pistchianiego i Bena prawie dokładnie w miejscu, w którym zginęli, jednego obok drugiego. Oznakowaliśmy groby jako cmentarz, sprzedaliśmy działkę i wszystko, co tylko dało się sprzedać. Wiedzieliśmy, że Ben nie ma żadnej rodziny. Wysłaliśmy list do Sag Harbor w stanie Nowy Jork z prośbą o skontaktowanie się z kimś z rodziny Pistchianiego. Rafael postanowił wrócić do Los Angeles. Podzieliliśmy pieniądze na trzy części, po jednej dla nas, a trzecią wpłaciliśmy do banku dla rodziny Pistchianiego...

To właśnie tam, na przedmieściach San Francisco, podczas ostatniej

naszej wspólnej nocy z Rafaelem postanowiłem wrócić do Japonii. Nigdzie indziej nie było dla mnie miejsca. Mój przybrany brat ożenił się. Moich dwóch najbliższych przyjaciół zginęło. Nie chciano mnie ani w Waszyngtonie, ani w Fairhaven, ani nawet na złotoonośnych polach. Wiedziałem, że to słuszna decyzja, bez względu na to, co miałyby mnie spotkać po powrocie. Poczuję się tak, jakby spadł mi z serca ogromny kamień.

Zapał już zmrok, ale Mung natrafił na spojrzenie Ryochiego i nie spuścił oczu. Wydawało mu się, że bez słowa, samym wzrokiem, zawierają coś w rodzaju układu. Skąd mógł wiedzieć, że Ryochi także ryzykuje życie, żeby wrócić do Japonii. Więzień i jego dozorca, obaj płynęli na tej samej kruchej łódce.

Ryochi wstał i ruchem ręki nakazał Mungowi iść za sobą. Po kilku krokach powiedział już bardziej wyszukaną odmianą japońszczyzny:

— Potraktowaliście w odpowiedni sposób tych, którzy zamordowali waszych przyjaciół. Ten Rafael musiał mieć duszę Japończyka.

Minęły trzydzieści cztery dni, nim do wsi Nakagusuku przybył posłaniec z dworu w Satsumie. Przedstawił Ryochiemu Okudzie swoje pełnomocnictwa, podał mu przesyłkę i cofnął się przed chatę, by tam poczekać. Ryochi ukląkł przy stoliku do pisania i położył przed sobą zapieczętowaną paczkę. Długą chwilę wpatrywał się w gruby ryżowy papier, w czerwoną pieczęć i czarne godło pana na Satsumie, *daimyo* Nariakiry. Na koniec sięgnął, zważył przesyłkę na dłoni, wziął głęboki oddech i jednym szarpnięciem zerwał pieczęć. Wewnątrz były dwa listy. Pierwszy był niezwykle lakoniczny. Ryochi aż się zachłysnął powietrzem.

*Do Ryochiego Okudy,
prefekta w Nakagusuku na wyspie Riukiu.*

Spełnisz swą powinność, tak jak należało to zrobić. Ścięcie Munga ma nastąpić z dala od ludzkich oczu. Tobie wolno wkroczyć na honorową ścieżkę jedynie wówczas, jeśli uczynisz to bezpośrednio po jego zgładzeniu, w miejscu jak najbardziej ustronnym, w przytomności jedynie kuriera, który wystąpi w roli świadka. Zastosujes się do wszystkich jego poleceń aż do najdrobniejszego szczegółu.

Sakuma Shozan, Satsuma.

Drugi list stanowiło oficjalne pismo przekazujące urząd prefekta Tsunajirowi.

Ryochi wezwał posłańca. Bezdźwięcznym, pozbawionym wyrazu głosem spytał:

— Jakie są polecenia z Satsumy?

— Przygotuj więźnia — odparł kurier. Wskazał ręką na stojącą obok chaty łódź. — Każ ją spuścić na wodę. Spełnisz swą powinność na morzu.

Jak w jakimś transie Ryochi skinął głową. Posłał służącego po swego następcę i kazał sprowadzić Munga, który z pozostałymi więźniami uczestniczył w przymusowych robotach na polach. Powiadomił Tsunajira o awansie, a następnie oficjalnie przekazał mu obowiązki prefekta Nakagusuku. Na koniec rozkazał zanieść łódź na brzeg morza i wysprzątać chatę, by była gotowa na ceremonię wypicia ostatniej herbaty — miał ją podać Tsunajiro — a sam poszedł wziąć kąpiel.

Po kąpieli w uroczystym stroju udał się do nowego prefekta, który czekał już na niego z rozpoczęciem ceremonii. Zgodnie z tradycją na niskim pokrytym laką stoliku pośrodku pokoju stał prosty wazon. Wstawiono do niego trzy gałązki kwiatów przycięte w trzech różnych długościach: najwyższa symbolizowała niebo, najniższa — ziemię, a trzecia — człowieka zawieszzonego między jednym a drugim.

Ryochi usiadł przy stoliku i skinął głową. Tsunajiro ukląkł. Potrząsnął maleńkim dzwoneczkiem, dając znak do rozpoczęcia ceremonii. Nasypał do czarnej herbaty, nalał wrzątku i przysiadł na piętach obserwując, jak napar nabiera koloru.

Ryochi rozejrzał się po pokoju. Zamieciono go, ale niezbyt starannie. „Gdybym miał wrócić, Tsunajiro kazałby tu porządnie wysprzątać — pomyślał. — Może jednak wróćę postraszyć drania.” Spojrzał na swój ukochany serwis do herbaty, na miseczkę do palenia kadzideł, wiszące na ścianie malowidło przedstawiające górę Fudzi i westchnął. „I tak muszę mu to wszystko zostawić.”

Przyjął czarnekę z wyciągniętych rąk swego byłego zastępcy i zgodnie z tradycją, określającą każdy najdrobniejszy ruch, powoli wypił mocną, gorącą herbatę.

Tsunajiro ponownie potrząsnął dzwoneczkiem, by obwieścić zakończenie ceremonii, po czym wyszedł z Ryochim przed dom. Tam podał dawnemu prefektowi jego dwa miecze. Ryochi przypasał je sobie do swego *obi**.

— Wszystko, co do mnie należało, jest od tej chwili i na zawsze twoje — powiedział.

* Ozdobny pas do kimona.

— Hai, szlachetny samuraju — odparł Tsunajiro.

Ryochi Okuda wyprostował się, uniół wysoko głowę i ruszył na swych pałkowatych nogach na brzeg morza. Roześmiał się w duchu. „Ty głupi bydlaku, jedyne, co naprawdę chciałbym ci podarować, to swój wyrok śmierci!”

O czwartej po południu we trójkę zepchnęli łódź na wodę. Mung, nieświadom rozkazów, jakie przysły z Satsumy, powiosłował na otwarte morze.

Po jakimś czasie kurier zwrócił się do Ryochiego:

— W swoim raporcie pisałeś, że ta łódź może żeglować. Czy widziałeś, jak to się robi?

Ryochi pokręcił przecząco głową.

— Nie, powtórzyłem tylko słowa więźnia.

— To każ mu to zrobić teraz.

Ryochi powtórzył rozkaz posłańca. Mung umocował drzewce masztu w gnieździe, wyjął ze schowka żagiel i wciągnął go na maszt. Wiatr natychmiast wydał płótno i pchnął ich do przodu. Mung wybrał żagiel, łódka weszła w lekki przechył i zaczęła nabierać szybkości. Jej wdzięczny kadłub ze świstem ciął powierzchnię morza, wzbijając w górę fontanny kropelek wody.

Posłaniec siedział w pobliżu Munga, koło rumpla.

— Czy wszystkie łodzie z Zachodu są tak szybkie? — spytał.

— Nie — odparł Mung. — Niektóre są wolniejsze. Inne, dzięki kształtowi kadłuba i liczbie żagli, są znacznie szybsze.

— Jak bardzo na wiatr można w ten sposób płynąć?

— Dwa rumby w bok od jego kierunku. Żaden statek nie może płynąć już bardziej do wiatru, oczywiście poza parowcami, które poruszają się bez pomocy żagli.

— Znasz się na parowcach?

— Wiem, co potrafią, ale nie znam się na ich silnikach.

Ryochi słuchał jednym uchem rozmowy kuriera z Mungiem. Zdążył polubić Munga i te jego opowieści o Ameryce, Hawajach, a zwłaszcza o polowaniach na wieloryby. „Ech! — pomyślał. — Jakże chętnie bym sobie z nim popłynął... — Ale zaraz powrócił myślami do czekającego go zadania: — Jeśli każę mu uklęknąć z głową wychyloną za burtę, wystarczy jedno cięcie dwuręcznym mieczem i będzie po wszystkim. Nawet nie poczuje bólu. Głowa stoczy się do wody. Jeśli potem uklęknę na tej ławeczce przy rufie, przyłożę nóż o, tu — dotkną ręką miejsca tuż poniżej pasa — i wbiję go szybko, to może także uda mi się wpaść do morza i ten posłaniec nie będzie mógł donieść, że krzyczałem jak baba. — Zaśmiał się sucho w duchu. — W popełnianiu

samobójstwa nie mam przecież żadnego doświadczenia. Kto może wiedzieć, czy jestem w tym dobry, czy nie?"

Usłyszał, że posłaniec wypytuje Munga o połowy wielorybów i zaciekały go odpowiedzi. Pytania były inteligentne, a jednak kurier musiał być chyba zupełnie głupi. Góry na północy wyspy Riukiu skryły się już za horyzontem, po śmierci ich obu będzie przecież musiał sam poprowadzić łódź z powrotem. A nie wyglądał ani na żeglarza, ani na kogoś, kto dałby sobie radę z tą cudzoziemską łodzią. No cóż, to jego kłopot. Wszystkie kłopoty Ryochiego już się skończyły. Wstał i powiedział:

— No, dość tego gadania! Mung, kiedy wracałeś do Japonii, wiedziałeś, jakie tu obowiązują prawa! Nadeszła chwila twojej śmierci!

Mung wybałuszył oczy na lśniąca klingę miecza, który tamten wyciągnął z pochwy. Jej gładka stal skrzyła się czerwono w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

— Co się stało? Dlaczego?

Ryochi wzruszył ramionami.

— A jakie to ma znaczenie dlaczego? Po prostu tak musi być. — Wskazał ławeczkę na rufie. — Uklęknij tam, z głową za burtą, i nie ruszaj się. Chcę ci zaoszczędzić bólu, a przy kołysaniu tej łodzi nie będzie to wcale łatwe.

Mung puścił rumpel. Żagiel załopotał na wietrze, łódź zatrzymała się i zachybotała bezwolnie na falach. Nikt nie przerywał milczenia. Mung ukląkł na ławeczce, wysunął głowę za burtę i ujrzał swe odbicie w ciemnozielonej wodzie.

— Jeśli cię to jakoś pocieszy, ja mam być następny — powiedział Ryochi. — Ten tutaj — wskazał ręką kuriera — spróbuje samotnie dopłynąć z powrotem do brzegu.

Posłaniec wstał szybko ze swego miejsca, zachwiał się i omal nie wypadł za burtę. Odzyskawszy równowagę, wyszukaną japońszczyzną i głosem nie znoszącym sprzeciwu rozkazał:

— Schowaj ten miecz i siadaj!

Były prefekt Nakagusuku drgnął i zeszywniał.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? Kto ci dał prawo odwoływać rozkaz Sakumy Shozana?

— Nie spieraj się z nim! — zawołał Mung. — Usłuchaj!

— Milcz! — przerwał mu ostro Ryochi. — Ten człowiek za dużo sobie pozwala! Nikt nie będzie mówił takim tonem do samuraja pana na Satsumie!

Kurier sięgnął do zawoju na głowie, oznaki swego zawodu, zerwał

go i pokazał węzeł włosów ściągniętych do przodu na wygoloną część czaszki. Taki węzeł wolno było nosić wyłącznie arystokratom.

— List Sakumy Shozana nakazuje ci skrupulatnie wypełniać wszystkie moje polecenia! A ja ci powiadam, że nikt tu dzisiaj nie zginie! Schowaj miecz!

Ryochi stał nadal w szerokim rozkroku, by utrzymać równowagę na rozchybotanej łodzi.

— Co mówisz? — warknął.

— Jesteśmy ocaleni! — krzyknął Mung. — Nie musisz mnie zabijać! Nie musisz popełniać samobójstwa!

Ryochi zmierzył Munga zimnym spojrzeniem.

— Milcz! Ty też za dużo sobie pozwalasz!

— Przyjrzyj mi się dobrze! — zawołał posłaniec. — Podobno niedawno spędziłeś jakiś czas na dworze w Satsumie. Czy nie widziałeś mnie z "Sakumą Shozanem? Nazywam, się Yoshida Torajiro. Jestem jego pierwszym uczniem.

Ryochi pochylił się nad kurierem, by z bliska przyjrzeć się jego młodej twarzy. Łódź chybnęła się, Ryochi stracił równowagę. Zamachał rozpaczliwie rękami, próbując chwycić się zwisającego bez życia żagla, ale nie dosięgnął! i upadł na dno, z obnażonym mieczem między nogami.

— Miałem sprawdzić, czy nie przesadzałeś w swym raporcie o tym młotonosym Mungu — powiedział Yoshida. — Zostawiono to do mego uznania. Gdyby się okazało, że tak, miałem dopilnować, żebyś go ściał, a sam popełnił *seppuku*. — A teraz — zwrócił się do Munga — płyniemy w kierunku Nahy. Piętnaście mil od brzegu czeka tam większy statek, który zabierze nas do Kagoshimy.

Ryochi wychylił się przez burtę i zwymiotował gwałtownie do wody wszystko, co miał w żołądku, po czym osunął się z powrotem na dno łodzi. Mung czuł, że ręce i nogi zmieniły mu się w trzęsącą galaretę, mimo to natychmiast skierował łódź na kurs wskazany przez Yoshidę Torajiro, dziękując pod nosem wszystkim bogom tej ziemi.

Dwa tygodnie później pod osłoną ciemności doholowano ich do portu w Kagoshimie. W czasie tych dwóch tygodni podróży Yoshida drobiazgowo przesłuchał Munga. Po zejściu na ląd Munga i Ryochiego wysłano do chaty na samotnym cypelku u południowego krańca portu. Łódź zakopano w wielkiej piaszczystej wydmie, a Yoshida Torajiro przesłał Sakumie Shozanowi następujący raport:

Panie mój!

Chaotyczność tego listu najlepiej świadczy o pośpiechu, z jakim go wysyłałam. Mung rozmawiał swobodniej, gdy nie spisywałam słowo w słowo tego, co mówił. Uznałam, że lepiej będzie pozwolić mu samemu wybierać tematy i tylko naprowadzać go delikatnie na te, które nas najbardziej interesują. Jego wiedza o połowach wielorybów wydaje się zaiste imponująca, ale tylko mistrz w fachu rybackim mógłby właściwie ocenić jej wartość. Zapisiałem wszystko, co mówił o żeglarskim, mimo iż niewiele z tego zrozumiałem. Starłem się nie zapomnieć żadnego z pytań, które tyle razy powtarzaliśmy. Pokornie proszę, Panie, byś raczył wybaczyć mi wszystkie niedostatki wiedzy. Stany Zjednoczone to wielki kraj o bardzo małej — w stosunku do swego obszaru — liczbie ludności. Rząd zachęca wszystkich ludzi nie chcianych w innych krajach, by osiedlili się w Ameryce i obrabiali ziemię. Ci, którzy decydują się ją obrabiać, dostają ją często za darmo. Imigranci pochodzą w większości z Europy.

Człowiek, który odkrył Amerykę, pomylił się; był pewien, że to Indie, i dlatego też nazwał tubylców Indianami. To prymitywni ludzie, koczownicy, dla których ziemia nie przedstawia większej wartości. Amerykanie cenią ją sobie na równi z pieniędzmi, czasami nawet bardziej. Są ogromnie przedsiębiorczy i śmiali. Prowadzenie handlu i interesów uważane jest za czcigodne zajęcie, ojcowie przyuczają do niego swoich synów. Ponieważ prawie wszyscy Amerykanie przybyli niedawno z innych krajów, a rząd utworzono dopiero siedemdziesiąt lat temu, trudno ustalić ich cechy narodowe. Poczucie wolności jest niezwykle zaraźliwe; ci, którzy od wieków byli chłopami pańszczyźnianymi, mogą pretendować do osiągnięcia wszelkich godności, jakie im się zamarzą. Nie istnieje nic takiego jak klasy społeczne, a wszyscy ludzie są równi wobec prawa. Ludzie chodzą z podniesioną głową i z dumą nazywają siebie jankesami, co jest innym określeniem Amerykanów. Mięso świń, krów, owiec i ptactwa uważa się za przysmaki. Konie są tam zwierzętami roboczymi, a psy domowymi. Koninę jadają rzadko, a mięso psów tylko w czasie największych głodów. Za pieniądź służy złoto i srebro, nie ryż. Ryż przywozi się z Chin. Rolę ryżu w naszym codziennym życiu spełnia u nich chleb. Whisky zarezerwowana jest dla mężczyzn, w jej picciu na ogół nie widzi się nic zdrożnego. Tylko osoby religijne potępiają picie i tych, którzy piją. Stają często przed tawernami i barami i śpiewają pieśni mające odwieść pijących od butelek. Rzadko im się to udaje, częściej za swe trudy wynagradzani są zdrowym obiciem. Wielu pijących cierpi na niestrawność. Whisky zawiera dodatek opium i bywa używana jako lekarstwo. Stąd powszechnie nazywa się ją lekarstwem — osobom religijnym lekarstwa pić wolno. Lekarzom płaci się za każdą poradę i zabieg, a nie jak w Japonii co pół roku za leczenie wszystkich chorób w tym okresie. Mieszkańcy miast, w których skrupulatnie egzekwuje się prawo, są praworzadni, uprzejmi i utrzymują swe siedziby w czystości. Kiedy ktoś złamie jakieś prawo, zwołuje się zebranie mieszkańców i w głosowaniu ustala się jego winę. Przeważa zdanie większości i wszyscy stosują się do wyniku

głosowania. Tam gdzie nie ma praw, szerzy się rozbój, a na czystość nikt nie zwraca uwagi. Kozy, owce, świnie i krowy wałęsają się bez nadzoru, a pomyje wylewa się przez okna. Powszechnie jest posiadanie broni palnej. Pistolet znaleziony przy Mungu nazywa się pistoletem Christiana Sharpa, a konstrukcja z czterema obracającymi się lufami należy do najnowocześniejszych. Christian to imię wynalazcy tej broni. Nie ma ono nic wspólnego z nazwą ich religii.

Ludzie są czyści, ale biorą zimne prysznicze albo kąpią się w letniej wodzie, o wiele za chłodnej jak dla Japończyka. Japońska kąpiel parzy białą skórę. Kiedy wytworny pan spotyka damę, zdejmuje kapelusz i pyta: „Jak się pani miewa?“, a dama odpowiada: „Dziękuję, znakomicie“ nawet jeśli jest właśnie chora. Kiedy spotyka się dwóch mężczyzn, ujmują się za prawie ręce. Palenie wielkich, grubych cygar dowodzi zamożności i odnoszenia sukcesów w interesach. Kobiety nie palą. Większość sklepów ma szklane okna, w których wystawia się sprzedawane w nich towary, oraz przeszklone drzwi, żeby można było zobaczyć, kto jest w sklepie. Wszyscy, poza zupełnymi biedakami, mają przeszklone okna w domach. Dlatego właśnie Mung przywiózł ze sobą kawałek szkła. W Japonii nigdy o nim nie słyszał.

Amerykanie budują największe i najszybsze statki na świecie, są także najlepszymi wielorybnikami. Kalendarze i odmierzanie czasu opierają na ruchach Słońca. Dzień dzieli się na dwadzieścia cztery kawałki, a każdy z nich na sześćdziesiąt mniejszych jednostek. U nich, w przeciwieństwie do naszego kalendarza, miesiące noszą nazwy, a lata kolejne liczby. Miesiące mają w roku tyle samo co my. Dużą wagę przywiązują do przestrzegania punktualności. Wiele osób nosi przy sobie przyrządy do odmierzania czasu. Amerykanie lubią budować maszyny, które wykonują za nich pracę, a oni nie muszą już nic robić, tylko się temu przyglądać. Budują urządzenia do ciągnięcia powozów, pchania łożdi, przędzenia wełny, cięcia drewna na deski. Kiedy mężczyzna chce się ożenić, spogląda na dziewczynę. Jeśli mu się podoba, a on podoba się jej, oboje rozmawiają ze swymi rodzicami. Jeśli rodzice wyrażą zgodę, wszyscy udają się do kościoła, zabierając na świadków przyjaciół z obu rodzin. Ksiądz zadaje im głośno pytania, a oni równie głośno odpowiadają, tak żeby wszyscy wszystko słyszeli. Po ślubie kobieta musi dogadzać mężczyźnie. Rodziny są w większości szczęśliwe, kochające się i przedsiębiorcze. Amerykanie lubią śpiewać i bardzo wysoko cenią muzyków. Nie lubią natomiast, by ich ktoś oglądał, kiedy śpią, dlatego na czas snu zamykają się w specjalnych pokojach zwanych sypialniami. Sypialnie takie są w każdym domu. Śpią w nich na wysokich podestach, całkowicie przykryci, także w najcieplejszą pogodę, i choćby się do snu nie rozbierali. W ten sposób, nawet gdyby ktoś wszedł, to nie zobaczy, jak śpią. Rolę toalet pełnią albo piękne naczynia z porcelany, trzymane pod łóżkiem i opróżniane z samego rana, albo chatynki z dziurą w siedzisku zbudowane nad dołem w ziemi. Uważa się, że chatynki te są dobrym miejscem na lekturę i rozmyślanie.

Największym świętem są obchody rocznicy urodzin człowieka, który był założycielem religii chrześcijańskiej. Świętuje się także nowy rok, wiosenne

siewy, jesienne zbiory, a w lecie — rocznicę wojny, która przed siedemdziesięciu laty wyzwoliła ich spod panowania Anglików. Tego dnia mężczyźni wydobywają broń z arsenałów i maszerują z nią ulicami miast do wtóru muzyki i radosnych wiwatów t/umów. Później rozpoczynają się popisy siły i sprawności mężczyźni, zawody w gotowaniu dla kobiet i różne zabawy dla dzieci. Tego dnia wszyscy jedzą o wiele za dużo i łajają kobiety, że nie powinny tyle i tak dobrze gotować, ale kobietom sprawia to przyjemność. Wieczorem działa i karabiny odnosi się z powrotem do zbrojowni i zamyka tam do następnego roku. Poła są tak rozległe, że chłopci poruszają się po nich wozami zaprzężonymi w konie lub woły. Przedsiębiorcy skupiają się w grupy i składają razem pieniądze potrzebne do realizacji dużych przedsięwzięć. Zbudowanie statku do połowy wielorybów kosztuje około trzech tysięcy pięciuset sztuk złota. Przyrządy, które Mung ze sobą przywiózł, stanowią standardowe wyposażenie statków wypływających na pełne morze. Pozwalają dokładnie określić porę dnia, pozycję statku i jego szybkość. Za kwartę oleju można wziąć około jednego dolara. Zachodnich rybaków interesuje tylko sadło wieloryba, olej z łba i niektóre kości, używane do wyrobu parasoli i gorsetów. Mięso, które my uważamy za przysmak i które stanowi większą część tuszy wieloryba, nie ma dla nich żadnej wartości. Odcina się je i zostawia na morzu, by zatoneło. Kobiety są znadliwie, dobre i piękne. Szanowani obywatele unikają w ciągu dnia tych, które zdecydowały się zostać prostytutkami. Odwiedzają je wyłącznie w nocy, by nikt tego nie widział. prostytutki trzymają się pewnych miejsc i dzielnic, a szanowane kobiety nigdy z nimi nie rozmawiają. Amerykanie wierzą, że wolność jest dobra i powinno się nią obdarzyć wszystkich ludzi. Twierdzą, że wszyscy ludzie są równi, ale Amerykanie najlepsi. Rząd kupuje nowe tereny, żeby powiększyć Stany Zjednoczone. Tak właśnie kupili Luizjanę od Francuzów i Panamę od Hiszpanów. Czasami nowe tereny po prostu się zabiera, na przykład Anglikom w Kanadzie, Hiszpanom w Teksasie i Kalifornii, gdzie od czasu odkrycia złota zamieszkało wielu Amerykanów. Rząd Meksyku przegrał ostatnio wojnę ze Stanami Zjednoczonymi i zrzekł się na ich rzecz pięciuset tysięcy mil kwadratowych ziemi. W ten sposób Amerykanie uzyskali dostęp do Oceanu Spokojnego. Traktat podpisano trzy lata temu.

Na Wyspach Hawajskich rządzi król. Ogromne wpływy na dworze mają misjonarze i przedsiębiorcy z Ameryki, Anglii i Europy. Do portu w Honolulu zawija ogromna liczba statków wielorybicznych, w większości amerykańskich.

Przez większą część roku panuje tam doskonała pogoda, tubylcy są przyjaźnie i pokojowo nastawieni. Marynarze z Zachodu traktują wyspy jako miejsce zabaw i nazywają je rajem, bo obowiązuje na nich bardzo niewiele zakazów, a do tego są przekonani, że ich bóg nie widzi grzechów tam popełnianych.

Zachodni marynarze zawlekli na wyspy syfilis, toteż misjonarze zbudowali dwa szpitale, w których leczy się chorych. Tubylcy nie potrafią czytać, więc misjonarze zbudowali także szkoły i sprowadzili dobrych nauczycieli. Wypiarze mieszkają w chatkach, ale uczą się od białych budowania domów z desek. Hawajczycy są najlepszymi na świecie pływakami i nurkami.

Zbierają małże z dna, często z dużych głębokości. Na wyspach rośnie wiele niezwykłych i egzotycznych owoców. Na plantacjach założonych przez Amerykanów i Europejczyków uprawia się trzcinę cukrową siłą najemnych robotników sprowadzanych z Chin. Ci Hawajczycy, którzy nie zostali ochrzczeni, nic sobie nie robią z nagości. Ochrzczeni jej się wstydzą. Japońscy rybacy, zagubieni w czasie sztormów, po uratowaniu i przewiezieniu na wyspy są dobrze karmieni i ubierani, ale muszą mieszkać w specjalnym obozie, który po wieczornej odprawie jest zamykany. Jako przybrany syn kapitana Whitefielda Mung korzystał z pełnej swobody poruszania się. Wielorybnicy uważają Japończyków za barbarzyńców, którzy zabijają każdego, czyja noga postanie na ich ziemi, po czym gotują go i zjadają. Stale opowiadają sobie historie o różnych wyspach na Pacyfiku zamieszkiwanych przez ludożerców. Protestanci i katolicy zwalczają się nawzajem, kiedy rozmawiają na tematy religijne, ale poza tym współżyją ze sobą zupełnie zgodnie. W protestanckich szkołach naucza się łaciny, choć nie jest ona używana w ich liturgii. W szkołach katolickich na odwrót — łaciny się nie naucza, choć właśnie w tym języku odprawia się katolickie msze. Mung utrzymuje, że nigdy nie uległ żadnym wpływom chrześcijańskim i nic nie wskazuje na to, by było inaczej. Prefekt Nakagusuku, Ryochi Okuda, zeznał, że rozkazał Mungowi tańczyć na symbolu chrześcijaństwa i zakopać go w kupie gnoju. Wedle jego słów uczynił to bez wahania. Do niniejszego raportu załączam dokładne plany portów w Honolulu i Fairhaven w krainie Massachusetts sporządzone przez Munga. Jego pamięć i wprawa, z jaką postuguje się pędzelkiem, są wręcz niewiarygodne. Naniostem kilka objaśnień dla lepszej orientacji oglądających, gdyż Mung nauczył się od swego przybranego ojca postugiwania się symbolami kartograficznymi. Może udzielić także wielu informacji na temat najazdu wojsk Zachodu na Chiny i wojen opiumowych. To zupełnie niezwykły młody człowiek. Jego fenomenalna pamięć jest tylko jednym z przejawów zdolności intelektualnych. Jego wyłącznym pragnieniem jest powrócić do Japonii, złożyć hołd duchom przodków, ożenić się i żyć spokojnie wśród swoich. Do osiągnięcia wieku dziewięciu lat pobierał nauki od swego ojca. Potem uczył się na pokładzie statku wielorybniczego, który go uratował, i przez trzy lata w szkole drugiego stopnia w Stanach Zjednoczonych. Przez kolejne trzy lata służył jako oficer, a potem kapitan na statku wielorybniczym. Powiada, że wielorybów jest coraz mniej, a zapotrzebowanie na olej z ich tłuszczu stale wzrasta. To by tłumaczyło, dlaczego ostatnio coraz częściej widzimy u naszych brzegów statki poszukujące tych ogromnych ryb. W moim najgłębszym przekonaniu człowiek ten nigdy nie mógłby powrócić do swego dawnego trybu życia w małej wiosce rybackiej, znakomicie natomiast się nadaje do naszych celów.

Ryochi nie stanowi żadnego problemu, jest bardzo dobrym towarzyszem dla Munga. Oczekuję dalszych instrukcji

Twój pokorny student, Panie,
Yoshida Torajiro

ROZDZIAŁ IO

Trzy tygodnie później zjawiło się dwóch mistrzów szkutniczych i dwudziestu cieśli z sześcioma oprawnymi w skórę księgami i rozkazem dla Yoshidy Torajiro od Sakumy Shozana: „Zbudować statek wielorybiczny według zachodnich wzorów”.

Co dzień przybywali do Kagoshimy nowi tkacze płótna żaglowego, kowale, powroźnicy i bednarze, wszyscy z pomocnikami i pełnymi zestawami narzędzi. Yoshida miał tyle roboty z ich rozmieszczeniem i zakwaterowaniem, że wyznaczył Ryochiego na łącznika między Mungiem a wszystkimi co ważniejszymi osobami, z którymi miał współpracować.

Mung klęczał na pokrytej matami podłodze odosobnionej chaty i wpatrywał się oszołomionym spojrzeniem w rozłożone przed nim księgi. W pierwszej był niezwykle stary portugalski traktat o budowie okrętów, napisany ręcznie i po łacinie, ale tej się nauczył w szkole w Stanach. Następne cztery zawierały szczegółowe opisy, jak zbudować bryg, słup, barkentybę i statek wielorybiczny, ale po holendersku. Ostatnia była angielskim podręcznikiem budowy statków, w którym jednak konstrukcję jednostek wielorybicznych omówiono tylko pobieżnie.

Ryochi siedział po przeciwnej stronie pokoju. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Munga.

— Jeżeli go nie zbudujesz, obaj zapłacimy za to głową.

Mung spojrzął na niego pustym wzrokiem, z bezwiednie rozdziawionymi ustami.

Ryochi zerwał się na równe nogi, zatupał gniewnie i krzyknął:

— Nie patrz na mnie takim tępym wzrokiem! Masz książki! Możesz je przeczytać!

Mungowi zaschło w ustach, z trudem poruszał językiem.

— Ale ja nie znam holenderskiego! — Machnął ręką pokazując książki. — Nie wiem nawet, od czego zacząć.

— Jeśli dali ci holenderskie księgi, to sprowadzą ci także tłumacza. Mamy dwóch mistrzów skutniczych, którzy powiedzą ci, od czego zacząć. Tyle to oni potrafią. Nie wiedzą tylko, jaka powinna być wielkość takiego statku, do czego ma on służyć i wedle jakich zasad te specjalne żagle pozwalają mu się poruszać po morzu.

Mung zerwał się z ziemi i spojrzął na Ryochiego z isierką nadziei.

— Naprawdę dostanę tłumacza?

Tamten uśmiechnął się i pokiwał energicznie głową. Szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, czy da się to załatwić, ale musiał w jakiś sposób wyrwać Munga z szoku i przygnębienia.

— Nauczę się holenderskiego — postanowił Mung i zaczął chodzić od ściany do ściany. — Nie ma innego wyjścia.

Pomysły kłębiły mu się w głowie, przed oczami przebiegały dziesiątki nie dokończonych obrazów naraz. Usunął wszystko ze swego stolika do pisania i usiadł przy nim ze skrzyżowanymi nogami, sztywno wyprostowany. Starannie rozłożył przed sobą kartę papieru i pałeczki węgla drzewnego, po czym zamknął oczy i zapadł w pewien rodzaj medytacji, czego nauczył go ojciec. Całą siłą woli skoncentrował się na punkcie pośrodku czoła. Przed oczami stanęły mu jak żywe wspomnienia pięciu lat spędzonych na pokładzie dwóch statków wielorybicznych i wakacje, w czasie których pracował z Johnem Whittefieldem w stoczni w Fairhaven. Nie zdając sobie z tego sprawy chwycił pałeczkę węgla. Widział zupełnie wyraźnie suchy dok. A w nim długą stępkę z wygiętymi wręgami spiętymi drewnianymi pokładnikami. Rozróżniał nawet poszczególne gatunki drewna, kubły pokostu, oleju, smoły. Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka. Ryochi ma rację. Te szczegóły są bez znaczenia. Skutnicy muszą to wszystko wiedzieć.

Uwolniony od nadmiaru szczegółów, skupił myśl na samym statku. Opłynął go od dziobu po rufę, od stępki po top, wewnątrz i z zewnątrz. Widział wszystko jak na dłoni.

O trzeciej rano zabrakło papieru. Ryochi zasnął w kącie. Podłoga zasłana była rysunkami. Mung po raz pierwszy przyjrzał im się przytomnym wzrokiem. Wydały mu się dziwnie znajome, nie miał wątpliwości, że to on sam je zrobił. Wstał, by rozprostować ścierpięte nogi, zebrał rysunki i ułożył je w stos na stoliku. Musiał dokładnie obejrzeć każdy z nich i ułożyć je wedle jakiejś sensownej kolejności.

Uzyskawszy pozwolenie strażników, ruszył na spacer plażą. Schylił

się, nabrał piasku w złożone dłonie. Przesypując go przez palce, zasłuchał się w szmerzący plusk fal oceanu.

Wrócił do domu i nadal żył. Gdyby udało mu się zbudować ten statek i wyprowadzić go na morze, być może choć w części odzyskałby szacunek należny rodzinie. Starał się nie myśleć o matce. Nie była już młoda. W ciągu tych dziesięciu lat, które upłynęły od czasu, gdy ją opuścił, mogła umrzeć. Ale nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Każda taka próba musiała skończyć się ujawnieniem administracji szoguna, że wrócił do kraju. Zaczął drzeć, na czoło wystąpiły mu grube krople potu, po policzkach spłynęły łzy. Podniósł wzrok na błdy księżyc i powiedział na głos:

— Boże, jeśli po ukończeniu tego statku umrę, nie będę się skarżył, bo dane mi było wrócić do domu. Każdy dzień życia, który mi darujesz, poświęć cesarzowi i Japonii.

Munga i Ryochiego przeniesiono do domu Yoshidy, tuż obok stoczni; zabroniono im opuszczać miasto, ale nikt ich już nie pilnował. Za dnia pracowali na dworze, po zapadnięciu zmroku — przy świecach, w oddanej im części domu. Codziennie po wieczornym posiłku Yoshida uczył Munga holenderskiego. Mung już wkrótce zorientował się, że Yoshidzie brak podstaw gramatycznych, jemu z kolei nie sprawiało to żadnych kłopotów ze względu na znajomość łaciny i angielskiego. W ciągu kilku miesięcy Yoshida nauczył go mówić po holendersku, a Mung w zamian wyłożył mu zasady gramatyki i pisowni.

Realizację projektu zaczął od opisania mistrzom skutniczym i cieślom wielkości statku, który mieli zbudować. Na piasku plaży zaznaczył trzy długości: sześćdziesiąt stóp na bezanmaszt, osiemdziesiąt na fokmaszt i sto dwadzieścia na grotmaszt. Skala przedsięwzięcia wywarła na rzemieślnikach ogromne wrażenie. Pędzelkiem i tuszem Mung namalował im następnie rysunek statku. Kształt rufy i rozmieszczenia trzech masztów wywołały wyraźną konsternację.

Przez dłuższą chwilę wodzili wzrokiem od rysunku do znaków na piasku, aż wreszcie naczelny mistrz skutniczy, Yokumbora, powiedział:

— Od czasu Edyktu o Izolacji prawo zakazuje budowy statków z zamkniętą rufą i z więcej niż jednym masztem. Choć my sami nigdy lakich statków nie budowaliśmy, wiedzę o nich przekazywano w naszych rodzinach z pokolenia na pokolenie. — Wskazał ręką na rysunek Munga. — To nie może pływać. Nawet gdyby miało tylko jeden maszt i ten nowy rodzaj ozaglowania. To się będzie kręciło w kółko jak bąk.

— Tak się wam wydaje, bo cały czas myślicie o tradycyjnej płaskodennej dżonce. My natomiast zastosujemy zachodni wynalazek zwany stępką. Burtę będą zaokrąglone, o poszyciu na nakładkę.

Dał się słyszeć świst powietrza wciąganego przez zęby. Szkutnicy pochylili głowy i zastygli w milczeniu.

— Rozkazuj, a my wypełnimy wszystkie twoje polecenia — powiedziała Yokumbora.

— To za mało — odparł Mung. — Ja nigdy w życiu nie budowałem statku. To wy jesteście mistrzami w tej dziedzinie. Ja widziałem, jak się je buduje. Wiele lat na nich pływałem. Mam książki na ten temat. Ale bez waszego doświadczenia i rad nic nam z tego nie wyjdzie.

Szkutnicy i cieśle wyraźnie odprężyli się, poprzednie napięcie zniknęło. Stojący przed nimi młody człowiek z przejęciem i pełnym szacunkiem przyznawał, że budowa statków nie jest jego żywiołem.

I znów Yokumbora poruszył problem, który nurtował wszystkich jego kolegów:

— Z tą stępką i przy tych zaokrąglonych burtach studwudziestopopowy maszt przewróci się przy pierwszym podmuchu.

Mung chwycił pędzelek i w zapamiętaniu szkicował kilka minut tę samą serię rysunków, którą wykonał wiele lat temu, tę, na której przewrócona na plecy stonoga przemieniała się powoli w kadłub statku wielorybniczego. Szkutnicy szybko pojęli koncepcję wręg opartych na stępcie i burt przymocowanych do wręg, ale nadal byli przekonani, że jednostka o tak wysokich masztach i takiej liczbie żagli musi się natychmiast przewrócić.

— Chodźcie — powiedział Mung. Poprowadził ich przez wydmy na piaszczysty cypelek, gdzie wylądował z Ryochim i Yoshidą, i padł na czworaki. Kiedy zaczął jak szalony odgarniać rękami piasek, jego pracownicy ostatecznie uznali, że postradał zmysły. Dopóki spod piasku nie zaczęły się wyłaniać zarysy burt. Wtedy wszyscy przyłączyli się do kopania.

Pierwszy wypłynął z Mungiem Yokumbora. Ku zdumieniu wszystkich zgromadzonych na brzegu żaglówka nie wywróciła się do góry dnem. Słuchając poleceń Munga naczelną skutnicę poprowadził ją niemal prosto na wiatr. Rzemieślnicy nagrodzili to oklaskami, jak na komendę wszyscy naraz się uklonili, po czym omal nie zatopili łodzi tłocząc się w kolejce do przejażdżki. Ogarnęło ich gorączkowe podniecenie, oni, potomkowie niezliczonych pokoleń skutników, spojrzeli na Munga z nowym, nie skrywającym szacunkiem. Już wkrótce przygotowali całe mnóstwo szkiców, pomysłów na określenie położenia środka ożaglowania i zastosowania stępki jako zwornika konstrukcji statku.

Tydzień później Mung wyprawił się z Yokumborą kilka mil w głąb łądu do wiekowej puszczy. Przez pięć dni wybierali gigantyczne dęby na maszty i stępkę, niektóre tak stare jak sama Kagoshima. Po powrocie Mung sporządził kilka przekrojów ukończonego statku pokazujących trzy pokłady, kajuty, ładownie, luki i grodzie, które należało wbudować w kadłub. Rysownicy skopiowali te przekroje i rozdali wszystkim budowniczym statku.

Tematu do wielu rozmów i dowcipów dostarczyły toalety. Mung usłyszał przypadkiem, jak jeden z kowali spytał:

— I po co to komu? Wystarczy wystawić dupę za burtę i ulżyć sobie.

— To dla głupców, którzy nie wiedzą, że nie wolno lać pod wiatr — żartował ktoś inny. — Takiego głupca zamyka się w tym sralniku na resztę życia i karmi wyłącznie ziołami na przeczyszczenie.

Mung, który już dawno otrząsnął się z początkowego strachu przed niesprostaniem zadaniu, potrafił już bawić się tymi żartami. Pod jego kierunkiem budowa szybko się posuwała. Uplół na wzór kilka kawałków lin różnej grubości, od cumy po ćwierćcalową linkę harpunniczą, i dał je powroźnikom do kopiowania. Dzień i noc rozbrzmiewały uderzenia młotów płatnerzy i kowali, wykuwających setki żelaznych i mosiężnych obejm i gniazd, ostre jak brzytwa noże do cięcia wielorybich tusz i grotów harpunów. Wypalacze węgla naparowywali i moczyli wręgi i deski przycięte przez cieślów, aż stawały się odpowiednio elastyczne i podatne na wyginanie.

Japończycy, przyswoiwszy sobie koncepcję budowy zachodnich okrętów, pracowali szybko, zręcznie i z polotem. By nie używać gwoździ, suchy dok zbudowali z bambusa. Z bambusa wiązanego powrozami z uplecionych łodyg ryżu budowali rusztowania. Wykonane przez nich przedmioty idealnie odpowiadały rysunkom Munga, rusztowania były równie solidne jak te, które widział w Fairhaven.

Ponieważ przeciętny Japończyk jest niższy i drobniejszy od przeciętnego Amerykanina, Mung zmienił rozkład kubryku. Zmniejszył koje i przejścia, a w wygospodarowanym w ten sposób pomieszczeniu zaprojektował łaźnię, w której można by brać gorące kąpiele na morzu. Już wkrótce położono stępkę i umocowano pierwsze wręgi. Z dnia na dzień usprawniano organizację prac i ich podział, co w widoczny sposób przyspieszyło postęp robót. Cała Kagoshima włączyła się do budowy statku. W krótkim czasie jej mieszkańcy stworzyli zgrany zespół rozpoczynający pracę o świcie i kończący ją o zmroku, dzień w dzień, siedem dni w tygodniu.

Z rozkazu pana Nariakiry w dniu, w którym do Kagoshimy

przywieziono Munga, miasto zostało odcięte od świata. Nadchodzącą pocztę, zaopatrzenie i sprzęt odbierano w punkcie odległym wiele mil od miasta i dostarczano do Kagoshimy pod ścisłym nadzorem. Nikomu nie wolno było przybywać do miasta ani go opuszczać. Dlatego też minęły pełne trzy miesiące, nim wieści o tajemniczych pracach w Kagoshimie dotarły do pałacu szoguna, a następny miesiąc, nim samuraje z Satsumy schwytali w otaczających miasto górach dwóch jego szpiegów. Dla pana Nariakiry było to jeszcze jedną oznaką słabości i niezdecydowania władz. Niegdyś wyprawiono by traktem posłańca z cesarskim proporcem i oddziałem samurajów gotowych rozsiekać każdego, kto nie padłby na twarz. A teraz nasyłano szpiegów.

Kadłub statku był już niemal gotowy. W górach zostali schwytani kolejni szpiegowie. Gdyby się rozniosło, że pan na Satsumie wspiera budowę okrętu cudzoziemskiego typu, a przedsięwzięcie to mogłoby w dodatku okazać się niewypałem, to do tego, że przeciwstawił się szogunowi, straciłby jeszcze twarz. Za coś takiego czekałby go rozkaz popełnienia *seppuku*. Postanowił zatem złożyć wizytę w Kagoshimie. Liczył, że jego obecność zarówno przyspieszy, jak i zapewni szczęśliwe ukończenie prac.

Mung spał z jedną książką w ręku, druga leżała otwarta na macie obok niego. Poczul, że się kołysze i przyśniło mu się, że buja się w hamaku na pokładzie statku. Ktoś nim potrząsał. Sięgnął z zamkniętymi oczami po drugą książkę, położył je jedna na drugiej u wezglowia maty do spania i dopiero wtedy z postękiwaniem dzwignął się na nogi.

— Z każdym dniem mam coraz większe kłopoty ze wstawaniem — jęknął. — Czuję się, Ryochi, tak, jakby moje ciało już stało, ale dupa nadal leżała na podłodze. — Usłyszał wybuch śmiechu.

— Przestań się śmiać i podaj mi wodę. — Poczul na ramieniu dotknięcie pokrytej laką miski, obiema dłońmi chlusnął sobie wodą w twarz. Przecierając zaspane oczy ujrzał, że miskę trzyma mu Yoshida.

— Gdzie Ryochi? — spytał.

Yoshida sięgnął ręką, odwrócił go i powiedział:

— Pokłoń się panu na Satsumie, księciu Nariakirze, i uczonemu Sakumie Shozanowi.

Mung rzucił się na kolana i padł twarzą na ziemię.

— Wstań! — rozkazał Yoshida.

Mung ukląkł z powrotem, z nisko pochyloną głową, ze spuszczonego wzrokiem.

— Podnieś głowę! — usłyszał donośny, głęboki głos pana Nariakiry.

Pan na Satsumie ubrany był w jasnobrązowe kimono z wykwintnej tkaniny, z plisami jak ostrze noża. Za *obi* zatknięte miał dwa samurajskie miecze. Na wyłogach kimona widniał herb władców Satsumy — białe koło z czarnym środkiem przecięte na cztery ćwiartki. Pod brązowym kimonem nosił jakąś czarną szatę, a pod nią jeszcze jedną, białą, która wystawała tylko na cal, rysując literę „V” pod wydatną szczęką. Włosy miał ściągnięte mocno do tyłu w ciasny węzeł. Wpatrywał się w Munga bez mrugnięcia powieki.

Twarz młodego człowieka perliły kropelki wody, podkreślając silnie mięśnie zuchwy i głębokie bruzdy po obu stronach złamanego nosa. Był wysoki jak na Japończyka, chudy i żyłasty. Od czasu wylądowania na wyspie Riukiu Mung schudł dwadzieścia funtów.

— Czy ten statek utrzyma się na wodzie? — spytał pan Nariakira.

Mung tak osłupiał na to pytanie, że odpowiedział:

— No pewnie!

Yoshida wciągnął ze świstem powietrze przez zęby. Mung zaczął płatać się w przeprosinach, ale przerwało mu je następne pytanie:

— Kiedy?

— Zwodujemy go za dwa miesiące, a za trzy, w październiku, będzie gotowy do próbnego rejsu.

— Będiesz orał w ludzi, aż pot im pocieknie z rękawów, ale skrócisz czas do jednego miesiąca — powiedział pan Nariakira tym samym równym, głębokim głosem. — Yoshida otrzyma prawo rekwirowania wszystkiego, co wam będzie potrzebne, na terenie całego hanu* Satsumy. W tym także ludzi. Czy zdążysz?

— Problem nie w robotnikach — odparł Mung. — Mamy ich tu wystarczająco: duży, zgrany zespół. Potrzeba tysięcy pochodni, by wydłużyć dzień pracy o trzy godziny, pomocników do drobnych posług i sprzątanía domów. Więcej prostytutek. Ludzie tracą czas potrzebny na sen na wyczekiwanie w kolejce do kobiet. Gdyby udało się już teraz sprowadzić załogę statku, moglibyśmy natychmiast rozpocząć jej szkolenie.

Pan Nariakira skinął głową Yoshidzie, który powiedział:

— Zajmę się tym.

Sakuma Shozan stał obok swego pana, nieco z tyłu. Ubranie na nim wisiało, wydawało się zbyt ciężkie dla jego kruchego ciała. Skóra wokół łagodnych brązowych oczu była pomarszczona niczym cieniutki papier ryżowy, ale głos brzmiał zaskakująco donośnie jak na takiego starca.

* Księstwo feudalne.

— Czytałem w raportach Yoshidy i szkutmistrzów, że pośród wielu innych umiejętności posiadasz sztukę rachowania bez użycia liczydła. Czy to wyłącznie zasługa twojej niezwyklej pamięci?

— Nie, panie, nauczył mnie tego kapitan statku, który mnie uratował.

Sakuma Shozan przesunął końcem języka po cienkich, wyschniętych wargach i gestem kazał Mungowi podejść.

— Objaśnij mi, proszę, jak to się robi.

Kiedy Mung zademonstrował mu tę umiejętność, dokładnie w taki sam sposób, w jaki kapitan Whittefield zademonstrował ją jemu samemu, pomarszczoną twarz starego uczonego rozjaśnił uśmiech.

— Jeśli się zapamiętuje wielokrotnościami dziesięciu, można operować ogromnymi liczbami — powiedział Mung. — Na Zachodzie już dzieci w szkołach uczą się na pamięć tablic mnożenia. Matematyka służy w tym wypadku do wdrożenia dzieciom dyscypliny przyswajania wiedzy. W szkołach naucza się także wyższej matematyki, choć poza kilkoma wyspecjalizowanymi zawodami nie ma ona żadnego zastosowania. Nad wejściem do Szkoły Harvarda widnieje napis, że nikt, kto nie zna geometrii, nie może przestąpić jej progu, ale tylko niewielka garstka studentów ma z nią później do czynienia.

— Wyłożysz tę nową metodę grupie nauczycieli z Kagoshimy — powiedział pan Nariakira. — Oni z kolei nauczą jej wybranych studentów. — Odwrócił się na pięcie i opuścił dom. Sakuma Shozan i Yoshida pospieszyli za nim. Sprzed chaty dobiegły jakieś hałasy, tupot nóg, a potem zaległa cisza.

Yoshida wrócił roześmiany od ucha do ucha.

— Młotonosie, zdaliśmy egzamin. Za jednym zamachem wkupiłeś się w łaski *daimyo* Nariakiry i uczonego Sakumy Shozana. Czegóż więcej można chcieć od życia? — Wyjął z malowanej ląką szafeczki porcelanową butelkę sake i usiadł przy stoliku do pisania. — No, chodź tutaj.

Kiedy przepili do siebie, Yoshida powiedział:

— Musimy zmienić twój rozkład dnia. Doszło nam szkolenie załóg, a do tego jeszcze trzeba znaleźć czas na naukę matematyki.

— Wolałbym zacząć od grupy studentów. Chciałbym odzyskać wprawę, nim spotkam się z nauczycielami.

— Wszystko, czego sobie życzysz.

Lekcje holenderskiego przejął od Yoshidy inny uczeń Sakumy Shozana, znacznie biegłej władający tym językiem. Przysłano dwie pełne załogi statku, z dwoma kapitanami. Mung szkolił ich rano, po

swojej lekcji holenderskiego, i ponownie po południowej inspekcji stoczni.

Szkolenie odbywało się na brzegu. Marynarze zapoznawali się z budową i obsługą kotłów, do wytapiania oleju, uczyli się składać z elementów łodzi wielorybnicze i beczki, ćwiczyli się w rzucaniu harpunem. Wspinali się na wbite w ziemię maszty, stawiali żagle, nadawali sygnały, uczyli się obsługi wielokrzązków. Mung kazał przywiązać do masztów liny i targać nimi na boki, by wprawić długie drzewca w odpowiednie huśtanie. Marynarze mówili później, że łatwiej stawiać żagle na pełnym morzu niż na brzegu. Wyłączyli na zatokę, uczyli się operować żaglem, wiosłować, rzucać harpunem. Kiedy okresowe sztormy uniemożliwiały prowadzenie ćwiczeń na łodziach, Mung zaganiał obie załogi na wbite w ziemię maszty i trzymał je na szarpanych wichrem linach, dopóki sztorm nie minął.

Pewnego dnia podczas lekcji holenderskiego zawiadomiono go, że miejscowy wypatrywacz ryb zauważył stado pięciu wielorybów, pływających milę na południe od portu w Kagoshimie. Trzy osady ćwiczyły w zatoce, niczego nieświadome. Mung zawezwał natychmiast dowódcę grupy ćwiczącej na masztach i wspiał się z nim do bocianiego gniazda. Pokazał mu nieomylnie oznaki obecności wała grenlandzkiego i rozkazał postawić swoje załogi w stan pogotowia. Zleźli na dół i wskoczyli do łodzi. Podnieceni marynarze odbili od brzegu, postawili żagle i wyruszyli w swój pierwszy w życiu pościg za wielorybami. Pozostała część załogi i gapie na plaży pobiegli brzegiem do miejsca, skąd rozciągał się lepszy widok. Chwilę później dołączyli do nich zwabieni podnieconymi krzykami mieszkańcy miasta.

Po wypłynięciu na środek zatoki Mung kazał zadąć w konchę, dając tym sygnał ćwiczącym opodał łodziom. Ich osady zareagowały jak należy — bez chwili wahania postawiły żagle i przyłączyły się do pościgu.

Kiedy mijali piaszczysty cypel po prawej burcie, jeden z wielorybów wyrzucił w powietrze fontannę pary wodnej.

— Town-hooo! Prycha, prycha! — krzyknął po angielsku Mung, ale nikt go nie zrozumiał. Obejrzał się przez ramię, żałując, że nie ma przy sobie Pistchianiego i Bena.

Zbliżyli się szybko do stada, podchodząc doń, zgodnie ze wskazówkami Munga, szykiem odwróconego wachlarza. Kiedy byli już zupełnie blisko, stary byk strzelił ogonem i całe stado zeszło pod wodę. Mung rozkazał załogom rozproszyć się i atakować na własną rękę. Sam usiadł w rozkołysanej łodzi, czekając na rozwój wydarzeń. Minęło dwadzieścia minut.

Wtem wieloryby wyprysnęły na powierzchnię tuż za trzema łódkami

znajdującymi się najbliżej portu. Pościg nabrał impetu. Stado znów zeszło w dół, ale stary byk wyskoczył ponad wodę już pięć minut później. Trzy osady wyraźnie go doganiały. Harpunnik w pierwszej z nich dał się ponieść podnieceniu. Zbliżył się niebezpiecznie do wielkiego samca i chwilę później wodna kipiela za potężnym ogonem przelała się przez burty jego łodzi. Pozostałe dwie podchodziły wieloryba od boków. Ta od strony Munga omal nie staranowała byka, nim harpunnik cisnął harpunem i zatopił go po drzewce w jego cielsku. Stary samiec wystrzelił do przodu. Harpunnik zapomniał owinąć linkę wokół bloku na dziobie i w jednej chwili cały sznur z pierwszej beczki wyprysnął za burtę. Kapitan zerwał się od steru i skoczył na dziób. Jednym ruchem ręki odepchnął harpunnika z drogi, wyrzucając go za burtę, i w ostatniej chwili zdążył owinąć wokół bloku koniec linki z drugiej beczki. Łódź pomknęła do przodu, ale pozbawiona sternika zaczęła miotać się szerokim zygzakiem na obie strony. Nagle przekoziołkowała na bok, wyrzucając całą osadę do wody.

Wieloryb popędził jeszcze pięćset jardów, po czym zwolnił w pobliżu trzeciej załogi. Harpunnik trafił go pewnie; wieloryb zadrżał i zaczął się tarzać. Harpunnik podciągnął łódź do boku byka i wbił pikę obracając jej stalowe ostrze tak, jak go uczono. Głęboko pod pokładami tłuszczu samurajska stał natrafiła na tętnicę płucną i z otworu oddechowego na łbie wieloryba wytrysnęła w powietrze fontanna krwi.

Setki ludzi tłoczących się na plaży wydały radosny okrzyk. Byli świadkami zabicia pierwszego wieloryba, narodzin przemysłu, który z biegiem czasu miał się stać jednym z ważniejszych w całej Japonii. Ponieważ już na samym wstępie szkolenia Mung zażądał, by każdy marynarz zdał egzamin z pływania, nikt nie zginął. Kiedy holowano wieloryba do portu, wszystkich opanował znakomity nastrój.

Cała Kagoshima zbiegła się na plażę obserwować sprawianie tuszy i wytapianie oleju. Mung skorzystał z tej okazji, by od starszych rybaków nauczyć się dzielenia i pozyskiwania mięsa. Naszkicował kilka rodzajów wielokrążków, które mogły być w tym pomocne. Tego wieczora wszyscy mieszkańcy miasta i pracownicy stoczni ucztowali wspólnie przy ogniskach, pochłaniając tyle steków z wieloryba, ile kto tylko zdołał. Później do składów pana Nariakiry odstawiono sto osiemdziesiąt beczek oleju i dwie tony fiszbinów, przeznaczone do wysyłki na dwór w Satsumie. Była to niezwykle cenna lekcja dla obu kapitanów i załóg, a schwytanie pierwszego wieloryba uznano powszechnie za dobry omen.

Po miesiącu lekcji dla uczniów Mung gotów był do spotkania z ich nauczycielami. Inspektor szkolny zorganizował spotkanie z siedmioma wykładowcami ze szkoły leżącej najbliżej domu Munga. Kiedy już wszyscy weszli, przy drzwiach powstało jakieś zamieszanie. Mung podniósł wzrok i ujrzał, że nauczyciele zbili się w gromadkę pod ścianą. Zerknął szybko na drzwi. Stała w nich młoda kobieta w błyszczącym niebieskim kimonie z wielką różową kokardą na plecach, przepasanym *obi* ze złotego brokatu. Była wyższa od większości mężczyzn i bardzo szczupła. Głowę i biodra wysuwała leciutko do przodu, co nadawało jej sylwetce kształt smukłego „S” nakreślonego jednym pociągnięciem pędzla artysty. Gdy odwróciła się w jego stronę, ujrzał, że delikatną twarz i lekko uróżowane policzki obramiają kruczoczarne włosy, ściągnięte do tyłu w ciasny kok. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Kiedy drobiąc małymi stopkami w białych skarpetkach młoda kobieta podeszła i stanęła przed Mungiem, nauczyciele wciągnęli ze świstem powietrze przez zęby.

Skloniła się uprzejmie, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Nazywam się Saiyo Ishikawa, panie.

Jej głos wydał się Mungowi szmerem strumyka w skalnym ogródku. Wpatrywał się w nią z oszołomieniem.

Nie splonęła się, nie spuściła łagodnych oczu. Otworzyła je szerzej, aż zrobiły się niemal okrągłe, niebezpieczne, wabiące.

— Ja także wykładam, prowadzę szkołę dla dziewcząt. — Odwróciła się i skinęła głową. — A oto moje nauczycielki.

Dopiero w tej chwili Mung zauważył stojące za jej plecami dwie młode kobiety.

Przeniosła wzrok z powrotem na niego.

— My także chciałybyśmy poznać tę nową metodę nauczania matematyki. Prosimy, byś zezwolił nam wziąć udział w swoich wykładach.

Stojący za plecami przyjaciela Yoshida ze zgrozą ujrzał, że głowa Munga podskakuje gwałtownie w górę i dół i usłyszał padające jego ust:

— Oczywiście, oczywiście.

Nauczyciele pod ścianą zaczęli szemrać na tyle głośno, by można ich było usłyszeć:

— Co za tupet! Chcieć uczyć się razem z mężczyznami!

— Mung... — szepnęła Yoshida. — Mung! — powtórzył głośniejsze, aż wreszcie niemal krzyknął: — Mung!

Dopiero wtedy jego przyjaciel zdołał oderwać oczy od dziewczyny.

— Czy nie mówiłeś mi, że pan Nariakira życzy sobie, byś nauczył matematyki, tak jak to się robi w Ameryce? — spytał Yoshida.

— Tak, tak właśnie — wymamrotał Mung.

— A czyż nie jest prawdą, że w Ameryce dziewczęta i chłopcy uczą się razem, a wykładowcami są w większości kobiety? — Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do grupki pod ścianą i ostrym głosem, akcentując każdą sylabę, oświadczył: — To, by kobiety i mężczyźni uczyli się razem, pozostaje w zgodzie z wolą pana Nariakiry!

Nauczyciele zaczęli przestępować z nogi na nogę, popatrzyli po sobie, po czym zajęli miejsca przy stolikach do pisania.

Choćby nie wiem jak się starał, Mung nigdy później nie potrafił przypomnieć sobie swojej pierwszej lekcji. Z początku miał prowadzić wykłady dwa razy w tygodniu, ale tak bardzo nie mógł się doczekać, kiedy znów ujrzy pannę Ishikawa, że zwiększył ich liczbę do trzech. Nabrał nagle upodobania do spacerów po mieście, rzekomo dla zdrowia. Nie poczuł się po nich lepiej ani fizycznie, ani psychicznie, nigdy bowiem nie udało mu się jej spotkać. Stracił apetyt. Zamiast siadać do obiadu, wypuszczał się na miasto w nadziei, że ujrzy ją choćby z daleka. Słyszac śmiech dzieci dosłownie podskakiwał, licząc, że to może ona ze swoimi uczennicami.

W czasie tych spacerów często dokonywał porównań między Japonkami i Amerykankami. Japonki wdzięczniej się poruszają. Nigdy nie pozwalają sobie na ostre krzyki, tak częste w amerykańskich barach, na podwórzach i targowiskach. W porównaniu z delikatnością i łagodnością Saiyo zachodnie kobiety wydawały się wielkie, twarde i groźne. Nieustannie nachodziły go myśli o pieszczaniu jej, całowaniu, wzięciu w ramiona, co miało ten skutek, że znacznie częściej odwiedzał panie z Wierzbowego Świata obok stoczni. Wyładowywał się na ich ciałach z czymś w rodzaju mściwości. Przynosiło to ulgę napęczniałym łądzwiom, ale nie zbolałemu sercu.

Stał się tytanem pracy, orał w siebie i innych jeszcze bezwzględniej niż przedtem. I z każdym dniem ogarniało go coraz większe rozdrażnienie. Termin wodowania statku zbliżał się nieuchronnie, a wraz z nim perspektywa wyjazdu z Kagoshimy na długi próbny rejs.

Po zakończeniu ostatniej lekcji panna Ishikawa, która okazała się bystrą i pojętną studentką, pozostała w salce aż do wyjścia ostatniego nauczyciela. Yoshida siedział tam, gdzie zwykle, przy stoliku za plecami Munga. Widział, jak głowa przyjaciela obraca się za wiotką jak trzcina postacią, która drobiaz maleńkimi stopkami sunie powoli w stronę drzwi. Mung kątem oka zauważył, że zostawiła na biurku szkatułkę z przyborami do pisania i już miał za nią zawołać, ale w porę się zreflektował.

— Wołałeś mnie, panie"/ — spytała dziewczyna przystając w progu.

Mung potrząsnął przecząco głową, mając nadzieję, że panna Ishikawa nie przypomni sobie o pudełku. Ku jego uldze skłoniła się i wyszła. Usłyszał, jak nakłada drewniane chodaki i odchodzi. Odliczył do dziesięciu i odetchnął głęboko. Podszedł do stolika i delikatnie podniósł pudełko. „Kawał spryciarza z ciebie, Mung — zachichotał sam do siebie. — Teraz wreszcie będziesz mógł dowiedzieć się, gdzie mieszka.” Otworzył pudełko, musnął koniuszkami palców pędzelki i podniósł je do twarzy.

— Co ty tam wążasz? — spytał Yoshida.

Mung drgnął jak wyrwany ze snu. Pokazał mu w wyciągniętych rękach pudełko.

— Zapomniała go... Panna Ishikawa zapomniała...

— W porządku — przerwał mu Yoshida. — Oddam jej to.

Mung porywczym ruchem schował pudełko za plecy.

— Nie, nie, nie... Sam jej to oddam. Wiesz, gdzie ona mieszka?

— Mogę się dowiedzieć.

— A możesz to zrobić zaraz? Nie chciałbym, żeby musiała tu po nie wracać.

— To prawda, że jest dość inteligentna, ale także brzydka — mruknął Yoshida. — Za chuda i brzydka.

Mung wytrzeszczył na niego oczy z wyrazem absolutnego niedowierzania.

— Jak to... jak to... brzydka? Jak możesz uważać, że ona jest brzydka?!

Yoshida dostał ataku śmiechu. Próbował coś powiedzieć, ale zakrztusił się, łyzy pociekły mu po twarzy i trzymając się za brzuch osunął się na podłogę.

— A niech mnie! — wysapał w końcu. — Połowa dziewcząt w Kagoshimie tak chce zwrócić na siebie jego uwagę, że ściąga kimono na plecy, aż im prawie widać zadki, a on traci głowę dla jakiejś chudej przemądrzałej szczapy, która opina się kimonem tak szczelnie, że mało się nie udusi.

— Przystań się tarzać po podłodze, no, proszę cię! — zaczął go błagać Mung. — Wstawaj! Idź, dowiedz się, gdzie mieszka, nim tu wróci! — Chwył Yoshidę za kimono, podniósł go z podłogi i popchnął w stronę drzwi.

Kilka minut później Yoshida był już z powrotem z adresem i ostrzeżeniem: jej ojciec był jednym z tych rzadkich już uczonych samurajów starej daty.

Mung wypadł na ulicę długim, pewnym krokiem, który, nim dotarł

do domu rodu Ishikawa, zmienił się w niepewne dreptanie w miejscu. Dłuższą chwilę stał przed bramą, obserwując wędrujące po ścianach cienie osób znajdujących się wewnątrz. Ktoś zaczął wychodzić z domu obok. Szybko otworzył bramę, podszedł do frontowych drzwi i zawołał:

— Panie Ishikawa! — Cienie znieruchomiały, a potem jeden z nich przesunął się w stronę drzwi. Kiedy się rozsunęły, stanął w nich lekko przygarbiony, wysoki mężczyzna w podeszłym wieku.

— Słucham — powiedział. — Kto mnie woła i czego chce?

— Pańska córka zostawiła w szkole pędzelki — wydukał Mung.

Pan Ishikawa przyjrzał mu się uważniej.

— Nie znam cię. O którą z moich trzech córek ci chodzi?

— O pannę Saiyo.

— Ach, o najstarszą! Uczycie się razem?

— Nie... to znaczy tak! To znaczy... to ja ją uczę wieczorami.

Mung nie zauważył rozbawienia w oczach starca ani nie wychwycił go w jego głosie, kiedy ten spytał:

— A czegoś to uczysz moją córkę wieczorami?

— Matematyki. Zachodnich metod zapamiętywania.

— Wejdz, proszę, i napij się z nami herbaty — powiedział ojciec Saiyo. — Ręka ci musiała omdleć od ciężaru pudełka, a i nogom powinieneś dać wytchnienie. To spory kawałek drogi.

Za papierowych drzwi *shoji* prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia dobiegły stłumione odgłosy kroków, szepty i chichoty. Mung usiadł z panem Ishikawa, ale zupełnie nie wiedział, o czym miały z nim rozmawiać. Zaczął przyglądać się przepięknie uformowanemu *bonsai*, wysokości mniej więcej dwunastu cali. Miniaturowy klon rósł w miseczce o średnicy nie większej niż sześć cali i głębokości dwóch. Powyginany pień rozczłonkowywał się na kunsztownie przycięte konary i gałęzie, okryte delikatnymi czerwonymi liśćmi.

— Mamy go w rodzinie od stu dwudziestu lat — odezwał się pan Ishikawa.

— Dobrze jest podtrzymywać imię rodu, przekazując różne rzeczy z pokolenia na pokolenie.

— To prawda, aleja mam tylko córki. Na mnie mój ród wygaśnie.

Mung nie znalazł na to odpowiedzi. Drzwi rozsunęły się, weszła stara kobieta podać herbatę. Pan Ishikawa przedstawił służącą. Mung nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć ponad jej ramieniem na drzwi i nim się spostrzegł, uświadomił sobie, że pan Ishikawa wpatruje się w pudełko do pisania, a stara służąca w niego samego. Podał jej pudełko i wymamrotał jakieś nieskładne przeprosiny.

— Córka opowiadała mi o tej nowej metodzie rachowania — powiedział pan Ishikawa. — Czy uważasz, że jest ona lepsza?

Zerkając nieustannie w stronę drzwi, w nadziei, że lada chwila sianie w nich Saiyo, Mung odparł:

— Obie metody mają swoje zalety. Przy użyciu liczydła można szybciej wykonać skomplikowane obliczenia. Zachodni student rachuje na papierze i zawsze może sprawdzić wynik oraz znaleźć miejsce, w którym się pomylił.

Wdali się w rozmowę o amerykańskim systemie nauczania. Upłynęło sporo czasu, nim Mung uświadomił sobie, że się wyraźnie zasiedział i że nie zobaczy już Saiyo. Z zalem pożegnał się z panem Ishikawa.

Jego ludzie pracowali teraz piętnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Mung często sypiał na statku. Każdemu, kto się do niego /wracał, rzucał krzywe spojrzenie i opryskliwą odpowiedź. Znajdowano go najczęściej na mostku zapatrzzonego w stronę miasta, wyglądającego wiotkiej sylwetki panny Saiyo Ishikawy.

I wreszcie, pod koniec września 1851 roku, pierwszy w historii japoński statek wielorybniczy z prawdziwego zdarzenia był gotów do wodowania. Kapłani sinto i mnisi buddyjscy odprawili modły i złożyli ofiary. Na dany znak wybito kliny, „Shintó Maru” zsunął się po pochylni i zarył rufą głęboko w wodę. Mieszkańcy Kagoshimy i robotnicy ryknęli radośnie. Wielki statek wydzwignął się i zakolysał na wodzie, a marynarze w takielunku rozhuścili się na wszystkie strony. W tłumie stopniowo zapadła cisza.

W czasie ceremonii wodowania pana Nariakirę reprezentował S;ikuma Shozan. Stał z Mungiem na trybunie w towarzystwie miejscowych dygnitarzy, przyglądając się, jak „Shinto Maru” kolebie się gwałtownie na boki.

— Czy on się nie przewróci? — spytał z niepokojem.

— Nie, da radę znacznie większym falom niż te, które nim teraz kołyszą. Nasi robotnicy nie ustępują najlepszym na świecie.

— A zatem dzieło zakończone.

Tłum wydał powtórny ryk, jeszcze głośniejszy niż poprzedni. „Shinto Maru” chwycił równowagę i na jego grotmaszt wciągnięto herb Satsumy wymalowany na niemal dwudziestu jardach kwadratowych jedwabiu.

— Trzeba zrobić próby morskie, żeby sprawdzić, jak się go prowadzi — powiedział Mung. — Nie ma dwóch takich samych łodzi, nawet jeśli na podstawie tych samych planów budowali je ci sami ludzie. Każda jest nieco inna. Po kilku wstępnych sprawdzianach

popłyniemy na dłuższy rejs i dopiero wtedy zobaczymy, co naprawdę potrafi.

Mung był jedynym nieszczęśliwym człowiekiem w Kagoshimie. Zwodowanie „Shintó Maru” oznaczało, że od tej chwili na krok nie ruszy się z pokładu. Aż do ostatecznego zakończenia szkolenia nie mógł nikomu innemu powierzyć statku. Dostał rozkaz, by wyuczyć obie załogi naraz.

— Czy po powrocie — spytał odwracając się do Sakumy Shoza-na — będę mógł udać się do swojej rodzinnej wioski? Chciałbym się dowiedzieć, czy moja matka jeszcze żyje, i odwiedzić grób ojca.

Stary uczoney przygryzł wargi, w jego wzroku pojawiło się współczucie.

— Czytałem raport Yoshidy wysłany po waszym przybyciu do Kagoshimy. Wyprawiłem zaufanego człowieka do twojej rodzinnej wioski, Nakanohamy, ale do dziś nie otrzymałem od niego żadnej informacji. Może zginął z rąk banitów. Po całym cesarstwie grasują bandy bezpańskich roninów, którzy zmienili się w zwykłych opryszków. Wiedz, że gdybyś teraz wrócił do domu, czekałaby cię śmierć. Opuściłeś granice naszego kraju. Tylko w Satsumie jesteś bezpieczny.

Mung skinął apatycznie głową i zgiął się w ukłon. Naczelný skryba Satsumy opuścił podium.

Pierwsze zajęcia pokładowe obu załóg przeprowadzono w zatoce. Spisywały się znakomicie, ale Mung popadł w głębokie przygnębienie. Ze swej kajuty wychodził tylko na ćwiczenia, prawie się nie odzywał, a jeśli już, to tylko na temat statku, zadań lub komend. Marynarze tak szybko opanowali wszystkie komendy i rozkazy, że już wkrótce z posępną miną musiał wyprowadzić „Shintó Maru” z zatoki na próby na pełnym morzu. Moment, kiedy nowiutki statek przeciął dziobem pierwszą prawdziwą oceaniczną falę i wypłynął z zatoki w Kagoshimie na otwarty ocean, powinien być chwilą radości i triumfu, ale dla niego oznaczał tylko początek dalszej rozłąki z Saiyo Ishikawą. Choć wydawało się to niemożliwe, jego depresja uległa jeszcze pogłębieniu.

Kiedy rozkład dnia i podział czynności weszły wszystkim w nawyk, Mung zaszył się w swojej kajucie i przestał ją w ogóle opuszczać. „Shintó Maru” przepłynął prosto jak strzelił ponad sto mil morskich. Sternik otrzymał rozkaz omijania z dala wszystkich zauważonych z bocianiego gniazda statków. Codziennie trenowano stawianie i zwiżanie żagli, obsługę łodzi i wielokrążków. Wypatrzone dwa wieloryby, ale łodzie nie zdołały zbliżyć się do nich na odległość rzutu harpunem. Mung przestał wstawać z koi i odsyłał wszystkie posiłki prawie nie

tknięte. Kiedy wrócili w pobliże wyspy, rozkazał kontynuować ćwiczenia na morzu przed zatoką.

Starszy z kapitanów na własną odpowiedzialność wysłał łódź do miasta. Wróciła przywożąc Yoshida Torajiro. Po wejściu na pokład młody samuraj skierował się prosto do kambuza. Wyszedł stamtąd z miską parującej zupy rybnej z łuskaną pszenicą i zaniósł ją do kajuty Munga. Zastał przyjaciela leżącego na koi z wzrokiem wbitym w sufit. Mung próbował udawać, że go nie widzi, odwrócił się twarzą do ściany, ale Yoshida nie dał za wygraną. Kiedy pociągnął go za ramię, poczuł, że ciałem Munga wstrząsa niemy szloch.

— Och, Mung, Mung, Mung — powiedział cicho. — Przecież musisz wiedzieć, jak bardzo jesteś mi bliski. To, czego dokonałeś, wywarło na wszystkich ogromne wrażenie. Sakuma Shozan staje na głowie, żeby zdobyć jakieś wieści o twojej rodzinie. Nawet ojciec Saiyo, samuraj pierwszej rangi, nie przegnał cię ze swego domu. Dystans społeczny, jaki dzieli ciebie od Saiyo, jest znacznie większy niż odległość stąd do Kagoshimy, a mimo to zdaje mi się, że sam pan Nariakira dołoży starań, by pomóc ci go pokonać. — Przyciągnął Munga za ramiona, aż ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Surowym tonem powiedział: — Pamiętaj, że twój ojciec był samurajem! Może i pozbawiono go pozycji, ale w żyłach syna płynie krew ojca. Kto jak kto, ale ty musisz w to wierzyć. Gdyby było inaczej, nie ryzykowałbyś powrotu do Japonii. Skoro prawem krwi jesteś samurajem, to postępuj zgodnie z *bushido*! — Ciągnął Munga dalej za oba ramiona, a kiedy nogi przyjaciela zwisły z brzegu koi, krzyknął rozkazująco: — Wstawaj, wstawaj!

Mung oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

— Ja tylko chciałem wrócić do matki, uczcić grób mego ojca i wieść spokojny żywot w Nakanohamie.

Yoshida potrząsnął głową.

— Nie, mój drogi. Ty już nigdy nie mógłbyś wieść żywota prostego rybaka. Za dużo widziałeś i przeżyłeś, za dużo się nauczyłeś. Nie Aiznałbyś spokoju. Wystarczyłoby ci otworzyć usta, a natychmiast wystraszyłbyś ich swoją wiedzą. Odrzuciliby cię, znalazłbyś się poza nawiasem. Pamiętaj o przysłowiu: „Wystający gwóźdź korci, żeby go wbić”. To właśnie jest jeden z powodów, dla których pragniemy poznać naukę holenderską. Chcemy zrozumieć demokrację, by pewnego dnia... może, powtarzam: może... taki biedny chłopak jak ty mógł zostać przywódcą nowej Japonii. — Yoshida przeszedł się nerwowo od ściany do ściany, po czym chwycił miskę z zupą, wepchnął ją Mungowi w ręce i rozkazał: — Jedz! — Twarz mu nabiegła krwią

i ze złością warknął przez zęby raz jeszcze: — Masz to natychmiast zjeść!

Mung przysunął miskę do ust i posmakował gorącego płynu językiem. Po pierwszym łyku poczuł, jak w żołądku rozlewa mu się przyjemne ciepło. Podniósł głowę i usiadł prosto.

Yoshida wycelował w niego wskazujący palec.

— Czy ty myślisz, że ryzykowaliśmy ratując ci życie tylko dla bogactw lub podbudowania swego prestiżu? O nie! — Potrzęsnał energicznie głowę. — To już mamy. W naszym społeczeństwie wystarczy nam tylko żyć w zgodzie z odwiecznymi zasadami, by wciąż mieć więcej i więcej. — Ciął powietrze złożoną na płask dłonią jak klingą miecza. — Nam chodzi o władzę! A wiedza to władza! Mając władzę, możemy wprowadzić zmiany. — Dźgnął Munga palcem w pierś. — Żyjesz tylko dlatego, że tak dużo wiesz!

Mung trzymał w rękach pustą miskę, wpatrując się w Yoshidę, jakiego jeszcze nigdy nie widział.

— Jakie zmiany chcecie wprowadzić?

Yoshida odrzucił głowę w tył i przemierzając kajutę wielkimi krokami odparł:

— Pierwszą i najważniejszą będzie przywrócenie pełni władzy cesarzowi!

— Ale przecież cesarz ma władzę absolutną!

— To ci się tylko tak zdaje. Lud wielbi i czci cesarza, ale wykonuje rozkazy szoguna. I tak jest już od dwustu pięćdziesięciu lat.

— Czyż szogun nie słucha we wszystkim cesarza?

— Teoretycznie tak. Ale cesarze Japonii już dawno, dawno temu przekazali całą władzę szogunom, by uwolnić się od trosk codziennego życia państwa i móc folgować swoim fantazjom i zachciankom. Dziś sytuacja się odwróciła. To szogun jest zupełnie nieudolny i nie wykazuje żadnego zainteresowania sprawami państwa, a młody, tryskający energią cesarz Meiji pali się do odzyskania władzy nad japońskimi książętami feudalnymi. To starcie interesów nie jest niczym nowym. Twój ojciec padł właśnie ofiarą walki o władzę między cesarzem a szogunem. Jeden z naszych historyków dokopał się starych zapisków. *Daimyo* twojego ojca, zwolennik cesarza, zmarł poza granicami swego hanu. Szogun skorzystał z pradawnego prawa, zdegradował wszystkich jego samurajów do rangi roninów, przejął jego włości i nadał je jednemu ze swych popleczników.

— Czy to znaczy, że mój ojciec padł ofiarą polityki?

— Oczywiście. Polityka to najwyższa forma władzy.

— A jakie zmiany macie zamiar wprowadzić, kiedy już tę władzę zdobędziecie?

— Najpierw pod przywództwem cesarza zjednoczymy cały kraj w jeden naród i pozbędziemy się tej małej grupki udzielnych książątek zasiedziałych w swych feudalnych zamkach. Od północy po południe, na wszystkich wyspach wydamy walkę stagnacji i korupcji, które są wynikiem dwóch wieków izolacji i błędnego samozadowolenia. W czasie, kiedy budowałeś swój statek, w kraju wybuchły zamieszki z powodu braków ryżu. Coś takiego jeszcze nigdy w Japonii się nie zdarzyło. Musimy otworzyć kraj. To jedyny sposób ustabilizowania gospodarki. W latach urodzaju będziemy mogli sprzedawać ryż *innym krajom*, a gdy zagrozi nam głód, sami go stamtąd sprowadzimy. Rozwój nowych gałęzi przemysłu, takich jak wielorybnictwo, pozwoli podnieść poziom życia całego społeczeństwa! — Yoshida stanął przed Mungiem i wbił w niego rozpalone spojrzenie. Żyły wystąpiły mu na skroniach. — Musimy zgłębić zachodnią wiedzę, by móc powstrzymać barbarzyńców, kiedy nadejdą!

— Jakich barbarzyńców?

— Narody Zachodu!

— Skąd wiesz, że nadejdą?

Yoshida zamachał rękami.

— Czy nie opowiadałeś nam o tym, co Anglicy, Francuzi, Niemcy, Portugalczycy i tak dalej zrobili w Chinach? Holendrzy, Hiszpanie i Francuzi usadowili się na wyspach południowego Pacyfiku. Amerykanie, jak sam mówiłeś, po wygranej wojnie z Meksykiem uzyskali dostęp do północnego Pacyfiku, a teraz współzawodniczą z Anglią i Francją w zdobyciu wpływów na Hawajach. Wiemy także, że prawie całe Indie, Afryka, Egipt i mniejsze państwa Bliskiego Wschodu rządzone są przez europejską oligarchię, w której prym wiodą Anglia, Francja i Hiszpania. — Yoshida przykucnął na podłodze przed Mungiem. — Kiedy mówię „wiemy”, mam na myśli niewielką grupkę osób oddanych cesarzowi i opowiadających się za rozwojem nauki holenderskiej. Nawet ci, którzy nas popierają, nie mają pojęcia o naszym dążeniu do ustanowienia zachodniego systemu władzy i wprowadzenia reform społecznych. Mówiłeś nam, że w Ameryce prowadzenie interesów uważane jest za zaszczytny zawód. W Japonii handlarz to człowiek z dołów społecznych. Ale czy wiesz, że ponieważ rząd nie jest w stanie zapewnić naszym towarom zagranicznych rynków zbytu ani wprowadzić sprawnego systemu podatkowego, japońska arystokracja jest po uszy zadłużona właśnie u handlarzy? — Uderzył pięścią w ścianę kajuty. — Kraj przeżywa głęboki kryzys, najlepsze japońskie rody sprzedają arystokratyczne tytuły, aby zdobyć środki na spłatę długów. Morale podupada. Dzielnica Rozrywki w stolicy

szoguna, Edo, zajmuje większy obszar niż dzielnica urzędów państwowych. Rosjanie zapuszczają się z portów na Syberii na wybrzeża naszych północnych wysp. Anglicy i Francuzi próbowali otwarcie wpłynąć do portu w Edo. Dwa lata temu udało im się wdrzeć do portu w Nagasaki. A szogun siedzi z założonymi rękami! — Yoshida uderzył się pięścią w pierś. — Chcemy nauki holenderskiej i władzy nie tylko po to, żeby wprowadzić zmiany wewnątrz kraju. Musimy być gotowi do odparcia barbarzyńców, kiedy nadejdą! Jesteś z nami?

Mung wstał, przytrzymując się brzegu koi. Rozejrzał się powoli po kajucie, aż wreszcie jego wzrok spoczął na stojącym obok przyjacieliu.

— Chciałem pomóc Japonii. To był jeden z powodów, dla których wróciłem. Poznałem Amerykanów. To dobrzy, ciężko pracujący ludzie. Mamy mnóstwo rzeczy do obgadania. Ale najpierw muszę coś zjeść. Ta zupa rozbudziła we mnie apetyt.

ROZDZIAŁ 11

17 października 1851

W dzień święta ofiarowania pierwszych owoców w chramach i świątyniach sinto ulice Kagoshimy udekorowano girlandami jedliny. Przed każdym domem ustawiono łuki z sosnowych gałązek. Na węglaci wbijano bambusowe kije połączone linkami z suchej trawy, mające bronić dostępu złym duchom. Przed wejściami ustawiono tyle karłowatych drzewek i paproci, że cała Kagosliima zaczęła przypominać miasteczko z baśni o krasnoludkach.

Zdecydowano, że tegoroczne ofiary należy złożyć raczej nie w kaplicach nad brzegiem morza, lecz w tych położonych w górach, i tam właśnie starsi poprowadzili procesję rodziców, nauczycieli i dzieci. Pogoda dopisała, powolny spacer krętymi górskimi ścieżkami był dla wszystkich okazją, by nacieszyć się majestatycznym prastarym lasem, dzikim kwieciami i wspaniałymi widokami.

Pięćset mil na wschód od miasta, dnem Pacyfiku, tuż za wyspami Ogasawara-gunto, biegnie jeden z najgłębszych rowów podmorskich świata. O trzeciej trzydzieści rano tego samego dnia potężny wstrząs lektoniczny rozdarł skorupę ziemi w czeluściach rowu, trzydzieści cztery tysiące stóp pod powierzchnią morza. Wspinający się na stoki Kagoshimy ofiarnicy kilka razy poczuli pod stopami lekkie drżenie. Niektórzy w obawie przed osunięciem się zbrocza wrócili do domów, ale nie wpłynęło to na ogólny świąteczny nastrój. Ze śpiewami na ustach procesja ciągnęła dalej, zrywając po drodze naręcza kwiatów.

Na skutek wstrząsu do podmorskiego rowu osunęły się ogromne połacie oceanicznego dna, tworząc w tym miejscu nowe zagłębienie o rozmiarach liczących się już w geografii. Masy wód oceanu runęły w dół, by wypełnić to zagłębienie, i w ten sposób powstały trzy dwustopowe fale pływowe. Fale te rozbiegły się kręgiem z szybkością

sześciuset mil na godzinę, kierując się także w stronę wybrzeży Japonii. Sunąc w górę ścian rowu, na skutek swej masy, wagi oraz tarcia o dno, wytraciły nieco szybkość. Na głębokości dwóch tysięcy stóp pod powierzchnią morza pędziły już tylko pięćset mil na godzinę, ale za to powiększyły się do czterech stóp. Na głębokości tysiąca stóp zwolniły do czterystu mil na godzinę, ale urosły o następne dwie stopy. W miarę zbliżania się do powierzchni rosły także odstępy między nimi. Południowy kraniec morderczych fal przetoczył się przez niskie atole leżące między epicentrum trzęsienia ziemi a Kagosimą.

Saiyo Ishikawa dała spokój drobieniu malutkimi kroczkami, jak przystało na dobrze urodzoną damę, i długim krokiem pospieszyła na czoło procesji. Nie zwracając uwagi na spojrzenia mijanych dorosłych zwolniła dopiero wtedy, gdy zrównała się ze swym ojcem.

— Czy nie uważasz, że byłoby bezpieczniej wrócić z dziewczętami do miasta? — spytała. — Kilka osób już to zrobiło w obawie przed osunięciem się zbocza.

— Trzęsienia ziemi są w Japonii nieodłączną częścią życia — odparł jej ojciec. — Ponieważ jednak ich niszczycielskich działań nie da się przewidzieć, życie musi się toczyć utartą koleją. My też powinniśmy robić swoje.

Mung i Yoshida dyskutowali na mostku „Shinto Maru” o szansach wprowadzenia w Japonii reform społecznych i ekonomicznych. Kapitanowie obu załóg obserwowali przy relingu, jak ich łodzie ćwiczą się we właściwym reagowaniu na sygnały podawane z bocianiego gniazda. Stojący dwie mile od zatoki Kagosimą statek dowiódł swej zdatności do żeglugi. Kiedy klepki poszycia spęczniały w słonej wodzie, kadłub okazał się idealnie szczelny, wystawiając najwyższą ocenę japońskim szkutnikom. Pogoda dopisywała, słońce przygrzewało z bladobłękitnego nieba, widoczność była dobra, morze spokojne. Statek kołysał się łagodnie w podmuchach dziennej bryzy, gdy nagle powoli dźwignął się siedem stóp w górę i opadł z powrotem.

— A co to za jakaś dziwna fala... — mruknął Mung do Yoshidy.

Patrzył, jak na łodziach wyjmują wiosła z wody i dają się ponieść do przodu. Obaj kapitanowie podbiegli do dziobowego relingu mostka i szeroko otwartymi oczami spojrzeli w stronę Kagosimy i zbliżającej się do portu fali.

Starszy z nich poderwał głowę do bocianiego gniazda, złożył dłonie wokół ust i ryknął co sił w płucach:

— Tsunami!!! Tsunami!!! Wszystkie łodzie natychmiast wracać!

Działo sygnałowe huknęło w chwili, gdy pierwsza mordercza fala dopadła wybrzeża. Gnała wzdłuż podwodnych stoków wyspy Kiusiu

zagęszczając się i rosnąc. Przy szybkości stu mil na godzinę miała osiem stóp wysokości, przy osiemdziesięciu —jedenaście, przy siedemdziesięciu — piętnaście. Przetoczyła się przez niskie wysepki i rafy i runęła na brzeg na prawo i lewo od portu w Kagoshimie. Parła dalej w górę ukształtowanego jak klin dna zatoki, zwalniając do pięćdziesięciu mil na godzinę, potem do czterdziestu. Przy trzydziestu milach na godzinę miała już pięćdziesiąt stóp wysokości, tworząc przed sobą tak wielkie podciśnienie, że w porcie powstała niemal próżnia; wody portowego basenu odpłynęły z wściekłym sykiem, wessane przez gigantyczną falę. Ci, którzy zdecydowali się zawrócić z gór, pierwsi ujrzeli ścianę wody walącą się na ich miasto.

Mung wpił się palcami w reling patrząc z niedowierzaniem na to pogwałcenie jednego z podstawowych praw natury. Fala rosła i rosła bez końca. Wydawało się to zupełnie niemożliwe. Miasto zniknęło pod milionami ton wody. Najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do oderwania rąk od barierki. Postawiono już żagle.

— Ster prawo na burt! — krzyknął do sternika. — Złapiemy wiatr od brzegu.

Zaczął wydawać rozkazy obu kapitanom, gdy nagle przed oczami stanęła mu Saiyo. Skoczył do wyblinek, wspinał się jak szalony, by zobaczyć coś więcej, i wtedy dosięgnął ich wstrząs po zwałeniu się mas wody na ląd. Spienione fale porwały domy, świątynie, konie, drzewa i kamienie i poniosły je w głąb wyspy. Spojrzał w dół i zobaczył, że obaj kapitanowie stoją tam, gdzie ich zostawił. Nie wykonali jego rozkazów.

Puścił liny i z wyrazem wściekłości na twarzy zeskoczył na pokład z wysokości dziesięciu stóp.

— Czego stoicie?! — ryknął.

Starszy z kapitanów postąpił krok do przodu i skłonił się.

— Tsunami nigdy nie przychodzi jedna — powiedział. — Zawsze jest kilka następnych.

Mung wyrwał z pokrowca lunetę, przecesał wzrokiem morze, oderwał ją od oka i zgrzytnął zębami.

— Niczego takiego nie widzę! — warknął.

Yoshida podszedł bliżej i stanął między nimi.

— Nie wpływaj jeszcze do portu — powiedział. — Kapitan ma rację. Tsunami nigdy nie przychodzi jedna. Jeśli ten statek ulegnie zniszczeniu, w żaden sposób nie będziesz mógł pomóc Saiyo ani nikomu innemu.

Odpowiedział mu tak wściekłym spojrzeniem, że Yoshida spuścił wzrok. Mung odepchnął go na bok i warknął przez zęby na kapitanów:

— Ludzi do żagli!

Kapitanowie skłonili się, cofnęli o krok i wydali załogom odpowiednie rozkazy. Marynarze jak szaleni wdrapali się na maszty, szarpiąc węzły paznokciami i zębami w przewidywaniu, że następny rozkaz skieruje ich do portu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy mieszkańcy Kagoshimy stali się im bliscy jak rodzina.

Kiedy rozległ się huk działa wzywającego łodzie do natychmiastowego powrotu, Saiyo Ishikawa stała ze swymi nauczycielkami i uczennicami wysoko na stoku góry. Na odgłos wystrzału wszyscy obejrzeni się w stronę morza i w ten sposób na własne oczy zobaczyli, jak wielka fala miazdzy miasto. Od jej ciężaru i impetu, z jakim runęła na Kagoshimę, góra zatrzęsała się w posadach. Spieniona woda przetoczyła się przez miasto i popędziła w stronę góry. W niesamowitej ciszy, jaka nagle zapadła, skłębiła się w dole pod nimi, zakotłowała, zawirowała i odstaąpiła, porywając ze sobą na morze ich rodziny, domy i dobytek. Dzieci zanosły się płaczem, kobiety zaczęły zawodzić i rwać sobie włosy z głowy. Kilku mężczyzn puściło się biegiem w dół ścieżki.

Ojciec Saiyo znajdował się nieco niżej na zboczu, koło małej kapliczki, i także widział moment runięcia fali. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku na widok ścieranej z powierzchni ziemi Kagoshimy pospieszył do miejsca, gdzie krzyżowały się prawie wszystkie dróżki, by powstrzymać tych, którzy rwali się do miasta. Udało mu się to dopiero przy pomocy kilku młodych, silnych mężczyzn.

„Shintó Maru” ruszył z początku wolno, lecz jego żagle szybko chwyciły wiatr. Przy pustych ładowniach miał niewielkie zanurzenie. Mung stał z zaciśniętymi zębami przy przednim relingu mostka, głuchy na błagania Yoshidy, by nie zbliżyć się do brzegu. Rozkazał nadać powracającym łodziom sygnał, by płynęły ich śladem i próbowały ratować, kogo się da. Z szeroko otwartymi oczami, bez jednego mrugnięcia wypatrywał najlepszego miejsca do przejścia na lewy hals, którym bezpiecznie wprowadziłby statek do zatoki. „Shintó Maru” zaczął nabierać prędkości.

Resztki pierwszej fali nadal kłębiły się pośród ruin Kagoshimy, gdy z bocianiego gniazda dobiegło przeciągłe wołanie:

— Tsu... naaa... miii!!!

Mung poderwał głowę i ujrzał ramię majtka z bocianiego gniazda wskazujące w stronę otwartego morza. Druga fala ciągnęła śladem pierwszej, jak tamta zwalnając i rosnąc. Odległe o dwie mile łodzie uniosły się jak korki na dziesięciostopowej fali. Mung rzucił sternikowi rozkaz położenia steru na prawą burtę, by ustawić „Shintó Maru” dziobem do tsunami, i wystrzałem z działa nakazał łodziom zawrócić na ocean.

— Bogowie morza postradali zmysły! — krzyknął Yoshida, wskazując nadciągającą falę, mierzącą sobie już teraz dwadzieścia stóp.

„Shinto Maru” zareagował na ster i obrócił się dziobem do rosnącej fali sunąc jej naprzeciw z szybkością ośmiu węzłów.

Na twarzy Munga pojawił się cień ulgi. Odwrócił się do obu kapitanów, skłonił się i polecił:

— Wszyscy poza sternikiem do szotów!

Takielunek zaroił się od pełznących między wydęte żagle marynarzy. Mung zepchnął Yoshidę z mostka i kazał mu iść w ich ślady. Sam chwycił jakąś linę, owinął nią w pasie sternika, potem siebie samego i przywiązał ją do relingu za kołem sterowym. Ledwie zdążył zaciśnąć węzeł, gdy dosięgła ich druga fala — lita zielona ściana wody wysokości czterdziestu stóp, upstrzona płatami białej piany zdzieranej przez pęd powietrza z jej grzbietu. „Shinto Maru” robił już dziesięć węzłów silnym fordewindem, kiedy zaczął się wspinać pod tę górę wody. Chwilę później stanął niemal dęba. Ludzie w takielunku huścili się niczym kukielki na sznurkach. Mung i sternik chwycili się pod ręce, zapanowali o pokład i z całych sił uczepili steru. Statek utrzymał się na zboczu fali i pełził mozolnie w górę. Kiedy porwała go ze sobą i poniosła do tyłu, wydzwignął się na jej grzbiet. Dziesiątki ton wody przewaliły się przez pokład. „Shinto Maru” pognął w dół po przeciwnym zboczu fali i zarył potężnie dziobem w morze. Jeszcze raz masy wody zalały pokład aż po dolne żagle, ale statek zdołał zrzucić z siebie przygniatający ciężar, wydostał się na powierzchnię i zakołysał w kipieli wodnej za gigantyczną falą. Po kilku gwałtownych przechyłach woda ściekła z pokładów za burtę, uwolniony od jej balastu „Shinto Maru” otrząpał się szybszymi, mniejszymi przechyłami jak pies. chwycił wiatr w żagle i popłynął dalej na otwarte morze. Starszy z kapitanów wyplątał się z takielunku, podbiegł i chwycił koło sterowe. Impet ostatniego zderzenia odrzucił Munga i sternika aż pod reling. Yoshida pomógł im się pozbierać z pokładu mostka.

Resztki pierwszej fali unoszącej szczątki Kagoshimy połączyły się z drugą, wydzwignając ją na osiemdziesiąt stóp ponad powierzchnię morza. Druga fala tsunami wdarła się niemal pół mili w głąb lądu i roztrzaskała dopiero o niższe partie stoków góry. Mung oderwał wzrok od niewiarygodnej sceny rozgrywającej się na lądzie i potoczył spojrzeniem po morzu wypatrując następnej fali i modląc się do Buddy, Chrystusa i wszystkich sintoistycznych bogów przyrody, by mieli w swej opiece Saiyo.

— Tsu... naaa... miii!!! — rozległo się wołanie z bocianiego gniazda.

W stronę wyspy Kiusiu pędziła trzecia i największa w dziejach

Japonii fala. Mung zmierzył jej wysokość posługując się metodą stosowaną do mierzenia wysokości gór i później zanotował ją w dzienniku pokładowym. Ponieważ wypłynęli już znacznie dalej na otwarte morze, bez trudu stawili czoło dwudziestopięciostopowej fali. Powracające wody dwóch pierwszych fal zlały się z podstawą trzeciej, która u wejścia do zatoki zwolniła do dwudziestu pięciu mil na godzinę, i wszystkie razem utworzyły ścianę wysokości stu dziesięciu stóp. Mordercza fala wdarła się na trzy czwarte mili w głąb lądu i roztrzaskała na zboczu góry, sięgając aż do wysokości trzystu pięćdziesięciu stóp. Wiele partii zbocza zniknęło bez śladu. Inne *ogółoczone* zostały ze stuletniego lasu. Ogromne głązy stoczyły się do zatoki jak garść żwiru.

„Shintō Maru” i jego łodzie ciągnęły kursem na otwarte morze, dopóki starszy z kapitanów nie orzekł, że można wracać. Kiedy Mung wydał rozkaz wykonania zwrotu, statek znajdował się na pozycji, z której jednym długim halsem mógł wejść do portu. Dochodziła druga po południu, gdy Mung kazał dać sygnał wystrzałem z działa. Łodzie natychmiast wyprzedziły statek, by wśród unoszących się na wodzie szczątków szukać tych, którzy zdołali przeżyć. Do akcji ratowniczej włączyły się powracające z połowu łodzie rybackie, ale pędzący do portu pod pełnymi żaglami statek już wkrótce zostawił je daleko w tyle. Tego dnia w ciągu dwunastu minut zginęło na wyspie Iłliusiu dwadzieścia siedem tysięcy ludzi.

Mung zakotwiczył w porcie od dziobu i od rufy. Podzielił wszystkich swoich ludzi na małe grupy i każdej z nich wyznaczył teren do przeszukania. W całym mieście ocalało ledwie kilka śladów po zabudowaniach i nie znaleziono nikogo żywego. Na całym obszarze aż do zboczy góry nie natknięto się na żadne żywe stworzenie, zwierzę czy człowieka. Nawet ptaki opuściły Kagoshimę.

Przebiegając pole błota i szlamu, które jeszcze rankiem tego dnia było tętniącym życiem miastem, Mung usłyszał wołania swoich ludzi. Podniósł głowę i ujrzał, że wskazują rękami w stronę góry. W dół zbocza schodził wężyk ludzi. Utyłłany po uszy rzucił się biegiem za innymi na spotkanie ocalałym. Satsumscy wielorybnicy chwytały w objęcia dzieci z Kagoshimy, tulili je i pieścili, nie wstydząc się płynących im po policzkach łez. Powracający do miasta rybacy biegali wzdłuż kolumny schodzących wykrzykując na cały głos imiona swych najbliższych. Powietrze rozbrzmiało płaczem i zawodzeniem.

I wtem z oddali dobiegł jakiś rytmiczny dźwięk, niby podzwanianie maleńkich dzwoneczków. Przybrał na sile i wtedy dało się już rozróżnić co to takiego — głosiki dzieci śpiewających pieśń „Płaczącej Wierzby”,

prowadzonych przez Saiyo Ishikawę. Kiedy próbując zachować równowagę na pokrytej śliskim szlamem ścieżce schodziła powoli na czele swoich nauczycielek i dzieci do tego, co jeszcze niedawno było ich domem, jej wysoka, wiotka postać w zabłoconym kimonie miała w sobie coś majestatycznego. Mung poderwał się, by biec jej na powitanie, ale stanowczy chwyt czyjejs dłoni osadził go w miejscu. To był pan Ishikawa.

Starzec odwrócił Munga szorstko do siebie i powiedział:

— Obaj mamy wiele innych, ważniejszych spraw na głowie.

Mung spojrział mu prosto w oczy i nie wytrzymał:

— Ale ja muszę ją zobaczyć!

— Zobaczysz się z nią, kiedy będzie po wszystkim. Jesteś dowódcą największej zdyscyplinowanej grupy ludzi w całej okolicy. Musisz wziąć na siebie obowiązek zapewnienia żywności i dachu nad głową wszystkim, którzy przeżyli. Miasto musi zostać odbudowane. Moje córki są szesnastym pokoleniem urodzonych w Kagoshimie. Tu, w tym miejscu, złożę zaraz ślubowanie, że Kagoshima powstanie z ruin, by pod dachami swych domów wydać na świat siedemnaste. Czy zechcesz ślubować ze mną?

Saiyo podbiegła do ojca, rzuciła mu się na szyję, po czym zrobiła taki ruch, jakby chciała dotknąć Munga, lecz w ostatniej chwili cofnęła rękę.

— Córko — przywołał ją do porządku ojciec — twoje dzieci cię potrzebują.

Saiyo przeniosła tęskne spojrzenie z Munga na ojca i z powrotem na Munga, cofnęła się o krok, skłoniła ojcu i wróciła do uczennic. Mung nie mógł oderwać od niej wzroku. Czy to możliwe, żeby dostrzegł w jej oczach odbicie swej miłości?

— Czy spełnisz swój obowiązek? — natarczywie ponowił pytanie pan Ishikawa.

Mung otrząsnął się, spojrział na starego samuraja i potarł palcem garb na nosie.

— Każę przyholować „Shinto Marii” do brzegu i tam go zacumować. Niech starsi, kapłani i przywódcy cechów miejskich przyjdą do mnie na pokład. Urządzimy tam punkt dowodzenia akcją ratunkową i tymczasową siedzibę władz miasta.

Odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Uświadomiwszy sobie, że z pogrążonych w boleści i żałobie mężczyzn z Kagoshimy nie będzie miał większego pożytku, wysłał gońców po załogi posterunków strzegących wszystkich dróg do miasta. Yoshida wyprawił posłańca na dwór w Satsumie.

Podzielili się obowiązkami. Yoshida i obaj szkutmistrze mieli zająć się odbudową miasta; Mung i jego kapitanowie — zaopatrzeniem w żywność i odbudową portu.

Najpilniejszym i najbardziej nieprzyjemnym zadaniem było pochowanie zwłok sześćdziesięciu trzech osób, wydobytych z mułu lub wyłowionych z zatoki. W pogrzebie, który odbył się następnego ranka, wzięło udział całe miasto. Buddyjscy mnisi o gładko wygolonych, lśniących w słońcu głowach poprowadzili procesję niosących proste drewniane trumny do wspólnej mogiły, wykopanej na wzgórzu górującym nad miastem. Obok, na znak pamięci o wszystkich tych, których ciał nie odnaleziono, umieszczono na małym postumencie jeden jedyny kwiat róży, wyrzeźbiony w ciągu nocy przez pierwszego kamieniarza miasta.

Mung nie musiał poganiać swoich ludzi. Harowali w pocie czoła, aż padali bez sił. Obie załogi na zmianę pracowały w mieście i wyprawiały się łodziami na połów ryb, by zaopatrzyć miasto w żywność. Przeszli całą zatokę w poszukiwaniu wszelkich nadających się do wykorzystania szczątków i złożyli je na stertę w pobliżu „Shinló Maru”, w miejscu, gdzie Yoshida i jego szkutmistrze założyli punkt dowodzenia odbudową Kagoshimy.

Starsi próbowali narysować plan miasta, tak jak wyglądało ono przed kataklizmem, ale nie znajdując żadnych punktów odniesienia opuścili bezradnie ręce. Na wieść o tym Mung rozstawił na mostku sztalugi, przygotował arkusze ryżowego papieru i pałeczki węgla drzewnego i zaprosił pana Ishikawę oraz resztę starszych do pomocy. Stali, patrząc na pokrytą błotem równinę, pociętą strumykami ściekającej z powrotem do morza wody. Tu i tam spod warstwy szlamu przezierały resztki kamiennych fundamentów jakiejś świątyni lub kapliczki. Przyjmując je za punkty odniesienia Mung silnymi, pewnymi kreskami odtworzył dokładny widok Kagoshimy sprzed tsunami. Starsi zaniemówili z wrażenia i w kompletnym milczeniu, ze zdumieniem graniczącym z lękiem, patrzyli, jak z gąszczu kresek na ryżowym papierze wyłaniają się przed ich oczami kręte uliczki i szerokie aleje miasta, dokładnie takie, jak pamiętali.

Trzydziestego października szlakiem przez góry zeszła do miasta długa kolumna tragarzy z dworu w Satsumie. Każdy z nich był podwójnie objuczony. Żywność i odzież złożono w centrum odbudowy miasta. Na czele samuraj w pełnym rynsztunku niósł miniaturowy klon w przepięknej doniczce. Było to *bonsai* niespotykanej urody, od trzech stuleci własność rodu pana Nariakiry.

Towarzyszący kolumnie tragarzy Sakuma Shozan rozkazał zwołać

zgromadzenie mieszkańców w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się rynek miasta. Tam dokonał przekazania darów.

— Pan Nariakira pragnie — oświadczył — byście w tych dniach smutku i żałoby nie zapomnieli, że na tym świecie nieszczęść i dramatów istnieje jeszcze piękno i miłość. Nakazuje wam, byście dźwigając z ruin miasto i samych siebie nieustannie mieli to w pamięci. W tym celu przesyła wam swój rodzinny skarb, pielęgnowany własnoręcznie przez niego samego, a przed nim przez jego ojca i ojca jego ojca. Niechaj drzewko to będzie symbolem woli pana Nariakiry, by Kagoshima rozkwitła tak pięknie jak przedtem.

Mimo swego wieku i wyczerpującej podróży palankinem Sakuma Shozan zarządził zwołanie na pokładzie „Shinló Maru” zebrania komitetu do spraw odbudowy. Wysłuchał starszych, Yoshidy i Munga, po czym zaproponował, w jaki sposób wykorzystać tragarzy, których ze sobą przyprowadził, oraz rozdzielić żywność i odzież. Podkreślił z naciskiem, że wsparcia należy udzielać w taki sposób, by nie urazić niczyjej godności, po czym odesłał wszystkich poza Yoshidą i Mungiem.

— Dobrze się spisaliście — powiedział. A teraz spójrzcie tutaj. — Rozpostarł przed nimi mapę Kiusiu, zakreślił palcem rejon Kagoshimy i spojrzął na Yoshidę. — Zostałeś mianowany gubernatorem Kagoshimy. Twoim zadaniem będzie odbudowa miasta i otaczających go przysiółków. — Wyjął z rękawa zwój i podał go z uśmiechem Yoshidzie. — Ten dokument wynosi cię do rangi samuraja pierwszego stopnia oraz nadaje ci wszystkie związane z tym prawa, przywileje i dochody. — Yoshida zaczerwienił się i skłonił jak syn przed swym ukochanym ojcem. Twarz starego uczonego pojaśniała z zadowolenia. Ruchem ręki powstrzymał jego podziękowania. — Nauczanie ciebie było dla mnie prawdziwą radością — powiedział, po czym zwrócił wymizerowaną, pobrużdżoną twarz do Munga. Jest wiele rzeczy, o których chciałbym z tobą pomówić, ale nie ma na to czasu. Rozmawiałem z panem Nariakira o twojej przeszłości. Na razie twój powrót do Nakanohamy jest zupełnie niemożliwy. Niemożliwe jest także przywrócenie twemu ojcu należnej mu rangi, jego pan feudalny bowiem nie żyje. Nie żyje również cała rodzina pana, a jego dobra przeszły w ręce szoguna. Dlatego też, by móc wynieść cię do wyższej pozycji, uciekliśmy się do stworzenia prawnej fikcji. Nadaliśmy ci nową osobowość. — Z tego samego obszernego rękawa wyjął drugi zwój i wręczył go Mungowi. — Niniejszym zostajesz adoptowany przez ród Einosuke z nadaniem rangi młodszego samuraja. Wszystkie oficjalne pisma będą kierowane do ciebie jako do Moryiamy Einosuke.

Mung wziął zwój w dwie wyciągnięte ręce i nisko się skłonił.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że będzie ci wolno rozmawiać z samurajami wszystkich rang uczęszczającymi do Cesarskiej Szkoły Tłumaczy w Nagasaki, gdzie się właśnie udajesz. Będziesz tam uczył angielskiego, szlifował swój holenderski i przetłumaczysz kilka wybranych ksiąg z łaciny. Twój wyjazd jest sprawą nie cierpiącą zwłoki, a to z powodu pewnego cudzoziemca, którego przywieziono tam na przesłuchania. Człowiek ten urodził się w Ameryce, z ojca Anglika i matki Japonki. Tak przynajmniej twierdzi. Wszystko wydaje się dość zawikłane. Człowiek ten zna kilka słów japońskich, ale niewiele, a w Nagasaki nie ma nikogo, kto umiałby tłumaczyć z angielskiego. Nazywa się Harold MacDonald. Nim wyruszysz w podróż, udasz się w towarzystwie pewnego starego przyjaciela na dwór w Satsumie.

Sakuma Shozan wstał, dając tym do zrozumienia, że rozmowa skończona. Uśmiechnął się do Yoshidy i powiedział:

— Samuraju, zaprowadź mnie do mego pokoju. Jestem zmęczony.

Yoshida skłonił się, odprowadził starego skrybę do pobliskiej kajuty i natychmiast wrócił do Munga, który nadal stał w tym samym miejscu ze zwojem w rękach.

Yoshida zaczął skakać jak dziecko, chwycił Munga za ramiona i zatańczył z nim po kajucie.

— Jeszcze nic nie rozumiesz?! — zawołał. Opadł plecami na ścianę kajuty i zanosząc się ze śmiechu osunął się na podłogę. — Teraz wreszcie możesz ożenić się z tą tyką do fasoli, panną Saiyo Ishikawą!

Mung pochylił się nad nim z wyrazem niedowierzania na twarzy. Yoshida popukał palcem w zwój, który Mung nadal trzymał kurczowo w obu rękach.

— Od tej chwili nazywasz się Moryiama Einosuke, jesteś samurajem Satsumy. Dla mnie zawsze pozostaniesz Mungiem, ale ten tytuł pozwala ci ożenić się z córką samuraja Ishikawy.

Mung podskoczył w powietrze, rąbnął głową w sufit, zwałił się z łomotem na podłogę obok Yoshidy i wykrzyknął po angielsku:

— Town-hooo! Psiakrew! Town-hooo!

Yoshida złapał go w pasie i zaczęli się mocować. Mung próbował mu się wyrwać.

— Ożenię się z nią, ożenię! — sapał. Chciał wstać, ale Yoshida chwycił go jedną ręką w kostce, a drugą pchnął mocno w kolano. Mung runął jak długi na podłogę. Pozbierał się, usiadł i spojrzał z wyrzutem na przyjaciela.

— Dlaczegoś to zrobił? — spytał.

— Czy już zapomniłeś, jakie są zwyczaje? — Yoshida pokręcił głową. — Chyba za długo byłeś poza krajem. Potrzebujesz swata, a ja, jako samuraj pierwszego stopnia, mogę wystąpić w twoim imieniu.

Mung zerwał się na równe nogi i przebiegł kilka razy od ściany do ściany, po czym zatrzymał się przed Yoshidą.

— No to idź! Już, zaraz!

Yoshida oparł się o ścianę kajuty.

— Musisz pamiętać, że to trochę potrwa. A poza tym jej dom został całkowicie zniszczony.

— Ja właśnie chcę pomóc go odbudować.

— Zostałeś wezwany na dwór w Satsumie, a stamtąd masz jechać do Szkoły Tłumaczy w Nagasaki.

Mung potoczył wokół spojrzeniem zwierzęcia w klatce i mruknął coś pod nosem.

— Co tam mamrocześ?

— Mianują mnie samurajem, żebym mógł się z nim ożenić, po czym natychmiast mnie z nią rozłączają. Czy nie mogą mnie zostawić w spokoju?

Yoshida wstał z podłogi, spowaźniali głos mu stwardniał.

— Co to za bzdury z tym zostawianiem w spokoju? — spytał groźnie. — Pamiętaj, czego ojciec nauczył cię o *busido*. Żyjesz po to, żeby służyć cesarzowi i swemu panu! Zachowujesz się jak dziecko! Pakuj rzeczy! Czekają na ciebie przy trapie! — Kiedy Mung wychodził sztywnym krokiem z kajuty, zawołał za nim: — Pomówię w twoim imieniu z ojcem Saiyo!

Znalazłszy się w kajucie, Mung wypchał dwa małe worki żeglarskie książkami i zmianą ubrania. Starszy z kapitanów czekał już na niego na pokładzie, skłonił się i odprowadził go do trapu. Kilku marynarzy, którzy akurat kręcili się w pobliżu, pożegnało go pełnymi szacunku ukłonami. Odwzajemnił im się tym samym.

Kapitan wręczył mu misternie rzeźbiony kawałek kości, przedstawiający z jednej strony „Shintó Maru”, a z drugiej scenę polowania na wieloryba.

— To ze szczęki naszego pierwszego wieloryba. — powiedział. — Wyrzeźbiono go na głównię miecza, który masz/ teraz prawo nosić.

Mung wziął kość, skłonił się nisko i powiódł spojrzeniem po pokładach, masztach i takielunku, które sam projektował i sam pomagał zbudować. Zatrzymał wzrok na grupce wyszkolonych przez siebie marynarzy.

— Powodzenia w połowach! — zawołał, odwrócił się i szedł po trapie.

Na dole, przytrzymując za uzdy dwa konie, stał Ryochi Okuda. Roześmiał się na widok Munga.

— Hej, samuraju, umiesz jeździć konno? — spytał.

Mung odetchnął z ulgą.

— Wygląda na to, że znów kazali ci mieć na mnie oko. Mam nadzieję, że to zadanie nie okaże się zbyt nudne.

Ryochi roześmiał się ponownie i wskoczył na konia.

— Czego jak czego, ale nudy w twoim towarzystwie się nie zazna.

— Cieszę się, że cię znów widzę — powiedział Mung.

— Była już najwyższa pora, żebyś się wyrwał z domów gejsz — odparł Ryochi. — Zaczynałem się zadłużać u tych przeklętych handlarzy. — Dał znak biegaczowi, który miał ich poprzedzać i zawiadamiać o ich przejeździe trąbieniem w konchę. — Nim wyruszymy w drogę, muszę cię zabrać w pewne miejsce. To rozkaz Yoshidy.

Mung popędził konia piętami, aż zrównał się z wierzchowcem Ryochiego.

— Strasznie był wściekły? — spytał.

— Nie, a co?

Nie odpowiedział. W milczeniu rozglądał się dokoła. Odbudowano już kilka domów, ulice uprzątnięto z błota i szczątków dawnej Kagoshimy. Pośrodku rynku na rzeźbionym postumencie stał przepiękny miniaturowy klon. Na brzegu placu, w tłumie kobiet, dostrzegł Saiyo wydającą innym polecenia. Chwilę później kobiety rozdzieliły się na mniejsze grupki i rozeszły na wszystkie strony do pracy.

— Idź do niej — powiedział Ryochi. — Tu właśnie kazał mi cię przywieźć Yoshida.

Mung spojrział na Ryochiego i natychmiast zeskoczył z konia, dokładnie w tej samej chwili, gdy Saiyo odwróciła się i spostrzegła go. Usłyszał świst, z jakim wciągnęła powietrze. Skłoniła się nisko. Zrobił to samo. Stali pośrodku zniszczonego miasta, nie mogąc oderwać od siebie wzroku.

Jeden z koni trzymany przez Ryochiego zarżał cicho. Ten odgłos przywołał Munga do porządku.

— Panno Ishikawa — powiedział. — Dostałem właśnie ogromnego zaszczytu, otrzymałem rangę młodszego samuraja. Yoshida Torajiro pomówi z pani ojcem o naszym małżeństwie. Mam nadzieję, że nie będzie to pani przykre.

W braku wachlarza panna Ishikawa przesłoniła usta koniuszkami palców.

— Mam nadzieję, że Yoshida się z tym pospieszy.

— Co takiego? — wyrwało się Mungowi.

Saiyo odsunęła dłoń, ukazując uśmiechnięte usta.

— Córce nie przystoi sprzeciwiać się woli rodziców — odparła.

Mung wlepił w nią oczy i szeroki uśmiech rozciągnął jego usta od ucha do ucha. Policzki Saiyo pokrył silny rumieniec. Pochyliła leciutko głowę.

— Wezwano mnie do Satsumy, a potem mam jechać do Nagasaki, ale... — powiedział Mung, lecz w tym samym momencie od koni dobiegło wołanie Ryochiego:

— Pora jechać!

Mung i Saiyo skłonili się sobie nawzajem. Mung wrócił tyłem do swego konia, skłonił się ponownie i spojrział z miłością na swą przyszłą żonę.

— Wróć! — zawołał. Wskoczył na siodło i pogalopował ścieżką, krzycząc na całe gardło: — Town-hooo! Town-hooo!

ROZDZIAŁ 12

Na trakcie cesarskim do Satsumy Mung i Ryochi spali i posilali się w rządowych zajazdach; wystarczyło pokazać odpowiednie listy i podpisać rachunki. Karmienie i oporządzanie koni traktowano jako rzecz oczywistą. Na tej jednej drodze Mung zobaczył więcej ludzi, niż widział w całej Ameryce — kupców, chłopów, kapłanów, mnichów, samurajów, żebraków, jasnowidzów, pielgrzymów i całe grupy udających się na wypoczynek, którzy pod proporcami z nazwami swoich rodzinnych miast podróżowali do znanych kurortów.

Na rogatkach Satsumy po raz ostatni zmieniono im słomiane łapcie na kopyta koni i przydzielono biegacza, by poprzedzał ich dmąc w konchę. Chłopi skończyli już robotę na polach. Trakt do feudalnego zamczyska opustoszał.

Nieco dalej natknęli się na stojącą przy drodze figurkę buddyjskiego świętego Izo, opiekuna ciężarnych kobiet, dzieci i podróżnych. Zsiedli z koni i podeszli z pochylonymi głowami. Złożyli dłonie na wysokości twarzy, każdy zmówił po cichu własną modlitwę. Ryochi, który otrzymał zadanie ochraniać Munga, prosił świętego, by nowo mianowany młodszy samuraj nie dał się wciągnąć w żadną z intryg snutych na dworze w Satsumie. Mung spojrzał na kamiennego grubasa siedzącego w kielichu kwiatu lotosu i pomyślał: „Mam nadzieję, że niedługo znów cię zobaczę, staruszk. Kiedy będę stąd wyjeżdżał, żeby się ożenić!” Obaj cofnęli się o krok i klasnęli raz w dłonie, by posłać swe modlitwy do adresata.

Wsiadli z powrotem na konie i ruszyli w stronę długich, niskich murów opasujących zamek w Satsumie i ciemnej czeluści głównej bramy. Ryochi pokazał dowódcy straży swoje listy i rozkazy. Natychmiast odprowadzono konie, a chwilę później zawezwany przewodnik

poprowadził ich do przydzielonej kwatery. Po drodze mijali domy, sklepy i budynki urzędów, wszystkie wewnątrz murów otaczających teren o powierzchni półtorej mili kwadratowej. Na targach warzywnym i rybnym kłębiły się tłumy ludzi.

Ostatnie promienie słońca rzucały czerwonawe błyski na biało-złote dachówki zamku pana Nariakiry, zbudowanego na kształt ogromnej siedmiopiętrowej pagody. Siedziba księcia górowała nad wszystkimi budynkami, świątyniami i kaplicami prowincji Satsuma. Przewodnik poprowadził ich w prawo, ku murom fortecy, z dala od tłumów. Wszedł na ganek domu przyklejonego do wewnętrznej strony murów i odsunął *shoji* dwóch osobnych pokoi. W każdym z nich na matach do spania leżał komplet strojów stosownych dla młodszych samurajów, z wykaligrafowanymi znakami Satsumy. Ryochi i Mung zostawili sakwy podróżne i udali się do łaźni.

Po powrocie zastali w swych pokojach piękne młode kobiety krzątające się przy *hibachi*, gotowe podawać obiad. Ryochi polecił im rozsunąć ścianę oddzielającą pokoje, tak by mogli zjeść posiłek wspólnie. Mung zauważył, że ktoś ruszał jego sakwy i zawiązał je na inny węzeł, ale nic nie powiedział. Usiadł naprzeciw Ryochiego i rzucił się na jedzenie jak zgłodniały wilk. Po skończeniu obiadu kobiety uprzątnęły ze stolików, zasunęły z powrotem *shoji*, rozebrały się i wsunęły pod puchowe kołdry.

— Nigdy nie pojmem, dlaczego Amerykanie tak pogardzają prostytutkami! — zawołał ze swej strony przepierzenia Ryochi.

— Powiem ci, że ja też tego nigdy nie mogłem zrozumieć — odkrzyknął Mung.

— No cóż, jak ktoś najbardziej lubi czytać w toalecie, to i inne koncepcje na życie może mieć dość dziwne!

Mung poczuł obok siebie dziewczęcą miękkość. Sięgnął obiema rękami, przesunął dłońmi po rozgrzanym gładkim ciele. Szybko był gotów do uprawiania miłości, a jej mistrzostwo w tej dziedzinie dostarczyło mu ogromnej przyjemności. Wyobrażał sobie, że to Saiyo, ale w głębi duszy wiedział, że już nikt i nigdy mu jej nie zastąpi.

Rozgrzane ciało za jego plecami zakołysało się w przód i w tył. Próbował otworzyć oczy i obrócić się, by wziąć ją w ramiona, ale łagodnie odsunęła jego ręce.

— Pora wstawać — szepnęła.

Mung przetarł zaspane oczy. Za papierowymi drzwiami do pokoju Ryochiego paliło się niktę światełko.

— Jeszcze nawet nie świta — powiedział.

Kiedy zapalała mały kaganek, po jej gładkim brzuchu i pofkkich biodrach zaczęły pełgać lubieżne cienie. Wstał i ponownie wyciągnął do niej ręce, ale dziewczyna raz jeszcze powtórzyła:

— Musisz już iść.

Mung nałożył kimono, które mu podała, i zajrzał jej w oczy.

— Jesteś bardzo piękna.

Dziewczyna cofnęła się, odsunęła drzwi na dwór i skłoniła się nisko.

— Dziękuję — odparła łagodnym szeptem.

Przed domem Mung i Ryochi założyli buty. Z mroku wyłonił się buddyjski mnich z wygoloną głową i gestem nakazał im iść za sobą. W panujących ciemnościach prowadził ich tylko szelest jego szaty. Dotarli do podnóża kamiennych schodów, a kiedy się na nie wspięli, polecono im zdjąć buty. Znow ruszyli, kierowani szelestem szaty, wyczuwając pod odzianymi tylko w skarpety stopami gładkie kamienne płyty. Małe oliwne kaganki umieszczone w niszach w ścianie dawały ledwie tyle światła, by mogli się zorientować, że są w świątyni. Chwilę później przewodnik rozdzielił ich, zostawiając Munga samego w jakiejś sali i nakazując mu oddać się medytacjom.

Próbując przebić wzrokiem ciemność Mung opadł powoli na podłogę i usiadł w pozycji kwiatu lotosu. Przywołał z pamięci nauki ojca, wyprostował plecy, uniośł głowę, wysunął ręce do przodu, oparł kciuki i palce wskazujące na kolanach i odprężył całe ciało. Oczyścił umysł ze wszystkich myśli, aż w głowie pozostała mu tylko ciemna pustka. Powoli na czole rozbłysło mu małe światełko, trzecie oko, skierowane do wewnątrz, obserwujące procesję myśli. Oko zaczęło się rozrastać, rośło i rośło, aż jego blask zmienił się w gardziel wygasłego wulkanu, którą poszybował w górę, ku jasności. Wydostał się z krateru wulkanu pod cudowny błękit nieba, pomknął nad urwiskami szczytu, w dół zboczy i nad rozległe równiny otoczone w oddali łańcuchem gór. W dole pod sobą widział mrowie ludzi i szeregi samurajów. Sfrunął niżej, by lepiej im się przyjrzeć, ale na jego widok wszyscy rozpierzchli się w popłochu. Rozejrzał się za Saiyo. Nigdzie jej nie było. Zawrócił w górę w stronę słońca, lecz jego jasność poraziła mu oczy. Przestraszył się, że oślepnie.

Zamrugał powiekami. Na siatkówkę jego oczu padły pierwsze promienie słońca. Ujrzał skąpany w czerwonym blasku szczyt dachu biegnącego wokół dużego, zamkniętego dziedzińca. Zorientował się natychmiast, że nisza, w której się znajduje, jest tylko jedną z bardzo wielu takich samych. Wszystkie były zajęte, wszystkie wychodziły na niezwykle piękny ogród z piasku. Na pofałdowanej powierzchni

rozmiszczono przemyślnie siedem wielkich głazów, uzyskując efekt falującego morza. Po przeciwnej stronie prostokątnego podwórca siedział pan Nariakira ze swymi dwoma synami po bokach.

Rozległo się jedno uderzenie w dzwon. Pan Nariakira wstał, a wtedy wszyscy skłonili się do ziemi i zastygli w tej pozie, dopóki książę nie odszedł. Mung poczuł dotknięcie dłoni na ramieniu, podniósł się i ruszył za mnichem ku tylnemu murowi zamku. Mijali chłopów wychodzących na pola, kobiety doglądające ognisk, kupców i handlarzy sprzątających przed swymi sklepami i straganami, dzieci recytujące rodzicom lekcje przed pójściem do szkoły. Dobięgl ich huk młota kującego metal. Przybrał na sile. Zbliżyli się do grupy samurajów tłoczących się wokół warsztatu płatnerza.

— Nie kłaniaj się, dopóki książę pracuje — szepnął mnich i podprowadził go na skraj grupy otaczającej kołem otwarte palenisko z rozżarzonymi do białości węglami. Przy palenisku stał książę Nariakira ze swymi synami, wszyscy trzej ubrani byli w zgrzebne białe stroje robocze. Pan na Satsumie wyciągnął z ognia miecz na w pół ukończony, z kulą stopionej stali żarzącą się na końcu klingi. Przeniósł rozpaloną stal na kowadło. Trzymając miecz przez mokre szmaty, uderzył w klingę krótkim młotem. Stojący naprzeciw niego jego dwaj synowie spuścili na nią natychmiast swoje młoty, jeden po drugim, idealnie zgrani, aż snopy iskier upstrzyły ich białe stroje czarnymi dziurkami. Kulki szybko, raz za razem, dopóki rozpalona bryła stali na końcu ostrza nie zaczęła blednąć. Pan Nariakira wsunął ją z powrotem w ogień, a jego synowie powrócili do obsługiwania ciężkich skórzanych miechów.

Ponad świstem powietrza uchodzącego z dzioba miechów rozległ się głos księcia. Używając nowego imienia Munga spytał:

— Moryiamo Einosuke, czy Kagoshima powróci do życia po tsunami?

Mung spuścił głowę i odparł:

— Tak, panie mój. Jej mieszkańcy pogrążeni są w żałobie, ale nie szcędzą trudu przy odbudowie miasta. Żywności mają dość; nikt nie chodzi głodny. Twój dar, panie, miniaturowy klon, stoi pośrodku rynku i dodaje otuchy każdemu, kto nań spojrzy.

Pan Nariakira wyjął miecz z ognia, przyjrzał mu się i włożył go w powrotem.

— Wykuwanie mieczy to wspaniała sztuka — powiedział. — Po medytacjach pracuję z synami w kuźni, by stopić w jedno nasze oczyszczone dusze i oświecone umysły ze stalą japońskiej ziemi. Miecz to szlachetna broń. Czy Amerykanie doceniłoby go w bitwie?

— Amerykanie doceniłoby jego piękno i mistrzostwo wykona-

nia — odparł Mung. — Nosiliby go przy mundurze jako oznakę rangi, ale w bitwie użyliby karabinów. Są znacznie bardziej skuteczne.

Świst miechów ucichł jak nożem uciął. Zapadła grobowa cisza, którą zmaćli dopiero odległy płacz dziecka.

Pan Nariakira wyjął z ognia rozpalone do czerwoności ostrze. Przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział:

— Ten płacz dziecka to sygnał nowego życia. Miast go zdusić, wolę uchwycić jego wyjątkowość w tej klindze. — Z rozmachem spuścił w dół swój młot.

Ostre szarpnięcie za ramię wyrwało Munga z grupy samurajów, buddyjski mnich pociągnął go spieszenie za sobą. Przeszli szybko wąskim zaułkiem, potem skręcili kilka razy, aż znaleźli się na szerszej ulicy. Mnich odsunął *shoji* w jednym z domów, wepchnął Munga do środka i natychmiast zatrzasnął drzwi z powrotem. Dopiero wtedy zdjęli buty i wzięli je do ręki. Dom wydawał się zupełnie pusty. Mung ledwie nadązał za mnichem sunącym szybko przez kolejne pokoje, podwórzec i do następnego domu. Tu także kapłan znał każdy kąt i korytarz. Nie zatrzymał się ani razu, dopóki nie znaleźli się przed zasłoną z pędów bambusa. Ruchem ręki przywołał Munga bliżej. Wyjrżeli przez szpary w zasłonie na szeroką ulicę. Skinieniem wygolonej głowy mnich kazał Mungowi spojrzeć w jej odległy koniec. Ludzie pierzchali na wszystkie strony i chowali się po domach. Ci, którzy nie zdołali w porę dostrzec trzech samurajów, gięli się w ukłonie do ziemi. Samurajowie kroczyli ulicą ramię w ramię, z groźnym grymasem na twarzach, z dłońmi na głowniach mieczów.

Ze sklepu przy ulicy wyszedł jakiś kupiec w kosztownej sukni z brokatu. Zauważył, że wszyscy się chowają, ale nie cofnął się do środka. Kiedy samurajowie podeszli, schylił się w ukłonie. „Za ma-
ło — przemknęło przez myśl Mungowi — i za szybko się wyprostował.” Najbliższy samuraj okręcił się na pięcie, długi miecz błysnął w powietrzu i na oczach Munga głowa kupca stoczyła się na ulicę. Bezgłowe ciało zrobiło krok do przodu, zachwiało się i runęło w kałużę krwi tryskającej z kikuta szyi.

Mung odwrócił się do swego przewodnika, który błyskawicznie zatkał mu usta ręką.

— Oni szukają ciebie — szeptał.

Mung patrzył w ślad za odchodzącymi samurajami, aż zniknęli mu z oczu. Zdjął z ust rękę mnicha i spytał:

— Dlaczego? Dlaczego mnie szukają?

— Musisz się jeszcze mnóstwo nauczyć — odparł mnich potrząsając głową. — Ta uwaga, że Amerykanie przedkładają karabiny

nad miecze, omal nie kosztowała cię życia. Gdyby pan Nariakira nie zareagował przypowieścią o płaczu dziecka i mieczu, twoja głowa potoczyłaby się dokładnie tak, jak głowa tego kupca.

— Dlaczego go zabili?

— Po pierwsze dlatego, że kupiec stoi tak nisko w hierarchii społecznej, że niżej już nie można — wyjaśnił mnich tonem dorosłego, który cierpliwie poucza zapóźnione w rozwoju dziecko. — Jego zabicie nie pociąga za sobą praktycznie żadnych konsekwencji. Po drugie, nie uklonił się jak należy. Po trzecie, ten samuraj albo któryś z jego przyjaciół był pewnie mocno u niego zadłużony. A teraz już nie jest. To najprostszy sposób skreślenia swego długu. Czyżbyś zapomniał, że samurajowie mają nieograniczone prawo karania śmiercią pospółstwa? — Cofnął się o krok. — Teraz i ty je masz.

— Czy nikt nie jest bezpieczny? — spytał Mung.

— Ależ oczywiście, trzeba tylko wiedzieć, kiedy, jak i z kim rozmawiać. Po to właśnie sprowadziłem cię do tego domu. Mówiono nam, że masz niewiarygodną pamięć. Będzie ci teraz potrzebna. W ciągu trzech dni musisz przyswoić sobie całą dworską etykietę i nauczyć się, jak powinien się zachowywać samuraj. Jeśli chcesz zachować życie, by służyć swemu panu i cesarzowi, nigdy więcej nic możesz sobie pozwolić na taki błąd, jaki uczyniłeś dziś rano.

Niedługo potem zjawił się Ryochi w towarzystwie pięciu zbrojnych.

— Przez cały czas twego pobytu w tym domu ci samurajowie nie odstąpią cię ani na krok — powiedział. — Będą spali w ubraniach, z rękami na głowniach mieczów. To są wojownicy, a nie malowani dworacy. Z nimi będziesz bezpieczny.

— Czy to ma znaczyć, że nadal na mnie polują?

— Nie, polowanie praktycznie zakończone, ale szogun ma swych szpiegów dosłownie wszędzie, nawet na zamku w Satsumie. Jego generałowie już wiedzą, że zbudowałeś „Shintó Maru” i że wyniesiono cię do godności młodszego samuraja. Na kimonie nosisz herb Satsumy, a pan Nariakira jest stronnikiem cesarza Meiji. Dlatego zostałeś naznaczony. Ludzie szoguna wiedzą już także, że jedziesz do Szkoły Tłumaczy.

Ryochi zaprowadził Munga na spotkanie z pierwszym instruktorem z ciągu, który zdawał się nie mieć końca. Przez trzy dni pozwolono mu spać w sumie osiem godzin. Rankiem czwartego polecono wziąć kąpiel, podano czyste odzienie, po czym Ryochi wyprowadził go z domu. Pięciu samurajów „przybocznej straży” Munga natychmiast otoczyło ich zwartym kołem i szybkim krokiem odprowadziło do zamku o siedmiu spiętrzonych dachach. Tam przejął go z ich rąk

zamkowy przewodnik i już samego powiódł do maleńkiej komnaty, gdzie usadził go twarzą do *shoji*. Przewodnik wyszedł, niewidzialne ręce rozsunęły ścianę. Pan Nariakira siedział w kamiennym bezruchu, sztywno wyprostowany, z wysoko uniesioną głową i bez mrugnięcia powieki wpatrywał się w Munga. Mung rzucił się przed siebie i przypadł twarzą do ziemi w hołdowniczym pokłonie.

— Siadaj! — rozkazał pan Nariakira. — Raport, który złożyłeś Yoshidzie o amerykańskiej ekspansji na zachodnie wybrzeże kontynentu, o wojnie z Meksykiem, drodze lądowej przez Przesmyk Panamski, rozwoju wydarzeń na Hawajach i wojnach opiumowych w Chinach, zdradza inteligencję i zdolności analityczne.

Mung drgnął, zaskoczony obcesowością tego stwierdzenia i twarzą, szybkim rytmem mowy pana Nariakiry. Zachował milczenie, siedział ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

— Ludzie mówią zwykle to, co według nich pragnę usłyszeć — ciągnął pan Nariakira. — Ty masz zawsze mówić mi prawdę.

Trzymając ręce ukryte w obszernych rękawach kimona, Mung uszczyptał się w opuszkę kciuka, by wyostrzyć zmysły.

— Czy ludzie Zachodu przybędą do Japonii? — spytał książę.

— Tak, panie.

— Po co?

— By chronić rozbitków ze statków, które uległy katastrofie w drodze do Chin; by zapewnić zaopatrzenie statkom wielorybniczym; by założyć w portach składy węgla dla swoich parowców; by podjąć próbę nawiązania wymiany handlowej.

— Czy podejmą także próbę inwazji?

— Nie.

— Skąd możesz być tego taki pewien? W swoim raporcie piszesz, że Ameryka zabrała Meksykowi pięćset tysięcy mil kwadratowych ziemi, a inne mocarstwa usadowiły się w Chinach i na wielu wyspach południowego Pacyfiku.

— Państwa Zachodu nie dokonały najazdu na Chiny. Kontrolują tylko porty, by zapewnić sobie możliwość prowadzenia wymiany handlowej.

— Czy to są wszystko narody handlarzy? — spytał ostro pan Nariakira.

— W krajach Zachodu prowadzenie handlu uważane jest za zajęcie godne najwyższego szacunku.

Pan na Satsumie mrugnął oczami.

— Mów dalej — rzekł.

— Amerykanie uważali Kalifornię za część swego kraju. Hawajów

nie, ale traktują je jako terytorium należące do sfery ich wpływów. Mniej więcej tak samo, jak Japonia traktuje wyspy Riukiu.

Pan Nariakira poruszył wskazującym palcem i zamknął powoli oczy w głębokim namyśle. Mung zamilkł i czekał. Obaj siedzieli w zupełnym bezruchu, aż wreszcie książkę spytał:

— Czy w czasie swoich podróży słyszałeś coś o Rosjanach?

— Nie.

— Penetrują z Syberii wybrzeża naszych północnych wysp. Anglicy sondują nas tu, na południu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jedni i drudzy zawinęli do naszych portów, ale udało ich się odprawić bez incydentów zbrojnych. W Cesarskiej Szkole Tłumaczy przetrzymują pewnego człowieka. Praktycznie nie mówi po japońsku, a nam udało się podsunąć ciebie na jego tłumacza z angielskiego. Oprócz tego będziesz uczył tego języka trzynastu innych studentów. Nie spiesz się z tym, gdyż konieczność nauczania angielskiego jest jednym z powodów, dla których zachowujesz życie. Większość tych kandydatów na tłumaczy to ludzie szoguna. Dla nich zawsze będziesz kimś podejrzanym, bo przybywasz z Satsumy i opuszczałeś granice Japonii.

Pan Nariakira zgiął palec i ściana po jego lewej ręce rozsunała się bezszelestnie. Czekający tam samuraj skłonił się do podłogi, po czym podpełzł do księcia na kolanach. Na wyciągniętych, zwróconych wierzchem dłoni ku górze rękach podał mu miecz.

— Może wolisz pistolety, ale to miecz jest oznaką twojej nowej pozycji — powiedział pan Nariakira i wskazując wzrokiem błyszczącą klingę polecił: — Weź go i wpraw w głównię kość wieloryba.

Mung podpełzł na kolanach, zastanawiając się, skąd książkę wie o kościanej rękojeści. Wziął miecz w obie ręce, skłonił się do samej podłogi, po czym nadal na kolanach wrócił tyłem na swoje miejsce. Niewidzialne ręce zasunęły papierową ścianę. Pod eskortą Ryoachiego i pięciu samurajów wrócił do tego samego domu, w którym spędził ostatnie trzy dni. Tam po raz pierwszy od chwili, gdy przekroczył bramę Satsumy, pozwolono mu się porządnie wyspać.

W środku nocy obudziło go potrząsanie za ramię. Na ustach poczuł czyjąś dłoń. Z ciemności dobiegł szept Ryoachiego: — Ubieraj się. — Ktoś inny wcisnął mu w ręce kimono.

Ten sam mnich buddyjski poprowadził ich ciemnymi, opustoszałymi ulicami do warsztatu płatnerza. Minęli palenisko z żarzącymi się węglami i przez zastonę z paciorków weszli do pomieszczenia zajmującego wgłębienie w wewnętrznej ścianie murów fortecy. Usunięto maty, drewniane podesty do spania odstawiono na bok i oczom

Munga ukazał się wąski otwór z wiodącymi w dół kamiennymi schodami. Mnich ruszył przodem. Sufit na dole był bardzo niski. Mung przygarbił się, pochylił głowę, natrafił ręką na chłodną ścianę ziemi i ruszył po omacku w smolistą ciemność tunelu. Po mniej więcej dwudziestu metrach zatrzymali się, ktoś ujął go za rękę i położył ją na pierwszym szczeblu drabiny. Chwilę później był już na powierzchni. W górze skrzyło się morze gwiazd. Z mroku nocy wyłonił się biegacz trzymający za uzdę dwa konie.

— Wsiadaj — szepnął Ryochi.

— Szczęśliwej podróży — powiedział przyciszonym głosem mnich i zniknął pod ziemią.

Biegacz zasłonił otwór gęstą kratą z bambusa, przysypał go ziemią, zamaskował go dokładnie darniną i kępami trawy, po czym bez słowa odwrócił się i pobiegł szybkim truchtem przez pole. Ryochi popędził konia, Mung ruszył jego śladem. Minęła dobra godzina, nim zatrzymali się przy jakiejś drodze. Biegacz szepnął coś Ryochiemu na ucho, pokazał ręką kierunek i zawrócił do zamku. Ryochi spiął konia i ruszył szybkim kłusem. Po następnej godzinie, o pierwszym brzasku dnia, wjechali w gęsty zagajnik. Ryochi odpiął sakwy i podał Mungowi śniadanie zawinięte w ryżowy papier.

Mung chciał zadać cisnące się mu na usta pytania, ale towarzysz powstrzymał go ruchem ręki.

— Najpierw jedz, porozmawiamy potem.

Rozłożyli się między drzewami, posilając się i obserwując zorze poranka rozjaśniające powoli niebo. Ryochi wstał, podszedł do koni i przyniósł Mungowi miecz. Kiedy ten przesuwiał z zachwytem palcami po lśniącej klindze i rzeźbionej z kości wieloryba rękojeści, Ryochi wrócił do sakw i wręczył mu jego własny pistolet oraz całą zawartość pudełka, z którym wylądował na wyspie Riukiu.

— Muszą chyba uważać — powiedział kiwając głową w stronę, z której przyjechali — że broń palna ma swoje zalety. Ja osobiście wolę ostrą stal. — Poklepał głównię miecza i przykucnął na piętach. — To, co mam ci do powiedzenia, napawa mnie głębokim bólem. Polubiłem cię i... — urwał niezdecydowany.

Mung odłożył na bok miecz, pistolet, proch i kule.

— O co chodzi? Mów!

Ryochi położył przyjacielowi rękę na ramieniu i próbując dodać mu sił, spojrzał mu twardo w oczy.

— Twoja matka zmarła dwa lata temu na suchoty. Pan Nariakira zabrania ci podejmować próby odwiedzenia grobu rodziców. Pan, w którego dobrach leży twoja wioska, jest poplecznikiem szoguna. Powrót do wioski równałby się dla ciebie śmierci.

Piers Munga uniosła się ciężko i z ust wyrwało mu się westchnienie.

— Pan Nariakira sam cię wyśle, żebyś oddał cześć duchom swych rodziców najszybciej, jak to będzie możliwe — ciągnął Ryochi. — Tak to już musi być — dodał wstając. — Pora ruszać do Nagasaki.

W drodze prawie się do siebie nie odzywali. Mijali chłopów, kupców i rzemieślników, którzy gięli się na ich widok w ukłonie, buddyjskie i sintoistyczne kapliczki, spali i jedli w przydrożnych zajazdach i zapuszczali się coraz wyżej w góry. Czarne sosny spletały się konarami nad traktem zamykając go w tunelu, do którego prawie nie docierały promienie słońca. W głębokim cieniu panował przyjemny chłód i cisza. Kiedy wyjechali znów na otwartą przestrzeń, daleko w dole ujrzeli Nagasaki. Z przetęczy wśród wysokich gór okalających miasto widać było szmat szmaragdowego morza, zasnutego na granicy wody i nieba purpurowymi i różowymi smugami. Samo miasto rozsiało się wokół zatoki, sięgało aż po ściany cedrowych i sosnowych lasów schodzących niemal na sam brzeg wody. Mung patrzył jak urzeczony na marszczoną podmuchami wiatru powierzchnię zatoki i kołyszące się na falach mewy. Pod wpływem piękna tego widoku skomponował wiersz dla Saiyo:

*Wiatr i morze są bliżej ciebie niż ma
stęskniona dusza.
Blask słońca ma wstęp do twych oczu.
I zapach dzikiego kwiecia.
Tylko ty masz wstęp do mego serca.
Na nic więcej nie ma w nim już miejsca.*

Przeraźliwy wrzask za - plecami kazał Mungowi błyskawicznie obejrzeć się za siebie.

Z krzaków wypadł jakiś potężnie zbudowany, brudny i rozczocharany człowiek. Z obłędem w oczach, uniósłszy oburącz nad głowę długi miecz, rzucił się na Ryochiego, który przykucnął na ziemi zasłuchany w poezję Munga. Nie było czasu, by wyciągnąć broń; Ryochi musiał gołymi rękami odeprzeć atak szaleńca, próbującego mu rozłupać czaszkę. Miecz opadł ze świstem w dół, Ryochi uskoczył w bok, zgrzytnął głośno zębami i rąbnął napastnika potężnym lewym sierpowym w żebra, zupełnie jak amerykański bokser. Rozległ się trzask łamanych żeber, a zaraz po nim drugi — łamanego kręgosłupa; Ryochi trafił przeciwnika błyskawicznym kopniakiem w szczękę i odrzucił mu głowę tak mocno do tyłu, że szyja nie wytrzymała. Napastnik nie żył, nim osunął się na ziemię. Wszystko stało się tak szybko, że Mung nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Bandyci! — zawołał Ryochi wyszarpując miecz z pochwy. — Do broni!

Z lasu wyskoczyło następnych pięciu zbrojnych. Ryochi wycofał się szybko do Munga, aż stanęli ramię w ramię mając za plecami niemal pionowe urwisko. Mung sięgnął pod kimono, wydobyl pistolet, wycelował starannie i dał ognia po kolei ze wszystkich czterech luf, lokując pociski w piersiach czterech napastników. Piąty, osłupiały na widok tej rzezi, zastygł z mieczem w powietrzu. Ryochi zatoczył mieczem jeden płynny łuk równoległe do ziemi i rozciął bandytę w pasie na pół. Kiedy Mung podbiegł do juków naładować pistolet, jego przyjaciel podszedł kolejno do napastników i jednemu po drugim odrąbał wszystkim głowy. Omiótł wzrokiem miejsce potyczki, uśmiechnął się z zadowoleniem i schował miecz.

— Nie ma co, nie strzępiłeś języka! — powiedział stając w szerokim rozkroku, z rękami na biodrach. — Ten pistolet jest rzeczywiście wart kilku dobrych mieczy.

— Czy nie powinniśmy się stąd zabierać? — spytał Mung.

Ryochi wzruszył ramionami i ruchem ręki wskazał pobojuwisko.

— Po tym, cośmy zrobili, w całej okolicy przez rok nie pokaże się ani jeden bandyta. — Wyciągnął rękę i wziął pistolet. — Pokaż mi to cacko. — Przyjrzał się uważnie broni, obracając ją na wszystkie strony.

— Ostrożnie — ostrzegł go Mung.

— Wy tłumacz mi, jak to działa.

— Pod warunkiem, że natychmiast zabierzemy się z tego miejsca krwawej jatki.

— Zgoda, ale najpierw zrobimy to, co ty zrobiłeś w Kalifornii. Na tamtej skale wypiszemy ich krwią ostrzeżenie dla innych roninów.

Na trakcie z gór do Nagasaki Mung wytłumaczył Ryochiemu zasadę działania pistoletu, a on w rewanżu wyjaśnił mu, w jaki sposób zdołał zabić pierwszego napastnika.

— Od tubylców na Riukiu nauczyłem się tylko jednej pożytecznej rzeczy, a mianowicie karate. Ponieważ ci wyspiarze podlegają japońskiemu prawu, pod karą śmierci nie wolno im posiadać żadnej broni. Rozwinęli zatem metodę walki wręcz, która pozwala im zabijać bez użycia broni, gołymi rękami i nogami. Kazałem jednemu z nich, by mnie tego nauczył.

Na rogatkach Nagasaki zgłosili swe przybycie i złożyli zawiadomienie o napadzie. Przydzielono im biegacza z konczą i chwilę później wjechali do niemal półmilionowego miasta.

Domy ciągnęły się we wszystkie strony aż po tarasy wycięte

w zboczach gór do granicy lasu. Nad całym miastem wznosiły się dachy wieńczące świątynie i kaplice. W miarę zbliżania się do portu pojawiało się coraz więcej prywatnych domów z wyszukаныmi rzeźbami smoków i innych mitycznych stworów. Biegacz zaprowadził ich do zamkniętego kompleksu budowli nad samym morzem, do którego wejścia strzegło dwóch groźnie wyglądających samurajów. Po okazaniu listów wpuszczono ich do środka i zaprowadzono do biura prefekta. Kompleks obejmował budynki policji i urzędu podatkowego; było to centrum administracyjne Nagasaki i okolicznych dystryktów.

Ryoichi podał prefektowi Nagasaki zwój z dworu w Satsumie. Stary samuraj o surowej twarzy przeczytał pismo i dłuższą chwilę świdrował Munga wzrokiem. Na koniec powiedział:

— Masz tłumaczyć, co ten Amerykanin odpowiada na nasze pytania. — Wskazał ręką pomieszczenie bez drzwi po przeciwnej stronie podwórca. — Tam go trzymamy. Nie wolno ci zamienić z nim nawet słowa, jeśli nie będzie przy tym naszego tłumacza.

Mung skłonił się i zachował milczenie.

— Według mnie jesteś wcale nie mniej podejrzany niż on! — dodał prefekt mierząc Munga wściekłym spojrzeniem. — Obaj już dawno powinniście być martwi!

— Czy martwy mógłby służyć cesarzowi? — spytał Ryoichi.

— A czy żywy służysz szogunowi?

— Służę jednemu i drugiemu — odparł Mung — bo oni to Japonia.

Prefekt odwrócił się szybko w jego stronę, spojrzął mu w oczy, po czym odprawił niecierpliwym ruchem ręki.

— Możecie odejść!

— Dlaczego on jest tak nieprzyjaźnie do nas nastawiony? — spytał Mung, kiedy szli za przewodnikiem przez podwórzec do wyznaczonej im kwatery w pomieszczeniach w murze okalającym kompleks rządowy.

— To człowiek pana Hayoshi, jednego z najzagorzalszych stronników szoguna — odparł Ryoichi.

Przez następne dwa miesiące Mung przesłuchiwał Harolda MacDonalda, amerykańskiego rozbitka, zawsze pod czujnym okiem innych tłumaczy. Dopiero po przeniesieniu MacDonalda na wyspę Deshima, leżącą u wejścia do portu naprzeciwko kompleksu rządowego, mogli po raz pierwszy swobodnie ze sobą porozmawiać i już wkrótce się zaprzyjaźnili.

Wyspę Deshima zbudowano przed dwustu pięćdziesięcioma laty na rozkaz ówczesnego szoguna. U wejścia do portu wytyczono drewnianymi bojami obszar o powierzchni pół mili kwadratowej. Dniem i nocą, rok po roku, zwożono łodziami i barkami głazy i kamienie, aż usypane na dnie sięgnęły półtora metra ponad wodę. Holenderscy kupcy, którzy w czasach przed wydaniem cesarskiego edyktu zamykającego Japonię nie próbowali szerzyć swej wiary protestanckiej z takim zapamiętaniem, z jakim szerzyli katolicyzm Portugalczycy i Hiszpanie, otrzymali pozwolenie zamieszkania na sztucznej wyspie.

Holendrzy nawieźli na Deshimę ziemi, użyźnili ją nawozem i przegniłymi wodorostami i założyli ogrody warzywne. Hodowla krów dostarczała mleka, świń i owiec — mięsa, morze dawało ryby. Było to jedyne oficjalne miejsce, gdzie Japończycy mogli kontaktować się z ludźmi z Zachodu.

Mung zaczął prowadzić wykłady w Cesarskiej Szkole Tłumaczy założonej na wyspie. Napisał z pamięci własny podręcznik gramatyki, dostosowując go do potrzeb swoich studentów i różnic między oboma językami. Zgodnie z instrukcjami z Satsumy przetłumaczył także kilka ksiąg z łaciny, przesyłając za pośrednictwem Ryochiego ich streszczenia Sakumie Shozanowi. Sakuma Shozan zażądał bardziej szczegółowych omówień niektórych z nich, zwłaszcza tych dotyczących zachodnich strategii militarnych.

Życie Munga zaczęło się toczyć utartym trybem. Codziennie rano zawożono go promem na Deshimę. Trzy godziny wykladał angielski, potem wraz z innymi tłumaczami brał lekcje holenderskiego u pana Levysohna. Po lekcjach szedł na spacer wokół wyspy, okrążał stojące pośrodku równiutkim szeregiem domy, rozmawiał przez godzinę z MacDonalodem i wracał do sali ksiąg łacińskich. Tłumaczył je trzy godziny aż do przyplłynięcia promu, który zabierał go do Nagasaki. Ryochi zawsze czekał już na niego na brzegu i razem szli do restauracji albo do domu gejsz. Czasami kłął na czym świat stoi, że cała ta praca trzyma go z dala od Saiyo, ale szczerze mówiąc lubił to, co robił, i nie miał zbyt wiele czasu na rozpamiętywanie rozłąki. Nie dostał ani jednego listu od Yoshidy, nie było też żadnych wieści od Saiyo.

Pewnego ranka, kiedy szykował się do opuszczenia pokoju, ten ustalony tryb uległ zakłóceniu. Samurajowie strzegący drzwi nakazali mu pozostać w środku. Mung odsunął ścianę dzielącą jego pokój od pokoju Ryochiego, obudził przyjaciela i obaj zaczęli spekulować, co takiego mogło się wydarzyć. Ryochi polecił Mungowi trzymać pistolet w rękawie kimona i ani na chwilę się z nim nie rozstawać. Przez trzy dni byli więźniami, posiłki przynoszono im do pokojów, do łaźni

i toalety prowadzono ich pod eskortą i poza strażnikami nie widzieli żywego ducha.

Czwartego dnia rano powiadomiono Munga, że ma normalnie udać się na Deshimę i podjąć wykłady. Tłumacze przywitani się z nim na promie, ale poza tym nie odzywali się ani słowem. Kiedy wszedł do klasy, przekonany, że zaraz rozpocznie lekcję, zastał w niej dwunastu brudnych, wycieńczonych amerykańskich marynarzy i prefekta Nagasaki, który rozkazał mu tłumaczyć podczas przesłuchania. Mung dowiedział się od więźniów, że pochodzą ze statku handlowego „Lila B.", który w drodze powrotnej z Chin wpadł w sztorm i rozbił się w cieśninie Shimonoseki. Wyłowieni przez japońskich rybaków, zostali związani jak stado baranów, omal nie zamorzeni głodem i w końcu przewiezieni na Deshimę.

Mung przez cały tydzień nocował na wyspie, prowadził przesłuchania, tłumaczył pytania prefekta i odpowiedzi marynarzy. Pozostali tłumacze nie odstępowali go na krok. Kiedy wreszcie wrócił do swego pokoju w Nagasaki, zastał w nim Ryochiego.

— Musimy uważać — szepnął mu na ucho przyjaciel. — Od czasu, kiedy pojechałeś przesłuchiwać Amerykanów, jestem nieustannie śledzony.

— Skąd wiesz, co robiłem?

— Każdy ma swoich informatorów, ale mniejsza z tym. Chcę poznać wszystkie szczegóły.

Mung opowiedział o statku handlowym, jego rejsie powrotnym z Kantonu, rozbiciu się w cieśninie Shimonoseki i uratowaniu wszystkich pozostałych przy życiu marynarzy oraz przewiezieniu ich na Deshimę.

Ryoichi potrząsnął głową.

— Nie wszystkich uratowanych przewieziono na Deshimę — mruknął. — Mieszkańcy sąsiedniej wioski wyłowili jeszcze siedmiu rozbitków, ale natychmiast ich ścięli, a ciała wrzucili z powrotem do morza.

— Będziesz musiał przesłać wiadomość do Satsumy — powiedział Mung. — Dowiedziałem się od tych marynarzy, że w porcie w Kantonie stoi gotowa do drogi eskadra amerykańskich okrętów. Chcą przebyć cieśninę Shimonoseki i popłynąć wzdłuż wybrzeża do Edo, by wynegocjować z szogunem traktat o handlu i wzajemnej pomocy.

Ryoichi nachylił się bliżej, oczy mu rozbłysły.

— Jesteś pewien? — spytał pełnym napięcia szeptem.

— Owszem, ale nie przetłumaczyłem tego prefektowi. Jestem także pewien, że reszta tłumaczy nie rozumiała ani słowa, bo rozmawiałem

z tymi Amerykanami w slangu żeglarskim. Kiedy zorientowałem się, co mówią, ostrzegłem ich, że jeśli komukolwiek to powtórzą, niechybnie stracą życie.

Ryochi wyprostował się i pogrążył w gorączkowych rozmyślaniach. Po dłuższej chwili nachylił się z powrotem i szepnął:

— Nie widzę innego wyjścia, muszę to przekazać osobiście. — Skinął nieznacznie w stronę maty do spania. — Do mojego powrotu zostaw ją gdzie jest, ale sypiaj w jakimś innym kącie.

— Sądziś, że coś mi grozi?

— Prefekt i inni poplecznicy szoguna będą doskonale wiedzieli, dokąd wyjechałem. Wyciągną stąd wniosek, że powiedziałeś mi coś, czego nie dowiedziałem się jeszcze od swoich szpiegów.

— Ale jeśli mnie zabiją, nigdy nie dowiedzą się co.

Ryochi poklepał go po ramieniu jak cierpliwa matka.

— Ich szpiedzy w Satsumie dowiedzą się tego bardzo szybko.

— Czy możesz zaczekać, aż napiszę krótki listeczek?

— Nie ma chwili czasu do stracenia.

— W takim razie sam musisz napisać list do Yoshidy i zapytać w moim imieniu o zdrowie panny Ishikawy.

Ryochi zachichotał, pomacał głównie mieczy za pasem, odsunął cichutko drzwi wyjściowe ze swego pokoju i rozplątał się w ciemności nocy.

Ani w Szkole Tłumaczy, ani na terenie kompleksu rządowego nikt słowem nie wspomniał o zniknięciu Ryochiego. Już następnego dnia jego pokój zajęło dwóch samurajów o niepokojąco srogim wyglądem. Przez trzy tygodnie Mung przyływał co wieczór z Deshimy, szedł na spacer ulicami Nagasaki, jadł obiad w jakiejś restauracji, szedł do domów gejsz lub do teatru. Po powrocie do swego pokoju uczył się jeszcze trochę lub czytał, a potem robił kukłę z ubrania, kładł ją na macie, a sam związał się do snu w którymś z kątów pokoju.

Tej nocy wyciągnął się na podłodze pod rozsuwaną ścianą do pokoju Ryochiego i właśnie zapadał w sen, gdy zza papierowego ekranu dobiegły go jakieś szepty. Przysunął ucho do ściany i zamienił się w słuch. Rozległ się tupot nóg i zaraz potem bojowy wrzask.

Przez cienką papierową ścianę wdarły się do jego pokoju dwie postacie. Jedna potknęła się o nogę Munga, druga przeskoczyła nad nim i potężnym cięciem miecza rozplątała na pół leżące na macie ubrania. Mung odrzucił koc, lecz zrobił to z takim rozmachem, że pistolet wypadł mu z rękawa i poturlał się po podłodze. Szukanie go po omacku w ciemności nie miało sensu; zerwał się na równe nogi i wyskoczył przez dziurę w ścianie wybitą przez napastników. Usłyszał

za plecami ich rozwścieczone krzyki, wtulił głowę w ramiona i rąbnął całym ciałem w przeciwległą ścianę pokoju Ryoehiego. Jakiś staruszek kucnął nad nocnikiem. Mung przystanął, skłonił się, usłyszał jednak za plecami tupot nóg, więc nie bacząc na osłupiałe spojrzenie staruszka, skoczył do następnej ściany. Kiedy napastnicy wdarli się za nim do pokoju, staruszek stracił równowagę i wpadł pomarszczonym zadkiem w nocnik. Mung przebił następny papierowy ekran. W nikłym świetle oliwnej lampki ujrzał pośrodku pokoju wielką stertę czegoś żywego. Górna część sterty stoczyła się z dolnej i obie przeistoczyły się w dwóch ogromnych zapaśników sumo. Ich wzwiedzione członki sterczące spod zwałów mięśni i tłuszczu wydawały się śmiesznie małe. Twarze olbrzymów ściągnęły się w grymasie nie kontrolowanej furii. Nim ważący po dobre trzysta funtów zapaśnicy zdołali dźwignąć się na nogi, Mung uskoczył w prawo i rozdarłszy zasunięte papierowe drzwi wypadł na podwórze. W tej samej chwili ścigający go mężczyźni nadziali się w pełnym biegu na rozwścieczonych zapaśników i zostali natychmiast pochwyceni w żelazne uściski. Mung usłyszał przeraźliwe wrzaski, ale nie czekał, żeby zobaczyć, co ich spotkało. Pognał boso do biura prefekta. Zaalarmowani hałasem wartownicy stali już w pogotowiu, a stary samuraj wychodził ze swego pokoju. Dwóch strażników chwyciło Munga pod ramiona, otrzymali jednak rozkaz, by go puścić. W drzwiach stali nadzy zapaśnicy sumo i wraz ze staruszkim jeden przez drugiego dawali upust swej wściekłości.

Po wysłuchaniu ich opowieści prefekt zarządził wizję lokalną. W towarzystwie Munga, strażników, staruszka i zapaśników przeszedł szlakiem dziur w ścianach z pokoju do pokoju, aż wreszcie przez wybite drzwi wydostali się z powrotem na podwórzec. Tam potoczył wzrokiem po zebranych i ni z tego, ni z owego parsknął śmiechem. Spojrzał na nagich zapaśników, potem na staruszka i zaczął śmiać się już na cały głos, po policzkach spłynęły mu łzy. Nie mogąc się opanować, bez słowa wskazał dziury w suficie, przez które nadzy olbrzymi wyrzucili napastników. Śmiech okazał się zaraźliwy; chwilę później już wszyscy trzymali się pod boki. Następnego dnia rano prefekt przydzielił Mungowi strzeżony przez wartowników pokój tuż obok swego.

Kilka dni później wezwano Munga do biura prefekta. Niespodziewanie zastał tam Yoshidę i Ryoehiego, ale mimo zaskoczenia widokiem Yoshidy zachował milczenie. Stary samuraj zmierzył go ciężkim spojrzeniem i zawołał o pędzelek i tusz. Z rozmachem podpisał zwój i wręczył go Yoshidzie.

— Wszystkiego najlepszego z okazji zbliżającego się ślubu — powiedział spoglądając na Munga.

Mung rozdziawił usta, w głowie mu zaszumiało.. Zdołał jakoś wymamrotać „dziękuję”, skłonił się i wyszedł na dwór.

— Przekażcie jego żonie — powiedział zarządca Nagasaki, kiedy Yoshida i Ryochi zgięli się w pożegnalnym ukłonie — żeby na niego uważała. Czasami wpada w amok i biega po domu przebijając głową zasunięte ściany i zamknięte drzwi. Wydaje mu się, że jest kozłem.

Yoshida i Ryochi spojrzeli po sobie ze zdumieniem, skłonili się jeszcze raz i wycofali na podwórzec.

Kiedy znaleźli się już poza kompleksem rządowym i zostawili za sobą całą dzielnicę portową, Mung zatrzymał konia i krzyknął do przyjaciół:

— Nie pojedę ani kroku dalej, póki nie wyjaśnicie mi, co się dzieje!

Yoshida ściągnął cugle i odwrócił się w siodle.

— Przecież chyba nadal chcesz pojąć za małżonkę kościstą pannę Saiyo Ishikawę — powiedział. — Czy też może się rozmyśliłeś? — I nim Mung zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dodał: — No więc sprawa załatwiona. Rozmawiałem w twoim imieniu z panem Ishikawa, a on wyraził zgodę.

— Wyraził zgodę... — powtórzył Mung. — Wyraził zgodę... Ot, tak, po prostu. Porozmawiałeś z nim, a on wyraził zgodę. Tak po prostu?

— No, niezupełnie. Pan Nariakira chce cię mieć w Edo, gdy zjawią się tam Amerykanie. Szpiedzy w Chinach na pewno uprzedzą szoguna o wypłynięciu eskadry z Kantonu. Kiedy szogun się o tym dowie, nie pozwoli cię wypuścić z Nagasaki żywego. A wżenie się w ród Ishikawa może ci pomóc zachować życie także w Edo. To jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych rodów w całym cesarstwie.

Mung wyprostował się w siodle. Na jego ustach zaigrał uśmiech.

— A gdyby prefekt mnie nie zwolnił?

— Nie mógł odmówić. Pan Nariakira wystąpił w roli twego ojca. To on osobiście zażądał dla ciebie pozwolenia na wyjazd na ślub.

— Gdzie jest Saiyo?

— Wraz z ojcem zjechała już na zamek w Satsumie. Mamy przed sobą kawał drogi.

Mung zaczął się śmiać. Odrzucił głowę do tyłu i ryknął na cały głos:

— Town-hooo! Town-hooo! — Klepnął konia po zadzie, wbił mu pięty w boki i wypadł jak strzała na drogę. Yoshida i Ryochi ledwie mogli za nim nadążyć.

Jechali osiemnaście godzin, przystając tylko na zmianę koni i krótkie posiłki z placków fasolowych z miodem i gorącą herbatę. Do Satsumy przybyli o dziesiątej rano. Ryochiego zaprowadzono do łaźni

i wyznaczonego mu pokoju, a Munga i Yoshidę do zamku, którego siedem dachów o złożonych gzymsach skrzyło się z daleka w słońcu. Chwilę później postawiono ich przed obliczem pana Nariakiry i Sakumy Shozana. Obaj młodzieńcy padli na twarz, po czym na rozkaz księcia podnieśli się i usiedli.

— Powtórz nam, co wiesz o planach Amerykanów popłynięcia z Kantonu do Edo — polecił Sakuma Shozan.

Mung założył ręce i schował je w rękawy, zbierając myśli przed udzieleniem odpowiedzi. Uszczypnął się w opuszkę prawego kciuka, by zmusić do pracy wyczerpany brakiem snu umysł. Zapominając o obolałych mięśniach zaczął składać raport:

— Marynarze, których przesłuchiwałem, pochodzą ze statku handlowego „Lila B.". Powiedzieli, że w porcie w Kantonie stoi na kotwicy pięć amerykańskich okrętów wojennych. Dwa z nich to jednostki zaopatrzeniowe, a trzy „Columbus", „Vincennes" i „Preble" — bojowe. Dowodzi nimi admirał James Biddel. Ma rozkaz wynegocjować traktat o handlu, utworzeniu sieci portów zaopatrujących w węgiel i odpowiednim traktowaniu rozbitków.

— Kiedy mają przybyć do Edo? — spytał stary uczony.

• — Dokładnie nie wiadomo, ale według tych marynarzy ma to nastąpić już wkrótce.

— Widziałeś obronne fortyfikacje Nagasaki i Kagoshimy. Czy oparłyby się okrętom, gdyby Amerykanie zdecydowali się użyć siły?

— Nikt nie wspominał ani słowem o zawijaniu do tych portów.

— Zgadza się, ale tamtejsze fortyfikacje bardzo przypominają umocnienia Edo.

— Te umocnienia to głównie wały ziemne z archaicznymi działami, w których lufach od lat gnieźdzą się ptaki. W piętnaście minut baterie tych dział przestaną po prostu istnieć.

— Jak oceniasz szanse naszych samurajów w walnej bitwie lądowej?

— Jako niewielkie. Okręty mogą wejść do portu i zbombardować miasto pociskami zapalającymi. Nasze domy, zbudowane z drewna i papieru, chwycą ogień jak pochodnie. Pożar będzie nie do ugaszenia.

— Czy wszyscy żołnierze mają takie pistolety jak ten, z którego zastrześliłeś czterech bandytów?

— Nie, większość uzbrojona jest w muszkiety i karabiny. Nie można z nich strzelać tak szybko raz za razem, ale są znacznie celniejsze na większą odległość.

Pan na Satsumie milczał kilka minut, po czym powiedział:

— Idź wziąć kąpiel i przygotuj się do *mi-ai*, tradycyjnego spotkania z wybranką i jej ojcem. — Gestem dłoni odesłał Munga z komnaty.

Yoshida w niej pozostał. — Chcemy przywrócić pełnię władzy cesarzowi — powiedział po chwili pan Nariakira, zwracając się do starego uczonego i jego najlepszego ucznia — toteż nie wolno nam dopuścić, by cudzoziemcy wtargnęli siłą do naszej ojczyzny. Japonia nie może stać się drugimi Chinami, deptanymi nogami barbarzyńców.

Wszyscy trzej zachowywali milczenie, zastanawiając się intensywnie nad wyjściem z sytuacji.

— Jeśli nie uda nam się przekonać szoguna, by nie posuwał się do użycia siły — odezwał się Sakuma Shozan — wszystko, co postanowimy, będzie bez znaczenia. Kiedy Mung wyjeżdża do Edo?

— *Mi-ai* odbędzie się za trzy godziny — odparł pan Nariakira. — Ożenimy go jeszcze dziś wieczorem i damy mu trzy dni na nacieszenie się żoną. Zastąpisz mnie podczas tradycyjnego porwania panny młodej — zwrócił się do Yoshidy i dodał ze śmiechem: — Ja jestem już za stary na porywanie panien młodych.

Kiedy Mung wrócił z łaźni, skóra szczypała go od gorącej wody, a serce waliło w piersi na myśl o ujrzeniu Saiyo. Poskubał trochę jedzenia czekającego na niskim stoliku, poddając się jednocześnie zabiegom nadwornego cyrulika, który wprawnie wygolił mu całą przednią część głowy, potem namaścił olejkami długie włosy na skroniach i z tyłu głowy, zaplótł je w ciasny warkoczyk, a następnie naciągnął ten warkoczyk w górę i w przód na wygolone miejsce. Na koniec pomógł Mungowi wdziać bogato haftowane kimono, szerokie jedwabne spodnie i owinął go czarnym *obi*, za który młody samuraj wetknął swój miecz z rzeźbioną rękojeścią z kości wieloryba.

Przeglądając się w srebrnym lustrze Mung pomyślał o rodzicach, a zaraz potem o Whittefieldach. Oni także byli jego rodziną, ale podczas *mi-ai* miał przemówić za nim pan Nariakira.

Podniósł dumnie głowę, zmarszczył garbaty nos, uderzył się w pierś i zawołał do cyrulika:

— Dzieci! Będę miał mnóstwo dzieci! Człowiek bez rodziny musi ją sobie założyć, i to jak największą!

— Niechaj żona urodzi ci tyle dzieci, ile pestek w fidze — odparł z ukłonem fryzjer.

Ten sam mnich, który wskazał im podziemny Korytarz, gdy opuszczali z Ryochim Satsumę, zaprowadził go teraz do komnaty, gdzie na zdobionym ląku podwyższeniu siedział książę Nariakira. Mnich usadził Munga na macie po prawicy księcia. Nikt nie odezwał się ani słowem. Chwilę później zza *shoji* dobiegły jakieś szmery, po czym rozsunięto ścianę. Pan Ishikawa musiał się przygarbić przestępując próg komnaty. Za nim szła Saiyo, z leciutko pochyloną

głową, z kruczoczarnymi włosami upiętymi w kok, przytrzymany grzebieniem z różowego koralu. Ze spuszczonej oczami, z odrobiną pudru i różu na policzkach wyglądała zjawiskowo pięknie. Po latach małżeństwa Saiyo wytykała czasami Mungowi, że nie zauważył, jak była ubrana w dzień ślubu. „Byłaś tak piękna, że niczego poza tobą nie widziałem” — brzmiała nieodmienna i zawsze sprawiająca jej tę samą ogromną radość odpowiedź.

Ojciec i córka zajęli miejsca na matach przed panem Nariakirą, córka pól maty za ojcem. Saiyo uniosła nieznacznie głowę, zerknęła na Munga i natychmiast z powrotem ją spuściła. Mung poczuł dziwną słabość w okolicach dołka; ramiona zaciężyły mu jak młyńskie kamienie, grożąc, że lada chwila pociągną go za sobą do przodu. Jakby z oddali dobiegały go głosy pana Ishikawy i księcia Nariakiry, popisujących się mistrzostwem w subtelnej sztuce negocjowania warunków intercyzy. Nie bardzo docierało do niego, co właściwie mówią, i nic go to nie obchodziło, byle tylko mógł poślubić swoją piękną Saiyo. Nagle poczuł, że osuwa się do przodu, poderwał się gwałtownie i usiadł sztywno wyprostowany. Nie spał od dwóch dni i omal nie usnął na swym własnym ślubie! Obaj starsi mężczyźni spojrzeli w jego stronę, karcąc go ostro wzrokiem. Mung wyprężył się jeszcze bardziej i w tej samej chwili uświadomił sobie, że pan Ishikawa od dłuższej chwili milczy. Nadszedł przełomowy moment negocjacji. Grzeczność nakazywała panu Nariakirze spytać starego samuraja, co mu leży na sercu.

— Panie — przerwał w końcu milczenie książę — zechciej, proszę, mówić ze mną całkiem szczerze, jak z członkiem swej najbliższej rodziny. Obu nam zależy, by sprawę tę doprowadzić do szczęśliwego końca.

— Panie mój — odparł stary samuraj — spłodziłem tylko córki... — urwał, lecz po chwili ciągnął dalej: — Pozbawiony męskich potomków mój ród wymrze razem ze mną. — Przeniósł wzrok na Munga. — Ten młody człowiek otrzymał przybrane imię i rangę młodszego samuraja, która temu imieniu przystoi... — Spojrzał prosto w oczy panu Nariakirze. — W księdze heraldycznej spotykamy kilka precedensów powtórnej adopcji.

Pan Nariakirą odchylił głowę do tyłu.

— A cóż byś miał, panie, przez to zyskać?

— Kontynuację rodu i nazwiska.

— A co z nazwiskiem, które Mung już otrzymał? Czy ma ono zniknąć i zostać zapomniane? Moryiama Einosuke był moim zaufanym dworzaninem i człowiekiem, który nigdy nie złamał nakazów *bushido*.

— Kazałeś mi, panie, ujawnić, co mi leży na sercu — odparł pan Ishikawa schylając głowę. — Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci przykrości. Rozumiem twoją troskę, panie mój, i dlatego pokornie proponuję, byśmy najpierw ustalili, czy powtórna adopcja jest w ogóle możliwa. Po cóż szukać rozwiązania problemu, którego być może wcale nie ma?

Pan Nariakira skinął głową i kazał postać po Sakumę Shozana. Sędziwy mędrzec był zwolniony z obowiązku padania na twarz i czołgania się na pokręconych reumatyzmem kolanach. Stanął z pochyloną głową w tyle komnaty i wysłuchał pana na Satsumie. Mung i Saiyo siedzieli ze wzrokiem wbitym w podłogę, łowiąc uchem każde słowo.

Sakuma Shozan zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł:

— Panie mój, powtórna adopcja i zmiana nazwiska pociągałaby za sobą problem rangi. Ród Ishikawa należy do najstarszych i najznakomitszych w całym cesarstwie. Mung musiałby otrzymać tytuł samuraja co najmniej średniego stopnia.

— Pozostaje kwestia imienia Moryiama Einosuke — powiedział pan Nariakira. — Czy da się to jakoś rozwiązać?

Mung i Saiyo wymienili tęskne spojrzenia.

— Panie mój — odezwał się po chwili milczenia pan Ishikawa — kiedy Moryiama Einosuke jeszcze ci służył, jak się do niego zwracałeś?

— Po imieniu.

— Jako że nie miał on rodziny, to tobie, panie, najbardziej zależy, by nadal słyszeć imię tak dobrze ci znane. Czy byłbyś skłonny zgodzić się na nazwisko Ishikawa z imieniem Moryiama?

Pan Nariakira spojrział w koniec komnaty na Sakumę Shozana.

— Zachowałoby to pamięć o wiernym dworzanie i uchroniło ród Ishikawa przed wygaśnięciem — orzekł stary uczony.

— A zatem niech tak będzie! — zdecydował pan Nariakira i klepnął dłońmi w kolana. — Zapisz w księgach — polecił Sakumie Shozanowi — że Moryiama Ishikawa został wyniesiony do rangi samuraja średniego stopnia i adoptowany przez ród Ishikawa z Kagoshimy.

Mędrzec pożegnał głębokim ukłonem wychodzącego księcia i zwrócił się do pozostałych:

— Ishikawo, gratuluję ci syna. Adopcja odnotowana zostanie w księgach po zawarciu małżeństwa. — Przeniósł wzrok na Munga. — Po trzech dniach wyjedziesz z Yoshidą i Ryochim do Edo.

Mung odwrócił gwałtownie głowę. Do tej chwili wpatrywał się jak urzeczony w czarne oczy Saiyo.

Negocjacje podczas *mi-ai* trwały cztery godziny i Mung nadal nie miał ani chwili, by choć trochę wypocząć. Kiedy wrócił do swego pokoju, Ryochi i Yoshida pomogli mu się przebrać, śmiejąc się i żartując z jego niezwykłego szczęścia.

— Ale jak oni mogli dać mi tylko trzy dni z Saiyo? — żalił się Mung.

— Towarzystwo dwóch najlepszych przyjaciół sprawi ci na pewno większą przyjemność niż towarzystwo Saiyo — docinał mu Ryochi.

Mung był wyraźnie innego zdania. Wniesiono porcelanowe butelki sake. Yoshida i Ryochi nalegali, by Mung pił z nimi równo każdą kolejkę.

W pewnej chwili rozległo się pukanie do drzwi i ktoś zawołał z zewnątrz:

— Czy złodzieje gotowi?

— Zdrowie panny młodej — wzniosł ostatni toast Ryochi — i dzieci, które urodzi na służbę cesarzowi!

— Złodziej gotowy! — zawołał Yoshida. Obaj z Ryochim chwycili Munga pod ramiona i podnieśli go w górę, aż nogi zawisły mu w powietrzu.

— Pora wypuścić się w noc i porwać sobie pannę młodą — powiedział Yoshida.

Twarz Munga rozjaśnił głupawy uśmiezek. Kiedy postawili go z powrotem na ziemi, zatoczył się, uniósł miseczkę sake i z okrzykiem „naprzód!” jednym haustem wychylił ją do dna.

Za drzwiami stanął nagle jak wryty i powiódł oszołomionym spojrzeniem po przyjaciółach.

— Co ja właściwie mam robić?

— Chodź, wszystko ustalone — odparł Yoshida ujmując go pod ramię. — Zakradasz się do jej pokoju, wchodzisz...

— A jak jej ojciec mnie złapie?

Tym razem przystanąli także Yoshida i Ryochi. Pokręcili głowami z wyrazem przesadnego smutku na twarzach.

— Porywanie panny młodej to tylko taki stary obyczaj. Pan Ishikawa doskonale o wszystkim wie...

— Chcesz powiedzieć, że pan Ishikawa pomoże mi porwać swoją własną córkę?! — Teraz z kolei Mung pokręcił głową z głębokim niedowierzaniem. — Wy, ludzie z wyższych sfer, macie przedziwne zwyczaje. Chyba się jeszcze napiję, nim wezmę się za to porywanie.

— Wydawało mi się, że po tamtym kacu w Kalifornii przysięgłeś nie brać do ust ani kropli alkoholu — mruknął Ryochi.

Mung spojrzał na niego z wyrzutem.

— Jestem zdenerwowany — wyjaśnił. — A co będzie, jeśli ona zacznie stawiać opór?

Przyjaciele bez słowa chwycili go pod ramiona i zaprowadzili do pobliskiej restauracji, gdzie każdy osuszył jeszcze jedną butelkę sake. Wychodząc wzięli Munga między siebie, igdyż coraz mniej pewnie trzymał się na nogach.

— Dajecie słowo, że jej ojciec nie podniesie alarmu? — spytał Mung, kiedy znaleźli się przed domem pana Ishikawy.

— Gdyby co, zastrzel go z pistoletu — poradził mu życzliwie Ryochi.

— Z największą radością pozbędzie się tej swojej suchej, przemądrzałej córeczki — zaśmiał się Yoshida.

Mung wyrwał mu się, zmierzył go groźnym spojrzeniem i ryknął na całe gardło:

— Ona jest piękna! Pi-ię-kna!

Przyjaciele pospiesznie go uciszyli i klepięciem w plecy popchnęli do przodu. Wdrapał się mozolnie po schodach na ganek, zatoczył w lewo i nim zdołali go powstrzymać, odsunął nie te drzwi, co trzeba. W pokoju siedzieli naprzeciwko siebie przy herbacie Sakuma Shozan i pan Ishikawa. Kiedy do Munga dotarło, co zrobił, zaczął kłaniać się raz za razem, powtarzając bez końca bełkotliwe przeprosiny.

Pan Ishikawa podniósł na niego osłupiałe spojrzenie, zerknął na Sakumę Shozana i z powrotem na Munga.

— Ona jest w pokoju obok — szepnął.

Mung skłonił się jeszcze dwa razy, cofnął przed próg i zasunął drzwi. Spojrzał z ganku na przyjaciół, rozłożył bezradnie ręce i spytał:

— No, i co teraz?

— Wskakuj po nią, tylko szybko — odparł Ryochi. — Ale tam! — dodał pokazując palcem właściwe drzwi.

Mung sięgnął przed siebie i przebił dłonią cienki papier. Pociągnął, by rozsunąć drzwi, ale tylko wyrwał jeszcze większą dziurę. Machnął ręką, wyprostował się, wygładził kimono i wszedł sztywno do pokoju przez papierowy ekran w drzwiach.

Ryochi odwrócił się do Yoshidy, uniósł brwi i sapnął z podziwem:

— A niech mnie! Widziałeś?

Saiyo klęczała pośrodku pokoju, patrząc na narzeczonego tak okrągłymi oczami, że wyglądała jak kobieta z Zachodu.

— Powiedziano mi, że będziesz się mnie spodziewała — wybełkotał. Nagle dostrzegł suknię, którą miała na sobie, i wstrząśniętym szeptem spytał: — Dlaczego jesteś ubrana na białe? Biel to żałoba. — I już na cały głos: — Kto w tym domu umarł?

Shoji po lewej rozsunęło się odrobinę i w szparze ukazała się głowa pana *Ishikawy*.

— Jeszcze nikt — odparł stary samuraj. — Ale jeśli natychmiast jej stąd nie zabierzesz, to uduszę cię własnymi rękami!

Saiyo wstała szybko z podłogi, wzięła *Munga* pod ramię i pociągnęła go w stronę rozdarcia w drzwiach. Przy pomocy *Yoshidy* i *Ryochiego* udało jej się odprowadzić *Munga* sprzed domu.

— Jakiś szaleniec porwał moją córkę! — usłyszeli za plecami wołanie pana *Ishikawy*. Z pobliskich domów wybiegli sąsiedzi, życząc mu wszystkiego najlepszego i wyrażając nadzieję, że zięć mu się udał.

W drodze do domu oblubieńca *Saiyo* uparła się, żeby wstąpić do świątyni sinto. Absolutną ciszę mąciło tylko pobrzękiwanie dzwoneczków kołysanych łagodnym wiatrem. Uklękli przed ołtarzem i zatopieni każde we własnych myślach dotknęli czołami ziemi, by pomodlić się o spełnienie najskrytszych marzeń.

Nagle do dźwięku dzwoneczków dołączył odgłos równego oddechu kogoś pogrążonego w głębokim śnie. *Saiyo* spojrzała na swego świeżo poślubionego męża. Nadal klęcząc, z głową ułożoną na rękach, x \[*STiYi^dYOTi -Dci M115 ^pzA ^ wajepszfc, po na, prerwi?:^ w& pwwid dwóch dni. Z ust panny młodej wyrwało się westchnienie. Pogłaskała *Munga* delikatnie po plecach, a potem położyła sobie jego głowę na kolanach. Siedząc w tej pozycji i rozmyślając o krótkich trzech dniach, które dano im spędzić razem przed wyjazdem *Mufga* na dwór szoguna w Edo, przysięgła sobie w duchu, że będą \0 trzy dni, których małżonek nie zapomni do końca życia.

O świcie państwo młodzi wstali i bez słowa udali się do swego pokoju. Przez trzy dni ich serca śpiewały pieśń radości. Spragnione ciała poły się nawzajem miłością. Namietność pochłonęła ich bez reszty. Ani w klasycznej poezji miłosnej, ani w romansach do poduszki żadne nie znalazło opisów rozkoszy, jakiej doziiali, i uczucia, które nimi owładnęło. Mimo to nawet w chwilach najwyższej ekstazy rozmawiali o przyszłości, drżąc, że w noc rozłąki mogą nie śnić o tym samym. Toteż leżeli wtuleni w siebie, snuli szeptem plany, kochali się i pławili w oceanach swych myśli.

Trzeciego dnia, kiedy przedwieczorna mgiełka otuliła góry, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wizytę nowożeńcom złożyli *Yoshida* i *Ryochi*. Trzymając w rękach cugle trzech koni skłonili się z powagą przed panią *Ishikawą* i przyrzekli jej chronić *Munga* przed wszelkim złem, jakie mogło go spotkać w stolicy szoguna. Już wkrótce okazało się, że łatwiej było to przyrzeczenie złożyć, niż go dotrzymać.

ROZDZIAŁ 13

30 listopada 1852

Przez trzy miesiące po swym ślubie Mung nie ruszał się z ukrycia. Nawet w towarzystwie Yoshidy i Ryochiego czas oczekiwania na Amerykanów dłużył mu się w nieskończoność. Powinność służenia panu Nariakirze i tęsknota za Saiyo przyprawiały go o coraz głębsze wewnętrzne rozdarcie. Schudł jeszcze bardziej i zaczął zaniedbywać swój wygląd.

Stał właśnie na werandzie z widokiem na zatokę Edo. Fale zimnego deszczu siekły wodę w porcie. Oczekiwanie dobiegło końca. Daleko w dole, u wejścia do portu kołysały się na kotwicy trzy amerykańskie okręty wojenne. Już pięć godzin temu Yoshida i Ryochi udali się do miasta, aby ustalić warunki, na jakich Mung będzie tłumaczem; przed opuszczeniem kryjówki powinien uzyskać gwarancje bezpieczeństwa. Otulił się szczelniej pelerynką przeciwdeszczową i cofnął pod ścianę; wiatr przybierał na sile. Mrużąc oczy przyglądał się setkom małych japońskich łodzi rybackich, które odbijały od brzegu i w potokach ulewy kierowały się ku ogromnym żaglowcom. Za składami portowymi, na niewidocznych z morza nabrzeżach formowano oddziały samurajów. W pełnym rynsztunku stali bez ruchu w strugach deszczu.

Wszedł do domu. Przejrzał od niechcenia stertę nie dokończonych rysunków, zatrzymał się na szkicu do portretu Saiyo i pobiegł myślami daleko od Edo. Ukrywanie się przed szpiegami szoguna i rozłąka z żoną należały do najtrudniejszych chwil w jego życiu; jeszcze nigdy nie czuł się tak przybity. Jedyne, co mógł robić, to modlić się, żeby jak najszybciej było już po wszystkim. Przez cały ten czas dostał tylko jedną wiadomość od Saiyo. Wróciła z ojcem do Kagoshimy, gdzie pan Ishikawa został mianowany gubernatorem.

Zrolował szkic, wróciwszy na werandę przyłożył go do oka jak

lunetę i przyjrzał się amerykańskim okrętom. Miały zwinięte żagle, nie było wśród nich ani jednego parowca. Zauważył w takielunku snajperów piechoty morskiej, a przy relingach rzędy uzbrojonych marynarzy gotowych do odparcia abordażu. Wytoczono działa, kanonierzy zajęli pozycje. Grupy oficerów obserwowały z mostków przez lunety miasto — pierwsze japońskie miasto, które widzieli w życiu. Flotyła sampanów i długich wiosłowych smoków okrążała wielkie cudzoziemskie okręty, setki następnych łodzi płynęły w ich stronę, a jeszcze inne odbijały od brzegu. Mungowi przypomniał się Guliwer i Lilipuci. Zbita masa łodzi kołysała się wokół Amerykanów niby gigantyczny kozuch wodorostów.

Odnął od oka prowizoryczną lunetę, rozwinął ją i ponownie spojrzął na szkic. Pogrzebał palcami w skórzanym woreczku u pasa. Trzymał w nim bambusową fajkę, przepięknie inkrustowaną srebrem, prezent od Saiyo, która w czasie ich krótkiego miodowego miesiąca nauczyła go palić. Na wspomnienie spędzonych z nią chwil uśmiechnął się do siebie. Matka podarowała jej książkę zatytułowaną „Rozkosze miłości dla nie wtajemniczonych”, na której przestudiowanie Saiyo poświęciła wiele długich godzin. Mung nie należał do nie wtajemniczonych, odkrył jednak, że kochanie się z Saiyo dostarcza mu fizycznych i duchowych przeżyć, jakich nigdy jeszcze nie doznał. Na to wspomnienie dreszcz przebiegł mu po plecach. Kiedy się kochali, myślał o bogach, których czcił, i o życiu pośmiertnym przez nich obiecwanym. Nie był w stanie wyobrazić sobie niczego wspanialszego niż subtelne pieśczęty Saiyo i niewinną rozkosz, której z nią zaznał.

Zwinął rysunek, wszedł do środka i usiadł przy *hibachi*, żeby się ogrzać. Postanowił nie zapalać fajki. Zamiast wciągać dym, zawsze przez pomyłkę wydmuchiwał maleńkie żarzące się drobiny tytoniu. Świadectwem tego były dziurki wypalone w jego ubraniu, matach i poduszkach.

Do pokoju weszli Yoshida i Ryochi. Nie zdejmując butów ani peleryn przeciwdeszczowych przykucnęli koło *hibachi*, żeby ogrzać dłonie.

— Wszystko załatwione — powiedział Yoshida. — Pan Hayoshi ręczy za twoje bezpieczeństwo. Mamy się natychmiast stawić na audiencję u szoguna.

— Nie wyglądasz na zadowolonego — zauważył Mung.

— Bo i nie jestem. Zostaliśmy zmuszeni do potwierdzenia całej twojej historii od momentu wylądowania na Riukiu. Doskonale ją już znali.

— No to co? — spytał Mung przenosząc wzrok z jednego na

drugiego. — Sami mówiliście, że szogun wszędzie ma szpiegów. Wiedzieliśmy, co nam grozi, i dlatego najpierw postaraliście się o gwarancje bezpieczeństwa. Bierzmy się do roboty. Chcę to jak najszybciej mieć za sobą i wracać do Kagoshimy. Ryochi zignorował uwagi Munga.

— Teraz to już bez znaczenia — mruknął. — Śledzono nas, kiedy tu wracaliśmy. Zakładaj pelerynę i idziemy.

Wyszli z domu. Natychmiast otoczyli ich samurajowie z herbami pana Hayoshiego na skrzydlatych hełmach. Żaden nie sięgnął do miecza, ale było zupełnie jasne, że stanowią zbrojną eskortę, mającą doprowadzić Munga i jego przyjaciół do siedziby szoguna.

Dziesięciokondygnacyjny dach górował nad całym centrum Edo, najludniejszego miasta Japonii. Zamek opasywał mur wysokości dziesięciu stóp, a grubości siedmiu. Wszędzie stali wartownicy z gwardii pałacowej w skrzydlatych hełmach i stalowych kolczugach z pełnymi napierśnikami i naramiennikami.

Kiedy weszli na dziedziniec, Mung usłyszał za plecami odgłosy szamotaniny. Gwardziści zabierali dokądś Yoshidę i Ryochiego. Jego samego wepchnięto do pałacu i nim zdążył pozbierać myśli, stał przed wejściem do sali audiencyjnej szoguna. W następnej sekundzie drzwi rozsunęły się na boki i potężny cios w plecy rzucił go na twarz. Usłyszał rozkaz, że ma czołgać się na brzuchu przed siebie. Wijąc się jak wąż, podpełzł na środek sali.

Po bokach siedzieli członkowie rady cesarstwa, na wprost wznosiło się podwyższenie z baldachimem umocowanym na czterech kolumnach. Przed każdą kolumną stał samuraj w pełnej zbroi, jeden w drugiego mierzyli ponad sześć stóp wzrostu. Pośrodku podwyższenia siedział szogun, rzeczywisty władca Japonii, pan Hotta. Siedział sztywno wyprostowany, prawą brew uniósł wysoko w górę, lewą opuścił. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie ciekawskiego starca, który lituje się nad światem, ale w czarnych, pozbawionych wyrazu oczach nie było śladu litości. Dziesięć stóp przed podwyższeniem kazano Mungowi się zatrzymać. Zastygł w bezruchu twarzą do podłogi, rozciągnięty na płask z rękami nad głową.

Jeden z członków rady podsunął się do niego na kolanach i krzyknął mu nad uchem piskliwym głosem:

— Czy Amerykanie użyją swojej broni?!

Mung zaczerpnął głęboko powietrza, żeby zapanować nad skurczami żołądka i jelit.

— Nie przypuszczam, chyba że zostaną do tego zmuszeni — odparł

słabo. — Amerykanie są z natury spokojniejsi ludźmi dopóki ich się nie rozdrażni.

— Dlaczego ryzykują? Czego chcą?

Mung zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi. Gdyby wyszło na jaw, że nie przetłumaczył władzom w Nagasaki wszystkich zeznań marynarzy, uznano by to za świadomą próbę zatajenia informacji przed szogunem.

— Nie wiem — odparł.

Głos starca wznosił się do drwiącego, przenikliwego pisku.

— To tamci rozbitkowie nie powiedzieli ci, że Amerykanie płyną do Edo negocjować w sprawie traktatu o handlu i pomocy?!

Milczał, obawiając się, że każda odpowiedź może się okazać zła.

— Czy też może umiesz dobrze tłumaczyć tylko panu na Satsumie?! Ale już nie szogunowi, któremu cesarz powierzył pieczę nad ludem i ziemią Japonii?!

Mung wtulił twarz mocniej w matę i zaczął bezgłośnie odmawiać modlitwę, której nauczył go przybrany brat, John Whiltefield „Zaprawdę, choć kroczę doliną cieni śmierci...” Był pewien, że lada chwila usłyszy brzęk wydobywanego z pochwy miecza. Piskliwy głos ciągnął z sarkazmem:

— Ten śmieć, który złamał prawo i przebywał w obcych krajach, chce, byśmy uwierzyli, że ostrzegając nas o intencjach Amerykanów wyświadcza Japonii przysługę! Jakby trzy okręty mogły obalić cesarstwo! — Starzec skłonił się do podłogi i wciąż na kolanach wrócił na swoje miejsce.

Szogun uniósł mały palec lewej dłoni. Dwóch gwardzistów chwyciło Munga za nogi i wywlekło go z sali audiencyjnej. Kiedy ciągnęli go korytarzem, ktoś zapytał po angielsku z silnym japońskim akcentem:

— Jak zdrowie, mój nauczycielu?

Mung podniósł wzrok i ujrzał grupę swych studentów ze Szkoły Tłumaczy oczekujących dopuszczenia przed oblicze szoguna. Odgiął głowę do tyłu, by nie walić szczęką o kamienne płyty. Powleczono go jeszcze kilkoma korytarzami, potem w dół długich kamiennych schodów i na koniec wrzucono do lochu wykutego w litej skale. Loch miał cztery stopy długości, tyleż szerokości i siedem wysokości. Samurajowie zasunęli grubą bambusową kratę i stanęli na straży.

W sali audiencyjnej szogun odprawił wszystkich członków rady poza dwoma — panem Hayoshim i panem Abim. Obaj pozostali na klęczkach przed podwyższeniem.

Na znak dany przez szoguna zażywny, wykształcony pan Abi powiedział:

— Każdą z próśb admirała Biddela należy rozpatrzyć osobno. Nie wolno lekceważyć ich uzbrojenia. Handel i zaopatrywanie w węgiel są nie do przyjęcia. Prośbę o udzielanie pomocy rozbitkom i ich odsyłanie należy z początku odrzucić. Odmówić także trzeba prawa chronienia się w naszych portach statków, którym grozi niebezpieczeństwo, a gdyby bardzo na to nalegali, niechętnie wyrazić zgodę. W razie poważnego zagrożenia użyciem broni możemy przystać na jedną stację zaopatrzenia w węgiel na jakiejś odludnej wysepce.

Pan Hayoshi wyprężył się jak struna. Na lśniącej, gładko wygolonej głowie wystąpiły mu żyły. Spojrzał z pogardą na pana Abiego.

— Żadnych ustępstw! — wycodził przez zęby. — Jeśli zgodzimy się choćby na jedno z ich żądań, jutro zjawią się tu z wyciągniętymi rękami Francuzi, Anglicy, Rosjanie i Holendrzy! Jeśli zmienimy jedną literę Edyktu o Izolacji, zaczną nas szarpać ze wszystkich stron! — Zaciśnął dłonie na rękojeściach swoich dwóch mieczy i dodał gniewnie: — Aż nas rozedrą na strzępy!

Szogun jeszcze wyżej uniósł prawą brew. Przeniósł spojrzenie z jednego członka swej rady na drugiego i prawie szeptem rozstrzygnął:

— Żadnych ustępstw. Żadnego oporu, dopóki barbarzyńcy nie zechcą zejść na brzeg. Jeśli cenią życie tak bardzo, jak twierdzą, powinniśmy im pozwolić ostrzelać nasze łodzie. Kiedy zabiją kilkuset rybaków, będziemy wiedzieli, czy mówią poważnie. Pan Hayoshi odpowiada za stronę wojskową, pan Abi za negocjacje. — Rozchylił usta w uśmiechu, ukazując wystające górne siekacze. — Ubrać starszego cechu rzeźników w strój prefekta. Przyjmie admirała Bidde-la. — A kiedy obaj zaufani doradcy dotknęli czołami podłogi, dodał: — I nie zabijać tego tłumacza. Zabawimy się z nim, kiedy będzie po wszystkim.

Amerykański admirał może popełnić błąd jedynie wtedy, gdy instrukcje, które otrzyma, są niejasne. Tak właśnie było z admirałem Jamesem Biddelem zimą 1852 roku. Rozkaz, jaki dostał z Departamentu Stanu, brzmiał: „Zawrzeć z władcą Japonii traktat o handlu, udzielaniu pomocy rozbitkom i zaopatrywaniu w węgiel parowców. Pod żadnym pozorem nie stosować siły, nie dopuścić do incydentów dyplomatycznych.”

Admirał Biddel niewiele wiedział o Japonii, jej mieszkańcach i ustroju. Doskwierał mu brak okrętów. Flota Wschodnioindyjska, którą dowodził, liczyła teoretycznie dwanaście okrętów bojowych i siedem zaopatrzeniowych. W rzeczywistości miał pod swym dowódz-

twem jedynie trzy okręty liniowe i dwa transportowce, a wśród nich ani jednego parowca.

Admirał zostawił dla bezpieczeństwa swe okręty zaopatrzeniowe na pełnym morzu i pewnego szarego, dżdżystego ranka rzucił kotwicę u wejścia do zatoki Edo. Wkrótce potem jego eskadrę otoczyła flotylla małych łodzi trzymających się w odległości około stu jardów.

Po południu od brzegu odbiła wielka rządowa barka używana przez prefekta Edo. Pod baldachimem na jej pokładzie, ubrany w strój prefekta, płynął starszy cechu rzeźników, zawodu szczególnie pogardzanego przez Japończyków. Obok niego, w przebraniu gońców, stali panowie Hayoshi i Abi. Dwaj samurajowie ze Szkoły Tłumaczy udawali gwardzistów, a trzeci wystąpił jako tłumacz z holenderskiego. Barka dobiła do burty okrętu flagowego admirała Biddela. Przy uroczystych dźwiękach gwizdków „prefekt” i jego świta weszli na pokład, gdzie przyjęto ich ze wszystkimi honorami.

Wróciwszy na barkę po wstępnych rozmowach z admirałem, doradcy szoguna zaczęli obmyślać, w jaki sposób pokrzyżować plany Amerykanom.

— To nie do wiaty! — powiedział pan Hayoshi. — Nie mają nikogo, kto by mówił po japońsku. A do tego są tak pewni, że nie znamy angielskiego, że bez skrępowania rozmawiają między sobą w obecności naszych tłumaczy. Ci Amerykanie są naiwni jak dzieci i nie mają pojęcia, jak się zabrać do sprawy. To dla mnie zupełnie jasne.

— Pamiętaj, proszę, panie, że ten tłumacz, Mung, trafnie przewidział ich żądania. Równie trafnie mógł oceniać siłę rażenia ich broni.

Pan Hayoshi machnął ręką, jakby odganiał muchę.

— Widziałem, jaki kaliber mają ich działa, ale ten, kto miałby wydać rozkaz otwarcia ognia, jest człowiekiem chwiejnym i niezdecydowanym, a to ma dużo większe znaczenie. Trudno by nawet powiedzieć, że ten Amerykanin czegoś żądał. W jego ustach zabrzmiało to raczej jak prośba.

— Wolałbym go zmusić do odplynięcia negocjacjami, niż wydawać mu bitwę — odparł pan Abi.

— Masz, panie, dwa dni na te swoje negocjacje. Potem ja wkraczam na scenę. Szogun chce jak najszybciej ich się stąd pozbyć. — Pan Hayoshi wstał i uderzył dłonią w rękojeść miecza — Dwa dni!

Pierwszym posunięciem pana Abiego było wydanie polecenia łodziom, by otoczyły ciasnym kręgiem każdy okręt z osobna, izolując je w ten sposób od siebie. Gdy Amerykanie nie zareagowali, wysłał admirałowi wiadomość, że dalsze rozmowy nie dojdą do skutku i że ma jak najszybciej opuścić zatokę. Ku jego zdumieniu Amerykanin

zaadresował swą odpowiedź do cesarza, zdradzając tym niedwuznacznie, że nie ma pojęcia o strukturze władzy w Japonii. Odmawiał opuszczenia portu, dopóki nie przeprowadzi rozmów z cesarzem lub jego przedstawicielem. Pan Abi rozkazał rybakom, by próbowali wdrzeć się na pokład okrętów, a także nękać Amerykanów na inne sposoby.

Tej nocy wachtę pełnili wszyscy marynarze, po ostatniego kuchcika. Dokonywali cudów, by udaremnić kradzież wszystkiego, co nie było na mur przyśrubowane do pokładu, a jednocześnie nie złamać zakazu stosowania siły. Nad ranem pan Abi przesłał admirałowi zaproszenie na barkę prefekta na spotkanie z wysłannikiem cesarza. Dowódca eskadry odmówił, żądając, by w celu zapobieżenia nieprzyjemnym incydentom powstrzymano najpierw cywilów od wdzierania się na pokłady jego okrętów. W odpowiedzi pan Abi zgodził się powściągnąć rybaków, dał jednak do zrozumienia, że przystąpi do tego szybciej, jeśli admirał przybędzie mimo wszystko na barkę. Aby ulżyć swoim ludziom, którzy przez całą noc i rano nie opuszczali stanowisk bojowych i padali z nóg z wyczerpania, James Biddel przystał na tę propozycję.

W oczach Japończyków Amerykanin stracił twarz już wtedy, gdy osobiście powitał wysłanników prefekta i pozwolił zwykłym rybakom wejść na pokład swoich okrętów. Kiedy wchodził na barkę, jeden z gwardzistów umyślnie go potrafił, omal nie wyrzucając za burtę. Na dworze szoguna jeszcze długo potem opowiadano sobie, że samuraj nie przyjął tego natychmiast życiem, a śmietanka towarzyska Edo prześcigała się w zapraszaniu owego gwardzisty na przyjęcia. Wśród intelektualistów większą wesołość budziła opowiadka o tym, jak wielki Amerykanin próbował siedzieć po japońsku, ze skrzyżowanymi nogami, i targował się gorączkowo z rze/nikiem. Kiedy wysłannik cesarza z miejsca odmówił prowadzenia negocjacji na jakikolwiek temat, admirała rzeczywiście poniosły trochę nerwy. Zaraz potem pan Abi sprytnym fortem osłabił siły Amerykanów o jedną trzecią. Powiadomił dowódcę eskadry o amerykańskich rozbitkach przetrzymywanych w Nagasaki i uprzedził go, że musi ich odebrać natychmiast, gdyż książę, w którego władzy pozostawali, niejednokrotnie stosował już karę śmierci przewidzianą dla cudzoziemców Kdyktem o Izolacji. James Biddel wysłał do Nagasaki USS „Preble”, nakazując dowódcy maksymalny pośpiech. Flotylla sampanów obiegała dwa pozostałe okręty. Teraz już wyraźnie dało się zauważyć, że do łodzi rybackich "dołączyły inne jednostki — barki bojowe z łucznikami, oddziałami ciężkobrajnych samurajów i sprzętem do abordażu.

Rankiem trzeciego dnia do kajuty pana Abiego wkroczył w pełnej zbroi pan Hayoshi. Skłonił się sztywno i powiedział:

— Twoje negocjacje, panie, nie powiodły się. Pora wybić do nogi tych cudzoziemskich dzieciuchów i puścić z dymem ich pływające zabawki.

— Pozwól mi wysłać jeszcze jeden list — poprosił pan Abi.

Pan Hayoshi uderzył pięścią prawej ręki w otwartą dłoń lewej.

— Stawiam w stan gotowości swoje oddziały! Ślij, panie, swój list. — I z chrzęstem zbroi opuścił baręk prefekta.

Ostatni list pana Abiego do admirała Biddela zawierał ostrzeżenie, że jeśli amerykańskie okręty nie przestaną natychmiast naruszać suwerenności Japonii, czeka je walna bitwa.

James Biddel z realizmem przyznał się przed sobą do wszystkich popełnionych błędów. Odpisał, że jest gotów podnieść kotwice, ale musi zaczekać na odpowiedni wiatr. W odpowiedzi spotkało go jeszcze jedno upokorzenie — kruche japońskie sampany wzięły na hol jego bojowe okręty i odciągnęły je na otwarte morze.

Zaprawiony w bojach weteran, admirał James Biddel, miał w zatoce Edo związane ręce. Sekcja Japońska Departamentu Stanu jeszcze wówczas nie istniała. Właśnie na skutek niepowodzenia misji admirała rząd Stanów Zjednoczonych utworzył tę sekcję i mianował jej pierwszym dyrektorem Williama Whittefielda.

W pałacu szoguna strażnicy wyciągnęli Mungu z lochu, zaprowadzili go do parującej wanny i wepchnęli do wody. Kiedy wyszorował się już do czysta, podali mu olejek jaśminowy, by zatarł nim resztki smrodu więziennej celi, i czyste białe ubranie. Zaprowadzili go do poczekalni przed salą audiencyjną szoguna, gdzie zastał kilku ludzi ubranych podobnie jak on oraz trupę aktorów i grajków. Dziwaczne kostiumy aktorów wydały mu się znajome. Ponieważ był samurajem, nie pozostawiono go z innymi, lecz wprowadzono od razu do sali audiencyjnej i tam nakazano czekać w kącie pod ścianą.

Przed szogunem i jego dworem występowali akrobaci, których wkrótce zastąpili muzycy i śpiewacy. Potem trupa aktorów odegrała pantomimę przedstawiającą pohańbienie Amerykanów. Dopiero teraz Mung rozpoznał w ich kostiumach groteskową imitację mundurów amerykańskiej marynarki wojennej. Niezwykle trafnie parodiowane przez aktorów ruchy wywoływały salwy śmiechu w gronie członków rady. Kiedy admirał zaczął się targować z rzeźnikiem w zakrwawionym fartuchu i kawałem surowego mięsa w ustach, zebrani chwycili się pod

boki ze śmiechu, a z oczu pociekły im łzy. Gwoździem programu była scenka potrącenia admirała, odegrana przez samuraja, który rzeczywiście to zrobił na barce prefekta. Doradcy szoguna złożyli inkrustowane złotem wachlarze i rzucili je aktorom.

Z przeciwległej strony sali wkroczyło czterech olbrzymów. Poza maleńkimi fartuszkami byli zupełnie nady — góry mięśni i tłuszczu. Zapaśnicy sumo skłonili się przed szogunem i ustawili w pary. Na matach podłogi wydzielono błękitnym jedwabnym sznurem krąg o średnicy piętnastu stóp. Pierwsza para weszła do środka. Stanęli naprzeciw siebie i przez kilka minut napinali i rozluźniali mięśnie, strojąc grymasy, które miały wystraszyć przeciwnika. Potem skłonili się i ze zwinnością zdumiewającą u ludzi tej postury poskoczyli ku sobie. Przez salę przetoczyło się plaśnięcie zderzających się ciał. Spleceni w uścisku giganci sapali i stękali, pot skapywał im z ogromnych ciał jak gęsty deszcz. Nagle jeden z nich wykonał szybki ruch, jego przeciwnik zachwiał się i został wypchnięty poza obręb koła. Na ring weszło dwóch następnych zawodników i po równie szybkim rozstrzygnięciu walki na matach obok sznura pozostali tylko dwaj zwycięzcy.

Przez salę przebiegł szmer podniecenia. W bocznych drzwiach ukazał się Chikamutsu, mistrz Japonii w sumo. Był jeszcze wyższy i potężniej zbudowany niż reszta zapaśników; każdy jego krok wydawał się zupełnie odrębnym zespołem ruchów, posuwających gigantyczne ciało do przodu. Człowiek-góra skłonił się szogunowi, a potem jednemu z zapaśników, który bez słowa wszedł do środka kręgu. Zaczął stroić grymasy, napinać i poluzniać mięśnie, gdy tymczasem Chikamutsu stał nieruchomo, patrząc na swego przeciwnika łagodnie jak wielkie ciele. Czuło się wyraźnie, że niższy zawodnik przegrał, jeszcze nim skoczył do przodu, i został wyrzucony za jedwabny sznur niczym worek ryżu. Drugi zapaśnik nie spisał się wcale lepiej.

Z poczekalni wprowadzono ludzi w białych bawełnianych chałatach, takich samych jak ten, który miał na sobie Mung. Ustawiono ich w rzędzie, a najmniejszego wepchnięto do kręgu wytyczonego sznurem z błękitnego jedwabiu. Drobny człowieczek padł na kolana, zaczął dygotać na całym ciele i z przerażeniem podniósł wzrok na górujące nad nim lśniące od potu ciele. Chikamutsu położył mu ogromną łapę na ramieniu, drugą na głowie i jednym szarpnięciem przekręcił ją. Mung z drugiego końca sali usłyszał trzask łamanego kręgosłupa. Człowiek w białym chałacie osunął się martwy na maty, służba wywlokła go za nogi poza jedwabny sznur.

Jako drugiego wepchnięto na ring największego i najlepiej zbudowanego

wanego skazańca. Mężczyzna przebiegł nerwowo w prawo, potem w lewo. Chikamutsu ani drgnął, wodził tylko za nim swymi cielęcymi oczyma. Skazaniec skoczył do przodu z rozczapierzonymi palcami dłoni, by mu te oczy wykluć. Chikamutsu postąpił szybko krok do przodu i złapał go w powietrzu. Zacieśniał uścisk, aż rozległ się chrupot miażdżonych kości, po czym wyrzucił martwe ciało poza krąg niczym zdechłego kurczaka.

W następnej chwili Mung poczuł, że ktoś chwyta go pod rękę. Strażnicy postawili go przed jedwabnym sznurem. Z grona doradców szoguna wysunął się na kolanach ten sam starzec, który oskarżał go przed wrzuceniem do lochu.

Sklonił się przed szogunem i krzyknął do Munga:

— Trochę przesadziłeś w tych swoich przepowiedniach zagłady! Zagrożenie ze strony Amerykanów okazało się zwykłym kłamstwem! Pogналиśmy psy, aż czmychnęły z podwiniętymi ogonami. Masz okazję zademonstrować nam, jak walczą Amerykanie. Wygrasz z Chikamutsu i jesteś wolny. Tak postanawia pan nasz, szogun!

W kamiennym lochu Mungowi minął strach przed śmiercią. W chwili, gdy porzucił wszelką nadzieję na przeżycie, poczuł się wolny jak jeszcze nigdy dotychczas. Albo spotka Saiyo w następnym życiu, albo zaczeka na nią w chrześcijańskim świecie pozagrobowym. Pogodził się ze swym przeznaczeniem.

Doradca odwrócił się, ale zatrzymał go głos Munga:

— Czy jeśli pokonam tego szlachetnego pana — użył najbardziej wyszukanej formy grzecznościowej — moi przyjaciele także odzyskają wolność?

Starzec spojrział na szoguna, który w kamiennym bezruchu powoli zamknął i otworzył ciemne, pozbawione wyrazu oczy.

Doradca wyciągnął rękę w stronę tyłu sali.

— Twoi przyjaciele będą świadkami rozstrzygnięcia ich losu. Masz go w swych rękach.

Mung dostrzegł jeszcze kątem oka Yoshidę i Ryochiego w otoczeniu strażników, po czym wepchnięto go do środka kręgu. Spojrział na stojącego po przeciwnej stronie Chikamutsu, który patrzył na niego jak krowa na kępkę młodej trawy. Ugiął nogi w kolanach, pochylił się do przodu i podniósł obie ręce na wysokość piersi. W myślach dokonywał błyskawicznego przeglądu wszystkich ciosów nogami, rękami i rzutów, jakie mógłby zastosować. Żaden nie byłby skuteczny wobec tego kolosa. Wyprostował się, trąc siodełko na złamanym nosie. I nagle przypomniał sobie opowieść swego brata o kappie, legendarnym stworzeniu z wgłębieniem na głowie. Kiedy namacał

palcami zgrubienie garbu, przed oczami stanął mu tamten Francuz na Hawajach. Zrobił krok do przodu i skłonił się do ziemi. Chikamutsu spojrział na niego z góry z tą samą cielecą łagodnością i powoli odpowiedział ukłonem na ukłon. Mung stanął pewniej na nogach. Kiedy kolos unosił głowę, Mung wziął zamach prawą ręką tak szeroki, że omal nie zerwały mu się ścięgna na szyi. Z całej siły, na jaką go było stać, rąbnął Chikamutsu prosto między oczy. Człowiek-góra zadrżał i zakołysał się na piętach. Mung cofnął się błyskawicznie kilka kroków, wziął rozbieg i wyskoczył w powietrze. Obiema nogami zadał mu potworny cios w twarz. Nie odzyskawszy jeszcze równowagi po uderzeniu między oczy, Chikamutsu zatoczył się w tył i wymachując rozpaczliwie rękami próbował utrzymać się na nogach. Potknął się o jedwabny sznur i zwałił na samuraja gwardii przybocznej szoguna. Obaj runęli na narożną kolumnę baldachimu, która złamała się jak słomka. Zwoje materiału ześliznęły się na podłogę. Mung spojrział na szoguna. Nie dostrzegł na jego twarzy ani śladu zaskoczenia, ani śladu jakiegokolwiek reakcji. Pozbawione wyrazu ciemne oczy patrzyły nieruchomo przed siebie, rozchylone usta przywodziły na myśl paszczę kobry. Gwardziści straży wyszarpnęli miecze i błyskawicznie otoczyli Munga.

— Stać! — dobiegł z końca sali czyjś władczy głos. Mnich, ten sam, który służył Mungowi za przewodnika w Satsumie, miał teraz na sobie zbroję z oznakami członka najwyższych warstw społecznych. Mung nie zdawał sobie sprawy, że człowiek ten jest zwierzchnikiem mnichów wojowników w całej Japonii. Dawny przewodnik podszedł dumnym krokiem do przodu i stanął z rękami zaciśniętymi w pięści na biodrach. Wygolona gładko głowa błyszczała z daleka, jego głos docierał do wszystkich zakątków sali.

— Szogun dał słowo! *Bushido* wymaga, by go dotrzymał! Nikt na tej sali nie tknie palcem tych trzech ludzi z Satsumy!

Jedyną reakcją, jaką Mung dostrzegł na twarzy szoguna, było lekkie poczerwienienie policzków i nieuchwytnie przymrużenie oczu. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przypominał węża wpatrującego się w swą ofiarę, gotującego się do uderzenia. Palce prawej dłoni wykonały krótki, wymiatający gest. Dziesiątki rąk wypchnęły Munga z sali.

Wartownik strzegący wejścia od strony poczekalni poderwał miecz, by rozplatać Munga na pół. Umarł, dusząc się własną krwią — w jego gardle utkwiał po rękojeść sztylet rzucony wprawną ręką mnicha wojownika. Kilku samurajów otoczyło Munga zwartym kręgiem, wyprowadzili go spieszenie na dziedziniec i przez bramę zamku na

ulicę. Yoshida i Ryochi już tam czekali, wyraźnie nie pojmując, co się dzieje.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia! — krzyknął mnich pokazując ręką wysypujących się za nimi z bramy samurajów. Ruszył biegiem, prowadząc ich ulicami stolicy szoguna, cały czas na południe, jak najdalej od zamku. Dopiero po czterech milach forsownego marszu zostawili za sobą ostatnie gęsto zamieszkane przedmieścia Edo.

Cała trójka padła bez tchu na ziemię, a mnich zapuścił się w las i po chwili wrócił! prowadząc za uzdy cztery wierzchowce. Ostatnim wysiłkiem wdrapali się na siodła i pognali za nim pełnym galopem. Kiedy się w końcu zatrzymali, zwierzęta toczyły pianę z pysków i chwiały się na nogach. Rozsiodłali je, zdjęli zwinięte maty do spania i popędzili zmordowane konie w głąb jakiegoś parowu. Usiedli, żeby się posilić.

Już pieszo ruszyli w stronę góry Fudzi i dalej na południe. Szli dwadzieścia dni i nocy. Mnich prowadził ich ukrytymi ścieżkami, z dala od oczu podróżnych i mieszkańców mijanych wiosek. Żywili się korzonkami, ziołami i grzybami. Na koniec zostawili za sobą lasy i góry i na ostatnich nogach dotarli do maleńkiej nadmorskiej kapliczki w prowincji Mikawa. Tam mnich dał im jeden dzień na odzyskanie sił, a sam w tym czasie załatwił łódź i przewodnika do Satsumy. Po czym bez słowa pożegnania zniknął, jakby się pod ziemię zapadł.

Wyłynęli z zatoki w bezksiężycową noc, kierując się od razu na otwarte morze, w stronę Kiusiu. Następnego dnia odczekali do zapadnięcia zmroku i dopiero wtedy dobili do brzegu w pobliżu portu Ichiki. Stamtąd przewodnik poprowadził ich na przełaj przez wyspę do Satsumy.

W sali zamku w Satsumie pan Nariakira i Sakuma Shozan po raz kolejny przyjęli Munga, Yoshidę i Ryochiego. Te narady trwały już trzy dni, ciągnęły się całymi godzinami. Wszyscy razem próbowali jak najtrafniej ocenić skutki niepowodzenia misji admirała Biddela.

— W oczach całego Edo Amerykanie zupełnie stracili twarz — przemówił pan Nariakira. — To znacznie wzmocni pozycję szoguna. Nas, zwolenników cesarza, postawiło to w bardzo trudnej sytuacji. — Spojrzał na sędziwego uczonego. — Sakuma Shozan przychyła się do poglądu Munga, że amerykańskie okręty rzeczywiście miały przewagę siły ogniowej, natomiast chwiejne dowództwo. Mimo to szogun odegnał żdźbłem słomy amerykańskiego orła. Ta demonstracja siły przeciągnie na jego stronę wszystkich dotychczas niezdecydowanych. — Wstał i opuścił komnatę.

Błada, przezroczyta skóra zwisała Sakumie Shozanowi na wychudłych policzkach. Powieki miał zaczerwienione, z ciemnych oczu biło zmęczenie.

— Pięćdziesiąt lat temu zostałem naczelnym skrybą dworu w Satsumie. — Powoli wytarł ślinę z kącików ust. — Całe życie poświęciłem przywróceniu władzy cesarzowi. Teraz widzę, że nie doczekam dnia, kiedy to nastąpi. — Spojrzał na Yoshidę i Ryochiego. — Od tej chwili obaj pozostaniecie u mego boku. Ty, Yoshido, zastąpisz mnie wkrótce na stanowisku osobistego doradcy pana Nariakiry i przełożonego szkoły. Ryochi znacznie studiować wiedzę wojskową z ksiąg, które wybrałem, głównie spośród dzieł przetłumaczonych przez Munga w Nagasaki. A ty — zwrócił się do Munga — zostajesz niniejszym mianowany pierwszym zastępcą gubernatora Kagoshimy, twego przybranego ojca. Jedź do domu — dodał z uśmiechem — do swej młodej żony. Poświęć jej więcej czasu. Niedobrze jest zostawiać młodą kobietę samą.

Mung pożegnał się i popędził co koń wyskoczy do Saiyo. Choć spieszył się jak mógł, posłaniec księcia Nariakiry dotarł do Kagoshimy przed nim. Czekano już na niego na rogatkach miasta. Po zmianie konia zaprowadzono go na zbocze góry poza granicę zniszczeń, których dokonały fale tsunami. Tam przewodnik zostawił go na ścieżce prowadzącej do domku z widokiem na zatokę. Na werandzie, z dłońmi złożonymi na wysokości piersi, stała Saiyo. Kiedy podjechał bliżej, ujrzał na jej twarzy uśmiech. I jedną łzę, która stoczyła się po policzku. Saiyo skłoniła się nisko.

— Cieszę się, że cię widzę, mężu mój — powiedziała. — Mam nadzieję, że czujesz się dobrze.

Mung odwzajemnił ukłon.

— Tak, teraz, kiedy wróciłem do domu, czuję się dobrze. Długo mnie nie było i przez cały ten czas tęskniłem do ciebie.

— A ja do ciebie. Masz za sobą długą, męczącą podróż. Kąpiel już czeka.

— Czy zechcesz mi w niej towarzyszyć?

— Drżałam z obawy, że mnie o to nie poprosisz.

W łaźni rozebrali się, całą siłą woli powstrzymując się, by natychmiast nie paść sobie w objęcia. Stanęli naprzeciw siebie i weszli do parującej wanny. Zanurzyli się powoli po szyję w gorącej wodzie, ich kolana zetknęły się ze sobą. Saiyo wzięła do rąk dwie kostki pachnącego mydła i podała jedną Mungowi. Namydliła ręce, aż pokryły się gęstą pianą, i zaczęła nacierać mu kark i ramiona, a on poszedł za jej przykładem. Potem wstała, jej małe piersi zawisły na wysokości jego

oczu. Rozgrzana kąpielą złocista skóra płonęła żądzą jego pieśczoł. Powoli namydliłi nawzajem całe swe ciała. Wyszli z wanny i splekli się w uścisku, ocierając się o siebie śliskimi ciałami, aż wszedł w nią po samą nasadę członka, a ona uniosła nogi, by przytrzymać go w sobie. Zadrżał cały i po tym jednym pchnięciu eksplodował ładunkiem nasienia. Ale nie puścił jej z objęć. Nabitą wciąż na swą pulsującą męskość, zaniósł na matę i tam kochał się z nią dalej, wciąż i wciąż od nowa. Saiyo zdawała się znać wszystkie sposoby dostarczania mu rozkoszy, a i on zaspokajał jej najbardziej intymne pragnienia, upajając się? J'J jękami i konwulsyjnymi dreszczami.

Zsunął z żony jedwabną narzutę i powiódł spojrzeniem po jej nagim ciele, chłonąc jego piękno i wdzięk. Pudło z farbami stało w kącie pokoju. Ułożył Saiyo na prawym boku, z ręką za głową, z lewym biodrem odchylonym do tyłu, by ukazać czarny trójkąt u zbiegu jej ud. Chwycił pędzel i zaczął malować jej akt na jedwabiu rozsuwanych drzwi. Za każdym razem, gdy napotykali swój wzrok, szybkie i śmiałe pociągnięcia pędzla ulegały gwałtownemu spowolnieniu. Kiedy tak spoglądał na nią i malował, ruchy pędzla podziały na oboje erotycznie. Ujrzał, że jej jedwabisty brzuch zaczyna unosić się i opadać, sutki piersi nabrzmiały. Między własnymi nogami poczuł kołyszającą się ciężko twardość. Usta Saiyo rozchyliły się, jej oczy przyzywały go do siebie. Rzucił pędzel na podłogę i podbiegi do łoża.

Nazajutrz po śniadaniu Saiyo wskazała symboliczną niszę w ścianie, którą w każdym domu rezerwowano dla cesarza.

— Czekałam na twój powrót z urzędzeniem *tokonamy*.

— Całe szczęście, że *mikado* nas w tym czasie nie odwiedził.

Oboje roześmieli się.

— Namaluję kwitnącą morelę.

— A ja ułożę bukiet z leśnych kwiatów.

Saiyo nie odstępowała Munga, gdy malował na ścianach ich domu krzewy forsycji, jabłonie i wszystkie inne kwitnące drzewa, jakie tylko sobie zamarzyła.

Jedyna innowacja wprowadzona przez Munga w domu ugrunтоваła jego reputację ekscentryka, jaką się cieszył w mieście. Zbudował mianowicie toaletę. Wielu ciekawskich śledziło, jak kopie dół, wykłada go kamieniami, przykrywa deskami i darnią. Do starych dowcipów o toaletach na statku wielorybniczym przybyły nowe, w których najczęściej nazywano ją spiżarenką gówna. Kiedy robota dobiegła końca, Saiyo zaprosiła gości. Chyba nikt z zaproszonych nie odmówił sobie przyjemności skorzystania z wygodki.

Z nadejściem wiosny zaczęli wypuszczać się na spacerzy wzdłuż

plaży, po górskich zboczach, po strzelających świeżą zielenią lasach. Komponowali wiersze nawzajem dla siebie i na cześć przyrody. Kiedy rozkwitło wiosenne kwiecie, rozkwitła i Saiyo. Oczekiwała dziecka.

Teraz nie oddalali się już zbyt od domu, ograniczyli się do spacerów po pobliskim zagajniku czerwonych sosen i łąkach koniczyny. Saiyo, wzorowa żona, nie szczędziła wysiłków, by uprzyjemnić życie mężowi. Oboje chronili każdą chwilę spędzoną razem jak najcenniejszy skarb.

Przy pomocy ogrodnika pana Ishikawy Mung założył dla Saiyo ogródek skalny. Rozmieścili kamienie pieczołowicie wedle planu ogrodnika i bambusowymi rurami doprowadzili wodę z pobliskiego strumienia. Melodyjny szmer ściekającej po kamieniach wody dzień i noc pieścił ucho. W miejscu, gdzie woda rozlewała się w sadzawkę, Mung zasadził płaczącą wierzbę. To mu przypomniało Amuleta; opowiedział Saiyo jego historię. Na jej prośbę zdał także szczegółowe sprawozdanie ze swego pobytu w Edo i długiej morderczej podróży do domu. Nie powiadamiając go o tym, spisywała dzień po dniu wszystkie jego wyczyny, dzięki czemu wieści o nich nie zaginęły i z biegiem czasu obrosły ludową legendą.

Często odwiedzał ich pan Ishikawa. Objąśniał Mungowi polityczną, społeczną i ekonomiczną strukturę Japonii. Saiyo przysłuchiwała się z boku, ale nie odzywała się ani słowem, dopóki ojciec nie odszedł. Dopiero wtedy dyskutowała z Mungiem możliwość zaszczepienia w Japonii amerykańskiej idei demokracji. Wymyślili sobie zabawę w czasy, kiedy wszyscy Japończycy będą równi; Mung grał rolę kogoś z klas niższych, Saiyo z wyższych. Zawsze było przy tym dużo śmiechu.

— Cześć, stary koniu! — mówił Mung kupiec. — Jak leci?

— Dla twego własnego dobra udam, że nie słyszałem, coś powiedział, ty próżniaku — odpowiadała Saiyo rękodzielnik. — Dlaczego to nosisz takie wytworne kimono i *obi*.

— Bo mam ryż i mogę sobie na to pozwolić.

— A jak się tego ryżu dorobiłeś?

— Na takich niedołęgach jak ty.

W tym momencie Saiyo podchodziła na paluszkach do nie istniejącego gubernatora i niby to szepcząc mu coś na ucho, pokazywała palcem Munga. W następnej chwili przeistaczała się w owego gubernatora, podciągała odrobinę kimono i chodziła energicznym, rozkołysanym krokiem samuraja. Mierzyła Munga ostrym spojrzeniem od stóp po głowę i rzucała szorstko:

— Dowód tożsamości!

Mung wyciągał wyimaginowaną drewnianą tabliczkę i podawał ją z uśmiechem.

— Jestem kupcem.

Saiyo, odrzucając głowę do tyłu i zadzierając podbródek, opierała zaciśnięte pięści na biodrach.

— Raczej byłeś! — stwierdziła z drwiną w głosie i naśladując wyniosły ton rozkazu dodawała: — Niniejszym konfiskuję cały twój majątek!

— Ależ ja jestem człowiekiem! — protestował błagalnie Mung. — A wszyscy ludzie są równi!

— Nigdy nie byłeś w pełni człowiekiem, a na pewno nie jesteś równy innym ludziom, bo nie masz już głowy! — krzyczała Saiyo, biorąc zamach wymyślonym mieczem i zaśmiewając się w głos, padała Mungowi w ramiona.

Jedyną rolę, której nigdy nie potrafiła zagrać, była rola amerykańskiej herod-baby, która wymachuje pięścią i wydziera się na swego męża. Jeszcze nim przystąpiła do odgrywania tej scenki, chwyciła się za brzuch ze śmiechu, rozbawiona jej absurdalnością.

W miarę zbliżania się rozwiązania zaokrągliła się na twarzy i rozkwitła urodą, tak że każdy, kto ją widział, od razu zwracał na to uwagę. Mung z największą radością wysłuchiwał komplementów, potwierdzających to, co sam widział za każdym razem, kiedy na nią spojrział.

Dziesięć tysięcy mil od nich rozłąka innego młodego małżeństwa miała poważnie wpłynąć na los Munga, Saiyo i przyszłość Japonii.

ROZDZIAŁ 14

John Whitefield i Beth Spaulding przeszli w Annapolis szpalerem kadetów krzyżujących szpady nad ich głowami. Natychmiast po ślubie, który zbiegł się z ukończeniem studiów przez Johna, wyjechali do Nowego Jorku, gdzie świeżo upieczony porucznik marynarki otrzymał przydział do sztabu komodora Matthew Calbraitha Perry'ego. Przez dwa lata prowadzili światowe życie, uczęszczali na koncerty i mecze sportowe, bywali w muzeach i na wystawach. Włączyli się w wir przyjęć towarzyskich i balów kostiumowych. John już dawno nauczył się zgrabnie i pewnie trzymać filiżankę do herbaty. Brał też czynny udział w dyskusjach politycznych, jakim z upodobaniem oddawali się w czasie tych spotkań wszyscy ludzie komodora Perry'ego.

Kiedy ich syn, Jeffrey, skończył trzy miesiące, John otrzymał rozkaz wypłynięcia z komodorem. Choć z żalem rozstawał się z żoną i synkiem, ledwie mógł się doczekać, kiedy stanie na pokładzie okrętu liniowego. Ciągnęło go na morze. Tyle lat nauki poświęcił, by przygotować się na nadejście tego dnia.

Zarówno on, jak i Beth pochodzili z marynarskich rodzin. Często rozmawiali o służbie na morzu, ale były to rozmowy dość abstrakcyjne. Beth nie dopuszczała do siebie myśli, że pewnego dnia i jej mąż będzie musiał wypłynąć. Kiedy ten dzień nadszedł, była zupełnie rozbita.

— Jak ja usnę, jeśli się do ciebie nie przytulę. — pytała. — Jak ja przeżyję bez twoich pocałunków i twojego uśmiechu?

Przytulił ją do siebie i scałował jej łyzy z policzków.

— Moja kochana... Nie płacz... Och, proszę cię, nie płacz... Wiedzieliśmy, że kiedyś nas to spotka. Nasi rodzice przeżyli nie takie rozłąki.

— Nie będzie cię ponad rok — szlochała mu na piersi. — Jeff zacznie już mówić i chodzić.

John potarł ją z miłością brodą po głowie.

— Będiesz mu o mnie opowiadać?

— Będę, kochanie.

— Powiedz mu, że go kocham, i naucz go mówić nie „ojciec”, ale „tata”.

— Dobrze — obiecała przez łzy.

— Och, Beth, Beth... — uspokajał ją, głaszcząc po złocistych włosach. — I u ciebie, i u mnie ojciec więcej czasu spędzał na morzu niż w domu. Może dzięki temu ceniliśmy go sobie z matką bardziej niż rodziny, gdzie obecność ojca uważana była za coś zupełnie normalnego.

Zagryzła wargę w kąciku ust i otarła oczy.

— Masz rację. Masz rację. Chyba rzeczywiście nie wyrosliśmy na ostatnie ladaca.

Roześmieli się oboje; przytulił ją mocno do siebie, ale zabębniła mu pięściami w pierś, a w oczach znów zakręciły jej się łzy.

— Dlaczego mnie bijesz?

— Lepiej niż ktokolwiek inny znam twoje potrzeby fizyczne — załkała w chusteczkę do nosa. — Marynarze chyba nazywają to jurność.

— Jurność?! — powtórzył i parsknął śmiechem.

— Przestań się śmiać! Musisz przyznać, że jesteś bardzo aktywny seksualnie.

— Skoro tak, to ty też jesteś dość jurna.

— No wiesz! — Tupnęła nogą i z ust wyrwały jej się słowa: — Nie myśl, że nie słyszałam o tych śniadych Hawajkach i pięknych Chinkach!

John objął żonę ramionami, ale nim ich usta się zetknęły, przed oczami przemknęły mu Hawajki z Waikiki i czarująca dziewczyna z Kantonu.

— Wiesz co, Beth? — mruknął. — Bierzmy się do roboty, żeby w dniu wyjazdu nie została mi już ani kropla jurności.

Po doświadczeniach admirała Biddela, któremu pośpiech i brak okrętów uniemożliwiły wykonanie zadania, komodor Perry uzyskał pełne poparcie Daniela Webstera, członka senatu Stanów Zjednoczonych. Dano mu wolną rękę w wyborze okrętów i prezentów, a rozkazy, które otrzymał od prezydenta Miliarda Fillmore'a, były zupełnie jasne:

Rząd Stanów Zjednoczonych pragnie:

1. Zapewnić trwałą ochronę amerykańskim rozbitkom, a także statkom zagnanym przez nie pogodę do japońskich portów;

2. Uzyskać dla amerykańskich statków pozwolenie zawijania do portów Japonii w celu uzupełnienia zapasów żywności, paliwa, wody oraz/lub w wypadku katastrofy przeprowadzenia remontów umożliwiających kontynuowanie podróży;

3. Uzyskać pozwolenie zawijania do jednego lub kilku portów w celu sprzedaży lub wymiany przywożonych towarów.

Ustne instrukcje prezydenta brzmiały: „Proszę im jasno wytłumaczyć, że Stany Zjednoczone nie są częścią ani nawet sojusznikiem Imperium Brytyjskiego ani żadnego innego europejskiego mocarstwa. Niech pan im wyjaśni, że liczba ludności Stanów Zjednoczonych gwałtownie wzrasta, że kraj szybko się bogaci, że Kalifornię dzieli od Japonii tylko dwadzieścia dni parowcem, że Pacyfik już wkrótce zaroi się od naszych statków i nawet ograniczona wymiana handlowa będzie dla nas obopólnie korzystna. Gdyby jednak po wyczerpaniu wszystkich argumentów i środków perswazji nie zdołał pan nakłonić Japończyków do żadnych ustępstw, zmieni pan ton i powiadomi ich, że jeśli od tej chwili obywatele Stanów Zjednoczonych doznają jakichkolwiek okrucieństw, czy to ze strony ich rządu, czy też mieszkańców Japonii, zostaną srogo pomszczeni.”

John Whitefield, jako jedyny tłumacz z japońskiego, wpadł w wir pospiesznych, lecz bardzo starannych przygotowań do wyprawy. Przeprowadzono rozmowy ze wszystkimi marynarzami i dowódcami okrętów, którzy mieli jakiegokolwiek informacje na temat Japonii. Silas Bent i Mercator Cooper byli więźniami Japończyków i obu udało się zbiec, jednemu z Hokkaido, drugiemu z Honsiu. Potwierdzili, że niemal cała literatura o Japonii to czyste wymysły i fantazja, ale ich wiadomości o sytuacji politycznej, ekonomicznej i wojskowej w tym kraju okazały się bardzo skąpe.

Amerykański ambasador w Holandii wszedł sobie znanymi sposobami w posiadanie kopii dziennika niemieckiego lekarza, doktora Philipa von Siebolda. Doktor Siebold, udając jednego z członków holenderskiej delegacji z Deshimy, która w roku 1X24 złożyła doroczny trybut szogunowi, pozostał w Fklo i przez sześć miesięcy nauczał tam medycyny. Jego dziennik przesłano do Kanionu, by czekał na komodora Perry'ego i jego Eskadrę Wschodnioindyjską.

Komodor Perry opuścił Stany Zjednoczone w marcu 1853 roku. Pełną parą opłynął przylądek Horn, mijając się o kilka tygodni

z człowiekiem stanowiącym najświeższe źródło informacji o Japonii, Haroldem MacDonalodem. Po zabranii go z Nagasaki USS „Preble” wiozł go do Stanów szlakiem wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

Na Hawajach do Eskadry dołączyły trzy dalsze jednostki. John miał bardzo niewiele czasu, by odnowić swą przyjaźń z wielbnym Damonem, obejrzeć odbudowany kościół, piękne, rozrastające się szybko Honolulu i plac nazwany imieniem doktora Judda. Odwiedził pensjonat Mamy. Prawie się nie zmieniła, może przybyło jej trochę siwych włosów, ale nadal nosiła ten sam pas na pieniądze i zatknięty zań pistolet i ani na jotę nie zmodyfikowała zasad pobytu pod jej dachem. Rozmawiali o Mungu, o Pistchianim i Benie, o których śmierci właśnie od Munga się dowiedziała.

Większość czasu spędził jednak w wiosce rozbitków z Japonii, doskonaląc znajomość ich języka. I codziennie wytrwale odczytywał odpowiedni ustęp z Biblii, starannie dostosowując porę czytania do czasu obowiązującego w Waszyngtonie, gdzie Beth w tym samym momencie odczytywała ten sam fragment. Te chwile czytania Biblii pozwalały mu się czuć bliżej żony i synka i czyniły rozłąkę z nimi bardziej znośną.

Eskadra wypłynęła z portu w Honolulu i wzięła kurs na wyspy Riukiu. Komodor zdawał sobie sprawę, że archipelag ten znajduje się pod protektoratem Japonii, toteż wysłał na ląd oficjalne zawiadomienie o swym rychłym przybyciu do Edo. Tylko część floty zakotwiczył w zasięgu wzroku z wysp, a zapasy drewna, świeżych owoców i warzyw uzupełnił posługując się łodziami.

Następnie zapuścił się w Cieśninę Formoską. Amerykańscy wielorybnicy i marynarze ze statków handlowych od lat skarżyli się na piratów operujących z portów Tajnan i Kaosiung na wielkiej przybrzeżnej wyspie należącej do Chin. W obu portach komodor zastosował tę samą taktykę. Po salwie z dział, która pozbawiała dachów największą pagodę, wysyłał na ląd oddział piechoty morskiej pod dowództwem Johna Whittefielda. John ustawiał swych żołnierzy w szyku na plaży, po czym żądał od naczelnika miasta wskazania osób parających się piractwem. Jeśli naczelnik się wahał, John dawał znak i następna salwa dział „Susquehanny” pozbawiała dachu kolejną pagodę. Tym sposobem w krótkim czasie uwięziono większość piratów, by przekazać ich potem władzom chińskim w Kantonie.

Kiedy eskadra wpłynęła na Rzekę Perłową, oczom Johna znów, po tylu latach, ukazał się fort Tygryśich Wrót i zatoka, gdzie brytyjskie statki stoczyły bitwę z chińskimi dżonkami wojennymi i walczącymi smokami. Jak przedtem wszystkie brzegi oblepiało mrowie

mieszkalnych sampanów. W porcie czekały na eskadrę dwa dalsze okręty marynarki wojennej.

Stojąc na górnym pokładzie John przeszukiwał wzrokiem tłum na nabrzeżu, aż dostrzegł znajomą sylwetkę Jake'a Tillima w luźnym surducie do połowy uda i panamie na głowie, z nie zapalonym cygarem w kąciku ust. Kiedy Whittefield zszedł na ląd, na wiele godzin pogrążyli się we wspomnieniach, a potem John udał się na zwiedzanie miasta rikszą, nowym, wygodniejszym wynalazkiem Brytyjczyków, który wyparł tradycyjne palankiny. Kupił stroje, wyroby z laki i kilka innych pamiątek na prezenty dla Beth, synka i pozostałych członków rodziny.

Oficerów i marynarzy ostrzeżono, by nie wypuszczali się poza Kanton. W prowincji Kwan-si objawił się samozwańczy mesjasz, Hsui-chuan, szaleniec albo mistyk, uważający się za młodszego brata Jezusa Chrystusa. Po dwóch latach nauki w misji protestanckiej zinterpretował poznane prawdy w dogodny dla siebie sposób i wzniecił właśnie chłopskie powstanie przeciwko rządowi. Jego celem było ustanowienie Królestwa Bożego na ziemi.

Kilka dni później Jake Tillim wpadł o trzeciej nad ranem do admirałkiej kajuty komodora Perry'ego. Jeden z jego chińskich agentów doniósł mu, po sześciu godzinach nieprzerwanego biegu, że amerykański parowiec „Mildred R.” osiadł na mieliźnie i został otoczony przez fanatyków szerzących wieści, jakoby na pokładzie znajdowało się opium. Sam Hsui-chuan był już w drodze, by osobiście poprowadzić tłumy do ostatecznego natarcia.

Komodor rozkazał Johnowi załadować piechotę morską na „Vandalie” i wziąć udział w akcji ratunkowej. Gdyby okazało się, że „Mildred R.” rzeczywiście przewoziła opium, miał wrócić z jej kapitanem i załogą w dybach. Jake Tillim zaofiarował się wystąpić w roli przewodnika i tłumacza, co zostało przyjęte z wdzięcznością.

„Vandalia” podniosła kotwicę. Nabierając prędkości minęła nawodne dzielnice sampanów, skręciła ostro na zachód i popłynęła środkiem nurtu w górę rzeki.

Firma „Park & Lesser” zakupiła „Mildred R.”, angielski parowiec o małym zanurzeniu, do handlu wzdłuż rzek na południu Chin. Kapitan wpływał dziobem na brzeg w najgęściej zaludnionych rejonach, spuszczał trap i pozwalał kupcom i chłopom wejść na pokład z towarem na sprzedaż. Po zawarciu transakcji płacił gotówką lub kwitami kredytowymi, za które można było kupować wszystko, co sam wyłożył na pokładzie. Te objazdowe targi trwały od kilku godzin do tygodnia.

Teraz statek ugrzązł na błotnistej mieliźnie czterdzieści pięć mil od Kantonu. Handel ustał, a przywódcy nowej religijnej sekty podzegli

tłum. Normalnie w takiej sytuacji „Mildred R.” dałaby całą wstecz i po prostu zostawiła za sobą swe kłopoty, ale tego dnia poziom rzeki opadł w ciągu dwóch godzin o trzy stopy. Nie było to nic niespotykanego, tyle że wobec narastającego podniecenia tłumu kapitan większą uwagę zwracał na to, co się dzieje wokół statku, niż na poziom wody. Kiedy wydał rozkaz odbicia, parowiec dosłownie odszedł od brzegu na łopatkach swych wielkich kół napędowych, nie zdołał jednak pokonać błotnistej przybrzeżnej mielizny’-

Kapitan spuścił za burtę pokładowych kulisów, by oskardami i łopatami przekopali przez mieliznę kanał do rzeki. Tłum obrzucił ich kamieniami, kępami darni i stekiem wywisk, z których najłagodniejsze brzmiało „zdrajcy”. Połowa kulisów zbiegła na brzeg i dołączyła do tłumu, zabierając ze sobą narzędzia warte więcej, niż wynosiła ich miesięczna płaca. Druga połowa pospieszenie wdrapała się z powrotem na pokład parowca. Kapitan próbował przemówić zgromadzonym na brzegu do rozsądku, zapewniał, że nie ma na pokładzie ani grama opium i oferował dobre wynagrodzenie wszystkim, którzy zechcą pomóc wyprowadzić statek na wodę, ale prowodyrzy ani chcieli o tym

A tłum rozrastał się i gęstniał. Wieści rozniosły się po całej okolicy. Ze wszystkich stron ściągały nowe grupy mężczyzn, z których wielu uzbrojonych było w drewniane dzidy, proce, noże i muszkiety. Kiedy z brzegu rzeki padło kilka strzałów, reszta kulisów wyskoczyła w popłochu za burty i po pas w błocie rozpełzła się na wszystkie strony, byle dalej od statku. Kapitan rozdzielił między załogę i pasażerów całą broń, jaką dysponował, kilka pistoletów, strzelb, szabli i bosaków, i polecił wszystkim przygotować się do obrony.

Pierwszy szturm wydawał się niemal jakąś miejscową odmianą zabawy. Setki atakujących puściły się biegiem w stronę statku i jak małe dzieci zaczęły się ślizgać, przewracać i taplać w sięgającym po kolana błocku. Kiedy kapitan uruchomił syrenę okrętową, wystraszeni hałasem Chińczycy zawrócili spieszenie na brzeg, gdzie jeden przez drugiego zaczęli się naśmiewać z własnego strachu. Wciąż napływali nowi chłopcy i tłum nagle przestał być łagodny. Z brzegu posypał się grad kul z muszkietów, przynosząc pierwsze straty na statku. Zginął jeden z marynarzy, jeden pasażer został ranny. Kapitan rozkazał wynieść z ładowni worki ryżu i bele bawełny i ustawić z nich barykadę wzdłuż relingu. Przez całą resztę dnia przypuszczano coraz groźniejsze ataki na statek, próbując wdrzeć się na jego dziób. Wszystkie zostały odparte, ale z każdym szturmem napastnicy nabierali pewności siebie, a obrońcy słabli. Zdobycie „Mildred R.” było tylko kwestią czasu.

Przywódcy tłumu wysłali wiadomość do Hsui-chuana, którego kwatery znajdowała się pięćdziesiąt mil dalej. Nowy prorok uznał, że parowiec rzeczny nada jego krucjacie przeciwko rządowi Chin nowy wymiar. Ruszył nad rzekę ze swymi rycerzami Boga. Na brzeg dowiozło ich siedemdziesięciu pięciu riksarzy, pędzących co tchu. Sześciu z nich zmarło z wycieńczenia, ale Hsui-chuan pokonał dystans ze średnią prędkością czternastu mil na godzinę. Po przybyciu na miejsce o trzeciej nad ranem natychmiast zarządził szturm generalny.

Ze statku brzeg rzeki wyglądał, jakby go obsiadła chmara ogromnych robaczek świętojańskich. To były pochodnie, którymi już wkrótce pierwsza grupa atakujących obrzuciła dziób. Druga fala napastników zwarła się z obrońcami płonącego pokładu w walce wręcz. Kapitan statku zginął odpierając atak rozszalałej tłuszczy. W jego ciele utkwili tyle drewnianych dzid, że zawisł wśród płomieni jak prosię pieczone na ruszcie. Śwąd palącego się ciała poderwał pasażerów i załogę do walki. Zdołali odeprzeć atak.

Pożar zmusił obrońców do wycofania się na rufę, gdzie schronili się za barykadą z worków ryżu. Przed świtem przeprowadzono jeszcze dwa szturmy od strony rzeki, z sampanów, ale te udało się odeprzeć bez trudu, a napastnicy ponieśli ciężkie straty.

Pierwszy brzask ukazał zwały trupów zaścielające pole wokół zwęglonego, tłącego się dziobu „Mildred R.". Trzy czerwone race strzeliły wężykami w niebo i botnista nizina zaroila się tysiącami uzbrojonych mężczyzn, pędzących z wrzaskiem w stronę parowca.

Patrzącym z pokładu „Vandalii" wydawało się, że przybyli za późno. Po drodze minęli kilka trupów spływających w dół rzeki. Nim zobaczyli kłęby czarnego dymu, bijące z dziobu statku, dostrzegli na niebie czerwone smugi rac. Kiedy wreszcie ujrzeli rzeczny parowiec, jego pokład szczelnie oblepiali uzbrojeni Chińczycy. To John Whittefield wypatrzył obrońców — mężczyzn, kobiety i dzieci — przypartych do rufowego relingu na dolnym pokładzie, za wysoką barykadą. Napastnicy strzelali w dół z górnego pokładu i rzucali dzidy ponad workami ryżu. „Vandalia" zbliżyła się pełną parą.

— Panie kapitanie — powiedział John Whittefield — czy może pan dać ognia z dział?

— Owszem, ale nie na tyle precyzyjnie, żeby wspomóc tych biedaków na rufie.

— Ale przynajmniej podtrzyma ich pan na duchu.

Działa „Vandalii" huknęły donośnie, jedno po drugim. Chińczycy szturmujący rufę zawahali się, niepewni, czy znaleźli się pod ostrzałem,

czy nie. John uformował swój oddział na dziobie „Vandalii” prującej muliste, brązowe wody rzeki.

Trzeci oficer podawał monotonicznie odległość między oboma statkami:

— Tysiąc jardów i maleje... Dziewięćset jardów i maleje...

Żołnierze piechoty morskiej popuścili skórzane paski karabinów i naciągnęli spiczaste czapki na prawe ucho, żeby nie przeszkadzały im w celowaniu. Przyjęli kłęczną pozycję strzelecką.

— Siedemset jardów i maleje...

— Cel, napastnicy na górnym pokładzie! — padła komenda Johna Whittefielda. — Snajperzy: ognia!

Rozległ się huk wystrzałów, wyborowi strzelcy zakotłusali się od odrzutu swej broni.

— Sześćset jardów i maleje...

— Kompania, ognia! — John nie zdążył jeszcze dokończyć rozkazu, gdy napastnicy zaczęli ślać się na deski górnego pokładu. Ogień piechoty morskiej był tak morderczo celny, a tłum tak zbity, że jeden pocisk trafiał często dwóch lub nawet trzech atakujących. Kiedy „Vandalia” zbliżyła się do rufy obleganego statku, jej kapitan uruchomił syrenę parową.

— Przygotować się do abordażu! — rozkazał John.

Żołnierze poprawili czapki, nasadzili bagnety, wyciągnęli ze schowków u pasów szerokie skórzane kołnierze i zapięli je na szyjach dla ochrony przez cięciami szabli. Stanęli na baczność.

— Przeskakujemy reling — powiedział John donośnym, miarowym głosem, szacując wzrokiem zmniejszającą się odległość między statkami — wspinamy się na barykadę i oczyszczamy górny pokład! Nie łamać szeregu! Pokazać im nagą stal i pracować kolbami! Nie wrywać się do przodu!

Kiedy dobili do rzeczno-parowca, John skoczył przed siebie, z relingu na reling, z szablą w jednej ręce i sześciostrzałowym koltem w drugiej. Wdrapał się ponad głowy obrońców na barykadę z worków ryżu, dwoma strzałami położył dwóch Chińczyków Hsui-chuana, przerzucił nogi przez reling górnego pokładu i za pomocą szabli i kolta zrobił miejsce skórzonym kołnierzom. Jego ludzie ustawili się w cztery szeregi po siedmiu. Na rozkaz Johna szereg za szeregiem oddawał siedmiostrzałowe salwy, aż górny pokład opustoszał. Kapitan „Vandalii” dwiema salwami karlaczy oczyścił w tym czasie dolny pokład i obie burty. Horda napastników umknęła, wyjąc z bólu i wściekłości jak raniony zwierz. Na brzegu zbiła się w gęsty tłum, sypiący przekleństwami, wymachujący dzidami i próbujący bezskutecznie strzelać do obu statków.

Nagle tłum zaczął milknąć i powoli na brzegu zaległa cisza. Zbite szeregi zafalowały, rozstąpiły się i oczom marynarzy ukazał się wysoki, chudy mężczyzna odziany jedynie w przepaskę na biodrach i wieniec z kwiatów na głowie.

— Oto i sam mesjasz! — powiedział Jake Tillim, stając obok Johna na pokładzie „Mildred R.”.

Na oczach obu załóg i pod lufami dział „Vandalii” samozwańczy prorok rozkazał swoim wyznawcom przygotować się do następnego szturm. Gońcy rozbiegli się z porpcami na stanowiska wzdłuż brzegu rzeki. Przygotowano do odpalenia race sygnałowe. Blisko dziesięć tysięcy uzbrojonych ludzi czekało na rozkaz natarcia.

Jake Tillim wyciągnął rękę w stronę dział „Vandalii”.

— John, jeśli ten fanatyk wyda rozkaz, jego ludzie pójdą jak na rzeź! Może to i szaleńcy, ale ja zdążyłem ich polubić!

Prorok wystąpił boso przed tłum, stanął na usłanej trupami błotnistej łasze. Rozpostarł ręce, uniósł je ku niebu i zaczął wygłaszać długą przemowę przeciwko przybyszom. John Whittefield wziął karabin od swego sierżanta, nastawił celownik i przyłożył broń do ramienia. Opuścił powoli lufę do poziomu, bardzo starannie wymierzył. Kiedy samozwańczy mesjasz odwrócił się, by dać sygnał do natarcia, John nacisnął spust. Nad rzeką przetoczyło się echo pojedynczego wystrzału. Hsui-chuan rozrzucił szeroko ręce i z dziurą w piersi runął na plecy w błoto. Na brzegu i na obu statkach zapadła martwa cisza.

Pierwszy otrząsnął się Jake. Chwytał Johna za ramię i szepnął mu gorączkowo na ucho:

— Musisz natychmiast zdobyć jego ciało, bo inaczej dopiero teraz zaczną się prawdziwe kłopoty!

John spojrział na niego z wyrazem oszołomienia na twarzy.

— O czym ty mówisz? Jakie kłopoty?

— Ogłoszą wskreszenie.

— Co takiego?!

— Wskreszenie. Jeśli tym ludziom nic udowodni się czarno na białym, że on nie żyje, ktoś ukryje jego ciało i ogłosi się jego nowym wcieleniem.

— I oni w to uwierzą?

— Spójrz tylko na nich!

Tysiące ludzi na brzegu wpatrywało się w /abitego przywódcę. Nikt się nie poruszył. Nikt nie wymówił ani jednego słowa. John podał Jake'owi karabin i pociągnął za ramię swego sierżanta. Zeskoczyli przez burtę w grząskie błoto. Tłum patrzył w osłupiałym milczeniu,

jak dwaj Amerykanie brną przez bagnistą łacę. Podnieśli ciało proroka i zawlekli je na „Mildred R.”.

Ocalonych z rzecznego parowca pasażerów i marynarzy ewakuowano już na pokład „Vandalii”. Ugaszono pożar i dokonano prowizorycznych napraw przedniej części statku, tak by można było go odholować.

John stanął z sierżantem przy zwłokach Hsui-chuana.

— Słuchaj — powiedział Jake Tillim podchodząc do nich — musisz wymyślić jakiś sposób przekonania tych ludzi, że absolutnie nikt nie może przywdziać przepaski biodrowej i podawać się za wskrzeszonego proroka.

John spojrział na niego ze złością, potrząsnął głową i rąbnął pięścią w reling.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wszystkiego, zanim go zabiłem?!

— Bo mi to nie przyszło do głowy. — Wskazał ręką brzeg. — Patrz! — Tłum posuwał się wzdłuż rzeki za płynącymi powoli statkami. — Póki będą sądzić, że jest jeszcze jakaś szansa, żeby go wskrzesić, pójdą za nami do piekła i z powrotem.

Whitfield wbił wzrok w brzeg rzeki i nic nie odpowiedział. Zdołał zapobiec potwornej rzezi i to musiało na razie wystarczyć. Minęli kilka sampanów i jakąś barkę z piaskiem zacumowaną u wylotu kanału. Nagle puścił reling. Pobiegł do kajuty zabitego kapitana i przeszukał szuflady biurka. Znalazł manifest załodowy statku, przebiegł wzrokiem jego treść, znalazł to, o co mu chodziło, i wybiegł z powrotem na pokład. Syreną parową dał znak „Vandalii”, by wstrzymała holowanie. Rozkazał swym marynarzom rozebrać się do pasa, zając zakotwiczoną barkę i wyrzucić połowę jej ładunku do wody. Ustawiono barkę burta w burtę, przerzucono na nią dziesiątki worków cementu z ładowni „Mildred R.”, wymieszano go z piaskiem i wodą z rzeki. Na oczach tłumu przeniesiono ciało Hsui-chuana na barkę i zanurzono je na głębokość sześciu stóp w zaprawę. Następnie odhoiowano na środek rzeki i tam zatopiono ją ogniem z dział „Vandalii”. Tłum stał na brzegu całe dni, obserwując w milczeniu wydobywające się spod wody bańki powietrza. Kiedy ostatnie z nich zmały powierzchnię rzeki, bez słowa rozszedł się na wszystkie strony. „Mildred R.” i „Vandalia” wróciły do Kantonu.

Za wykazaną odwagę i męstwo komodor Perry awansował Johna Whitfielda do stopnia komandora. Od chińskiego prefekta Kantonu otrzymał szafirowy bandolet wyszywany złotem. Dowództwo Marynarki Stanów Zjednoczonych odznaczyło nowego komandora Medalem Honoru.

Miało minąć dziewięćdziesiąt lat, nim w pobliżu Kantonu pojawiła się następna flotylla okrętów wojennych dorównująca siłą Eskadrze Wschodnioindyjskiej. W roku 1853 za fregatami „Susquehanna”, „Mississippi”, „Macedonian” i „Powhattan” płynęły w dół Rzeki Perłowej korwety „Plymouth”, „Saratoga” i „Vandalia”. Szyk zamykały kutry „Princeton”, „Lexington” i „Southampton”. Eskadra przepłynęła Morze Japońskie i skierowała się do cieśniny Shimonoseki idąc szykiem z ochronnym ekranem korwet na przodzie.

W trakcie pokonywania cieśniny, na wysokości przylądka Moji korwety zostały ostrzelane przez baterie dział trzech fortów pana na Chóshu. Nie odpowiedziały ogniem, tylko wycofały się poza zasięg dział fortów i zwróciły do okrętu flagowego po rozkazy. Komodor Perry polecił im przesunąć się na tył eskadry, a fregacie „Mississippi” podpłynąć niemal równolegle do „Susquehanny”. Załogi wszystkich okrętów zajęły stanowiska bojowe.

Po zbliżeniu się do nabrzeżnych urwisk ujrano ziemne fortyfikacje, a na nich postacie wymachujące mieczami, proporcami i muszkietami. „Susquehanna” poprosiła kodem flagowym o pozwolenie przepłynięcia międzynarodowym szlakiem wodnym. W odpowiedzi huknęło działo z najbliższego fortu i sto jardów za rufą okrętu flagowego strzelił w górę gejzer wody. W następnej chwili odezwały się pozostałe działa fortów. Komodor Perry rozkazał „Susquehannie” i „Mississippi” związać siły wroga. Wokół obu okrętów podniosły się fontanny wody, kilka kul armatnich odbiło się od płyt opancerzenia fregat. „Susquehanna” i „Mississippi” oddały dwie salwy burtowe pociskami burzącymi.

W księdze okrętowej komodora Perry'ego znalazł się następujący zapis:

23 czerwca 1853, godzina 11.00. Na międzynarodowych wodach cieśniny Shimonoseki poprosiliśmy o pozwolenie przepłynięcia i w odpowiedzi zostaliśmy ostrzelani z baterii trzech różnych umocnień brzegowych. „Susquehanna” i „Mississippi” odpowiedziały ogniem. Forty zostały zrównane z ziemią, a eskadra bez dalszych przeszkód przepłynęła cieśninę. Czas trwania wymiany ognia — osiem minut.

ROZDZIAŁ 15

Pewnego wieczoru w początkach czerwca 1853 roku Saiyo i Mung siedzieli na werandzie swego domu przyglądając się małemu jelonkowi, który wysunął łeb spomiędzy gałęzi wierzby płaczącej i delikatnie pił zimną wodę ze stawku. Jakiś ptak sfrunął z karmnika zbudowanego przez Munga w gałęziach wierzby. Oba stworzenia popatrzyły na siebie, jelonek poruszył się, żeby wystraszyć ptaka, po czym w podskokach wrócił do lasu.

— Jestem jak ten jelonek — odezwała się Saiyo. — Zazdrosna i samolubna z natury. Ale dużo czytałam i rozumiem potrzeby mężczyzn. — Spuściła oczy. — Kiedy zrobię się gruba i nadęta jak melon i nie będę już mogła zaspokajać twoich potrzeb fizycznych, będziesz musiał chodzić do tych kobiet z „Wierzbowego Świata”.

Mung wyciągnął ręce, ujął ją pod brodę i łagodnie podniósł jej głowę.

— Saiyo, najdroższa, kocham cię całym sercem i duszą i ślubuję ci miłość po wieczne czasy. Do końca swoich dni nie dotknę innej kobiety.

W jej migdałowych oczach zakręciły się łzy. Objęli się mocno.

— Jesteś taki dobry, taki kochany — szepnęła. — Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, wiedziałam, że między nami wszystko będzie dobrze. Bo wiesz co? Na twój widok zaswedziały mnie brwi.

Mung wziął ją za rękę.

— Chodź, pójdziemy na maty, dowiodę ci, że ani trochę się nie pomyliły.

Tuż po północy wezwano Munga do biura gubernatora. Został tam Yoshidę i Ryochiego, których wygląd świadczył o przebyciu długiej i wyczerpującej trasy.

Yoshida odezwał się dopiero wtedy, gdy pan Ishikawa zostawił ich samych. Podszedł do Munga, oczy lśniły mu w zmęczonej twarzy.

— Płyną! — zawołał półgłosem. — Płyną z powrotem! I tym razem mają więcej okrętów niż przedtem! Parowych! Wielkich! Tak jak przepowiadałeś.

— Skąd wiesz?

— Po drodze zatrzymali się na Riukiu. Chcieli, żebyśmy wiedzieli o ich przybyciu. Na szczęście Riukiu należy do Satsumy. Wieści o pojawieniu się obcych przesłano prosto na dwór pana Nariakiry. Od tamtej pory wszystkich, którzy próbowali opuścić wyspę, chwymano i osadzano w więzieniu.

— Gdzie Amerykanie są teraz?

— Popłynęli do Kantonu uzupełnić zapasy. Pewnie także dają nam czas na przekazanie do Edo wiadomości o ich przybyciu.

— Co robimy?

— Pan Nariakira rozkazuje ci podnieść żagle na „Shintó Maru” i czekać koło przylądka Satasuki u zachodniego końca cieśniny Shimonoseki na spotkanie z dowódcą amerykańskich okrętów. A na wypadek, gdybyś się z nimi minął, Ryochi i ja popłyniemy natychmiast na północ i zorganizujemy sieć czujek na siedmiu wyspach Izo rozsypanych w poprzek podejścia do zatoki Edo.

— A jeśli się z nimi spotkam, co mam im powiedzieć?

Yoshida wyjął z rękawa dwa zwoje.

— Jeden napisano po japońsku, drugi po holendersku — powiedział podając je Mungowi. — Są to oficjalne listy od pana na Satsumie, występującego w imieniu cesarza, do dowódcy floty amerykańskiej. Zaświadczają, że jesteś jednym z rządców w Satsumie i ustanawiają cię rzecznikiem interesów *mikado*. Żaden Japończyk nie może nigdy ujrzyć tych dokumentów. Tylko ja mam ich kopie.

Mung wziął od niego dwa zwoje z pieczęciami Satsumy.

— Naszym zadaniem jest poinformować dowódcę Amerykanów — ciągnął Yoshida — jakie błędy popełnił admirał Biddel i wytłumaczyć mu istotę struktury władzy w Japonii. Choć to szogun będzie z nimi rozmawiał, całą korespondencję muszą adresować do cesarza. Tym razem to nie Amerykanie mają stracić twarz, tylko szogun. Poradzisz im, żeby udawali, że biorą tę farsę za dobrą monetę, i nigdy nie okazywali słabości. My, zwolennicy cesarza Meiji, nie mamy zamiaru oddawać nikomu tego kraju, ale chcemy ustabilizować jego gospodarkę drogą wymiany z zagranicą, korzystać z osiągnięć nauki i poznać swobody, jakimi cieszą się ludzie na całym świecie. Otrzymają zgodę na założenie stacji zaopatrzenia w węgiel i zapewnienie otwarcia kilku portów dla rozbitków oraz szałków w niebezpieczeństwie. Na koniec musisz doprowadzić do spotkania dowódcy amery-

kańskiej floty z panem Nariakirą. Chodzi o to, żeby wspólnie ocenili wydarzenia, jakie zajądą w Edo, i ich wpływ na przyszłość.

Po raz kolejny Mung zapakował swój worek żeglarski. Saiyo odprowadziła go na brzeg. Stała cicho, bez słowa, odchylona mocno do tyłu, z rękami na biodrach, by utrzymać ciężar wielkiego brzucha. Patrzyła, jak Mung zostaje przyjęty na pokładzie ze wszystkimi honorami, słyszała entuzjastyczne wiwaty załogi. Wszedł na mostek, odwrócił się i spojrzał na swą żonę. Kiedy zdjęto cumy i „Shinto Maru” na fali odpływu zaczął oddalać się od brzegu, Mung pożegnał długim, głębokim ukłonem swą ukochaną żonę, a ona w ten sam sposób pożegnała jego.

„Shinto Maru” miał obojętnie stada wielorybów, zwracając uwagę wyłącznie na pogodę i wypatrując okrętów. Podwojone czujki w bocianim gnieździe pełniły wartę dzień i noc. W wolnym czasie Mung czytał dziennik okrętowy, manifest statku, wypytywał kapitana. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że wielorybnictwo mogłoby przynieść Satsumie ogromne zyski, w istotny sposób polepszyć zaopatrzenie ludności w żywność.

O ósmej rano 30 czerwca 1853 roku z masztu dobiegło wołanie:

— Dym na niebie! Dym na niebie!

Poza Mungiem nikt nigdy na statku nie widział parowca. Mung wdrapał się z lunetą na maszt. Zza linii horyzontu wyłoniły się ustawione w wachlarz trzy korwety, za nimi cztery fregaty w szyku rombowym i na koniec płynące rzędem trzy kutry. Na wszystkich masztach okrętów powiewały amerykańskie Hagi, na dziobach lśniły w słońcu galiony przedstawiające złote orły. Na rozkaz Munga odpalono racę wezwania pomocy. Ciemna smuga zakreśliła pod niebem wysoki łuk. Przez lunetę dostrzegł, że z komina najbliższej korwety bucha ciemniejszy i gęstszy kłęb dymu i chwilę później okręt skęci! w stronę „Shinto Maru”. Wydał rozkaz podniesienia flagi. Na grotmaszcie rozpostarł się i załopotał na wietrze emblemat cesarza Meiji — wschodzące słońce z szesnastoma złotymi promieniami na białym polu. Mung wziął do rąk chorągiewki sygnalizacyjne. „Prośba o pozwolenie wejścia na pokład” — nadał kodem międzynarodowym.

„Zgoda” — nadeszła odpowiedź.

Szałupa z „Shinto Maru” odwiozła go na „Vandalię”. Używając holenderskiego zażądał spotkania z dowódcą floty w sprawie najwyższej wagi.

Choć komodorowi Perry'emu zależało na zdobyciu wszystkich możliwych informacji o Japonii, wiedział, że musi zachować najdalej idącą ostrożność i pod żadnym pozorem nie wolno mu narazić na

szwank swego autorytetu. Dlatego też dopiero po przedstawieniu dowódcy „Vandalii” obu zwojów i przesłaniu ich komodorowi na „Susæhannę” przewieziono Munga na pokład okrętu flagowego. Wspiął się zwinnie po sznurowej drabince w swym uroczystym kimonie, z dwoma mieczami zatkniętymi za *obi*. Na pokładzie prężył się oddział piechoty morskiej. Mung skłonił się przed flagą, w odpowiedzi oddano mu honory i zaprowadzono do kajuty komodora.

Dowódca Eskadry Wschodnioindyjskiej, wysoki, potężny mężczyzna o gęstych bujnych bokobrodach, siedział sztywno wyprostowany za mahoniowym biurkiem, z rękami złożonymi na jego blacie. Taksując Munga chłodnym spojrzeniem orzechowych oczu odpowiedział skinieniem głowy na ukłon samuraja. Ani on sam, ani John Whittefield, ani żaden z adiutantów komodora stojących półkołem za jego plecami nie widzieli nigdy samuraja. Był wyższy niż rybacy z japońskiej wioski na Hawajach. Miał wygolony przód głowy, włosy natarte olejkim i związane w ciasny węzeł nasunięty nad czoło.

John przyglądał się uważnie częściom stroju przybysza — białe skarpety z oddzielną częścią na duży palec, szare szerokie spodnie, kimono z zielonego brokatu. Nagle uwagę Johna przykuł znajomy mosiężny kompas zawieszony u pasa. Przeniósł szybko spojrzenie na twarz — stanowcze usta, spokojne, pewne siebie oczy i nos z garbem po złamaniu.

Mung czuł na sobie zaciekawione spojrzenia oficerów otaczających półkołem fotel komodora. Przebiegł wzrokiem po ich twarzach i nagle jego oczy znieruchomiały. Naprzeciwko stał wysoki jasnowłosy mężczyzna, wpatrzony w niego z dziwnym wyrazem twarzy. Rozpoznali się w tym samym ułamku chwili.

— Mung! — zawołał po japońsku John Whittefield. — Wielki Boże, Mung, to ty!

Obaj rzucili się do siebie, ale osadziło ich w miejscu zadane ostrym tonem pytanie komodora:

— Co to ma znaczyć, komandor/c Whitlefield?

Mung opanował się natychmiast i /wrócił do Johna w swoim ojczystym języku:

— Im mniej osób wie o naszym pokrewieństwie, tym lepiej. Czy ktoś jeszcze rozumie, co mówimy?

— Nie. Poza mną na całym okręcie nikt nie zna japońskiego.

— To dobrze. Mogłoby to się okazać bardzo niebezpieczne. Muszę porozmawiać tylko z tobą i komodorem.

Komodor Perry nie rozumiał ani słowa z rozmowy, ale z ich twarzy wyczytał, że ci dwaj ludzie nie są sobie obcy.

— Komandorze Whittefield! Proszę o wyjaśnienia!

— Nasz gość usilnie nalega na rozmowę z panem tylko w mojej obecności.

— Uważa pan, że sytuacja tego wymaga?

— Jak najbardziej, panie komodorze.

Kiedy pozostali oficerowie opuścili kajutę, John zwrócił się do swego dowódcy.

— Oto człowiek, o którym opowiadałem panu w czasie rozmowy przed przyjęciem do pańskiego sztabu.

Komodor przeniósł spojrzenie z oficera amerykańskiej marynarki wojennej w granatowym mundurze z lśniąco mosiężnymi guzikami na odzianego w barwny, egzotyczny strój samuraja.

— Czy pozwoli pan — powiedział z promiennym uśmiechem John — że przedstawię Munga Whitefielda, mojego brata!

Mung skłonił się nisko.

Potężny dowódca eskadry, który po trzydziestu latach służby w marynarce uważał, że już nic na tym świecie nie jest w stanie go zaskoczyć, zabijał się na tylnych nogach swego fotela. „Co za uśmiech losu” — pomyślał. Stosując sprawdzoną metodę postępowania w niecodziennych sytuacjach postanowił obserwować i oceniać.

— John, udzielam ci pozwolenia przywitania się z bratem jak należy.

Młodzi mężczyźni padli sobie w objęcia, po czym niższy o cztery cale, ciemniejszy Japończyk spytał po angielsku:

— John, jak tam nasi rodzice? Czy ożeniłeś się z Beth? Co u was słychać?

John roześmiał się uszczęśliwiony.

— Rodzice czują się świetnie. Kiedy im napiszę o naszym spotkaniu, nie będą się posiadać z radości. W ostatnim liście, jaki dostaliśmy od ciebie, pisałeś o zamiarze powrotu do Japonii. Baliśmy się, że zostaniesz zabity.

— Mam nadzieję, że swoim wyjazdem nie sprawiłem rodzicom przykrości.

— Oni kochają cię i rozumieją. A teraz będę mógł im napisać, że jednak ci się powiodło.

— Wszystkie wiadomości o mnie musisz przekazywać z największą ostrożnością.

John klepał Munga bez końca po ramieniu, jakby z radości chciał go wbić w podłogę.

— Ożeniłeś się? — spytał ponownie Mung.

— Ożeniłem. I mam już z Beth synka. Mały często bawi się tym rzeźbionym zębem wieloryba, który jej podarowałeś. — Sięgnął do kieszeni kurtki munduru i wyjął zdjęcie syna.

— Śliczny chłopak — powiedział Mung. Przesunął palcami po fotografii; nigdy czegoś podobnego nie widział.

— To taki świeży wynalazek — wyjaśnił John widząc zaciekawienie Munga. — Nowy sposób dokładnego odwzorowania tego, co się widzi. Później ci to wytłumaczę. Teraz mów, czy udało ci się wrócić do wioski, i czy widziałeś się z matką.

Mung pokręcił ze smutkiem głową.

— Niestety, nie. Ale ja też się ożeniłem — dodał z szerokim uśmiechem — i moja żona jest w ciąży. Wszystko jej o was opowiedziałem.

— Panowie — przerwał im komodor — mamy wiele spraw do omówienia. Temat pierwszy: w jaki sposób Ameryka i Japonia mogą wykorzystać to jawne zrządzenie opatrności. Rozsądek podpowiada mi — dodał zwracając się do Munga — że czekał pan, aż przepłyniemy cieśninę Shimonoseki.

— Tak, to prawda.

— To znaczy, że ma pan dla mnie jakąś wiadomość.

— Rzeczywiście, mam. Moje pełnomocnictwa zawarte są w zwojach, które przekazałem dowódcy „Vandalii”.

— Tak też te zwoje zostały przyjęte, jako listy uwierzytelniające. Z niecierpliwością oczekujemy tego, co ma nam pan do powiedzenia.

— Reprezentuję pana Nariakirę, *daimyo* Satsumy, który jest jednym z głównych stronników cesarza. Pan mój pragnie, aby wasza misja się powiodła. Zakłada bowiem, że przyświecają panu te same cele co admirałowi Biddelowi.

— I tak jest.

— Niepowodzenie misji admirała było ciężkim ciosem dla cesarza i tych, którzy popierają jego dążenia do odzyskania rzeczywistej władzy. Sukces, jaki odniósłby pan w rozmowach z szogunem, byłby pierwszym ważnym krokiem na drodze do osłabienia instytucji szogunatu.

— Słyszałem i rozumiałem każde pańskie słowo, panie Mung, wyznam jednak, że czuję się nieco zagubiony. — Komodor poklepał dłonią wielki skoroszyt leżący na jego biurku. Wszystkie informacje o Japonii, jakie do tej pory udało nam się zebrać, wyrobiły w nas przekonanie, że mieszkańcy tego kraju są bezgranicznie oddani swemu cesarzowi.

— To prawda, panie.

— Ale z pana słów wynika, że władzę sprawnie szogun.

— To także prawda, panie. Od dwustu pięćdziesięciu lat cesarze Japonii nie opuszczają swoich pałaców i scedowali zarządzanie krajem na szogunów. Teraz jednak cesarz. Meiji pragnie tę władzę odzyskać.

Komodor popatrzył na obu stojących przed nim mężczyzn.

— Miałem zamiar obchodzić święto Czwartego Lipca w zatoce Edo. Ale jeśli pan Mung zgodzi się opracować ze mną i komandorem Whittefieldem plan posunięć wobec rządu Japonii, zaniecham tych uroczystości. Chcielibyśmy uzyskać założenie sieci stacji zaopatrujących w węgiel, prawo chronienia się w portach naszych statków, zapewnienie bezpieczeństwa rozbitkom i traktat handlowy między naszymi krajami.

— Pomagając w nakreśleniu takiego planu wypełnię tylko wolę pana Nariakiry — odparł Mung kładąc ręce na rękojeściach mieczów. — Ale nim do tego przystąpimy, muszę wytłumaczyć, skąd potrzeba zachowania wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Gdyby szogun dowiedział się, że to mój pan, *daimyo* Nariakira, zainicjował nawiązanie kontaktów z cudzoziemcami, zmusiłby go i tysiące jego lennych samurajów do popełnienia samobójstwa. W tym także mnie. Co więcej, gdyby lud Japonii powziął kiedykolwiek przypuszczenie, że jakiś obcy rząd ma zamiar najechać nasz kraj, to wszyscy jak jeden mąż zbiegną się pod sztandary szoguna i będą walczyć do ostatniej kropli krwi: mężczyźni, kobiety i dzieci. Inaczej być nie może.

— Pańska prośba o zachowanie sprawy w tajemnicy jest zupełnie zrozumiała. Po naszych rozmowach nie zostanie żaden ślad na piśmie i obaj z komandorem Whittefieldem przyrzekamy panu milczenie. Ma pan na to nasze słowo oficerów i dżentelmenów.

Mung skłonił się i powiedział:

— Powiadomię swój statek, że zostaję, i możemy natychmiast zaczynać.

Kiedy wyszedł z kajuty, komodor zwrócił się do Johna:

— Los się do nas uśmiechnął i nie wolno (ego zaprzepaścić. Cesarz Japonii ma najwyraźniej dość występowania w roli marionetki. Mung reprezentuje frakcję polityczną pozostającą w opozycji do rządzącego reżimu. Musimy ocenić, jaką siłą dysponuje ta trakcja i jakie zyski dla nas mogą z tego płynąć. Ciekawi mnie także, skąd oni mają laki statek wielorybiczny. Jeżeli sami go zbudowali, to już wkrótce naszej flocie wielorybicznej i handlowej wyrośnie poważny konkurent.

Po powrocie Mung usłyszał pierwsze pytanie:

— Z kim mamy prowadzić rozmowy i jak się najlepiej do tego zabrać?

W ciągu następnych dni od świtu do późnej nocy ustalali we trzech plan działań, które miały zmienić przyszłość ich krajów. Jak bardzo, tego żaden z nich nie mógł nawet mgliście podejrzewać.

Czwartego dnia narad; przed ostatnim spotkaniem, bracia znaleźli wreszcie trochę czasu dla siebie.

— Siądźmy na dziobie — zaproponował Mung. — Odzwyczailem się już od zapachów panujących na amerykańskich statkach.

Usiedli twarzą do siebie na zwojach lin pod relingiem.

— Powiedz mi, czy znalazłeś w Japonii to, czego szukałeś? — spytał John.

— Tak. Dobrze zrobiłem, że wróciłem.

— Jesteś szczęśliwy?

Mung zamyślił się, po czym odparł:

— Tak, przy Saiyo jestem bardzo szczęśliwy. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem, wiedziałem, że znalazłem żonę. A zbudowanie „Shintó Maru” było wielkim wyzwaniem.

— To ty go zbudowałeś! Powinienem być się domyślić. Komodor chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o tym statku. A ja chciałbym usłyszeć, w jaki sposób rybak został samurajem.

Mung opowiedział mu o przygodach, jakie przeżył z Ryochim i Yoshidą na wyspie Deshima i w Kagoshimie.

— Jak się czujesz tak daleko od domu? — spytał, kiedy skończył.

— Tęsknię za Beth i Jeffreyem — odparł John — ale cieszę się, że wreszcie mogę robić to, do czego tyle lat się przygotowywałem. A poza tym po prostu nie mogłem przegapić okazji wzięcia udziału w ostatniej w historii wielkiej wyprawie badawczej w nieznane.

— Japonia jest tak samo mało znana światu jak świat Japończykom. A zwłaszcza teraz, jak nigdy dotąd, potrzebne nam są zdobycze nowoczesnej techniki. Po raz pierwszy w całej naszej historii doszło do zamieszek głodowych. Najpoważniejsze wybuchły na równinie Kanto w okolicach Edo.

— I czym się zakończyły?

— Samuraje szoguna wycięli wszystkich w pień — odparł pośpiesznie Mung.

— Wszystkich? — spytał z niedowierzaniem John. — To znaczy ilu?

— Na samej równinie Kanto naliczono osiem tysięcy zabitych.

— Za dużo ludzi — mruknął John wyraźnie zszokowany — i za mało żywności. Najprostszym wyjściem z sytuacji jest wymordować tych, którzy się skarżą. Jestem pewien, że Amerykanie mogliby was nauczyć, jak podnieść plony.

— Nie, nie w tym rzecz. Żywności produkuje się u nas dość. Te osiem tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci zginęło dlatego, że nie chcieli oddać ryżu, który zebrali z pól, poborcom podatkowym szoguna.

Gdyby zapłacili te podatki, wtedy rzeczywiście czekałaby ich śmierć z głodu.

Zamilkli na dłuższą chwilę, pogrążeni we własnych myślach. W końcu John spytał:

— Jeśli cesarz odzyska władzę, to co macie zamiar zmienić?

— Cesarz i pan Nariakira przysięgli wprowadzić demokratyczne instytucje władzy oparte na systemie brytyjskim. Z cesarzem jako panującym władcą, z Izbą Lordów skupiającą wszystkich *daimyo* i Izbą Gmin, w której z początku zasiadałoby tylko samurajowie, a potem przedstawiciele wszystkich mieszkańców Japonii.

— Dlaczego nie mielibyście skorzystać ze wzorów amerykańskich?

— To by nie zdało egzaminu. Jesteśmy społeczeństwem feudalnym, takim jak niegdyś Anglicy. Japończycy wciąż jeszcze żyją w średnio-wieczu. Mamy prawną kulturę. Niełatwo będzie zerwać z przeszłością. Skoku w dziewiętnasty wiek trzeba dokonać z najwyższą ostrożnością. Pierwsze kroki ku politycznej dojrzałości musimy robić w ramach obowiązującego porządku społecznego. Ameryka dopiero tworzy swoją kulturę, kulturę tak różnorodną jak skład napływających do niej z całego świata fal emigracyjnych. Kiedy przywołuję z pamięci książki amerykańskich pisarzy, które przeczytałem w Stanach, wszystkie wydają mi się wyprawami w krainę samopoznania. Ameryka wciąż próbuje się dowiedzieć, czym właściwie jest. Japonia już dawno ma tego świadomość. Potrzebuje tylko lepszej formy rządów.

— Szkoda, że nasi nauczyciele z Harvardu nie mogą cię słyszeć — powiedział z uśmiechem John. — Byliby z ciebie dumni tak jak ja. Ale zapytaliby cię o religię.

— Wszelkie próby prowadzenia działalności misyjnej zostaną równie bezwzględnie zdławione jak zamieszki na równinie Kanto. Pojawienie się w Japonii misjonarzy zjednoczy wszystkich pod sztandarami szoguna, a cesarz udzieli im swego błogosławieństwa. My, Japończycy, możemy bić się między sobą na śmierć i życie, ale każda próba zewnętrznej ingerencji w nasze sprawy natychmiast nas zjednoczy.

— Chodziło mi o twoje osobiste przekonania religijne.

— Często rozmyślałem o naukach Jezusa. Tamten mały Francuz na Hawajach, który walczył nogami, odkrył przede mną prawdę o nadstawianiu drugiego policzka. A te zbiry w Fairhaven nauczyły mnie, że i z miłością bliźniego nie można przesadzać. — Mung dostrzegł wyraz rozczarowania na twarzy brata i roześmiał się. — Żartuję. Choć może nie do końca. Nauki Chrystusa nadal są mi bliskie. Ludzie tacy jak ty, twoi rodzice, Ben czy Pistchiani przekonali mnie, że niekiedy

warto je stosować. Czasami modlę się do Jezusa. Ale chodzę także do świątyń buddyjskich i kaplic sintoistycznych. — John nadal patrzył na niego z niewyraźną miną. — Nie bądź taki smutny. Nie wierzę, żeby bóg tak wielki i litościwy jak ten, o którym nauczał mnie Diakon Gilhooley, mógł mieć mi za złe, że czczę własnych bogów we własnym kraju. Naprawdę staram się żyć zgodnie z przykazaniem Jezusa: „Nie czynź drugiemu, co tobie niemiłe”.

— Tak... — mruknął John. — Świat byłby o tyle lepszy, gdyby wszyscy stosowali tę złotą zasadę.

Znów zapadli w milczenie, które przerwał John:

— To nie sprawy religii mnie martwią. Martwi mnie sama Japonia. Tutaj rozwiązaniem każdego problemu jest śmierć. Czy Japończycy rzeczywiście będą w stanie zaakceptować demokratyczne formy rządów? Czy zdołają sami je sprawować? Czy naprawdę tego chcą?

— Zaakceptują je, jeśli tak nakaże im cesarz. Z początku będą po prostu wykonywać rozkazy. Potem sami się do tego zaborą, z zacięciem i zapamiętaniem. Demokracja czeka ich wcześniej czy później. Echo uderzeń Dzwonu Wolności w Filadelfii nadal przetacza się przez świat. I powoli zaczyna docierać także do nas, tu, w Japonii. — Mung nachylił się do brata. — Każdy człowiek słyszy dźwięk tego dzwonu trochę inaczej, ale sens pozostaje bez zmian. Wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi.

Teraz John pochylił się do przodu. Pełnym napięcia głosem powiedział:

— Złożmy sobie przysięgę. Że poświęcimy życie, by zbudować demokrację w Japonii i zadzierzgnąć Irwałe więzy między naszymi krajami.

— Przysięgam — powiedział uroczystym tonem Mung.

— Chciałbym, żebyśmy złożyli tę naszą przysięgę przed Bogiem.

— Masz rację — odparł Mung. — Tak będzie stosowniej.

Japoński samuraj i amerykański oficer marynarki przeszli do okrętowej kaplicy. Uklękli obok siebie i pomodlili się o pomoc opatrności w służbie ojczyźnie i Wszchemogącemu.

Kiedy wyszli z kaplicy, wezwano ich do komodora, gdzie punkt po punkcie jeszcze raz przejrzeni uzgodniony plan działań.

— Do zatoki Edo wprowadzam tylko „Susquchannę”, „Mississippi”, „Vandalię” i „Saratogę” podsumował komodor Perry. — Szogun powinien już otrzymać wieści z cieśniny Shimonoseki i znać siłę rażenia naszych dział. Z tego samego źródła musi wiedzieć, że mam więcej okrętów, ale nie może wiedzieć ile. Żeby uniknąć incydentów, maksymalnie skrócimy pobyt w zatoce. Ja osobiście wręcę

posłanie prezydenta Fillmore'a reprezentantowi szoguna. Obiecuję, że wrócę po odpowiedź, dając delikatnie do zrozumienia, że następnym razem przyprowadzę więcej okrętów. Celem powtórnej wizyty będzie formalne zawarcie traktatu.

Mung skinął głową z aprobatą.

— Zawiadomię pana Nariakirę — powiedział — i umówię panów na spotkanie po zakończeniu pańskiej wizyty w Edo.

Wkrótce potem John i Mung musieli się rozstać. Ale przedtem opracowali plan, dzięki któremu mieli znów się spotkać — tym razem na dłużej.

Ósmego lipca, tuż przed południem, w wartowniach wzdłuż podejścia do portu w Edo uderzyły gongi alarmowe. Zwiadowcy z Cechu Wypatrywaczy Ryb przesłali wiadomość, że płonie jeden, a może nawet kilka statków. W stronę wejścia do portu sunęły w martwej morskiej ciszy cztery ogromne okręty, plujące ze swego wnętrza gęstym, czarnym dymem. Mieszkańcy Edo z osłupieniem i niedowierzaniem patrzyli, jak obce jednostki wpływają prosto do zatoki i ustawiają się w formacji bojowej pośrodku portu.

Posłano natychmiast gońców do pałacu szoguna, ale nikt nie ośmielił się go zbudzić. Ponieważ pana Hayoshiego nie było w Edo, rada starszych pospiesznie zleciła zajęcie się sprawą panu Abiemu. Wydano rozkaz walczącym smokom, sampanom i łodziom rybackim, by otoczyły zakotwiczone w porcie dziwne ogniste okręty. Próby dobicia do ich burt i wspięcia się na pokłady spotkały się ze stanowczą odpawą. Liny odcinano, a zbyt pewnych siebie samurajów spychano kolbami karabinów na łeb, na szyję w wodę. Małe japońskie łodzie cofnęły się. Samurajowie wykrzykiwali i wymachiwali mieczami, dopóki nie zbliżyła się barka prefekta. Pana Abi, występującego w stroju cesarskiego posłańca, wpuszczono na pokład tylko z trzema tłumaczami. Tam kazano mu czekać, aż tłumacze przełożą jego słowa z holenderskiego dowódcy „Susquehanny”. Komodor w ogóle się nie pojawił. John Whitefield stał z boku, dość blisko japońskiej delegacji, by słyszeć, o czym rozmawiają między sobą.

— Czego tu chcecie? — brzmiało pierwsze pytanie pana Abi, na które kapitan odparł:

— Proszę kazać usunąć łodzie otaczające nasze okręty!

— To tylko dla waszego własnego bezpieczeństwa — odpowiedział z ukłonem pan Abi.

Kapitan odwrócił się i dał znak ręką. Dwa działa na czterech

okrętach załadowano workami z mąką. Wszystkie osiem gruchnęło jednocześnie. Kiedy rozwiął się obłok dymu i pyłu, oczom japońskiej delegacji ukazał się niezwykle widok — flotylla ubielonych mąką łodzi z białymi jak śnieg załogami. Wybuchło ogromne zamieszanie. Wielu Japończyków wypadło lub wyskoczyło za burtę ze strachu, szamotało się w wodzie i próbowało wdrapać z powrotem. Na znak dany przez pana Abiego wszystkie sampany, poza kilkoma łodziami pikietującymi, wróciły do brzegu.

— Ci barbarzyńcy to szaleńcy! — zawołał półgłosem pan Abi do swoich tłumaczy.

— Na pokładzie mamy niezwykle ważną osobistość — powiadomił go kapitan „Susquehanny” — z listem od prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki do cesarza Japonii.

— Podnoście kotwice i natychmiast się stąd zabierajcie — odparł bez namysłu pan Abi.

— Przybyliśmy w pokojowych zamiarach — brzmiała odpowiedź. — Nie chcemy dokonywać inwazji na Japonię. Po przekazaniu listu niezwłocznie opuścimy port.

Huk dział obudził szoguna. Poinformowany o tym, co zaszło, wpadł we wściekłość i rozkazał natychmiast zaatakować obcą eskadrę. Już w następnej chwili odwołał swój rozkaz i wysłał panu Abiemu polecenie: „Zastosować tę samą sztuczkę, dzięki której admirał Biddel wyprawił z zatoki jeden ze swych okrętów”.

Pan Abi zmierzył Amerykanów taksującym spojrzeniem i uznał, że nie jest to dobry pomysł. John usłyszał, jak zastanawia się nad tym ze swoimi tłumaczami. W końcu zamiast spełnić polecenie szoguna powiedział:

— Wycofajcie się przed wejście do portu, to zaczniemy rozmowy.

Kapitan zaprowadził go na mostek „Susquehanny” i rzucił kilka rozkazów. Dwie pełne salwy burtowe „Susquehanny” i „Vandalii” trafiły w nagie zbocze góry po lewej stronie lądu. W miejsce starannie wybrane przez inżynierów. Eksplodujące pociski podcięły wielki nawis skalny powodując obsunięcie się zbocza. Chmura pyłu zasnuła całe miasto.

Kapitan kazał odprowadzić Abiego i na pożegnanie oświadczył:

— Jutro przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych zejdzie na brzeg w asyście kompanii honorowej. I albo komodor Perry dostarczy list prezydenta Fillmore'a członkowi waszego rządu na brzegu, albo z całą kompanią uda się do pałacu i lam go wam wręczy. A gdyby komodorowi Perry'emu lub któremuś / żołnierzom kompanii coś się stało, to proszę pamiętać, że zasięg naszych działań obejmuje całe Edo.

W czasie kiedy pan Abi i mieszkańcy Edo oglądali pokaz siły rażenia amerykańskich dział, goniec z Choshu przyniósł wieści o przebiciu się eskadry barbarzyńców przez cieśninę Shimonoseki. Dowiedziawszy się o kompletnym zniszczeniu trzech fortów szogun rozkazał ściąć gońca. Rozhisteryzowany i niepewny, co począć, zamknął się na medytację w jednej z komnat swego pałacu. Rozkazał, by mu nie przeszkadzać, dopóki kryzys nie zostanie zażegnany.

Po powrocie na brzeg pan Abi przejął sprawę w swoje ręce. Rozkazał sypać wały ziemne na drodze do pałacu szoguna. Zmobilizowano całą męską ludność Edo. Wszyscy panowie feudalni przebywający właśnie u dworu poprowadzili do portu oddziały konnicy, łuczników, samurajów uzbrojonych w dzidy i miecze. Oddziały stanęły w szyku bojowym, z chorągwiami i proporcami, każdy za swym panem. Noc była ciepła, niebo zupełnie czyste. Wzdłuż całego brzegu zapłonęły ogniska sygnalizacyjne. Świątynie wypełniły się wiernymi modlącymi się o sztorm, który by wymiół obcych na morze. O dziesiątej dwadzieścia wieczorem na niebie ukazała się kometa. Ani Amerykanie, ani Japończycy nie potrafili powiedzieć, czy wieści okres pomyślności czy nieszczęść.

Morze było spokojne, trwała właśnie zmiana wacht o północy, gdy do „Mississippi” zbliżył się jakiś sampan. Wachta ostrzegła go, by trzymał się z dala, ale Ryochi i Yoshida naparli na wielkie wiosło sterowe i dobili do burty fregaty. Widzieli, jak eskadra płynęła w stronę Edo, ale z powodu ciszy na morzu nie byli w stanie się z nią połączyć. Nie zwracali uwagi na okrzyki marynarzy z „Mississippi”. Używając holenderskiego, a potem na migi błagali, by wpuścić ich na pokład. Nikt ich nie rozumiał.

Nagle w stronę sampana ruszyła jedna z japońskich łodzi pikietujących fregaty. Yoshida rzucił rozkaz, Ryochi odbił od burty i opłynął rufę okrętu. Obaj rzucili się do wiosła, zaczęli uciekać przez gładką jak stół zatokę, ale łódź wyraźnie ich doganiała. Yoshida wyjął zza pazuchy dwa zwoje, nasunął je na klingę miecza i wyrzucił za burtę.

— Skacz i płyń do brzegu! — rozkazał Ryochiemu.

— Jestem samurajem! — zaprotestował Ryochi. — Urodziłem się samurajem, wychowano mnie, bym walczył i zginął w bitwie! Tak nakazuje honor!

— Nie masz prawa jeszcze umierać! — zawołał Yoshida. — Spełnij swą powinność wobec naszego pana! Zanieś do Satsumy wiadomość, że nam się nie udało!

— Nie! Nie! Nie!

— Ja nie umiem ani pływać, ani walczyć — wysapał Yoshida z trudem łapiąc oddech. Nie miał już siły wiosłować.

Uwiesił się całym ciężarem ciała na końcu długiego wiosła sterowego, wydzwignął je z wody, zatoczył wiosłem półkole i trafił Ryochiego prosto w pierś. Ryochi zachwiał się do tyłu i wypadł za burtę. Yoshida zanurzył wiosło, odbił w bok i goniąc resztkami sił odciągnął pościg od płynącego do brzegu towarzysza.

Widząc zbliżające się lampiony łodzi skręcił w lewo, lecz natychmiast ujrzał dwie inne łodzie odcinające mu tę drogę ucieczki. Skręcił w prawo, ale z mroku wyprysnęła następna łódź. Dysząc ciężko dzwignął wysoko w górę koniec ciężkiego wiosła, zanurzając jego pióro głęboko w wodę, po czym pchnął je z całej siły w bok. Lekki sampan obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął dziobem do pościgu. Pierwsza łódź płynęła tak szybko, że z rozpędu go minęła. Druga staranowała. Yoshida ledwie utrzymał się na nogach. Połowa napastników wylądowała w wodzie. Uskrzydłone hełmy i kolczugi ściągnęły ich na dno. Reszta załogi przeskoczyła natychmiast na łódkę Yoshidy, który zatoczył się do tyłu. Po raz pierwszy w życiu dobył długiego miecza, ale ręce tak mu omdlały od wiosłowania, że ledwie zdołał go utrzymać w dłoni. Usłyszał padający z ciemności rozkaz „Brać żywcem!” i wytrącona broń wypadła mu z ręki. Skopany, opluty i związany został przeniesiony do prefekta Edo.

Podczas przesłuchania zerwano mu jeden po drugim wszystkie paznokcie, położony na jego brzuchu i przykryty rozpaloną misą szczur wgryzł mu się we wnętrzości, mimo to nie powiedział ani słowa na temat swojej misji. Jeszcze żywego zamknięto w klatce i wystawiono na widok publiczny na placu niedaleko portu. Na klatce umieszczono napis: „Taka kara czeka zdrajców”. Gapie i przechodnie obrzucali uczonego samuraja z Satsumy odpadkami, fekaliami, oddawali na niego moc.

Następnego dnia dwóch gwardzistów prefekta wywlokło go z klatki i poćwiartowało na oczach tłumu. Porąbane kawałki jego ciała rzucono na stertę gnoju. Wśród gapiów znalazł się także pewien brudny, obdarty żebrak. Nikt nic zauważył łez płynących po twarzy Ryochiego ani nie usłyszał słów przysięgi, że pomści przyjaciela. Po jej złożeniu ruszył bosą nogą w drogę do Satsumy. Miał do przebycia tysiąc mil.

Stojące w zatoce okręty podniosły kotwice i w szyku bojowym podeszły bliżej do brzegu. Kanonierzy przygotowali działa, marynarze zajęły stanowiska. Piętnaście szalup czekało, by zawieźć na brzeg dwustu

pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy piechoty morskiej i orkiestrę eskadry.

Pan Abi przybył na pokład okrętu flagowego z prośbą o wstrzymanie się z przyjazdem na brzeg do południa. Tłumaczył, że rząd spełni prośbę Amerykanów i jeden z ministrów przyjmie list prezydenta. Ale wciąż jeszcze trwają przygotowania do uroczystości, a na brzegu buduje się specjalny pawilon, by miała się gdzie odbyć.

Wszystko, co mówił, było prawdą. Rada postanowiła, że jeśli tylko Amerykanie nie będą próbowali maszerować na pałac szoguna ani zakładać stałego przyczółka w Edo, należy za wszelką cenę unikać konfrontacji. Dwadzieścia tysięcy samurajów stało w szyku wzdłuż brzegu, pod bronią, w pełnym rynsztunku.

O jedenastej trzydzieści 9 lipca 1853 nad zatoką przetoczył się huk trzynastu wystrzałów salutu armatniego. Ustawione w równej linii szalupy ruszyły do brzegu. W chwili, kiedy komodor Perry wsiadał do swego admirałskiego skifa, John Whittefield jako pierwszy Amerykanin w historii wylądował oficjalnie na japońskiej ziemi. Nie kończące się szeregi samurajów mierzyły groźnym wzrokiem żołnierzy piechoty morskiej w galowych granatowych mundurach z białymi bandolierami krzyżującymi się na piersi i w czapkach z piórami. Zdyscyplinowanie obu stron było wręcz wzorowe. Piechota morska dała popis musztry, wykonując jak pod sznurek wszystkie komendy potężnego sierżanta. Po wielu zawitych zwrotach jeden szereg przesunął się do przodu, dwa rozstały na boki, tworząc pusty kwadrat, otwarty w stronę morza. Żołnierze piechoty morskiej stanęli oko w oko z zakutymi w kolczugi samurajami.

Po wewnętrznej stronie trzech boków kwadratu ustawili się uzbrojeni marynarze w nowych białych bluzach i granatowych spodniach. Rozległo się granie werbla i na brzegu wylądowała orkiestra eskadry. Atmosfera była niemal naładowana elektrycznością. Sygnalista z „Susquehanny” zajął pozycję tuż nad wodą i podniósł obie chorągiewki wysoko nad głowę. Ich opuszczenie miało być dla fregat sygnałem do otwarcia ognia.

John Whittefield wyprężył się na baczność i zaszalutował. Na brzegu stanął komodor Perry poprzedzany przez dwóch najpotężniej zbudowanych czarnoskórych marynarzy w całej eskadrze. Orkiestra zagrała „Hail Columbia”. Na pierwsze głośnie dźwięki muzyki przez zwarte szeregi samurajów przebiegło drgnienie. Piechota morska mocniej zacisnęła w rękach karabiny, ale kiedy melodię podchwyciły kornety, napięcie po obu stronach wyraźnie zelżało. Komodor Perry

w otoczeniu dwudziestu pięciu starannie dobranych oficerów, każdy z sześciostrzałowym koltem u pasa, ruszył sztywno przed siebie.

Pospiesznie wzniesiony pawilon był właściwie wysokim podium ze schodami po obu bokach, wybitym jedwabiem i otoczonym z trzech stron prowizorycznymi ścianami z materiału. Nie przygotowano żadnych miejsc do siedzenia. Za ścianami stało stu gwardzistów szoguna w pełnych zbrojach, z obnażonymi mieczami. Pod podłogą kuliło się dwudziestu wysokiej rangi samurajów, gotowych na pierwszy rozkaz wyciąć Amerykanów w pień. Część podłogi była tak luźno umocowana, że tych dwudziestu ludzi mogło bez trudu wypchnąć ją od dołu i w jednej chwili zbić z nóg wszystkich stojących na podium.

Komodor Perry w otoczeniu swych dwóch czarnych gwardzistów, holenderskiego tłumacza i Johna Whittefielda wszedł po schodach za panem Abim, grającym nadal rolę posłańca. Na podium za pokrytym czarną laką stołem czekał tłumacz i dwóch członków rady szoguna niższych rangą od pana Abiego. Japoński tłumacz wyjaśnił, że list od prezydenta Stanów Zjednoczonych należy włożyć do obitej czerwonym jedwabiem skrzyneczki kurierskiej. Komodor Perry skinął głową i do przodu wystąpili dwaj czarnoskórzy marynarze, każdy ze szkatułką z różanego drzewa. W jednej spoczywał list prezydenta Fillmore[^] w języku angielskim, w drugiej — jego tłumaczenie na holenderski. Marynarze jak na komendę unieśli pokrywy szkatuł i pokazali dokumenty przedstawicielom szoguna. Japończycy, którzy nigdy nie widzieli Murzynów, wpatrywali się w nich okrągłymi oczyma. Marynarze postawili otwarte szkatuły z różanego drzewa na czerwonej skrzyneczce kurierskiej i cofnęli się pół kroku za komodora.

Japoński tłumacz ukląkł, wziął z rąk jednego z członków rady zwój, po czym wstał i podał go czarnemu marynarzowi. Było to oficjalne potwierdzenie odebrania listu od prezydenta Fillmore'a.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Popłyniemy na północ wzdłuż wybrzeża Japonii — przerwał je w końcu komodor Perry — po czym wrócimy do Kantonu. Jeśli któryś z panów wybiera się na północ, służę kajutą na pokładzie mojej fregaty.

Japończycy nic nie odpowiedzieli. Siali z założonymi rękami, z dłońmi ukrytymi w obszernych rękawach kimon i bez słowa wpatrywali się w Amerykanów.

— Dziękuję, że zechcieli nas panowie przyjąć — powiedział komodor Perry. — Wrócę za rok podpisać traktat. — Cofnął się o krok, jakby miał zamiar odejść.

Taki nieoczekiwany obrót wydarzeń wytrącił obu dygnitarzy

z równowagi. Było rzeczą niestychaną, żeby jakiś barbarzyńca zakończył rozmowę groźbą. Japoński tłumacz zadał przygotowane wcześniej pytanie, dając im czas na przyjęcie do siebie.

— Otrzymaliśmy wieści z Chin o powstaniu wznieconym przez chrześcijańskich fanatyków. Czy i do was one dotarły?

— Owszem — odparł komodor. Patrzył teraz na skroś doradców, jakby nagle zamienili się w powietrze.

— Czy znacie przyczynę jego wybuchu? — ciągnął tłumacz.

Perry spojrział nagle prosto w oczy pierwszemu doradcy.

— Niezadowolone — powiedział lodowato. — Niezadowolenie ludu ze skorumpowanego i zacofanego rządu.

Tłumacz pobladł, wciągnął ze świstem powietrze przez zęby i przetłumaczył odpowiedź:

— To rzeczywiście fanatycy i nie znajdują poparcia wśród ludu.

Odzyskawszy panowanie nad sobą pierwszy z doradców spytał:

— Czy komodor Perry ma zamiar wrócić ze wszystkimi dziesięcioma okrętami? — Wskazywało to jasno, że do Edo dotarły już wieści o zniszczeniu fortów w Choshu.

— Kiedy dwa wielkie kraje zawierają traktat — odparł komodor Perry — wypada, żeby akt jego podpisania otrzymał lepszą oprawę niż doręczenie listów. — Skinął krótko głową i nim tłumacz zdołał odwzajemnić ukłon, odwrócił się i opuścił pawilon.

Członkowie rady szoguna spojrzeli pytająco na tłumacza, który patrzył oniemiały w ślad za Amerykaninem. Wszyscy przygotowywali się na długie, twarde negocjacje. Zamiast tego orkiestra zagrała „Yankee Doodle”, a komodor i jego eskorta wsiedli w odwrotnej kolejności do szalup i odbili od brzegu. Cała uroczystość trwała niepełna dwadzieścia minut.

John Whittefield tak napisał do swojej żony:

Dziś przeżyłem drugie najważniejsze wydarzenie mojego życia (pierwszym było poślubienie Ciebie). Miałem zaszczyt zostać pierwszym w historii Amerykaninem, którego przyjęto oficjalnie na japońskiej ziemi. Feudalni panowie Japonii wystroili się w pełne zbroje bojowe. Za nimi, jak okiem sięgnąć, morze konnicy, piechoty, łuczników, kopijników i tak dalej. Natych-

miast przypomniaty mi się opowieści o królu Arturze i innych rycerzach z dawnych czasów.

Tak się cieszę, że wszystko dobrze się skończyło. Nasi żołnierze i marynarze zachowali się wzorowo. Precyzja, z jaką wykonali elementy musztry, musiała

wywrzeć na tych groźnie wyglądających samurajach ogromne wrażenie. Bez odbycia hańbiącej ceremonii kow-tow i bez użycia broni wylądowaliśmy na brzegu i doręczyliśmy oficjalny list prezydenta przedstawicielom rządu Japonii. Wydarzenie bez precedensu, nie sposób było przewidzieć, jak się wszystko potoczy. A jednak odnieśliśmy sukces. Komodor uważa, że to jedno z najważniejszych wydarzeń historii nowożytnej. Następne spotkanie za rok. Dopiero wtedy dowiemy się tak naprawdę, na ile się nam powiodło. To oznacza, że rozłąka z Tobą i maleństwem przedłuży się. Radość z odniesienia sukcesu mąci mi smutek. Niczego tak nie pragnę, jak znów być z Tobą. Spotkałem naszego przyjaciela, który podarował Ci ząb wieloryba. Wylądował bezpiecznie, ożenił się, jego żona spodziewa się dziecka. Przesyła wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienia. Oddał naszej misji nieocenione usługi. Ta informacja jest przeznaczona wyłącznie dla Ciebie i moich Rodziców.

Beth, tęsknię za Tobą i sam już nie wiem, czy rzeczywiście jestem stworzony do służby na morzu. Częściej myślę o Tobie i Jerry'm niż o tym, co się dzieje na okręcie. Mimo to jestem dumny, że mogę w tym wszystkim brać udział. Niedługo spotkamy się z resztą eskadry. Jeden z okrętów wracających na Hawaje zabierze pocztę. Kończę więc i otwieram Biblię, wiedząc, że w tej samej chwili Ty będziesz czytała z niej ten sam ustęp. Nasza miłość i łączenie się modlitwą z Wszchemogącym w niebie czyni mi życie tu, na ziemi, bardziej znośnym.

Po rozstaniu z eskadrą amerykańskich okrętów „Shintō Maru” zawinął do portu w Ichiki, gdzie Mung opuścił statek. W czasie podróży lądem do Satsumy nie potrzebował już przewodnika. Znakomita pamięć bezbłędnie wskazała mu drogę do klapy maskującej wlot ziemnego tunelu wiodącego pod murami zamku do kuźni płatnerza. Pozostał tam w ukryciu dwanaście godzin, aż zjawił się mnich wojownik, położył mu rękę na ramieniu i spojrział na niego z aprobatą. Bez słowa poprowadził go ciemnymi ulicami i tajemnym przejściem pod zamkową pagodą do komnaty, gdzie czekali już na niego pan Nariakira i Sakuma Shozan.

Mung padł na kolana, uderzył czołem o podłogę i na rozkaz pana Nariakiry usiadł na macie. Opowiedział dokładnie, co zaszło na pokładzie okrętu flagowego komodora Perry'ego, i powiadomił o czasie i miejscu następnego spotkania na morzu. Układali we trzech plan działania aż do pory medytacji przed świtem. Ten sam kapłan odprowadził go do tunelu, w którym Mung przespał cały dzień.

Następnej nocy sam pan Nariakira w stroju zwykłego samuraja przyszedł z kapłanem do tunelu Munga. Nawet najbardziej zaufany wasal nie mógł wiedzieć, że pan na Satsumie opuścił zamek. Sakuma Shozan miał obwieścić, że *daimyo* zamknął się w odosobnieniu i rozpoczął okres postów i głębokich medytacji.

Pan Nariakira i Mung ruszyli pieszo za swym przewodnikiem. Podróżowali nocą, korzystając z parowów, źleńców i łożysk strumieni, z dala od ludzkich oczu.

W płytkim wężozie w pobliżu Ichiki prowadzący ich kapłan zamarł nagle w bezruchu. Mung instynktownie przypadł do ziemi. Pan Nariakira ani drgnął, stał sztywno wyprostowany, próbując przebić groźnym spojrzaniem mrok nocy. W ciepłym powietrzu panowała martwa cisza. Mung uzmysłowił sobie nagle, że powinni słyszeć świerszcze i inne nocne stworzenia. Na tle wygwieźdżonego nieba pojawiły się na obu zboczach wężozu ciemniejsze sylwetki ludzi.

— Płaćcie i przechodźcie! — dobiegł z góry czyjś głos.

— Chodźcie po swą śmierć, wyrzutki! — warknął pan Nariakira, dobywając długiego i krótkiego miecza.

Mung skulił się jeszcze bardziej, bacznie obserwując swego pana i walecznego mnicha.

Nie jesteście wyrzutkami — odparł głos. — Jesteście urodzonymi wojownikami, roninami bez pana, któremu moglibyśmy służyć. Umieramy z głodu.

Mung odbezpieczył nowego kolta, prezent od Johna Whitefielda.

Pan Nariakira wyciągnął zza *obi* trzos złotych monet i rzucił go w górę.

— Weźcie te monety — powiedział. -- Jeśli z was szumowiny, jedźcie za to i pijcie do upadłego, bo niedługo będziecie się cieszyć tym światem. Jeśli jednak jesteście prawdziwymi samurajami, żyjącymi w zgodzie z *bushido*, udacie się na zamek w Satsumie, do Sakumy Shozana. Tam każdy prawy ronin znajdzie pana, któremu będzie mógł służyć, i bitwy, w których będzie mógł dowieść, że jest prawdziwym samurajem.

Mung usłyszał nad głową szepty i brzęk monet. Rzucona z góry sakiewka upadła u stóp pana Nariakiry.

Dzięki ci, panie — odparł głos. — Doskwiera nam głód, więc wzięliśmy tyle, ile trzeba, aby się najeść. Wstyd nam za to. Ruszamy w drogę do Satsumy.

Kiedy czarne sylwetki na zboczach wężozu rozpląnęły się w ciemności nocy, trzech podróżnicy wznowili marsz do bagna, na którym Mung ukrył łódź. Wyłynęli na otwarte morze. Mung wyjął z kosza na rufie lampion i w ostatniej godzinie nocy nadał umówiony sygnał. Wiosłowali w małej łodzi, aż zamajaczył przed nimi kadłub „Shintó Maru”. Wzięto ich na pokład, a Mung podał kapitanowi kurs do miejsca spotkania z komodorem Perrym.

Na pokładzie statku pan Nariakira spędził wiele godzin z Mungiem

przygotowując się do negocjacji z Amerykanami. Mimo to miał dość czasu, by obejrzeć pościg za wielorybem, polowanie i sprawianie tuszy. Kiedy Mung zapoznał go z liczbą złowionych przez „Shinto Maru” morskich kolosów, dał się namówić do budowy kolejnych dwóch jednostek i bazy wielorybniczej w Kagoshimie. Postawił tylko jeden warunek — że „Shinto Maru” i wszystkie następne statki mają być przystosowane do zamontowania na nich dział.

W księgach pokładowych „Shinto Maru” i „Vandalii” umieszczono podobne zapisy. Spotkanie nastąpiło piątego sierpnia, sto pięćdziesiąt mil od brzegu. Pomimo wszystkich wcześniejszych opisów Munga pan na Satsumie nie zdołał ukryć podniecenia i zdumienia ogromem „Susæhanny” i jej zdolnością płynięcia prosto na wiatr.

Spotkanie odbyło się na pokładzie okrętu flagowego komodora, w roli tłumaczy wystąpili Mung i John Whittefield.

Rozpoczął je komodor.

— Nie mamy żadnego doświadczenia w prowadzeniu rozmów z przedstawicielami Japonii — powiedział na wstępie. — Nie znamy zwyczajów waszej dyplomacji. Gdyby któreś ze stwierdzeń użytych w czasie tych rozmów okazało się obraźliwe, to byłaby to obraza zupełnie nie zamierzona.

— Pańskie słowa doskonale wyrażają i moje myśli — odparł pan Nariakira. — W naszym wspólnym interesie leży ograniczenie do minimum zbędnych formalności. Czy nie zechciałby pan opisać tego, co zaszło w Edo?

Pan na Satsumie słuchał tłumaczenia z kamienną twarzą. Przerwał tylko raz, by poprosić o rysopis przedstawicieli szoguna, którzy wzięli udział w ceremonii przekazania listu. Mung nie posiadał się ze zdumienia, ale udało mu się to ukryć. Tłumacząc prośbę swego pana spojrzął na Johna i obaj się uśmiechnęli.

Po tym krótkim streszczeniu wydarzeń pan Nariakira milczał dłuższą chwilę, po czym powiedział:

— Pośląncem, który pozostawał z panem cały czas podczas trwania negocjacji, był nikt inny jak pan Abi. Używał (ego samego przebrania podczas rozmów z admirałem Biddclem, ale wówczas towarzyszył mu pan Hayoshi. Nie wiem, kto przyjmował od pana list, ale jeśli tłumacz przed nim klękał, to bez wątplenia był to doradca szoguna. Na podstawie dostarczonego przez was opisu Mung rozpoznał ich tłumacza. Nazywa się Kunaiaie, jest samurajem ze starego rodu. — Pan Nariakira skinął głową z uznaniem. — Wasz plan był znakomicie opracowany i równie znakomicie wykonany. Na nas, Japończykach,

ogromne wrażenie robi pompa i ceremoniał, a zwłaszcza dyscyplina i dyskretna demonstracja siły. Kroczyliście po ostrzu miecza.

Komodor skinął głową, dziękując za komplement.

— Nie ma cienia wątpliwości — ciągnął pan Nariakira — że gdyby padł taki rozkaz, wszyscy obecni tam samurajowie rzuciliby się na was pomimo przytłaczającej przewagi waszego uzbrojenia. Człowiek, który mógłby wydać ten rozkaz, pan Hayoshi, przebywał akurat poza Edo. Kiedy tu powrócicie, albo on będzie dowodził wojskami szoguna, albo ja armią cesarza.

— Szczerze pragnę, aby podpisanie naszego traktatu przebiegło pokojowo — powiedział komodor. — W tym celu proponuję panu gościnę na pokładzie „Susquehanny” do naszego następnego spotkania.

— To bardzo szlachetnie z pańskiej strony, ale Mung opowiadał mi, że nim przywykł do zachodniego pożywienia i zachodnich koi, upłynęło niemało czasu. Będę czuł się swobodniej na pokładzie „Shinlo Maru”. Natomiast z największą przyjemnością zwiedzę pański okręt.

— Będzie pan naszym honorowym gościem.

W ciągu następnych dwóch dni odbyło się kilka takich spotkań. Pan Nariakira zapoznał komodora z historią japońskich wojen, wprawiając go w osłupienie liczebnością biorących w nich udział armii. W walnej bitwie, stoczonej przed dwustu pięćdziesięcioma laty, po której ród Tokugawa objął władzę w szogunacie, brało udział więcej żołnierzy, niż liczyły sobie francuskie i brytyjskie armie pod Waterloo razem wzięte.

— Przez całe stulecia — ciągnął pan Nariakira — bitwy wygrywało się albo dzięki przytłaczającej przewadze sił, albo dzięki fortelom. W nadchodzącej wojnie wewnętrzne linie komunikacyjne i zaopatrzeniowe znajdują się pod kontrolą szoguna. Feudalni książęta popierający cesarza rezydują w większości na północnych i południowych krańcach cesarstwa.

— Skąd wiadomo, że dojdzie do wojny? — spytał komodor.

— Wielu panów feudalnych, w tym ja, przysięgło walczyć do śmierci o przywrócenie władzy cesarzowi. Musimy stworzyć nasz kraj przed Zachodem, ale na naszych warunkach. Nie chcemy, by u nas powtórzyło się to, co zaszło w Chinach. — Jego słowa nabrały niezwyklej mocy. — Ta przysięga to *bushido*! Nie ma od niej odwrotu! Jej złamanie pohańbiłoby na wieczne czasy wszystkich moich przodków i dzieci moich dzieci! W małym wąwozie w drodze tutaj powziąłem jeszcze jedną decyzję. Podejmę walkę, nawet gdyby tylko sama Satsuma miała powstać przeciwko szogunowi!

Komodor zmierzył japońskiego feudała baczny spojrzeniem.

— Pomoc, której moglibyśmy wam udzielić, jest dość ograniczona. Musiałbym otrzymać zapewnienie, że uzyskamy audiencję u cesarza, a nasze prośby zostaną poważnie potraktowane.

— Wasze prośby nie stoją w żadnej sprzeczności z założeniami polityki, którą mamy nadzieję prowadzić. Ale wydaje mi się, że nie do końca rozumiecie, jaką pozycję w naszym kraju ma cesarz. Cesarz jest w prostej linii potomkiem Boga Słońca. Ani pan, ani żaden inny cudzoziemiec nigdy go nie ujrzy. — Pan Nariakira spojrzął twardo na komodora. — Jesteśmy Japończykami i nie mamy najmniejszego zamiaru europeizować się czy amerykanizować. Nie chcemy także mieć nic wspólnego z waszą religią.

— Naszym celem nie jest narzucanie wam innego trybu życia, ale podpisanie humanitarnych i handlowych umów, korzystnych dla obu naszych krajów — odparł komodor.

— Wierzę panu, ale muszę patrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Gdybyście wdarli się siłą do pałacu szoguna, zjednoczylibyście przeciwko sobie całą Japonię. — Pan Nariakira uśmiechnął się i skłonił głowę. — Wasze zachowanie w Edo było znakomicie wyważone, zyskało wam respekt rady i dozą nienawiści pana Hotty. Bo tym razem to on stracił twarz. Krótkość trwania waszej wizyty, przekazanie listu prezydenta, natychmiastowe opuszczenie portu z obietnicą powrotu za rok — wszystko to musiało wywołać w obozie szoguna ogromne zamieszanie.

— Co według pana teraz nastąpi?

— Umiarkowany w swych poglądach pan Abi będzie prawdopodobnie musiał popełnić *seppuku*. Pan Hayoshi obejmie przewodnictwo rady i dowództwo armii. Natychmiast rozpocznie przygotowania do uniemożliwienia wam powtórnego zawinięcia do Edo. Jego także obowiązuje kodeks *bushido* i będzie bronił szoguna do końca, bez względu na okoliczności.

Komodor Perry spojrzął taksująco na pana Nariakirę.

— My, Amerykanie — powiedział — także mamy swój kodeks *bushido*. Dałem słowo, że wrócę doprowadzić do podpisania traktatu, i dotrzymam go!

— Istnieje tylko jeden sposób uniknięcia konfrontacji zbrojnej — odparł pan Nariakira. — Rozbicie sił szoguna przed waszym powrotem.

— W jaki sposób można to osiągnąć?

— Po powrocie do Satsumy roześlę gońców do wszystkich *daimyo*, którzy przysięgli wierność cesarzowi, by czynili przygotowania do wojny z szogunem.

— Czy nie można by tego rozwiązać drogą negocjacji?

— Naszym życiem rządzi kodeks *bushido*. To nasze przeznaczenie. Szogun, pan Hayoshi i ich rody sprawują władzę od dwustu pięćdziesięciu lat, a my, którzy popieraliśmy cesarza, płacimy im trybut. Obecny szogun to człowiek słaby i chwiejny. I po raz pierwszy od bardzo dawna mamy cesarza, który żąda przywrócenia mu boskiego prawa przewodzenia ludowi Japonii. — Pan Nariakira uderzył dłonią w stół. — Wy tylko przyspieszyliście wybuch nieuniknionego konfliktu.

— Czy są szanse na zwycięstwo?

— Prawie żadne.

— W takim razie, dlaczego chcecie podjąć tę próbę?

Pan na Satsumie wyprostował się i uniósł dumnie głowę. Rzucił tylko jedno słowo:

— *Bushido!*

Na zakończenie ostatniego spotkania, kiedy okręty cięły spokojnie gładkie wody oceanu z dala od lądu i poza zasięgiem mew, komodor oprowadził pana Nariakirę po „Susquehannie”. Największe wrażenie wywarł na nim ogromny silnik parowy i paleniska zużywające tak wielkie ilości węgla. Za pośrednictwem Munga zadał wiele pytań dotyczących dział okrętowych i ich zasięgu. Kiedy poprosił o zademonstrowanie działania nowych pocisków burzących, komodor z radością przychylił się do jego prośby. Zaproponował, żeby Mung obejrzał rysunki techniczne z parametrami dział, pocisków burzących i ich zapalników, a sam poprowadził swego gościa na mostek.

Nad nadbudówką mostka rozpięto żagle i flagi, oceniając nimi długi biesiadny stół. Komodor Perry, pan Nariakira i John Whittefield zajęli miejsca u szczytu, dokładnie przed kołem sterowym. Po jednej stronie zasiadło pięćdziesięciu członków załogi „Shintó Maru”, po drugiej taka sama liczba oficerów i wybranych marynarzy z „Susquehanny”. Kucharze okrętowi podali całego wołu, dwa barany, dziczyznę, drób, warzywa i wiele różnych gatunków napojów alkoholowych. Wszystko to ustawiono przed Japończykami. Oni z kolei przynieśli ze sobą przysmaki mające podbić podniebienia Amerykanów: płaty surowego mięsa ryb, gotowane wodorosty, biały kleisty ryż, tarte rzodkiewki, morskie ślimaki z nasionami miłorzębu i butelki sake.

Zarówno Amerykanom, jak i Japończykom zapowiedziano z pełną powagą, że wynik rozmów będzie w znacznej mierze zależał od tego, czy ucztą się uda. Obie strony z zapałem zabrały się do jedzenia. Jednak już wkrótce po rozpoczęciu gastronomicznego współzawodnictwa John spostrzegł, że bosman gania widelcem po talerzu ślimaka,

a siedzący naprzeciwko niego Japończyk dziobie krwisty befsztyk pałeczkami. Bosman pokazał coś na migi, Japończyk w lot pojął, o co mu chodzi, i z uśmiechem ulgi zamienił się z nim na talerze. Chwilę później zamiany dokonywano już wzdłuż całego stołu.

Pan Nariakira i komodor Perry woleli udać, że niczego nie widzą, i ze stoickim spokojem żuli swoje potrawy. Obaj jednak grzecznie odmówili dokładek. John z entuzjazmem poprosił o drugą porcję ślimaków i surowej ryby. *Daimyo* z Satsumy uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Nie wiedział, że entuzjazm Johna jest elementem planu opracowanego przez niego wspólnie z Mungiem i komodorem.

Matthew Perry uniósł czarkę sake.

— Za Japonię i Stany Zjednoczone! Za naszą wspólną pracę ku pożytkowi obu krajów i całej ludzkości!

Wszyscy Amerykanie podnieśli miseczki. Japończycy patrzyli ze zgorzaniem, jak wychylają jednym haustem napój, który zwyczaj nakazywał pić jak najmniejszymi łyčzkami. Przez grzeczność zrobili to samo, z trudem łapiąc oddech po przełknięciu takiej ilości palącego płynu.

Pan Nariakira podniósł kieliszek białej madery.

— Za nasze ojczyzny! Niechaj obie skorzystają na wymianie myśli między młodą nową demokracją i okrzepłą starożytną cywilizacją.

Znów wszyscy wypili do dna. John wznosił toast szampanem, kapitan japońskiego wielorybnika — whisky. Następni rwali się do głosu, nikt nie chciał być gorszy.

Jeden z japońskich wielorybników pochylił się nad stołem i objął za ramiona starego amerykańskiego wilka morskiego.

— Jesteśmy jednego serca, twój kraj i mój! — zawołał.

— Co on powiedział? — spytał Amerykanin, spoglądając z góry na małego Japończyka. Uwolnił się z jego objęć i wygładził mundur. — Starą setkę! — huknął.

Wszyscy Amerykanie poderwali się na nogi i zaczęli śpiewać:

*Przed Jehowy groźnym Ironem
Pokłon świcy narody oddajcie,
Bóg jest nam jedynym Panem,
Nigdy nie zapominajcie.*

*W Jego mocy tworzyć,
W Jego mocy niszczyć...*

— Milczeć i siadać! — ryknął ze swego miejsca komodor.

Połowa marynarzy zastygła z rozdziawionymi ustami, a druga opadła na swe miejsca.

— Niech pan przetłumaczy, że ta pieśń to początek? i popołudniowych występów — polecił Johnowi komodor, po czym **zawołał**: -^ Wprowadzić Królewskich Etiopczyków!

Mistrz ceremonii wystąpił do przodu i obwieścił:

— Część pierwsza naszego występu przebierańców, zatytułowana „Kolorowy dżentelmen na północy”!

Na prowizoryczną scenę tuż pod mostkiem wybiegli przebrani za Murzynów członkowie załogi, w czarnych maskach na twarzach, z tamburynami i banjolami. Śpiewali i tańczyli w takt piosenek od „Virginia Rosebud” do „Ole Ma Coon”. W połowie przedstawienia japońscy goście zdołali się już na tyle otrząsnąć z pierwszego szoku, że zaczęli klaskać w rytm muzyki. Śmieli się z dowcipów, których nie rozumieli, wiwatowali, kiedy robili to Amerykanie.

Po zakończeniu popisów, kiedy ucichły brawa i gwizdy, pan Nariakira wypił zdrowie Królewskich Etiopczyków, czym zupełnie niechętny zapoczątkował następną szaloną rundę toastów. Kiedy ujrzał, że jego ludzie piją duszkiem szampana, który zasmakował im bardziej niż sake, wskazał ręką na scenę i rzucił tylko jedno słowo:

— Kagura!

Pięćdziesięciu członków załogi „Shintó Maru” zastygło w pozycji siedzącej, ze wzrokiem wbitym przed siebie. Na rozkaz swego kapitana wstali i odwrócili się w prawo. Jeden za drugim ruszyli gęsiego ku schodom prowadzącym na niższy pokład i zaimprovizowaną scenę. Połowa z nich zwała się tworząc jedno wielkie kłębowisko rąk i nóg. Pozostali przeszli po swoich kolegach z głupkowatymi uśmiezkami ludzi pijanych. Wbiegli truchtem na scenę. Kapitan stał pośrodku i czekał, aż utworzą krąg. Kiedy chwiejnym krokiem zajmowali miejsca, piorunował po kolei każdego wzrokiem.

— Widzę was wszystkich i każdego z osobna! — warknął, po czym wyjął zza *obi* wachlarz i zaczął nim stukać. Kilku jego ludzi dobyło z przepastnych rękawów kimon małe bębunki i podchwyciło rytm. Pozostali nałożyli barwne maski przedstawiające pyski zwierząt i mitycznych bestii i zaczęli tańczyć wokół kapitana. Jedna bestia ścigała drugą wewnątrz i na zewnątrz poruszającego się kręgu.

Gospodarze klaskaniem w ręce wybijali rytm, aż jakieś banjo poddało melodię japońskiemu tańcowi. Kilku Amerykanów wtoczyło się na scenę i włączyło w wirujący krąg. Szybciej, szybciej, jeszcze szybciej... Smok ścigał lwa, gonił go pod rękami i między nogami szybujących tancerzy. W tej właśnie chwili Mung wyszedł na pokład i rozdziawił usta ze zdumienia. Lew zaklinował się między nogami jakiegoś tancerza, wirujący krąg pękł i pijani tancerze obu narodowości

potoczyli się na wszystkie strony. Całą scijnę i pokład usłały leżące ciała.

— Co tu się stało? — spytał Mung.

— Właśnie podpisaliśmy porozumienie w najbardziej wzruszający sposób, jaki można sobie wyobrazić — wyjaśnił komodor. — Obie załogi kompletnie się zbłąziły.

John przetłumaczył tę uwagę panu Nariakirze, który skłonił się i odparł:

— Dopiero kiedy węzeł na głowie się pochyli, ujawnia się prawda o czyichś myślach i objawia szczerść serca.

John mrugnął do Munga, który skinął głową i zwrócił się do swego *daimyo*:

— Panie mój, komandor Whittefield ma prośbę.

Księżę odwrócił się do wysokiego, jasnowłosego Amerykanina:

— Mów!

— Panie, z najwyższym szacunkiem zwracam się o pozwolenie wykorzystania mego zaległego urlopu w Satsumie.

Daimyo przeniósł wzrok z jednego młodego człowieka na drugiego, próbując rozgryźć, co się kryje za tą prośbą.

Komodor Perry, wtajemniczony w spisek, powiedział:

— Pan Whittefield chętnie zapracuje na wikt i opierunek.

— Jaką pracę spodziewasz się dostać? — spytał pan Nariakira.

— Jestem wojskowym, panie, na niczym innym się nie znam.

— A zatem zgoda — odparł pan Nariakira, ściągając usta, by ukryć uśmiech. — W Satsumie będzie mnóstwo zajęcia dla ludzi pańskiej profesji.

Wyciągnął zza pasa oba miecze, w przepięknie inkrustowanych srebrem pochwach, i wręczył je komodorowi. Matthew Perry podziękował za prezent skinieniem głowy. W rewanżu podarował panu na Satsumie mahoniową szkatułkę z wyrzeźbionym na wieku amerykańskim orłem.

Szkatułka zawierała parę koltów. Metal luf i zamków, wykładane macią perłową kolby i równiutki rządki kul załśniły w słońcu niemal tak samo jak oczy pana Nariakiry. Skinął głową i powiedział:

— Byłby z ciebie niezły samuraj, panie.

Na co komodor odparł:

— A z ciebie Amerykanin, panie,

ROZDZIAŁ 16

John Whittefield, w pełnym umundurowaniu polowym, z karabinem Henry'ego, zszedł z Mungiem do szalupy. Do drugiej wsiedli pan Nariakira i mnich wojownik. Wioślarze odbili w stronę „Shintó Maru”. Kiedy znaleźli się na pokładzie, statek chwycił wiatr, przechylił się na prawą burtę i wziął kurs na Ichiki. „Susąuehanna” i „Vandalia” popłynęły pełną parą do miejsca spotkania z resztą eskadry, a po połączeniu się z nią — do Kantonu.

Na „Shinto Maru” Johna zakwaterowano w kajucie Munga. Ponieważ koja okazała się dla niego za krótka, rozłożono mu na podłodze wypchany słomą materac. Przybrani bracia zgodzili się, że najpilniejszą sprawą jest wymyślenie jakiegoś przebrania dla Johna i doszlifowanie jego japońszczyzny. Postanowili zatem dziesięć godzin dziennie przeznaczać na doskonalenie jego wymowy.

Pan Nariakira wezwał do siebie Munga. Ich wzajemny stosunek uległ zmianie. Mung był już teraz zaufanym doradcą, obaj wyraźnie się do siebie przywiązali. Mung wszedł do kajuty, ukląkł i skłonił się do podłogi.

— Usiądź — powiedział pan Nariakira — i słuchaj. Prowadzę swoich ludzi na wojnę, a mimo to czuję się tak, jakby ktoś zdjął mi ciężar z serca. — Wskazał ręką w kąt kajuty i dopiero teraz Mung zauważył siedzącego tam mnicha. — Nasz kapłan uważa, że zdoła zabarwić ciało Amerykanina pewną substancją uzyskiwaną z destylacji drewna. Po ogoleniu głowy i retuszu oczu będzie mógł uchodzić za buddyjskiego mnicha, który ma w żyłach domieszkę krwi mongolskiej. Musi jednak nauczyć się choćby podstawowych japońskich komend wojskowych.

— Już rozpoczęliśmy lekcje japońskiego — odparł Mung. — Sam go będę uczył. Kapitan i załoga mi w tym pomogą.

— Raczej niech to właśnie oni się tym zajmą. Nie bez powodu wypytywałem o szczegóły budowy dział okrętowych i sposób ich zamontowania. Komodor jest bardzo bystrym człowiekiem. Pojął w lot, o co mi chodzi, i posłał cię na dół, żebyś mógł obejrzeć rysunki techniczne i opis parametrów broni. John Whittefield musiał mu mówić o twojej fenomenalnej pamięci. — Spojrzał Mungowi prosto w oczy. — Twoim najpilniejszym zadaniem będzie spisanie wszystkiego, co pamiętasz z tych rysunków, wszystkich szczegółów o działach i urządzeniach celowniczych. W pewnym rodzie na wyspie Tanegashima, która dwieście pięćdziesiąt lat temu była cesarską zbrojownią, do dziś zachowano umiejętność odlewania dział. Pomi-mo wprowadzonego wówczas zakazu produkcji broni tajniki rzemio-sła przekazywano w tej rodzinie z ojca na syna. Tam właśnie się udasz.

Stolarz okrętowy skonstruował w ładowni specjalny stół, oświetlony zawieszonymi nad nim oliwnymi lampami. Mung rozpostarł na blacie kartę ryżowego papieru i przypiął ją na brzegach. Przyjął pozycję do prowadzenia medytacji, oczyścił umysł z wszystkich myśli i koncentrował się dotąd, aż przed oczami została mu tylko czysta karta papieru. Przywołał z pamięci pierwszy rysunek, a kiedy powoli nałożył mu się na kartę, zaczął rysować, jak w transie, z na wpeł przymkniętymi oczami. Machał błyskawicznie pędzelkiem, przenosząc na papier obrazy z pamięci. Problem nie polegał na przypomnieniu sobie rysunków. Rzecz w tym, że przypominało mu się ich zbyt wiele naraz, często nakładały się na siebie, zamazywały nawzajem. Trzeba było najwyższej koncentracji, żeby właściwie rozdzielić ich szczegóły. Wrócił do kajuty zupełnie wykończony.

Drugiego wieczoru John spylai go ze swego materaca na podłodze:

— Gdzie ty przepadasz na całe dni?

Mung zawahał się na moment. Natychmiast jednak ogarnęło go poczucie winy z powodu lego wahania i opowiedział o wszystkim.

John słuchał uważnie, po czym stwierdził:

Pan Nariakira ma rację. Rzec/y wiście opowiadałem komodorowi o twojej niezwykłej pamięci. Jesl dla mnie zupełnie jasne, że mogę ci służyć wszelką pomocą, gdyż w żaden sposób nie skompromituje to Stanów Zjednoczonych ani naszej marynarki wojennej. Na razie wkuwanie japońskiego po dziesięć godzin dziennie, choćby tylko przez dwa dni, to najcięższe zadanie, jakie kiedykolwiek mi przydzielono. Możemy pracować razem, powiedzmy pięć godzin dziennie, rozmawiając wyłącznie po japońsku. To w połowie rozwiąże mój problem, a i tobie może w czymś pomóc.

Płynęli ostrym wiatrem w ciepłym sierpniowym słońcu. Do Ichiki zostało im dziesięć dni żeglugi.

Cała załoga zgromadziła się na pokładzie, by zobaczyć, jak mnich wojownik goli Johnowi brwi i głowę. Kiedy brzytwa zaczęła gładko usuwać w czaszki pasma jasnych prostych włosów, posypały się wiwaty i żarty, a Amerykanin nie pozostał nikomu dłużny, odpowiadał na wszystkie przyjazne docinki. Kapłan starannie nałożył barwnik na jego twarz, szyję, ramiona i ręce. Żółtoskóry już John zaczął parodiować rozkołysany chód wielorybników, stąpając na przesadnie wygiętych nogach. Marynarze zrewanżowali mu się sztywnym paradowaniem po pokładzie, z ramionami odrzuconymi do tyłu, z piersią wypiętą do przodu. John nałożył drewniaki, które dał mu kapłan, i cała załoga pokładała się ze śmiechu, gdy dreptał w nich niezdarnie po pokładzie, wyłamując sobie nogi w kostkach lub gubiąc buty za sobą. Nauczył się w nich chodzić dopiero po wielu godzinach intensywnych ćwiczeń, ale pod koniec podróży potrafił w nich nawet biegać.

Było już po zachodzie słońca, gdy „Shintó Maru” zbliżył się do Ichiki. John nałożył szafranową szatę, uszytą przez jednego z marynarzy, i wraz z panem Nariakirą, Mungiem i kapłanem zszedł po drabince do szalupy. Na odchodnym Mung udzielił kapitanowi statku ścisłych instrukcji. Pod żadnym pozorem nie wolno mu puścić nikogo z załogi „Shintó Maru” na brzeg. Mają cały czas prowadzić połowy i co trzy dni czekać na kotwicy w wyznaczonym miejscu od północy do godziny przed świtem. Sygnałem do spotkania będzie biały i zielony lampion.

Po przybiciu do brzegu w pobliżu Ichiki mnich poprowadził pozostałą trójkę łodem do Satsumy. Sunęli przez noc szybko i cicho. Przy wlocie do tajemnego podziemnego przejścia kapłan zwrócił uwagę na dziwną poświatę nad narożnym murem zamku. Pan Nariakira nakazał im gestem iść za sobą w stronę światła. Wychyliwszy się zza węgła ujrzeli setki ognisk, a wokół nich tysiące ludzi śpiących na gołej ziemi. Przeszli między nimi nie zauważeni. Ciszę nocy mącił tylko głęboki równy oddech śpiących i trzaskanie dopalających się drzew.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał pan Nariakira podchodząc prosto do człowieka, który siedział w kucki przy jednym z ognisk.

Mężczyzna wstał i wtedy za jego *obi* błysnęły rękojeści dwóch mieczy. Kimono miał całe w łatach, ale trzymał się prosto i dumnie.

— A jaki to samuraj zadaje pytania nie wytłumaczywszy pierwiej swej obecności? — powiedział, rzucając panu Nariakirze twarde spojrzenie. — Gdzie twoje maniery?

Mung i mnich wojownik spojrzeli po sobie oślepiali.

Spostrzegłszy wyraz szoku malujący się na twarzy przybysza, samuraj roześmiał się i powiedział:

— Chodźcie, siadajcie. Tutaj nie obowiązują aż tak sztywne formy.

Usiedli przy ognisku. Pan Nariakira przyszedł nieco do siebie.

— Zechciej mi wybaczyć ten nietakt.

Samuraj wyjął zza *obi* stary, zniszczony woreczek i wytrząsnął z niego do czajniczka ostatnie liście herbaty, niemal sam pył.

— Musiałeś być prawdziwym dandysem, nim zostałeś roninem — powiedział.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Spójrz tylko na siebie. Ubranie masz jeszcze porządne, a miecze już sprzedałeś.

Pan na Satsumie sięgnął szybko do pustego *obi*, po czym spuścił ręce na kolana.

— Nie mnie wydawać sądy — ciągnął samuraj. — Czasy mamy ciężkie, ale sprzedać miecze... — pokręcił z dezaprobatą głową i podał panu Nariakirze herbatę.

Pan na Satsumie wziął od niego miseczkę, choć sposób, w jaki zwracał się do niego samuraj, musiał go przyprawić o nie lada wstrząs. Samuraj wskazał śpiące postaci.

— Wkrótce będziemy mieli pana — powiedział i przesunął rękę w stronę mającego za murami zamku. — Pan na Satsumie już od ponad miesiąca oddaje się medytacjom. Przez cały ten czas ze wszystkich stron ściągają tu roninowie, bo rozeszła się wieść, że każdy człowiek honoru znajdzie tu zajęcie. — Spojrzał na miseczkę w dłoniach pana Nariakiry. — Pij — zachęcił.

— Teraz ty zapomniałeś o manierach — odparł z uśmiechem pan Nariakira. — To niegrzecznie mówić gościowi, kiedy ma pić.

— To prawda. — Samuraj wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i puścił oczko. — Ale ja mam tylko jedną c/arkę, a twoi przyjaciele czekają.

Pan Nariakira podniósł miseczkę do ust i wypił herbatę.

— Masz rację — powiedział, kiedy ją oddawał. — Byłem dandysem. Pijałem herbatę z ceremoniałem opracowanym przez ekspertów w dziedzinie sztuki. Ale sposób, w jaki ty ją dzisiaj podałeś, bije tamte na głowę.

— Wiedziałem, że musiał się ocierać o wyższe sfery — powiedział samuraj podając miseczkę Johnowi WhiUctieldowi. — Posłuchajcie tylko jego komplementów.

Pan na Satsumie podniósł się z ziemi, stanął w rozkroku z rękami na biodrach i powiódł wzrokiem po śpiących, którzy zasłali całe pole

pod murami zamku. Dobył spod kimona szkatułkę z orłem na wieczku, otworzył ją i wyjął jedną kulę.

— Jak się nazywasz? — spytał, zwracając się do samuraja.

— Showa-kai.

Książę skłonił się przed nim głęboko, po pas.

— Weź to, Showa-kai — powiedział kładąc mu na dłoni smukły pocisk. — Przyjdź z tym jutro w samo południe do prefekta Satsumy. Uczyniłeś mi zaszczyt goszcząc mnie przy swoim ognisku i uradowałeś moje serce wieściami.

Nim samuraj zdążył cokolwiek odpowiedzieć, pan na Satsumie odszedł szybkim krokiem i rozpląnął się w ciemności. Kapłan, John Whitefield i Mung zerwali się z ziemi, żeby go dogonić.

Mung i John pozostali w tunelu, a kapłan poprowadził pana Nariakirę ulicami i tajnymi przejściami do komnaty medytacji w zamku. Tam pan Nariakira natychmiast położył się i zapadł w kamienny sen.

Zbudziło go delikatne potrząsanie Sakumy Shozana. Pan na Satsumie spojrzął w twarz swego sędziwego nauczyciela. Pergaminowa skóra wisiała mu na poHezkaeh, w kącikach ust pojawiły się szare cienie. Ale głos zachował dawną siłę.

— Jak się miewasz, panie mój?

— Dobrze, mój mistrzu. Wkroczyłem na ścieżkę, z której nie ma odwrotu.

— Czy to ścieżka honoru?

— Ta ścieżka to *bushido*. Sprowadź mi tu zaraz obu moich synów. Poślij po kapłana i Munga, który czeka w tunelu z gościem. — Kiedy stary uczoney odwrócił się, żeby wykonać polecenia, pan Nariakira dodał: — Każ służbie kupić najpiękniejszy serwis do herbaty, jaki można dostać w całej Satsumie. Na pięć osób. Napełnij wszystkie pięć czarek srebrem i każ to podarować roninowi imieniem Showa-kai. Człowiek ten przyjdzie w południe do biura prefekta i pokaże coś takiego. — Podał uczonemu jedną z kul.

Sakuma Shozan zaczął ją obracać w palcach.

— Co to takiego? — spytał.

— To coś, co może nam pomóc przywrócić władzę cesarzowi, Starzec potrząsnął smutno głową.

— Zbyt długo musiałem czekać na ten dzień. Chyba nie będzie mi dane go dożyć.

Pan na Satsumie ujął sędziwego uczonego za ramiona.

— Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek, mój mistrzu. Los Japonii rozstrzygnie się w ciągu najbliższego roku. Żadne przeciągające

się obłęzenia nie wchodzą w rachubę. Musimy wszystko dobrze zaplanować. — Odwrócił się, zgiął rękę i z płonąym wzrokiem i rozpaloną twarzą potrząsnął zaciśniętą pięścią. — Jestem wolny! — zawołał. — Oddycham! Koniec z trybutem dla szoguna! Nie dostanie już ode mnie nawet ziarenka ryżu! Spełnię wreszcie przysięgi mego ojca, dziada i pradziada! Japonią rządzić będzie cesarz!

Donośny głos pana Nariakiry przetoczył się korytarzami zamku. Jeszcze nim Sakuma Shozan opuścił jego komnatę, wieść obiegała lotem błyskawicy miasto i dotarła na pola pod murami — okres medytacji dobiegł końca! Przed wejściem do zamku zgromadził się wielotysięczny tłum. Roninowie tłoczyli się do bram fortecy.

W komnacie medytacji pan Nariakira udzielił synom szczegółowych instrukcji. Podał im nazwiska feudałów z północy wiernych sprawie cesarza, wyjawiał tajne hasła uzgodnione na wypadek wybuchu powstania przeciwko szogunowi i powiedział, na co mają kłaść nacisk w rozmowach. Po pierwsze, trzeba natychmiast rozpocząć przygotowania do wojny, ale za wszelką cenę unikać starć. Po drugie, wyrzucić wszelkie możliwe naciski na tych *daimyo*, którzy skłonni byłiby opowiedzieć się po stronie cesarza. Po trzecie, przesłać najlepszych w swoim fachu kowali i stolarzy na wyspę Tanegashima, z narzędziami i całym warsztatami. Po czwarte, powołać pod broń wszystkich roninów.

Synowie skłonili się do ziemi, a potem wyjęli długi przedmiot owinięty w jedwab, położyli go na wierzchu wyciągniętych dłoni i podali ojcu. Pan Nariakira zdjął jedwab. Jego oczom ukazał się wspaniały stalowy miecz, który wykuwał ze swymi synami w warsztacie płatnerza. Podniósł go oburącz, sprawdzając, jak jest wyważony. Machnął nim w powietrzu, chwycił klingą promień słońca i popatrzył na pełgające po ścianach odbłaski. Położył miecz na kolanach i skłonił się swym synom.

— Honor rodu panów na Satsumie pozostanie bez skazy — powiedział powoli, starannie odmierzając słowa. — Kiedy dojdzie do bitwy, staniemy ramię w ramię wszyscy trzej!

Synowie skłonili się i opuścili komnatę, mijając się w drzwiach z Mungiem, Johnem i Sakumą Shozancm.

— Popłyniesz z bratem na „Shinlo Marii” do Tanegashimy — powiedział pan Nariakira spoglądając na Munga. — Korzystając ze swych rysunków uruchomisz produkcję dział. — Przeniósł wzrok na Johna. — Ty pokażesz naszym płatnerzom swój karabin. Niech każdy wytwarza jedną jego część, aż osiągnie w tym mistrzostwo. Potem wyszkolicie ludzi, którzy wrócą tu, do Satsumy, i nauczą strzelać

roninów koczujących przed zamkiem. — Do komnaty wszedł mnich i pan Nariakira zwrócił się już do wszystkich razem. — Na przygotowania mamy kilka krótkich miesięcy. Bitwy rozpoczną się latem. Szpiegowie szoguna donieśli mu o gromadzeniu się roninów. Jesteśmy już w stanie wojny.

W tym momencie jeden z doradców dworu w Satsumie poprosił, by Sakuma Shozan zechciał wyjść z nim w pewnej nie cierpiącej zwłoki sprawie. Stary uczony spojrzął na pana Nariakirę, który skinieniem głowy wyraził zgodę. Doradca poprowadził spieszenie uczonego do komnaty przy końcu tego samego korytarza. Kiedy weszli do środka, Sakuma Shozan ujrzał brzemienną kobietę sadowiącą się z trudem pod ścianą. Po jej stroju można było łatwo poznać, że nie należy do pospólstwa, ale włosy miała w nieładzie, a twarz bardzo bladą i utrudzoną.

— To córka gubernatora Kagoshimy i żona Moryiamy Ishikawy — powiedział doradca.

Sakuma Shozan przyjrzał się kobiecie z niedowierzaniem i w końcu istotnie rozpoznał w niej żonę Munga.

— Widzę, pani, że nie czujesz się najlepiej. Co cię sprowadza w takim stanie?

Saiyo próbowała się skłonić, ale przeszkodził jej w tym wielki brzuch.

Sakuma Shozan podszedł bliżej i ujął ją delikatnie za ramiona.

— Mów, proszę.

Saiyo spojrzała na stojącego za plecami Shozana doradcę i zacisnęła usta.

— Możesz mówić swobodnie — zapewnił ją stary uczony pojmując, o co chodzi. — To jeden z najbardziej zaufanych sług naszego pana.

Saiyo nadała siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę i nie odezwała się słowem, dopóki Sakuma Shozan nie odprawił doradcę. Kiedy uniosła głowę, po bladych policzkach spływały łzy. Próbowała coś powiedzieć, ale zamiast słów z jej ust dobył się tylko gardłowy szloch. W końcu wydusiła z siebie:

— Ryochi jest w Kagoshimie. Na wpół martwy. Ma zniekształconą twarz i sparaliżowaną całą lewą połowę ciała. Jak pokonał drogę z Edo bez żywności, pieniędzy... ja, ja... — Skrzywiła się z bólu, objęła rękami brzuch i ciągnęła dalej: — Trzy dni temu rybacy przynieśli go pod drzwi mego domu. Kazał mi przysiąc na życie, że nie zdradzę tej wiadomości nikomu poza tobą, panie, mym mężem i panem Nariakira.

Sakuma Shozan ukląkł przed nią.

— Oto jestem, masz mnie przed sobą. Jaka to wiadomość?-

— Ryochi kazał mi powtórzyć, że was zawiedli, panie. Nie udało im się skontaktować z Amerykanami.

— Nie szkodzi. Twój mąż, pani, skontaktował się z nimi.

Saiyo załkała rozdzierająco.

— To znaczy, że Yoshida zginął na próżno! Poćwiartowano go, jego szczątki rzucono na stertę gnoju, a gawiedź oddawała na niego moc.

Sakuma Shozan zachwiał się na piętach przed zapłakaną kobietą. Zamachał bezradnie rękami, schował twarz w dłoniach i dopiero po dłuższej chwili opuścił je na kolana. Po policzkach stoczyły mu się dwie łzy.

— Yoshida był mi jak najdroższy syn — szepnął. — Miałem zamiar go adoptować... żeby przejął po mnie urząd skryby Satsumy.

Z ust Saiyo wyrwał się cichy jęk. Sędziwy uczony objął ją łagodnie za ramiona i zapłakał razem z nią.

— Opowiedz mi dokładnie wszystko, co wiesz — poprosił ją kilka minut później.

Saiyo zaczęła przekazywać mu szczegóły wydarzeń w Edo, lecz już wkrótce urwała i zerknęła na swój brzuch. Ruchy dziecka widać było wyraźnie nawet przez kimono.

— Spróbuj wytrzymać jeszcze chwilę — poprosił uczony.

— Spróbuję, panie, ale nie wiem, czy ono zechce czekać — odparła Saiyo kładąc rękę na brzuchu.

— Powiedz mi tylko, co Ryochi widział.

— Kiedy zjawili się Amerykanie, wybuchła panika. Świątynie pękały w szwach. Kartki z modlitwami błagalnymi kapłanów osiągnęły niebotyczne ceny. A po odpłynięciu obcych okrętów uderzono w gong wojny i przed oblicze szoguna wezwano wszystkich *daimyo*, którzy przebywali właśnie w Edo.

Starą się panować nad sobą, ale Sakuma Shozan widział, że ataki bólów stają się coraz częstsze.

— Dzięki ci, młoda matko — powiedział. — Wiem, ile musiała cię kosztować podróż z Kagoshimy. Oddałaś wielką usługę swemu panu i cesarzowi.

— I wszystko na darmo? Yoshida zginął, a Ryochi do śmierci zostanie kaleką... na próżno?

— Nie, pani. Wszyscy służyliście cesarzowi i Japonii. Będą o was pisać w księgach, teatry w całym cesarstwie będą wystawiać sztuki

O waszej wierności. — W głosie starca zabrzmiała groźna nuta. —

I przyrzekam ci, że ludzie, którzy zgotowali ten straszny los Yoshidzie i Ryochiemu, rozstaną się z tym światem przed czasem! A teraz muszę

już iść. Nim wrócę do mego pana, muszę jeszcze coś załatwić. Przyślę pani męża.

Kiedy wrócił do komnaty medytacji, Sakuma Shozan stanął przed swym panem sztywno wyprostowany, z rękami zaciśniętymi w pięści. Policzki płonęły mu wściekłością, z oczu bił dziki żar. Pomimo zwalniającego go od pokłonu gestu pana Nariakiry padł na kolana, położył dłonie na matach i uderzył czołem o podłogę. Kiedy uniósł głowę, spojrzął w oczy swemu panu, zacisnął szczęki i rozchylił wargi, ukazując dwa rzędy uczernionych zębów.

Pan Nariakira pochylił się do przodu wpatrując się w oczy swego mistrza. Dostrzegł w nich iskrę szaleństwa. Po plecach przebiegły mu ciarki.

— Jakież to ślubowanie uczyniłeś czerniąc sobie zęby? — spytał nieswoim głosem.

Wilgotna czerwień warg podkreślała ziejącą z ust czern.

— Śmierć szogunowi! — krzyknął stary uczonec. — Idź do swojej żony — powiedział do Munga, nie przestając wpatrywać się w oczy swemu panu. — To odważna i dzielna kobieta. Posłałem już po położną.

Mung skłonił się, zerwał z podłogi i wypadł z komnaty. Wbiegł do pokoju Saiyo razem z położną i jej pomocnicą. Saiyo leżała w kącie wsparta na poduszkach. Oczy miała zamknięte, na bladej twarzy perliły się kropelki potu. Z nogami rozrzuconymi szeroko pod napęczniałym brzuchem, z rękami spuszczoneymi bezwładnie wzdłuż boków wyglądała jak rzucona w kąt przez jakieś dziecko nieforemna lalka. Zduśiła w sobie krzyk, gdy ogarnęła ją kolejna fala bólów. Mung ukląkł przy niej, dotknął dłonią jej policzka. Saiyo otworzyła oczy i otwierała je coraz szerzej i szerzej, aż nie widział już nic na świetle tylko jej szczęście na jego widok. Targnęły nią następne bóle, krzyknęła i chwyciła go kurczowo za rękę. Błyskawica jej cierpienia przeszła mu serce.

Położna nałożyła fartuch i zaczęła rozwijać kimono Saiyo. Nakazała Mungowi opuścić pokój. Kiedy nie usłuchał, pomocnica chwyciła go za ramię. Strząsnął jej rękę, ujął w dłonie twarz Saiyo i zajrzał jej głęboko w oczy.

— Kocham cię nad życie — powiedział.

— Idź już — szepnęła sztywniejac w kolejnym paroksyzmie bólu. — Dziecko zaraz się urodzi.

Mung nie znalazł w sobie sił, by oprzeć się łagodnym, lecz stanowczym ponagleniom pomocnicy i dał się wyprowadzić z pokoju. Znów usłyszał krzyk Saiyo. Czekaając na zewnątrz usiadł w pozycji do

medytacji i zaczął się modlić do Jezusa, Buddy i sintoistycznych bogów wiatru, wody, słońca i nieba. Myśli wirowały mu w głowie. „Jestem samurajem. Jeśli Saiyo coś się stanie, zetnę tej położnej głowę. Jestem samurajem.” Zrobiło mu się niedobrze. „Nie chcę nikogo zabijać. Chcę tylko zostać sam na sam z Saiyo i dzieckiem. Cokolwiek to będzie, dziewczynka czy chłopiec. Powiniennem się modlić o chłopca, żeby służył cesarzowi, ale ja chcę tylko Saiyo! Dziecko może umrzeć. O Boże, nie! Byle tylko nie umarło!”

Pomocnica położyła zaczęła masować Saiyo plecy, by złagodzić parcie na kręgosłup. Sprawdziła, czy dziecko leży w prawidłowej pozycji i uprzedziła położną, że zaczyna przesuwac się w dół. Usunęła poduszki, delikatnie ułożyła Saiyo płasko na plecach. We dwie z położną uniosły kolana rodzącej, rozsunęły je szeroko na boki i zaczęły przec na brzuch. Ukazała się główka dziecka, mokra, pomarszczona, pokryta zlepionymi włosami. Położna podtrzymała ją dłonią, a dziecko samo wyciągnęło ramiona, najpierw prawe, potem lewe. Położna otarła mu śluz z oczu, nosa i ust i dokładnie obejrzała noworodka. Dziecko było dorodne i zdrowe. Położyła je na podłodze symbolizującej ziemię; na to zetknięcie z nowym, nieznanym światem niemowlę zareagowało pierwszym donośnym krzykiem. Pomocnica nałożyła na nie obie dłonie w geście symbolicznego uczłowieczenia, a potem podniosła je w górę tak wysoko, jak na to pozwalała pępowina, w symbolicznym geście poddańczym niebiosom i cesarzowi.

Saiyo uniosła głowę z poduszki. Spod na wpół opuszczonych powiek przyjrzała się swemu synowi. Kiedy w końcu znalazł się w jej ramionach, dotyk jego główki na policzku był jak muśnięcie ciepłego jedwabiu, jego zapach był jej własny, jak nic innego na świecie. Zawołano Munga. Ukłękł przed żoną i dzieckiem, wpatrując się w nich oszołomionym spojrzeniem, niezdolny wykrztusić nawet słowa.

— Widziałeś, co to jest? — spytała słabym głosem Saiyo. — Widziałeś?

Mung spojrział na dziecko z nagłym strachem w oczach.

Saiyo delikatnie odkryła niemowlę.

— Patrz — szepnęła pokazując palcem maleńki penis. — To mały mężczyzna.

Mung uśmiechnął się przez ł/y, które nagle zakręciły mu się w oczach. Delikatnie, tak delikatnie jak tylko potrafił, pochylił się i przytulił oboje do piersi.

Wieść, że Saiyo urodziła syna, uradowała pana Nariakirę i Sakumę

Shozana. Słyszając, że Mung postanowił dać swemu pierworodnemu imię Yoshida, stary uczony pokazał w uśmiechu poczerńnięte zęby.

— Przypadnie mu dobry los w udziale — powiedział.

Rozumiesz teraz znaczenie równoczesnego uderzenia z północy i południa — zwrócił się do mnicha wojownika pan Nariakira po wielu godzinach narad. — Jesteśmy rozdzieleni. Trzeba zmusić szoguna do walki na dwa fronty.

Kapłan skinął głową.

— Musisz dotrzeć do cesarza i uzyskać od niego wyraźne poparcie dla naszych działań.

— Natychmiast roześlemy gołębie do wszystkich walczących mnichów, by ściągali nas wesprzeć — odparł kapłan. — Ponadto nakażemy im użyć wszelkich wpływów, by przeciągnąć na naszą stronę wszystkich chwiejnych *daimyo*. — Dotknął czołem podłogi. — Walczący mnisi Japonii przybędą tu, na południe, ale z całym szacunkiem, panie mój, te nowe bronie to nie dla nas.

Pan Nariakira skinął głową i położył rękę na głowni nowego miecza.

— Rozumiem — powiedział i kapłan opuścił komnatę.

Pan Nariakira spojrział na Sakumę Shozana. Stary uczony zwrócił się do Munga.

— Naszym najszybszym środkiem łączności są gołębie pocztowe. Szyfr, którego używamy, jest dość prosty. Nauczę cię go. Trzeciego dnia przyszłego tygodnia wsiądziesz z Johnem na „Shinto Maru”. Rozesłaliśmy gołębie z rozkazem, by wszyscy rzemieślnicy biegli w obróbce metalu i drewna zebrali się w wyznaczonych punktach. Płynąc na północ do Tanegashitny, będziecie ich po drodze zabierać.

— Skoro mamy szkolić ludzi w posługiwaniu się produkowaną przez nas bronią — odparł Mung — to chciałbym zacząć od tamtych pięciu samurajów, którzy strzegli mnie podczas mojego pierwszego pobytu w Satsumie.

— Dobrze, dostaniesz ich. Wyszkol ich dobrze i szybko. Zostało nam nie więcej niż siedem miesięcy. Potem szogun ruszy na nas ze swą armią.

— Dlaczego to jest takie pewne, że najpierw ruszy na południe?

— Pan Nariakira jest przywódcą zwolenników przywrócenia pełni władzy cesarzowi. Tu, na południu, jesteśmy silniejsi niż na północy, ale mamy jeden poważny słaby punkt: han Choshu na tyłach; jego *daimyo* jest poplecznikiem szoguna. Pan Hayoshi spróbuje zastosować

tę samą taktykę co my, to znaczy zaatakować nas z dwóch stron. To klasyczna metoda prowadzenia wojen w Japonii. Nadejdą w czerwcu. Zawsze tak było.

Drugiego dnia drugiego tygodnia pobytu w Satsumie Mung wyruszył z żoną, dzieckiem, Johnem, pięcioma samurajami i dwudziestoma tragarzami w drogę do Ichiki. W wygwieżdżoną noc, przy spokojnym morzu wsiedli na „Shintó Mam”. Mung wolałby, żeby podróż trwała dłużej, chciał się nacieszyć rodziną, ale przy sprzyjającym wietrze statek mknął pod pełnymi żaglami jak strzała.

W Kagoshimie Mung wyraził zgodę, żeby John zszedł na brzeg. Noc była ciemna, pięciu samurajów pełniło rolę straży przybocznej. Przebranie Johna miało zostać wreszcie sprawdzone. Udali się wszyscy do domu gubernatora. W czasie, kiedy Mung wszedł do środka zawiadomić o swym przybyciu pana Ishikawę, John i Saiyo mieli okazję ze sobą porozmawiać. Saiyo bez skrępowania wypytała go o żonę, dziecko, rodziców. Uważała ich za teściów i darzyła wdzięcznością za uratowanie życia mężowi. Z największym zainteresowaniem wypytywała jednak o Munga i jego życie na pokładzie „J. Howlanda”. Chciała wiedzieć, jak doszło do tego, że ma złamany nos, i do jakich szkół uczęszczał w Fairhaven.

Wciąż jeszcze byli pogrążeni w *rozmowie*, kiedy wyszedł do nich pan Ishikawa. Po przywitaniu się z córką i obejrzeniu wnuka zwrócił się do Johna:

— Mung jest moim przybranym synem. Ty, panie, jesteś jego bratem, a zatem także moim synem i bratem Saiyo. — Uśmiechnął się i skłonił. — Kiedyś nie miałem synów. Dziś mam ich dwóch i do tego wnuka. Życie sprawia czasami przyjemne niespodzianki.

John odpowiedział pełnym szacunku ukłonem.

— To dla mnie zaszczyt mieć drugiego ojca i wejść do znakomitego rodu Ishikawa.

— Mój ojciec wita cię w swym domu tak, jak twój powitał mnie w waszym — powiedział Mung.

— Dobrze znaleźć się wśród rodziny — odparł John. — Tak daleko od domu czułem się straszliwie samotny.

Saiyo weszła z dzieckiem do domu ojca. John i pięciu samurajów straży przybocznej ruszyli z Mungiem do jego domu. Służąca zaprowadziła ich do pokoju, w którym leżał Ryochi, płasko na plecach, ze wzrokiem wbitym w sufit. Był tragicznie chudy, jego skóra miała ziemisty odcień. Powoli, z wyraźnym trudem, odwrócił głowę w ich stronę. Dopiero teraz Mung zobaczył twarz przyjaciela — cała jej połowa wyglądała jak odlana z wosku, który nadtopił się od żaru.

Oko spłynęło w dół, dolna warga zwisała bezwładnie, szczęka była dziwnie zniekształcona. Mung pochylił się nad przyjacielem. Ryochi powiedział coś, lecz nie sposób było to zrozumieć. Musiał kilka razy powtórzyć swe słowa, a kiedy Mung je wreszcie pojął, gwałtownie się wyprostował. Popatrzył na leżącego przed nim samuraja i ujrzał łzę toczącą się z jego zdrowego oka. Bez słowa wypadł z pokoju. John wyszedł za nim na dwór.

— Co on powiedział? — spytał.

— „Służyłem memu panu. Co teraz ze mnie za pożytek. Proszę cię o zgodę na odbycie *seppuku* i pomoc w dopełnieniu tej ceremonii. Sam nie dam rady.” — Mung zwiesił głowę.

Na twarzy Johna pojawił się wyraz oszołomienia i niedowierzania.

— I ty naprawdę dopuszczasz w ogóle do siebie myśl, że mógłbyś mu pozwolić się zabić?!

— Ty tego nie zrozumiesz. To jest *bushicło*. On jest wojownikiem. To dla niego najzaszczytniejsze wyjście.

John wyprostował się, zacisnął usta w wąską kreskę i spojrzał na Munga nieustępliwie.

— On jest przede wszystkim człowiekiem! Twoim przyjacielem!

— Właśnie dlatego, że jest moim przyjacielem, nie mogę pozwolić mu tak marnie szczeznąć!

— Bo co? Bo nie możesz na to patrzeć?

Mung ruszył do drzwi, ale nagle przystanął i odwrócił się do Johna. Mięśnie grały mu na zaciśniętych szczękach, wzrok mu stwardniał.

— Masz rację — powiedział ochrypłym głosem — nie mogę tego znieść! I on nie może tego znieść! Takie są nasze zwyczaje!

John cofnął się o krok, zaczął chodzić w tę i z powrotem, po czym stanął przed Mungiem celując palcem w jego pierś.

— To, że ty nie możesz tego znieść, nie jest żadnym wytłumaczeniem. To, że on nie może... Jest zbyt chory, by podejmować takie decyzje. To, że on nie widzi innego rozwiązania, także mogę zrozumieć. Ale ty! Dobrze wiesz, że poza rytualnym samobójstwem lub pozostawieniem go, by sam powoli umarł, jest jeszcze inne wyjście.

— To znaczy jakie?

— Zabierzmy go ze sobą.

— Co takiego?!

— Jeśli tu go zostawisz, na pewno umrze. Ale jeśli zabierzemy go ze sobą, jest szansa, że może jednak wyżyje. — John podszedł do Munga. — Widziałem w Fairhaven ludzi, którzy po udarze przychodzili do siebie na tyle, żeby móc pracować. Ale oni byli twardzi i odważni.

Mung wyciągnął rękę w stronę domu.

— Ten człowiek jest twardszy i odważniejszy niż trzech waszych mitycznych greckich herosów razem wziętych!

— To jak możesz mu pomagać w popełnieniu samobójstwa? — spytał przyciszonym głosem John.

Mung patrzył mu długą chwilę w oczy, po czym energicznym krokiem wrócił do domu. Na *shoji* ściany pojawił się jego cień klękający obok cienia leżącego Ryochiego. Chwilę później Mung pojawił się z powrotem w drzwiach. Rzucił ostrym głosem kilka rozkazów jednemu z samurajów, który natychmiast rozplynął się w ciemności nocy i powrócił z palankinem. Mung rozkazał zanieść Ryochiego na pokład „Shintó Maru”. Gdy tak stał w rozkroku z zaciśniętymi pięściami na biodrach, przywodził Johnowi na myśl pana Nariakirę.

— John, wracasz z nimi — polecił Mung. — Ja jeszcze pożegnam się z Saiyo. — Nie czekając na odpowiedź odwrócił się i odszedł.

Na pokładzie „Shinto Maru” setki ludzi sprzątały ładownie statku, rozmiarowano drewno na koje, na pomieszczenia do mycia i toalety dla czekających na brzegu kowali, cieśli i stolarzy. Osiemnaście godzin po zawinięciu do Kagoshimy Mung rozkazał podnieść kotwicę. Wy płynęli z portu ciągnąc za sobą odgłos pracy młotków, pobijaków i pił.

Kierując się cały czas na północ, Mung podchodził kilka razy do brzegu, żeby zabrać rzemieślników z hanów panów feudalnych wiernych cesarzowi. Mung i John objaśniali im rysunki dział, schematy ich zamontowania, konstrukcję karabinu Henry'ego, starannie jednak unikając pozostawiania sam na sam ze sobą. Mung oddał się z zapamiętaniem dowodzeniu statkiem i rozrysowywaniu poszczególnych elementów dział. John polecił stolarzom wykonać sześć drewnianych atrap karabinów i rozpoczął zajęcia z musztry z pięcioma samurajami. Nadzorował rzemieślników kopiujących części karabinu i z całą energią przystąpił do leczenia Ryochiego.

Na wpeł sparaliżowanego samuraja wynoszono codziennie na pokład, by mógł obserwować ćwiczenia z karabinami. Przez wiele dni pozostawał zamknięty w sobie, nie przejawiał żadnych emocji. Aż pewnego ranka John złożył karabin, umocował go na podpórkach i wycelował w kubel z wodą. Położył zdrową dłoń Ryochiego na kolbie broni i kazał mu powoli nacisnąć cyngiel.

Bum! Odrzut karabinu szarpnął dłoń samuraja. Wystraszony hukiem, poderwał się na krześle. Woda w kubie rozprysła się na wszystkie strony.

John dostrzegł kątem oka drgnienie jego lewej ręki i nogi. Złapał go za kimono i trzęsąc nim jak lalką zawołał:

— Ty idioto! Poruszyłeś ręką i nogą! — Nachylił się i spojrzął mu w oczy z odległości niecałych trzydziestu centymetrów. — Próbuj, człowieku! Próbuj! Nie pozwolę ci umrzeć, dopóki chociaż nie spróbujesz!

Ryochi osunął się bezwładnie na oparcie krzesła, umykając wzrokiem przed swym dręczycielem.

John rozkazał zawiesić w jego kajucie hamak. Obie bezwładne kończyny przywiązano linami do belki na suficie. Kołysanie i huśtanie statku wprawiało je nieustannie w ruch.

— Będziesz wisiał jak riukiuńska świnia, dopóki ci się nie polepszy — powiedział, spoglądając z góry na bezradnego samuraja.

Ryochi próbował się obrócić, by obrzucić go przekleństwami, ale z ust pociekła mu tylko strużka śliny.

— Dobrze! Dobrze! — zawołał John. — Wściekaj się, ale żyj! Bóg dał ci życie, więc o nie walcz!

Dzień po dniu odwiedzał chorego, cierpliwie dodając mu otuchy i zachęty.

W trzy tygodnie po wypłynięciu z Kagoshimy Mung zaprosił Johna na mostek kapitański. Nie patrząc na brata powiedział:

— Pozostali samurajowie szemrzą, że Ryochi ma prawo umrzeć. Tortury, które stosujesz, pozbawiają go resztek godności.

— Chodź, sam zobacz — odparł John. — Decyzja będzie należała do ciebie.

Już od progu widać było, że Ryochi panuje nad kołysaniem hamaka za pomocą linek przywiązanych do porażonej ręki i nogi. Jego twarz zaczęła jakby odzyskiwać dawne rysy. Wymawiał słowa z trudem, ale można było je zrozumieć, nie wspominając też o śmierci. Od następnego dnia John znów zaczął go zabierać na pokład i stopniowo przekazał mu prowadzenie musztry z pięcioma samurajami. Poprawa jego stanu zdrowia stopiła lody między braćmi.

— Teraz widzę, że jeszcze pomszczę śmierć Yoshidy! — oznajmił Mungowi i Johnowi.

Do portu w Tanegashimie zawinęli w deszczu. Ryochi zszedł z braćmi po trapie o własnych siłach, pomagając sobie tylko laską. Trzystu czterdziestu rzemieślników, których przywiózł „Shintó Maru”, dołączyło do pięciuset innych czekających już w mieście. Codziennie przybywali następni. Rozpoczęto wytop surówki. Na brzegu gromadzono sterty sezonowanego drewna, chroniąc je przed deszczem daszkami ze słomy.

Mung, John i Ryochi odbyli spotkanie z głową rodu, którego członkowie mieli zająć się odlewaniem dział. Szybkość, z jaką chwytali

stawiane przed nimi zadania i rozwiązywali zupełnie nowe przecież dla nich problemy techniczne, wywarła na Johnie ogromne wrażenie. Przy jednym obstawali niewzruszenie — że każde działo musi mieć własną duszę. By to osiągnąć, każdemu nadawano imię i odlewano je w formie legendarnego zwierzęcia. Pierwszy miał kształt małego smoka, plującego ogniem z żelaznej paszczy. Przy oddawaniu trzeciego strzału „Mały Smok” wyleciał w powietrze, a kilku kanonierów zostało rannych. Drugim był „Wesoły Sokół”, już zupełnie solidny i celny. Po nim odlano „Jastrzębia”, „Rybę”, „Orła”, „Motyla” i wiele innych.

Pod kierunkiem Johna Whitefielda kowale opanowali sztukę wytwarzania z prochu, szmuglowanego z Chin, pocisków eksplodujących. Produkcja łusek pocisków do dział i karabinów nastroczała więcej problemów niż produkcja samej broni. Wykonanie jednej kuli do karabinu zajmowało cały dzień, a kuli armatniej — trzy. Ponad cztery tysiące najlepszych japońskich specjalistów od obróbki metalu pracowało od świtu do zmierzchu, a często i do późna w noc. Dymy z kuźni zasnuły całą wyspę. Traktami i łodziami bez przerwy dowożono nowe partie drewna. „Shintó Maru” upolował i przyholował do brzegu trzy wieloryby, zapobiegając kłopotom z żywnością i olejem do oświetlania.

Gołębie pocztowe kursowały w tę i z powrotem. W listopadzie jeden z nich przyniósł z północy list od najstarszego syna pana Nariakiry z ostrzeżeniem przed atakiem na wyspę. Mung rozkazał zamontować cztery działa na „Shintó Maru”. John i Ryochi, który w zdumiewającym tempie odzyskiwał pełnię sił, przeszkolili załogę w obsłudze dział. Ryochi przejawiał niezwykle talent do strzelania, jakiś szósty zmysł, zupełnie jakby umiał porozumiewać się z duszami dział. Precyzja, z jaką potrafił ocenić odległość i wyliczyć poprawkę na zmianę pozycji statku, nieodmiennie wprawiała Johna w zdumienie. Już wkrótce przestał mu udzielać rad i pozostawił szkolenie załogi Ryochiemu.

Pewnego grudniowego dnia w zimną mżawkę siąpiącą z niskich chmur wystrzeliły ruce z łodzi wartowniczych rozmieszczonych wokół wyspy. Pół godziny później „Shintó Maru” wyszedł z portu z obsługami dział na stanowiskach. Mżawka zamieniła się w śnieg. Widoczność pogorszyła się gwałtownie, marynarzom w bocianim gnieździe ręce zaczęły przymarzać do lin. „Shintó Maru” nabrał szybkości.

— Żagiel! Żagiel! — dobiegło powtórzone wiele razy wołanie ze szczytu masztu.

John sprawdził jeszcze raz, czy pokład posypano piaskiem i czy wszędzie rozmieszczono kadzie z wodą do gaszenia pożarów. Ryochi

nie odstępował swoich działań, Mung nie ruszał się z mostka. Pół mili przed nimi wyłoniła się nagle ze śnieżnej zadymki flotylla pięćdziesięciu łodzi. Mung polecił naprowadzić działa obu burt na cele i odwracał się do sternika, żeby wydać rozkaz przejścia na kurs taranowania, gdy marynarz w bocianim gnieździe zawołał przeciągle:

— Sat-su-maaaa!

Na pierwszej łodzi załopotał długi zielony proporzec z ideogramem Satsumy i przemoczony okleił się wokół masztu.

Flotyllę prowadziło dwóch synów pana Nariakiry. Wszystkie łodzie szczególnie wypełniali zmaltretowani, wyczerpani samurajowie. Po zawinięciu do portu zdali relację z tego, co zaszło. Pan Hayoshi, naczelny dowódca sił zbrojnych szoguna, wbrew wszelkim obowiązującym w Japonii kanonom sztuki wojennej zgromadził teraz, zimą, armię i ruszył z nią na północ, doprowadzając ją do gotowości bojowej w trakcie przemarszu. Panowie feudalni, którzy sądzili, że szogun nie dysponuje żadną liczącą się siłą, i wahali się, po czyjej stronie stanąć, uznali, że lepiej zostać w domu, a część z nich aktywnie poparła pana Hayoshiego. Zaskoczeni zwolennicy cesarza stawali pospiesznie do walki i jeden po drugim przegrywali kolejne bitwy. Synowie pana Nariakiry radzili feudałom z Riku, Ugo i Uzen nie wydawać bitwy, lecz zmusić napastników do założenia oblężenia. Wszyscy trzej *daimyo*, ludzie honoru, oddani duszą i sercem sprawie cesarza, zlekceważyli tę radę. Zastąpili drogę panu Hayoshiemu na polach Arato, niewielkiej równinie między dwoma pasmami wzgórz. Bitwa rozpoczęła się tradycyjnym wystąpieniem harcowników, obrzucających się nawzajem stekami obelg. Wyzwania przyjęto i już wkrótce na oczach obu armii rozgorzały setki pojedynków. Trwało to dwa dni.

Trzeciego dnia race i bicie w bębny dały sygnał do natarcia na szereg panu Hayoshiego. Jego oddziały cofnęły się do wąwozu między wzgórzami, niby to w beładnym odwrocie. Feudałowie z północy rzucili swe wojska w pogoń za wrogami cesarza. Nagle z obu flank uderzyła na nich konnica pana Hayoshiego, a za nią łucznicy i kopijnicy. Nic ich nie mogło powstrzymać.

— To był znakomity manewr — powiedział starszy syn pana Nariakiry. — Myśleliśmy, że w najgorszym razie stawimy czoło panu Hayoshiemu, nadszarpniemy jego siły i zmusimy go do prowadzenia oblężenia w zimie. A tymczasem, nim się spostrzegliśmy, nie pozostało nam nic innego, jak pospiesznie uchodzić. — Spojrzał na Munga. — Nie zdążyliśmy nawet wysłać gołębi. Ptaki także wycięli w pień. — Zaśmiał się ponuro.

Jeszcze tego samego dnia przesłano wieści do Satsumy. W obozie

zapanował nastrój przygnębienia. Trzy dni później do gołębnika przyfrunął na wpół zamarznęty ptak z odpowiedzią Satsumy: „Nikomnie wolno popełnić *seppuku* z powodu przegranej bitwy. Zwiększyć produkcję dział i karabinów. »Shintó Maru« ma wrócić do Ishiki w lutym, tak by zostało dość czasu na wyszkolenie roninów w posługiwaniu się nową bronią. Hayoshi ruszy na południe wiosną, a do bitwy dojdzie w początkach lata.”

Trzeciego stycznia „Shinto Maru” opuścił Tanegashimę z dwudziestoma działami, pięcioma setkami karabinów Henry’ego i pełnymi ładowniami amunicji. Ryochi pozostał na wyspie, by nadzorować ciągłą produkcję broni i szkolić ludzi, którzy przybyli z synami pana Nariakiry. Do poruszania się po wyspie John zaprojektował mu riksę, taką jak ta, z której sam korzystał w Kantonie.

W porcie Ichiki na statek czekało dwa tysiące tragarzy, którzy natychmiast przystąpili do wyładunku. Mung, John i obaj synowie pana Nariakiry ruszyli tymczasem konno do Satsumy. Po przybyciu na miejsce udali się prosto na pokoje pana. Tam obaj synowie zdali ojcu sprawozdanie z wydarzeń na północy. Sakuma Shozan wypytywał o wszystkie szczegóły.

Dopiero po wielu godzinach pan Nariakira uznał, że ma już dokładne rozeznanie w zaistniałej sytuacji, i pozwolił swoim synom odejść.

— Wiemy już, co się stało, ale nie wiemy dlaczego — podsumował Sakuma Shozan.

— Nie rozumiem — powiedział Mung.

— Z zadawanych przez was pytań wynika, że nie możecie pojąć, dlaczego pan Hayoshi wyprawił się na północ zimą — odezwał się John. — Według mnie postanowił po prostu zaryzykować.

Pan Nariakira i Sakuma Shozan skinęli z uznaniem głowami.

— Jesteś, panie, bardzo spostrzegawczy — powiedział pan Nariakira. — My tu stanowimy dla niego mniejsze zagrożenie, bo mamy za plecami Chóshu. Uderzenie na północ było błyskotliwym posunięciem, ale posunięciem desperata. Nie możemy zrozumieć, dlaczego pan Hayoshi podjął takie ryzyko.

— Teraz wróci powoli na południe — odezwał się Sakuma Shozan. — Po zwycięstwie na północy jego armia będzie rosła w siłę. Da swoim ludziom odpocząć na równinie Kanto w pobliżu Edo i z kwitnieniem wiśni wyruszy na Satsumę. — Stary uczyony wstał, odszedł w drugi koniec komnaty i stanął pod ścianą mamrocząc coś do siebie. Nagle znieruchomiał i odwrócił się powoli. — Chóshu... — szepnął ledwie słyszalnie, po czym już na cały głos zawołał: — Chóshu! —

Podszedł szybko do pana Nariakiry, skłonił się i ukazując uczernione zęby powiedział: — Tu musi chodzić o Choshu! Z jakiegoś powodu pan Hayoshi nie jest pewien, czy nas zaatakują. Panie mój — skłonił się ponownie — zezwól mi udać się do Choshu, żeby to sprawdzić. Mam przeczucie, czuję to w kościach! To jedyny powód, dla którego mógłby tak ryzykować.

Dwa dni później Sakuma Shozan wyruszył w drogę do Choshu, hanu nad cieśniną Shimonoseki. Mung i jego pięciu samurajów rozpoczęli szkolenie roninów w posługiwaniu się karabinem. John prowadził zajęcia z przysłzłymi kanonierami. Codziennie o świcie, pogoda czy deszcz, rozlegały się gwizdki i przy wtórze gongów i bębnow formowano szyki. Przed nadejściem lutego w Satsumie obozowało już dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy. Pan na Osumi przysłał wiadomość, że dysponuje dziesięcioma tysiącami ludzi, pan na Bungo — siedmioma; Hayuga — sześcioma; Chikuzen — ośmioma; Hakusar — ośmioma. Drogi Satsumy zaroily się konnymi samurajami i pieszymi wieśniakami. W obu kierunkach ciągnęły sznury objuczonych tragarzy i skrzypiących pod ciężarem ładunku wozów.

W obozie bez końca ćwiczono przemarsze, zwroty, formowanie szyków. John dotąd szkolił swoich kanonierów, aż żaden nie popełnia najmniejszego błędu. Dopiero wtedy wydał im cenną amunicję. Dwa działa rozerwały się w czasie próbnego strzelania, ale pozostałe mityczne potwory strzelały celnie. Oddział Munga i jego samurajów zaprawiał się w strzelaniu na sucho do wyznaczonych celów, aż wszyscy nabrali dostatecznej biegłości. Wydano im wówczas po dwadzieścia pocisków, ustawiono w szeregi i nauczono strzelać salwami.

Pod koniec lutego z satsumskiej fortecy wypadła kolumna konnicy z długim zielonym proporcem łopocącym na wietrze. Przez pole, niczym huk wzburzonego morza, przetoczyły się wiwaty. Obozujące wokół zamku oddziały uniosły w górę miecze, kopie i łuki pozdrawiając jadącego na przdzie ze swymi synami pana Nariakirę. Mung rozkazał dziesięciu żołnierzom oddać salwę honorową, a John polecił swoim kanonierom wypalić z dwóch dział. Co żyło, pierzchało z traktu przed kopytami galopujących koni.

Posłaniec przyprowadził Mungowi konia z poleceniem dołączenia do pana Nariakiry. Kiedy Mung dotarł do traktu, ujrzał jadących za kolumną wszystkich pozostałych dowódców. Dogonił galopem Johna i klepnął go po ramieniu.

— Koniec czekania! — zawołał. — Nareszcie ruszamy!

— Hai! — odrzyknął John, szczerząc zęby w uśmiechu.

Spięli konie i pogalopowali z ponad dwiema setkami dowódców pana na Satsumie. Po trzech zmianach koni i osiemnastu godzinach jazdy zatrzymali się na krótki odpoczynek. Trzy godziny snu i znów znaleźli się w siodle. Kiedy dotarli do przełęczy nad doliną Hakusar, czekały już na nich rozbite namioty i zastawione stoły. Przed największymi namiotami powiewały proporce rodów Osumi, Bungo, Chikuzen, Hayuga i Haku-sar. Po posiłku z ryżu i warzyw wszyscy udali się na spoczynek.

Przed świtem Mung i John otrzymali wezwanie do stawienia się w namiocie księcia Nariakiry. Pan na Satsumie siedział w otoczeniu swych synów.

— Pan Hayoshi raz jeszcze dowiódł, że jest znakomitym żołnierzem — powiedział. — Nie czeka na kwitnienie wiśni. Wyruszył już na południe. Ma dziewięćdziesiąt tysięcy wojska. Po drodze zbierze dalsze oddziały. Tu będziemy na niego czekać. Bitwę wydamy mu w dolinie Hakusar.

— Dlaczego wybrał pan to miejsce i dlaczego pan Hayoshi miałby się na nie zgodzić? — spytał John.

— Dwieście pięćdziesiąt lat temu tę dolinę wybrali na pole bitwy nasi ojcowie. To tu właśnie szogun zdobył władzę i tu ja przywrócę ją cesarzowi.

— Czy nie moglibyśmy zastawić jakichś pułapek albo zaskoczyć go gdzieś, gdzie się nas nie spodziewa?

— Tu na niego zaczekamy, bo tak nakazuje *bushido*, a o tym, czy wygramy, czy przegramy, rozstrzygnie nasze przeznaczenie.

— Ja tu jestem tylko gościem — odparł John. — Akceptuję waszą tradycję i nakazy honoru, ale pan Hayoshi wziął swe przeznaczenie w swoje ręce. Nie możemy beczynn timer na niego czekać.

— Co proponujesz?

— Przynajmniej nękać go w drodze *tutaj*, opóźnić jego przemarsz. Zmusić go do wystawiania zdwojonych straży. Ogołocić trasę jego pochodu z żywności.

— Lata, które spędziłeś w szkole marynarki, nie poszły ma marne — powiedział z uśmiechem pan Nariakira. — Zadanie nękania jego wojsk zleciłem już moim synom. Wy dwaj — polecił patrząc na Johna i Munga — zbadacie każdą piędź przyszłego pola bitwy i wyznaczycie miejsca, z których wasza broń może czynić największe spustoszenie w szeregach przeciwnika. — Zacisnął usta w wąską kreskę. — Nie mam żadnych wieści od Sakumy Shozana. Jeśli Choshu wystąpi przeciwko nam, spadnie nam na kark dalsze trzydzieści tysięcy wrogów. — Mung, ślij gołębia do Ryochiego. Każ mu wsiadać na „Shintó Maru” i wracać z całą bronią i wszystkimi ludźmi, których zdążył wyszkolić.

Przez następne dwa tygodnie Mung z Johnem przemierzali porośniętą trawą wzgórze po obu stronach doliny. Brali udział w naradach wojennych i przysłuchiwali się długim dyskusjom *daimyo* i najwyższych rangą samurajów na temat tego, komu przypadnie zaszczyt potyknięcia się z tym czy owym faworytem szoguna, z tym czy tamtym popierającym go *daimyo*.

W końcu poprosili pana Nariakirę o prywatną audiencję.

— Panie mój — powiedział Mung — skorzystałeś z naszej wiedzy, by wyprodukować nowoczesną broń, ale twoi najwyżsi dowódcy nadal rozprawiają o harcownikach i potykaniu się przed bitwą na miecze.

— Stawić czoło przeważającym siłom wroga to jedno — wszedł mu w słowo John — ale prowadzić bitwę według reguł, które muszą nam przynieść klęskę... Zechciej wybaczyć, panie, ale to głupota.

— Obaj macie rację — odparł pan Nariakira przenosząc spojrzenie z Munga na Johna. — Wasza broń ma być dla pana Hayoshiego niespodzianką. Użyjemy i dział, i karabinów, ale musisz pamiętać, że jesteśmy starożytnym ludem o głęboko zakorzenionych tradycjach. Twój kraj jest jeszcze zbyt młody na jakiegokolwiek tradycje, toteż wy dużo łatwiej przystosowujecie się do sytuacji. Co byś mi poradził?

John zastanawiał się przez chwilę.

— Staram się brać pod uwagę wasze tradycje, lecz przecież kiedy pragnąłeś, panie, poznać naukę holenderską, musiałeś zdawać sobie sprawę, że wiedzie to do zerwania z tradycją. — Książę skinął głową i ruchem ręki nakazał mu mówić dalej. — Nowoczesna sztuka wojenna opiera się na aksjomacie, że nie liczebność armii przesądza o wyniku bitwy, tylko liczba żołnierzy rzeczywiście biorących w niej udział.

— Na podstawie lektury łacińskich ksiąg o kampaniach Aleksandra Wielkiego, dowódców rzymskich i Napoleona — powiedział Mung — oraz tego, czego uczono Johna w akademii, sporządziliśmy taki plan bitwy, by nasze działa i karabiny zostały jak najskuteczniej wykorzystane.

— Przejrzę go — powiedział pan Nariakira i skinieniem głowy dał znak, że audiencja skończona.

Brak wieści od Ryochiego i Sakumy Shozana zaczynał być niepokojący. W końcu pewnego popołudnia rozbrzmiał dzwoneczek u wlotu do gołębnika. Ptak przyniósł wiadomość od Ryochiego: „Do przybycia »Shinto Maru« nie otrzymałem żadnych wieści z Satsumy. Kończymy załadunek i natychmiast odpływamy”. U dołu karteczki dopisano pospiesznie jedno słowo — „Sokoły”.

Rzeczywiście, obie strony używały sokołów, by przechwycić korespondencję wroga. Wszystkie trzy gołębie wysłane do Ryoachiego padły po drodze ofiarą drapieżników.

Pewnego słonecznego kwietniowego ranka Mung dostrzegł ze szczytu wzgórza zasnuwające horyzont czarne dymy. Od tej chwili widać je już było stale, z każdym dniem coraz bliżej. Synowie pana na Satsumie prowadzili wojnę podjazdową przeciwko przedniej straży wojsk pana Hayoshiego. Wysiedlano wioski na trasie ich przemarszu, opróżniano spichrze, a wszystko, czego nie dało się usunąć, palono. Już wkrótce widok rannych żołnierzy i koni bez jeźdźców przestał wzbudzać w dolinie sensację.

Pan Nariakira wezwał do siebie Munga i Johna. Jego synowie nie zdążyli jeszcze zdjąć zbroi. Wychudli i ogorzali, nabrali wyglądu twardych, zaprawionych w bojach wojowników.

— Moi synowie dzielnie się spisali — powiedział pan Nariakira. — Nękali wroga dzień i noc. Mimo to armia szoguna nadal liczy sobie ponad sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, choć wielu z nich puściliśmy już krwi. Zagony wroga dotarły do wzgórz po przeciwnej stronie doliny. W ciągu kilku najbliższych dni dojdzie do bitwy. Baczcie pilnie, by ich zwiadowcy nie wypatryli waszych armat i oddziałów strzelców.

Z zewnątrz dobiegł jakiś hałas. Pan Nariakira polecił starszemu synowi sprawdzić, co się stało. Chwilę później jego syn powrócił do namiotu, niosąc na rękach wychudłego starca. Sakuma Shozan był szary na twarzy, oddychał chrapliwie przez posiniałe usta i uczernione zęby. Syn pana Nariakiry położył starca delikatnie na macie przed ojcem.

Sędziwy uczony był w stanie dobyć z siebie tylko ledwie słyszalny szept.

— Pan na Choshu zadał mi truciznę. Powiedział, że zadziała po siedmiu dniach. Ci z Choshu w niczym nie mają porządnego rozeznania. Umrę wcześniej.

Pan Nariakira ukląkł przy nim. Chciał coś powiedzieć, lecz starzec powstrzymał go uniesieniem palca. Z jego gardła dobył się chrapliwy świst, po czym z najwyższym trudem przełknąwszy ślinę, szepnął:

— Rozbicie przez Amerykanów w pył fortów nad cieśniną Shimonoseki wywarło na Choshu tak wielkie wrażenie, że postanowili nie opowiadać się zbrojnie po stronie szoguna — urwał, dysząc ciężko, ale odmówił przyjęcia miseczki wody. — Trucizna zaciska mi gardło, nie mogę niczego przełknąć. Dali mi te kilka dni życia, bym zdążył ci to, panie, powiedzieć. — Zaczerpnął powietrza i ciągnął dalej: — Do

chwili otrzymania wieści o zwycięstwach pana Hayoshiego na północy i przejściu na stronę szoguna kilku zwolenników cesarza, pan na Chóshu miał zamiar zachować neutralność. Tydzień temu pan Hayoshi powiadomił go o zdobyciu „Shinto Maru” z ładunkiem broni wyprodukowanej na Tanegashimie. Statek i wszystko, co przewoził, spalono.

W namiocie zapadła martwa cisza. Od czasu ostatniego listu o zakończeniu załadunku „Shinto Maru” nie było żadnej wiadomości od Ryoachiego.

— Powinieneś odpocząć, mój nauczycielu — powiedział pan Nariakira.

— Jeszcze nie... — odparł starzec kręcąc powoli głową. — Muszę jeszcze udzielić ci dwóch lekcji.

— Mów, nauczycielu. Jakież to lekcje?

— O przewrotności i honorze. Przewrotności pana na Chóshu. Zaatakuj cię, ale nie od tyłu. Zaatakuj całymimi trzydziestoma tysiącami żołnierzy twoje lewe skrzydło. Zdradził mi to pewien mnich wojownik, który zbiera sekretnie swoich ludzi gdzieś tu na południu. Ma ich być ponad pięć tysięcy.

— Opowiedziałeś mi o przewrotności. A co z honorem?

Sakuma Shozan spróbował się podnieść, ale nie miał siły.

Pan Nariakira otoczył ręką jego ramiona i pomógł mu się dźwignąć.

— Słucham cię, mój nauczycielu.

Starzec przesunął językiem po spierzchniętych, sinych wargach.

— Byłem wiernym sługą twoim i twego ojca. Jestem zbyt słaby, by zadać sobie honorową śmierć. Czy pomożesz mi w tym, panie mój?

Pan Nariakira spojrział w zasnutą mgłą oczy.

— Tak, mój nauczycielu — odparł łagodnie. — Pomogę ci.

Z rozkazu księcia poczyniono przygotowania do obrzędowego *seppuku*. Jego synowie usadzili Sakumę Shozana na podwyższeniu przed wyższymi dowódcami armii. Na znak ojca odstąpili na bok. Pan Nariakira objął starca ramieniem i podniósł ostry jak brzytwa nóż. Ułożył dłonie starca na jego rękojeści i ustawił go ostrzem do brzucha.

— Jesteś gotów, mój nauczycielu? — spytał.

— Jestem gotów, panie mój — padła ledwie słyszalna odpowiedź.

Pan Nariakira zacisnął w dłoni stygnące, kościste palce starca, jednym ruchem wbił nóż po rękojeść i przeciągnął nim w poprzek brzucha. Sakuma Shozan wydał ciche westchnienie i osunął się do przodu. Książę wypuścił go powoli z objęć i równie powoli wstał. W oczach błyszczały mu łzy.

— Pochowajcie tego uczonego starca, który był mi ojcem — powiedział. — Pochowajcie go na siedząco, twarzą w stronę pola bitwy, by mógł zobaczyć, czy my, którzy służymy cesarzowi, mamy tyle odwagi co on. Tak rozkazuje. — Stał w rozkroku, z pięściami na biodrach. — W tej bitwie nikt nie może się zhańbić! — zawołał, wskazując ręką ciągnącą się u ich stóp dolinę. — Tu zwyciężymy lub polegniemy za cesarza!

Okrzyki dowódców zlały się w jeden porywający grzmot, który dotarł do wszystkich żołnierzy obozujących nad doliną. Chwilę później wzgórze zatrzęsły się od ryku dobywającego się z siedemdziesięciu tysięcy gardeł.

Sakunę Shozana pochowano na wzgórzu za namiotem pana Nariakiry. Pół godziny później Mung i John przedstawili poprawki do już opracowanego planu bitwy.

— Strata „Shintó Maru” i ładunku broni jest dla nas poważnym ciosem — powiedział Mung. — Mamy co prawda pięćset karabinów i osiemnaście dział, lecz w dalszym ciągu siedemdziesiąt tysięcy naszych żołnierzy musi stawić czoło stu pięćdziesięciu tysiącom żołnierzy wroga, spośród których wielu zdobyło już doświadczenie w bitwach na północy. Co więcej, musimy maksymalnie oszczędzać amunicję. Dlatego John obmyślił sposób pozwalający na ograniczenie liczby wrogów biorących jednocześnie udział w bitwie.

Pan Nariakira dał znak Mungowi, żeby mówił dalej, ale to John wyjaśnił mu istotę swojej koncepcji.

— Pewien amerykański generał, Andrew Jackson, poprowadził pod Nowym Orleanem armię nowicjuszy przeciwko dwukrotnie liczniejszym oddziałom zaprawionych w bojach Brytyjczyków i odniósł zwycięstwo. Walczył z wyznaczonych pozycji, chronionych przedpiersiami, i w maksymalnym stopniu wykorzystywał konfigurację terenu. Nasi strzelcy muszą pozostać na swych miejscach. Nie wolno wysyłać ich do przodu. Niech to przeciwnik próbuje do nich podejść. — Rozłożył przed panem Nariakira mapę i przesunął po niej palcem. — Jeśli pan na Chóshu zaatakuje nasze lewe skrzydło, a armia szoguna natrze na nas od przodu, dowódcy naszego lewego skrzydła muszą mieć z góry opracowany plan skutecznego odwrotu. Trzeba go wykonać tak szybko, by ściągnąć wojska Chóshu przed czoło armii szoguna. W ten sposób jedni zasłonią drugich i front bitwy znacznie się skróci. Dalej, należy podpuścić wojska Chóshu pod same lufy naszych karabinów i dział. Gdyby dało się ustawić kawalerię i łuczników za grzbietem tego wzgórza, to uderzając w odpowiedniej chwili na Choshu od skrzydła moglibyśmy zepchnąć ich oddziały na dno doliny, wprost na armię szoguna.

Pan Nariakira spojrział na mapę. Powiódł po niej palcem od-
twarzając wszystkie ruchy wojsk, po czym podniósł wzrok na Johna.

— To dobry plan. Macie dwa dni na usypanie przedpiersi. Do
dzieła!

Po wyjściu z namiotu Mung ujął Johna pod ramię.

— Bracie — powiedział — złożyliśmy uroczyste ślubowanie w kap-
licy na pokładzie „Susquehanny”. Dziś chciałbym je ponowić, tu,
w Japonii. W pobliżu jest taka mała kapliczka sintoistyczna...

— Nie mógłbym uklęknąć przed jakimś obcym bożkiem — odparł
z wahaniem John.

Mung klepnął go po ramieniu.

— Nic z tych rzeczy — zapewnił go. — Ukorzysz się tylko przed
dziełem Stwórcy. Chodź!

Wsiadli na konie i zapuścili się kilka kilometrów między wzgórz.
Droga wiodła dnem parowu, który zwęzał się tak, że w pewnej chwili
musieli zsiąść z koni. Spętali je i John ruszył za Mungiem pod
rozłożyste korony starych sosen. Już z daleka usłyszeli szmer wody.
Po chwili wyszli na niewielką polankę zasnutą mgiełką wodnego pyłu.
Przystanęli w zachwycie nad bujną zielenią i dziewięciometrowym
słupem lodowatej górskiej wody spadającej z hukiem na ogromny głaz.

— To tu — powiedział Mung.

Jedyną oznaką, że miejsce to jest kaplicą, był mosiężny gong
zawieszony w pobliżu głazu.

Mung zrzucił sandały, rozebrał się do naga i wszedł w obłok mgły.
Chwytał mosiężny młot, uderzył sześć razy w gong, cofnął się i zawołał:

— Oczyszczyć wszystkie sześć moich zmysłów, bym mógł użyć każdego
z nich do pokonania szoguna i przywrócenia władzy cesarzowi!

Uderzył w gong po raz siódmy, po czym wskoczył na głaz i ukląkł
pod krystaliczną kaskadą. Woda była tak lodowata, uderzyła go
w plecy i ramiona z taką siłą, że przed oczami zatańczyły mu czarne,
żółte i czerwone kręgi.

L wtedy usłyszał głośnie sapnięcie. Jego brat, John, klęczał u jego
boku. Lodowaty chłód wody odebrał ich ciałom czucie. Mung i John,
bracia z dwóch krańców świata, chwycili się za ręce.

— Ta woda zmyła wszystkie nieczystości z naszych ciał i dusz —
zawołał Mung. — Czujesz to?

John skinął powoli głową, zdumiony bliskością Chrystusa, jakiej
doznał tu, w tej odległej krainie, w kapliczce jakiegoś sintoistycznego
bóstwa.

Byli gotowi do nadchodzącego starcia.

ROZDZIAŁ 17

75 kwietnia 1854

Z nastaniem świtu podmuch wiatru zakołysał trawami w dolinie i koronami prastarych sosen porastających szczyty okolicznych wzgórz. Pod blade niebo wzbity się roje iskier z obozowych ognisk. Czarne kłęby dymu na horyzoncie zniknęły. Nagle jakaś przepiórka poderwała się do lotu i czmychnęła między drzewa za grobem Sakumy Shozana. Przez dolinę przetoczyło się coś jakby cichy grzechot, powróciło echem, nabrało mocy. Zza szczytów wzgórz po przeciwnej stronie doliny wyłoniły się stadka drobnej zwierzyny umykającej przed nadciągającym grzmotem. Ptactwo zerwało się do lotu. Sarny i jelenie zbiegały po zboczach w dolinę. Wszystkie oczy w obozie Satsumy zwróciły się na odległą o dziewięćset jardów przełęcz.

Grzmot rozpadł się na pojedyncze, ogłuszające dudnienia. Trawa i drzewa zatrzęśły się od warkotu dziesięciu tysięcy bębnow otwierających kolumnę wojsk szoguna. Mung poczuł, że drzenie przenika mu całe ciało — nogi, brzuch, ręce, zęby. Wydawało się, że cała ziemia zaczyna falować w takt tego potwornego dudnienia. Gdzieś w oddali niebieska raca przeciągnęła po niebie ogon dymu. Bębny zamilkły jak nożem uciął, ale ich dudnienie nadal odzywało się w piersi Munga.

Na granicy ziemi i nieba pojawił się jeden jedyny chorąży z ogromną chorągwią szoguna. Chwilę później jak spod ziemi wyrosła chorągiew pana Hayoshiego. Po obu jej stronach wyłoniły się długie rzędy łopoczących proporców, a za każdym z nich poczet pana feudalnego w otoczeniu wasali. Zatrzymali się, złowieszczo czarni na tle jasnego nieba, chorążowie wbili proporce w ziemię.

Mung usłyszał za plecami głosy salsumskich dowódców rozpoznających po barwach swoich przeciwników: Awaju, Bitchu, Wakasa, Yamato, Shimutsu, Iwaki, Hida, Higo, Noto, Echigo, Inaba, Aki,

Musashi, Kotsuke, Sanuke, Tajima, Tosa, Tokugawa, Mito, Minimoto.

Znów rozległ się ogłuszający grzmot bębnow i na tle nieba ukazał się zastęp samurajów w błyszczących kolczugach i skrzydlatych hełmach. Wysoko w górze rozprysła się następna raca. Ze środka szyku oderwał się jeden jedyny samuraj i w asyście setki konnych, którzy rozsypali się szerokim wachlarzem po obu jego stronach, pokłusował w dół zbocza. Kiedy zbliżył się do pana Nariakiry i jego świty, dobiegł ich brzęk jego zbroi.

Zatrzymał się dwadzieścia pięć jardów przed czołem armii Satsumy i zawołał:

— Ci, którzy słyszą mój głos, mają złożyć daninę szogunowi!

Jego rozkaz przetoczył się niby echem w lewo i w prawo, powtórzony przez konnych rozstawionych co pięćdziesiąt jardów wzdłuż całego szeregu.

Wystąpił samuraj z Satsumy.

— Czy wy składacie hołd cesarzowi? — spytał i wskazując ręką ziemię u swych stóp krzyknął: — Bij czołem przed cesarzem!

— A więc wojna? — zawołał samuraj szoguna.

— Hai!

Na znak wysłannika jego ludzie po lewej i prawej zawrócili konie i pogalopowali do swoich szeregów. Samuraj podjechał jeszcze kilka kroków i zawołał:

— Jestem pierwszym harcownikiem pana Hayoshiego. Wyzywam pierwszego harcownika Satsumy! — Powściągnął rwącego się do biegu konia, czekając niecierpliwie na wystąpienie satsumczyka.

John odwróciwszy się do Munga poklepał kolta.

—• Co by było, gdybym wystąpił przed szereg i wpakował mu kulkę między oczy?

— Miałbyś przed sobą niezwykle zdumionego trupa, ale wszystko musi się odbyć zgodnie z rytuałem. Poczekaj, sam zobaczysz.

Spoza szeregu wystąpił posłaniec pana Nariakiry z jedwabną poduszką, na której spoczywał pędzelek do pisania. Uniósł ją ze słowami:

— To jest broń Sakumy Shozana, uczonego męża z Satsumy. Wy, waleczni wojownicy szoguna, otruliście starca. Czy tak nakazuje *bushidol*

Samuraj wytrącił mu kopniakiem poduszkę z rąk, zawrócił konia i pokłusował do swoich. Chwilę później nadjechali następni harcownicy szoguna, by rzucić wyzwanie rycerzom cesarza, którzy z ochotą je przyjęli. Już wkrótce w dolinie toczono ponad dwieście indywidualnych

pojedyneków, a obie strony gromkimi okrzykami zachęcały swoich mistrzów. Mung i John przyglądali się walkom na śmierć i życie lub do śmiertelnego zranienia. Żadna strona nie zyskała w nich wyraźnej przewagi. O zachodzie słońca dzień pojedynczych zmagania dobiegł końca.

Pół godziny przed świtem Munga i Johna wezwano na ostatnią naradę przed bitwą. Usiedli z panem Nariakirą i jego dowódcami w pozycji do medytacji, z zamkniętymi oczami, śledząc uważnie swoje myśli. Większości marzyła się sława i chwała pola bitwy. John i Mung byliby pewnie zaskoczeni, gdyby się o tym dowiedzieli, ale myśleli o tym samym — o swych żonach i maleńkich synkach.

Ciszę medytacji przerwało ujadanie psów i podzwanianie dzwoneczków. Dolinę zalało ciepło słońca. Z lasu za obozem Satsumy wyłoniło się dwustu zbrojnych samurajów, każdy trzymał w ręku koniec grubej na dwa cale, barwnie plecionej dziesięciostopowej smyczy. Ogromne psy o niedźwiedzych pyskach wrywały się do przodu napinając smycze jak struny. Każdy ważył co najmniej sto czterdzieści funtów, a w kłębie mierzył trzydzieści cali. Wokół szyj miały krezy, podobne do tych, jakie John i Mung widywali u kłownów w cyrku w Fairhaven. Na widok tej procesji wszyscy padli na twarz. To były cesarskie psy.

Mung i John także uderzyli czołami o ziemię i trwali w pokłonie, aż samurajowie z psami przeszli przez szeregi Satsumy w stronę oddziałów wroga. Za nimi nadciągnęło pięć tysięcy mnichów wojowników, z gładko wygolonymi głowami, w zbrojach nałożonych na szafranowe szaty. U pasa pobrzękiwały im modlitewne dzwoneczki. Przez ramiona przewieszzone mieli ośmiostopowe łuki i kołczany strzał ze stalowymi grotami.

Naczelny mnich wojownik skłonił się przed panem Nariakirą.

— Na znak poparcia dla Satsumy cesarz przesyła ci, panie, swe psy.

Cały obóz satsumski patrzył w napięciu, jakie wrażenie wywoła na oddziałach szoguna pojawienie się cesarskich brytanów. Zadudniły bębny, uderzono w gongi, rozległ się przeraźliwy świst gwizdków i sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy szoguna stanęło pod bronią, a pierwsze szeregi padły na twarz.

Dowódca gwardii cesarskiej zatrzymał się przed chorągwią pana Hayoshiego i zawołał:

— Z rozkazu żywego boga i ucieleśnienia Japonii wojska szoguna mają złożyć broń i powrócić do domów!

Widząc wahanie wielu feudałów pan Hayoshi dał znak. Tysiąc roninów rzuciło się z kopiami na gwardię cesarza. Szkolone do walki psy spuszczone ze smyczy. Ich panowie dobyli mieczy. Rozpętała się zaciekle walka, szcęk broni i krzyki ludzi zmieszały się z wściekłym ujadaniem psów. Zalśniły obnażone kły, mignęły obnażone miecze. Oddział roninów wielokrotnie przewyższał liczebnością gwardię cesarza. Walka była niezwykle zażarta, lecz krótka. W kilka minut gwardzistów i psy wycięto w pień.

Wtedy przed czoło armii szoguna wystąpiły szeregi łuczników. Na dany znak napięli łuki i posłali chmurę strzał w tych, którzy zmasakrowali gwardię cesarza. John spojrzął na Munga zszokowany tym wymordowaniem własnych żołnierzy.

— Tak nakazuje *bushido* — powiedział Mung. — Każdy, kto tknie palcem cokolwiek, co należy do cesarza, płaci za to życiem.

— Skoro wszyscy uważają go za boga, to jakże mogą przeciwko niemu walczyć?

— Wiem, że to nielogiczne. Od dwustu pięćdziesięciu lat cesarze nie opuszczają Kioto. Stali się raczej czymś w rodzaju symbolu niż realną siłą zdolną dokonywać zmiany. Wiem, że to paradoks. — Mung wzruszył ramionami. — Ale tak to już jest.

Od zachodu dobiegł huk bębnow, w niebo wystrzeliły race sygnalizacyjne.

— To Choshu daje sygnał do natarcia na nasze lewe skrzydło — powiedział pan Nariakira do mnicha wojownika. — Sakuma Shozan zdążył przekazać nam swą wiadomość. Jesteśmy przygotowani. Rozkaż swoim łucznikom wzmocnić centrum oddziałów strzelców.

Po przeciwnej stronie doliny oddziały wroga zajmowały pozycje. Hałas od strony zachodu przybrał na sile. John i Mung przenieśli się z panem Nariakira wyżej, do punktu dowodzenia na zboczu wzgórza. Stamtąd ujrzeli, że lewe skrzydło stawia czoło wrogowi. Dowódcy Choshu nie pojęli, jaką przewagę dałoby im zdobycie wyżej położonych terenów. Zamiast tego parli do przodu, żeby zepchnąć skrzydło Satsumy na zbocze wzgórza.

— To dlatego nie próbują uderzyć od góry — powiedział pan Nariakira pokazując obóz szoguna.

Z przeciwnych wzgórz spływały na dno doliny nieprzebrane masy wroga. Szybkim marszem przecinały ją w poprzek, by uderzyć od dołu na spychane lewe skrzydło Satsumy.

Pan Nariakira skinął głową Johnowi.

— Dokładnie jak przewidywałeś — powiedział i dał znak ręką. Dwie czerwone race pomknęły ze świstem w górę. Lewe skrzydło

Satsumy rozpoczęło planowy odwrót. Wszystkie oddziały wycofywały się równo i karnie, pociągając armię Chóshu za sobą. Kiedy wojska szoguna wspięły się na wzgórze i dotarły do miejsca, gdzie bitwa się rozpoczęła, znalazły się dokładnie na lewym skrzydle swego sojusznika, Choshu. Dwadzieścia tysięcy wojowników skutecznie odciętych od pola bitwy kręciło się w kółko nie wiedząc, co począć.

Pan Nariakira klepnął po plecach obu swych synów. Wskoczyli na konie i pognali pod górę do swoich oddziałów. Mung i John pospieszyli na pozycje.

Osiemnaście dział Johna stało laweta w lawetę, wszystkie zwrócone lufami w stronę lewego skrzydła. Boki ochraniało im pięciuset strzelców Munga i pięć tysięcy mnichów łuczników ukrytych sprytnie w parowie biegnącym w górę zbocza.

John rozkazał załadować działa podwójnymi szrapnelami. Kanonierzy podbiegli do dział, wsunęli w lufy mordercze pociski wypełnione żelaznymi kulkami. Wycofujący się żołnierze przebiegli obok baterii dział i przegrupowali się na tyłach ustawionych w trójszereg strzelców Munga. Jeszcze kilka ostatnich proporców Satsumy, jeszcze jakiś koń bez jeźdźca przeskoczył wał ziemny przedpiersia i z rozwianą grzywą pomknął w górę stoku...

Mung czekał na ukazanie się chorążych Choshu wiodących oddziały kopijników, łuczników, pieszych i konnych samurajów. Na znak Johna wydał połowie swoich strzelców rozkaz otwarcia ognia. Mordercza celność ich salw zepchnęła skrzydła nacierającej armii wprost pod lufy dział.

Huk karabinów przeraził żołnierzy Choshu. Szeregi zatrzymały się niecałe sto jardów od miejsca, gdzie John Whittefield, z ogoloną głową, w wojennym rynsztunku buddyjskiego mnicha wojownika podnosił rękę, by wydać rozkaz ognia. Znów zawarczały bębny i armia Choshu podjęła natarcie. Osiemdziesiąt jardów... siedemdziesiąt... John naprężył rękę, rozczapierzył palce. Sześćdziesiąt... czterdzieści... Chmura strzał Choshu pomknęła ze świstem w szeregi strzelców.

John utrzymał nerwy na wodzy, dopóki wróg nie znalazł się w odległości dwudziestu pięciu jardów. Gwałtownie opuścił rękę. Osiemnaście dział ryknęło jednocześnie i odskoczyło na lawetach. Dym i kurz zasnuły całe wzgórze. Kanonierzy podepchnęli z powrotem armaty, by ponownie je załadować. John opuścił rękę i osiemnaście dział ryknęło po raz drugi. Kiedy dym i kurz zaczęły się rozwiewać, Mung rozkazał swoim strzelcom prowadzić ogień ciągły. Karabiny Henry'ego zaczęły trzaskać jeden za drugim, aż ich grzechot złął się w jeden przeciągły grzmot. Wiatr przewiał chmurę dymu. Całe pole

przed nimi było usłane trupami rozerwanych na szczątki ludzi i koni, krew spływała po stoku na dno doliny. Jej strumyki czerwieniły się wśród trawy, tworzyły kałuże wokół kamieni. Natarcie Chóshu zostało powstrzymane.

Na rozkaz pana Nariakiry w niebo poszybowały dwie jasnoblękitne race. Z lasu na szczycie wzgórza wypadła kawaleria jego synów. W tej samej chwili pięć tysięcy mnichów zerwało z pleców łuki i zwróciło się w prawo, przed szarżującą w dół zбочa kawalerię. Mung rozkazał swoim ludziom strzelać salwami w kotłującą się w zamieszaniu armię wroga. Trzy tysiące satsumskich jeźdźców runęło z góry na skrzydło Chóshu. Mnisi napięli łuki i wypuścili pięć tysięcy strzał o stalowych grotach. Armia Chóshu zachwiała się, cofnęła, po czym skręciła w bok i rzuciła się w pełnej popłochności ucieczce w dół zбочa.

John odszedł chwiejnym krokiem od dział. Mung podbiegł do niego, przekonany, że brat został ranny. John zgiął się w pół, krztusząc się i wymiotując, z nosa i ust ciekł mu śluz.

— Jesteś ranny?! — zawołał Mung chwytając go za ramię.

John wypluł resztki wymiocin, otarł usta i wskazał na pole bitwy.

— Patrz, co zrobiłem! Spójrz tylko!

Obaj powiedli wzrokiem po zakrwawionym zбочu, oderwanych rękach, nogach i głowach, jęczących rannych, okulałych koniach ślizgających się po lepkiej, czerwonej trawie.

Mung zacisnął mocniej rękę na ramieniu Johna.

— To dopiero początek! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Weź się w garść! Jesteś nam potrzebny!

Zostawił go, podbiegi do dział i rozkazał załadować je pociskami eksplodującymi. Chwilę później pociski zaczęły wyrwać potężne dziury w spływającej w dół zбочa ludzkiej masie.

Synowie pana Nariakiry przegrupowali satsumską kawalerię i zaatakowali po raz wtóry. Niczym byk bodący w bok rannego słonia wypchnęli wojska Chóshu i szoguna aż na stoki przeciwnych wzgórz.

Nad pozycjami pana Hayoshiego rozbłysła zielona rasa. Od wschodu i zachodu ruszyły oddziały ciężkozbrojnej kawalerii, po pięć tysięcy jeźdźców każdy. Dolinę wypełnił tętent kopyt, który już wkrótce, gdy dziesięć tysięcy koni zaczęło galopować, przeszedł w ogłuszający łoskot. Z łopotem proporców, z lśnjącymi w słońcu mieczami i kopiami jazda szoguna uderzyła z dwóch stron na kawalerię Satsumy.

W morderczej walce, która wywiązała się na dnie doliny, artyleria i karabiny były zupełnie nieprzydatne. Mung nie spuszczał wzroku z chorągwi Satsumy. Upewniwszy się, że kawaleria stawia zacięty opór, spojrział w górę, na punkt dowodzenia pana Nariakiry. *Daimyo*

Satsumy stał w szerokim rozkroku, z pięściami na biodrach. Obserwował przebieg walki jeszcze minutę, po czym dał znak Mungowi i dowódcy walecznych mnichów. Mung sprowadził kolumnę swoich roninów w dolinę i ustawił ich w trzech szeregach, sto pięćdziesiąt jardów od walczącej jazdy. Na jego znak pierwszy szereg ukląkł i posłał salwę w gąszcz bitwy. Drugi szereg wybiegł przed pierwszy, przyklęknął i strzelił. To samo zrobił trzeci, dając czas dwóm pierwszym na zarepetowanie broni. Tuż za strzelcami ruszyli mnisi łucznicy, poszerzając i oczyszczając korytarz do osaczonej ze wszystkich stron jazdy Satsumy. Książęta spięli konie i wyprowadzili galopem z okrzężenia tych, którzy pozostali przy życiu. Mniej niż połowę.

Mung miał właśnie nakazać odwrót, gdy kątem oka dostrzegł po prawej ruch jakiegoś wielkiego oddziału. Pan Hayoshi rzucił przeciwko jego strzelcom kilka tysięcy wojowników z oddziałami kopijników na czele. Mung natychmiast przegrupował swoich ludzi — pierwszy szereg padł na ziemię, drugi ukląkł, trzeci stanął za plecami drugiego. Kopijnicy podeszli na sto jardów. Mung podniósł rękę. — Spokojnie, spokojnie... — powtarzał sobie. Nagle, jakby na umówiony sygnał, pierwszy szereg nacierających przypadł płasko do ziemi i strzelcy Munga spojrzeli w wyloty luf setek muszkietów. Obie strony wypaliły jednocześnie. Z tej odległości muszkiety rażą równie skutecznie jak karabiny, ale karabiny trzy razy szybciej się ładuje. Mung przebiegł wzdłuż szeregu swoich roninów wołając, by starannie mierzyli i wybierali sobie najpewniejsze cele. Tracił coraz więcej ludzi, karabiny zaczynały się przegrzewać. Szeregi kopijników szoguna zerwały się z ziemi i rzuciły do ataku na plujące ogniem lufy. Roznieśliby roninów Munga w strzępy, gdyby nie posypał się na nich grad strzał. Waleczni mnisi wspierali Munga, jak mogli, ale i wśród nich strzały wroga siały coraz większe spustoszenie. Lada chwila wszyscy razem mogli zostać otoczeni i odcięci od swoich. Pan Hayoshi rzucił do bitwy kolejne oddziały.

Trzy strzały odbiły się od napierśnika Munga, ale czwarta przeszła mu nadgarstek. W najwyższym skupieniu ukląkł na ziemi, położył sobie długie drzewce na kolanie i je ułamał. Walcząc z bólem i zasnawając oczy ciemnością zacisnął zęby i wyrwał strzałę przeciągając ją na wylot przez rękę.

Dowódca jazdy szoguna zaprowadził porządek w swoich szeregach i zmieniając front poprowadził śmiałą szarżę na pozycje Munga. Mung jednym strzałem z kolta wysadził potężnego samuraja z siodła, po czym opróżnił magazynek w nadciągających jeźdźców. I w tej samej chwili wybuchła ziemia pod nogami wroga. Eksplodujące pociski wyrwały dziury w ich szeregach. Działa Johna na powrót wkroczyły

do akcji. Jego kanonierzy uwijali się w chmurze prochowego dymu jak demony piekieł. Pod osłoną ognia artylerii i chmury strzał mnichów Mung oderwał się od wroga i wyprowadził resztki swoich ludzi za ziemny wał przedpiersia.

Kiedy nadworny lekarz pana Nariakiry opatrzył mu ranę, usiadł obok Johna z ręką na temblaku, słuchając raportów dowódców o przebiegu bitwy. Najbardziej zażarta walka toczyła się na prawym skrzydle. Choć udało się utrzymać pozycje, straty w ludziach były bardzo wysokie. Armia Choshu została praktycznie rozbita, a w szeregach szoguna panowało ogromne zamieszanie, mimo to jego wojska nadal dwukrotnie przewyższały liczebnością siły cesarza. Mung zameldował, że stracił ponad jedną trzecią strzelców. Reszcie pozostało tylko po osiem kul na karabin. John miał po jedenaście pocisków na działo.

Pan Nariakira dał skinieniem znak kapłanowi wojownikowi, który powiedział:

— Od jednego z pojmanyh dowódców z rodu Mito dowiedziałem się, że „Shinto Maru” wcale nie został zdobyty. Człowiek ten osobiście dowodził flotyllą stu pięćdziesięciu łodzi, która miała dokonać inwazji na Tanegashimę, ale sztorm wyrzucił wiele łodzi, a resztę rozpedził. Żadna nie dotarła do wyspy. Jego zdaniem mieszkańcy Tanegashimy do dziś w ogóle nie wiedzą, że mieli zostać zaatakowani. Wiadomość wysłana do Choshu to zwykle kłamstwo. Podstęp pana Hayoshiego.

— Ale podstęp udany — wtrącił pan Nariakira. — Choshu opowiedział się po stronie szoguna.

— Muszkiety, których użyto przeciw nam — podjął mnich — zakupiono od Holendrów. Szpiedzy donieśli panu Hayosiemu o naszych karabinach i działach, ale uznano, że nie mogą one przeważać szali bitwy.

— Gdybyśmy ich mieli więcej, przeważałyby — powiedział pan Nariakira. Spokojnie wydał dowódcom ostatnie rozkazy: kazał skrócić front walki i wzmocnić skrzydła, po czym odprawił wszystkich poza Mungiem, Johnem i mnichem.

— Wyrażam ci swoje uznanie za nieocenione przysługi, jakie nam oddałeś — powiedział pan Nariakira do Johna. — Jesteś dobrym samurajem.

John skłonił się w podzięcie za komplement. Pan Nariakira podniósł dwa miecze z herbami Satsumy na pochwach — długi i krótki. Położył je na grzbietach dłoni i podał Johnowi. Wszyscy skłonili się głęboko.

— Weź je jako dowód mojej wdzięczności — powiedział pan Nariakira — i oznakę nadania ci godności satsumskiego samuraja.

John ujął miecze w wyciągnięte ręce, przesunął po nich wzrokiem spojrzął w oczy panu Nariakirze.

— Panie mój, mówisz tak, jakbym miał wyjechać.

— Twoje nowe bronie ocaliły nam dziś życie — odparł pan na Satsumie. — Ale jutro pan Hayoshi rzuci do bitwy wszystkie swoje wojska. Zapasy amunicji wyczerpią się w kilka minut. Wynik bitwy jest przesądzony.

— Będziesz mnie, panie, potrzebował bardziej niż kiedykolwiek — powiedział John.

Pan Nariakira przerwał mu ruchem dłoni.

— Wydacie swoim ludziom ostatnie rozkazy — polecił zwracając się do Munga — i w największej tajemnicy udacie się najkrótszą drogą nad morze. Tam wsadzisz Johna na statek i rozkażesz przewieźć go do Kantonu. Kiedy to zrobisz, twoja powinność wobec mnie zostanie spełniona. — Wyjął z rękawa zwój i wręczył go Mungowi. — Niniejszym mianuję cię skrybą Satsumy. Po jutrzejszym dniu ten papier może nie mieć żadnej wartości, ale w naszym rodzie był to zawsze zaszczytny tytuł. — Spokojnym gestem odprawił obu braci.

John stanął na baczność, zasalutował, odwrócił się na pięcie i wyszedł za Mungiem. Przygębieni powlekli się na pozycje swoich oddziałów.

— Czuję się tak jak tamtej nocy w Honolulu, kiedy szalał pożar — mruknął Mung. — Wszystko obracało się w zgliszcza, a ja nic nie mogłem na to poradzić.

John skinął głową. Chciał coś dodać, ale tylko rozłożył ręce w geście zupełnej bezsilności.

JVlung wybrał samuraja, który dobrze znał okolicę, i z tym przewodnikiem wymknęli się z obozu. Pobiegli gęsiego przez las, aż dotarli do miejsca, gdzie dolina Hakusar zaczyna się zwężać. W poświacie księżycy cienie drzew płatały im po drodze nieprzyjemne figle. Po godzinie szybkiego marszu w górę doliny usłyszeli w przodzie jakieś odgłosy. Mung gestem ręki nakazał swym towarzyszom wspiąć się na zbocze. Pełzli na czworakach, najszybciej jak się dało, po czym przypadli do ziemi, obserwując zbliżające się dołem postaci. Mung rozróżnił w ciemności formację pieszych, osłaniających kolumnę większego oddziału. Gdy go mijali, usłyszał szcęk zbroi i dobiegające z tyłu głębokie, gardłowe skandowanie. Plama księżycowego światła padła na szczyt wzgórza i powoli spłynęła na dno doliny. Gardłowy pomruk przybliżył się, srebrzysta poświata wyłoniła z mroku nocy działo o kształcie smoka. Ponad stu ludzi niosło je na ramionach na dwóch długich na

osiemdziesiąt stóp drągach. Sunęli do przodu, nadając sobie tempo powolnym skandowaniem.

— Jezu Chryste! — zawołał John, chwytając za ramię Munga. — Niech mi Bóg wybaczy, że wzywam jego imienia, ale... patrz! — wskazał ręką jadącą wzdłuż kolumny rikszy.

Mung zerwał się na równe nogi, złożył dłonie w trąbkę i ryknął na cały głos:

— Town-hooo! Town-hooo! Ryochi! Ryochi!

Ślizgając się, turlając i tocząc pokonali zbocze. Zostali natychmiast otoczeni przez żołnierzy, którzy odstąpili dopiero po przybyciu podskakującej na wybojach rikszy. Mung i John z oszołomieniem wpatrywali się w wysiadającego z niej przyjaciela. Na jego twarzy nie było śladu deformacji, utykał już tylko ledwie dostrzegalnie. Kiedy chwycił ich w objęcia, był to ten sam Ryochi z dawnych czasów.

— Skąd wiedziałeś, gdzie się odbędzie bitwa? — spytał John.

— Powinieneś lepiej studiować historię Japonii — odparł Ryochi kręcąc głową z naganą. — Od dwustu pięćdziesięciu lat każde dziecko wie, gdzie ta bitwa się odbędzie.

— Co nam prowadzisz? — spytał Mung.

— Czterdzieści trzy działa z wyszkoloną obsługą, sto trzydzieści pocisków na działo. Sześciuset strzelców zdwustoma kulami na karabin. To ludzie, którzy przyplłynęli na Tanegashimę z synami pana Nariakiry. Udało nam się opracować szybszą metodę wyrabiania kul. — Wskazał ręką kolumnę tragarzy. — Więcej nie dałoby się zabrać.

Mung przesunął wzrokiem wzdłuż długiego rzędu objuczonych mężczyzn.

— Skąd wzięłeś tylu ludzi do dźwigania dział i amunicji?

— Zarekwirowałem nosidła i chłopów ze wszystkich wsi i świątyń od wybrzeża aż tutaj. Mieli prosty wybór: brać na plecy ładunek albo zginąć.

Mung roześmiał się i poklepał Ryochiego po ramieniu. Teraz był już pewien, że zdołają przechylić szalę bitwy na swoją stronę.

— Zabieram ci czterystu strzelców. Wydaj każdemu sto dodatkowych kul i jeden pocisk do dział. Ruszemy natychmiast forsownym marszem, żeby jeszcze przed świtem zająć pozycje. Ależ te działa sprawią niespodziankę panu Hayoshiemu! — Odwrócił się do Johna. — Masz prawo wracać z przewodnikiem na wybrzeże.

John wykrzywił usta w uśmiechu i wymierzył mu solidnego kukańca, jak w czasach, kiedy byli wyrostkami.

— Możesz sobie być naczelnym skrybą Satsumy, ale ja jestem satsumskim samurajem — odparł, poklepując rękojeści swoich mieczy.

Mung potarł garb na nosie.

— Zwyciężymy, John, zwyciężymy! — zawołał. — Ustaw te działa tak, by wspierały nas na prawym skrzydle. Pozostałych dwustu strzelców niech ci osłania boki.

— Powiedz panu Nariakirze, żeby dał nam tyle czasu na ustawienie dział, ile tylko może. Wy tłumacz mu także, że im bliżej podpuści do nas wroga, tym skuteczniejszy będzie nasz ogień.

Ryochi złapał Munga za ramię i zacisnął je w stalowym uchwycie.

— Żyję, ponieważ John nie pozwolił mi umrzeć — powiedział. — Ale to nie wszystko. Przypomniał mi przysięgę, że pomszczę Yoshidę. Ja chcę dowodzić tymi działami!

Mung spojrzał pytająco na Johna, a ten stanął przed Ryochim i klepnął go mocno z góry w nastawione obie dłonie.

— Będę słuchał twych rozkazów, panie, jak każe *bushido* — powiedział.

ROZDZIAŁ 18

Pan Nariakira nie zareagował na wieści przyniesione przez Munga. Stał w kamiennym bezruchu, sztywno wyprostowany, z rękami zaciśniętymi w pięści na biodrach. Tak właśnie Mung wyobrażał sobie biblijnych bożków, o których uczył go Diakon Gilhooley. Powoli, bardzo powoli twarz pana na Satsumie zmieniła zabarwienie. W jego oczach załśniły pierwsze promienie słońca wschodzącego nad dolinę Hakusar, policzki nabrały kolorów. Objął za ramiona stojących obok synów.

— Wezwijcie kapłana i wszystkich dowódców — rozkazał.

Po przeciwnej stronie doliny bębny i piszczałki poderwały na nogi armię wroga. Przed namiotem pana Hayoshiego łopotały chorągwie rodów Tokugawa, Minimoto, Hojo i Mito. Po prawej i lewej rysowały się na tle jaśniejącego nieba rzędy chorągwi pozostałych rodów. Armia szoguna stanęła pod bronią.

Spoza linii drzew za namiotem pana Nariakiry wyłoniło się ponad cztery tysiące mnichów i ruszyło za swym dowódcą w dół zbocza. Na ramionach nieśli łuki i kołczany strzał, srebrne dzwoneczki u pasa pobrzękiwały przy każdym kroku. Na czele kroczył potężny mnich z ogromną białą chorągwią cesarza, na której jarzyło się czerwone słońce o szesnastu złotych promieniach. Na jej widok szeregi armii szoguna zakołysały się niepewnie. Mnisi minęli czoło wojsk Satsumy i ustawili się na dnie doliny. Pan Hayoshi przesunął bacznie wzrokiem po twarzach swych dowódców i rzucił rozkaz do natarcia kawalerii rodu Tokugawa. Za nią ruszyła jazda rodów Minimoto i Mito. Kiedy rozwinęli szyk i runęli galopem w dół zbocza, ziemia zadygotała od tętentu kopyt.

Mnisi w skupieniu naciągnęli ciężkiy swych długich łuków i nałożyli

strzały. Kapłan wojownik wypuścił w górę zapaloną strzałę. Kiedy zawisła w najwyższym punkcie swego lotu, cztery tysiące cięciw brzęknęło unisono, jakby ktoś szarpnął strunę gigantycznej harfy. Jeszcze nim strzały dosięgły celu, w powietrze poszybowała następna chmura śmiertcionośnych pocisków. Pierwszy szereg jazdy runął zdziesiątkowany. Zwierzęta ucierpiały bardziej niż zakuci w zbroje jeźdźcy. Druga fala konnicy przeskoczyła nad powaloną pierwszą tylko po to, by dosięgnąć ją następny rój długich, smukłych strzał. Stające dęba, kwiczące wierzchowce zrzuciły jeźdźców, miażdżyły kopytami zabitych i rannych, tratowały się nawzajem i gryzły.

Karni kawalerzyści rodów Tokugawa i Minimoto poderwali się z ziemi, wyszarpnęli miecze i pieszo zaatakowali mnichów. Rozpętała się bezpardonowa walka. Żołnierze szoguna kosili dwuręcznymi mieczami nie chronione niczym głowy kapłanów. I wtedy trzeci szereg jazdy, rodu Mito, runął pełnym impetem na oddział łuczników.

Pan Nariakira przyglądał się nierównej walce. Powieka mu nie drgnęła, nie okazał żadnych emocji. Milczał nawet wtedy, gdy ostatni łucznik osunął się na ziemię. Chorągiew cesarza pozostała na polu walki, wbita w ziemię tuż obok ciała naczelnego mnicha wojownika. Pan Nariakira bez słowa przeszedł na zbocze wzgórza i zwrócił się do swych dowódców:

— Mnisi podarowali nam czas. Nie szykujemy się na śmierć. Szykujemy się walczyć i zwyciężyć! Od prawego skrzydła, drogą przez wzgórza nadciągają posiłki artylerii. Wszystkie moje rozkazy mają na celu zmuszenie wroga, by przesunął się na wschód i znalazł w zasięgu naszych dział. Odstąpienie czy odwrót nie przyniosą nikomu hańby. Jeśli wydam taki rozkaz, to dlatego, zęby wciągnąć wroga w zasadzkę.

— Hai, hai! — ryknęli samurajowie.

Pan Nariakira uciszył ich podniesieniem zaciśniętej pięści.

— Kiedy ujrzycie strzelców Satsumy, pozwólcie im przejść. Daję im bezwzględne pierwszeństwo przemarszu.

— Hai, hai!

— Przygotować się do bitwy! — huknął pan Nariakira.

— Hai, hai! — ryknęli jego dowódcy dobywając mieczy.

— Za cesarza!

— Hai! Hai! Hai!

Okrzyk podchwyciły wszystkie oddziały. Przez dolinę przetoczył się ryk siedemdziesięciu tysięcy gardeł:

— Hai, hai, hai!

Dokładnie w południe głównodowodzący armią szoguna, pan Hayoshi, dosiadł mongolskiego kuca i podniósł w górę obie ręce.

Trzymał je tak przez chwilę, po czym jednym ruchem opuścił w dół. Pod niebo poszybowały race, rysując nad doliną zielone, niebieskie i żółte smugi. Podmuch wiatru rozwiął dym i rozwinął jedwabne bojowe proporce nieprzeliczonych oddziałów kopijników, łuczników i jazdy. Rozległ się ogłuszający huk bębnow i sto trzydzieści tysięcy żołnierzy szoguna ruszyło do natarcia.

Mung, ukryty ze swymi ludźmi za wałem ziemnym przedpiersia, czuł warkot tych bębnow każdym nerwem swego ciała. Obejrzał się na swe ostatnie dwanaście dział. Za ich rzędem przykucnęło czterystu strzelców Ryochiego.

Oddziały wroga wykonały w marszu kilka manewrów, by ominąć fragment pola usłany trupami mnichów, i tym samym przesunęły się trochę na wschód, zbliżając się nieco w stronę ukrytych gdzieś wśród wzgórz dział Ryochiego.

Żołnierze Munga przygotowali broń do strzału i z zaciętymi minami' obserwowali soczyście zieloną łąkę przedpola i nadciągającego wroga. Mung dał znak. W powietrze poszybowała biała rasa. Armaty otworzyły ogień, strzelając wysokim łukiem w nacierających. Pociski robiły wyłomy w zwartych szeregach, jednak natychmiast zapełniały się one dziesiątkami i setkami nowych skrzydlatych hełmów.

Pan Nariakira podniósł miecz. Synowie oddali mu cześć mieczami, odwrócili się i poprowadzili ostatnią szarżę resztek satsumskiej kawalerii. Pędzili strzemię w strzemię na czele tysiąca pięciuset swoich ludzi. Konie wyciągnęły się w galopie, piana okryła im pyski, rwały kopytami kępy trawy, ziemia dudniła pod ich ciężarem. Oszałamiający impet tej szaleńczej szarży wprost na szeregi wroga zatrzymał oddziały pana Hayoshiego. Środek frontu bitwy przesunął się dalej na wschód. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku armia szoguna podjęła swój niepowstrzymany marsz, miażdżąc wszystko, co stało jej na drodze, wycinając w pień ludzi i zwierzęta, tratując tysiącami nóg zabitych i rannych.

Pan Nariakira z dumą patrzył na śmierć synów. Oddali życie za cesarza, stawili czoło wrogom i dopełnili swego przeznaczenia. Z rozmyślań wyrwał go grzechot karabinów. Mung rzucił do walki strzelców, kładł pokotem szereg za szeregiem nacierających samurajów szoguna. Chwilę później nadciągnęli łucznicy, zajęli pozycje i zasypali satsumskich strzelców gradem strzał.

Lewe skrzydło wojsk Satsumy załamało się. Wycofujące się z zachodniej części doliny oddziały przestłoniły strzelcom Munga wroga. Zawisła nad nimi groźba, że przedpiersie zostanie wzięte szturmem. Mung rozkazał swoim ludziom cofnąć się dwieście jardów, ale ledwie

zdążyli zająć nowe pozycje, znaleźli się pod ogniem muszkieterów szoguna i wzmocnionych oddziałów łuczników. Zamiast podjąć walkę, Mung wolał wycofać się kolejne dwieście jardów na wschód. Oddziały lewego skrzydła zniknęły po prawej odsłaniając muszkieterów i łuczników atakujących Munga od czoła. Piesi samurajowie szoguna wyrąbali sobie dwuręcznymi mieczami drogę przez maruderów lewego skrzydła, by dopaść pozycji strzelców.

Nadbiegł goniec z listem od pana Nariakiry. Mung rozdarł zębami pieczęć, rana w lewej ręce paliła go żywym ogniem. „Panowie Hayuga i Chikuzen zdradzili nas i wycofali się z walki odsłaniając nasze prawe skrzydło. Jesteśmy otoczeni z trzech stron. Zarządź natychmiast odwrót i broń dział.”

Mung wetknął list za pas i po raz trzeci wydał rozkaz odwrotu. Na dany znak strzelcy przebiegli trzysta jardów dzielące ich od stanowiska artylerii. Ledwie dotarli na miejsce, gdy przypuszczono kolejny atak. Samą liczebną przewagą armia szoguna miażdżyła wszelki napotkany opór. Wydawało się, że lada chwila nawała wroga przerwie front. W stronę dział podchodził zboczem regiment muszkieterów. Mung dał znak czterystu strzelcom ukrytym za baterią dział. Wyrównali szeregi i z niedobitkami żołnierzy Munga otworzyli morderczy ogień. W trzy minuty oddział muszkieterów szoguna przestał istnieć. Na komendę Munga szeregi strzelców zwróciły się w stronę lewej flanki. Ich słabnący ogień powstrzymał natarcie wroga. Pan Nanakira rzucił do osłony prawego skrzydła wszystkich łuczników armii cesarza. Grad karabinowych kul zepchnął w dół oddziały szoguna, usłał pole zwałami trupów i rannych, ale używana bez chwili przerwy broń zaczynała się przegrzewać. Mung ujrzał, że jego ludzie oddają mocz na zamki, by w ten sposób je schłodzić.

Już tylko osiem dział nadawało się do użytku. Przekonany, że wciąż jeszcze nie udało się ściągnąć wroga w zasięg artylerii Ryochiego, Mung rozkazał swym kanonierom przygotować się do odparcia rozstrzygającego ataku i załadować działa szrapnelami. I w tej samej chwili po drugiej stronie doliny, tuż przed namiotami dowództwa armii szoguna, rozerwał się jakiś pocisk. Nim opadła chmura pyłu i kurzu, tuż za nim eksplodował następny. Mung spojrzął na swoje działa. Żadne z nich nie wystrzeliło. Pobiegł wzrokiem na wschód, wzdłuż doliny. Na szczycie jednego ze wzgórz łopotą chorągiew cesarza. Po obu jej stronach, na tle krystalicznie błękitnego nieba rysowały się sylwetki czterdziestu trzech dział. Rzeźbione lufy błyszcząły w promieniach słońca.

— Ryochi! Ryochi! — zawołał do pana Nariakiry. — Wstrzelił się! Ma ich w zasięgu! ,

Pan Nariakira nie mógł słyszeć słów, ale spojrzawszy w stronę, w którą Mung wskazywał, zdążył zobaczyć, jak działa pluja salwą ognia. Mung dokładnie wiedział, gdzie należy patrzeć. W chwili gdy dobiegł go ryk dział, ziemia po przeciwnej stronie doliny wybuchła niczym wulkan. Zbocze wzgórza zaczerwieniło się od wirujących strzępów koni i ludzi. Kiedy powietrze przeszył ogłuszający huk wybuchów, obie armie zastygły w bezruchu. Setki tysięcy oczu spojrzało w stronę kwatery pana Hayoshiego. Następna salwa i następna erupcja wulkanu. Szczyt wzgórza zniknął w kłębach dymu, kurzu i ziemi. Wiatr powoli oczyścił dolinę. Po punkcie dowodzenia armią szoguna i zgromadzonych tam panach feudalnych nie pozostało nawet śladu.

Mung potarł nos i rąbnął pięścią w otwartą dłoń. Obejrzał się przez ramię. Pan Nariakira dawał znak raketnikom. Na niebie rozprysły się cztery race — czerwona, zielona, niebieska i żółta. Pan na Satsumie zakręcił nad głową młynka dwuręcznym mieczem i skoczył do przodu, prowadząc swoje wojska do przeciwnatarcia. Z potężnym rykiem bojowych zawołań cała armia cesarza runęła za nim w dół zbocza. Strzelcy Munga ustawili się w dwuszerę. Ramię w ramię ruszyli do przodu, co pięć kroków przystawali, strzelali równą salwą, po czym drugi szereg występował przed pierwszy i wszystko się powtarzało. Osiem dział otworzyło ogień, dokonując rzezi w szeregach wroga. Dalej na wschodzie Ryochi i John przestawili swe działa, celując w największe skupiska wrogich wojsk.

Śmierć naczelnego dowódcy i wszystkich panów feudalnych odebrała wojskom szoguna chęć walki. Ryk dział i eksplodujących pocisków, mordercze salwy nacierających strzelców Satsumy posiały w ich szeregach panikę. Środek armii szoguna zaczął się cofać jak ogromna bestia wietrząca pożar lasu. Kilku roninów odwróciło się i rzuciło do ucieczki. Ich przykład podziałał zaraźliwie. Cały środek poszedł w rozsypkę, a zaraz potem prawe skrzydło. Mung zwrócił swoich ludzi przeciwko lewemu. Szeregi wroga zawahały się, zafalowały i rozpoczęły odwrót, który chwilę później zmienił się w bezładną ucieczkę. Ryochi i John przenieśli ogień na pierzchające oddziały.

Bitewne chorągwie szoguna, pana Hayoshiego, rodów Tokugawa, Minimoto, Mito i wszystkich pozostałych zwolenników szoguna powalono na ziemię i stratowano. Pan Nariakira siał spustoszenie swym dwuręcznym mieczem, nucąc prastarą pieśń wojenną. Walczący u jego boku satsumscy samurajowie podchwycili słowa. Wojenna pieśń, którą ich dziadowie śpiewali w tej samej dolinie przed dwustu

pięćdziesięcioma laty, rozbrzmiewała wzdłuż szeregów żołnierzy cesarza. Cięli, siekli, rąbali i dźgali uciekającego wroga, aż ramiona omdlały im od krwawego mozołu. Rozbrzmiewająca w dolinie Hakusar wojenna pieśń zmieniała się w hymn śmierci.

Mung i jego strzelcy włączyli się do pościgu za wojskami szoguna. W ferworze Mung zupełnie zaniedbał zmieniania opatrunku na ręce. Trzeciego dnia dostał wysokiej gorączki. Nim doprowadzono go do chirurga, zaczął już majaczyć. Nadworny lekarz pana Nariakiry obłożył paskudnie zabarwioną, spuchniętą dłoń ziołami i kataplazmem, ale gangrena już się wdała. Kiedy podano Mungowi opium, był bliski śmierci. Podczas amputacji lewej dłoni trzymali go pan Nariakira, John i Ryochi.

W ciągu następnych tygodni Ryochi i John nie odstępowali go na krok, pomagając mu powrócić do zdrowia i odzyskać chęć do życia. Kiedy przyszedł do siebie na tyle, że mógł udać się w podróż, pan Nariakira wezwał do siebie całą trójkę. Popatrzył na Munga i Johna — tak bardzo się od siebie różnili.

— Wasza broń i wasze męstwo przechyliły szalę zwycięstwa — powiedział. — W dolinie Hakusar zginęło czterdzieści tysięcy Japończyków. — Uniósł głowę, wysunął podbródek i powiódł po nich wzrokiem. — Ale ta strata tylko wzmocni naszą ojczyznę. Pod wodzą cesarza Meiji odzyskamy należne nam miejsce wśród narodów świata. Weźmiemy udział w handlu i wymianie najnowszych osiągnięć wiedzy, ustabilizujemy naszą gospodarkę, podniesiemy poziom życia ludu. Zasłużyłeś sobie na znacznie więcej niż zaszczyty, jakimi mógłbym cię obsypać — zwrócił się do Johna Whittefielda. — Napisałem list do komodora Perry'ego. W jego ręce składam wynagrodzenie twych zasług. Twoje bohaterstwo przynosi najwyższy zaszczyt waszemu rządowi. Porą na ciebie, John — dodał z uśmiechem. — Zaczynają ci odrastać włosy, a spod farby prześwieca biała skóra.

John skłonił się z głębokim szacunkiem.

— Jedź do domu, do swej żony i dziecka, odzyskać pełnię sił — podjął pan Nariakira, zwracając się do Munga. — Moi synowie żartowali sobie z jej chudości przypisując ją jej dzielności. Powiadali, że gdyby była jeszcze choć trochę dzielniejsza, w ogóle nie byłoby jej widać. Zleciłem napisanie poematu na jej cześć. Kiedy wrócisz do sił, jedź do swej rodzinnej wioski, złóż hołd swoim zmarłym rodzicom. — Wyjął z rękawa zwój i podał go Mungowi. — To jest akt fundacyjny świątyni, która zostanie wzniesiona nad ich grobem. Spłodzili syna, który zmienił bieg historii Japonii. Kiedy dopełnisz swych synowskich powinności, wracaj do Kagoshimy. Będziemy czekać na przybycie

komodora Perry'ego. — Teraz pan Nariakira zwrócił się do Ryochiego. Podał mu zwój i dwa miecze. — Od tej chwili jesteś starszym samurajem w służbie samego cesarza. Ten długi miecz należał do mego starszego syna, ten krótki do młodszego. Niechaj ci dobrze służą. Ryochi podziękował głębokim ukłonem.

— Odprowadzisz Johna i Munga do Kagoshimy — ciągnął pan Nariakira. — Zaokrętujesz Johna na „Shintó Maru” i rozkażesz kapitanowi zawieźć go do Kantonu. Potem wrócisz objąć dowództwo nad całą artylerią i wszystkimi oddziałami strzelców cesarza.

Trzej wojownicy skłonili się jak jeden mąż przed panem na Satsumie, a on podszedł z wyciągniętą ręką do Johna.

— Nauczyłem się tego od komodora — powiedział i wymienił z nim pożegnalny uścisk dłoni.

Często popasając, Mung, John i Ryochi dotarli do Kagoshimy. Kiedy Munga witano w domu, John poczuł się ogromnie samotny, ogarnęła go nieprzeparta tęsknota za Beth i Jeffreyem. Za każdym razem, kiedy trzymał w rękach małego Yoshidę, myślałmi biegł do domu. Spieszno mu było wracać.

Po dwóch tygodniach pożegnał się z Saiyo, jej ojcem, Ryochim i Mungiem i obładowany prezentami wszedł na pokład „Shintó Maru”. Przed rozstaniem objął bracia odnowili przysięgę poświęcenia życia walce o demokrację i nawiązanie jak najlepszych stosunków między ich ojczyznami.

Chęć jak najszybszego złożenia hołdu rodzicom skróciła okres rekonwalescencji Munga. Przypłynął do Nakanohamy łodzią z Saiyo i małym Yoshidą. Wieśniacy padli na twarz przed skrybą z Satsumy, noszącym dwa miecze starszego samuraja. Mung nie dał po sobie niczego poznać. Zaprowadził Saiyo i synka wprost na wiejski cmentarz. Ku swemu zaskoczeniu zastał groby rodziców idealnie utrzymane. Zapytany o to naczelnik wioski wezwał sędziego rybaka.

Starzec wystąpił niezdarne do przodu i skłonił się przed satsumskim samurajem o złamanym nosie.

— Tak, to ja opiekuję się tymi grobami — potwierdził. — Robię to od czterestu lat, od czasu, kiedy synowie tych czcigodnych ludzi utonęli na łodzi rybackiej, którą dowodziłem.

Mung postąpił krok do przodu, sprawną ręką objął starca za ramiona i zajął mu w oczy.

— Czy słyszałeś kiedy, jak schwytać kappę? — spytał. — Takie dziwne zwierzę z magicznym płynem we wgłębieniu na głowie?

Stary rybak podniósł wzrok wpatrując się z nagłą uwagą w dziwnie znajome rysy twarzy jednorękiego samuraja.

— Tylko jeden syn utonął, Fudenojo. Ten drugi stoi właśnie przed tobą, gotów znów zaśpiewać pieśń morskich okoni.

Przez dwa dni cała Nakanohama świętowała powrót Munga. Fudenojo opowiedział, jak z beczki na wodę i worków ze skór fok, które rzucił mu Diakon Gilhooley, zrobił coś w rodzaju pływającej balii. Wiatr i sprzyjające prądy zniosły go ku brzegom Japonii, gdzie wyłowili go rybacy.

Pod koniec drugiego dnia uczt Mung przedstawił akt przyznający fundusze na budowę kaplicy w miejscu pochowania jego rodziców. Naczelnik wioski przyjął zwój z ukłonem do samej ziemi. Kaplica i odwiedzające ją tłumy miały na wiele, wiele lat zapewnić wiosce dobrobyt.

Mung, Saiyo i Yoshida wsiedli z powrotem do łodzi. Podniesiono żagiel. Wiatr poniósł łódź do Kagoshimy na spotkanie z komodorem Perrym.

PODZIĘKOWANIA

Każdy pisarz spoglądając wstecz na drogę, którą przyszło przebyć jemu i jego dziełu, musi pamiętać o tych, którzy mu w tej drodze pomagali. Moi rodzice, Charles i Grace, obdarzyli mnie życiem. Kiedy skończyłem trzydzieści trzy lata, pali Jules Rubinstein, człowiek wówczas dziewięćdziesięcioletni, otworzył przede mną świat intelektu. Za sprawą mojej zony, Janct, stanął przede mną otworem świat miłości. Jci moralne wsparcie, umiejętności edytorskie i zwykły zdrowy rozsądek sprawiły, że w ciągu piętnastu lat, które zabrało mi zbieranie materiałów do tej książki i jej napisanie, wszystko okazało się możliwe. „Niewiaścę dzielną któż znajdzie!” .lei wartość przewyższa perły *”. Jaja znalazłem i stanowimy jedność.

Piętnaście lat temu, podczas wykładu na temat historii Dalekiego Wschodu, profesor Robert Lec z Uniwersytetu Stony Brook opowiedział nam na zasadzie ciekawostki o japońskim chłopcu imieniem Mangiro, rozbitku z łodzi rybackiej, za którego sprawą do feudalnej Japonii wkroczyła zachodnia wiedza. To dało początek moim poszukiwaniom zmierzającym do przedstawienia tych niezwykłych wydarzeń w formie pomieści historycznej. Ukierunkowanie tych poszukiwań zawdzięczam dziekanowi wydziału historii Uniwersytetu Stony Brook, profesorowi Davidowi Taskowi, oraz wielu innym pracownikom naukowym tego wydziału, zwłaszcza doktorowi Markowi Goldbergowi.

Materiałami źródłowymi i radą wsparł mnie profesor Yoel Hoffmann z Uniwersytetu w Haifie, specjalista w dziedzinie filozofii Dalekiego Wschodu, oraz doktor Frank Joseph Shulman, kurator księgozbioru dalekowschodniej Azji biblioteki Uniwersytetu Stanowego w Maryland. Za czytanie poszczególnych rozdziałów niniejszej powieści i zgłaszane w czasie tej lektury cenne sugestie dziękuję państwu Dawidowi i Fisie Epsteinom, doktorowi Mervynowi Abrahamsonowi, Lillian Cohen, Edyth H. Geiger, Bernardowi i Bei Gcenbaumom oraz Edith Lowell.

Specjalne wyrazy wdzięczności należą się mojej córce, Barbarze Shefer, która nauczyła swego ojca tego i owego, oraz mojej teściowej, Malce Rabinowitz, która każdego tanka zagląda do samotni, gdzie pisuję, i wota: „Dzisiaj pójdzie ci lepiej niż wczoraj!”

Za podtrzymywanie na duchu w czasie pracy nad tą książką i zachęcanie do dalekich wysiłków składam podziękowania Marylin Beck, Sylwii i Melowi Springerom, Siane i Jackowi Binsom oraz wielu, wielu innym, których nic sposób tu wymienić.

Dziękuję także memu agentowi, Billowi Hamiltonowi, za twórczą krytykę. JegO'cięte uwagi i zdradzające wielką wyobraźnię sugestie skłoniły mnie do wprowadzenia wielu poprawek, z korzyścią tak dla czytelnika, jak i autora.

I na koniec ogromne podziękowania dla pań Patrycji Parkin i Penelopy baac, redakterek z wydawnictwa Grafton Books, za pomoc w przygotowaniu niniejszej książki do druku.

* *Księga przysłów*, 31, 10, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. III.